

Ponad 700 000 egzemplarzy sprzedanych na świecie

Drugi, po *Zaklinczu Cieni*,
wielki bestseller
od czasu
*Harry'ego
Pottera*



AMULET Z SAMARKANDY

JONATHAN STROUD



JONATHAN STROUD

Bartimaeus #1 Amulet z

Samarkandy

Przekład Maciej Nowak-Kreyer

AMBER

Tytuł oryginału

THE AMULET OF SAMARKAND

BOOK I OF THE BARTIMAEUS

TRILOGY

Redaktorzy serii

MAŁGORZATA CEBO-FONIOK

EWA TURCZYŃSKA

Redakcja stylistyczna ELŚBIETA NOVAK

Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

ELŚBIETA SZELEST

JOLANTA KUCHARSKA

Ilustracja na okładce DAVID WYATT

Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Sktad WYDAWNICTWO AMBER

Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę

Internetu

<http://www.amber.sm.pl>

<http://www.wydawnictwoamber.pl>

Copyright © 2003 by Jonathan Stroud.

First published by Random House UK

Limited, London, 2003 under the

title

The Amulet of Samarkand; Book 1 of the

Bartimaeus Trilogy.

Published by arrangement with the

Laura Cecil Literary Agency.

AU rights reserved.

For the Polish edition Copyright © 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-1816-0

Część 1

Dla Giny

Bartimmus

1

temperatura w pokoju spadała coraz szybciej. Lód pojawił się na zasłonach i grubą warstwą okrył lampy na suficie. Światło w każdym z kloszy skurczyło się i przybladło, zgasły też knoty świec, sterczące na podłodze niczym kolonia muchomorów. Zrobiło się ciemno, izbę wypełniła żółta dusząca chmura siarki, w której wił się i drgał jakiś niewyraźny kształt. Gdzieś z oddali dobiegł chór podniesionych głosów. Nagle coś popchnęło drzwi wiodące na półpiętro. Wygięły się, drewno zajęczało. O podłogę zastukały kroki niewidzialnych stóp, a zza łóżka i spod stołu niewidoczne usta szeptały plugawe słowa.

Chmura siarki zmieniła się w potężny słup dymu, wystrzeliły z niego cienkie macki. Niczym języki liznęły powietrze i cofnęły się. Dym wisiał nad środkiem pentagramu, sięgając aż po sufit, szumiał jak pył wyrzucany podczas eksplozji wulkanu. Potem, na króciutką chwilę, zapanowała cisza. Pośrodku oparów ukazało się dwoje bacznie spoglądających oczu.

Hej, to był jego pierwszy raz. Chciałem go wystraszyć.

I udało mi się. Ciemnowłosy chłopiec stał we własnym kręgu, mniejszym i naznaczonym innymi runami, o krok od głównego pentagramu. Był blady jak trup, drżał niczym zeschnięty liść na wietrze. Drgała mu szczęka i szczękał zębami.

Ściekające z czoła krople potu zamarzały, zanim jeszcze dotknęły podłogi. Gdy uderzały o ziemię, brzęczały jak kulki gradu.

Pięknie, ale co dalej? Na moje oko dzieciak miał ze dwanaście lat. Duże oczy i zapadnięte policzki. To żadna sztuka sprawić, by taki kościsty wyrostek trząsł portkami*.

Unosiłem się więc w powietrzu i czekałem, pełen nadziei, że za chwilę zostanę odesłany do domu. By jakoś zabić czas, wyczarowałem błękitne płomienie; lizały brzegi drugiego pentagramu, tak jakby szukały drogi, aby dostać się do środka i przypiec czarodzieja. Oczywiście, to była tylko taka sztuczka. Zdążyłem już wszystko sprawdzić, wiedziałem, że krąg jest szczelny. Niestety, ani jednego błędu w zaklęciach.

Wreszcie spojrzałem na urwisa. Właśnie zbierał się na odwagę, by się odezwać.

Odgadłem to po drzeniu jego ust, a drżały nie tylko ze strachu. Zgasilem niebieskie płomienie i zastąpiłem je brzydkim zapachem.

Dzieciak przemówił. Bardzo piskliwie.

–Nakazuję ci... ci... ci... No, śmiało.

–Każę ci zdradzić swoje imię!

Młodzi zwykle tak właśnie zaczynają. Najpierw bezsensowna gadanina. Obaj przecież wiedzieliśmy, że on już zna moje imię; jakże inaczej zdołałby mnie przywołać? Wszak potrzebował do tego odpowiednich słów, odpowiednich czynności i przede wszystkim odpowiedniego imienia. Wiecie, to nie jest tak jak z łapaniem taksówki – kiedy się przyzywa demona, nie można po prostu wołać ot, kogokolwiek.

Wybrałem sobie głęboki, chropawy głos, taki, który brzmi jednocześnie zewsząd i znikąd i sprawia, że włos się jeży na niedoświadczonych głowach.

–Bartimaeus.

* Nie wszyscy się ze mną zgodzą. Niektórzy uważają to za świetną zabawę. Obmyślają nieskończenie wiele sposobów dręczenia przyzywających ich osób, przybierając różne szkaradne postaci. Zwykle takiego biedaka zaczynają prześladować koszmarne sny, choć czasem te sztuczki powodują, że młody mag panikuje i wychodzi z ochronnego kręgu. Dla nas to dobrze. Ale też ryzykujemy. Oni są często bardzo dobrze wyszkoleni. Kiedy dorosną, mszczą się.

Dzieciak z trudem przełknął ślinę. Dobrze, więc nie jest taki głupi: wie, kim i czym jestem. Zna moją reputację. Po chwili, kiedy zdołał już odchrząknąć, odezwał się ponownie.

–Z... znów rozkazuję ci odpowiedzieć. Czy jesteś t... tym Bartimaeusem,

który w dawnych czasach został wezwany przez magów, aby naprawić mury

Pragi?

Ależ ten dzieciak marnuje czas. Kim innym mógłbym być? Jeszcze wzmocniłem głos. Lód na żarówkach pękł jak karmel. Szyby za brudnymi zasłonami zadrżały i jęknęły. Chłopak się cofnął.

–Jestem Bartimaeus! Jestem Sachr al-Dżinni, Ngorso Potężny i

Srebrnopióry Wąż! Odbudowałem mury Uruk, Karnaku i Pragi. Rozmawiałem

z Salomonem. Przemierzałem równiny z ojcami bawołów. Strzegłem Starego

Zimbabwe, póki nie zawaliły się kamienie, a szakale nie pożywiły jego ludem.

Jestem Bartimaeus! Nie uznaję żadnego pana. I teraz to ja pytam ciebie,

chłopcze. Dlaczego mnie wezwales?

Robi wrażenie, no nie? I wszystko prawdziwe, więc efekt jeszcze lepszy. Nie chwalilem się tylko po to, żeby zrobić na nim wrażenie. Miałem nadzieję, że dzieciak, ogłupiony tymi przechwałkami, wyjawi mi swoje imię, a to pozwoli mi coś zdziałać, kiedy tylko odwróci się do mnie plecami*. Niestety.

–Za sprawą więzi kręgu, punktów pentagramu i łańcucha run teraz ja jestem

twoim panem. Będziesz spełniał moją wolę!

Aż źle się słuchało tej starej formułki, wypowiedanej przez cherlawego młokosa i to takim piskliwym głosikiem. Miałem wielką ochotę powiedzieć mu, co o tym myślę, jednak się powstrzymałem i wyrecytowałem swoją zwyczajową odpowiedź. Zrobiłbym wszystko, żeby szybko mieć to już za sobą.

–Jaka jest twoja wola?

Przyznaję, że byłem zaskoczony. Większość początkujących czarodziejów najpierw patrzy, a dopiero potem zadaje pytania. Spoglądają jak na sklepową witrynę, napawają się swoją

potencjalną mocą, są jednak zbyt zdenerwowani, aby

*** Oczywiście, póki byłem w kręgu, niczego nie dałbym rady zrobić. Ale później mógłbym znaleźć sposób, by dowiedzieć się, kim on jest, poszukać słabych stron charakteru, zdarzeń z przeszłości, wszystkiego, co można wykorzystać. Oni wszyscy mają coś takiego. Właściwie to wy wszyscy to macie.**

z niej skorzystać. Rzadko kiedy malcy tacy jak ten brzdąc od razu przyzywają istoty podobne do mnie.

Dzieciak chrząknął. To była właśnie ta chwila. Coś, do czego długo się przygotowywał. Marzył o tym od lat, zamiast leżeć na łóżku i myśleć o dziewczynach i wyścigówkach. Ponuro czekałem na jakieś żalosne żądanie.

Cóż to mogłoby być? Lewitacja różnych przedmiotów albo przesuwanie ich z jednego końca pokoju na drugi? A może on zechce, żebym stworzył jakąś iluzję? Zabawne by było przeinaczyć to zadanie i go rozzłościć*.

–Rozkazuję ci zabrać Amulet z Samarkandy z domu Simona Lovelace'a i przynieść mi go, kiedy wezwę cię jutro o świcie.

–Co proszę?

–Rozkazuję ci zabrać...

–Tak, słyszałem, co mówiłeś – nie chciałem, by mój głos zabrzmiał tak, jakbym był nadąsany. Po prostu mi się wymknęło, mój grobowy ton też zelżał.

–Idź więc!

–Poczekaj chwilę! – poczułem w sobie ten skurcz, który zawsze się zjawia, gdy każą ci odejść. Tak jakby ktoś przez plecy wysysał ci wnętrzności. Jeśli jesteś na tyle sprytny, aby przywrzeć do miejsca, w którym stoisz, to żeby się ciebie pozbyć, trzeba wypowiedzieć zaklęcie trzykrotnie. Zwykle jednak nie jesteś. Tym razem pozostałem w kręgu, dwoje błyszczących oczu we wściekłym smrodzie kłębiącego się dymu. – Czy wiesz, o co mnie prosisz, chłopcze?

–Nie będę z tobą rozmawiać, spierać się ani paktować; nie dam też wciągnąć się w żadne zagadki, zakłady albo gry; nie...

–Nie mam ochoty dyskutować z jakimś chudym wyrostkiem, wierz mi, więc daruj sobie tę wyuczoną na pamięć przemowę. Ktoś cię wykorzystuje. Kto? Twój mistrz, jak sądzę? Pomarszczony tchórz, skrywający się za plecami chłopca.

Pozwoliłem, aby dym trochę zrzędł, i po raz pierwszy odsłoniłem zarys mojej postaci unoszącej się niewyraźnie pośród cieni.

* Pewien czarodziej zażądał, abym pokazał miłość jego życia. Podetknąłem mu lustro.

–Podwójnie igrasz z ogniem, jeśli przyzywałeś mnie po to, bym obrabował prawdziwego maga. Gdzie jesteście? W Londynie?

Skinął głową. Tak, to na pewno Londyn, jakaś okropna kamienica. Przyjrzałem się izbie przez opary. Niski sufit, odłóżająca tapeta; na ścianie, wyblakły sztych: ponury, holenderski krajobraz – dziwny wybór jak na chłopca. Spodziewałbym się raczej plakatu z jakąś piosenkarką, piłkarzami... Większość magów to konformiści, nawet ci młodzi.

–Ach tak... – głos miałem łagodny i tęskny. – Ten świat jest zły, a on nauczył cię o nim niewiele.

–Nie boję się ciebie! Wydałem ci polecenie i nakazuję ruszać w drogę!

Drugi nakaz odejścia. Miałem wrażenie, że moje wnętrzności miażdży walec. Czulem, jak zaczynam drzeć, migotać. Taki dzieciak... a taka moc.

–To nie mnie powinieneś się bać. W każdym razie, nie teraz. Simon Lovelace sam tu po ciebie przyjdzie, kiedy tylko odkryje, że skradziono mu amulet. Twój młody wiek cię przed nim nie uchroni.

–Masz obowiązek wypełnić moją wolę.

–Mam. – Trzeba przyznać, że był zdecydowany. I bardzo głupi.

Jego ręka drgnęła. Usłyszałem pierwszą sylabę zaklęcia Bezustannej

Krzywdy. Zamierzał zadać mi ból. Odszedłem. Już nie myślałem o tym, by zrobić to efektownie.

iedy lądowałem na szczycie latarni w okrytym mrokiem Londynie, siąpił deszcz. Cóż, miałem pecha. Przybrałem postać kosa, żwawego ptaka o jaskrawożółtym dziobie i smolście czarnych piórach. Po chwili całkiem przemokłem i przycupnąłem ze złożonymi skrzydłami. Zorientowałem się, że jestem w Hampstead. Przechylałem głowę raz w jedną, raz w drugą stronę, przypatrując się potężnemu bukowi po drugiej stronie ulicy. Piętrzyły się pod nim sterty liści. Listopadowy wiatr ogołocił mu gałęzie, a sękaty konary dawały niewielką ochronę przed wilgocią. Pofrunąłem tam, przelatując nad samotnym autem, które jechało właśnie podmiejską drogą.

Zza wysokich murów wokół ogrodów pełnych wiecznie zielonych roślin wychylały się paskudne białe fasady dużych willi, lśniąc w mroku niczym trupie twarze.

No, może tylko mi się takie zdawały, bo byłem akurat w podłym nastroju. Martwiło mnie pięć rzeczy. Po pierwsze, zaczynał się już tępy ból, który zawsze towarzyszył przybieraniu formy cielesnej. Czułem go w swoich piórach. Kolejna zmiana kształtu mogła na jakiś czas ukoić ten ból, ale mogła też zwrócić na mnie czyjąś uwagę – i to w krytycznym momencie. A więc póki dokładnie nie wiedziałem, co i jak, musiałem pozostać ptakiem.

Po drugie, martwiła mnie pogoda. Lepiej nie mówić.

Po trzecie, zdążyłem już zapomnieć o ograniczeniach ciała. Swędziało mnie nad dziobem i daremnie usiłowałem podrapać się tam skrzydłem. Po czwarte, martwił mnie tamten dzieciak. Chciałem zadać mu mnóstwo pytań. Kim on jest? Dlaczego ma skłonności samobójcze? Co z nim zrobić, zanim umrze za wyznaczenie mi takiego zadania? Plotki szybko się roznoszą, więc wykpią mnie za to, że ganiam z rozkazu takiego chłystka.

Po piąte... amulet. Wszystko wskazywało na to, że jest potężnym artefaktem. Co ten dzieciak zamierza z nim robić, kiedy już go dla niego zdobędę? Może nawet jeszcze nie wie. Może po prostu zacznie go nosić jak ozdobę. Tragedia. A może kradzież amuletów jest ostatnim krzykiem mody, czarodziejską wersją kradzieży znaczków z masek samochodów. Tak czy siak, to ja miałem zdobyć ów przedmiot i niekoniecznie musiało to być łatwe, nawet dla mnie.

Zamknąłem moje ptasie oczy i otworzyłem oczy duszy, jedno po drugim, każdym spoglądając na inny plan egzystencji*. Popatrzyłem przed- i za siebie, podskakując przy tym na gałęzi, żeby jak najlepiej widzieć. Przynajmniej trzy wille miały czarodziejskie zabezpieczenia, co dowodziło, że znalazłem się w dzielnicy snobów. Nie przyglądałem się już dwóm następnym domom, stojącym dalej. Ten, który mnie interesował, wznosił się zaraz naprzeciwko, poza zasięgiem światła latarni. Była to rezydencja maga Simona Lovelace'a.

* Mam dostęp do siedmiu istniejących jednocześnie planów egzystencji. Nakładają się jeden na drugi jak warstwy tortu. Siedem planów spokojnie każdemu wystarcza. A ci, którzy używają ich więcej, zwyczajnie się popisują.

Na pierwszym planie nie dostrzegłem niczego specjalnego, lecz już na drugim rozciągała się sieć ochronna; wyglądała jak świecące, niebieskie babie lato, rozpięte wzdłuż wysokiego muru. Jednak tam się nie kończyła, sięgała wysoko w powietrze, ponad szczytem niskiego białego budynku, i opadała na drugą stronę, tworząc wielką, błyszczącą kopułę.

Nieźle, pomyślałem. Ale poradzę sobie.

Na planach trzecim i czwartym niczego nie było, lecz na piątym dostrzegłem trzech wartowników unoszących się nad ziemią, zaraz za krawędzią ogrodowego muru.

Wszyscy w kolorze zgaszonej żółci mieli po trzy muskularne nogi, kręcące się jakby na piaście z chrząstki. Nad tymi nogami galaretowata masa ziała dwiema paszczami, mnóstwo oczu uważnie rozglądało się dokoła. Stworzenia te krążyły po całej posesji. Odruchowo skuliłem się za pniem drzewa, choć wiedziałem, że raczej mnie nie zauważą. Z tej odległości na wszystkich siedmiu planach powinienem wyglądać jak zwykły kos. Podstęp zdołaliby przejrzeć dopiero, gdybym się zbliżył.

Na szóstym planie niczego nie znalazłem. Ale na siódmym... Dziwne. Niby nic szczególnego: dom, droga – wszystko wyglądało zwyczajnie. Ale byłem pewien, że coś się tam czai – czyżby podpowiedziała mi to intuicja?

Zamyślony, potarłem dziobem o sęk. Tak jak się spodziewałem, było tu mnóstwo potężnej magii. Wiedziałem, że Lovelace'a uważano za srogiego i bardzo wymagającego maga. Miałem szczęście, że on nigdy mnie nie wezwał, abym mu służył, i nie chciałem robić sobie wroga z niego albo któregoś z jego sług.

Jednak musiałem wykonać rozkaz dzieciaka.

Przemoczony kos uniósł się z gałęzi i pofrunął nad ulicą, unikając światła pobliskiej latarni. Wylądował na skrawku rzadkiej trawy, nieopodal załomu muru. Stały tam cztery czarne worki z odpadkami – rano przyjedzie po nie śmieciarka. Skoczył za nie. Kot, który z oddali przypatrywał się ptakowi*, czekał kilka chwil, aż ten znów się pojawi, wreszcie stracił cierpliwość i pobiegł w tamtą stronę. Nie znalazł jednak nic prócz świeżego, kreciego kopczyka.

* Na dwóch planach. Koty to potrafią.

ienawidzę smaku błota. To coś bardzo nieodpowiedniego dla istoty z powietrza i ognia. Zawsze gdy miałem kontakt z ziemią, jej mdły ciężar bardzo mnie przytłaczał. Właśnie dlatego jestem taki wybredny, kiedy wybieram sobie materialną postać. Ptaki są w porządku. Owady są w porządku. Nietoperze są w porządku. Istoty, które szybko biegają, też mogą być. Mieszkające w drzewach są nawet lepsze. Ale istoty podziemne dobre nie są. A krety to już w ogóle są złe.

Ale nie ma co wybrzydzać, kiedy trzeba pokonywać ochronną tarczę. Miałem rację, domyślając się, że nie sięga ona pod ziemię. Kret rył głęboko pod fundamentami. Nie włączył się żaden magiczny alarm, mimo że pięć razy uderzyłem głową w jakiś kamyk*. Ruszyłem ku górze i po dwudziestu minutach węszenia, grzebania i obracania malutkiego noska ku soczystym robakom, znajduwanym chyba w każdej grudzie ziemi, wreszcie wychynałem na powierzchnię.

Kret ostrożnie wystawił łepkę z kopczyka, który wyrósł na nieskazitelnym trawniku rezydencji Simona Lovelace'a. Rozejrzał się wokół. W domu, na parterze, paliły się światła, ale kotary były zaciągnięte. Wyższe piętra otulał mrok. Nad głową rozpościerała się przejrzysta, niebieska sieć magicznych zabezpieczeń. Trzy metry nad krzewami krążył jeden z żółtych wartowników. Pozostali dwaj pewnie byli teraz po drugiej stronie domu.

Jeszcze raz zerknąłem na siódmy plan egzystencji. Wciąż nic, wciąż to nieprzyjemne przecucie czającego się zagrożenia. Och, tak.

Kret wrócił pod ziemię i zaczął ryc pod korzeniami traw, kierując się w stronę domu. Wychynał na powierzchnię na kwietnym klombie, tuż pod oknami. Co teraz, co teraz? Nie ma sensu brnąć dalej pod tą postacią, choć fantastycznie by było dostać się do piwnic. Trzeba znaleźć inny sposób.

Do futrzastych krecich uszu dotarły odgłosy śmiechu i brzęk szkła -zaskakująco wyraźne, jakby dochodziły z bardzo bliska. Niedaleko w murze był stary, popękany wywietrznik. Prowadził do domu.

Z ulgą zmieniłem się w muchę.

* Za każdym razem w inny kamyk, nie pięć razy w ten sam. To tylko taki sprawdzian. Czasem ludzie bywają bardzo tępi.

kryty w bezpiecznym wywietrzniku, owadzimi oczyma patrzyłem na staroświecki salon. Był tam gruby, włochaty dywan, paskudna tapeta w paski, kryształowe szkaradzieństwo imitujące kandelabr, olejne malowidła pociemniałe ze starości, sofa, dwa klubowe fotele, też w paski, i niski stolicek ze srebrną tacą – na niej butelka czerwonego wina, jednak żadnych kieliszków; trzymało je dwoje ludzi.

Kobieta była młoda – jak na człowieka, czyli naprawdę młoda – i wyglądała całkiem niezłe. Wielkie oczy, ciemne włosy obcięte na pazia. Od razu ją sobie zapamiętałem. Jutro, kiedy wrócę do dzieciaka, przybiorę właśnie jej postać -tyle że nagą. Ciekawe, jak sobie z tym poradzi jego żelazna, lecz wciąż nastoletnia siła woli!*

Jednak w tej chwili uwagę skupiłem na mężczyźnie, do którego uśmiechała się i nachylała ta kobieta. Był wysoki, szczupły, przystojny, ale jakiś oschły. Włosy zczesał do tyłu i przyliżał pomadą. Miał duże usta, zdrowe zęby i wyraźnie zarysowaną szczękę. Nosił niewielkie, okrągłe okulary. Coś mi mówiło, że to właśnie mag Simon Lovelace. Może zdradziła mi to ta wyczuwalna aura siły i władzy? Może sposób, w jaki teraz gestykulował, przechadzając się po pokoju. A może mały imp, unoszący się nad jego ramieniem – na drugim planie egzystencji – który bacznie rozglądał się wokół, by zawczasu wykryć niebezpieczeństwo?

Nerwowo zatarłem przednie łapki. Musiałem być bardzo ostrożny. Imp komplikował sprawę**.

Szkoda, że nie wcieliłem się w pająka. On potrafi wiele godzin siedzieć zupełnie bez ruchu i nic sobie z tego nie robić. Muchy są mniej cierpliwe.

* Tym, którzy się dziwią, wyjaśniam, że mogę bez trudu zmienić się w kobietę. Albo w mężczyznę. Sądzę, że kobiety są sprytniejsze, ale nie chciałbym wchodzić w szczegóły. Kobieta, kret, mucha – koniec końców, to to samo, no może są niewielkie różnice.

** Wyjaśnijmy to sobie. Nie bałem się tego impa. Potrafiłbym go zdmuchnąć w mgnieniu oka. Jednak znalazł się tam z dwóch istotnych powodów: fanatycznego oddania władcy i spostrzegawczości. Nawet na ułamek sekundy nie dałby się zwieść mojemu chytremu, muszemu przebraniu.

Ale gdybym zmienił tutaj postać, sługa maga na pewno by to wyczuł. Pozostawało mi tylko zmusić swe odporne ciało, aby nadal się czaiło i nie zwracało uwagi na dotkliwy ból, który znów pojawił się pod chitynowym pancerzykiem.

Czarodziej właściwie tylko mówił. Kobieta wpatrywała się w niego maślanymi oczyma, tak szeroko otwartymi i z takim głupim uwielbieniem, że aż chciało mi się wyć.

–Amando, to będzie najlepsza okazja. Spotkasz się z całą londyńską śmietanką! Wiesz, że twoją posiadłość zamierza obejrzeć sam premier? Tak, wiem to z wiarygodnego źródła. Moi wrogowie nękali go od tygodni, insynuując różne podłe rzeczy, ale on nie zrezygnował z pomysłu urzędnienia spotkania właśnie tam. Widzisz, kochanie, wciąż można na niego wpłynąć, kiedy trzeba. Wystarczy wiedzieć, jak z nim grać, jak schlebiać jego próżności... Niech to zostanie między nami, ale on ma słaby charakter. Jego specjalność to uroki, a nawet nimi rzadko się teraz posługuje. Dlaczego? Po to ma przecież ludzi w garniturach, żeby za niego pracowali...

Czarodziej przemawiał tak jeszcze kilka minut, z niewyczerpaną energią rzucając różnymi znanymi nazwiskami. Kobieta piła wino, przytakiwała, w odpowiednich momentach wyrażała zachwyt i przysuwała się bliżej. Mało nie umarłem z nudów*.

Nagle imp, jakby zaniepokojony, obrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzał ku drzwiom na drugim końcu pokoju. Delikatnie ostrzegawczo uszczypnął maga w ucho. Po chwili drzwi się otworzyły i wszedł łysy lokaj odziany na czarno.

–Przepraszam, panie, ale pański samochód już czeka.

–Dziękuję, Carter. Zaraz przyjdziemy.

* Człowiek, który słuchałby tej rozmowy, zapewne szeroko rozdziawiłby usta ze zdziwienia, kiedy mag ze szczegółami opowiadał o korupcji w brytyjskim rządzie. Jednak mnie to nie zaskakiwało. Widziałem już, jak wiele potężnych cywilizacji rozpadało się w proch i pył. Dlatego też niezbyt mnie to ciekawiło. A właściwie cały czas bezowocnie usiłowałem sobie przypomnieć, jakie to nieziemskie siły może mieć na swych usługach Simon Lovelace. Przecież należało być przygotowanym na każdą ewentualność.

Lokaj wyszedł. Mag odstawił swój, wciąż pełny, kieliszek i chwycił kobietę za rękę. Ucałował ją szarmancko. Za jego plecami imp wykrzywił twarz z obrzydzeniem.

–Przykro mi, Amando, ale obowiązki wzywają. Tego wieczoru nie będzie mnie w domu. Mogę do ciebie zadzwonić? Może jutro wieczorem pójdziemy do teatru?

–Byłoby bardzo miło, Simonie.

–W takim razie jesteśmy umówieni. Mój przyjaciel Makepeace wystawia nową sztukę. Wkrótce dostanę bilety. A teraz Carter zawiezie cię do domu.

Mężczyzna, kobieta i imp wyszli, zostawiając otwarte drzwi. Tymczasem mucha ostrożnie wpełzła ze swej kryjówki i bezgłośnie poleciała tam, skąd mogła widzieć cały hol. Przez kilka minut panowało tam zamieszanie. Niesiono okrycia, wydawano polecenia, trzaskano drzwiami. Potem mag opuścił dom.

Przeleciałem się po posiadłości. Była wielka i zimna; podłogi wyłożone czarnymi i białymi kafelkami, w olbrzymich ceramicznych donicach jasnozielone paprocie. Krążyłem wokół świecznika, cały czas nasłuchując. Było bardzo cicho. Tylko z dalekiej kuchni dobiegały jakieś dźwięki -zwyczajne, po prostu brzęk garnków i tac, no i kilka głośnych beknięć, pewnie kucharzowi się odbiło.

Zastanawiałem się, czy nie posłać dyskretnego, magicznego impulsu – a nuż w ten sposób można by się dowiedzieć o miejscu przechowywania czarodziejskich artefaktów. Uznałem to jednak za zbyt ryzykowne. Wartownicy na zewnątrz mogli przechwycić sygnał, bez pomocy innych strażników. Musiałem sam zapolować.

Na wszystkich planach było pusto. Przeleciałem więc przez posiadłość i kierując się intuicją, podążyłem w górę schodów.

Na półpiętrze był wyłożony grubym dywanem korytarz, wiodący w dwóch kierunkach i po obu stronach obwieszony olejnymi malowidłami. Moją ciekawość wzbudził od razu kierunek prawy, bo dostrzegłem, że mniej więcej w jego połowie czai się szpieg. Ludzkim oczom zdalby się on dymem, jednak na innych planach objawiał się jego prawdziwy kształt: olbrzymia ropucha o wstrętnych, wyłupiastych ślepiach; siedziała na suficie głową w dół i mniej więcej co minutę podskakiwała, trochę się przy tym obracając.

Zapewne miała za zadanie opowiedzieć magowi o wszystkim, co zdarzyło się podczas jego nieobecności.

Posłałem jej nieco magii. Z sufitu wydobył się gęsty opar, który otulił szpiega, zasłaniając mu widok. Wartownik zaczął skakać i nerwowo skrzeczeć, ja tymczasem szybko przemknąłem korytarzem do drzwi na jego końcu. Tylko one w całym korytarzu nie miały dziurki od klucza. Biała farba, którą je pomalowano, skrywała wzmacniające paski metalu. Były to więc dwa dobre powody, aby właśnie tu zacząć poszukiwania.

Pod drzwiami dostrzegłem maleńką szparkę. Za małą dla owada, ale ja i tak boleśnie potrzebowałem odmiany. Mucha rozwiała się więc w kłęb dymu, który prześlizgnął się pod drzwiami, akurat wtedy, gdy wokół ropuchy znikła mgielna zasłona.

W pokoju zmieniłem się w dziecko.

Gdybym znał imię tego ucznia, który mnie przyzwał, byłbym złośliwy i przybrał jego kształty – choćby po to, by dać Simonowi Lovelace'owi jakiś trop, kiedy już zacznie śledztwo w sprawie kradzieży. Ale bez imienia nie miałem na brzdąca żadnego haczyka. Stałem się więc chłopcem, którego kiedyś znałem, kimś, kogo kochałem. Jego prochy dawno już spłynęły Nilem, więc mój postępek mu nie zaszkodzi, a poza tym jakoś sympatycznie było wspomnieć go właśnie w taki sposób. Śniady, bystrooki, odziany w białą przepaskę biodrową chłopiec rozejrzał się, lekko przechylając głowę na bok, tak jak kiedyś zwykł robić.

Pokój nie miał okien. Pod ścianami stało kilka szafek pełnych magicznych akcesoriów. Większość do niczego się nie nadawała, no może na jarmarczne przedstawienia*. Ale coś mnie zaciekawilo.

* Och, na kimś, kto nie był magiem, to wszystko mogło zrobić bardzo duże wrażenie: te kryształowe kule, czarodziejskie zwierciadła, czaszki z grobowców, kości świętych, grzechotki skradzione syberyjskim szamanom, butle pełne krwi wątpliwego pochodzenia, maski czarowników, wypchane krokodyle, nowe różdżki, wieszaki z kapeluszami na rozmaite ceremonie i wiele, wiele grubych magicznych ksiąg, które wyglądały tak, jakby u zarania dziejów oprawiono je w ludzką skórę, a tak naprawdę zapewne tydzień temu zeszły z taśmy fabryki w Catford. Magowie uwielbiają takie rzeczy; kochają tę kuglarską tajemniczość (a część z nich trochę w nią wierzy) i zachwyca ich oszałamiający efekt, jaki wywiera ona na obcych. Jednak owe guślarskie przybory odciągają uwagę zwykłych ludzi od prawdziwego źródła czarodziejskiej mocy. Od nas.

Zobaczyłem róg przyzwań, na pewno prawdziwy, bo poczułem się źle na jego widok. Wystarczyło, by mag zadał, a wszystko, co pozostawało w jego mocy, przypadało mu do stóp, błagając o litość i prosząc o rozkazy. Był to straszliwy, pradawny instrument, nie mogłem ot tak się do niego zbliżyć. W następnej szafce dostrzegłem ulepione z gliny oko. Widziałem już coś takiego – w głowie golema. Zastanawiałem się, czy ten głupiec zna moc artefaktu. Raczej nie – mógł przywieźć go jako oryginalną pamiątkę z jakiejś wakacyjnej wyprawy do Europy Środkowej. Ech, ta magiczna turystyka... Wiadomo, jak to jest*. No, ale przy odrobinie szczęścia to oko mogło go kiedyś zabić.

Spoczywał tam również Amulet z Samarkandy. Leżał w osobnej, małej szkatułce, chroniony przez szkło i własną sławę. Zbliżyłem się do niego, zerkając na różne plany. Szukałem zagrożeń – i je znalazłem. Właściwie nic wyraźnego, ale na siódmym planie doznałem niejasnego wrażenia, że coś się porusza. Gdzieś blisko. Stwierdziłem, że lepiej się pospieszyć.

Amulet był mały, o niezbyt wyszukanych kształtach, z kutego złota. Wisiał na krótkim złotym łańcuszku, pośrodku miał owalny nefryt. Kruszec ozdobiono zwyczajnie wyciętym wzorem przedstawiającym pędzące rumaki. Konie były wielkim bogactwem ludów środkowej Azji, tych, które wykonały ów amulet trzy tysiące lat temu. Ukryty w grobowcu jednej z księżniczek, w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku został odnaleziony przez radzieckiego archeologa; potem skradli go magowie, którzy poznali się na jego wartości. Jak Simon Lovelace wszedł w posiadanie tego artefaktu – kogo zamordował albo oszukał – nie miałem pojęcia.

Znów wysunąłem głowę, nasłuchując. W domu panowała cisza.

Wyciągnąłem dłoń ku szafce, zacisnąłem ją w pięść, uśmiechając się do swojego odbicia.

Rozbiłem szybę i wyjąłem amulet.

* Wszyscy ją uprawiali – wlekli się autokarami (albo, od kiedy niektórym zaczęło się lepiej powodzić, wynajmowali odrzutowce), aby odwiedzić wielkie magiczne miasta z dawnych czasów. Wszyscy też piali z zachwytem, oglądając sławne widoki: świątynie, miejsca narodzin wybitnych magów i miejsca, w których tych magów spotkał straszny koniec. I wszyscy zawsze byli gotowi odłupać kawałek pomnika albo przetrząsnąć nielegalne targowiska z nadzieją, że okazyjnie zdobędą wspaniałą pamiątkę. Czyżby to nie był kulturowy wandalizm? Protestuję. To takie prostackie!

We wszystkich siedmiu planach zapulsowała magiczna energia. Wziąłem artefakt i zawiesiłem go sobie na szyi. Szybko się odwróciłem. Pokój się nie zmienił, jednak wyczuwałem coś na siódmym planie, to coś zbliżało się prędko.

A więc koniec działania w ukryciu.

Kiedy biegłem ku drzwiom, kątem oka spostrzegłem portal, który nagle powstał nad ziemią. Wewnątrz była ciemność – i nieoczekiwanie wynurzył się z niej kształt.

Uderzyłem w drzwi swoją chłopcę piąstką. Upadły niczym zdmuchnięta karta. Wybiegłem pospiesznie.

Na korytarzu ropucha odwróciła się do mnie i otworzyła paszczę. Wystrzeliła z niej zielona masa, pędząc ku mojej głowie. Uchyliłem się i maź rozchlapała się na ścianie, niszcząc malowidło i wszystko, aż po gołe cegły.

Cisnąłem w ropuchę Zgniataniem. Wydała żalospny skrzek i kurcząc się do gęstego kawałka materii wielkości kulki do gry, upadła na ziemię. Nie zwolniłem. Biegnąc korytarzem, otoczyłem się ochronną tarczą – niech zabezpiecza mnie przed atakiem.

I dobrze zrobiłem, ponieważ zaraz za mną w podłogę uderzał już kolejny ładunek Detonacji. Cios okazał się tak potężny, że poleciałem na ukos przez korytarz, na ścianę. Liznęły mnie zielone płomienie, które zostawiły smugi na tapecie, jak palce olbrzymiej dłoni.

Wstałem z trudem i odwróciłem się.

Za wyłamanymi drzwiami na końcu korytarza stało coś, co przypominało wysokiego mężczyznę... jasnoczerwona skóra i głowa szakala.

–Bartimaeus!

Korytarzem pomknęła następna Detonacja. Uniknąłem jej zręcznie. Przebiegłem ku schodom i gdy załam muru wyparował w zielonym wybuchu, pokoziołkowałem nimi w dół na czarno-białą kafelkową podłogę. Niezle ją przy tym poobijałem.

Wstałem i zerknąłem na drzwi wejściowe. Przez okno obok nich dojrzałem olbrzymie żółtawe kontury jednego ze strażników. Czyhał tam na mnie, chyba nieświadom tego, że można go dostrzec z zewnątrz. Postanowiłem więc wydostać się innym wyjściem. I tak właśnie rozum zwycięża nad brutalną siłą!

Musiałem się spieszyć. Hałas dobiegający z góry świadczył o tym, że na nowo podjęto pościg.

Przebiegłem kilka pomieszczeń – bibliotekę, jadalnię – za każdym razem rzucałem się do okna i za każdym razem wycofywałem, kiedy po drugiej stronie zjawiała się jedna lub kilka żółtawych kreatur. Oni byli głupi, pozostając tak widoczni, a ja ostrożny, dzięki czemu nie mogła mnie osiągnąć żadna ich magiczna broń.

Z tyłu jakiś wściekły głos wzywał moje imię. Narastała we mnie złość. Otworzyłem następne drzwi i znalazłem się w kuchni. Tam nie było już żadnych dalszych przejść do innych części domu, ale zauważyłem drzwi, które zdawały się prowadzić do czegoś wyglądającego mi na szklarnię pełną ziół i warzyw. Za nią był ogród – a także trzech wartowników, którzy na swych obrotowych nogach ze zdumiewającą prędkością przybiegli z drugiego końca domu. By zyskać trochę czasu, na drzwi za moimi plecami rzuciłem Pieczęć. Potem rozejrzałem się i zobaczyłem kucharza.

Siedział na krześle po drugiej stronie izby z nogami na stole – tęgi, dobroduszny mężczyzna o czerwonej twarzy. W rękę trzymał tasak. Uważnie przycinał sobie nim paznokcie, a odcięte kawałki z wprawą ciskał do paleniska za plecami, przy czym cały czas przyglądał mi się swoimi ciemnymi oczkami.

Poczułem się nieswojo. Chyba nie dziwił go widok małego egipskiego chłopca biegnącego przez jego kuchnię. Przyjrzałem mu się na różnych planach. Do szóstego włącznie wyglądał dokładnie tak samo: tusty kucharz w białym fartuchu. Ale na siódmym...

Uch.

–Cześć, Bartimaeus.

–Cześć, Faquarl.

–Jak leci?

–Nieźle.

–Rozejrzałeś się?

–Raczej nie.

–Szkoda, co?

–Tak. No... więc jestem.

–Właśnie, jesteś.

Kiedy tak toczyliśmy tę pasjonującą rozmowę, zza drzwi dobiegały odgłosy nieprzerwanych

serii Detonacji. Moja Pieczęć trzymała mocno. Uśmiechnąłem się tak grzecznie, jak tylko potrafiłem.

–Jabor się denerwuje, jak zwykle.

–Tak, on się nie zmienia. Chyba jest tylko, Bartimaeusie, teraz bardziej głodny. To jedyna różnica. On zawsze jest nienasycony, nawet jeśli dopiero jadł. A ostatnio rzadko ma ku temu okazję, zresztą sam się domyślasz.

–Czy twój pan przypadkiem nie zwykł mawiać: „Jak głodny to zły?” Musi być potężny, skoro jako swoje sługi trzyma tu ciebie i Jabora.

Kucharz uśmiechnął się lekko i szybkim smagnięciem noża odciął kawałek paznokcia, który wirując, pomknął w stronę sufitu i wbił się w tynk.

–No, Bartimaeusie, przecież w kulturalnym towarzystwie nie mówimy słowa na „s”, prawda? Jabor i ja prowadzimy tutaj długofalową rozgrywkę.

–Jasne.

–Skoro już mowa o różnicach w mocy, to zauważyłem, że unikasz zwracania się do mnie na siódmym planie. To trochę nieuprzejme. Czy spoglądanie na moją prawdziwą postać jakoś ci szkodzi?

–Przeszkadza, Faquarl, a nie szkodzi*.

–Bardzo miłe. A swoją drogą, podziwiam postać, jaką sobie wybrałeś, Bartimaeusie. Naprawdę sympatyczna. Ale widzę też, że cięży ci pewien amulet. Może będziesz tak dobry, zdejmiesz go i odłożysz na stół? Potem, jeśli zechcesz podać mi imię maga, którego życzenie spełniasz, mogę się zastanowić, co zrobić, by to spotkanie nie skończyło się dla ciebie fatalnie.

–To uprzejmie z twojej strony, lecz jak wiesz, nie mogę tego zrobić**. Kucharz dźgnął końcówką tasaka krawędź stołu.

–Pozwól, że będę szczery. Możesz i zrobisz to. Ty sam i jakby nie ty. Może pewnego dnia będziemy współpracować. Ale teraz jestem związany, tak jak ty.

Ja też muszę wypełniać rozkazy. Musi dojść, jak zwykle, do próby sił.

Zaprzecz, jeśli się mylę, ale zauważyłem, że dziś jakoś nie emanujesz

* Sam też nie jestem oszalamiająco piękny, jednak jak na mój gust, to Faquarl ma zbyt wiele macek.

Nie do końca prawda. Mogłem oddać amulet i nie wypełnić rozkazu. Ale wtedy, nawet jeśli

zdołałbym uciec Faquarlowi, musiałbym z pustymi rękoma wrócić do tego bladego chłopaczka. Porażka zostawiłaby mnie na jego łasce, jeszcze bardziej poddała jego mocy, a coś mi mówiło, że to nie jest dobry pomysł.

pewnością siebie. Bo gdyby było inaczej, wtargnąłbyś frontowymi drzwiami, zmiatając po drodze wszystkie triloidy i nie pozwalając im, żeby cię ganiały po całym domu, by wreszcie doprowadzić do mnie.

–To był tylko mój kaprys.

–Hm. Bartimaeusie, a może byś tak wreszcie przestał przesuwać się do okna? Ta sztuczka jest żalсна nawet dla człowieka*, zresztą triloidy i tak już tam na ciebie czekają. Oddaj amulet albo przekonasz się, że ta twoja mizerna tarcza ochronna nic nie jest warta.

Umilkł. Wstał i wyciągnął rękę. Za moją Pieczęcią wciąż grzmiały Detonacje Jabora – co za brak polotu. Same drzwi już chyba dawno rozpadły się w proch i pył. W ogrodzie czekało trzech strażników, którzy wpatrywali się we mnie rozlicznymi oczyma. Rozejrzałem się po kuchni – może coś mi przyjdzie do głowy.

–Amulet, Bartimaeusie.

Uniosłem dłoń i z ciężkim, teatralnym westchnieniem chwyciłem amulet. Potem skoczyłem w lewo. Jednocześnie zdjąłem Pieczęć z drzwi. Faquarl parsknął rozdrażniony i zaczął gestykulować. Wtedy uderzyła w niego potężna Detonacja, która śmignęła przez pustą przestrzeń, do tej pory blokowaną Pieczęcią. Cisnęło nim o palenisko i tam zasypały go cegły.

Przedarłem się ku szklarni, akurat wtedy gdy Jabor wtargnął do kuchni. Kiedy Faquarl wygrzebywał się spod gruzu, dotarłem już do ogrodu. Rzuciło się na mnie trzech strażników, ślepią mieli szeroko otwarte, nogi wirowały w powietrzu. Na galaretowatych stopach pojawiły się sierpowate szpony. Rzuciłam najjaśniejszą Iluminację, jaką tylko zdołałem. Cały ogród natychmiast zalał blask, tak mocny, jakby wybuchło słońce. Oślepił strażników – aż zapiszczeeli z bólu. Przeskoczyłem nad nimi i pobiegłem przez ogród, uchylając się przed magicznymi pociskami ciskanymi z domu – już płonęły od nich okoliczne drzewa.

Przeskoczyłem mur na drugim końcu ogrodu, między zwałem kompostu a spalinową kosiarką do trawy. Przedarłem się przez niebieską pajęczynę magicznych nici, zostawiając w niej dziurę o kształtach chłopca. Natychmiast zewsząd odezwały się dzwonki alarmowe.

*Auć.

Uderzyłem o chodnik. Amulet podskakiwał, objając mi pierś. Zza muru dobiegły odgłosy galopujących kopyt. Najwyższy czas, by przybrać nową postać.

Sokoły wędrownie to najszybsze spośród znanych ptaków. W locie nurkowym potrafią osiągnąć nawet prędkość dwustu kilometrów na godzinę. Jednak rzadko który robi to, pędząc nad dachami północnego Londynu. Właściwie trudno uwierzyć, że taki lot jest możliwy, zwłaszcza kiedy ptak ma na szyi ciężki amulet. Ale co tu dużo mówić, kiedy Faquarl i Jabor wylądowali w bocznej uliczce Hampstead i stworzyli niewidzialną zaporę – od razu wpadł na nią rozpedzony samochód z meblami – po mnie nie było już ani śladu.

Bo dawno stamtąd odleciałem.

9[atkanieC

5

rzede wszystkim – powiedział mistrz – musimy wtłoczyć do twojej nędznej głowy jedną podstawową rzecz i to tak, abyś już nigdy o niej nie zapomniał. Domyślasz się, o co chodzi?

–Nie, panie – odparł chłopiec.

–Nie? – krzaczaste brwi uniosły się z udawanym zdziwieniem. Chłopiec, urzeczony, patrzył, jak znikają pod białą strzechą włosów, gdzie, jakby wstydliwie, ukryły się na chwilę, aby nagle opaść z wielką mocą i stanowczością.

–Nie... No dobrze... – mag pochylił się na krześle. – Powiem ci.

Wolno, w skupieniu złączył dłonie, tak że palce utworzyły strzelisty łuk

skierowany ku chłopcu.

–Zapamiętaj sobie – powiedział łagodnie. – Demony są bardzo nikczemne.

Zrobią ci krzywdę, jeśli tylko zdołają. Rozumiesz?

Chłopiec wciąż wpatrywał się w te brwi. Nie potrafił oderwać od nich wzroku. Teraz zmarszczyły się surowo, ich dwie ostre linie spotkały się ze sobą. Poruszały się szybko: do góry, na dół, na boki, raz wyginały się, raz łączyły, raz rozdzielały. Ich prawie niezależnie życie dziwnie fascynowało chłopca. Poza tym nieskończenie bardziej wolał patrzeć na nie niż w oczy mistrza.

Mag głośno kaszlnął.

–Rozumiesz?

–Och... Tak, panie.

–Teraz mówisz tak, a ja jestem pewien, że myślisz... Chociaż... – Jedna brew w zamyśleniu wycelowwała prosto w niebo. – Nie jestem przekonany, czy na pewno naprawdę to rozumiesz.

–Och tak, panie. Rozumiem, panie. Demony są nikczemne i złośliwe i zrobią ci krzywdę, jeśli na to pozwolisz.

Chłopiec niecierpliwie wiercił się na swojej poduszce. Bardzo mu zależało, by pokazać, że uważnie słucha. Tyle że... letnie słońce prażyło trawę i gorące chodniki, chwilę wcześniej pod oknem przejechał samochód z lodami. A przez ciężkie czerwone kotary w pokoju maga czyste światło dnia przedzierało się tylko wąską, jasną kreską. W izbie wisiało ciężkie powietrze. Chłopiec chciał, żeby ta lekcja już się skończyła i żeby mógł wreszcie sobie pójść.

–Panie, słuchałem pana bardzo uważnie – zapewnił. Mistrz przytaknął.

–Czy widziałeś kiedyś demona? – zapytał.

–Nie, proszę pana. To znaczy, tylko w książkach.

–Wstań.

Chłopiec pospiesznie wstał, mało nie poślizgnął się na poduszce. Czekał w niewygodnej pozycji, z rękoma przyciśniętymi do boków. Mistrz od niechcienia wskazał palcem drzwi za nim.

–Wiesz, co tam jest?

–Pański gabinet.

–Dobrze. Zejdź po schodach i przejdź przez tamten pokój. Na jego drugim końcu jest biurko, a na biurku szkatułka. W szkatułce znajdziesz okulary. Włóż je i wróć do mnie. Zrozumiałeś?

–Tak, panie.

–Świetnie. Idź.

Chłopiec, odprowadzany baczny spojrzeniem mistrza, przekroczył drzwi z ciemnego, niemalowanego drewna pełnego słoików i sęków. Z wysiłkiem przekręcił ciężką, miedzianą gałkę – jej chłód sprawił mu przyjemność. Drzwi otworzyły się bezgłośnie na naoliwionych zawiasach. Wszedł do środka i znalazł się u szczytu wyłożonych dywanem schodów. Ściany okrywała elegancka, kwiecista tapeta. Niewielkie okienko na półpiętrze wpuszczało przyjazną smugę

światła.

Schodził ostrożnie, stopień po stopniu. Cisza i światło dodały mu otuchy, przytłumiły lęk. Nigdy wcześniej nie dotarł dalej niż tam, gdzie teraz stał. O tym, co może go czekać w gabinecie mistrza, wiedział tylko z dziecięcych opowieści. W wyobraźni stanęły mu straszliwe obrazy wypchanych krokodyli i butli pełnych gałek ocznych. Odpędził je gniewnie. Nie będzie się bał.

U podnóża schodów były kolejne drzwi, podobne do pierwszych, jednak mniejsze i ozdobione pięcioramienną gwiazdą, wymalowaną pośrodku czerwoną farbą. Przekręci! klamkę. Drzwi otworzyły się ciężko, blokowane przez gruby dywan. Kiedy szczelina się poszerzyła, chłopiec precyzyjnie przesunął się do gabinetu.

Wchodząc, nieświadomie wstrzymał oddech. Po chwili odetchnął, niemal czując rozczarowanie. Wszystko było tu takie zwyczajne. Ujrzał długą izbę zastawioną wokół książkami. Na jej drugim końcu stało wielkie, drewniane biurko, a przy nim miękki fotel, obity skórą. Na blacie dostrzegł pióra, jakieś papiery, stary komputer i niewielką, metalową szkatułkę. Okno za biurkiem wychodziło na wspaniałą, bujną kasztanowiec. Światło wpadające do pokoju miało przyjemny zielonkawy odcień.

Chłopiec podszedł do stołu.

W połowie drogi przystanął i obejrzał się za siebie.

Nic. A jednak... dziwne... Uchylone drzwi, przez które wszedł ledwie chwilę temu, sprawiały teraz, że czuł się nieswojo. A niech to, trzeba było je za sobą zamknąć.

Potrząsnął głową. Nie, nie było trzeba. Przecież za kilka chwil znów nimi przejdzie.

Cztery pośpieszne kroki przywiodły go do biurka. Znów się rozejrzał. Na pewno usłyszał hałas...

W pokoju było pusto. Nasłuchiwał uważnie jak zaniepokojony królik. Nie, nic nie słychać, może poza słabymi odgłosami ulicy.

Z szeroko otwartymi oczyma, ciężko dysząc, odwrócił się w stronę biurka. Metalowa szkatułka zajaśniała w słońcu. Sięgnął po nią nad skórzaną powierzchnią blatu. A przecież mógł obejść biurko i bez trudu zabrać pudełko, ale jemu się spieszyło. Nachylił się, wyciągnął rękę – niestety, skrzyneczka stała tuż poza jego zasięgiem. Chłopiec schylił się bardziej, dziko machając palcami. Nie dosięgnął szkatułki, a jego wymachujące ramię przewróciło niewielki kubek z długopisami. Rozsypały się po blacie.

Poczuł krople potu ściekające mu pod pachą. Gorączkowo zaczął zbierać długopisy i wtykać je do pojemnika.

W pokoju, tuż za jego plecami, rozległ się gardłowy chichot.

Przez chwilę chłopiec zamarł nachylony nad biurkiem, sparaliżowany strachem. Potem coś w jego duszy powiedziało: „Zostaw długopisy. Przyszedłeś po szkatułkę”. Wolno, prawie niezauważalnie, zaczął krok po kroku okrążyć biurko, tyłem do okna, bacznie przyglądając się pokojowi.

Coś zastukało w szybę, niespokojnie, trzy razy. Odwrócił się błyskawicznie. Nic nie zauważył, tylko kasztanowiec delikatnie kołysał się na letnim wietrze.

Nic.

I wtedy jeden z długopisów stoczył się na dywan. Nie wydał żadnego dźwięku, jednak chłopiec dostrzegł to kątem oka. Zaraz potem inny długopis zaczął przesuwać się do tyłu i do przodu – najpierw powoli, później coraz szybciej i szybciej. Nagle obrócił się gwałtownie, odbił od podstawy komputera i spadł na podłogę. Tak samo następny. I jeszcze jeden. Wreszcie wszystkie długopisy toczyły się, jednocześnie i w różnych kierunkach, przyspieszając, im dalej były od krawędzi biurka. Zderzały się, leciały w dół -a potem leżały już nieruchomo.

Chłopiec patrzył. Ostatni długopis wylądował na podłodze.

Chłopiec nie ruszał się.

Coś zaśmiało się głośno do jego ucha.

Dzieciak z wraskiem machnął lewą ręką, jednak niczego nie dotknął. Siła rozmachu obróciła go twarzą do biurka. Szkatułka stała dokładnie przed nim. Złapał ją i od razu upuścił. Słońce rozgrzało metal, który oparzył mu dłoń. Pudełko spadło na blat, otworzyło się i ze środka wypadły okulary w rogowej oprawie. Chwilę później chłopiec ścisnął je już w garści i biegł do drzwi.

Coś ruszyło jego śladem. Słyszał, jak skacze tuż za jego plecami.

Prawie dopadł wyjścia. Widział już schody wiodące na górę, tam gdzie był mistrz.

I wtedy drzwi się zatrzasnęły.

Chłopiec kręcił klamką, szlochając, walił w deski, wolał swego nauczyciela – daremnie. Coś szeptało mu do ucha, ale on jakby nie słyszał. Śmiertelnie przerażony, kopał drzwi, lecz tylko obił sobie palce stóp w małych czarnych bucikach.

Odwrócił się i spojrział na pusty pokój.

Zewsząd dochodziły go ciche szmery, delikatne stuknięcia i trzepotanie, tak jakby jakieś niewidzialne, ruchliwe stworzenia omiatały teraz dywan, księgi, półki, nawet sufit. Nad jego głową lekko zakołysał się cień, jakby poruszony podmuchem.

Mimo łez, mimo przerażenia chłopiec zdołał wykrztusić:

–Stop! – krzyknął. – Precz!

Szmery, stukanie i trzepot nagle ucichły. Cień zaczął kołysać się coraz wolniej, aż wreszcie znieruchomiał.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho.

Przełykając ślinę, chłopiec czekał. Przypatrywał się izbie, zwrócony plecami do drzwi. Nie dobiegł go żaden dźwięk.

Przypomniał sobie o okularach, które wciąż trzymał w ręku. Przez otulające go tumany strachu usłyszał głos mistrza, który nakazał mu je włożyć. Może, jeśli to zrobi, drzwi otworzą się, wejdzie po schodach i znajdzie się w bezpiecznym miejscu.

Uniósł okulary drżącymi palcami, włożył je...

I zobaczył, co naprawdę dzieje się w gabinecie.

Wokół, prawie na całej wolnej przestrzeni, cisnęły się małe demony, stłoczone jak ziarna melona albo orzeszki w torbie; stopami deptały się po twarzach i wbijały sobie łokcie w brzuchy. Było ich tak dużo, że przykrywały szczelnie cały dywan. Uśmiechały się obrzydliwie, kucaly na biurku, zwisały z lamp i półek, unosiły się w powietrzu. Niektóre łapały równowagę na długich nosach swoich towarzyszy albo kołysały się na ich rękach i nogach. Kilka miało olbrzymie korpusy i główki wielkości pomarańczy albo dokładnie na odwrót. Chłopiec widział ogony, skrzydła, rogi, brodawki, dodatkowe ręce, usta, stopy i oczy. Ciała pokryte łuską, porośnięte włosami, karykaturalnie zniekształcone. Część demonów miała dzioby, część ssawki, większość zęby. Stwory mieniły się najróżniejszymi kolorami – kakofonia barw. I wszystkie starały się być bardzo, bardzo spokojne, tak by oszukać chłopca, że w pokoju nikogo nie ma. Z olbrzymim wysiłkiem trwały w bezruchu, lecz drżały im ogony i skrzydła, a ich niesłuchanie ruchliwe twarze krzywiły się w niekontrolowanych drgawkach.

Jednak gdy chłopiec włożył okulary, uświadomiły sobie, że on je widzi.

I wtedy z radosnym okrzykiem runęły prosto na niego.

Wrzasnął, plecami upadł na drzwi, a potem na bok, na podłogę. Uniósł ręce, by się osłonić, zrzucając przy tym okulary. Przewrócił się na twarz i zwinął w kłębek, osaczony straszliwym zgiełkiem skrzydeł, łusek i małych, ostrych szponów.

Dwadzieścia minut później, kiedy przyszedł jego mistrz, chłopiec wciąż tam był. Mag odpędził impy i zaniósł ucznia do jego pokoju. Całą noc i cały dzień chłopiec nic nie jadł. Przez następny tydzień nic nie mówił, wreszcie jednak odzyskał mowę i powrócił do nauki.

Mistrz nigdy później nie wspominał o tym wydarzeniu, ale ucieszył go rezultat lekcji – bijące źródło nienawiści i strachu, które wykopał dla swego ucznia w tamtym słonecznym pokoju.

To było jedno z najwcześniejszych doświadczeń Nathaniela. Nikomu o nim nie mówił, jednak jego cień nigdy nie znikł mu z serca. Miał wówczas sześć lat.

Bartimaeus

6

łopot z magicznymi przedmiotami, takimi jak Amulet z Samarkandy, polega na tym, że emanują wyraźną, pulsującą aurą*, która przyciąga uwagę jak nagi człowiek na pogrzebie. Wiedziałem, że Simon Lovelace, kiedy tylko dowiedział się o mojej eskapadzie, od razu wysłał pościg, a ścigający szukają właśnie tego charakterystycznego pulsowania. Zdawałem sobie sprawę, że im dłużej pozostaję w jakimś miejscu, tym bardziej ryzykuję, że mnie znajdą. Wątpiłem, aby chłopiec wezwał mnie przed świtem**, musiałem więc jakoś przetrwać tych kilka niespokojnych godzin.

* Aurą obdarzone są też żywe stworzenia. Przybiera kształt barwnej chmury wokół ciała, jest zjawiskiem wizualnym, które przyrównać można do zapachu. Aura istnieje na pierwszym planie egzystencji, jednak dla większości ludzi pozostaje niewidzialna. Dostrzega ją sporo zwierząt, na przykład koty, a poza tym dżinny i kilka szczególnych istot. Zmienia kolor w zależności od nastroju, to przydatny wskaźnik strachu, nienawiści, żalu... Właśnie dlatego tak trudno oszukać kota (albo dżinna), kiedy bardzo się tego chce.

** Znacznie lepiej byłoby zaraz wrócić do tego urwisa i pozbyć się amuletu. Ale magowie zawsze upierają się, żeby wzywać nas tylko w określony sposób i o określonej porze. Dlatego też nie możemy przyłapać ich w sytuacji dla nich niewygodnej (a może nawet fatalnej).

Co ten mag mógł za mną posłać? Wątpliwe, by poza Faquarlem i Jabo-rem władał jeszcze jakimiś dżinnami – ale na pewno był w stanie rzucić za mną grupę słabszych sług. Normalnie poradziłbym sobie z takim tałatajstwem, mając jedną łapę przywiązaną do pleców, ale jeśli przybyłyby tłumnie, a ja byłbym zmęczony, źle by się to mogło skończyć*.

Uciekłem z Hampstead najszybciej jak się dało i ukryłem się pod okapem pustego domu nad Tamizą; nastroszyłem pióra i spoglądałem w niebo. Po jakimś czasie na niewielkiej wysokości przemknęło siedem małych, świetlnych kul. Kiedy dotarły na środek rzeki, rozdzieliły się: trzy dalej podążały na południe, dwie ruszyły na zachód, dwie na wschód. Skuliłem się w cieniach poddasza; spostrzegłem, że kiedy najbliższe kule tropiące znikają w dole rzeki, amulet zadrżał mocniej. Zdenerwowałem się.

Wkrótce potem pofrunąłem do dźwigara żurawia na drugim brzegu, gdzie budowano wspaniały nadrzeczny apartamentowiec dla magicznej arystokracji.

W ciszy minęło kilka minut. Rzeka wirowała wokół błotnistej przystani. Po niebie przemykały chmury, co jakiś czas zasłaniając księżyc. Nagle we wszystkich oknach pustego budynku na drugim brzegu Tamizy błysnęło trupiozielone światło. Poruszały się w nim przygarbione cienie, jakby czegoś szukając. Nic jednak nie znalazły. Światła zgasły i zmieniły się w błyszczącą mgłę – wypłynęła z okien i się rozwiała. Dom znów otulił mrok. Natychmiast szybko poleciałem na południe, nurkując od ulicy do ulicy.

* Nieskończona liczba rodzajów demonów wprawia w zakłopotanie nawet magów. A wszystkie te rodzaje różnią się od siebie tak dalece jak słonie od owadów albo orły od ameb. Lecz, ogólnie mówiąc, istnieje pięć podstawowych odmian: maridy, afryty, dżinny, diabliki oraz impy. (Są też całe legiony drobnych duchów, słabszych od impów, jednak magowie rzadko kłopotczą się ich przyzywaniem. Istnieją również byty silniejsze od maridów, o niesamowitej mocy. Rzadko widuje się je na Ziemi, bo tylko niewielu czarodziejów waży się choćby wymawiać ich imiona). Szczegółowa wiedza o tej hierarchii jest niezwykle ważna zarówno dla magów, jak i dla nas – trzeba znać swoje miejsce, gdyż to często decyduje o przeżyciu. Na przykład ja, będąc szczególnie pięknym okazem dżinna, traktuję inne dżinny oraz wszystkie potężniejsze istoty z odpowiednią kurtuazją, a diabliki oraz impy trzymam krótko.

I właśnie tak przez pół nocy gorączkowo skakałem po Londynie, umykając pogoni. Pojawiło się nawet więcej kul*, niż się spodziewałem – pewnie przywoływało je kilku magów; leciały nade mną w regularnych odstępach czasu. Aby mnie nie dosięgły, musiałem wciąż się ruszać, a i tak dwa razy omal mnie nie schwytano. Raz leciałem obok biurowca i prawie zderzyłem się z kulą podążającą z przeciwną; inna znalazła mnie, kiedy wyczerpany przysiadłem na gałęzi brzozy w Green Parku. Zdołałem jednak uciec, nim przybyły posiłki.

Leciałem już resztką sił. Utrzymywanie fizycznej postaci bardzo mnie męczyło i zużywało cenną energię. Zmieniłem więc plany – postanowiłem znaleźć miejsce, w którym pulsację amuletu przytłumią inne magiczne wibracje.

Nadszedł czas, aby zmieszać się z wielogłowym tłumem, Wielkim Nieczystym. Innymi słowy – z ludźmi. Tak bardzo byłem zdesperowany.

Wróciłem do centrum miasta. Nawet o tak późnej godzinie turyści na Trafalgar Square wciąż przewalali się rozkrzychaną falą pod kolumną Nelsona. Kupowali talizmany po okazyjnych cenach w budkach wciśniętych między dwa lwy. Z placu aż biła kakofonia magicznej pulsacji. To miejsce jak żadne inne nadawało się na moją kryjówkę.

Z nocnego nieba spadła pierzasta błyskawica i znikła w wąskiej przestrzeni między dwoma straganami. Wkrótce pojawił się tam mały Egipcjanin o smutnych oczach i rozpychając się łokciami, utorował sobie drogę przez ciżbę. Miał na sobie nowe niebieskie dżinsy, puchową kurtkę i biały podkoszulek. No i białe duże, niezasznurowane adidas. Szybko wtopił się w tłum.

Czułem, jak amulet parzy mi pierś. W regularnych odstępach czasu wysyłał niewielkie fale ciepła, za każdym razem jedno uderzenie. Jak bicie serca. Z całych sił pragnąłem, by ten sygnał zniknął pośród kłębiących się wokół aur.

* Kule tropiące to rodzaj silnych impów. Mają wielkie, łuskowate uszy i jedno szczeciniaste nozdrze, co czyni je szczególnie wrażliwymi na magiczną pulsację, a także sprawia, że bardzo drażni je hałas albo mocny zapach. Dlatego przez większą część nocy musiałem ukrywać się w samym środku Zakładów Kanalizacyjnych Rotherhithe.

Większość magii była tu tylko na pokaz. Po placu krążyło też wielu licencjonowanych znachorów – sprzedawali drobne talizmany i świecidełka, dopuszczone przez władze do powszechnego użytku*.

Amerykańscy i japońscy turyści wybałuszali oczy z zachwytem, niecierpliwie przypatrując się straganom, zawalonym kolorowymi kamykami i różnymi błyskotkami. Usiłowali sobie przypomnieć znaki zodiaku pozostawionych w domu krewnych. Weseli handlarze mówili cockneyem i nie szczędzili im zachęty. Gdyby nie błyski fleszy, mógłbym pomyśleć, że wróciłem do Karnaku. Dobijano targów, pokrzykiwano radośnie, wszyscy się śmiali. Łatwowierność i chciwość mimo upływu wieków wciąż pozostawały niezmiennie.

Jednak na tym placu były nie tylko nic niewarte błahostki. Tu i ówdzie przed wejściami do małych, zamkniętych namiotów stali ludzie o poważnych twarzach. Gości wpuszczano tam pojedynczo. Widocznie sprzedawano tam rzeczywiście wartościowe artefakty, gdyż przy każdym stoisku, bez wyjątku, kręcili się mali strażnicy. Przybierali rozmaite, dyskretne postaci – zazwyczaj gołębi. Nie zbliżałem się do nich – mogli okazać się bardziej spostrzegawczy, niż mi się zdawało.

W tłumie było też kilku magów. Chyba nic nie kupowali. Pewnie pracowali na nocnej zmianie w biurach rządowych przy Whitehall i przyszli odetchnąć świeżym powietrzem. Jednemu z nich – w eleganckim garniturze – na drugim planie towarzyszył imp, niemal deptał mu po piętach. Za innymi – w skromniejszym ubraniu – ciągnął się tylko charakterystyczny zapach kadzidła, wosku i kwaśnego potu.

Była tam również policja – kilku zwykłych konstabli i dwóch zarośniętych mężczyzn o topornych rysach, funkcjonariuszy Nocnej Policji. Trzymali się z boku, gotowi jednak w każdej chwili interweniować.

* Szczególną popularnością cieszyły się okruchy kryształu, jakoby wydzielające korzystną dla zdrowia aurę. Ludzie wieszają je sobie na szyjach, żeby przynosiły im szczęście. Te okruchy nie mają żadnych właściwości magicznych, ale chyba jednak w pewien sposób chronią: każdy, kto coś takiego wkłada, ogłasza wszem wobec, że nie ma pojęcia o magii, a więc nie zwraca nań uwagi żadna z wojujących ze sobą czarodziejskich frakcji. W Londynie niebezpiecznie jest choć trochę znać się na magii, wtedy taki ktoś staje się osobą użyteczną i/lub groźną – a zatem celem polowań innych magów.

A dookoła placu połykiwały światła samochodów – wiozły ministrów oraz innych czarodziejów z ich biur w parlamencie do klubów przy St James. Znalazłem się niemal w centrum wielkiego koła władzy obejmującego całe imperium i tu właśnie przy odrobinie szczęścia mogłem pozostać w ukryciu do chwili, aż wreszcie zostaną wezwani.

Albo i nie.

Przeszedłem się właśnie spacerkiem do wyjątkowo obskurnego stoiska, zerknąłem na ceny, i odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Lekko odwróciłem głowę i przyjrzałem się tłumowi. Bezkształtna masa. Sprawdziłem różne plany. Żadnych ukrytych niebezpieczeństw: tylko tłok, tępe ludzkie twarze. Spojrzałem znów na stragan i w zamyśleniu uniosłem Moje Magiczne Zwierciadło, kawałek taniego szkła, oprawiony w różowy plastik, z paskudnymi rysunkami różdżek, kotów i czarodziejskich kapeluszy.

Znowu to poczułem! Obróciłem się gwałtownie. Przez przesmyk w tłumie dokładnie przed sobą ujrzałem niską, pulchną magiczkę, grupkę dzieci tłoczących się wokół straganu i policjanta, który przypatrywał im się podejrzliwie. Wyglądało na to, że nikt się mną nie interesuje ani trochę. Ale przecież wiedziałem, co poczułem. Następnym razem będę przygotowany. Udałem, że oglądam lusterko. Na metce przeczytałem z tyłu: Wspaniała

pamiątka z Londynu, magicznej stolicy świata. Made in Tajw...

Znowu! Odwróciłem się błyskawicznie – mam was! Spojrzałem prześladowcom prosto w oczy. Było ich dwoje: chłopiec i dziewczyna stojący w grupie dzieciaków. Nie zdążyli odwrócić wzroku. Chłopiec miał mniej więcej piętnaście lat, po jego twarzy widać było, że przegrywa walkę z pryszczami. Dziewczyna, choć młodsza, patrzyła zimno i twardo. Odważem się spojrzeć. Czym się przejmować. To ludzie, nie mogą zobaczyć, kim jestem. Niech się gapią.

Mój wzrok znieśli tylko przez kilka sekund. Odwrócili oczy. Wzruszyłem ramionami i już miałem odejść, kiedy przekupień chrząknął głośno. Ostrożnie położyłem Moje Magiczne Zwierciadło z powrotem na stragan, uśmiechnąłem się szeroko i ruszyłem w swoją stronę.

Dzieci za mną.

Spostrzegłem je przy następnym stoisku, patrzyły na mnie zza budki z watą cukrową. Poruszały się grupą – pięcioro, może sześcioro, nie byłem pewien.

Czego chciały? Napaść na mnie? Jeśli tak, to dlaczego akurat mnie sobie upatrzyły? Przecież było tu wielu lepszych, bogatszych kandydatów. Chcąc to sprawdzić, precisnąłem się w pobliże drobnego, zamożnie wyglądającego turysty z wielkim fotoaparatem i w grubych okularach. Jeśli chciałbym kogoś obrabować, znalazłby się na pierwszym miejscu mojej listy. Kiedy jednak odszedłem od niego i zacząłem kluczyć wśród tłumu, dzieci podążyły za mną.

Dziwne i denerwujące. Nie chciałem zmienić postaci i odlecieć. Byłem zbyt zmęczony. Pragnąłem tylko, by dano mi spokój. Do świtu zostało jeszcze wiele godzin.

Przyspieszyłem kroku – dzieciaki też. Trzy razy okrążyliśmy plac – szybko miałem dość. Przyglądało się nam kilku policjantów – pewnie zaraz nas zatrzymają, choćby z nudów. Czas się ulotnić. Czegokolwiek chciały te dzieci, ja nie miałem zamiaru ściągać na siebie jeszcze większej uwagi.

Nieopodal było wejście do metra. Zbiegłem w dół, ominąłem schody na peron i wyszedłem po drugiej stronie ulicy, naprzeciw placu. Dzieci gdzieś znikły – może zostały w metrze. Teraz miałem szansę im się wymknąć. Przemknąłem za róg ulicy, potem obok księgarni i dałem nura w boczną uliczkę. Odczekałem chwilę w cieniu pośród koszy na śmieci.

Przejechało kilka samochodów. Nikt tu za mną nie przyszedł.

Uśmiechnąłem się pod nosem: zgubiłem moich prześladowców.

Błąd.

7

aly Egipcjanin podążał alejką i co jakiś czas oglądał się przez ramię,

wreszcie wszedł w jedną z większych ulic, które rozchodziły się

promieniście z Trafalgar Square.

Maszerując, zmieniałem swoje dotychczasowe plany. Trzeba trzymać się

z dala od placu. Kręci się tam zbyt wiele denerwujących dzieciaków. A może,

jeśli znajdę sobie kryjówkę gdzieś w okolicy, pulsowanie amuletu nadal

będzie

trudno wykryć. Mogłem do rana zaszyć się za śmietnikiem. Nie miałem zresztą innego wyjścia. Brakowało mi już sił, by znów wzbić się w przestworza.

No i musiałem trochę pomyśleć.

Znów pojawił się stary ból, dżgając pierś, brzuch, kości. Nie wolno mi długo pozostawać w cielesnej powłóce. Nie wiem, jak ludzie potrafią to wytrzymać i nie zwariować*.

Wlokłem się ciemną, chłodną uliczką, oglądając swoje odbicie w szybach okien. Chłopiec skulił ramiona, chowając się przed wiatrem, ręce wcisnął w kieszenie. Jego buty rysowały beton. Poza, jaką przybrał mały Egipcjanin, świetnie oddawała moje rozdrażnienie. Przy każdym kroku amulet uderzał mnie w pierś. Gdybym tylko mógł, zerwałbym go i cisnął do najbliższego śmietnika, a potem zdematerializował się z wściekłością. Ale wiązały mnie rozkazy jakiegoś dzieciaka**. Musiałem więc zatrzymać ten przedmiot przy sobie.

Szedłem boczną drogą, z dala od ulicznego ruchu. Po obu stronach piętrzyły się nade mną ciemne, wysokie budynki, więc czułem się jak w klatce. Miasta zawsze źle na mnie działały, prawie tak, jakbym znalazł się pod

*Hm... To chyba wiele tłumaczy. ** Bywało, że demony nie chciały wykonać polecenia. Dobry przykład to historia o tym, jak Asmoral Stanowczy otrzymał od swego pana rozkaz zniszczenia dżinna Ianny. Owa Ianna od dawna była najbliższym sprzymierzeńcem Asmorala, łączyła ich wielka miłość. Mimo powtarzających się surowych poleceń swego pana Asmoral okazywał nieposłuszeństwo. Niestety, choć siła jego woli dorównywała rzuconemu jej wyzwaniu, rozkaz maga ciągnął samą esencję (Esencja: podstawowa, najistotniejsza istota ducha takiego jak ja; zawiera moją naturę i tożsamość. W twoim świecie musimy nadawać esencji fizyczną formę. W Zaświatach, skąd pochodzę, nasze esencje mieszają się swobodnie i chaotycznie) bytu dżinna. Demon nie ustąpił, aż wreszcie został dosłownie rozerwany na dwoje. Spowodowana tym eksplozja zniszczyła maga, jego pałac i pobliskie przedmieścia Bagdadu. Po tym tragicznym wydarzeniu czarodzieje nauczyli się, że należy bardzo uważać, kiedy wydaje się rozkaz bezpośredniego ataku na wrogi duchy (wrogą mag to już zupełnie inna sprawa). My zaś nauczyliśmy się unikać konfliktu wartości. Właśnie dlatego sojusze między nami są czasowe i nietrwałe. Przyjaźń to istotny element strategii.

ziemią. Londyn był wyjątkowo okropny – zimny, szary, duszny, wilgotny. Zatęskniłem za krainami południa, pustynią i czystym, błękitnym niebem.

Następna uliczka, zavalona kartonowymi pudłami i starymi gazetami, prowadziła w lewo. Odruchowo rozejrzałem się po innych planach, ale niczego nie dostrzegłem. W porządku. Ze względów higienicznych ominąłem dwie kolejne bramy i przysiadłem obok trzeciej.

Był już najwyższy czas, bym zastanowił się nad wydarzeniami ostatniej nocy. A wiele mi się przytrafiło. Chłopiec o bladej twarzy, Simon Lovelace, amulet, Jabor, Faquarl... Niezła mieszanka. Zresztą, co mnie to obchodzi. O świcie oddam amulet i zapomnę o wszystkim.

Z wyjątkiem tamtego dzieciaka. On kiedyś musi mi za to wszystko zapłacić. Nie wolno zmuszać Bartimaeusa z Uruk, by spał na ulicy West Endu, a potem myśleć, że to się upiecze. Najpierw poznam jego imię, a potem...

Chwileczkę...

W uliczce rozległy się czyjeś kroki... Obute stopy były coraz bliżej.

Może to tylko przypadek. Londyn jest przecież miastem, w którym mieszkają ludzie. I ci ludzie chodzą ulicami. Ten, kto się zbliżał, pewnie skracał sobie drogę do domu.

Tyle że akurat szedł uliczką, którą wybrałem sobie na kryjówkę.

A ja nie wierzę w przypadki.

Skuliłem się w cieniu bramy i rzuciłem na siebie Ukrycie. Zasłoniła mnie kurtyna ściśle utkanych czarnych nici. Wtopiłem się w mrok. Czekałem.

Kroki się zbliżyły. Kto to mógł być? Patrol Nocnej Policji? Magiczna bojówka, prowadzona przez Simona Lovelace'a? A może jednak odkryły mnie kule tropiące?

To nie byli ani policjanci, ani czarodzieje. To były dzieci z Trafalgar Square.

Pięciu chłopców i dziewczyna na czele. Szli powoli zaśmieconą ulicą i uważnie rozglądali się na boki. Trochę mi ulżyło. Dobrze się ukryłem, a nawet gdybym się nie schował, nie miałem się teraz czego bać, będąc z dala od ludzkich spojrzeń. Chłopcy, choć byli wyrośnięci i wyglądali na tępych osiłków, wciąż pozostawali tylko chłopcami w dżinsach i skórzanych kurtkach. Dziewczyna miała na sobie czarny skórzany żakiet i dzwony. Nogawki były tak szerokie, że dałoby się z nich uszyć jeszcze

jedną parę spodni dla malca. Nagle uświadomiłem sobie, że zachowują się nienaturalnie cicho.

Pełen wątpliwości, jeszcze raz sprawdziłem, co dzieje się na innych planach. I na każdym zobaczyłem to, co powinienem zobaczyć: sześcioro dzieci.

Ukryty za swoją kurtyną, czekałem, aż pójdą dalej.

Dziewczyna szła pierwsza. Właśnie znalazła się przy mojej kryjówce.

Ziewnąłem, czując się bezpieczny za swoją osłoną.

Jeden z chłopców dotknął ramienia koleżanki.

–Jest tutaj – powiedział.

–No to do roboty – odparła.

Zanim zdołałem otrząsnąć się ze zdumienia, trzech najsilniejszych chłopaków skoczyło ku bramie i rzuciło się na mnie. Kiedy dotknęli smug Ukrycia, rozdarły się i rozplynęły. Poczulem zapach skóry, taniej wody kolońskiej i potu. Napastnicy obalili mnie, zdzielili pięścią po głowie, bezceremonialnie przytrzymali za nogi.

Szybko doszedłem do siebie. Jestem w końcu Bartimaeusem.

Uliczkę na chwilę zalało światło i gorąco. Cegły w bramie wyglądały tak, jakby nagrzały się do czerwoności.

A chłopcy nie puszczali! Dwóch zakuło mi ręce w coś, co przypominało kajdanki, trzeci mocno obejmował mnie w pasie.

Zaatakowałem znowu, z jeszcze większą mocą. Na sąsiedniej ulicy włączyły się alarmy samochodów. Tym razem, przysięgam, byłem przekonany, że zaraz znajdę się w uścisku trzech zwęglonych trupów*.

Nic podobnego. Chłopcy, choć oddychali ciężko, trzymali mocno jak kostucha.

Coś tu się nie zgadzało.

–Nie puszczaj go – rozkazała dziewczyna.

Spojrzałem na nią, a ona na mnie.

W tej postaci była trochę wyższa ode mnie, miała czarne oczy i długie, ciemne włosy. Stali

przy niej pozostali dwaj chłopcy, taka pryszczata gwardia honorowa. Traciłem cierpliwość.

* Wbrew temu, co teraz można by pomyśleć, większości z nas nie zależy na tym, by krzywdzić zwykłych ludzi. Oczywiście, są wyjątki, choćby Jabor. Ale tak spokojny dzień jak ja wystrzega się podobnych ekscesów.

–Czego chcesz? – spytałem.

–Masz coś na szyi – nawykła do rozkazywania mówiła stanowczym głosem, rzadko spotykanym u kogoś tak młodego, ledwie, według mnie, trzynastoletniego.

–Naprawdę?

–Kretyn! Przecież widzieliśmy! Jak na ciebie skoczyli, wysunęło ci się zza koszulki.

–Dobra, dobra!

–Oddaj to.

–Nie.

Wzruszyła ramionami.

–No to sami weźmiemy. Już po tobie.

–Nie wiesz, kim naprawdę jestem, co? – postarałem się, by te słowa zabrzmiały swobodnie, ale miały w sobie nutkę groźby. – Nie jesteś magiczką.

–Całe szczęście, że nie – powiedziała, jakby wypluwając słowa.

–Mag by wiedział, że lepiej ze mną nie zadzierać.

Sprawiłem, by groźba brzmiała wyraźniej, choć to raczej trudne, kiedy jakiś półgłówek trzyma cię w pasie. Dziewczyna uśmiechnęła się zimno.

–A jaki mag by sobie tak dobrze z tobą poradził?

Miała rację. Po pierwsze, czarodziej, który nie opancerzyłby się wcześniej talizmanami i pentagramami, nie chciałby się zbliżyć do mnie na odległość mniejszą niż ta, z której słyszy się szcęknięcie. Po drugie, aby znaleźć mnie pod Ukryciem, musiałby skorzystać z pomocy impów. I wreszcie, wezwałby jakiegoś potężnego džinna, żeby mnie ujarzmił. Jeśliby się odważył. A ta dziewczyna i jej kumple zrobili to wszystko samodzielnie, chyba nawet się specjalnie nie wysilili.

Powinienem potraktować ich pełną mocą Detonacji albo czymś podobnym, jednak byłem już za bardzo zmęczony. Ograniczyłem się więc do czczych pogroźek.

Roześmiałem się złowieszczo.

–Ha! Tylko się z wami bawię.

–To czcza pogróżka.

Spróbowałem czegoś innego:

**–Niechętnie przyznaję, że jestem pod wrażeniem. Podziwiam was, że
mieliście tyle odwagi, by mnie zaczepić. Jeśli wyjawicie mi swoje, imiona i**

motywy, oszczędzę was. Szczerze mówiąc, może nawet zdołam wam pomóc. Wiele potrafię. Ku memu rozczarowaniu, dziewczyna zasłoniła uszy.

–Oszczędź sobie tych śliskich słów, demonie! – powiedziała. – Nie skusisz mnie!

–Najwyraźniej chcecie, żebym jednak był waszym wrogiem, a nie przyjacielem – ciągnąłem ze spokojem.

–Nie dbam ani o jedno, ani o drugie – odparła dziewczyna, opuszczając ręce. – Chcę tego, co masz na szyi, cokolwiek to jest.

–Nie dostaniesz tego. Ale możesz o to walczyć. Nieźle oberwiesz, a na dodatek zapewniam, że wyślę sygnał, który ściągnie do nas Nocną Policję, a ona wpadnie tu jak megiera. Chyba nie chcesz, żeby zwróciła na ciebie uwagę?

Wzdrygnęła się. Zdobyłem przewagę.

–Nie bądź naiwna – powiedziałem. – Pomyśl o tym. Chcesz zrabować mi

bardzo potężny przedmiot. A on należy do straszliwego maga. Jeśli tylko go

dotkniesz, mag cię znajdzie i obije sobie drzwi twoją skórą.

Nie wiem, czy za sprawą groźby czy też oskarżenia o naiwność dziewczyna zadrżała. Poznałem to po grymasie wydętych warg.

Na próbę uniosłem łokieć. Trzymający go chłopiec warknął i wzmocnił uchwyt.

Kilka ulic dalej zawyła syrena. Dziewczyna i jej kumple niespokojnie spojrzeli w ciemność. Z nieba spadło kilka kropel deszczu.

–Wystarczy – stwierdziła i podeszła do mnie.

–Ostrożnie – powiedziałem.

Wyciągnęła rękę. Otworzyłem usta, bardzo, bardzo powoli. Sięgnęła po amulet na mojej szyi.

W jednej chwili zmieniłem się w nilowego krokodyla o rozwartej paszczy. Kłapnąłem, celując w palce. Dziewczyna pisnęła i szarpnęła ręką tak szybko, że zadrasnąłem tylko jej paznokcie. Kłapnąłem jeszcze raz, starając się wydostać z uścisku prześladowców. Dziewczyna wrzasnęła, poślizgnęła się i upadła na stos śmieci, uderzając przy tym jednego z napastników. Moja nagła przemiana zaskoczyła chłopców, zwłaszcza tego, który obejmował teraz szerokie, pokryte łuskami cielsko. Puścił mnie, jednak pozostałych dwóch tak łatwo się nie poddało. Sieknąłem

długim, twardym ogonem w lewo, potem w prawo – udało mi się trafić ich w głowę. Ich mózgi, jeśli w ogóle jakieś mieli, na pewno doznały teraz

wstrząsu. Chłopcom opadły szczęki, ręce też.

Ale jeden z pomocników dziewczyny szybko oprzytomniał. Podniósł się, sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął coś błyszczącego.

Kiedy tym ciskał, zmieniłem się raz jeszcze.

Muszę przyznać, że szybka przemiana z czegoś dużego – krokodyl -w coś małego – lis – okazała się całkiem niezłym pomysłem. Trzy pary rąk, które z trudem starały się utrzymać wielkiego, łuskowatego stwora, nagle chwyciły powietrze, a mały kłębek rudego futra i szybkich pazurów wyslizgnął się na ziemię między łapiącymi pustką palcami. W tej samej chwili błyszczący, srebrny pocisk przeleciał tamtędy, gdzie było gardło krokodyla, i wbił się w metalowe drzwi.

Lis pobiegł ulicą, ślizgając się na bruku.

Przed nim rozległ się świdrujący pisk gwizdka. Czworonóg zatrzymał się. Po bramach i ceglanych murach pomknęły światła latarek. Towarzyszył im tupot biegnących stóp.

Tylko tego mi było trzeba. Nocna Policja!

Promień światła przesunął się w moją stronę. Zwinnie wskoczyłem do otwartej paszczy plastikowego śmietnika. Głowa, tułów, kita – wszystko znikło w kryjówce, światło musnęło śmietnik i przemknęło dalej.

Teraz zjawili się ludzie. Biegli, krzyczeli, dmuchali w gwizdki. Zmierzali do miejsca, w którym zostawiłem dziewczynę i jej pomocników. Potem usłyszałem warkot, rozszedł się ostry zapach i przez noc w pościg rzuciło się coś, co mogło być dużym psem.

Hałasy ucichły. Lis siedział między cieknącą torbą ze śmieciami a skrzynką pełną pustych butelek i słuchał, strzygąc uszami. Krzyki i gwizdki coraz bardziej się oddalały, cichły – czworonogowi zdało się, że łączą się w jedno wściekłe wycie.

Potem wszystko umilkło. W uliczce zapanowała cisza.

Skulony lis leżał wśród nieczystości.

Arthur Underwood, czarodziej średniej rangi, pracował dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Był kłótliwym odludkiem; mieszkał tylko ze swoją żoną Martha w wysokim, starym domu w Highgate.

Nigdy nie miał ucznia i nigdy też nie chciał go mieć. Wystarczała mu własna praca. Wiedział jednak, że wcześniej czy później, tak jak na innych magów, i na niego przyjdzie czas, by przyjął pod dach jakieś dziecko.

Wreszcie nastąpiło to, co nieuchronne: pewnego dnia z Ministerstwa Pracy przyszedł list, a w nim prośba, której czarodziej tak się obawiał. Z ponurą rezygnacją Underwood postanowił spełnić swój obowiązek. Wyznaczonego popołudnia pojechał do ministerstwa odebrać delikwenta.

Wszedł po marmurowych schodach między dwiema granitowymi kolumnami i wkroczył do rozbrzmiewającego echem foyer. Było to rozległe pomieszczenie, nie wyróżniało się niczym szczególnym. Drewnianymi drzwiami po obu stronach cicho przechodzili urzędnicy, ich buty z godnością stuknęły w posadzkę. Zobaczył dwa wielkie posągi dawnych ministrów pracy, a między nimi biurko zawalone wysokimi stertami papierów. Podeszedł do niego. I kiedy się zbliżył, za zwałami dokumentów ujrzał twarz małego, uśmiechniętego urzędnika.

– Witam pana – usłyszał.

45

– Wiceminister Underwood. Przyszedłem odebrać swojego nowego ucznia.

– Ach... Tak. Czekalem na pana. Proszę tylko podpisać kilka dokumentów... – urzędnik zaczął szperać w stosie. – To trochę potrwa. Potem będzie pan mógł zabrać go z poczekalni.

– Go? A więc to chłopiec?

– Chłopiec, pięcioletni. Bardzo bystry, jeśli wierzyć testom. Pewnie teraz jest trochę zdenerwowany... – znalazł plik papierów i wyciągnął długopis zza ucha.

– Proszę postawić parafkę na każdej stronie i podpisać się tam, gdzie jest kropkowana linia...

Underwood machnął długopisem.

– Jego rodzice... Zwinęli się, prawda?

– Tak, proszę pana. Szybciej już chyba nie mogli. Tak jak zwykle: pieniądze w łapę i w nogi, jeśli wie pan, o co mi chodzi. Ledwie się zatrzymali, by się z nim pożegnać,

–A procedury bezpieczeństwa...?

–Usunięto i zniszczono jego metrykę urodzin, pouczono go też, by nikomu nie wyjawiał swojego imienia, by o nim zapomniał. Teraz oficjalnie nie istnieje. Może pan kształtować go od początku.

–Świetnie.

Wzdychając, Underwood nabazgrał ostatni podpis i oddał dokumenty.

–Jeśli to już wszystko, myślę, że czas go odebrać.

Przemierzył ciąg pogrążonych w ciszy korytarzy i przez ciężkie, wyłożone drewnem drzwi wszedł do jaskrawo pomalowanej izby, pełnej zabawek dla nieszczęśliwych dzieci. Tam, między szczerzącym zęby konikiem na biegunach a plastikową lalką – czarodziejem w śmiesznym, szpiczastym kapeluszu, odnalazł małego, bladego chłopczyka. Dzieciak jeszcze niedawno płakał, ale na szczęście już mu przeszło. Zaczerwienionymi oczyma spojrzał na maga obojętnie. Underwood chrząknął.

–Nazywam się Underwood, jestem twoim mistrzem. Właśnie zaczynasz

prawdziwe życie. Chodź ze mną.

Dzieciak głośno pociągnął nosem. Underwood zauważył, że podbródek małego niebezpiecznie zadrżał. Niechętnie złapał chłopca za rękę, postawił na nogi i zaprowadził rozbrzmiewającym echem korytarzem do zaparkowanego pod budynkiem samochodu.

W drodze powrotnej na Highgate mag parę razy próbował zagadać do chłopca, jednak odpowiadało mu tylko smutne milczenie. Niedobrze.

Parsknął, zirytowany, i dał spokój. Włączył radio, by poznać wyniki meczów krykieta. Dzieciak siedział cicho na tylnym siedzeniu ze wzrokiem wbitym w kolana.

Żona Underwooda przywitała ich w drzwiach. Trzymała tacę z ciasteczkami i parującym dzbankiem gorącej czekolady. Zaprowadziła chłopca do przytulnego salonu, gdzie w kominku wesoło trząsał ogień.

–Martho, nic z niego nie wydobędziesz – mruknął czarodziej. – Nie powiedział ani słowa.

–Dziwisz się? Małe, wystraszone biedactwo. Ja się nim zajmę.

Pani Underwood była drobną, pulchną kobietą o siwiuteńkich, krótko obciętych włosach. Posadziła chłopca na fotelu przed kominkiem, podsunęła mu ciasteczko. W ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

Minęło półtorej godziny. Pani Underwood paplała wesoło o wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy. Chłopiec wypił trochę czekolady, skubnął ciasteczko, ale wciąż milczał, gapiąc się w płomień. Wreszcie podjęła decyzję. Usiadła obok dzieciaka i go objęła.

–Kochanie – powiedziała. – Zawrzyjmy układ. Wiem, że kazano ci, byś

nikomu nie wyjawiał swojego imienia, ale dla mnie możesz zrobić wyjątek.

Nie zdołam cię poznać, jeśli będę do ciebie mówiła „chłopcze”, prawda? Jeśli

powiesz mi swoje imię, ja powiem ci swoje, w największym zaufaniu. Co ty

na to? Tak? Bardzo dobrze. Ja jestem Martha. A ty?...

Ciche pociągnięcie nosem, jeszcze cichszy głos:

–Nathaniel.

–To ładne imię, kochanie. Nie martw się, nikomu go nie zdradzę. Czujesz się już lepiej? No to, Nathanielu, zjedz jeszcze jedno ciasteczko i pokażę ci twój pokój.

Kiedy chłopczyk najadł się, umył i położył spać, pani Underwood poszła do męża, który pracował w gabinecie.

–Wreszcie zasnął – oznajmiła. – Nie byłabym zaskoczona, gdyby się okazało, że jest w szoku. I nic dziwnego, skoro porzucili go rodzice. To hańba wyrwać dziecko z domu w tak młodym wieku.

–Martho, tak się zawsze robi. Uczniowie skądś się muszą brać – mag znacząco skinął głową ku swej księdze.

Żona nie zrozumiała sugestii.

–Powinni mu pozwolić zostać z rodziną – mówiła dalej. – Albo przy najmniej czasem ją widywać.

Underwood ze znużeniem odłożył księgę na stół.

–Bardzo dobrze wiesz, że to niemożliwe. Imię nadane mu przy narodzinach powinno zostać zapomniane, inaczej przyszli wrogowie mogą obrócić je przeciw niemu. A jak mógłby o nim zapomnieć, gdyby kontaktował się z rodziną? Poza tym, nikt nie zmuszał rodziców, żeby rozstawali się ze swoim brzdącem, nie chcieli go, oto cała prawda, Martho, inaczej nie odpowiedzieliby na ogłoszenie. To proste. On wzięli odpowiednią sumę pieniędzy, on dostał szansę, by służyć swemu krajowi na najwyższym szczeblu, a rząd zdobył nowego ucznia. Każdy coś zyskał. Nikt nic nie stracił.

–Ale...

–Martho, ja nie mam nic przeciwko temu. – Pan Underwood sięgnął po książkę.

–To wszystko nie byłoby aż tak okrutne, gdyby magowie mogli mieć własne dzieci.

–Wtedy zwalczają się dynastie, dochodzi do rodzinnych sojuszy... i koniec końców do krwawych sporów. Martho, poczytaj książki historyczne: zauważ, co zdarzyło się we Włoszech. Nie martw się tym chłopcem. Jest młody. Szybko zapomni. A teraz może zrobiłabyś mi już kolację?

Dom maga Underwooda należał do tych budynków, które od strony ulicy mają skromną, wąską i elegancką fasadę, a w środku jest labirynt schodów i korytarzy. Miał pięć głównych kondygnacji: piwnicę pełną półek z winem, pudeł z pieczarkami oraz skrzynek suszonych owoców; parter: przedpokój, jadalnia, kuchnia i oszklona weranda; dwa piętra: łazienki, sypialnie i pracownie; a na samym szczycie strych.

Właśnie tam, pod stromo opadającym dachem z bielonych krokwi, był pokój Nathaniela.

Każdego ranka o świcie chłopca budził ptasi zgiełk – to gołębie siadały na dachu. Jeśli wszedł na krzesło, przez niewielki świetlik w suficie, mógł spoglądać na szary, obmywany deszczem Londyn. Dom stał na wzgórzu, więc widok był dobry; w piękne dni Nathaniel dostrzegał nawet maszt radiowy Crystal Palace, daleko na drugim krańcu miasta.

W sypialni stała tania szafa ze sklejki, komódka, biurko, krzesło i regał. Co tydzień pani Underwood wstawiała do wazonu świeże kwiaty z ogrodu.

Od tamtego pierwszego, nieszczęsnego dnia żona maga wzięła chłopca pod swoje opiekuńcze skrzydła. Lubiła Nathaniela i była dla niego miła. W domowym zaciszu często mówiła mu po imieniu – ku niezadowoleniu męża.

–Nie powinniśmy nawet znać imienia tego małego. To zabronione! Po co narażać go na niebezpieczeństwo? Kiedy skończy dwanaście lat i będzie pełnoletni, otrzyma nowe imię, pod którym już do końca życia będzie znany jako mag i jako człowiek. Tymczasem, to bardzo źle...

–Kto się dowie? – zaprotestowała. – Nikt. A biedne dziecko lepiej się przez to czuje.

Tylko ona używała imienia chłopca. Nauczyciele mówili do niego Underwood, bo tak nazywał się jego mistrz. A sam mistrz zwracał się doń „chłopcze”.

Nathaniel odwzajemnił życzliwość pani Underwood całkowitym oddaniem. Czekał na każde jej słowo i robił wszystko, co mu kazała.

Pod koniec pierwszego tygodnia pobytu w ich domu przyniosła mu do pokoju prezent.

–To dla ciebie. Trochę stare i ponure, ale myślę, że ci się spodoba.

Było to malowidło: statki żeglowały po wąskiej zatoce, a w tle ciągnęły się pola i łąki. Farba tak pociemniała ze starości, że zamazały się szczegóły, jednak Nathaniel od razu pokochał ten obraz. Patrzył, jak pani Underwood wiesza go na ścianie nad biurkiem.

–Nathanielu, kiedyś będziesz magiem – oznajmiła – a dla chłopca to największy przywilej. Twoi rodzice złożyli najwyższą ofiarę, oddając cię, by spełniło się twoje szlachetne przeznaczenie. Kochanie, nie płacz. Musisz być silny, starać się tak bardzo, jak tylko zdołasz, i uczyć się wszystkiego, co powiedzą ci nauczyciele. W ten sposób oddasz cześć sobie i swoim rodzicom. Podejdź do okna. Stań na krześle. I popatrz tam. Widzisz tę małą wieżę, daleko?

–Tamtą?

–Nie, to wieżowiec, kochanie. Tę małą, brunatną, po lewej? Właśnie. To siedziba parlamentu, kochanie. Najlepsi magowie rządzą tam Brytanią i naszym imperium. Pan Underwood wciąż tam chodzi. Jeśli będziesz pilnie pracował i robił wszystko, co nakaże ci twój mistrz, pewnego dnia ty też tam pójdziesz, a ja będę z ciebie bardzo dumna.

–Tak, pani Underwood.

Spoglądał na wieżę długo, aż rozboląły go oczy; dokładnie zapamiętał, gdzie się wznosi. Trafić do parlamentu... Pewnego dnia tak się stanie. Musi więc ciężko pracować i przynieść chlubę swej opiekunce.

Czas płynął i dzięki troskliwej opiece pani Underwood Nathaniel coraz mniej tęsknił za domem. Wspomnienia rodziców bladły, ból w sercu malał, aż wreszcie chłopiec prawie o nich zapomniał. Pomagała mu w tym surowa rutyna pracy i nauki, które pochłaniały cały jego czas i nie pozwalały na zbyt długie rozmyślania. W weekendy – taki ustalił się zwyczaj – pani Underwood budziła go, dwa razy pukając w drzwi sypialni, i wołała:

–Na schodach stoi herbata! Do buzi, nie na nogi!

To był rytuał, a wziął się stąd, że pewnego poranka chłopiec, chcąc zejść do łazienki, wytoczył się z pokoju i jeszcze zamroczony snem, stanął dokładnie na kubku – struga herbaty trysnęła prosto na ścianę półpiętra. Mijały lata, a złocista plama pozostała. Na szczęście mistrz się o tym nie dowiedział, bo nigdy nie wchodził na poddasze.

Nathaniel mył się w łazience piętro niżej, wkładał koszulę, szare spodnie, długie szare skarpety, eleganckie czarne buty, a w zimie, gdy w domu było chłodno, gruby, wełniany pulower. Cesał się starannie przed wysokim, łazienkowym lustrem i przypatrywał gapiącemu się nań odbiciu szczupłej i schludnej postaci. Potem tylnymi schodami wkraczał do kuchni, niosąc przybory do nauki. Kiedy pani Underwood przyrządzała płatki kukurydziane i tost, próbował dokończyć lekcje, których nie odrobił zeszłego wieczoru. Pani Underwood zwykle bardzo się wtedy starała mu pomóc.

–Azerbejdżan? Stolica to chyba Baku.

–Baku?

–No tak, sprawdź w atlasie. Po co się tego uczysz?

–Pan Purcell mówi, że muszę w tym tygodniu poznać Bliski Wschód, nauczyć się krajów i w ogóle wszystkiego.

–Nie bądź taki smutny. Tost gotowy. To ważne, żebyś się tego wszystkiego nauczył. Najpierw musisz poznać podstawy, potem przyjdzie czas na ciekawsze rzeczy.

–Ale to takie nudne.

–Wydaje ci się. Byłam w Azerbejdżanie. Baku to niby dziura, ale też liczący się ośrodek badań nad afrytami.

–Nad czym?

–Demonami ognia. Drugą najpotężniejszą formą duchów. W górach Azerbejdżanu żywioł ognia jest bardzo silny. To tam powstał zaraturstrianizm. Oni czczą boski ogień we wszystkich żywych istotach. Jeśli szukasz masła czekoladowego, jest za owsianką.

–Pani Underwood, czy widziała tam pani dżinny?

–Nathanielu, nie trzeba jechać do Baku, żeby zobaczyć dżinna. I nie mówi się z pełną buzią. Rozsypujesz okruchy po całym obrusie. Nie, dżinn sam do ciebie nie przyjdzie, zwłaszcza jeśli mieszkasz w Londynie.

–A kiedy zobaczę te fryty?

–Afryty. Niedługo, jeśli będziesz się starać. Teraz szybko kończ, bo pan Purcell będzie czekał.

Po śniadaniu Nathaniel zebrał podręczniki i ruszył na górę, do pracowni na pierwszym piętrze, gdzie rzeczywiście czekał już na niego pan Purcell. Nauczyciel był młodym mężczyzną o jasnych, rzadnych włosach, które często zaczesywał do tyłu, na próżno starając się ukryć łysiejące ciemię. Nosił szary, przyduży garnitur i okropne krawaty. Na imię miał Walter. Łatwo się irytował, a rozmowa z panem Underwoodem – czasem musiał z nim porozmawiać – przyprawiała go wręcz o rozstrój nerwowy.

A swoją frustrację wyładowywał na Nathanielu. Miał zbyt dobre serce, by być dla chłopca naprawdę brutalnym, nie pozwalało mu na to również jego zawodowe poczucie sprawiedliwości. Za to od razu wytykał chłopcu każdy błąd, szczerząc przy tym jak mały piesek.

Pan Purcell nie uczył Nathaniela magii. Zresztą nie znał się na czarach. Znał się jednak na czymś innym, przede wszystkim na matematyce, językach obcych – francuskim i czeskim – geografii oraz historii. Ważna była też polityka.

–Teraz, młody Underwoodzie – zwykł mawiać pan Purcell – powiedz mi, co jest głównym zadaniem naszego rządu?

Nathaniel spojrzał na niego tępo.

–No dalej, dalej!

–Rządzić nami, panie?

–Chronić nas. Nie zapominaj, że twój kraj prowadzi wojnę. Praga wciąż włada ziemiami na wschód od Czech, a my walczymy, by utrzymać jej armię z dala od Włoch. Żyjemy w niebezpiecznych czasach. Po Londynie krążą agitatorzy i szpiegdy. Jeśli imperium ma przetrwać, trzeba silnego rządu i silnych, pewnych siebie magów. Wyobraź sobie, co by się bez

nich dział!

To nie do pomyślenia: pospółstwo u władzy! Zapanowałby chaos, a wkrótce potem wroga inwazja. Przed anarchią bronią nas nasi przywódcy. A ty powinieneś dążyć do tego, by stać się jednym z nich. Członkiem rządu, który rządzi z honorem. Pamiętaj o tym!

–Tak, panie.

–Honor to najważniejszy przymiot maga – ciągnął pan Purcell. – Czarodziej włada wielką mocą i musi używać jej z rozwagą. W dawnych czasach podli magowie próbowali obalić państwo. Zawsze ich pokonywano. Dlaczego? Bo po stronie prawdziwych magów są cnota i sprawiedliwość.

–Panie Purcell, pan jest magiem?

Nauczyciel pogładził włosy i westchnął.

–Nie, Underwood. Ja... nie zostałem wybrany. Lecz wciąż służę najlepiej,

jak potrafię. Teraz...

–Więc należy pan do pospółstwa?

Purcell uderzył otwartą dłonią w stół.

–Bądź uprzejmy pamiętać, że to ja zadaję pytania! Weź kątomierz.

Zajmiemy się geometrią.

Wkrótce po ósmym urodzinach Nathaniel zaczął uczyć się chemii, fizyki i historii religii. Przyswajał też sobie języki uczonych: łacinę, aramejski i hebrajski. I tak od dziewiątej rano do lunchu; kiedy to schodził do kuchni, aby w samotności zjeść kanapki, które pani Underwood zostawiała mu pod wilgotną folią.

Plan popołudniowych zajęć różnił się w zależności od dnia. Dwa razy w tygodniu Nathaniel pracował pod okiem pana Purcella. Kiedy indziej, też dwa razy na tydzień, siedł na pływalnię, gdzie katował go ćwiczeniami krzepki mężczyzna z wąsami wygiętymi jak błotniki. Z rozwrzeszczaną grupką dzieciaków Nathaniel musiał pokonywać nieskończenie wiele długości basenu, i to różnym stylem. Zawsze brakowało mu odwagi i zdecydowania, by rozmawiać z kolegami, a oni wyczuwali, kim jest, i trzymali się na dystans. Kiedy skończył osiem lat, już otwarcie go unikali. Został sam.

W inne popołudnia uczył się muzyki (czwartek) i rysunku (sobota). Muzyki bał się jeszcze bardziej niż pływania. Uczył go jej pan Sindra, wybuchowy grubas o trzęsącym się podbródku, któremu chłopiec bacznie się przyglądał: jeśli drzenie się wzmagало, był to znak, że zbliża się

atak szału. Pan Sindra ledwie opanowywał wściekłość, kiedy Nathaniel za bardzo spieszył się ze swoimi gamami, źle odczytywał nuty albo psuł improwizację. A te trzy rzeczy zdarzały mu się często.

–Jak – wrzeszczał pan Sindra – jak zwabisz lamię takim brzdąkaniem? Jak?!

W głowie się nie mieści! Daj mi to! – wyszarpnął Nathanielowi lirę z ręki i oparł ją o swój okazały korpus.

Zamknął oczy w zachwycie i zaczął grać. W izbie rozległa się słodka melodia. Krótkie, grube palce śmigły po strunach jak tańczące parówki. Za oknem umilkły zasłuchane ptaki. Chłopcu łzy napłynęły do oczu. W myślach ujrzał obrazy przeszłości...

–Teraz ty!

Muzyka ucichła z drażniącym skrzekiem. Lira wróciła do Nathaniela. Zaczął chwytać struny, palce potykały się, błdziły – wiele ptaków aż pospadało z drzew. Policzki pana Sindry zatrzęsły się jak zimna tapioka.

–Ty idioto! Przestań! Chcesz, żeby lamia cię pożarła? Musisz ją oczarować, a nie doprowadzić do szału! Odłóż ten nieszczęsny instrument. Spróbujemy z dudami.

Dudy czy lira, chóralny śpiew lub uderzanie w sistrum – cokolwiek Nathaniel by zrobił, jego niezgrabne próby wywoływały tylko wrzaski wściekłości i rozpacz. Niczym to nie przypominało jego lekcji rysunku, które przebiegały miło i spokojnie pod okiem wiotkiej, łagodnej panny Lutyens. Z nią przynajmniej mógł swobodnie rozmawiać. Tak jak pani Underwood, nie podobało się jej, że chłopiec nie ma imienia. Poprosiła go, by je zdradził -zrobił to bez zastanowienia.

–Dlaczego – zapytał pewnego wiosennego popołudnia, kiedy siedli w pracowni, a świeży wietrzyk wpadał przez otwarte okno – dlaczego cały czas kopiuję ten trudny wzór? To takie nudne. Wolałbym raczej rysować ogród albo ten pokój, albo panią, panno Lutyens.

Uśmiechnęła się.

–Szkicować mogą sobie artyści, Nathanielu, albo bogate, młode kobiety, co to nie mają nic innego do roboty. Ty nie zostaniesz artystą ani bogatą, młodą

kobietą, więc powody, dla których trzymasz ołówek, są całkiem inne. Masz

być rzemieślnikiem, kreślarzem: musisz umieć przerysować każdy wzór, jaki

sobie zażyczysz, szybko, wiernie i przede wszystkim dokładnie.

Ponuro spojrział na papier leżący między nimi na stole. Był na nim wzór: gałęzie, kwiaty i listowie, a wśród nich zgrabnie wpasowane abstrakcyjne kształty. Chłopiec odtwarzał ten obrazek w szkicowniku, pracował już nad nim dwie godziny bez przerwy. Dotarł mniej więcej do połowy.

–To jakiś bezsens, i tyle – powiedział cicho.

–A jednak to ma sens – odparła panna Lutyens. – Pokaż mi swoją pracę. No, nieźle, Nathanielu, całkiem nieźle, ale nie sądzisz, że ta kopułka jest większa niż oryginał? Spójrz tu. Zostawiłeś dziurę w tej lodydze. Poważny błąd.

–Raptem mały błąd.

–Jeśli będziesz przerysowywał pentagram i czegoś nie dopracujesz, to co się stanie? Coś takiego może cię kosztować życie. Chyba jeszcze nie chcesz umierać, Nathanielu?

–Nie chcę.

–Dobrze. Po prostu nie wolno ci robić błędów. Bo inaczej oni cię dostaną. – Odchyliła się w fotelu. – Prawdę mówiąc, powinnam kazać ci narysować to od nowa.

–Panno Lutyens!

–Pan Underwood tego by właśnie oczekiwał – umilkła i zamyśliła się. – Ale z twojego bolesnego okrzyku wnioskuję, że bez sensu byłoby teraz oczekiwać, że za drugim razem zrobisz to lepiej. Skończymy na dziś. Może wyjdź do ogrodu? Chyba potrzebujesz świeżego powietrza.

Dla Nathaniela ogród za domem był schronieniem, oazą spokoju. Nie odbywały się tam żadne lekcje. Nic nie przywoływało przykrych wspomnień. Był długi i wąski, otaczał go wysoki mur z czerwonej cegły. Latem rosły tam różane pnącza, a sześć jabłoni zrzucało na trawnik białe płatki. Pośrodku pyszniły się dwa rododendrony – za nimi rozciągał się zakątek niewidoczny z okien. Wybujala trawa była wilgotna. Nad głową rozpościerał gałęzie kasztanowiec z sąsiedniego ogrodu, w cieniu pod murem stała kamienna ławka, zielona od mchu, a przy niej posąg mężczyzny z zygzakiem błyskawicy w ręku. Ubrany był w stylu królowej Wiktorii, miał gigantyczne bokobrody, wyrastające z policzków jak szczypcy chrabąszcza. Wyrzeźbioną postać podniszczyła zmienna pogoda i okrył cienki płaszcz mchu, ale wciąż były z niej energia i siła. Posąg fascynował Nathaniela. Chłopiec posunął się nawet do tego, że zapytał panią Underwood, kogo on przedstawia. Tylko się uśmiechnęła.

–Zapytaj mistrza – powiedziała. – On wie wszystko.

Nathaniel się nie ośmielił.

Ten zaciszny, położony na uboczu zakątek z kamienną ławą i rzeźbą nieznanego maga był miejscem, do którego chłopiec przychodził zawsze,

kiedy chciał uspokoić się przed lekcją z chłodnym i surowym czarodziejem.

9

Między szóstym a ósmym rokiem życia Nathaniel odwiedzał mistrza tylko raz w tygodniu. Z owymi spotkaniami, odbywającymi się w piątkowe popołudnia, wiązał się cały rytuał. Po lunchu chłopiec musiał iść na górę, umyć się i zmienić koszulę. Potem, dokładnie o 14.30, stawał pod drzwiami gabinetu Underwooda na parterze. Pukał trzy razy i czekał, aż głos z pokoju zaprosi go do środka.

Mistrz rozpiął się w wiklinowym fotelu przed oknem wychodzącym na ulicę. Twarz często skrywał mu cień, a światło wpadające przez okno rozpląwało się wokół niego. Kiedy Nathaniel wchodził, długa, szczupła ręka wskazywała mu poduszki ułożone wysoko na orientalnej kanapie przy przeciwległej ścianie. Chłopiec zdejmował jedną z nich i kładł na podłodze. Potem siadał z bijącym mocno sercem. W napięciu starał się wyłapać każdy niuans wypowiedzi nauczyciela, przerażony, że mógłby czegoś nie zrozumieć.

Początkowo mag zazwyczaj tylko wypytywał chłopca o postępy w nauce, zachęcał do rozmów o wektorach, algebrze i zasadach rachunku prawdopodobieństwa. Prosił, żeby, w skrócie opowiedział mu dzieje Pragi lub wymienił, po francusku, najważniejsze wydarzenia z okresu wypraw krzyżowych. To, co słyszał, niemal zawsze go zadowalało – Nathaniel był bardzo bystry.

Czasami mistrz nakazywał chłopcu umilknąć w samym środku wypowiedzi i sam zaczynał opowiadać o celach i ograniczeniach magii.

–Mag – mówił – jest powiernikiem mocy. Wyteżę swą wolę i dokonuje zmian. Może kierować się egoizmem albo szlachetnymi pobudkami. Wyniki jego działań mogą być złe lub dobre, ale tylko kiepski mag jest niekompetentny. Chłopcze, czym jest niekompetencja?

Nathaniel drgnął na poduszce.

–Utratą kontroli.

–Dobrze. Jeśli mag kontroluje potęgę, którą zaprzął do pracy, to jest... Jaki wtedy jest?

Chłopiec pokiwał się w tył i w przód. – Ee...

–Trzy „s”, chłopcze, trzy „s”. Zastanów się.

–Spokojny, skryty, silny

–Dobrze. Co jest największą tajemnicą?

–Duchy, panie.

–Demony, chłopcze. Nazywaj je po imieniu. O czym nie wolno zapomnieć?

–Demony są bardzo nikczemne. Zrobią krzywdę, jeśli tylko zdołają -Nathanielowi zadrżał głos.

–Dobrze, dobrze. Ależ masz świetną pamięć. Uważaj, jak wymawiasz słowa, już sobie wyobrażam, jak płacze ci się język. Błędne wymówienie jakiejś sylaby w złą porę może dać demonowi sposobność, której właśnie szuka.

–Tak, panie.

–Demony są wielką tajemnicą. Zwyczajni ludzie wiedzą o ich istnieniu i o tym, że możemy się z nimi porozumiewać. To dlatego tak się nas boją! Ale nie uświadamiają sobie całej prawdy, a mianowicie, że cała nasza moc pochodzi od demonów. Bez ich pomocy jesteśmy tylko odpustowymi magikami i szarlatanami. Naszą jedyną, wielką zdolnością jest umiejętność przywoływania ich i naginania do naszej woli. Jeśli robimy to dobrze, muszą nam służyć. Ale jeśli popełnimy choćby najmniejszy błąd, to spadną na nas i rozedrą na strzępy. Stąpamy po cienkiej linii, chłopcze. Ile masz lat?

–Osiem, panie. W przyszłym tygodniu skończę dziewięć.

–Dziewięć? Dobrze. W takim razie w przyszłym tygodniu zaczniemy twoją właściwą naukę magii. Pan Purcell stara się zapewnić ci fundamenty podstawowej wiedzy. Od tej pory będziemy spotykać się dwa razy w tygodniu, a ja zacznę wprowadzać cię w główne doktryny naszego bractwa. Dziś, na koniec, wyrecytuj alfabet hebrajski i pierwszy tuzin hebrajskich liczb. Zaczynaj.

Pod bacznym okiem swego mistrza i nauczycieli Nathaniel uczył się szybko. Lubił opowiadać pani Underwood o tym, czego dowiedział się każdego dnia,

i rozkoszować się ciepłem jej pochwał. Wieczorami wyglądał przez okno, ku odległemu, żółtemu blaskowi budynków parlamentu, i marzył o dniu, kiedy pójdzie tam jako mag, jeden z ministrów czcigodnego rządu.

Dwa dni po dziewiątych urodzinach chłopca mistrz przyszedł do kuchni podczas śniadania.

–Zostaw to i chodź ze mną – polecił.

Nathaniel ruszył korytarzem do pokoju, gdzie znajdowała się biblioteka czarodzieja. Underwood stanął obok szerokiego regału, zastawionego tomami wszelkich barw i rozmiarów, od ciężkich, wielce starożytnych leksykonów oprawnych w skórę, po żółknięte i wystrzępione tanie wydania z tajemniczymi znakami na grzbietach.

–Oto twoje lektury na najbliższe trzy lata – oznajmił, stukając w szczyt regału. – Zanim skończysz dwanaście lat, musisz zapoznać się ze wszystkim, co tutaj jest. Te książki napisano głównie w średnioangielskim, po łacinie, czesku i hebrajsku, choć znajdziesz też kilka koptyjskich prac o egipskich rytuałach związanych ze zmarłymi. Oto słownik koptyjskiego, do pomocy. Masz to wszystko przeczytać, nie mam czasu, by cię niańczyć. Pan Purcell zadba, byś odpowiednio poznał te języki. Zrozumiałeś?

–Tak, panie. Panie?

–Co, chłopcze?

–Panie, czy kiedy to wszystko przeczytam, będę wiedział już wszystko, czego potrzebuję? To znaczy, żeby być magiem. To chyba okropnie dużo czytania.

Mistrz parsknął, jego brwi uniosły się w górę.

–Spójrz za siebie – powiedział

Nathaniel odwrócił się. Za drzwiami stał regał, wysoki aż po sam sufit; były na nim setki książek, jedna grubsza i bardziej zakurzona od drugiej. Nawet nie otwierając, chłopiec domyślał się, że są to foliały wydrukowane maleńką czcionką, z dwoma kolumnami tekstu na każdej stronie. Przełknął ślinę.

–Przebrnij przez to – sucho stwierdził mistrz – a będziesz mógł sięgnąć po co

innego. Na tym regale są rytuały i inkantacje potrzebne do przyzywania

ważnych demonów, więc o nich zapomnij, póki nie jesteś nastolatkiem. Twój

regał – znów postukał w drewno – da ci podstawową wiedzę, a jak na teraz, to i

tak za wiele. Chodź za mną.

Ruszyli do pracowni, w której Nathaniel jeszcze nigdy nie był. Na poplamionych i brudnych półkach piętrzyło się mnóstwo butelek oraz fiolek wypełnionych różnokolorowymi płynami. W niektórych flaszach coś pływało. Chłopiec zastanawiał się, czy to właśnie grube, krzywe szkło butli sprawia, że owe rzeczy wyglądają na tak dziwne i zdeformowane.

Mistrz spoczął na taborecie przy prostym, drewnianym stole i gestem kazał chłopcu usiąść obok siebie. Pchnął ku niemu wąskie pudełko. Nathaniel je otworzył. W środku były okulary. Odległe wspomnienie sprawiło, że dzieciak się wzdrygnął.

–No, wyjmij je, chłopcze. Nie ugryzą cię. Dobrze. Teraz popatrz na mnie.

Spójrz mi w oczy. Co widzisz?

Nathaniel niechętnie spojrzał. Było mu bardzo trudno wpatrywać się w te przenikliwe brązowe oczy i dlatego całkiem ogłupiał. Nie dostrzegł niczego.

–No i?

–Ee, eee... przepraszam, ja nie...

–Przyjrzyj się okolicy moich tęczówek. Widzisz tam coś?

–Ee...

–Och, ty tępaku! – mistrz krzyknął ze złością i odciągnął dolną powiekę, pokazując czerwony spód.

–Nie widzisz tego? Soczewki, chłopcze! Soczewki kontaktowe! Dokoła środka oka! No, widzisz?

Nathaniel z rozpaczą spojrzał raz jeszcze i dostrzegł wreszcie niewyraźną, okrągłą krawędź, jakby kreskę narysowaną ołówkiem wokół tęczówki.

–Tak, panie – zapewnił gorliwie. – Tak, widzę to.

–Rychło w czas. Dobrze – mistrz z powrotem usiadł na taborecie. – Kiedy skończysz dwanaście lat, wydarzą się dwie ważne rzeczy. Po pierwsze, otrzymasz nowe imię, które przybierzesz jako własne. Dlaczego?

–By nie pozwolić, żeby demony zdobyły nade mną władzę, odkrywając imię, jakie nadano mi przy narodzinach, panie.

–Dobrze. Oczywiście wrodzy magowie są tak samo niebezpieczni. Po drugie, dostaniesz też

swoją parę soczewek, będziesz je nosił cały czas. Pozwolą ci przejrzeć różne demoniczne sztuczki. Aż do tego czasu będziesz jednak korzystał z tych okularów, ale tylko gdy otrzymasz takie polecenie, w żadnym wypadku nie wolno ci ich wynosić z tej pracowni. Zrozumiałeś?

–Tak, panie. W jaki sposób te okulary pozwalają wejrzeć w głąb rzeczy, panie?

–Kiedy demony się materializują, mogą przybrać każdy fałszywy kształt, nie tylko w tym wymiarze, ale także na innych płaszczyznach postrzegania. Niedługo będę cię o nich uczył. Teraz mnie o to nie pytaj. Niektóre potężniejsze demony mogą nawet stawać się niewidzialne. Ich nikczemne oszustwa nie mają granic. Soczewki, a w mniejszym stopniu okulary, pozwalają oglądać kilka planów egzystencji naraz, dają ci większe szanse przejrzenia demonicznych iluzji. Spójrz...

Mistrz sięgnął ku zagraconej półce za swymi plecami i wyciągnął dużą, szklaną butelkę, zacopowaną korkiem i woskiem. Wypełniał ją zielonkawy płyn, w którym pływał martwy szczur. Widać było brązową szczecinę i blade ciało gryzonia. Nathaniel się skrzywił. Underwood odwrócił się w jego stronę.

–Chłopcze, możesz mi powiedzieć, co to jest? – zapytał.

–Szczur, panie.

–Jaki?

–Brązowy. *Rattus nowegicus*, panie.

–Dobrze. Znasz łacińską nazwę. Bardzo dobrze. Całkowicie błędnie, a jednak dobrze. Bo to w ogóle nie jest szczur. Włóż okulary i popatrz raz jeszcze.

Nathaniel wypełnił polecenie. Okulary były chłodne i ciężkie. Zerknął przez cienkie, kwarcowe szkło, poczekał, aż wzrok się przyzwyczai. Kiedy znów spojrział na butlę, wzdrygnął się. Szczur znikł, zamiast niego zobaczył czerwono-czarnego stwora o gąbczastej paszczy, skrzydłach chrabąszcza i harmonijkowym podbrzuszu; miał otwarte oczy o bardzo przenikliwym spojrzeniu. Nathaniel zdjął okulary i jeszcze raz popatrzył. W konserwującym płynie unosił się teraz brązowy szczur.

–O rety – wykrztusił chłopiec.

Mistrz chrząknął.

–To Szkarłatna Zmora, złapana i zabutelkowana przez Instytut Medyczny Lincoln's Inn. Pomniejszy imp, ale znaczący roznosiciel chorób. Iluzję szczura potrafi stworzyć tylko na materialnym planie egzystencji. Wszędzie indziej widać jego prawdziwą naturę.

–Czy to nie żyje, panie? – zapytał Nathaniel.

–Hm? Nie żyje? Tak sędzę. Bo jeśli żyje, to na pewno jest bardzo wściekłe. Siedzi w tej

flaszki co najmniej pięćdziesiąt lat, odziedziczyłem to po swoim starym mistrzu. – Odstawił butlę na półkę. – Widzisz, chłopcze, nawet

najsłabsze demony są podłe, niebezpieczne i sprytne. Ani na chwilę nie można spuścić ich z oka. Popatrz na to.

Zza palnika Bunsena mag wyjął prostokątne szklane pudełko, które wyglądało tak, jakby nie miało wieczka. W środku wierciło się sześć malutkich stworzonek, nieustannie uderzając o ściany swego więzienia. Z daleka wyglądały jak owady, ale kiedy obaj przysunęli się bliżej, Nathaniel zauważył, że mają raczej za dużo nóg jak na insekty.

–Te kruszyny – powiedział mistrz – są zapewne najniższą formą demonów.

W ich przypadku właściwie nie ma co mówić o jakiegokolwiek inteligencji. Nie trzeba ci okularów, żebyś zobaczył je pod prawdziwą postacią. A jednak nawet one są groźne, jeśli odpowiednio ich się nie kontroluje. Widzisz te pomarańczowe żądła pod ogonami? Ich ukłucie powoduje bolesną opuchliznę, znacznie poważniejszą niż po użądleniu pszczoły albo szerszenia. To niezły sposób, żeby kogoś skarcić, na przykład jakiegoś irytującego rywala... Albo nieposłusznego ucznia.

Nathaniel patrzył na rozeźlone maleństwa, walące łebkami w szkło. Przytaknął gorliwie.

–Tak, panie.

–Podłe stworzenia – Underwood odsunął szkatułkę. – Choć każdemu z nich starczy wydać odpowiedni rozkaz, a będzie służyć i wykonywać polecenia. Na ich przykładzie widać więc, w najmniejszej skali, pryncypia naszej sztuki. Mamy niebezpieczne narzędzia, które musimy umieć kontrolować. A teraz zaczniemy się uczyć, jak się chronić.

Wkrótce Nathaniel zrozumiał, że minie jeszcze sporo czasu, zanim będzie mógł samodzielnie korzystać z owych narzędzi. Dwa razy w tygodniu chodził na lekcje u mistrza w jego pracowni i od miesięcy właściwie nie robił nic prócz notatek. Uczył się zasad rysowania pentagramów oraz sztuki kreślenia run. Uczył się też rytuałów oczyszczających, które mag musi odprawić, zanim zacznie przyzywać demona. W pocie czoła ucierał w moździerz pachnące mikstury, które miały zwabić demony lub je odstraszyc. Przycinał świece do różnych długości i ustawiał je w rozmaite wzory., A mistrz ani razu niczego nie przyzwał.

Chłopiec chciał szybko nauczyć się jak najwięcej, dlatego w wolnym czasie pochłaniał książki ze swego bibliotecznego regału. Zadziwił pana Purcella ogromnym

głodem wiedzy. Z wielkim wigorem pracował na lekcjach rysunku u panny Lutyens i przykładał się do ćwiczenia pentagramów, które teraz kreślił po baczonym okiem Underwooda. A przez cały czas okulary leżały na półce w pracowni i zbierał się na nich kurz. Panna Lutyens była jedyną osobą, której zwierzył się z tego, co go gryzie.

–Cierpliwości – powiedziała. – Cierpliwość to najwyższa cnota. Jeśli będziesz się spieszyć, to ci się nie uda. A porażka boli. Musisz zawsze się rozluźnić i skoncentrować na zadaniu, które masz przed sobą. Jeśli jesteś już gotów, chciałabym, żebyś naszkicował to znowu, ale tym razem z zawiązanymi oczyma.

Po sześciu miesiącach ćwiczeń Nathaniel po raz pierwszy oglądał przyzwanie. Złościł się, że tylko asystuje. Mistrz narysował pentagramy, w jednym miał stanąć uczeń. Nathaniel nie mógł nawet zapalić świec i, co gorsza, musiał zdjąć okulary.

–Jak ja coś zobaczę? – zapytał głosem bardziej nadąsanym niż podczas zwyczajowych rozmów z mistrzem. Jednak spojrzenie przymrużonych oczu natychmiast przywołało go do porządku.

Przyzwanie rozpoczęło się od wielkiego rozczarowania. Po inkantacjach, które, jak z radością zauważył, w większości już rozumiał, właściwie nic się nie stało. Przez pracownię przemknęła lekka bryza. Tylko ona zakłóciła ciszę i spokój. Pentagram nadal był pusty. Mistrz stał blisko z zamkniętymi oczyma, wyglądał, jakby spał. Nathaniel zaczął się nudzić. Zaczęły go też boleć nogi. Najwyraźniej żaden demon nie chciał tu przyjść. Nagle chłopiec ze zgrozą zobaczył, że w jednym z kątów pracowni przewróciło się kilka świec. Zapłonął od nich stos papierów i ogień zaczął się rozprzestrzeniać. Nathaniel krzyknął ostrzegawczo i zrobił krok...

–Zostań tam, gdzie jesteś!

Serce chłopca niemal stanęło ze strachu. Zastygł z uniesioną stopą. Mistrz otworzył oczy i spojrzał nań z wielką złością. Gromkim głosem dokończył słowa Odwołania. Ogień z kacie znikł, a razem z nim stos papierów, świece znów stały na swoich miejscach i spokojnie płonęły. Nathaniel zadrżał.

–Chciałeś wyjść z kręgu, prawda? – Jeszcze nigdy mistrz nie mówił tak zjadliwym tonem. – Mówiłem ci, że niektóre demony są niewidzialne.

One są mistrzami iluzji i znają tysiące sposobów na to, by cię zwieść i skusić. Jeszcze jeden krok i sam byś się zapalił. Przemyśl to, kiedy dziś wieczorem położysz się spać bez kolacji. Wracaj do swojego pokoju!

Następne przywołania były już mniej stresujące. Nathaniel, posługując się tylko zwykłymi zmysłami, oglądał demony, które przybierały setki mamiących kształtów. Objawiały się jako domowe zwierzęta – miauczące koty, psy o szeroko otwartych oczach, biedne, kulawe chomiki, które chłopiec chętnie by przytulił. Albo jako słodkie ptaszki, które skakały i kręciły dzióbkami tuż przy granicy kręgów. Raz z nicości spłynął deszcz kwiecia jabłoni i wypełnił pokój ciężkim zapachem, przyprawiając Nathaniela o senność.

Chłopiec uczył się opierać najróżniejszym pokusom. Niektóre niewidzialne duchy nękały go paskudnymi zapachami, tak że niemal dostawał mdłości. Inne wabiły piękną wonią, przypominającą mu pannę Lutyens albo panią Underwood. Jeszcze inne usiłowały przerazić go straszliwymi dźwiękami -szeptami lub bełkotliwym krzykiem. Słyszał niesamowite głosy, wzywające go błagalnym tonem, najpierw wysokie, potem coraz niższe i głębsze, by wreszcie zabrzmieć jak żałobny dzwon. Jednak nie zwracał na to wszystko uwagi i ani razu nie spróbował wyjść z kręgu.

Minął rok, zanim Nathaniel wreszcie mógł wkładać okulary podczas każdego przyzwania. Teraz oglądał wiele demonów w ich prawdziwej postaci. Niektóre, silniejsze, zachowywały iluzyjne kształty nawet na innych widzialnych planach. Chłopiec spokojnie, nie tracąc pewności siebie, przystosował się do tych denerwujących zmian w postrzeganiu. Stawał się coraz twardszy, odporniejszy, bardziej zdecydowany w działaniu i postanowieniach. Chciał tylko szybko robić postępy. Cały wolny czas spędzał, trudząc się nad nowymi manuskryptami.

Mistrz był zadowolony z osiągnięć ucznia, a Nathaniel, mimo że niecierpliwił się wolnym przebiegiem nauki, cieszył się tym, co już poznał. Ich wzajemne kontakty nie były specjalnie bliskie, jednak z pewnością przynosiły chłopcu pożytek. I mogłoby już tak zostać, gdyby nie pewien fatalny incydent, który zdarzył się latem przed jedenastymi urodzinami chłopca.

ftartimams

reszcie nadszedł świt. Na wschodnim nieboskłonie zamigotały pierwsze, nieśmiałe promienie słońca. Nad horyzontem, za doki, z wolna pojawiała się świetlna aureola. Już nie mogłem się jej doczekać.

Noc była dla mnie bardzo ciężka, nieraz doznałem ponizenia. Na przemian czałem się, wałęsałem i uciekałem – w takiej właśnie kolejności – przez chyba pół Londynu. Złapała mnie trzynastoletnia dziewczynka. Chowałem się w śmietniku. A teraz, jakby tego jeszcze nie było dosyć, kulilem się na dachu Westminsteru, udając gargulca. Już chyba gorzej dziać się nie mogło.

Promień słonecznego światła dotknął krawędź amuletu, zwisającego z mojej obrośniętej mchem szyi. Klejnot zabłysnął jasno jak szkło. Natychmiast zasłoniłem go szponami, bo przecież ktoś mógł mnie obserwować. Choć od jakiegoś czasu nikt mnie już nie niepokoił.

W śmietniku przesiedziałem kilka godzin, zdążyłem wypocząć, ale też przesiąknąć smrodem gnijących warzyw. Potem wpadłem na świetny pomysł, żeby stanąć na kamiennym gmachu opactwa. Tam chroniła mnie obfitość magicznych ozdób znajdujących się w budynku – znakomicie zagłuszały sygnał amuletu*.

Z Westminsteru dostrzegłem w oddali kilka kul tropiących, jednak żadna do mnie nie podlegała. Wreszcie noc dobiegła końca i magowie byli już znużeni. Kule na niebie zamigotały, obławę przerwano.

Wschodziło słońce, a ja niecierpliwie oczekiwałem przyzwania. Chłopiec mówił, że wezwie mnie o świcie, ale pewnie jeszcze spał – można się było tego spodziewać po leniwym podrostrku.

Rozmyślałem. Wydawało mi się oczywiste, że chłopcem manipulował dorosły mag, ktoś ukryty w cieniu, kto chciał zrzucić nań odpowiedzialność za kradzież. Nietrudno się było tego domyślić. Żaden tak młody dzieciak nie podjąłby się równie poważnego zadania wyłącznie z własnej chęci. Pewnie jakiś nieznany czarodziej chciał ugodzić Lovelace'a i zawładnąć mocami amuletu. Jeśli tak, to zaryzykował wszystko. Sądząc po skali pościgu, któremu właśnie umknąłem, strata artefaktu bardzo dotknęła wiele potężnych osobistości.

Już sam Simon Lovelace budził grozę. Choćby to, że zdołał wziąć na służbę – i w niej utrzymać – Faquarla i Jabora, wiele o nim mówiło. Nie chciałbym znaleźć się w skórze tego urwisa, jeśli mag go złapie.

No i jeszcze tamta dziewczyna, ta niemagiczka, której koledzy wytrzymali moją magię i przejrzeni moje czarodziejskie sztuczki. Coś podobnego przydarzyło mi się kilkaset lat temu,

więc natknięcie się na kogoś takiego tutaj, w Londynie, wzbudziło moje zaciekawienie. Zastanawiałem się, czy oni w ogóle rozumieli swoją moc. Dziewczyna chyba nawet dokładnie nie wiedziała, czym jest amulet; domyślała się tylko, że to jakaś cenna rzecz, którą warto mieć. Na pewno nie współdziałała ani z Lovelace'em, ani z chłopakiem. Dziwne... Skąd ona się w ogóle w tym wszystkim wzięła?

Och, zresztą to nie mój problem. Światło słońca dotarło już do dachu opactwa. Na chwilę z lubością rozprostowałem skrzydła.

* Niejeden wielki mag z XIX i XX wieku został po śmierci (a raz czy dwa niedługo przed nią) pochowany w Opactwie Westminsterskim. Prawie każdy zabrał do grobu jakiś potężny artefakt. Obnosił się w ten sposób z bogactwem i potęgą ale było to też marnotrawstwo magicznego przedmiotu. A także złośliwość wobec spadkobierców tego przedmiotu – magowie słusznie obawiali się rabowania grobów i zemsty nadprzyrodzonych sił.

I wtedy właśnie zostałem przyzwany.

Poczułem się tak, jakby nagle zaczepiło mnie tysiąc haczyków i jednocześnie wszystkie pociągnęły w różnych kierunkach. Gdybym zbyt długo się opierał, mógłbym zostać rozszarpany. Zresztą nie zależało mi na zwłoce. Chciałem oddać amulet i mieć już spokój.

Skwapliwie, z nadzieją, poddałem się wezwaniu. Znikłem z dachu...

...i natychmiast zjawilem się w pokoju chłopca. Rozejrzałem się.

–Dobrze, o co chodzi?

–Bartimaeusie, nakazuję ci powiedzieć, czy dobrze i do końca wypełniłeś powierzone ci zadanie...

–Oczywiście. Myślisz, że co to jest, plastikowa biżuteria? – Gargulcowym szponem wskazałem amulet, dyndający mi u szyi. Błysnął w drżącym blasku świec. – Amulet z Samarkandy. Należał do Simona Lovelace'a. Teraz należy do ciebie. Wkrótce znów będzie miał go Simon Lovelace. Weź go i pogódź się z konsekwencjami. Ciekawi mnie ten pentagram, który tutaj narysowałeś. Co to za runy? Ta dodatkowa linia?

Dzieciak dumnie wypiął pierś.

–To pentagram Adelbranda.

Gdybym się nie znał na takich jak on, przysięgłbym, że uśmiechnął się z wyższością, krzywiąc usta w grymasie niespotykanym u kogoś tak młodego.

Pentagram Adelbranda. To oznaczało kłopoty. Odegrałem całe przedstawienie, sprawdzając linie gwiazdy i kręgu, szukając maleńkich przerw albo źle narysowanych kresek. Potem jeszcze raz dokładnie przyjrzałem się runom i symbolom.

–Aha! – zagrzmiałem. – Narysowałeś to źle! Wiesz, co to znaczy, prawda?

Wyprężylem się jak kot gotowy do skoku.

Dzieciak poczerwieniał i zaraz pobladł, jego dolna warga zadrżała, wybałuszył oczy. Wyglądał, jakby chciał rzucić się do ucieczki, jednak tego nie zrobił. Mój plan zawiódł*. Chłopak obrzucił szybkim spojrzeniem litery na podłodze.

* Jeśli mag opuszcza pentagram w trakcie przyzwania, traci władzę nad swoją ofiarą. Miałem nadzieję, że w ten sposób zdołam stamtąd odejść. Czasem taki podstęp pozwala nawet wyjść z własnego pentagramu i dopaść czarodzieja.

–Niecny demonie! Pentagram jest mocny, trzyma cię pewnie!

–No dobrze, skłamałem – zmniejszyłem się. Kamienne skrzydła złożyłem na plecach. – Chcesz ten amulet czy nie?

–W... Włóż go do naczynia.

Na podłodze, między najdalszymi łukami obu kręgów, stała mała czarka ze steatytu. Zdjąłem amulet i z ulgą, jakby od niechcenia, cisnąłem go do niej. Chłopiec schylił się. Obserwowałem go uważnie kątem oka. Gdyby choć jedna stopa jednym palcem wyszła poza pentagram, dopadłbym brzdąca szybciej niż polująca modliszka.

Ale dzieciak znalazł się na rzeczy. Z kieszeni swojego niechlujnego płaszcza wyciągnął kijek, do którego przyczepiony był haczykowany kawałek drutu, podobny do rozgiętego spinacza biurowego. Po kilku ostrożnych szturchnięciach i szarpnięciach chłopiec zaczepił go o krawędź czarki, przysunął ją do swojego kręgu i uniósł amulet, marszcząc nos.

–Och, jak cuchnie.

–Nic mnie to nie obchodzi. Miej pretensje do Zakładów Kanalizacyjnych Rotherhithe. No i do siebie. Przez ciebie całą noc musiałem uciekać. Masz szczęście, że nie zanurzyłem się aż po głowę.

–Kto cię ścigał? – w jego głosie chyba usłyszałem podniecenie. Mały, źle reagujesz. Strach byłby bardziej odpowiedni.

–Połowa demonicznych hord Londynu – wywróciłem kamiennymi oczyma i klapnąłem szpiczastym dziobem. – Strzeż się, chłopcze, one już tu zmierzają, jak kruki. Oczy im się mienia żółto i chcą cię dopaść. W starciu z ich potęgą będziesz bezbronny i bez szans. Uratować cię może tylko jedno. Uwolnij mnie z tego kręgu, a ja pomogę ci umknąć przed ich wściekłością*.

–Masz mnie za głupca?

–Na to pytanie odpowiada już amulet w twoich rękach. Ale to nieważne. Wypełniłem polecenie, zadanie wykonane. Życzę sukcesów przez resztę twego krótkiego życia! – Zamigotałem i zacząłem nikać. Z podłogi wystrzelił drgający słup dymu, jakby chciał mnie połknąć. Ale to wszystko było tylko na pokaz. Pentagram Aldebranda trzymał mocno.

–Nie możesz odejść, albowiem mam jeszcze inne dla ciebie zadanie!

Bardziej niż niewola denerwowały mnie te archaizmy: „albowiem”,

„niecny demonie”. Kto to widział! Nikt już tak nie mówi od dwustu lat.

***To prawda. Zanim one by go dopadły, sam bym go zniszczył.**

Można pomyśleć, że chłopiec nauczył się na pamięć rytuałów z jakiejś starej księgi.

Ale poza tym miał rację. Większość zwykłych pentagramów zmusza do wykonania tylko jednego zadania. I po kłopotcie. W przypadku wielu zadań mag musi każdorazowo od początku powtórzyć przyzywanie. Pentagram Adelbranda pozwala jednak tego uniknąć; jego dodatkowe linie oraz inkantacje podwójnie zamykają drogę odwrotu, każą zostać na miejscu i oczekiwać dalszych rozkazów. Trzeba wypowiedzieć skomplikowane zaklęcie, które wymaga skupienia i wytrzymałości dorosłej osoby – to zachęciło mnie do następnego ataku.

Pozwoliłem, by dym się rozwiął.

–Więc, gdzie on jest?

Chłopiec wciąż obracał amulet w bladych dłoniach. Spojrzał na mnie, jakby mnie nie widział.

–Kto gdzie jest?

–Szef, twój mistrz, *eminence grise*, szara eminencja. Ten, kto namówił cię do tej drobnej kradzieży, kto nauczył cię, co masz mówić i rysować. Ten, kto bezpiecznie pozostanie w cieniu, kiedy dzinny Lovelace'a będą rzucały twoje okaleczone zwłoki na londyńskie dachy. On gra w jakąś grę, o której ty nic nie wiesz, korzysta z twojej ignorancji i młodszej próżności.

Zabolało. Chłopiec lekko się skrzywił.

–Zastanawiam się, co ci takiego powiedział – przybrałem ojcowski, śpiewny ton. – „Dobra robota, przyjacielu, jesteś najlepszym młodym czarodziejem, jakiego spotkałem. A może chciałbyś przywołać potężnego dzinna? No, chciałbyś? To czemu by tego nie zrobić? A przy okazji możemy spłatać komuś psikusa. Wiesz, ukraść taki jeden amulet...”

Chłopiec się roześmiał. Tego się nie spodziewałem. Oczekiwałem wybuchu wściekłości albo oznak niepokoju. Ale nie, on się tylko śmiał.

Jeszcze raz obrócił amulet w palcach, potem schylił się i włożył go do czaruki. Tego również się nie spodziewałem. Używając kijka z hakiem, wypchnął naczynie z kręgu, na miejsca, gdzie wcześniej stało.

–Co robisz?

–Oddaję to.

–Ja go nie chcę.

–Podnieś amulet.

Nie miałem zamiaru wyklócać się z jakimś dwunastolatkiem, szczególnie takim, który mógłby mi narzucić swoją wolę, sięgnąłem więc poza krąg i uniosłem amulet.

–Co teraz? Wiesz, że gdy zjawi się tu Simon Lovelace, nie będę tego kurczowo trzymać. Od razu mu to oddam, z uśmiechem, i jeszcze mu pomacham. I pokażę, za którą kotarą się chowasz, trzęsąc się ze strachu.

–Czekaj.

Chłopiec wyciągnął jakąś błyskotkę z wewnętrznej kieszeni swojego obszernego płaszcza. Czy wspomniałem już, że ten płaszcz był na niego trzy razy za duży? Kiedyś nosił go chyba jakiś bardzo nieostrożny mag, bo mimo upływu lat wciąż widać był na nim wyraźne ślady ognia, krwi i szponów. Życzyłem dzieciakowi podobnego losu.

Teraz smyk trzymał w dłoni jaśniejący dysk – magiczne zwierciadło z wypolerowanego mosiądzu. Kilka razy poglądził je prawą dłonią i w skupieniu spojrział na swoje odbicie w metalu. Nie wiem, jakiego impa schwymano i zaklęto w tym dysku, jednak odpowiedział błyskawicznie. Byłem zbyt daleko, aby go zobaczyć, ale nim odszedł, zdołałem trochę się rozejrzeć.

Jego pokój... Chciałem znaleźć w nim coś, co zdradziłoby tożsamość chłopaka. Może jakieś zaadresowane do niego listy albo plakietkę z nazwiskiem, przypinaną do płaszcza. Zwykle taki pogląd dawał niezłe efekty. Oczywiście, nie liczyłem, że poznam jego prawdziwe imię – aż takim optymistą nie jestem – ale na początek starczyłoby chociaż oficjalne*. Jednak szczęście mi nie dopisało. Najbardziej prywatną, intymną i zawierającą najwięcej informacji rzecz w pokoju – jego biurko – starannie okryto grubym, czarnym sukniem. Szafa w kącie była zamknięta. Komoda też. A wśród rozrzuconych w nieładzie świec stał popękany szklany

* Wszyscy magowie mają dwa imiona, imię oficjalne i to, które przy narodzinach nadali im rodzice, a ponieważ jest ono ściśle powiązane z ich prawdziwą naturą oraz istotą, stanowi źródło wielkiej siły oraz wielkiej słabości. Starają się trzymać je w tajemnicy przed wszystkimi. Gdyby bowiem poznał je nieprzyjaciel, mógłby zdobyć władzę nad czarodziejem; sam czarodziej postępuje podobnie z dzinnem, którego może przyzywać właśnie dzięki znajomości jego praw-go imienia. Magowie dobrze więc ukrywają owe imiona, a gdy osiągną pełnoletność, zastępują je oficjalnymi. Znajomość tego drugiego imienia też się przydaje – ale znacznie, znacznie lepiej poznać sekretne.

wazon ze świeżymi kwiatami. Dziwne. Chłopiec sam go tutaj raczej nie postawił. Zatem ktoś go lubił.

Dzieciak przesunął dłonią po zwierciadle, powierzchnia lustra zmętniała. Schował dysk do kieszeni, potem nagle na mnie spojrział. Uch, och. Teraz się zacznij.

–Bartimaeusie – przemówił. – Nakazuję ci zabrać amulet zwany Amuletem z

Samarkandy i ukryć go w gabinecie czarodzieja Arthura Underwooda,

schować tak, by on tego nie zauważył, i uczynić to tak skrycie, żeby nikt, ani

człowiek, ani duch, na tym planie ani na żadnym innym nie widział cię, jak

wchodzisz i wychodzisz. Nakazuję ci też, byś potem wrócił do mnie

natychmiast, po cichu i niewidzialny, by oczekiwać na następne rozkazy.

Kiedy skończył, był siny na twarzy, bo wszystko to powiedział na jednym

oddechu*. Moje oczy rozjarzyły się pod kamiennymi brwiami.

–Bardzo dobrze. Gdzie mieszka ten nieszczęsny czarodziej? Chłopiec uśmiechnął się lekko.

–Piętro niżej.

11

iętro niżej... A to dopiero. – Wrabiasz swojego mistrza, prawda? Brzydko. – Nie wrabiam go. Po prostu chcę, by to było bezpieczne, chronione przez wszystko, co on tam ma. Nikt tam tego nie znajdzie – przerwał. – A jeśli znajdzie...

* Sztuczka warta uwagi, zwłaszcza gdy ma się do czynienia z tak subtelnymi, inteligentnymi istotami jak ja. Często bowiem przerwę dla nabrania oddechu można zinterpretować jako koniec zdania, co albo wypacza znaczenie rozkazu, albo też zamienia go w bełkot.

69

–To ty będziesz czysty. Sztuczka typowa dla magów. Uczysz się szybciej, niż można by się spodziewać.

–Nikt tego nie znajdzie.

–Tak myślisz? Zobaczymy.

Ale nie mogłem spędzić całego dnia na takich pogaduszkach. Zaczarowałem amulet urokiem, na jakiś czas uczyniłem go małym i nadałem mu wygląd zwiewnej pajęczyny. Potem prześlizgnąłem się dziurą po sęku w desce, jako mgła sunąłem kawałek po pustej podłodze, wreszcie pod postacią pająka ostrożnie, przez szczelinę w suficie, zszedłem piętro niżej.

Znalazłem się w pustej łazience. Drzwi były otwarte. Ruszyłem ku nim po tynku tak szybko, jak tylko pozwalały mi na to moje cztery pary nóg. Krzywiłem szczękoczułki, wspominając tupet tego chłopaka.

Wrabianie innego maga: nie, to mnie nie dziwiło. Oni często tak postępują, ciągle ze sobą walczą*. Ale wrabianie własnego mistrza było już czymś niezwykle – a szczerze mówiąc, zdumiewającym u małego, dwunastoletniego czarodzieja. Oczywiście, w wieku dojrzałym czarodzieje biją się z zadziwiającą wręcz regularnością, ale przecież nie robią tego, gdy zaczynają karierę, gdy dopiero pobierają nauki.

A skąd miałem pewność, że mag, o którym rozmawialiśmy, był jego mistrzem? Otóż, jeśli nie porzucono dawnych praktyk i czeladników nie wozi się busem do szkoły z internatem – to raczej mało prawdopodobne – to właściwie nie ma nawet czego wyjaśniać. Czarodzieje, spragnieni mocy tak jak skąpiec pragnie złota, hołubią wiedzę w swych małych, wyschniętych sercach i dzielą się nią niewielkimi porcjami. Od czasów medyjskich magów uczniowie zawsze żyli samotnie w domach mentorów – jeden mistrz miał tylko jednego podopiecznego,

*** Magowie to najbardziej podstępni, zazdrośni i obłudni ludzie na świecie. Liczy się dla nich tylko władza, sami chcą ją sprawować, szukają więc każdego sposobu, by pognębić rywali. Mówiąc wprost, około osiemdziesięciu procent przy-zwań spowodowane jest jakimś świństwem albo próbą obrony przed nim. Dla porównania, większość konfrontacji między duchami nie wynika z żadnych osobistych pobudek, po prostu dlatego że powodem walk nie jest nasza wolna wola. Na przykład, w tej chwili nie czułem jakiejś specjalnej niechęci do Faquarla. No, skłamałem – nie cierpiałem go, ale teraz nie bardziej niż do tej pory. W każdym razie nasza wzajemna niechęć narastała przez wiele stuleci, wręcz tysiącleci. Magowie sprzecząją się dla zabawy. My naprawdę musimy nad tym popracować.**

nauczał go po kryjomu i w sekrecie. Od zikkuratu do piramidy, od świętego dębu po drapacz chmur, choć upłynęły cztery tysiące lat, nic się nie zmieniło.

Podsumowując: miałem wrażenie, że aby ratować własną skórę, niewdzięczne dziecko podejmuje ryzyko ściągnięcia na głowę niewinnego mistrza gniewu potężnego maga. Mały naprawdę mnie zaskoczył. Nawet jeśli działał w zмовie z dorosłym – zapewne wrogiem swojego nauczyciela – jak na kogoś tak młodego jego plan był nad podziw sprytny.

Stąpając ostrożnie, wyszedłem za drzwi. I ujrzałem mistrza we własnej osobie.

Nigdy nie słyszałem o czarodzieju Arthurze Underwoodzie. Dlatego uznałem go za jakiegoś pomniejszego magika; amatora, który nigdy nie odważył się zakłócić spokoju takich wyższych bytów jak ja.

I rzeczywiście, kiedy przeszedł pode mną, zmierzając do łazienki -doskonale pasował mi do wizerunku drugorzędного maga. Zwłaszcza że wyglądał tak, jak wedle popularnych wyobrażeń powinien wyglądać wielki czarodziej: grzywa rozczochranych włosów barwy popiołu z papierosa, długa, siwawa broda, stercząca niczym dziób okrętu, i bardzo krzaczaste brwi*. Mogłem sobie wyobrazić, jak przechadza się ulicami Londynu w czarnym welwetowym garniturze, a nawet w eleganckiej pelerynie z włosami powiewającymi w sposób godny mistrza sztuk tajemnych i wymachuje laską o złotej gałce. On naprawdę mógł tak wyglądać i robić wrażenie na przechodniach; inaczej teraz, kiedy widziałem, jak pod pachą trzyma zwiniętą gazetę, mozoli się z guzikami piżamy i drapie po pewnej części ciała.

–Martha! – krzyknął, zanim zamknął drzwi do łazienki.

Z sypialni wyłoniła się niska, krągła kobieta, na szczęście ubrana.

–Tak, kochanie?

–Czy nie mówiłaś, że ta pani tu wczoraj sprzątała?

–Tak, sprzątała, kochanie A co się stało?

–Pośrodku sufitu wisi odrażająca pajęczyna, a w niej czai się okropny pajak. Paskudztwo. Powinniśmy ją za to wyrzucić z pracy.

* Pomniejsi magowie zadają sobie wiele trudu, aby upodobnić się do tradycyjnego wizerunku czarnoksiężnika. Dla kontrastu naprawdę potężni czarodzieje z lubością upodabniają się do księgowych.

–Och, niech spojrzę. Rzeczywiście. Nie martw się. Rozmówię się nią. Zaraz wezmę ściereczkę do kurzu i ściągnę tę pajęczynę.

Wielki mag mruknął i zamknął drzwi. Kobieta przepraszająco skinęła głową i nucąc wesoło, odeszła. „Okropny” pająk zrobił bardzo brzydki gest dwiema nóżkami i ruszył wzdłuż sufitu, ciągnąc za sobą nić.

Biegłem tak przez kilka minut, aż wreszcie znalazłem wejście do gabinetu, u dołu krótkich schodów. I tam się zatrzymałem. Przed intruzami drzwi chronił amulet, pięcioramienna gwiazda. Proste zabezpieczenie. Wyglądała, jakby namalowano ją łuszczącą się czerwoną farbą. Ale jeśli ktoś nieostrożny otworzyłby drzwi, zadziałałaby pułapka: malowidło przybrałoby swój oryginalny kształt – kuli ognia, odbijającej się od ścian.

Brzmi nieźle, ale tak naprawdę to było prościutkie, wręcz podstawowe zabezpieczenie. Mogło przerazić ciekawską pokojówkę, ale nie Bartimaeusa. Otoczyłem się Tarczą, małym pazurkiem dotknąłem podstawy drzwi i natychmiast odskoczyłem na metr.

Wewnątrz czerwonych linii tworzących pięcioramienną gwiazdę pojawiły się cienkie pomarańczowe smugi. Przez sekundę linie mknęły, jakby były płynem, obiegając całą gwiazdę. Nagle z najwyższego jej punktu wystrzelił strumień ognia, odbił się od sufitu i skierował w dół, prosto na mnie.

Byłem gotów na cios w Tarczę, ale nie nastąpił. Płomień mnie wyminął, uderzył w nić, którą prządzę... a pajęczyna wessała go, wyciągając ogień jak sok przez słomkę. W jednej chwili było po wszystkim. Płomień znikł w pajęczynie, lecz jej nie ogrzał.

Rozejrzałem się wokół zaskoczony. W drewniane drzwi do gabinetu wtopiona była teraz węglisczarna gwiazda. Kiedy na nią patrzyłem, zaczęła z wolna czerwienieć – znak nabierał mocy przed spotkaniem z kolejnym intruzem.

Nagle zrozumiałem, co się stało. Oczywiście. Amulet z Samarkandy, jak zwykle amulety, chronił noszącą go osobę*. Fantastycznie ją ochronił.

* Amulety mają za zadanie chronić i odpierają zło. Same są bierne i choć potrafią wchłaniać albo odbijać wszelką niebezpieczną magię, ich właściciel nie może sprawować nad nimi aktywnej kontroli. Są zatem czymś przeciwnym do talizmanów, które posiadają aktywne moce magiczne, a właściciele używają ich według uznania. Na przykład podkowa to (prymitywny) amulet. Siedmiomilowe baty są zaś talizmanem.

Z łatwością wchłonął energię znaku. Zdjąłem Tarczę i precyzyjnie się pod drzwiami do gabinetu Underwooda.

A tam na żadnym z planów nie znalazłem ani jednej pułapki, kolejny znak, że ten czarodziej zajmował niską pozycję w hierarchii – przypomniałem sobie sieć zabezpieczeń, którą upłócił Simon Lovelace, a którą rozerwałem z taką nonszalancją. Jeśli chłopiec sądził, że amulet będzie bardziej bezpieczny u jego mistrza, znowu się pomylił. Pokój był schludny, choć zakurzony. Pośród różnych rzeczy spostrzegłem kredens zamykany na klucz – pewnie w nim trzymano kosztowności. Wszedłem przez dziurkę od klucza, ciągnąc za sobą pajęczynę.

I rzuciłem słabą Iluminację. Na trzech szklanych półkach zobaczyłem starannie ułożony, beznadziejny zbiór magicznych ozdób. Niektóre, jak Cygański Trzos z tajną kieszonką powodującą „znikanie” monet, szczerze mówiąc w ogóle nie były magiczne. Jeszcze bardziej utwierdziłem się w przekonaniu, że mam do czynienia z jakimś drugorzędnym magiem. Omal nie pożałowałem tego starego niedojdy. Przez wzgląd na niego miałem nadzieję, że Simon Lovelace nigdy tu nie przyjdzie.

W kredensie przy tylnej ścianie stał jawajski totem w kształcie ptaka, dziób i pióra miał szare od kurzu. Pewnie Underwood nigdy go nawet nie dotykał. Rozpostarłem pajęczynę między sakiewką a króliczą łapką i ukryłem ją za totemem. Dobrze. Nikt jej nie znajdzie, chyba że dokładnie poszuka.

Zdjąłem urok z amuletu, przywracając mu normalne kształty.

Tak wykonałem swoje zadanie. Pozostało mi już tylko wrócić do chłopca. Bez problemu wyszedłem z kredensu i gabinetu.

I właśnie wtedy zrobiło się ciekawie.

Zmierzałem do pokoju na poddaszu – oczywiście po skośnym suficie nad schodami – kiedy to, nieoczekiwanie, chłopiec mnie minął. Szedł na dół za żoną maga, wyglądał na zdenerwowanego – chyba właśnie wezwano go z jego pokoju.

Fantastycznie. Sytuacja nie była dla niego dogodna, widziałem, że i on o tym wie. Zdawał sobie sprawę, że jestem gdzieś niedaleko. I że wrócę, bo otrzymałem rozkaz: „Wróć do mnie natychmiast, po cichu i niewidzialny, by oczekiwać na następne rozkazy”. Domyślił się, że mogę go teraz śledzić, nasłuchiwać i przypatrywać się, chcąc poznać go lepiej, a on nie może nic na to poradzić, dopóki nie wróci do pokoju i ponownie nie stanie wewnątrz pentagramu.

Jednym słowem, sytuacja wymknęła mu się spod kontroli, a to niebezpieczne dla maga.

Okręciłem się wokół własnej osi i niecierpliwie ruszyłem jego śladem. Zgodnie z poleceniem,

kiedy się skradałem, nikt mnie nie słyszał ani nie widział.

Kobieta zaprowadziła chłopca do drzwi na parterze.

–Tutaj, kochanie – powiedziała.

–Dobrze – odparł. Głos miał łagodny i przygnębiony, taki, jaki lubię. Weszli do środka, kobieta pierwsza, dzieciak za nią. Drzwi zamknęły się tak szybko,

że musiałem błyskawicznie utkać kilka nitek, by prześlizgnąć się przez zmniejszającą się szczelinę. Był to iście kaskaderski wyczyn, aż szkoda, że nikt go nie oglądał. Ale przecież miałem być „cichy i niewidzialny”.

Znalazłem się w ponurej jadalni. Mag, Arthur Underwood, siedział sam u szczytu ciemnego, połyskliwego stołu, pod ręką miał filiżankę, spodek i srebrny dzbanek z kawą. Czytał gazetę, złożona na pół, opierała się o blat. Kiedy kobieta i chłopiec weszli, podniósł ją, rozłożył, z szelestem przewrócił stronę i znów złożył wszystko na pół. Nie podniósł wzroku.

Kobieta podeszła do stołu.

–Arthurze, przyszedł Nathaniel – powiedziała.

Pająk wycofał się do ciemnego kąta nad drzwiami. Słyszac te słowa, zamarł bez ruchu, jak to pająk. Jednak cały aż drżał.

Nathaniel! Dobrze! Jak na początek.

Miło było patrzeć, jak chłopiec się krzywi i łypie oczyma, pewnie zastanawiając się, czy jestem gdzieś w pobliżu.

Mag nie dał po sobie poznać, czy coś usłyszał, wciąż pochłonięty lekturą gazety. Jego żona próbowała ułożyć żaloszny bukiet zeschniętych kwiatów na gzymsie kominka. Już się domyślałem, kto postawił wazon w pokoju chłopca. Martwe kwiaty dla męża, świeże dla ucznia – ciekawe.

Underwood znowu rozłożył gazetę, przewrócił stronę, rozpostarł ją i wrócił do lektury. Chłopiec czekał w ciszy. Teraz, kiedy nie byłem już w kręgu, a więc nie podlegałem bezpośredniej władzy tego dzieciaka, skorzystałem z okazji, by spokojnie mu się przyjrzeć. Włosy miał wilgotne, zaczesane do tyłu, pod pachą trzymał plik papierów. Uosabiał pokorny szacunek.

Nie miał znaków charakterystycznych – żadnych pieprzyków, blizn... Włosy ciemne i proste, twarz pociągła. Skóra bardzo blada. Przypadkowemu

obserwatorowi wydałby się zwyczajnym chłopcem. Jednak moje mądrzejsze i bardziej cyniczne oko wyłowiło jeszcze inne cechy: przebiegłe, wyrachowane spojrzenie; palce, niecierpliwie stukające w plik papierów; i przede wszystkim twarz, która w subtelnym grymasie mogła szybko przybrać wyraz, jakiego akurat oczekiwano. Teraz stała się uległa i skupiona, by zadośćuczynić próżności starca. Jednocześnie chłopiec rozglądał się po pokoju – szukał mnie.

Ułatwiłem mu zadanie. Kiedy spojrzał w moją stronę, przebiegłem kawałek po ścianie, pomachałem odnóżami, wesoło zakręciłem odwołkiem. Od razu mnie zauważył, zbladł jeszcze bardziej i przygryzł wargę. Nie mógł nic zrobić i się przy tym nie zdradzić.

W samym środku tego tańca Underwood nagle chrząknął z pogardą i wierzchem dłoni klepnął w papier.

–Popatrz, Martho – powiedział. – Ta orientalna szmira Makepeace'a cieszy się wielkim powodzeniem. *Łabędzie Arabii...* Słyszałaś kiedyś o czymś tak sentymentalnym i pretensjonalnym? A jednak wykupiono wszystkie bilety, aż do końca stycznia! Niesamowite.

–Wykupiono wszystkie? Och, Arthurze, tak właściwie to chciałabym pójść...

–I cytuję: „...piękna misjonarka z Chiswick zakochuje się w śniadym

dżinnie...” – To nie tylko romantyczne bzdury, to piekielnie niebezpieczne.

Wprowadza ludzi w błąd.

–Och, Arthurze...

–Martho, widziałaś dżinny. A widziałaś jakiegoś o „mrocznych oczach, co przyprawiają o żywsze bicie serca?” O skurcze żołądka, owszem.

–Na pewno masz rację, Arthurze.

–Makepeace powinien lepiej się na tym znać. To skandal. Zrobiłbym coś z tym, ale on jest za blisko premiera.

–Tak, kochanie. Chcesz jeszcze kawy?

–Nie. Premier powinien raczej wspomagać mnie, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, a nie chodzić na rauty. Martho, znowu cztery kradzieże, cztery w ostatnim tygodniu. I to cennych przedmiotów. Mówię ci, schodzimy na psy.

Underwood uniósł dłonią wąsy i z wprawą przytknął usta do brzegu filiżanki. Pił długo i głośno.

–Martho, jakie to zimne. Mogłabyś przynieść jeszcze kawy?

Żona czarodzieja z ochotą pospieszyła wykonać polecenie. Kiedy wyszła, mag odłożył gazetę na bok i wreszcie raczył dostrzec ucznia.

–No to przyszedłeś, co? – burknął.

Chłopiec, choć zdenerwowany, odparł spokojnie:

–Tak, panie. Posłał pan po mnie.

–W rzeczy samej. Rozmawiałem z twoimi nauczycielami i poza panem Sindrą wszyscy wystawili ci dobre noty.

Uniósł dłoń, by chłopiec nie dziękował.

–Bóg wie, że nie zasłużyłeś na nie po tym, co było w zeszłym roku. Jednak mimo pewnych braków, na które stale zwracałem ci uwagę, w podstawowych sprawach dokonałeś postępu. Zatem... – zawiesił dramatycznie głos – chyba nadszedł czas, byś sam poprowadził swoje pierwsze przyzwanie.

Wypowiedział te słowa głośno i powoli, po to, by zrobić wrażenie na chłopcu. Jednak Nathaniel, jak teraz z przyjemnością go nazywałem, był nieobecny duchem – jego myśli zaprzętał pewien pająk.

Widząc to, Underwood zastukał w blat, chcąc zwrócić na siebie uwagę.

–Posłuchaj, chłopcze! – powiedział. – Jeśli niepokoi cię już sama perspektywa przyzwania, to nigdy nie zostaniesz magiem. Dobrze przygotowany mag nie lęka się niczego. Rozumiesz?

Chłopiec zebrał się w sobie i skoncentrował na tym, co mówił mistrz.

–Tak, panie. Oczywiście.

–Będę przy tobie podczas całego przyzwania, w sąsiednim kręgu. Mogę wykorzystać z tuzin zaklęć ochronnych i sproszkowany rozmaryn. Zaczniemy od uroczego demona: ropucha*. Jeśli ci się uda, przejdziemy do moulera**.

Underwood był wyjątkowo mało spostrzegawczy – nawet nie zauważył pogardy, która błysnęła w oczach chłopca. Słyszał tylko stonowany głos, gorliwie powtarzający:

–Tak, panie. Nie mogę już się doczekać.

–Znakomicie. Masz już swoje soczewki?

*** Ropuch – spokojna istota, która przyjęła wygląd i zwyczaje bardzo powolnej ropuchy.
Mouler to istota jeszcze bardziej powolna od ropucha, jeśli to w ogóle możliwe.**

–Tak, panie. Przyszły w zeszłym tygodniu.

–Dobrze. Musimy zrobić coś jeszcze, chodzi o...

–Drzwi, panie?

–Nie przerywaj mi, chłopcze. Jak śmiesz? Chodzi o wybór twojego oficjalnego imienia. Jeżeli jeszcze raz będziesz taki bezczelny, zrezygnuję z tego. Więc dziś po południu, po lunchu, przyniesiesz mi do biblioteki *Almanach Imion Loewa* i razem coś wybierzemy.

–Tak, panie.

Chłopiec skulił ramiona, mówił cichutko, ledwie wydobywał z siebie głos.

Nie musiał widzieć, jak wesoło podskakuję na swej sieci, by wiedzieć, że wszystko słyszałem i doskonale rozumiałem.

Nathaniel – to nie było jego oficjalne imię! To było prawdziwe!

Ten głupiec przyzywał mnie, zanim jego imię, nadane mu przy narodzinach, znikło gdzieś w mrokach zapomnienia. A teraz ja je poznałem! Underwood poruszył się w fotelu.

–No, na co czekasz, chłopcze? Nie ma czasu na marudzenie. Przed lunchem czekają cię jeszcze całe godziny nauki. Wracaj do swoich zajęć.

–Tak, panie. Dziękuję.

Chłopiec bezszelestnie ruszył ku drzwiom. Zacierając szczękoczułki z radości, poszedłem za nim, co chwila wywijając niesamowitego fikołka do tyłu, i to z ośmiokrotnym obrotem.

Teraz miałem na niego haka. Nasze szanse trochę się wyrównały. On znał moje imię, ja znałem jego. On miał sześć lat doświadczenia, ja pięć tysięcy dziesięć. I ta różnica pozwalała mi już działać.

Szedłem za nim po schodach. Nie spieszył się, każdy krok stawiał powoli.

Chodź, chodź! Wracaj do pentagramu. Wyprzedziłem go – nie mogłem się doczekać, kiedy staniemy do walki.

Teraz za nici pociągnąć miał pajak.

ewnego letniego dnia, kiedy Nathaniel miał już dziesięć lat, siedział z nauczycielką na kamiennej ławce w ogródku, szkicując kasztanowiec nad murem. Promienie słońca dotykały czerwonych cegieł; na szczycie ogrodzenia położył się szaro-biały kot i od niechcenia machał ogonem, raz w jedną, raz w drugą stronę. Łagodny wietrzyk poruszał liśćmi i niósł delikatny zapach krzewów rododendrona. Mech na posągu mężczyzny z błyskawicą połyskiwał w żółtawym blasku. Brzęczały owady. I właśnie tego dnia wszystko się zmieniło.

–Cierpliwości, Nathanielu.

–Panno Lutyens, mówiła mi to pani już ze sto razy.

–I na pewno powiem jeszcze raz. Jesteś zbyt niecierpliwy. To twoja największa wada.

Chłopiec ze złością nakreślił światłocien.

–Ale to mnie tak denerwuje! – krzyknął. – On mi nigdy nie pozwala niczego spróbować! Wolno mi tylko zapalać świece, kadzidła i robić to, co łatwe! Nie mogę nawet z nimi rozmawiać.

–On ma rację – odparła wprost panna Lutyens. – Pamiętaj, chodzi mi tylko o subtelności światłocienia. A nie o ostre linie.

–To śmieszne – skrzywił się Nathaniel. – On nie zdaje sobie sprawy z tego, co ja już umiem. Przeczytałem wszystkie książki i...

–Wszystkie?

–Tak, wszystkie z małego regału, a on mi mówił, że muszę je przeczytać do dwunastego roku życia. Panno Lutyens, ja nie mam nawet jedenastu lat. Chodzi mi o to, że znam już Słowa Rozkazów i Władzy. Większość z nich. Umiałbym rozkazywać dżinnowi, jeśliby jakiegoś do mnie przyzwał. Ale on mi nawet nie pozwoli spróbować...

–Nathanielu, nie wiem, co jest gorsze: twoje przechwałki czy dąsy. Powinieneś przestać martwić się tym, czego jeszcze nie masz, i zacząć cieszyć się z tego, co już masz. Na przykład ten ogród. Bardzo się cieszę, że wpadłeś na pomysł, by dziś tutaj zorganizować lekcję.

–Przychodzę tu zawsze, kiedy tylko mogę. Tu mi się lepiej myśli.

–Nie dziwię się. To spokojny, odosobniony zakątek... W Londynie jest bardzo mało takich miejsc, więc powinieneś się cieszyć.

–On mi dotrzymuje towarzystwa – Nathaniel wskazał posąg. – Lubię go, chociaż nie wiem, kto to jest.

–On? – Panna Lutyens uniosła wzrok znad szkicownika, ale nie przestawała rysować. – Och, to przecież Gladstone.

–Kto?

–Gladstone. Na pewno wiesz, kto to. Pan Purcell nie uczył cię historii nowożytnej?

–Przerabialiśmy zagadnienia współczesnej polityki.

–To już późniejszy okres. Gladstone umarł ponad sto lat temu. W swoich czasach był wielkim bohaterem. W całym kraju stoją tysiące jego pomników. Masz rację, z twojego punktu widzenia. Wiele mu zawdzięczasz.

Nathaniel się zdziwił.

–To był najpotężniejszy mag, jaki kiedykolwiek został premierem. Był najważniejszą osobą w państwie przez trzydzieści lat epoki wiktoriańskiej, wziął nawet w karby zwalczające się frakcje czarodziejów. Pewnie słyszałeś o jego pojedynku z czarnoksiężnikiem Disraelim na Westminster Green? Nie? Powinieneś tam pójść. Wciąż widać tam ślady ognia. Gladstone słynął z niespożytej energii i uporu. Nigdy się nie poddawał, nawet kiedy wszystko zwracało się przeciwko niemu.

–O rety – chłopiec spojrział na zaciętą, omszałą twarz. Kamienna dłoń spokojnie i pewnie trzymała gotową do rzutu błyskawicę.

–Panno Lutyens, dlaczego oni się pojedykowali?

–Disraeli chyba brzydko się wyraził o przyjaciółce Gladstone'a. To był jego wielki błąd. Gladstone nigdy nie pozwolił obrazić ani siebie, ani swoich bliskich. Był potężny, mógł rzucić wyzwanie każdemu, kto wyrządził mu krzywdę. – Zdmuchnęła węglowy pył ze szkicu i krytycznym okiem obejrzała rysunek. – Gladstone zrobił więcej niż ktokolwiek inny, by Londyn wzniósł się na wyżyny magii. Najpotężniejszym miastem świata wciąż była wtedy Praga, ale jej czas już przeminął. Pograżyła się w dekadencji, jej magowie walczyli ze sobą gdzieś wśród slumsów getta. Gladstone dał nam nowe ideały, nowe pomysły. Relikwiami przywabił tu wielu zagranicznych czarodziejów. Londyn stał się wielkim ośrodkiem magii. I nadal nim jest, na dobre i na złe. Tak jak powiedziałam, powinieneś być mu wdzięczny.

Nathaniel spojrzał na nauczycielkę.

–Co pani miała na myśli, mówiąc na dobre i na złe? Jakie złe?

Panna Lutyens zacisnęła wargi.

–Obecny system polityczny jest bardzo korzystny dla magów i garstki szczęśliwców, którzy skupiają się wokół nich, a mniej korzystny dla wszystkich innych. Teraz pokaż mi swój szkic.

W głosie nauczycielki zabrzmiała nuta, która oburzyła chłopca. Przypomniał sobie lekcje z panem Purcellem.

–Proszę pani, nie powinna pani tak mówić o rządzie. Bez magów ten kraj byłby bezbronny! Rządziłoby tu pospólstwo i szybko doprowadziłoby go do ruiny. Magowie poświęcają życie, by zapewnić mu bezpieczeństwo! Pani powinna o tym pamiętać, panno Lutyens.

Nawet w uszach chłopca jego głos zabrzmiał ostro.

–Nathanielu, jestem pewna, że kiedy dorośniesz i ty będziesz się poświęcać – odparła gwałtownie. – Ale prawda jest taka, że nie wszystkie kraje mają czarodziejów. Wiele dobrze sobie radzi bez nich.

–Pani chyba sporo o tym wie.

–Jak na pokorną nauczycielkę rysunku? Czyżbym usłyszała zdziwienie w twoim głosie?

–No, pani należy do pospólstwa... – umilkł i oblał się rumieńcem. – Przepraszam, ja nie chciałem...

–To prawda – ucięła panna Lutyens. – Należę do pospólstwa. Ale magowie nie mają monopolu na wiedzę. Zdecydowanie go nie mają. A poza tym,

wiedza i inteligencja to dwie bardzo różne sprawy. Pewnego dnia sam się przekonasz.

Kilka minut rysowali w milczeniu. Kot na murze leniwie machnął łapą, odganiając osę. Wreszcie Nathaniel przerwał ciszę.

–Panno Lutyens, nie chce pani zostać magiem?

Zaśmiała się sucho.

–Nie dana mi jest ta łaska – odparła. – Nie, ja jestem tylko nauczycielką i jest mi z tym dobrze.

Nathaniel spróbował jeszcze raz.

–Czym się pani zajmuje, kiedy pani tu nie ma? Nie ma ze mną, chciałem powiedzieć.

–Chodzę do innych uczniów. A co myślałeś? Że wracam do domu i rozczulam się nad sobą? Niestety, pan Underwood nie płaci mi aż tyle, żebym miała na to czas. Muszę pracować.

–Och – Nathaniel jakoś nie pomyślał o tym, że panna Lutyens może mieć też innych podopiecznych. Poczuł niemiły ucisk w dołku.

Chyba to wyczuła. Po krótkiej chwili odezwała się znowu, już cieplejszym głosem:

–W każdym razie niecierpliwie czekam na lekcje tutaj. To jedna z głównych atrakcji tygodnia. Jesteś miłym towarzyszem, nawet jeśli wciąż niepotrzebnie się spieszysz i myślisz, że wiesz już wszystko. Więc rozchmurz się i pokaż, jak poradziłeś sobie z tym drzewem.

Po kilku minutach spokojnej rozmowy o rysunku napięcie znikło. Wkrótce jednak nieoczekiwanie lekcję przerwała pani Underwood, przyszła do zakątka bardzo zdenerwowana.

–Nathanielu! – zawołała. – Tutaj jesteś!

Panna Lutyens i Nathaniel wstali, okazując szacunek żonie mistrza.

–Kochanie, wszędzie cię szukałam – pani Underwood odetchnęła ciężko. – Myślałam, że jesteś w sali lekcyjnej...

–Bardzo przepraszam, pani Underwood – zaczęła panna Lutyens. – Dzień był tak piękny...

–Och, nic się nie stało. Wszystko w porządku. Chodzi tylko o to, że mój mąż chce się zaraz zobaczyć z Nathanielem. Ma gości i chce im go przedstawić.

–Widzisz – szepnęła nauczycielka, kiedy spieszenie szli przez ogród – pan Underwood wcale cię nie lekceważy. Musi być z ciebie bardzo zadowolony,

skoro chce cię przedstawić swoim kolegom magom. Chce się tobą pochwalić!

Nathaniel uśmiechnął się słabo i nic na to nie powiedział. Myśl o spotkaniu z innymi czarodziejami sprawiała, że czuł się nieswojo. Przez wszystkie lata spędzone w tym domu ani razu nie dostąpił tego zaszczytu, a przecież znajomi Underwooda od czasu do czasu odwiedzali dom. Zawsze musiał wtedy iść do swojego pokoju, bywało też, że zatrzymywały go lekcje na górnym piętrze. To, co miało się dziś wydarzyć, było czymś nowym i ekscytującym, nawet jeśli trochę się tego bał. Wyobraził sobie pokój pełen wysokich, zamyślonych ludzi o wielkiej władzy, spoglądających nań znad swych bujnych bród i wirujących szat. I nogi się pod nim ugięły.

–Są w salonie – oznajmiła pani Underwood, kiedy weszli do kuchni.– Pokaż mi się... – zwilżyła palec i pospiesznie starła mu ze skroni ślad po ołówku. – Doskonale. W porządku, możesz iść.

W pokoju było tłoczno – co do tego chłopiec się nie pomylił – i aż duszno. W powietrzu unosił się zapach herbaty i niedopowiedzianych słów. Ale gdy Nathaniel zamknął drzwi i przecisnął się ku jedyemu wolnemu miejscu, blisko zdobnego kredensu, jego wspaniała wizja towarzystwa wielkich ludzi całkiem się już rozviała.

Ci magowie ani trochę tak nie wyglądali. Żadnego płaszcza. Ledwie kilka bród, ani jedna choć w połowie tak imponująca, jak u mistrza. Zwyczajne garnitury i jeszcze zwyczajnie krawaty. Tylko u paru jakieś śmiałe dodatki – szara kamizelka albo chusteczka do nosa w kieszonce na piersi. Wszyscy za to w błyszczących, czarnych butach. Nathaniel poczuł się jak na przyjęciu dla przedsiębiorców pogrzebowych. Żaden z tych czarodziejów nie przypominał Gladstonea: ani siłą, ani postawą. Niektórzy byli niscy, inni starzy i stetryczali, nie jeden miał skłonność do tycia. Rozprawiali z powagą, pili herbatę, skubali ciasteczka – nikt się nie wyróżnił.

Chłopiec, głęboko rozczarowany, wsadził ręce do kieszeni i odetchnął. Jego mistrz gestykulował z godnością; opowiadał różne dykteryjki, śmiejąc się, kiedy tylko gość powiedział coś, co miało być zabawne. Zauważył swego ucznia i skinął na niego. Nathaniel przecisnął się między herbacianym stolikiem a czyimś wystającym brzuchem i podszedł bliżej.

–To właśnie ten chłopak – szorstko oznajmił mag, niezdarnie klepiąc

Nathaniela po ramieniu.

Na czeladnika spojrzano trzech mężczyzn. Jeden stary, białowłosy, o rumianej twarzy pokrytej drobnymi zmarszczkami, która przypominała wysuszony słońcem pomidor. Drugi pulchny, w średnim wieku, o wodnistych oczach. Trzeci znacznie młodszy, przystojniejszy, włosy zaczesane do tyłu, okrągłe okulary i błyszczące białe zęby, równe jak blaszki cymbałków. Nathaniel, nic nie mówiąc, odwzajemnił spojrzenia.

–Nie wygląda imponująco – zauważył pulchny jegomość. Pociągnął nosem i coś przełknął.

–Powoli się uczy – odparł Underwood, nerwowo klepiąc ramię Nathaniela wyraźnie stremowany.

–Powoli? – spytał starzec. Mówił z takim akcentem, że chłopiec ledwo go rozumiał. – Niektórzy tacy już są. Nie wolno ci się poddawać.

–Bijesz go? – zapytał pulchny jegomość.

–Rzadko.

–Niemądrze. To pobudza pamięć.

–Ile masz lat, chłopcze? – zapytał młodszy mężczyzna.

–Dziesięć, panie – uprzejmie odparł Nathaniel – Jedenaście skończę w listo...

–Underwood, minie sporo lat, zanim będziesz miał z niego pożytek -zauważył młody czarodziej, tak jakby chłopiec w ogóle nie istniał. – Pewnie kosztuje cię fortunę.

–Co, jego utrzymanie? Oczywiście.

–Założę się też, że je jak fretka.

–Zachłanny, co? – starzec pokiwał głową ze współczuciem. – Tak, niektórzy chłopcy tacy są.

Nathaniel słuchał tego wszystkiego oburzony.

–Nie jestem, zachłanny, panie – odezwał się wreszcie najuprzejmiej, jak tylko potrafił.

Wzrok starca pomknął ku niemu, ale znów go ominął, jakby mag niczego nie

słyszał.

Dłoń Underwooda mocno zacisnęła się na ramieniu ucznia.

–No, chłopcze, musisz wracać do swoich zajęć – powiedział. – Biegnij.

Nathaniel już miał wyjść, chętnie zresztą, kiedy młody mężczyzna w okularach uniósł dłoń.

–A więc umiesz mówić – stwierdził. – Nie boisz się starszych. Nathaniel milczał.

–Pewnie też myślisz, że nie jesteśmy od ciebie lepsi?

Mówił spokojnie, ale jego głos brzmiał ostro. Nathaniel szybko rozumiał, że wcale nie chodzi o niego, że młody mag za pośrednictwem ucznia rzuca wyzwanie mistrzowi. Powinien chyba jakoś odpowiedzieć, ale tak był zmieszany, że nie wiedział, czy zaprzeczyć, czy przytaknąć.

Młody czarodziej źle zrozumiał to milczenie.

–On myśli, że jest zbyt ważny, by z nami w ogóle rozmawiać! – oświadczył

i uśmiechnął się szeroko.

Pulchny mężczyzna zachichotał, przysłaniając usta dłonią. Starzec o czerwonej twarzy potrząsnął głową.

–Taaa – powiedział.

–Idź już, chłopcze – jeszcze raz nakazał mistrz.

–Czekaj, Underwood – młody czarodziej uśmiechnął się szeroko. – Najpierw zobaczmy, czego go nauczyłeś. To może być zabawne. Podejdz, chłopcze.

Nathaniel spojrział na mistrza, ten jednak unikał jego wzroku. Powoli i niechętnie podszedł do zagadujących go magów. Młody czarodziej z rozmachem pstryknął palcami i zapytał szybko:

–Ile jest opisanych rodzajów duchów? Chłopiec odpowiedział bez namysłu:

–Trzyście tysięcy czterdzieści sześć, panie.

–A nieopisanych?

–Petroniusz twierdzi, że czterdzieści pięć tysięcy, Zavattini, że czterdzieści osiem tysięcy, panie.

–Jaki jest *modus apparendi* podgrupy kartagińskiej?

–Pojawiają się jako płaczące dzieci, panie, albo jako sobowtóry maga z czasów jego młodości.

–Jak przywoływać je do porządku?

–Trzeba kazać im wypić kadź oślego mleka.

–Hm. Jakie środki ostrożności należy przedsięwziąć, przywołując bazyliżka?

–Włóżyć lustrzane okulary, panie. I z dwóch stron otoczyć pentagram zwierciadłami, tak by zmusić bazyliżka, żeby patrzył tylko w wolną od nich stronę, tam gdzie czekają pisemne instrukcje.

Chłopiec nabierał coraz większej pewności siebie. Takie proste rzeczy poznał i zapamiętał już dawno temu, a teraz z przyjemnością zauważył, że jego nienaganne odpowiedzi wzbudzają irytację.

Pulchny czarodziej, stojący obok, przestał chichotać, a stary mag, który z głową przechyloną na bok również się temu przysłuchiwał, raz czy dwa nawet niechętnie przytaknął. Chłopiec spostrzegł, że mistrz uśmiecha się zadowolony. Tobie tej wiedzy nie zawdzięczam, z goryczą pomyślał Nathaniel. Sam to wszystko przeczytałem. A ty nauczyłeś mnie tyle, co nic.

Krzyżowy ogień pytań ustał. Młody mężczyzna nad czymś się zastanowił.

–W porządku – oświadczył wreszcie; mówił teraz znacznie wolniej, ważąc każde słowo. – Powiedz sześć Słów Rozkazów. W różnych językach.

Arthur Underwood zaprotestował, zdumiony:

–Simonie, dajże spokój! On tego jeszcze nie umie!

Ale Nathaniel już otwierał usta. Formułę zapisano w kilku księgach z wielkiego regału mistrza, a tam chłopiec zdążył już poszperać.

–*Appare, Mane, Auscultata, Se Dede, Pare, Redi: Ukaż się, Pozostań,*

Słuchaj, Poddaj się, Służ, Wróc.

Spojrzał młodemu magowi w oczy, świadom swego zwycięstwa.

Słuchający zamruczeli z uznaniem. Underwood, nie skrywając zadowolenia, uśmiechnął się szeroko, pulchny jegomość uniósł brwi, za starzec drwiąco się skrzywił, mówiąc cicho:

–Brawo.

Jednak młody czarodziej tylko lekceważąco wzruszył ramionami. Zachowywał się tak wyniośle, że Nathaniel poczuł, jak jego duma z siebie powoli zamienia się we wściekłość.

–Poziom nauczania musiał spaść – młody mężczyzna wyjął z kieszeni

chusteczkę do nosa i niby strzepnął nią pyłek z rękawa – skoro niedoro

zwiniętemu uczniowi gratuluje się znajomości tego, co my wyssaliśmy z

mlekiem matki.

–Pan po prostu nie umie się przyznać do przegranej – stwierdził Nathaniel.

Zapadła cisza. Po chwili młody czarodziej warknął i chłopiec poczuł, że coś

małego ciężko opada mu na barki. We włosy wczepiły się niewidzialne dłonie, pociągnęły mocno, gwałtownie, naginając mu głowę do tyłu tak, że aż spojrział

w sufit i krzyknął z bólu. Próbował unieść ramiona – daremnie: do boków przycisnęły je ohydne, umięśnione sploty, owijające się wokół niego jak wielki jęzor. Mógł tylko patrzeć w sufit, a smukłe palce laskotały go w szyję z okrutną delikatnością. Przerażony zawołał mistrza. Ktoś się zbliżył – nie mistrz, lecz młody mag

–Ty przemądrzały bachorze – powiedział spokojnie. – Co ty wiesz?

Potrafisz się uwolnić? Nie. A to dopiero: jesteś bezbronny. Znasz kilka słów, ale nic nie potrafisz. Może to cię nauczy, jak niebezpiecznie być bezczelnym, zwłaszcza gdy jesteś za słaby, by się bronić. Precz mi z oczu!

Coś zachichotało chłopcu prosto w ucho i mocno odbiwszy się nogami, zeskoczyło mu z pleców. W tej samej chwili Nathaniel poczuł, że ma wolne ramiona. Głowa opadła mu do przodu, oczy napełniły się łzami. Płakał z bólu, ale bał się, że oni mogą wziąć to za szloch tchórzliwego dzieciaka. Otarł łzy mankietem.

W salonie zapanowała cisza. Magowie przerwali rozmowy i patrzyli na Nathaniela. A on spojrzał na mistrza, milcząco prosząc go o pomoc. Oczy Arthura Underwooda płonęły wściekłością – zapewne wściekłością na niego. Nathaniel obojętnie odwzajemnił to spojrzenie, odwrócił się i w ciszy ruszył przez ścieżkę wśród rozstępujących się gości. Otworzył drzwi i wyszedł.

Zamknął je za sobą, ostrożnie i cicho.

Błady, zaczął wolno wspinać się po schodach.

Pani Underwood właśnie schodziła na dół.

–Jak było, kochanie? – spytała. – Zabłysnąłeś? Co się stało?

Nathaniel, pełen żalu i wstydu, nawet na nią nie spojrzał. Chciał minąć ją bez słowa, ale w ostatniej chwili zatrzymał się.

–Było wspaniale – odparł. – Może mi pani powiedzieć, kim jest ten okularnik o dużych białych zębach?

Pani Underwood zmarszczyła brwi.

–To pewnie Simon Lovelace. Podsekretarz stanu w Ministerstwie Handlu.

Ma filmowy uśmiech, prawda? To wschodząca gwiazda. Spotkałeś go?

–Tak, spotkałem. „Nic nie potrafisz”.

–Na pewno wszystko w porządku? Jesteś taki blady.

–Tak, dziękuję, pani Underwood. Już pójdę na górę.

–Panna Lutyens czeka na ciebie w pokoju do nauki. „Jesteś bezbronny”.

–Zaraz tam pójde, pani Underwood.

Jednak powolnym, miarowym krokiem poszedł gdzie indziej – do pracowni swego mistrza, tam, gdzie kurz na brudnych butlach połyskiwał w świetle słońca, przykrywając ich zakonserwowaną zawartość.

Chłopiec przeszedł obok podziurawionego stołu zawalonego diagramami, nad którymi wczoraj pracował.

„Jesteś za słaby, by się bronić”.

Zatrzymał się i sięgnął po małe, szklane puzderko – brzęczało w nim i furkotało sześć maleńkich istot.

Zobaczmy.

Wciąż powolnym, miarowym krokiem ruszył do ściennego kredensu, pociągnął za szufladę. Była tak powyginana, że utknęła w połowie. Musiał ostrożnie położyć puzderko na stole i wtedy kilkoma, mocnymi pociągnięciami wysunął ją do końca. Pośród różnych narzędzi leżał mały, stalowy młotek. Chłopiec wyjął go, zabrał puzderko i nie zamykając szuflady, wyszedł ze słonecznej pracowni.

Stał w chłodnym cieniu półpiętra, po cichu powtórzył sobie Słowa Rozkazów i Władzy. Sześć drobin w szklanym pojemniku zaczęło miotać się z jeszcze większą siłą. Puzderko zadrzało.

„Nic nie potrafisz”.

Przyjęcie już się kończyło. Drzwi otwarły się i magowie zaczęli wychodzić. Pan Underwood odprowadzał ich do drzwi frontowych. Wymieniano uprzejme słówka, żegnano się. Nikt nie zauważył bladego chłopca spoglądającego ze schodów.

Imię należało wypowiedzieć po trzech pierwszych rozkazach, ale przed ostatnim. To nie było trudne, aby tylko nie przejęzyczyć się w trakcie szybkiego wymawiania sylab. Chłopiec powtórzył sobie wszystko w myślach. Tak, o niczym nie zapomniał.

Dom opuściło następnych kilku czarodziejów. Palce Nathaniela były zimne. Pod nimi na puzderku pojawiła się cienka warstwa potu.

Młody czarodziej i jego dwaj towarzysze rażno wyszli z salonu. Chichotali rozbawieni jakąś uwagą pulchnego jegomościa. Lekkim krokiem zbliżyli się do Underwooda, który czekał na nich przy drzwiach.

Chłopiec mocno chwycił młotek.

Uniósł szkatułkę. Zadrzała. Starzec podawał rękę Underwoodowi, młodszy mag miał pożegnać się następnym, zerkał przez otwarte drzwi, jakby spieszno mu było wyjść. Nathaniel donośnym głosem rzucił trzy pierwsze rozkazy, wymienił imię Simona Lovelace'a i wypowiedział ostatnie słowo. Potem roztrzaskał szkatułkę.

Brzęk szkła, wściekły pomruk. Odłamki spadające na dywan. Sześć małych istot wyskoczyło ze swego więzienia i popędziło w dół schodów z wysuniętymi żądlami.

Magowie zdążyli tylko spojrzeć w górę, a napastnicy już byli przy nich. Trzy drobiny zaatakowały twarz Simona Lovelace'a. Czarodziej podniósł rękę i gwałtownie zrobił jakiś gest. W jednej chwili kruszyny przemieniły się w kule ognia, łukiem poleciały ku ścianie i wybuchły. Pozostałe trzy nie wykonały rozkazu. Dwie pomknęły ku pulchnemu jegomościowi. Zaatakowany, wrzasnął, potknął się, wypadł za próg i runął na drózkę w ogrodzie. Kruszyny krążyły nad nim, nurkowały, szukając odsłoniętego ciała, a on machał rękoma przed twarzą, jednak na próżno. Kilka razy żądła sięgnęły celu; każdemu ukąszeniu odpowiadało przepelnione męką wycie. Szósta kruszyna błyskawicznie zbliżyła się do starca. Chybaby się nie obronił, jednak kiedy znalazła się tuż przy jego twarzy, nagle się zatrzymała i koziolkując, pospiesznie zawróciła. Straciła kontrolę nad swym lotem i ostatecznie wylądowała obok Simona Lovelace'a, który wdeptał ją w dywan.

Arthur Underwood patrzył na to wszystko ze zgrozą. Wreszcie zebrał się w sobie. Przesząpił próg, ruszył do swego gościa, który wił się na klombie, i energicznie zaklaskał.

Dwie zaciekle drobiny jak ogłuszone spadły na ziemię.

Nathaniel szybko się wycofał.

Wślizgnął się do izby szkolnej, gdzie przy stole siedziała panna Lutyens i czytała magazyn. Uśmiechnęła się na widok chłopca.

–Jak ci poszło? Jak na tę porę dnia, przyjęcie było hałaśliwe. Słyszałam, że ktoś stłukł szklanekę.

Chłopiec milczał. Oczyma duszy widział trzy drobiny, wybuchające na ścianie. Zaczął się trząść – nie wiedział, czy ze strachu, czy z wściekłości. Panna Lutyens poderwała się gwałtownie.

–Nathanielu, chodź tutaj. Co się stało? Żle wyglądasz. Cały się trzęsiesz!

Objęła go, a on łagodnie oparł głowę o jej bok. Zamknął oczy. Twarz mu płonęła, było mu i zimno, i gorąco. Nauczycielka wciąż do niego mówiła, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa...

Nagle otworzyły się drzwi do pokoju.

Stał w nich Simon Lovelace, jego okulary zaśniły w blasku wpadającym przez okno. Wydał rozkaz. Nathaniel, gwałtownie wyrwany z objęć panny Lutyens i przeniesiony w powietrzu, zawisł między sufitem a podłogą; zobaczył jeszcze dwóch czarodziejów, a w tyle za nimi, niemal poza zasięgiem wzroku, swego mistrza.

Nathaniel słyszał, jak panna Lutyens krzyczy, ale kiedy ustawiono go pionowo, krew zadudniła mu w uszach, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

Głowa, ramiona i nogi opadły mu ku dywanowi i wisiał tak z wypiętymi pośladkami. Uderzyła w nie niewidzialna ręka – albo niewidzialny kij. Chłopiec zaczął wrzeszczeć, wić się, kopać. Ręka uderzyła znowu jeszcze mocniej. Biła i biła...

Nathaniel przestał się szamotać. Zawisł bezwładnie, świadom tylko piekącego bólu i swojej hańby. Upokorzenie było tym większe, że karę oglądała panna Lutyens. Z całego serca pragnął umrzeć. A kiedy w końcu zapadła ciemność i zaczął w nią odpływać, powitał to z radością.

Niewidzialne ręce wreszcie go puściły, ale zanim runął na podłogę, był już nieprzytomny.

Nathaniel przez miesiąc siedział zamknięty w pokoju, potem kolejne kary i represje. Mistrz nie rozmawiał z nim, kontaktów z chłopcem zabronił też wszystkim innym – z wyjątkiem pani Underwood, która przynosiła posiłki i opróżniała nocnik. Nathaniel nie miał lekcji i nie mógł czytać książek. Tylko od świtu do zmierzchu spoglądał ponad dachami Londynu ku odległemu parlamentowi.

Takie odosobnienie doprowadziłoby go do szaleństwa, gdyby nie znalazł pod łóżkiem starego długopisu. I tak na kilku arkuszach papieru zaczął szkicować świat oglądany przez okno.

Kiedy się tym znużył, zajął się sporządzaniem notatek i list – pisał drobnymi literkami obok swoich szkiców. Słyszając kroki na schodach, zawsze chował wszystko pod materacem, bo był to dowód, że knuje zemstę.

Ku wielkiej rozpaczy Nathaniela, pani Underwood nie mogła z nim rozmawiać. Choć wyczuwał jej współczucie, milcząc dawała mu niewiele pociechy. Zamknął się w sobie i kiedy wchodziła, sam też się nie odzywał.

Dopiero gdy miesięczna izolacja dobiegła końca i znów zaczęły się lekcje, chłopiec dowiedział się, że pannę Lutyens zwolniono z pracy.

13

ługą, wilgotną jesienią Nathaniel, gdy tylko mógł, zaszywał się w ogrodzie. Kiedy pogoda była ładna, przynosił książki z półki swojego mistrza i pochłaniał je z niezaspokojoną zachłannością. Na kamienną ławkę i trawnik opadały liście. W dżdżyste dni też tam siadał i patrzył na mokre krzewy, a jego myśli błądziły po znajomych ścieżkach goryczy i zemsty.

Uczył się szybko, bo w głowie płonęła mu nienawiść. Nathaniel czytał i zapamiętywał rytuały przyzwania, inkantacje, którymi czarodziej mógł się obronić i ochronić przed atakiem, oraz słowa mocy, jakie mogły ugodzić nieposłusznego demona albo szybko go odpędzić. Jeśli natykał się na jakiś trudny ustęp – na przykład spisany w języku Samarytan albo Koptów lub też skryty w zawilej runie – i czuł, że brakuje mu zapachu, wystarczyło, by spojrzeć na szarozielony posąg Gladstonea, a determinacja od razu powracała.

Gladstone zemścił się na tym, kto wyrządził mu krzywdę. Bronił honoru i za to go ceniono. Nathaniel zamierzał postąpić tak samo, przestała nim już władać niecierpliwość. Teraz spoglądał na posąg, aby mieć bodziec do dalszego działania. Otrzymał bolesną lekcję, więc czekał do chwili, gdy już naprawdę będzie gotowy, i przez wiele długich, samotnych miesięcy pracował niestrudzenie, dążąc do swego najważniejszego celu: poniżenia Simona Lovelace'a.

Książki historyczne, które czytał, pełne były opowieści o walczących ze sobą magach. Czasem spór wygrywał najpotężniejszy czarodziej, jednak częściej

zwyciężał podstęp. Nathaniel nie miał zamiaru rzucać nieprzyjacielowi bezpośredniego wyzwania – w każdym razie, póki sam nie urośnie w siłę. Ale mógł go pognębić w inny sposób.

Właściwe lekcje stały się teraz uciążliwymi powinnościami. Gdy tylko podjęto je na nowo, Nathaniel od razu przywdział maskę posłuszeństwa i skruchy; chciał przekonać Arthura Underwooda, że czyn sprzed roku jest dla niego źródłem najgłębszego wstydu. Ta maska nigdy nie opadała, nawet gdy chłopiec musiał oddawać się w pracowni najbardziej meczącym i banalnym zajęciom. Gdy mistrz prawił mu kazania, utyskując na jakieś błahe uchybienie, Nathaniel nie pozwalał sobie na więcej niż przelotny grymas niezadowolenia. Po prostu zwieszał głowę i śpieszył naprawić błąd. Na pozór sprawiał wrażenie doskonałego ucznia, który w każdej sprawie jest posłuszny swemu mistrzowi i nie okazuje zniecierpliwienia ślimaczym tempem nauki.

A działo się tak, bo Nathaniel nie uznawał już Arthura Underwooda za swego prawdziwego nauczyciela. Jego mistrzami stali się dawni czarodzieje -przemawiali doń przez księgi, pozwalając mu uczyć się w swoim tempie, i obdarzali go coraz częściej cudami. Nie traktowali go z wyższością ani nie zdradzali.

W oczach chłopca Arthur Underwood stracił prawo do posłuszeństwa i szacunku wtedy, gdy nie obronił go przed docinkami i napaścią Simona Lovelace'a. Nathaniel wiedział, że mistrz nawet nie ruszył palcem w jego obronie, a każdego czeladnika przecież uczono, że nauczyciel jest jak rodzic. On – lub ona – chronił młodego czarodzieja, dopóki ten nie stanął na własnych nogach. Underwood pod tym względem całkowicie zawiódł. Stał i patrzył na niezawinione poniżenie Nathaniela – wpierw na przyjęciu, potem w szkolnym pokoju. Dlaczego? Bo był tchórzem i bał się mocy Lovelace'a.

A najgorsze, że wyrzucił z pracy pannę Lutyens.

Z krótkich rozmów z żoną maga chłopiec dowiedział się, że kiedy wisiał w powietrzu, bity przez impa Lovelace'a, nauczycielka rysunku robiła wszystko, by mu pomóc. Oficjalnie zwolniono ją z powodu jej „bezczelności i impertynencji”, ale prawdziwa przyczyna była inna: panna Lutyens chciała uderzyć Lovelace'a, powstrzymali ją dopiero jego towarzysze. Kiedy chłopiec o tym myślał, krew wrzała w nim jeszcze gwałtowniej, niż kiedy wspominał swoje własne upokorzenie.

Ona starała się go bronić, robiła dokładnie to, co powinien zrobić Underwood – i dlatego straciła posadę.

Tego Nathaniel nie mógł wybaczyć.

Kiedy nauczycielka odeszła, pani Underwood stała się dla niego jedyną bliską osobą. Jej czułość wynagradzała mu dni pełne pracy, niosła ulgę po chłodnym dystansie i obojętności nauczycieli. Ale nawet ona nie знаła jego planów – nie mógł ryzykować. Chcąc pozostać spokojnym i silnym, musiał być skryty. Prawdziwy mag o radę pytał tylko siebie samego.

Po kilku miesiącach Nathaniel samodzielnie poddał się pierwszemu, prawdziwemu sprawdzianowi – przyzwał słabego impa. Ryzykował, bo choć uważał, że dobrze zna inkantacje, nie miał jeszcze soczewek kontaktowych ani też nie otrzymał nowego, oficjalnego imienia. Według Underwooda, przyjdzie na to czas, gdy chłopiec osiągnie stosowny wiek. Nathaniel nie chciał jednak tak długo czekać. Uznał, że wzrok może wspomóc okularami z pracowni, a co do imienia... po prostu stwierdził, że nie da demonowi sposobności, by je poznał.

Nathaniel ukradł z pracowni mistrza arkusz mosiężnej blachy i z trudem wyciął z niej niezbyt kształtny dysk. Przez kilka tygodni polerował go, przecierał, znowu polerował, aż wreszcie dysk zaczął błyszczeć w świetle świec i bez zniekształceń odbijał jego twarz.

Potem odczekał tydzień, do dnia, kiedy mistrz i pani Underwood wyszli z domu. Gdy tylko ich samochód zniknął w głębi ulicy, chłopiec zabrał się do pracy. Zwinął dywan w sypialni i na gołej podłodze nakreślił kredą dwa proste pentagramy. Pocąc się obficie mimo panującego w izbie chłodu, zaciągnął zasłony i zapalił świece. Między kręgami ustawił zwykłą miskę z jesionu i leszczyny – potrzebował tylko jednej, bo imp był słaby i strachliwy. Kiedy już wszystko przygotował, pośrodku kręgu, w którym miał zjawić się demon, ustawił wypolerowany mosiężny dysk. Potem włożył okulary i poszarpany laboratoryjny kitel z pracowni Underwooda. Wszedł do kręgu i rozpoczął inkantacje.

Z zaschniętym gardłem wypowiedział sześć sylab wezwania i wykrzyknął imię istoty. Głos mu się łamał, żałował więc, że nie pomyślał, by do kręgu zabrać szklanekę wody. Nie mógł sobie pozwolić na błędne wymówienie jakiegoś słowa.

Czekał, odliczając w myślach dziewięć sekund – tyle czasu potrzebował, by jego głos dotarł do czeluści Zaświatów. Potem dodał jeszcze siedem sekund -wtedy stwór zareaguje na dźwięk imienia. Wreszcie doliczył trzy sekundy, które musiały minąć, zanim...

...nagie dziecko pojawiło się w powietrzu, nad kręgiem, machając ramionami i nogami – jakby pływało. Spojrzało na niego ponurymi żółtymi oczyma. Wydęło małe czerwone wargi i bezczelnie plunęło bańką śliny.

Nathaniel wymówił słowa Uwzięienia.

Dziecko zachłysnęło się wściekle, gorączkowo zaczęło machać pulchnymi rączkami i nóżkami, ciągnięte w dół ku błyszczącemu dyskowi. Rozkaz był za silny, aby długo mogło mu się opierać. Lustro wciągało demona tak gwałtownie, jak odpływ wanny wodę. Imp rozciągnął się w strumień barw, który wirując, zanurkował i w zwierciadle ukazała się wściekła twarz ducha, przyciśnięta do wewnętrznej strony dysku. Potem okryła ją zasłona mgły i mosiężna powierzchnia znów stała się gładka i czysta.

Nathaniel wypowiedział jeszcze kilka zaklęć, chcąc zabezpieczyć zwierciadło i wykryć ewentualne pułapki, ale wszystko było w porządku. Na drżących nogach wyszedł z kręgu.

Jego pierwsze przyzwanie zakończyło się sukcesem.

Uwzięiony imp był opryskliwy i bezczelny, ale gdy chłopiec rzucił nań drobny czar, powodujący wstrząs elektryczny, duch wedle rozkazu zaczął pokazywać mu obrazy różnych odległych przedmiotów. Demon mógł też opowiadać o podsłuchanych rozmowach i ukazywać je w dysku. Nathaniel trzymał to ciężkie, ale przydatne magiczne zwierciadło pod dachówkami za lufcikiem. I dzięki niemu dowiedział się wielu ciekawych rzeczy.

Wpierw, na próbę, kazał impowi pokazać, co dzieje się w gabinecie mistrza. Zobaczył, że Underwood niemal cały poranek spędza przy telefonie, starając się być na bieżąco w sprawach polityki. Wyglądało na to, że wręcz paranoiczne boi się swych wrogów, czyhających nań w parlamencie, by doprowadzić do jego porażki. Nathaniel uznał, że choć ogólnie takie sprawy zdają się ciekawe, po zagłębieniu się w szczegóły robią się nudne – i szybko przestał szpiegować mistrza.

Potem zapragnął z oddali przyjrzeć się panie Lutyens. Na powierzchni zwierciadła zakłębiła się mgła, demon znikł – i Nathaniel z bijącym sercem spojrzał na swoją nauczycielkę, taką, jaką dobrze pamiętał: uśmiechniętą, oddaną pracy,

przekazującą wiedzę. Obraz widoczny w dysku zmienił się i chłopiec dostrzegł szczerbatego malca, który z zacięciem rysował coś w szkicowniku. Wyglądał tak, jakby chłonał każde słowo panny Lutyens. Oczy Nathaniela zapłonęły z żalu i zazdrości. Ochryplym głosem rozkazał, by

obraz zniknął. I aż zgrzytnął zębami, słysząc rechot uradowanego impa.

Chłopiec skupił się więc na tym, co było dla niego najważniejsze. Pewnego późnego poranka nakazał impowi szpiegować Simona Lovelace'a. bardzo się zaniepokoił, kiedy zamiast swojego wroga ujrzał w wypolerowanym mosiądzu znajomą twarz dziecka.

–Co robisz! – krzyknął. – Wydałem ci rozkaz, teraz służ!

Dziecko zmarszczyło nos i przemówiło dziwnie niskim głosem:

–Chodzi o to, że on jest sprytny. Postawił zapory. Nie wiem, czy dam radę przez nie przejść. Mogę narobić kłopotów, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Chłopiec uniósł rękę i pogroził demonowi.

–Mówisz więc, że to niemożliwe?

Dziecko skrzywiło się i ostrożnie wysunęło szpiczasty języczek, jakby lizało stare rany.

–Nie mówię, że niemożliwe, nie. Tylko trudne.

–No to do roboty.

Dziecko westchnęło ciężko i znikło. Po krótkiej chwili w dysku pojawił się migoczący obraz. Był niewyraźny i podskakiwał jak w źle wyregulowanym telewizorze. Nathaniel zaklął. Już miał wypowiedzieć formułę Karącego Dźgnięcia, kiedy zrozumiał, że nic lepszego imp nie mógł mu dać. Nachylił się nad dyskiem i ze skupieniem przyjrzał się obrazowi w magicznym zwierciadle.

Przy biurku siedział mężczyzna i szybko stukał w klawiaturę laptopa.

Nathaniel zmrużył oczy. To był Simon Lovelace, na pewno.

Imp patrzył spod sufitu, więc chłopiec mógł się dobrze przyjrzeć pokojowi za plecami maga. Wszystko było jednak zniekształcone, jakby oglądane rybim okiem. Izbę okrywał cień, jedynym źródłem światła była lampa na biurku Lovelace'a. W tle Nathaniel widział ciemne zasłony, długie aż po podłogę.

Mag pisał. Miał na sobie smoking, poluźnił krawat. Parę razy podrapał się w nos.

Nagle znów pojawiła się twarz dziecka.

–Więcej już nie dam rady pokazać – wysapał demon. – Poza tym nudzi mi się, no i powtarzam: jeśli potrwa to dłużej, mogą być kłopoty.

–Potrwa to tyle, ile ci każę – warknął Nathaniel. Wypowiedział krótkie słowo i dziecko zmrużyło oczy z bólu.

–Już dobrze, dobrze! Jak możesz tak traktować małe dziecko, ty potworze!

Twarz zamigotała i znowu pojawił się Lovelace. Wciąż siedział i pisał na

komputerze. Nathaniel chciał się zbliżyć, zajrzeć w papiery na biurku, wiedział jednak, że czarodzieje często mają przy sobie czujniki wykrywające każdą niespodziewaną aktywność magii. Rozsądek nie pozwalał mu zbyt ryzykować. I tak miał niezły widok, a zamierzał...

Nathaniel podskoczył.

W pokoju Simona Lovelace'a był ktoś jeszcze, stał w cieniu zasłon. Nathaniel nie zobaczył, jak wchodzi, mag też nie, bo pisał na komputerze, odwrócony plecami do intruza. Nieznajomy wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna miał na sobie długi skórzany płaszcz podróżny, sięgający aż po podeszwy butów. Płaszcz i buty, pochłapane błotem, wyglądały na mocno znoszone. Większą część twarzy zasłaniała gęsta czarna broda, w mroku błyszcząły oczy. Coś w tym człowieku sprawiło, że Nathaniela przeszył dreszcz.

Mężczyzna musiał się odezwać albo spowodować jakiś hałas, bo Simon Lovelace nagle drgnął i obrócił się w fotelu.

Obraz zamigotał, znikł, potem pojawił się znowu. Chłopiec zaklął i jeszcze bardziej zbliżył twarz do dysku. Obraz podskoczył parę razy. Mężczyźni byli teraz bliżej siebie – przybysz stał za biurkiem, a Simon Lovelace mówił coś, wyraźnie podniecony. Wyciągnął rękę, ale nieznajomy ruchem głowy wskazał na biurko. Mag przytaknął, otworzył szufladę, wyjął z niej płócienny worek i wytrząsnął jego zawartość. Po biurku rozsypały się pliki banknotów.

Z dysku wydobył się gardłowy, natarczywy głos:

–Ja tylko chcę cię ostrzec i proszę, nie dźgaj mnie, ale nadchodzi jakiś

strażnik. Dwa pokoje stąd, idzie w twoją stronę. Szefie, musimy wiać, i to

szybko.

Chłopiec przygryzł wargę.

–Zostań tam, gdzie jesteś, aż do ostatniej chwili. Chcę zobaczyć, za co on

płaci. I zapamiętaj rozmowę.

–Szefie, już po tobie.

Obcy wyjął spod płaszcza dłoń w rękawicy i powoli schował pieniądze z powrotem do worka. Nathaniel prawie podskakiwał ze zdenerwowania – imp mógł uciec w każdej chwili, a wtedy on by się nie dowiedział, o co w tym wszystkim chodzi.

Na szczęście, niecierpliwił się też Simon Lovelace. Znowu wyciągnął rękę, tym razem bardziej zdecydowanie. Nieznajomy skinął głową. Sięgnął za połą płaszcza i wyjął małą paczkę. Mag chwycił ją i pospiesznie otworzył.

Znów zabrzmiał głos impa:

–Jest już pod drzwiami! Wiejemy!

Nathaniel zdążył jeszcze zobaczyć, jak jego wróg sięga do paczki i wyciąga coś, co migocze w blasku lampy – potem obraz znikł.

Chłopiec wydał zwięzłą komendę i w zwierciadle niechętnie pojawiła się twarz dziecka.

–To wszystko, szefie? Mówię ci, normalnie muszę się teraz zdrzemnąć. Uf, to było blisko. Prawie nas dostało.

–Co oni mówili?

–Dobre sobie, co oni mówili? Słyszałem jakieś urywki, nie mogę powiedzieć, że bym nie słyszał, ale mój słuch nie jest już taki jak kiedyś, to przez to, że tak długo byłem zamknięty...

–Więc co?

–Duży facet wiele nie mówił. Może przypadkiem zauważyłeś te czerwone plamy na jego płaszczu? Barrrrdo podejrzane. To nie keczup, wyobraź sobie. To było świeże, czułem zapach. A co on powiedział? „Mam to”. I „Najpierw chcę pieniądze”. Krótko i węzłowato.

–Czy on był demonem?

–Domyślałam się, że tym prostackim słowem określasz szlachetną istotę z Zaświatów? Nie, on był człowiekiem,

–A co mówił mag?

–Był bardziej rozmowny. A nawet całkiem gadatliwy. „Masz to?”, tak zaczął. I dalej: „Jak to? Nie, nie chcę znać szczegółów. Po prostu mi to daj”. Brakowało mu tchu, był bardzo podniecony. Potem wyjął forszę.

–Co to jest? Co to za przedmiot? Czy któryś z nich coś o tym mówił?

**–Nie wiem, czy sobie przypomnę... Nie, czekaj! Czekaj! Nie musisz być dla mnie niemiły.
Robię to, o co mnie prosisz, prawda? Kiedy ten wielki facet dawał paczkę, to coś powiedział...**

–Co?

–Tak cicho, że prawie nie słyszałem...

–Co on powiedział?!

–Powiedział: „Amulet z Samarkandy należy teraz do ciebie, Lovelace”. Tak właśnie powiedział.

Minęło prawie sześć miesięcy, zanim Nathaniel uznał wreszcie, że jest już gotowy. Poznał różne tajemnice swej sztuki, nauczył się też nowych i potężnych rozkazów. Każdego ranka przed lekcjami pływał. Dzięki temu stawał się coraz bardziej wytrzymały i silny na ciele i umyśle.

Już ani razu nie zdołał podejrzeć swego wroga. Bez względu na to, czy wtedy odkryto jego obecność, impowi już nigdy nie udało się zbliżyć do Lovelace'a.

Nieważne. Nathaniel zdobył potrzebne informacje.

Nastało lato, a on siedział w ogrodzie, obmyślając i udoskonalając swój plan. Sprawiało mu to przyjemność. Zaletą owego planu była jego prostota. Nikt na świecie nie domyślał się mocy drzemiącej w chłopcu. Mistrz dopiero zamówił mu soczewki i mimochodem wspomniał, że może zimą spróbują podstawowych przywołań. Dla starego maga, dla nauczycieli, nawet dla pani Underwood Nathaniel był tylko niezbyt utalentowanym uczniem. Tak też miało pozostać po kradzieży amuletu.

A kradzież ta to był ledwie początek, sprawdzian sił. Potem, jeśli wszystko poszłoby dobrze, chłopiec chciał zastawić pułapkę.

Musiał już tylko znaleźć sobie posłusznego sługę. Kogoś tak potężnego, żeby z jego pomocą zrealizował plan, ale nie aż tak, by przeciwstawić się wzywającemu go magowi. Nathaniel wiedział, że jeszcze nie nadszedł czas, by władał naprawdę najpotężniejszymi istotami.

Zgłębiał demonologiczne księgi z biblioteki mistrza. Studiował wiekowe zapisy. Czytał o pomniejszych sługach Salomona i Ptolemeusza.

Wreszcie wybrał.

Bartimaeusa.

Oiartitnaeiis

iedy wróciliśmy na poddasze, wiedziałem, że sprawa będzie poważna, więc odpowiednio się przygotowałem. Po pierwsze, musiałem wybrać jakiś kształt. Chciałem czegoś, co naprawdę nim wstrząśnie, wprawi w osłupienie – i, o dziwo, dlatego musiałem odrzucić większość swych najbardziej przerażających postaci. Szczerze mówiąc, znaczyło to, że muszę objawić się jako konkretna osoba. Trudno uwierzyć, ale dla twardego maga wysłuchiwanie gróźb migoczącej zjawy czy wyzwick ognistego, skrzydlatego węża nie jest nawet w połowie tak irytujące jak te same słowa z ust czegoś, co wygląda jak człowiek. Nie pytaj mnie, czemu tak się dzieje. To ma chyba jakiś związek ze sposobem, w jaki działa ludzki umysł.

Uznałem, że najlepiej zrobię, objawiając się jako chłopiec mniej więcej w jego wieku – ktoś taki obudzi w nim dziecięcą rywalizację. Żaden problem. Kiedy poznałem Ptolemeusza, miał czternaście lat. Zmieniłem się więc w Ptolemeusza.

Potem musiałem jeszcze tylko przypomnieć sobie najlepsze kontr-zaklęcia i z przyjemnością wyczekiwać rychłego powrotu do domu.

Spostrzegawczy czytelnicy pewnie zauważyli przyływ optymizmu w moim podejściu do chłopca. To prawda, też go poczułem.

A dlaczego? Bo poznałem pierwsze imię dzieciaka*.

Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość: stanął do walki. Od razu, gdy wszedł do pokoju, włożył płaszcz, skoczył do kręgu i przywołał mnie gromkim głosem. Nie musiał tak krzyczeć. Szybko drepcząc, natychmiast byłem obok niego.

Zaraz potem w kręgu naprzeciwko pojawił się mały egipski chłopiec w swoim londyńskim ubraniu. Uśmiechnąłem się szeroko.

–Nathaniel, co? Bardzo eleganckie imię. Tak naprawdę do ciebie nie pasuje.

Myślałem raczej o jakimś pospolitym Bert albo Chuck.

Chłopiec pobladł ze strachu i wściekłości. Widziałem panikę w jego oczach. Z trudem się opanował i przybrał kłamliwie spokojny wyraz twarzy.

–To nie jest moje prawdziwe imię. Nawet mój mistrz go nie zna.

–Tak, jasne. Kogo ty chcesz nabrać?

–Możesz sobie myśleć, co chcesz. Teraz rozkazuję ci...

Nie mogłem wprost uwierzyć: on znowu próbuje mnie gdzieś posłać. Roześmiałem mu się w twarz, oparłem ręce na biodrach w obraźliwej pozie i przerwałem mu z wyższością:

–No, wściekaj się!

–Rozkazuję ci...

–Terefere!

Chłopiec tak się rozzłościł, że z pianą na ustach tupnął jak malec na placu zabaw. Potem miałem nadzieję, że tak się stanie – zapomniał się i ruszył do ataku. Użył Ciągłego Bólu, ulubionego zaklęcia osiłków-sadystów.**

Wypluł z siebie inkantację, a ja poczułem rozpościerające się wstęgi*.**

*** Uzbrojony w nie mogłem się przeciwstawić nawet najbardziej gwałtownym atakom tego smarkacza. Znajomość imienia zmienia układ sił, to rodzaj tarczy dla tego, kto znajdzie się w kręgu dzinna, bardzo prosty i bardzo stary talizman i... a co ty czytasz? Czytaj, czytaj i zajmij się sobą.**

**** Słabą stroną każdego maga, starego i młodego, chudego i grubego, jest jego duma. Oni nie potrafią znieść szyderstw. Tak bardzo ich nie cierpią, że nawet najmędrsi tracą zimną krew i popełniają głupie błędy.**

***** Ciągły Ból składa się z kilku koncentrycznych wstęg siły, które zaciskają się wokół ofiary jak bandaż na mumii. Kiedy mag powtarza zaklęcie, wstęgi zaciskają się mocniej i mocniej, aż wreszcie uwięziony w nich bezbronny dzinn musi błagać o litość.**

–Nathaniel! – wydusiłem i dodałem słowa odpowiedniego kontr-zaklęcia.

Wstęgi natychmiast zawróciły. Rozpłynęły się w drugą stronę, z dala ode

mnie, za pentagram, jak kręgi wody w sadzawce. Przez soczewki chłopiec zobaczył, że zbliżają się ku niemu. Krzyknął, a po chwili paniki przypomniał sobie słowa odwołania. Wyrzucił je z siebie i wstęgi znikły. Niby to strzepnąłem z rękawa pyłek i mrugnąłem do dzieciaka:

–No, no! Mało nie ucięło ci głowy.

Gdyby chłopiec dał za wygraną, na pewno by zrozumiał, co się stało – ale on szalał z wściekłości. Pewnie myślał, że zrobił jakiś błąd, powiedział coś w niedobrej kolejności. Dysząc ciężko, przeglądał teraz swój repertuar złośliwych sztuczek. W końcu klasnął w dłonie i...

Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się po nim czegoś tak potężnego jak Klatka Bólu. Z pięciu wierzchołków pentagramu, w którym stałem, wystrzeliły elektryczne kolumny, każda trzeszczała i buczała. Wyglądało to tak, jakby w powietrzu zawisło pięć błyskawic. Potem, jednocześnie, każdy słup wyrzucił z siebie poziomą wiązkę – przebiły mnie z siłą oszczepu. Wokół pojawiły się naładowane łuki. Wrzasnąłem i szarpnąłem się – impet ataku uniósł mnie z podłogi.

Przez zaciśnięte zęby wypowiedziałem imię.

–Nathaniel!

I kontr-zaklęcie, tak jak wcześniej. Skutek był natychmiastowy. Elektryczne wiązki oderwały się ode mnie, runąłem na podłogę. We wszystkich kierunkach pomknęły małe błyskawice. Chłopiec w ostatnim momencie dał nura – iskra, która mogła go zabić, przebiła łopoczący płaszcz i spadła na podłogę. Inne gromy uderzyły w łóżko i biurko. Jeden trafił w wazon z kwiatami, gładko rozcinając szkło na pół. Błyskawice, przenikając mur, zostawiały na nich małe, gwiaździste, wypalone ślady.

Płaszcz opadł chłopcu na twarz. Nathaniel powoli uniósł głowę i zerknął spod niego. Pokazałem mu, jak trzymam za niego kciuki.

–Nie poddawaj się – zachichotałem. – Pewnego dnia, jeśli będziesz ciężko

pracować i przestaniesz robić te wszystkie głupie błędy, może zostaniesz

prawdziwym czarodziejem.

Nic nie odpowiedział. Wstał z trudem i udało mu się uskoczyć tak zgrabnie, że pozostał bezpiecznie w pentagramie. Nic takiego – wyczekiwałem jakiegoś błędu.

Jednak mózg chłopaka znów zaczął pracować. Przez chwilę wyrostek stał spokojnie; oceniał sytuację.

–Lepiej szybko się mnie pozbądź – powiedział z troskanym głosem. – Stary Underwood przyjdzie zobaczyć, co to za hałasy.

–Nie, nie przyjdzie. Jesteśmy za wysoko.

–Tylko dwa piętra.

–A on jest głuchy na jedno ucho. Nie słyszy.

–Jego żonka...

–Siedź cicho. Myślę. Coś zrobiłeś... Co to było? – Strzelił palcami. – Moje imię! O to chodzi! Użyłeś go, żeby odbić moje czary, a niech cię!

Przyglądałem się swoim paznokciom, uniosłem brwi.

–Może tak, może nie. Ja wiem, a ty musisz się dowiedzieć. Znowu tupnął.

–Przestań! Nie odzywaj się tak do mnie!

–Jak?

–Właśnie tak! Mówisz jak dziecko.

–Kto z kim przestaje, takim się staje.

To było zabawne. Naprawdę go rozdrażniłem. Razem z tajnym imieniem stracił tupet. Ale chyba za chwilę znów chciał zaatakować – przyjął odpowiednią postawę. Ja też – obronną pozę zapaśnika sumo. Ptolemeusz był akurat wzrostu tego chłopca, miał takie same czarne włosy i w ogóle był podobny* – cóż za piękna symetria.

Dzieciak z trudem panował nad sobą. Widziałem, jak przypomina sobie lekcje i zastanawia się, co teraz zrobić. Doszedł chyba do wniosku, że zwykła, szybka kara nie jest odpowiednia. Mógłbym przecież odwzajemnić się tym samym.

–Znajdę inny sposób – mruknął ponuro. – Już ty się doczekasz.

–Och, ale się boję. Patrz, jak się trzęsę.

Usilnie się nad czymś zastanawiał. Pod oczyma miał wielkie, szare sińce. Każde kolejne

zakłęcie coraz bardziej go nużyło – z korzyścią dla mnie. Magowie nieraz umierali ze zwykłego przepracowania. Ech, biedacy prowadzili tak nerwowe życie.

Zastanawiał się długo. Ziewnąłem ostentacyjnie i sprawilem, że na ręku pojawił mi się zegarek – abym mógł spoglądać nań ze znużeniem.

** Oczywiście Ptolemeusz wygląda! znacznie lepiej niż ten chłopak.*

–Dlaczego nie spytasz swojego szefa? – zasugerowałem. – On ci pomoże.

–Mój mistrz? Żartujesz.

–Nie ten stary głupek. Chodzi mi o tego, który napuścił cię na Lovelace'a. Chłopiec zmarszczył brwi.

–Nie ma nikogo takiego. Nie mam szefa. Zdziwiłem się.

–Działam w pojedynkę. Zagwizdałem.

–To znaczy, że naprawdę przyzywałeś mnie sam? Nieźle... jak na dzieciaka. –

Staralem się mówić pochlebnym tonem. – Dobrze, więc pozwól, że dam ci radę. Najlepsze, co teraz możesz zrobić, to pozwolić mi odejść. Potrzebujesz odpoczynku. Patrzyłeś ostatnio w lustro? To znaczy, takie bez impa w środku?

Masz zmarszczki od zmartwień. W twoim wieku?! A potem będą siwe włosy.

Co zrobisz, jak spotkasz się ze swoim pierwszym sukubem?* Wiesz, że to nie pociąga.

Gadałem jak najęty, niestety nie mogłem się powstrzymać. Dzieciak spoglądał na mnie zamyślony; niedobrze.

–Poza tym – dodałem – kiedy odejdę, nikt nie będzie wiedział, że to ty masz amulet. Będziesz mógł korzystać z niego w tajemnicy. To cenny przedmiot, chyba każdy chce go mieć. Nie mówiłem ci tego jeszcze, ale kiedy szwendałem się po mieście, jakaś dziewczynka próbowała mi go ukraść.

Chłopiec zmarszczył brwi.

–Jaka dziewczynka?

–Skąd mam wiedzieć! – Nie powiedziałem, że szło jej całkiem nieźle.

Wzruszył ramionami.

–Interesuje mnie tylko Simon Lovelace – mruknął jakby do siebie. – Nie amulet. Poniżył mnie i zamierzam go za to zniszczyć.

–Zagorzała nienawiść ci zaszkodzi – ośmieliłem się zauważyć.

–Dlaczego?

–Hm...

*** Sukkub: dzinn o kuszących, kobiecych kształtach. Zdziwiająco popularny wśród mężczyzn magów.**

–Demonie, zdradzę ci pewną tajemnicę. Dzięki moim czarom* widziałem, w jaki sposób Simon Lovelace zdobył Amulet z Samarkandy. Kilka miesięcy temu nocą przyszedł do niego nieznajomy: ogorzały, czarnobrody i w płaszczu. Przyniósł mu amulet i dostał za to pieniądze. To było potajemne spotkanie.

Parsknąłem.

–Co w tym dziwnego? Tak właśnie ubijają interesy magowie. Powinieneś o tym wiedzieć. Tyle że niepotrzebnie trzymają wszystko w tajemnicy.

–Było coś więcej, widziałem to w oczach Lovelace'a i w oczach tego obcego. Jakiś występki, jakaś niegodziwość... Płaszcz tamtego był poplamiony świeżą krwią.

–To nadal nie robi na mnie wrażenia. Morderstwo często jest waszym udziałem. Ty sam masz już obsesję na punkcie zemsty, a skończyłeś ledwie sześć lat.

–Dwanaście.

–Żadna różnica. Nie, w tym nie ma nic nadzwyczajnego. Ten gość poplamiony krwią pewnie świadczy różne, wiadome usługi. Będzie w książce telefonicznej, wystarczy, że tam zajrzysz.

–Chcę się dowiedzieć, kto to taki.

–Hm. Czarnobrody i w płaszczu, co? To zawęży krąg podejrzanych do jakichś pięćdziesięciu pięciu procent londyńskich magów. Nie wykluczając kobiet.

–Zamknij się! – chłopiec chyba miał już dość.

–O co chodzi? Myślałem, że się lubimy.

–Wiem, że amulet skradziono. I ktoś wtedy zginął. Kiedy dowiem się, kto, zdemaskuję Lovelace'a i ujrzę jego zagładę. Podłożę gdzieś amulet, zwabię go i zawiadomię policję. Złapię go na gorącym uczynku. Ale najpierw chcę dowiedzieć się wszystkiego o nim i o jego poczynaniach. Chcę poznać jego tajemnice, jak robi interesy, kim są jego przyjaciele... Muszę się dowiedzieć, kto wcześniej miał amulet, jak on działa, dlaczego Lovelace go ukradł. Rozkazuję ci więc, Bartimaeusie...

–Chwileczkę. Czy o czymś nie zapomniałeś?

*** Przechwałki, typowe dla magów. Tak naprawdę, robotę wykonał pechowy imp, zamknięty w mosiężnym dysku.**

–O czym?

–Znam twoje prawdziwe imię, Natusiu. A to oznacza, że mam nad tobą pewną władzę. Już nie jest tak łatwo, co?

Nie odpowiedział; myślał.

–Teraz nie możesz już mnie tak łatwo zranić – ciągnąłem dalej. – A to ogranicza twoje pole manewru. Rzuć coś we mnie, a ja to odrzucę.

–Wciąż mogę nakazać ci, byś wypełnił moją wolę. Wciąż musisz być mi posłuszny.

–To prawda. Twoje rozkazy są tym, co trzyma mnie na tym świecie. Nie mogę przeciwstawić się żadnemu z nich, nie uwalniając przy tym Suszącego Ognia*. Ale jasne jest jak słońce, że wypełniając twoje rozkazy, mogę też uprzykrzyć ci życie. Na przykład, szpiegując Simona Lovelace'a, mógłbym przy okazji donieść na ciebie innemu magowi. Jedno do tej pory mnie przed tym powstrzymywało: strach przed konsekwencjami. Ale teraz już się nimi nie przejmuję. A nawet jeśli wyraźnie zakazesz mi na siebie donosić, znajdę inny sposób, żeby ci zrobić na złość. Może gdy będę rozmawiał z jakimś kamratem, wymknie mi się twoje prawdziwe imię. Teraz nie zmrużysz już oka, będziesz bał się tego, co mogę ci zrobić.

Zadrzał. Łypał oczyma na lewo i prawo, jakby szukał słabych stron mojego rozumowania. Ale ja byłem spokojny, pewny siebie. Nie powierzaj misji džinnowi, który zna twoje imię, to tak, jakbyś rzucał płonące zapalki w fabryce fajerwerków. Wcześniej czy później będą konsekwencje. Najlepsze, co mógł zrobić, to odesłać mnie i mieć nadzieję, że za jego życia nikt już mnie nie wezwie.

W każdym razie tak mi się wydawało. Ale on okazał się wyjątkowo mądry i dobrze przygotowany jak na dzieciaka.

–Nie – powiedział wolno. – Jeśli zechcesz mnie zdradzić, ja cię nie

powstrzymam. Wszystko, co mogę ci zrobić, to sprawić, byś cierpiał wraz ze

mną. Zaraz, zaraz...

* Skomplikowana kara, złożona z piętnastu klątw w pięciu różnych językach. Magowie mogą użyć jej tylko wobec tych z nas, którzy rozmyślnie okażą nieposłuszeństwo albo odmówią wykonania rozkazu. Powoduje natychmiastową śmierć w płomieniach. Stosuje się ją tylko w krańcowych przypadkach, gdyż bardzo wyczerpuje czarodzieja... no i pozbawia go niewolnika.

Poszperał w kieszeniach wyświechtanego płaszcza.

–Gdzieś to musi być... Aha!

Wyciągnął małą, poobijaną puszkę z ozdobnym napisem *OLD CHOKEY*.

–To puszka na tytoń! – zawołałem. – Nie wiesz, że palenie zabija?

–W niej już nie ma tytoniu – odparł chłopiec. – To jedna z kadzielnic mojego mistrza. Teraz pełna rozmarynu.

Uniósł wieko na tyle, by otoczył mnie upiorny zapach i zjeżył mi włosy na karku. Niektóre zioła bardzo szkodzą naszej esencji, a rozmaryn właśnie do nich należy. Dlatego magowie wprost za nim przepadają*.

–Ja bym to wyrzucił i napełnił puszkę jakąś porządną machorką – poradziłem. – To znacznie zdrowsze.

Chłopiec zamknął pokrywkę.

–Chcę wyznaczyć ci misję – oznajmił. – W chwili, kiedy na nią wyruszysz, rzucę czar Wiecznego Uwięzienia** wiążący cię z tą puszką. Nie zadziała od razu, ale szczerze mówiąc, za miesiąc od tej chwili. Jeśli z jakiegoś powodu za miesiąc nie zdołam go odwołać, znajdziesz się w tej puszcze i będziesz w niej uwięziony, póki nie zostanie ponownie otwarta. Jak ci się to podoba? Kilkaset lat w puszczy z rozmarynem. To bardzo dobrze robi na cerę.

–Jesteś małym, podstępny spryciarzem – stwierdziłem ponuro.

–A na wypadek, gdyby coś cię podkusiło i chciałbyś zaryzykować karę, przywiążę do tej puszki cegłę i nim zapadnie zmrok, wrzucę ją do Tamizy. Nie spodziewaj się więc, że ktoś cię szybko uwolni.

–Nic mnie nie podkusi. Aż tak szalonym optymistą nie jestem.

Teraz on triumfował. Wyglądał jak wredny chłopak z placu zabaw, który właśnie zdobył pierwszą nagrodę.

–A więc, Bartimaeusie, co ty na to? – wyraźnie kpił.

* Specjalna gałąź przemysłu produkuje dla magów ochronne ziołowe płyny po goleniu i dezodoranty. Na przykład Simon Lovelace wręcz cuchnie jarzębiną. ** Czar Wiecznego Uwięzienia jest paskudny, to jedna z najokropniejszych gróźb, jakimi postraszyć nas mogą

czarodzieje. Sprawia na przykład, że ofiara całe stulecia siedzi w ciasnym zamknięciu, co gorsza, często w jakimś zwyczajnym przedmiocie; pudełku od zapalek, butelce, torbie... Słyszałem nawet o dżinnie zamkniętym w brudnej, starej lampie.

Uśmiechnąłem się promiennie.

–A może zapomnisz o tej całej głupiej puszce i po prostu mi zaufasz?

–Nie ma szans.

Skuliłem się. W tym właśnie cały problem. Niezależnie od tego, jak bardzo się postarasz, magowie zawsze w końcu znajdą sposób, żeby cię załatwić.

–W porządku, Nathanielu – powiedziałem. – Czego ode mnie oczekujesz?

Część 2

9{atfianid

15

edwie džinn zmienił się w gołębia i wyleciał przez okno, Nathaniel zamknął je, zaciągnął zasłony i usiadł na podłodze. Twarz miał bladą jak trup, drżał z wyczerpania. Przez ponad godzinę nic nie robił, tylko ciężko oparty o ścianę tępo gapił się przed siebie.

Zrobił to. Tak, zrobił to tak, jak należy: demon został poskromiony, znów był w jego mocy. Teraz musiał tylko dbać o czar rzucony na puszkę – a Bartimaeus będzie mu służył tak długo jak on, mag, sobie zażyczy. Już nie musiał się niczym martwić. Absolutnie niczym.

Wciąż sobie to powtarzał. Jednak ręce mu się trzęsły, serce boleśnie łomotało, a uspokajające zapewnienia jakoś go nie przekonywały. Ze złością zmusił się, by oddychać głęboko, i mocno zacisnął dłonie, chcąc powstrzymać ich drżenie. W ostatnim ułamku sekundy uchylił się przed Klatką Bólu. Po raz pierwszy śmierć zajrzała mu w oczy. To dlatego tak reagował. Za kilka minut uspokoi się, rzuci czar, wsiądzie w autobus i pojedzie nad Tamizę...

Dżinn znał jego prawdziwe imię.

Znał jego prawdziwe imię.

Bartimaeus z Uruk, Sachr al-Dżinni z Al-Arisz... Pozwolił, żeby on poznał jego imię... Pani Underwood je wypowiedziała, džinn usłyszał i w ten

właśnie sposób została złamana najważniejsza z zasad bezpieczeństwa. Teraz Nathaniel musiał iść na kompromis i może już zawsze tak będzie.

Ogarnęła go panika, poczuł ucisk w gardle, niemal stracił oddech. Pierwszy raz, od kiedy pamiętał, oczy wypełniły mu się łzami. Najważniejsza z zasad. Jeśli ją złamiesz, skążesz się na zatracenie. Demon zawsze znajdzie na ciebie sposób. Daj mu odrobinę mocy, a wcześniej czy później cię dostanie. Czasem trwa to latami, ale w końcu zawsze...

Przypomniawszy sobie różne słynne przypadki, o których czytał w książkach. Werner z Pragi: pozwolił, by jakiś niegroźny, służący mu imp poznał jego imię, imp zdradził je diablikowi, ten przekazał je džinnowi, a džinn – afrytowi. Trzy lata później, kiedy Werner szedł przez plac Waclawa, chcąc kupić sobie pieczoną kielbasę, uniósł go nagły powietrzny wir. Przez kilka godzin ogłuszające wrzaski czarodzieja niepokoiły spokojnych mieszczan. Gdy wreszcie ucichły, pokawałkowane ciało nieszczęśnika spadło na kominy i blaszane koguciki nad domami. A przecież gorszy los spotkał innych nieostrożnych czarodziejów: Paula z Turynu, Septimusa Manninga, Johanna Fausta...

Z ust Nathaniela wydobył się szloch – i ten cichy, żalony dźwięk wyrwał chłopca z otchłani rozpaczy i żalu. Żył, a demon pozostał pod jego kontrolą. Albo się znajdzie, gdy tylko załatwi sprawę z puszką. Powinien wreszcie wziąć się w garść.

Wstał z trudem, taki był zmęczony. Przewyciężył lęk i wziął się do pracy. Znów narysował pentagram, zmienił kadzidło, zapalił nowe świece. Wkradł się do biblioteki mistrza i sprawdził inkantacje. Do puszki po tytoniu włożył więcej gałązek rozmarynu, ustawił ją na środku kręgu i zaczął rzucać czar Wiecznego Uwięzienia. Po długich pięciu minutach zaschło mu w gardle, a głos się łamał, jednak na powierzchni puszki zaczęła migotać stalowoszara aura. Rozbłysła i zgasła. Nathaniel wypowiedział imię Bartimaeusa, podał astrologiczną datę – wtedy demon miał znaleźć się w zamknięciu – i zakończył czary. Puszka znów wyglądała tak jak przed obrzędem. Chłopiec schował ją do kieszeni kurtki, zdmuchnął świece, dywanem zasłonił znaki na podłodze i runął na łóżko.

Godzinę później pani Underwood przyniosła mężowi lunch i zwierzyła mu się ze swych obaw.

–Martwię się o chłopca – powiedziała. – Ledwie skosztował kanapki.

Siedział za stołem blady jak ściana. Tak jakby był na nogach całą noc. Coś go wystraszyło... albo jest chory – przerwała. – Kochanie?

Underwood przyglądał się jedzeniu na talerzu.

–Martho, nie dałaś mi sosu z mango. Wiesz, że lubię go z sałatą i szynką. – Już zjedliśmy, kochanie... Jak myślisz, co powinniśmy zrobić?

–Kupić go. To chyba jasne, prawda? Na litość boską, kobieto...

–Chodzi mi o chłopca.

–Hm? Och, z nim wszystko w porządku. Po prostu jest podniecony

Nadaniem Imienia. No i przyzwaniem swojego pierwszego impa. Pamiętam, jaki ja byłem przerażony. Mistrz prawie batem musiał mnie zapędzać do kręgu.

Underwood włożył do ust widelec z kawałkiem szynki.

–Powiedz mu, żeby przyszedł do mnie do biblioteki za jakieś półtorej godziny i nie zapomniał wziąć *Almanachu*. Nie, niech przyjdzie za godzinę.

Będę musiał potem zadzwonić do Duvalla w sprawie tych kradzieży, niech to szlag.

W kuchni Nathaniel zjadł tylko połowę kanapki. Pani Underwood zmierzwiła mu włosy.

–Rozchmurz się – powiedziała. – Czy to Nadanie Imienia tak cię niepokoi?

Nie masz się czym martwić. Nathaniel to ładne imię, ale jest też mnóstwo

innych dobrych imion. Tylko pomyśl, możesz sobie przybrać każde, jakie

zechcesz, oczywiście w granicach rozsądku, no i pod warunkiem że nie nosi

go żaden inny mag. Wiesz, prości ludzie nie mają takiego przywileju. Muszą

zadowolić się jednym imieniem.

Zacęła się krzątać, napełniła imbryk, szukała mleka. I cały czas mówiła, mówiła, mówiła. Chłopiec poczuł, jak w kieszeni ciąży mu puszka.

–Pani Underwood, chciałbym wyjść na chwilę – powiedział. – Potrzebuję świeżego powietrza.

Popatrzyła na niego uważnie.

–Ale przecież nie możesz, kochanie. Nie przed Nadaniem Imienia. Twój mistrz za godzinę chce się zobaczyć z tobą w bibliotece. I powiedział, żebyś nie zapomniał wziąć *Almanachu imion*. Chociaż... rzeczywiście wyglądasz mizernie. Myślę, że świeże powietrze dobrze ci zrobi... On na pewno nie zauważy, jak sobie wyjdiesz na pięć minut.

–Już w porządku, pani Underwood. Jednak zostanę w domu.

Pięć minut? Potrzebował dwóch godzin, może nawet więcej. Będzie więc musiał później pozbyć się puszek i mieć nadzieję, że Bartimaeus nie zrobi wcześniej nic złego.

Pani Underwood nalala chłopcu herbaty i postawiła filiżankę na stole.

–To przywróci kolory twoim policzkom. Nathanielu, dzisiaj jest twój wielki dzień. Kiedy się znów zobaczymy, będziesz kimś innym. Chyba już ostatni raz nazywam cię twoim starym imieniem. Od teraz powinnam je zacząć zapominać.

Dlaczego nie zaczęłaś zapominać już dziś rano? – pomyślał. Mała, niegodziwa część jego duszy była na nią złą za to jej nieostrożne wyrażanie uczuć, ale chłopiec wiedział, że jest niesprawiedliwy. To przecież on zawinił, on pozwolił, by demon podsłuchał panią Underwood. Spokojny, skryty, silny... Teraz nie pasowało do niego żadne z tych określeń. Pociągnął łyk herbaty i oparzył sobie usta.

–Chodź, chłopcze, chodź.

Mistrz siedział na wysokim krześle za biurkiem w bibliotece i wyglądał niemal przyjaźnie. Spojrzał na zbliżającego się Nathaniela i wskazał mu stół obok siebie.

–Siadaj, siadaj. No, wyglądasz lepiej niż zwykle. Nawet włożyłeś marynarkę? Cieszę się, że zdajesz sobie sprawę z powagi tej chwili.

–Tak, panie.

–Dobrze. Gdzie jest „*Almanach*”? Dobrze, zatem spójrzmy.

Księga była oprawiona w błyszczącą, zieloną skórę i opasana wstążką. Przyniesiono ją dopiero wczoraj, jeszcze w ogóle do niej nie zaglądano. Pan Underwood delikatnie uniósł okładkę i zerknął na stronę tytułową.

Almanach imion Loewa, wydanie trzysta pięćdziesiąte piąte... Jak ten czas leci. Ja wybierałem imię z wydania trzysta pięćdziesiątego, wiesz? Pamiętam to, jakby to było wczoraj.

–Tak, panie. – Nathaniel zdusił ziewnięcie. Dopadło go zmęczenie po wysiłkach poranka, jednak teraz musiał się skupić na czekającym go zadaniu. Patrzył, jak mistrz wertuje strony i usta mu się nie zamykają.

–Ten almanach, chłopcze, zawiera wszystkie oficjalne imiona używane przez magów od złotej ery Pragi po dzień dzisiejszy. Wielu imion używano

więcej niż raz. Obok każdego mamy adnotację, czy imię jest obecnie zajęte. Jeśli nie, można je sobie przybrać. Możesz też wymyślić własne imię. Spójrz tutaj: „Underwood, Arthur, Londyn”... Jestem drugim czarodziejem o tym imieniu, chłopcze. Pierwszy był wpływowym jakobitą, sadzę, że bliskim towarzyszem króla Jakuba I. Długo się zastanawiałem i stwierdziłem, że mógłbyś pójść w ślady jednego z wielkich magów.

–Tak, panie.

–Może Theophilus Throckmorton. Był znamienitym alchemikiem. A... tak, widzę, że to imię jest wolne. Co? Nie podoba ci się? A co powiesz na Balthazara Jonesa? Nie jesteś przekonany? No, może ciężko ci nadażyć. Tak, chłopcze? Masz jakąś propozycję?

–Panie, czy wolne jest imię William Gladstone? Podziwiam go.

–Gladstone! – Mistrz wybałuszył oczy. – Co za pomysł... Chłopcze, niektóre imiona są za wielkie i za świeże, by je przybierać. Nikt by się nie odważył! To byłby szczyt bezczelności. – Zmarszczył brwi. – Jeśli nie umiesz sam dokonać sensownego wyboru, będę musiał wybrać za ciebie.

–Przepraszam, panie. Nie pomyślałem o tym.

–Dobrze, że jesteś ambitny, mój chłopcze, ale musisz to ukrywać. Inaczej cisną cię w płomień, nim skończysz dwadzieścia lat. Mag nie powinien za szybko zwracać na siebie uwagi. Na pewno dotąd, zanim nie przyzwie swojego pierwszego moulera. Przejrzyjmy więc obaj te imiona od początku...

Zanim dokonali wyboru, minęła godzina i dwadzieścia pięć minut. Nathaniel ciężko się przy tym napracował. Jego mistrz chyba przepadał za pospolitymi magami o pospolitych imionach i chłopcu z trudem udało się uniknąć Fitzgibbona, Treaclea, Hoomsa i Gallimaufryego. Z kolei wybór Nathaniela Underwoodowi zawsze wydawał się zbyt arogancki i ostentacyjny. Ale w końcu udało im się dojść do porozumienia. Mag ze znużeniem wyjął urzędowy formularz, wpisał tam nowe imię i nazwisko i złożył podpis. Nathaniel też musiał się podpisać w dużym okienku na dole strony. Jego podpis był niezgrabny i koślawy, ale przecież składał go po raz pierwszy. Cicho przeczytał go sobie na głos:

John Mandrake.

Stał się trzecim czarodziejem o tym imieniu i nazwisku. Żaden z jego poprzedników nie dokonał niczego wartego uwagi, jednak tym akurat się nie przejmował. Wszystko było lepsze od Treaclea.

Mistrz złożył papier, schował do brązowej koperty i zasiadł na krześle.

–Zatem, John – powiedział – stało się. Teraz podstempluję to w ministerstwie i zaczniesz swoje urzędowe życie. Jednak nie wyobrażaj sobie za dużo. Wciąż prawie nic nie umiesz, o czym się zresztą przekonasz, jak jutro będziesz przyzywał ropucha. Tymczasem za moją sprawą, zakończył się pierwszy etap twojej edukacji.

–Tak, panie. Dziękuję.

–Bóg jeden wie, że było to sześć długich i nerwowych lat. Często wątpiłem, czy w ogóle zdołasz dotrzeć tak daleko. Większość mistrzów wyrzuciłaby cię na ulicę już po tamtym incydencie z zeszłego roku. Ale ja postąpiłem inaczej... Nieważne. Od teraz możesz już nosić swoje soczewki.

–Dziękuję, panie – Nathaniel nie mógł powstrzymać się od mrugania. Soczewki miał już na oczach.

–Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka lat znajdziemy ci dobrą pracę, może posadę podsekretarza w jakimś pomniejszonym ministerstwie -mówił zadowolony Underwood. – To nie będzie wdzięczne zajęcie, ale odpowiednie do twych skromnych możliwości. Nie każdy mag może aspirować do tego, by zostać ważnym ministrem, takim jak ja. Ale, John, to nie powinno powstrzymać cię od wnoszenia swego wkładu w dobro państwa, nawet wkładu tak skromnego. Tymczasem, jako mój uczeń, będziesz mógł mi towarzyszyć podczas odprawiania łatwych czarów i trochę mi się odwdzięczyć za ten cały mój dla ciebie wysiłek.

–Będę zaszczycony, panie.

Mistrz machnął dłonią, dając Nathanielowi znak, że może odejść, i zasępił się. Chłopiec był już w połowie drogi do drzwi, kiedy mag o czymś sobie przypomniał.

–Jeszcze jedno – powiedział. – Twoje Nadanie Imienia odbyło się w samą porę. Za trzy dni jadę do parlamentu, żeby wysłuchać przemówienia premiera, skierowanego do wszystkich ważniejszych członków rządu. To będzie wielka ceremonia, a premier w zarysie przedstawi swoje zamierzenia w sprawach polityki wewnętrznej i międzynarodowej. Zaproszeni są też

nazwani uczniowie oraz współmałżonkowie. Jeżeli wcześniej niczym mnie nie rozdrażnisz, wezmę cię ze sobą. To będzie dla ciebie niezwykle doświadczenie, zobaczysz mistrzów magii, wszystkich razem!

–Tak, panie, bardzo dziękuję!

Chyba pierwszy raz w rozmowie z mistrzem Nathaniel szczerze się ucieszył. Parlament! Premier! Wyszedł z biblioteki i pobiegł schodami do swojej sypialni i do świetlika, przez który mógł dojrzeć siedzibę parlamentu szaro majaczącą w oddali. Teraz wydala mu się skąpiana w słońcu.

Chwilę później przypomniał sobie o puszce po tytoniu – wciąż miał ją w kieszeni.

Do obiadu zostały jeszcze dwie godziny. Pani Underwood była w kuchni, mistrz rozmawiał przez telefon w gabinecie. Nathaniel wymknął się z domu frontowymi drzwiami, zabierając pięć funtów ze skarbonki, którą pani Underwood postawiła na półce w przedpokoju. Złapał autobus jadący na południe.

Magowie raczej nie korzystali z publicznych środków transportu. Chłopiec usiadł na tylnym siedzeniu, jak najdalej od innych pasażerów. Kątem oka obserwował, jak wsiadają i wysiadają. Mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi; młodzieńcy w szarych ubraniach, dziewczęta z wisiorkami na szyjach. Sprzeczała się, śmiali albo też siedzieli w ciszy, czytając gazety, książki i kolorowe magazyny. Widać było, że ci ludzie nie sprawują żadnej władzy. Nathanielowi, którego kontakty międzyludzkie były ograniczone, wydawali się jakoś dziwnie bez wyrazu – ich rozmowy nie dotyczyły chyba niczego ważnego, a książki sprawiały wrażenie banalnych. Wyglądali na prostaków niegodnych zainteresowania.

Minęło pół godziny i autobus dotarł do mostu Blackfriars nad Tamizą.

Chłopiec wysiadł, poszedł na sam środek mostu i wychylił się za kutą, żelazną balustradę. Trwał właśnie przypyływ. Rzeka toczyła szybko swoje szare wody, na powierzchni nieustannie tworzyły się wiry. Po obu stronach Tamizy wznosiły się biurowce, na przybrzeżnych ulicach zaczynały już błyskać światła lamp i samochodów. Chłopiec wiedział, że Parlament jest tuż za zakrętem rzeki. Jeszcze nigdy nie był tak blisko niego. Już sama ta myśl sprawiła, że szybciej zabiło mu serce.

Jutro przyjdzie czas na to wszystko. A teraz czeka go ważne zadanie. Wyciągnął z kieszeni plastikową torebkę i kawałek cegły znaleziony

w ogrodzie. Z drugiej kieszeni wyjął puszkę po tytoniu. Cegłę i puszkę schował do torebki i dobrze zawiązał na potrójny węzeł. Szybko zerknął w lewo i w prawo. Przechodnie mijali go pospiesznie, zgarbieni, ze spuszczoneymi głowami. Żaden nie spojrział w jego stronę. Nie zwlekając, chłopak cisnął pakunek za balustradę i patrzył, jak spada.

Nisko... Coraz niżej... Aż wreszcie puszka stała się tylko białą drobiną. Nathaniel zobaczył jeszcze, jak z chlupotem wpadła do rzeki i znikła.

Postawił kołnierz kurtki, chroniąc szyję przed hulającym wzdłuż rzeki wiatrem. Już był bezpieczny. No, tak bezpieczny, jak to było teraz możliwe. Jeżeli Bartimaeus odważy się go zdradzić...

Kiedy wracał mostem na przystanek, zaczęło padać. Szedł powoli, zatopiony w myślach, niemal wpadając na ludzi spieszących w przeciwnym kierunku. Klęli na niego, kiedy go mijali, ale ledwie to zauważał. Był bezpieczny... Tylko to się teraz liczyło...

Z każdym krokiem ogarniało go coraz większe znużenie.

Oiaritnaeiis

16

Kiedy przez lufcik opuściłem izbę chłopca, w głowie klębiły mi się różne plany, przemyślałem też skomplikowane strategie. Nie patrzyłem więc, gdzie lecę, i wpadłem prosto na komin. Było w tym coś symbolicznego. Tak właśnie kończy się fałszywe poczucie wolności.

Pofrunąłem dalej, mknąc przez przestworza – jeden z miliona gołębi tego wielkiego miasta. Słońce grzało mi skrzydła, chłodne powietrze straszło piękne pióra. Na dole, aż po sam niewyraźny horyzont, ciągnęły się i ciągnęły długie rzędy szarobrazowych dachów – jak bruzdy na gigantycznym jesiennym polu. Och, jakże wzywały mnie wielkie przestrzenie! Chciałem frunąć tak długo, aż opuszczę to przekłete miasto – i nie oglądać się za siebie. Mogłem tak zrobić. Nikt nie mógł mnie powstrzymać czy przyzwać z powrotem. Ale teraz nie wolno mi było oddawać się marzeniom. Chłopiec jasno powiedział, co się stanie, jeżeli zawiodę i nie będę pilnie szpiegował Simona Lovelace'a. Oczywiście, mogłem wykorzystać to, co wiedziałem o dzieciaku tak, jak tylko zechcę, ale musiałem pamiętać, że wszystko, czym ugodzę Nathaniela, ostatecznie ugodzi też i mnie. Jasne, teraz przynajmniej chłopiec nie mógł mnie przyzwać – był zmęczony i potrzebował odpoczynku*.

* Nie on jeden, wierzcie mi.

Na wykonanie zadania miałem cały miesiąc. Jednak wciąż musiałem robić to, co mi każe, i to tak, by był zadowolony. A jeśli nie, to czeka mnie spotkanie z Old Chokeyem, który pewnie już z wolna osiada w gęstym, ciemnym mule na dnie Tamizy. Wolność to złudzenie. Wcześniej czy później trzeba za nią płacić.

Przemyślałem wszystko i doszedłem do wniosku, że mam dość skromny wybór: rozpocząć poszukiwania albo od znanego miejsca, albo od znanego faktu. Miejscem była willa Simona Lovelace'a w Hampstead, tam pewnie knuł swoje ciemne sprawy. Nie uśmiechał mi się powrót do tego domu, ale może chociaż się zmuszę, by obejrzeć go z zewnątrz, i poobserwuję, kto wchodzi, a kto wychodzi. A co było znanym faktem? – mag najwyraźniej posiadał Amulet z Samarkandy w jakiś nielegalny sposób. Może udałoby mi się znaleźć kogoś, kto więcej wie o ostatnich dziejach artefaktu – na przykład kto był jego poprzednim właścicielem.

Postanowiłem zacząć od wizyty w Hampstead. Przynajmniej wiedziałem, jak się tam dostać.

Tym razem trzymałem się jak najdalej od posiadłości. Po drugiej stronie ulicy znalazłem dom, z którego miałem przyzwoity widok na wjazd i bramę do willi. Poleciałem tam i usiadłem na rynnicy. Przyjrzałem się okolicy. Zauważyłem, że od zeszłej nocy w systemie obronnym Lovelace'a dokonano kilku zmian.

Naprawiono ochronną sieć i wzmocniono ją dodatkową warstwą. Najbardziej osmalone drzewa zostały ścięte i wywiezione. Co gorsza, na planach czwartym i piątym na trawnikach czaiło się kilka wysokich, szczupłych, czerwonych stworów.

Ani śladu Lovelace'a, Faquarla i Jabora, minęło jednak ledwie parę minut. Uznałem, że powinienem siedzieć tam mniej więcej godzinę. Nastroszyłem pióra, chroniąc się przed wiatrem, i rozpocząłem wartę.

Na tej rynnicy przesiedziałem w końcu trzy dni. Całe trzy dni. Taki odpoczynek z pewnością dobrze mi zrobił, lecz ból, który wzrastał we mnie w tym moim ptasim wcieleniu, sprawił, że czułem się nie najlepiej. No i bardzo się wynudziłem. Nie wydarzyło się nic szczególnego.

Co rano stary ogrodnik dreptał po posiadłości i rozrzucał nawóz w tych miejscach trawnika, gdzie trafiły Detonacje Jabora. Popołudniami przycinał łodyżki i grabił, potem wypijał filiżankę herbaty. Nie wiedział o obecności czerwonych stworów – trzy ciągle go bacznie obserwowały, niczym jakieś wielkie, drapieżne ptaki. Bez wątpienia nie pożarły staruszka tylko dlatego, że zabraniały im tego ściśle rozkazy, otrzymane po przyzwaniu.

Co wieczór na poszukiwania wyruszała w miasto cała sfera kul tropiących. Sam mag zostawał w domu, na pewno przewodził stamtąd innym próbom odnalezienia amuletu. Nie mając nic do roboty, zastanawiałem się, czy Faquarl i Jabor przeboleli już to, że dali mi uciec. Mogłem tylko mieć nadzieję.

Rankiem trzeciego dnia ze skupienia wyrwało mnie ciche, przymilne gruchanie. Na rynnie, z mojej prawej strony, przysiadł mały, śliczny gołąbek. Spoglądał na mnie z wyraźnym zainteresowaniem, przechylając łeppek. Zacząłem podejrzewać, że to samiczka. Wydałem z siebie wyniosłe, pogardliwe gruchnięcie i spojrzałem spode łba. Gołębica kokieteryjnie podskoczyła na rynnie. Jeszcze tylko tego mi brakowało! Ptaka, któremu zebralo się na amory. Odsunąłem się. Ona przyskoczyła bliżej. Znowu się odsunąłem. Teraz znalazłem się już na samym końcu rynny, stercząc nad wylotem rury odpływowej.

Kusiło mnie, by zmienić się w dachowego kocura i tak wystraszyć samiczkę, żeby aż wyskoczyła z piór – jednak przemiana tak blisko willi była zbyt ryzykowna. Już miałem odlecieć, kiedy wreszcie zobaczyłem, jak ktoś wychodzi z posiadłości.

W błyszczącej niebieskiej sieci pojawił się mały okrągły otwór. Przeszedł nim ciemnozielony imp o świńskim ryju. Otwór zaraz się zasklepił. Istota zamachała skrzydłami i poleciała wzdłuż ulicy na wysokości latarni.

W łapie trzymała kilka listów.

I właśnie wtedy tuż przy uchu usłyszałem mruczące gruchnięcie. Lekko odwróciłem głowę – i spojrzałem prosto na dziób gołębicy. Przebiegła samiczka skorzystała z nadarzającej się okazji, by się do mnie przytulić.

Moja odpowiedź była krótka i wymowna. Natrętny ptak dostał kopniaka w kuper i końcem skrzydła w oko. Potem, co sił w piórach, ruszyłem za impem.

Było dla mnie jasne, że to posłaniec. Pewnie dostał wiadomość zbyt niebezpieczną albo tajną, żeby posłać ją pocztą czy przekazać przez telefon. Widywałem już takie stworzenia*. Niezależnie od tego, co niósł ten demon, miałem dzięki temu pierwszą sposobność, by pospieszyć do Lovelace'a.

Imp przefrunął nad kilkoma ogrodami, szybował na prądzie wznoszącym. Leciałem za nim, wysilając swoje krótkie, grube skrzydła, i rozważałem całą sytuację. Najbezpieczniej i najrozsądniej byłoby zawrzeć znajomość z kurierem. Mógłbym, na przykład, przybrać kształt innego posłańca i zacząć rozmowę, a może nawet, podczas kilku „przypadkowych” spotkań, stopniowo zdobyć jego zaufanie. Gdybym był wystarczająco cierpliwy, przyjacielski i pozwolił mu się rozluźnić, na pewno by coś wypaplał...

Mogłem go też po prostu pobić. Szybszy to i bardziej prosty sposób, więc właśnie na niego się zdecydowałem. Pomknąłem za impem, zachowując odpowiedni dystans, i wyprzedziłem go nad Hampstead Heath.

Gdy znaleźliśmy się daleko od willi Lovelace'a, z gołębia przemieniłem się w gargulca. Spadłem na nieszczęsnego impa i przycisnąłem do ziemi wśród niskich drzewek. Potem chwyciłem go za nogi i gwałtownie nim potrząsnąłem.

–Puszczaj – kwiczał, machając czteropalczystymi łapami. – Jeszcze dorwę cię! Rozerwę na strzępy!

–Czyżby, kolego? – Zaciągnąłem go w krzaki i przygniotłem kamieniem. Wystawał tylko ryj i łapy. – Dobra – powiedziałem, siadając po turecku na szczycie głazu i zabierając posłańcowi koperty. – Najpierw to przeczytam, a potem pogadamy. Wyśpiewasz wszystko, co wiesz na temat Simona Lovelace'a.

Nie zwracając uwagi na wyjątkowo szokujące przekleństwa, przyjrzałem się kopertom. Bardzo się od siebie różniły. Jedna była gładka i pusta. Nie spostrzegłem na niej żadnego znaku, zapieczętowano ją tylko niewielką kapką czerwonego wosku. Druga wyglądała okazalej, miękko,

* Niektóre znane mi społeczności magów często korzystają z impów-posłańców. Dachy i daktylowe palmy Bagdadu (gdzie nie było ani telefonu, ani emaili) wkrótce po śniadaniu i niedługo przed zachodem słońca aż roily się od tych istot, bo właśnie wtedy zwykle słano sobie wiadomości.

żółtawy pergamin ozdobiono pieczęcią z inicjałami maga, SL. Adresatem był niejaki R. Devereaux Esq.

–Pierwsze pytanie – powiedziałem. – Kim jest R. Devereaux?

Imp miał głos przytłumiony, choć bezczelny.

–Chyba żartujesz! Nie wiesz, kim jest Rupert Devereaux? Jesteś głupi czy co?

–Dobra rada: nie bądź niegrzeczny dla kogoś większego od ciebie, zwłaszcza kiedy on przygniótł cię głazem.

–Możesz sobie wsadzić swoją radę w...

–Pytam jeszcze raz. Kim jest Rupert Devereaux?

–To brytyjski premier, o Szczędry i Miłosiwy Panie.

–Na pewno?*** Lovelace nie obraca się w tak wysokich kręgach. Zobaczmy, co on ma do przekazania premierowi...

Wysuwając najostrzejszy ze swych szponów, ostrożnie podważyłem pieczęć, tak aby jak najmniej ją uszkodzić, po czym odłożyłem na bok, na kamień.

Otworzyłem kopertę.

Nie był to najbardziej ekscytujący list, jaki zdarzyło mi się przechwycić.

Drogi Rupercie,

Proszę, przyjmij moje wielkie, najpokorniejsze przeprosiny, jednak tego wieczoru mogę nieco spóźnić się do parlamentu... Wynikła niesłychanie pilna sprawa, związana z wielkim wydarzeniem w przyszłym

* Te gwiazdki litościwie zasłaniają krótki, ocenzurowany epizod, w którym pojawiają się brzydkie wyrazy i, niestety, trochę koniecznej przemocy. W chwili gdy wracamy już do opowieści, wszystko jest takie jak wcześniej, tyle że ja jestem nieco spocony, a skruszony imp zmienił się w przykładowego współpracownika.

** W noc, w którą skradłem amulet, słyszałem, jak Lovelace sceptycznie wyrażał się o uzdolnieniach premiera, a moja niewiedza tylko potwierdziła słowa maga. Gdyby Devereaux był kimś wybitnym, z pewnością usłyszałbym już jego nazwisko. Wieści o silnych ludziach, tych, którzy zawsze robią najwięcej zamieszania, zawsze rozchodzą się szybko.

tygodniu, i po prostu muszę ją dziś załatwić. Nie chciałbym, aby cokolwiek opóźniło się ponad miarę. Mam nadzieję, że uznasz to za wystarczające, aby mi wybaczyć, jeż eli nie zdołam przybyć na czas.

Skorzystam też ze sposobności, aby jeszcze raz Cię zapewnić o wielkiej wdzięczności za to, że zostaliśmy gospodarzami tego spotkania.

Amanda właśnie odnowiła dwór i teraz mebluje Twój apartament (w stylu nowoperskim). Zamówiła też mnóstwo Twoich ulubionych smakołyków, na przykład świeże języki skowronków.

Jeszcze raz przepraszam. Na pewno będę obecny podczas Twojego przemówienia.

Twój wierny i niezmiennie posłuszny sługa.

Simon

Zwyczajne płaszczenie się, typowe dla rozmów czarodziejów, pochlebne bzdury zostawiające tylko niesmak. I żadnych ważnych informacji. Przynajmniej nie musiałem łamać sobie głowy, by domyślić się, co znaczą słowa „niesłuchanie pilna sprawa”. Mogło chodzić tylko o zniknięcie amuletu, a magowi zależało na tym, by odzyskać go przed „wielkim wydarzeniem” zaplanowanym na przyszły tydzień – jakimś spotkaniem. Może warto to zbadać. Amanda to na pewno kobieta, którą widziałem z Lovelace'em podczas mojej pierwszej wyprawy do jego willi. Lepiej dowiedzieć się o niej czegoś więcej.

Ostrożnie włożyłem list z powrotem do koperty, chwyciłem pieczęć i małym płomieniem nadtopiłem ją od spodu. Następnie przyłożyłem do koperty, przycisnąłem – i gotowe! Wyglądała jak nowa.

Otworzyłem drugą kopertę. W środku była mała karteczka z krótką wiadomością.

Nadal nie ma biletów. Możliwe, że będziemy musieli odwołać przedstawienie. Proszę, zastanów się na tym. Spotkamy się wieczorem u P

To już coś więcej! Bardziej podejrzane – bez adresu, bez podpisu, same ogólności. Jak przeważnie w tajnych wiadomościach, prawdziwe znaczenie

pozostawało ukryte. Albo przynajmniej taki by się zdało prostakowi, który przez przypadek by to przeczytał. Ale ja od razu się domyśliłem, co znaczą te bzdury o „biletach”. Lovelace raz jeszcze dyskretnie wspominał o zagubionym amulecie. Wyglądało na to, że dzieciak miał rację: może mag zrobił coś, co musiał ukrywać. Nadszedł więc czas, by zadać kilka pytań mojemu przyjacielowi impowi.

–Dobrze – powiedziałem. – Ta nieopisana koperta. Gdzie ją niosłeś?

–Do rezydencji pana Schylera, o Najstraszliwszy. On mieszka w Greenwich.

–A kim jest pan Schyler?

–Sądzę, o Światło Wszystkich Dżinnów, że to dawny mistrz pana Lovelace'a. Regularnie przenoszę listy między nimi. Obaj są ministrami.

–Rozumiem.

To już coś, choć wciąż niewiele. Ale o co im chodziło? Co to za „przedstawienie”, które mogło zostać odwołane? Wskazówki w obu listach wskazywały na to, że Lovelace i Schyler spotkają się tego wieczoru w parlamencie, by przedyskutować swoje sprawy. Dobrze byłoby znaleźć się tam i posłuchać, co też mają do powiedzenia.

–Simon Lovelace... Co o nim wiesz? – spytałem. – I jakie spotkanie

organizuje?

Imp wydał rozpaczliwy okrzyk.

–O Brylantowy Promieniu Gwiazd, bardzo mi przykro, ale nie wiem! Możesz mnie usmażyć za moją ignorancję! Ja, nędzny pył, tylko zanoszę wiadomości. Lecę tam, gdzie mi każą, i nigdy nie zatrzymuję się po drodze, chyba że mam szczęście zostać zatrzymany przez Waszą Łaskawość i zgnieciony kamieniem.

–W rzeczy samej. Dobrze, kto jest najbliższy Lovelace'owi? Do kogo najczęściej nosisz wiadomości?

–O, Najsłynniejsza Istoto Najwyższej Godności, najczęściej koresponduje on chyba z panem Schylerem. W każdym razie nikt inny się nie wyróżnia. Znajomi pana Lovelace'a to głównie politycy i towarzyska śmietanka Londynu. Oczywiście, wszyscy to magowie. Tylko jednego dnia, na przykład, niosłem wiadomości do Tima Hildicka, ministra regionów, Sholto Pinna z Sklepu u Pinna oraz do i od Quentina Makepeacea, impresaria teatralnego. Tak to mniej więcej wygląda.

-Sklep u Pinna, co to jest?

–Gdyby kto inny zadał to pytanie, o Ty, Który Jest Straszliwy i Wielki, nazwałbym go głupcem i ignorantem. W twoim przypadku jest to jednak objaw szlachetnej prostoty, źródła wszelkich cnót. Słynny w całym Londynie sklep u Pinna dostarcza magiczne artefakty. Mieści się przy Piccadilly. Sholto Pinn to jego właściciel.

–Ciekawe. Czyli że jeśli jakiś mag chce kupić artefakt, to idzie do Sholto Pinna?

–Tak.

–Słucham?

–Wybacz mi, o Przewspaniały, trudno mi wymyślać nowe tytuły, gdy pytasz tak szybko.

–Tym razem ci daruję. Zatem, poza Schylerem, wśród jego znajomych nikt się nie wyróżnia? Jesteś pewien?

–Tak, o Przewspaniały. Ma wielu przyjaciół. Nie potrafię wybrać jednego.

–Kim jest Amanda?

–Nie umiem powiedzieć, o Najlepszego. Może to jego żona. Nigdy nie niosłem jej listu.

–„Najlepszego”? Naprawdę jesteś już zmęczony, co? Dobra. To teraz dwa

ostatnie pytania. Pierwsze: czy kiedykolwiek niosłeś wiadomość do

wysokiego, ciemnobrodego mężczyzny, w podniszczonym płaszczu i w

rękawicach? Patrzy spode łba i jest bardzo tajemniczy. Drugie: jakie sługi

zatrudnia Simon Lovelace? Nie chodzi mi o takich pacholków jak ty, ale o

potężne istoty, takie jak ja. Zastanów się, a może odsunę ten kamyk, nim

odejdę.

Imp odparł smętnie:

–O Panie Wszystkiego, Czym się Zajmujesz, chciałbym móc spełnić każde

twoje życzenie, ale po pierwsze: obawiam się, że nigdy nie zatrzymałem

spojrzenia na takiej brodatej osobie, a po drugie: nie mam dostępu do

prywatnych komnat czarodzieja. Są tam budzące grozę istoty, wyczuwam ich moc, ale na szczęście nigdy żadnej nie spotkałem. Wiem, tylko, że dzisiejszego ranka mistrz postawił na straży swoich ziem trzynastu wygłodniałych kreli. Trzynastu! Już jeden wystarczy, by mnie przestraszyć.

Zawsze mnie gonią, kiedy przybywam z listem.

Chwilę się zastanowiłem. Moim najważniejszym tropem był Schyler. On i Lovelace wyraźnie coś planowali, a jeśli tego wieczoru podsłucham ich w

Parlamencie, to będę mógł się zorientować, co dokładnie szykują. Do ich spotkania zostało jeszcze wiele godzin, pomyślałem więc, że mógłbym wcześniej zajrzeć do Sklepu Pinna przy Piccadilly. Lovelace z pewnością nie kupił tam amuletu, ale niewykluczone że dowiem się tam czegoś o losach świecidełka. Pod kamieniem coś lekko drgnęło.

–Czy, jeśli już skończyłeś, o Łagodny, to mogę odejść? Jeżeli spóźnię się z wiadomością, ukarzą mnie Pałacymi Plamkami.

–I bardzo dobrze.

Zdarzało się, że imp bywał pożerany przez tego, kto go złapał. Ale to naprawdę nie było w moim stylu*. Zszedłem więc z głazu i odrzuciłem go. Posłaniec, cienki teraz jak kartka papieru, złożył się w kilku miejscach i z trudem wstał.

–Oto twoje listy. Nie bój się, nie zostawiłem śladów.

–Nawet gdybyś zostawił, nic mi do tego, o Sławetny Meteorze Wschodu. Ja tylko noszę koperty. Nic nie wiem, co w nich jest, no nie? – Zagrożenie minęło, więc imp na powrót zrobił się bezczelny. Ciężko załopotał skórzastymi skrzydłami, wznosił się w powietrze i zniknął nad drzewami.

Dałem mu kilka minut, po czym znów przybrałem postać gołębia i odleciałem. Kierowałem się na południe, nad pustym wrzosowiskiem, ku odległemu Piccadilly.

17

klep u Pinna należał do tych miejsc, które wazą się odwiedzać tylko bardzo bogaci albo bardzo śmiali ludzie. Stał w znakomitym miejscu, na rogu Duke Street i Piccadilly, i wyglądał tak, jakby banda zmyślnych dzinnów przeniosła pałac i postawiła go w sąsiedztwie zwykłych budynków. Jego oświetlone okna i żłobione złote kolumny wyróżniały się pośród magicznych księgarni i restauracji przy szerokim, szarym bulwarze.

*A poza tym, w czasie lotu mogłaby mnie złapać kolka.

Nawet oglądany z powietrza sklep był bardzo elegancki.

Musiałem uważać podczas lądowania – większość parapetów jeżyła się szpikulcami albo pomalowana była lepkiem wapnem, po to właśnie, żeby odstraszyć takie paskudne gołębie jak ja. Ostatecznie usadowiłem się na szczycie znaku drogowego – miałem stąd dobry widok na sklep i mogłem dokładnie mu się przyjrzeć.

To, co dostrzegałem za każdym oknem, było wyrazem pretensjonalności i prostackiego snobizmu, które tak podobają się magom, choć oni się z tym kryją. Na stojakach obracały się laski wysadzone klejnotami, a wielkie szkła powiększające pokazywały kolekcje błyszczących pierścieni i bransolet. Automatyczne manekiny odchyłały się do przodu i do tyłu, prezentując szpanerskie włoskie garnitury z diamentowymi spinkami. Obok chodnikiem szli zwykli magowie w wyświechtanych, roboczych ubraniach. Zatrzymywali się, tęsknie spoglądali na wystawy i ruszali dalej, marząc o bogactwie i sławie. Zauważyłem bardzo mało osób niezajmujących się magią. Pospółstwo zamieszkiwało inne części miasta.

Przez jedno z okien zobaczyłem wysoką ladę z polerowanego drewna, siedział przy niej otyły mężczyzna ubrany na białe. Rozparł się na stołku, ale trzymał się na nim niezbyt pewnie. Zajęty był wydawaniem poleceń stosowi pudeł, który chwiał się i trząsał obok niego. Wreszcie padł ostatni rozkaz, grubas odwrócił wzrok – i stos pudeł, kołysząc się, ruszył przez sklep. Chwilę później pudła obróciły się, a ja ujrzałem za nimi małego, krępego diablika*. Kiedy dotarł do półek w kącie, wysunął niezwykle długi ogon i zgrabnie, jedno po drugim, zdejmował pudła ze stosu i ostrożnie ustawiał na półce.

Uznałem, że grubas to pewnie sam Sholto Pinn, właściciel sklepu. Imp-posłaniec mówił, że on jest magiem; zauważyłem, że oko zasłania mu oprawiony w złoto monokl. No tak, dzięki niemu mogłem zobaczyć prawdziwe kształty swego sługi: na pierwszym planie diablik przybrał postać młodzika, tak aby nie szokować nieobeznanych z czarami gapiów. Sholto prezentował się świetnie – choć wielki, ruchy miał płynne i mocne, oczy zaś bystre i przenikliwe. Coś mówiło mi, że trudno byłoby go oszukać, porzuciłem więc

* Diablik: podrzędny dzinn.

swój pierwotny plan: nie zmienię się w człowieka, żeby wyciągnąć z grubasa jakieś wiadomości.

Diablik wydawał się do tego lepszy. Cierpliwie czekałem na okazję.

Kiedy nadeszła pora lunchu, zamożnych klientów wyraźnie ubyło. Sholto dwoił się i troił. Wydawał polecenia diablikowi, który latał po sklepie, zabierając pudła, płaszcze, parasole oraz inne rzeczy.

Dokonano kilku transakcji i klienci wyszli. Teraz Sholto pomyślał o swoim brzuchu. Wydał diablikowi kilka pleceń, włożył gruby czarny płaszcz i wyszedł ze sklepu. Widziałem, jak zatrzymuje taksówkę i odjeżdża. Posiłek zabierze mu chyba sporo czasu.

Diablik powiesił na drzwiach tabliczkę z napisem Zamknięte, po czym usiadł na stołku za kontuarem, i naśladując Pinna, nadął się niczym jakaś ważna persona.

To była moja szansa. Zmieniłem przebranie. Porzuciłem gołębie kształty i stałem się impem-doręczycielem na wzór tego, któremu sprawiłem lanie w Hampstead. Zapukałem do drzwi. Diablik ze zdziwieniem podniósł oczy, spojrzał na mnie groźnie i dał znak, bym sobie poszedł. Zapukałem raz jeszcze, teraz głośniej. Krzyknął ze złością, zeskoczył ze stołka, potruchtał do drzwi i lekko je uchylił. Zabrzęczał dzwonek u wejścia.

–Zamknięte.

–Mam wiadomość dla pana Sholto.

–Nie ma go. Przyjdź później.

–Nie mogę czekać, psze pana. Pilne. Kiedy wróci?

–Za jakąś godzinę. Pan poszedł na lunch.

–Dokąd?

–Nie poinformował mnie. – Diablik zachowywał się wyniośle, najwyraźniej uznając się za zbyt ważnego, by rozmawiać z kimś takim jak ja.

–Nie ma sprawy, poczekam. – Zwinnie prześlizgnąłem się przez szparę w drzwiach i przemknąłem pod jego ramieniem. I już byłem w sklepie.

–Ho-ho, wyższe sfery, co?

Diablik pospieszył za mną, przestraszony.

–Wynocha, wynocha! Pan Pinn wyraźnie kazał mi nikogo nie wpuszczać...

–No nie wkurzaj się tak, szefie, nic nie chcę zwędzić.

Diablik stanął między mną a najbliższym stojakiem ze srebrnymi zegarkami.

– Nawet mi to nie przyszło do głowy! Jednym tupnięciem mogę wezwać horłę*, co pożre każdego złodzieja albo intruza! A teraz proszę wyjść!

– Dobrze, dobrze. – Przygarbiłem się i wycofałem ku drzwiom. – Jesteś dla mnie zbyt potężny, no i za bardzo w łaskach u pana. Nie każdy może opiekować się tak eleganckim miejscem jak to.

– Masz rację. – Diablik był nie tylko nerwowy, ale także próżny i słabowity.

– Założę się, że nigdy nie karzą cię chłostą albo Pałacymi Plamkami.

– Oczywiście, że nie! Wydajność mojej pracy jest wzorowa, a mistrz dla mnie bardzo łaskawy.

Wiedziałem już, z kim mam do czynienia – z kolaborantem najgorszego gatunku. Aż korciło mnie, żeby go ukąsić**. Ale przynajmniej zdobyłem kilka wskazówek.

– Spoko! – powiedziałem. – Powiniennem się domyślić, że jest dla ciebie

bardzo łaskawy i w ogóle. A czemu? Bo on wie, jakie to szczęście mieć ciebie

do pomocy. Myślę, że bez ciebie nie dałby sobie rady. Założę się, że jesteś

świetny w dźwiganiu ciężarów. I możesz też sięgnąć ogonem do wyższych

półek albo zamieść nim podłogę...

Diablik nadął się.

– Ty bezczelny komisie! Mistrz wyznacza mi poważniejsze zadania! Wiedz,

że uważa mnie, mówiąc o swoim przedsiębiorstwie, za swego asystenta!

Opiekuję się jego sklepem, kiedy on je lunch. Prowadzę rachunki, pomagam

oceniać oferowane przedmioty, mam sporo znajomości...

* Horła: potężna odmiana dzinna. Dla człowieka wygląda jak mroczna zjawia wywołująca szaleństwo i chorobę. Dla innych dzinnów horle są istotami emanującymi złowrogą aurą która nadwątla naszą esencję.

** Większość z nas wykonuje swe obowiązki tylko pod przymusem, bo jeśli uchylamy się od współpracy, ponosimy karę. Ale niektórym, szczególnie takim na ciepłych posadkach, jak na przykład sługa Pinna, zaczyna podobać się status niewolnika. Nie buntują się. Często nawet nie

trzeba ich przyzywać – z radością wykonują dla swych mistrzów różne czasochłonne zadania, nie zważając na ból spowodowany stałym długim zamknięciem w ciele. Cała reszta wyższych bytów zazwyczaj żywi dla owych zaprzańców tylko pogardę i nienawiść.

–Poczekaj, przedmioty? – gwizdnąłem cicho. – Mówisz, że on pozwala ci przyjmować towar, ten cały magiczny interes, amulety i takie tam?

Nie możliwe!

Słyszając te słowa, paskudna kreatura oczywiście się uśmiechnęła.

–Tak właśnie robi! Pan Pinn ufa mi bezgranicznie.

–A jakie przedmioty? Naprawdę jakieś potężne czy po prostu zwykłą tandetę: rączki szczęścia, szkła moulerów i tak dalej?

–Oczywiście, że potężne rzeczy! Najniebezpieczniejsze i najrzadsze przedmioty! Bo widzisz, mistrz musi być pewien ich mocy i sprawdzać, czy to by nie są podróbki. A do tego potrzebuje mnie.

–No, no! A jakie to rzeczy? Pewnie nic sławnego? – Usadowiłem się wygodnie, oparty o mur. Zdradziecki niewolnik tak się nadał*, że już całkiem zapomniał o tym, żeby mnie wyrzucić.

–O, na pewno o żadnym nie słyszałeś. Zaraz, zaraz... W zeszłym roku przebojem była bransoleta, którą Nefretete nosiła kiedyś na kostce! To była sensacja! Jeden z agentów pana Pinna wykopał ją w Egipcie i przywiózł specjalnym samolotem. Pozwolono mi ją oczyścić, tak, naprawdę! Pomyśl o tym, kiedy będziesz znowu ganiał gdzieś w deszczu. Kupił ją na aukcji ksiązę Westminsteru, za sporą sumkę. Mówią – nachylił się i ściszył głos – że to był prezent dla jego brzydkiej żony. Temu, kto ją nosi, bransoleta przydaje wdzięku i urody, właśnie w ten sposób Nefretete zdobyła serce faraona. Ale ty i tak pewnie nie masz o tym pojęcia**.

–Hm...

–Co my tu jeszcze mamy? Wilczą skórę Romulusa, flet z Chartres, czaszkę braciszka Bacona... Mógłbym dalej opowiadać, ale tylko bym cię nudził.

* Dosłownie się nadał, dokładniej jego głowa. Spuchła mu jak zielonkawy balon, nadmuchiwany nożną pompką. Niektóre dzinny (te prostackie) przybierają kształty odpowiednio do nastroju.

** Wielki błąd. To właśnie ja przyniosłem Nefretete tę bransoletę. Mogę jeszcze dodać, że królowa i bez niej była olśniewająca. (Swoją drogą, ci współcześni magowie bardzo się mylą. Bransoleta nie sprawia, że kobieta zaczyna wyglądać lepiej, lecz zmusza męża do spełniania każdej jej zachcianki. Ciekawe, jak biedny ksiązę Westminsteru daje sobie z tym radę).

–Szefie, to wszystko to dla mnie trochę za wysoki poziom. Słuchaj.

Teraz powiem ci, o czym ja słyszałem. Amulet z Samarkandy. Mój mistrz

kilka razy go wspominał. Założę się, że tego to nigdy nie czyściłeś.

Ta rzucona mimochodem uwaga trafiła chyba w jakiś czuły punkt. Diablik zmrużył oczy i zatrzęsł ogonem.

–A kto jest twoim mistrzem? – spytał nagle. – I gdzie jest twój list? Nie widzę, żebyś jakiś niósł.

–Oczywiście, że nie. On jest tutaj. – Stuknąłem się szponem w głowę. – A co do mojego mistrza, to żadna tajemnica. Nazywa się Simon Lovelace. Może go kiedyś widziałeś.

Ryzykownie było powoływać się na tego czarodzieja. Lecz diablik, kiedy usłyszał o amulecie, od razu się zmienił. A i ja nie chciałem zwiększać jego podejrzeń, a tak by się stało, gdybym unikał odpowiedzi na pytanie. Szczęśliwie, chyba zrobiłem na nim wrażenie.

–Och, pan Lovelace, tak? Jesteś jego nowym sługą, prawda? Gdzie jest Nittles?

–Zeszłej nocy zgubił list. Mistrz surowo go ukarał.

–Naprawdę? Zawsze uważałem, że Nittles jest za bardzo beztroski. Ty służ mu dobrze. – Diablik chyba zaczął myśleć o czymś przyjemnym, bo w jego czach pojawiło się rozmarzenie. – Pan Lovelace to prawdziwy dżentelmen, doskonały klient. Zawsze dobrze ubrany, uprzejmie pyta o różne przedmioty. Oczywiście to dobry znajomy pana Pinna... Interesował się amuletem, prawda? Nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co się stało. Paskudna sprawa, wciąż nie mogą znaleźć zabójcy, już od sześciu miesięcy.

Słyszając to, nadstawiłem uszu, choć niczego po sobie nie pokazałem. Od niechcienia podrapałem się w nos.

–Tak, pan Lovelace mówił, że stało się coś złego. Ale nie powiedział co.

–No, a czemu miałby mówić komuś tak mizernemu jak ty? Niektórzy myśią, że stał za tym ten cały tajemniczy ruch oporu. Albo jakiś mag renegat, co jest może bardziej prawdopodobne. Nie wiem, pomyśl tylko, przy tych wszystkich środkach, jakie ma państwo...

–To co się stało z amuletem? Ktoś go rąbnął, prawda?

–Tak, skradziono go. I popełniono przy tym morderstwo. Makabra.

Wierz mi, to było naprawdę okropne. Biedny, biedny pan Beecham.

Mówiąc to, owa karykatura diablika otarła łzę z oka*.

–Pytałeś, czy mamy tutaj amulet? Oczywiście, że nie. On byłby za cenny, żeby sprzedawać go w sklepie. Długo był własnością rządu, a przez ostatnie trzydzieści lat strzeżono go w posiadłości pana Beechama, w Sur-rey. Wysoki stopień zabezpieczeń, magiczne portale i w ogóle wszystko. Pan Beecham czasem wspominał o tym panu Pinnowi, kiedy tu do nas przychodził. Był wspaniałym człowiekiem, twardym, ale sprawiedliwym, godnym podziwu. Ach.

–I co, ktoś ukradł amulet Beechamowi?

–Tak, pół roku temu. Nie uruchomiono żadnego portalu, strażę niczego nie dostrzegły, ale pewnego dnia późnym wieczorem amulet zniknął. Przepadł! A biedny pan Beecham leżał obok pustej gabloty w kałuży krwi. Martwy! Kiedy wtargnęli złodzieje, musiał akurat być w pokoju, tam gdzie trzymał amulet, i nim wezwał pomoc, już podcięli mu gardło. Co za tragedia! Najbardziej zmartwił się pan Pinn.

–Na pewno. To okropne, szefie, naprawdę okropne – starałem się wyglądać na bardzo zasmuconego, w każdym razie jak na impa. Jednak tak naprawdę rozpieęły mnie radość i duma. Zdoylem przecież smakowity kęsek informacji, właśnie tego potrzebowałem. A więc Simon Lovelace rzeczywiście ukradł amulet i w tym celu popełnił morderstwo. Czarnobrody mężczyzna, którego Nathaniel widział w gabinecie Lovelace'a, musiał przyjść tam wkrótce po śmierci Beechama. I, niezależnie od tego, czy działał na własny rachunek, czy też jako członek jakiejś tajnej grupy, Lovelace zrabował amulet poniekąd samemu rządowi, a to już podchodziło pod zdradę. No, jeśli to nie zadowoli dzieciaka, to ja jestem moulerem.

Jedno było jasne. Nathaniel, wysyłając mnie po amulet, rzucił się na głęboką wodę, znacznie głębszą niż myślał. Byłem pewien, że Simon Lovelace nie cofnie się przed niczym, by odzyskać artefakt – i uciszy każdego, kto wie, że właśnie on go wcześniej miał.

Ale po co kradł go Beechamowi? Czemu narażał się na gniew rządu? Znałem reputację amuletu, ale nie jego moc. Może ów diablik mógłby mi w tym pomóc.

* To, że całkiem zaprzedał się wrogowi, widać po tym, jak przedstawił śmierć maga, nazywając ją morderstwem. I jaki był zmartwiony! Szczerze mówiąc, w takich sytuacjach można zatęsknić za prymitywną brutalnością Jabora.

–Ten amulet to nie byle co – powiedziałem. – Warto go mieć, prawda?

–Tak mówił mi mój mistrz. Podobno jest w nim jakaś niezwykle potężna istota, coś z największych głębin Zaświatów, stamtąd, gdzie włada chaos. Tego, kto go nosi, strzeże przed atakami...

Diablik spojrział ponad moim ramieniem, przerwał i zachłysnął się. Okrył go cień, wielki, szeroki, rosnący w miarę, jak przesuwiał się po wypolerowanej podłodze. Zadzźwięczał dzwonek przy drzwiach i przyjemny spokój sklepu zakłóciły uliczne odgłosy z Piccadilly. Odwróciłem się powoli.

–No, no, Simpkin – powiedział Sholto Pinn, kiedy zamknął drzwi pchnięciem swojej laski z kości słoniowej. – Pod moją nieobecność gawędzisz sobie ze znajomkiem? Kiedy nie ma kota, myszy...

–N... nie... nie, mistrzu, wcale nie.

Ten pochlipujący nędznik kłaniał się, płaszczył i korzył. Nadęta głowa wyraźnie mu się skurczyła. Co za przedstawienie. Stałem bez ruchu, oparty o ścianę, spokojny jak gdyby nigdy nic.

–To nie twój znajomek? – Głos Pinna był niski, głęboki i dudniący,

przywodził na myśl słoneczne światło połyskujące na pociemniałym ze

starości drewnie, na słojach pełnych pszczelego wosku i butlach świętego,

czerwonego porto*. Był to głos tak wesoły, że aż na granicy gardłowego

śmiechu. Na wąskich wargach błąkał się uśmiech, jednak oczy pozostawały

zimne i okrutne. Sholto Pinn z bliska okazał się jeszcze większy, niż się

spodziewałem. Olbrzymia biała bryła. W swym futrzanym płaszczu wyglądał

tak, że patrząc od tyłu, można go było pomylić z mamutem.

Simpkin chyłkiem przysunął się do kontuaru.

–Nie, mistrzu. To posłaniec z wiadomością dla ciebie. O...o...on przyniósł wiadomość.

–Posłaniec z wiadomością, który przyniósł wiadomość! Zdziwiasz mnie, Simpkin! Nadzwyczajne. Zatem dlaczego nie odebrałeś wiadomości i nie odesłałeś go? Miałeś tyle do

roboty, kazałem ci zakasać rękawy.

–Tak, mistrzu, tak, ale on dopiero przyszedł.

–Jeszcze bardziej nadzwyczajne! W moim magicznym zwierciadle widziałem, że gadałeś z nim dziesięć minut, jak przekupka! Czym to można wytłumaczyć? Może na starość osłabł mi wzrok.

*** Nie? No dobra. Chyba drzemie we mnie poeta.**

Mag wyciągnął monokl z kieszeni kamizelki, wsunął go w lewy oczodół* i zrobił kilka kroków do przodu, od niechcienia machając laską. Simpkin wzdrygnął się, ale milczał.

–No dobrze. – Laska nagle wskazała na mnie. – Impie, gdzie twoja wiadomość?

–Powierzyłem ją swojej pamięci, panie – odparłem z szacunkiem. – Mój mistrz uznał ją za zbyt ważną, by zapisywać ją na papierze.

–Czyżby? – oko zza monokla obejrzało mnie od stóp do głów. – A twoim panem jest...

–Simon Lovelace, panie. – Skłoniłem głowę i stanąłem na baczność. – I jeśli mi pozwolisz, panie, przekażę teraz to posłanie i odejdę. Nie chcę zabierać ci już więcej czasu.

–I słusznie. – Sholto Pinn przysunął się i spojrzał na mnie bystro dwojgiem oczu. – Więc mów.

–„Drogi Sholto, czy zaproszono cię do Parlamentu dziś wieczór? Mnie nie, premier chyba o mnie zapomniał i czuję się urażony. Proszę cię o szybką odpowiedź i radę. Pozdrawiam, Simon”. Słowo w słowo, panie, słowo w słowo.

To wszystko brzmiało chyba całkiem prawdopodobnie, ale nie chciałem już dłużej kusić losu. Jeszcze raz się ukloniłem i ruszyłem do drzwi.

–Urażony, co? Biedny Simon. Hm. – Mag przez chwilę się zastanawiał. – Zanim odejdiesz, impie, podaj mi swoje imię.

–Ekhm... Bodmin, panie.

–Bodmin. Hm. – Sholto Pinn grubym, upierścienionym palcem podrapał jeden ze swych podbródków. – Nie wątpię, że chcesz szybko wrócić do swojego pana, Bodminie, ale zanim odejdiesz, zadam ci dwa pytania.

Przystanąłem niechętnie.

–Och... Tak, panie.

–Jakież z ciebie uprzejmy imp. Więc, po pierwsze, dlaczego Simon po prostu nie napisał tak mało ważnej wiadomości? Treść niezbyt wywrotowa.

* Dzięki swoim soczewkom magowie mogą spoglądać na plany drugi i trzeci, a mgliście widzą też plan czwarty. Sholto bez wątpienia właśnie tam mi się przyglądał. Na szczęście, przybrana przeze mnie postać impa sięgała aż do planu czwartego, więc byłem bezpieczny.

a w pamięci pomniejszego demona, takiego jak ty, mogłaby ulec zniekształceniu.

–Mam znakomitą pamięć, panie. Słynę z niej.

–A nawet jeśli tak, to do niego nie pasuje... No nic. Moje drugie pytanie... -Sholto zbliżył się o krok albo dwa, tak że spiętrzył się nade mną jak góra. Jak wielka góra. W swej obecnej postaci nie mogłem nie poczuć się malutki.

–Moje drugie pytanie brzmi: dlaczego Simon nie zapytał mnie o radę osobiście, piętnaście minut temu, kiedy spotkałem się z nim na lunchu?

Ach. Czas wziąć nogi za pas.

Skoczyłem do wyjścia, ale choć byłem szybki, Sholto Pinn okazał się szybszy. Uderzył laską o podłogę i przechylił ją do przodu. Z jej końca pomknął żółty promień i uderzył w drzwi, wysyłając sferyczne fale plazmy, które zamrazały wszystko, czego dotknęły. Przekoziółkowałem nad nimi, lecąc przez chmurę lodowatych oparów, i wylądowałem na szczycie stojaka z wystawy, obwieszonego satynową bielizną. Laska posłała następny promień. Zanim sięgnął celu, byłem już w powietrzu. Skoczyłem nad głową czarodzieja i twardo wylądowałem na szczycie kontuaru, rozrzucając przy tym leżące tam papiery.

Potem odwróciłem się i rzuciłem Detonacją – uderzyła maga w plecy, popychając go wprost na zamrożoną wystawę. Pinna otaczało pole ochronne -kiedy przeglądałem plany egzystencji, dostrzegłem je pod postacią ładnych żółtych iskierek. Choć wbrew temu, co zamierzałem, nie przedziurawiłem tego pola, cios i tak był mocny. Pinn osunął się na stos zamrożonych bokserek, z trudem łapiąc powietrze. Ruszyłem ku najbliższemu oknu, chcąc przebić się na ulicę.

Ale zapomniałem o Simpkinie. Sprytnie wychylając się zza stojaka z płaszczami, machnął olbrzymim kosturem – z plakietką informującą, że jest to rozmiar XL – celując prosto w moją głowę. Uchyliłem się i laga trzasnęła w szklany przód lady. Simpkin cofnął się i zamierzył po raz drugi. Skoczyłem na niego, wyrwałem mu kij z rąk i walnąłem go tak, że aż dosłownie wbiliśmy mu twarz do środka. Stęknął i upadł na stos śmiesznych kapeluszy, a ja ruszyłem dalej.

Między dwoma manekinami widziałem piękne okno z przejrzystego, wygiętego szkła. Rozszczepiało wpadające światło i tworzyła się łagodna tęcza. Wyglądało to bardzo ładnie i chyba dużo kosztowało. Cisnąłem w nie

Detonacją. Chmura sproszkowanego szkła spadła na ulicę, a ja zanurkowałem ku otworowi.

Za późno. Kiedy szyba pękła, uruchomiła się pułapka.

Manekiny się odwróciły.

Wykonane z ciemnego, polerowanego drewna, nie miały ludzkich kształtów, tylko gładki owal w miejscu twarzy, lekko zaznaczony nos i żadnych ust ani oczu. Prezentowały modne stroje dla czarodziejów: czarne garnitury w wąskie białe paski, z klapami ostrymi jak brzytwa; kremowe koszule o wysokich, krochmalonych kołnierzykach; muszki w śmiałych kolorach. Z każdej nogawki wystawał kawałek drewna zamiast buta.

Kiedy skoczyłem między nie, uniosły ramiona, blokując przejście. Z każdego rękawa wysunęło się srebrne ostrze i zakleszczyło w pozbawionych palców dłoniach. Pędziłem zbyt szybko, by się zatrzymać, wciąż jednak trzymałem wielką lagę. Ostrza pomknęły ku mnie dwoma zsynchronizowanymi łukami. W samą porę zasłoniłem się kosturem. Noże zatonęły w nim głęboko, niemal go przecięły, a ja gwałtownie się zatrzymałem.

Przez chwilę czułem na skórze zimną aurę srebra*, potem odrzuciłem kij i dałem susa do tyłu. Manekiny potrząsnęły klingami. Moja laga pękła na pół. Napastnicy ugięli drewniane kolana i skoczyli...

Rzuciłem się do tyłu, za kontuar.

Srebrne ostrza trafiły w parkiet, tam gdzie przed sekundą stałem.

Trzeba było zmienić postać, i to szybko – dobry chyba byłby sokół, ale musiałem też mieć się czym bronić. Nim zdążyłem się zastanowić, manekiny już były przy mnie, ze świstem przecinając powietrze, którego podmuch poruszył ich wysokimi kołnierzami. Śmignąłem na bok i uderzyłem w stos pustych pudeł na prezenty. Jeden z manekinów wylądował na szczycie lady, drugi za nią. Ich gładkie głowy zwróciły się w moją stronę.

Czułem, że tracę siły.

Za dużo przemian i za dużo czarów w zbyt krótkim czasie. Ale jeszcze nie byłem bezbronny. Na manekina kroczącego wzdłuż lady rzuciłem czar

*** Srebro dotkliwie nas rani, swym piekącym zimnem pali naszą esencję. I właśnie dlatego Sholto wykorzystał je w swoim systemie zabezpieczeń. Aż boje się pomyśleć, jaki ból to srebro sprawiło dzinnowi uwięzionemu w manekinach.**

Inferno. Z wykrochmalonego białego przodu jego koszuli buchnął płomień, niebieskie języki rozpełzły po materiale. Muszka skurczyła się, marynarka zatliła. Manekin nie zwracał na to uwagi, tak jak mu nakazano*, jeszcze raz uniósł ostrze. Rzuciłem się do tyłu. Kukła zgięła nogi, gotowa do skoku. Ogień lizał jej tors, teraz zapaliło się też lakierowane drewno tułowia.

Manekin skoczył wysoko i zrobił pętlę, lecąc w dół, na mnie, płomienie tańczyły za nim jak rozpostarty płaszcz. Odskoczyłem w ostatniej chwili. Ciężko gruchnął na ziemię. To było bolesne zderzenie: osłabione, płonące drewno pękło. Manekin krzywo ruszył w moją stronę, potem zakołysał się groteskowo – i nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Upadł wśród płomieni z nadwęglonych kończyn.

Jego towarzysz przeskoczył ogień i szybko się zbliżył. Już miałem rozprawić się z nim tak jak z pierwszym, gdy cichy dźwięk za plecami ostrzegł mnie, że Sholto Pinn powoli dochodzi do siebie. Spojrzałem za siebie. Mag na wół leżał, wyglądał, jakby zderzył się z całym stadem bizonów. Na głowie miał bokserki – to dopiero widok! Jednak wciąż był groźny. Po omacku szukał laski, znalazł ją, wycelował w moją stronę. Znowu trysnął z niej żółty promień – ale ja już usunąłem się z linii strzału i plazma sięgnęła drugiego manekina, trafiając go w połowie skoku. Jego kończyny nagle zamarzły – i runął w dół, roztrzaskując nogi na kawałki.

Sholto zaklął i dzikim wzrokiem rozejrzał się wokół. Tak naprawdę, by dostrzec moją małą postać, nie musiał szukać daleko. Byłem zaraz nad nim, na górze regału. Półki były zapełnione skrupulatnie opisanymi aktami, stały też na nich, w wielkim porządku, tarcze, posążki i szkatułki, na pewno skradzione prawowitym właścicielom na całym świecie. Wszystko to musiało kosztować fortunę. Przywarłem plecami do ściany, zapałem się o szczyt regału i mocno pchnąłem.

Półki jęknęły, zachwiały się.

Sholto usłyszał ten dźwięk. Spojrzał w górę. Widziałem, jak wybałusza oczy z przerażenia.

*** Znajdujący się w środku dzinn był zmuszony wykonywać rozkazy – czyli bronić sklepu - niezależnie od tego, jakie mogłoby to mieć dla niego konsekwencje. Miałem więc niewielką przewagę – chciałem tylko ocalić skórę.**

Pchnąłem bardzo mocno, trochę z czystej złośliwości – myślałem o bezbronnym dzinnie, uwięzionym w zniszczonych manekinach.

Przez chwilę regał zastygł w przechyle. Spadła z niego mała, egipska urna, zaraz za nią tekowe pudełko na kadzidło. Potem zmienił się środek ciężkości, półki zadrgały i cała konstrukcja błyskawicznie runęła prosto na maga.

Przygnieciony nie zdążył nawet krzyknąć.

Huk był tak straszliwy, że kierowcy samochodów jadących po Piccadilly wystraszeni skręcili gwałtownie, wpadając jeden na drugiego. Nad rozrzuconymi szczątkami pięknego regału zakłębiła się chmura kadzidła i popiołu.

Jak na razie, miałem powody do zadowolenia, jednak zawsze lepiej jest odchodzić wtedy, kiedy ma się ich najwięcej. Ostrożnie przyjrzałem się zwalonym półkom, ale pod nimi nic się nie ruszało. Nie wiedziałem, czy ochronna tarcza Pinna była na tyle silna, by go ocalić. Zresztą, mało mnie to obchodziło. Teraz mogłem już spokojnie odejść.

Raz jeszcze ruszyłem ku dziurze w oknie. Raz jeszcze ktoś zastąpił mi drogę.

Simpkin.

Zamarłem w powietrzu.

–Proszę – powiedziałem – oszczędź mi straty czasu. Już raz przerobiłem ci twarz.

Jego nos, wcześniej bardzo wystający, teraz był głęboko wbity w głowę -przypominał palec rękawicy widziany od środka. Diablik wyglądał na rozdrażnionego. Wyszeptał chrapliwie:

–Zraniłeś mistrza.

–Tak, a ty powinieneś tańczyć teraz z radości! – Parsknąłem. – Gdybym to ja był na twoim miejscu, skończyłbym z nim, ty żaloszny zaprzańcu, a nie biadolił gdzieś w kącie.

–Rzeczy na tamtym regale ustawiałem przez całe tygodnie. Straciłem cierpliwość.

–Masz sekundę, żeby zniknąć, zdrajco.

–Za późno, Bodmin! Już włączyłem alarm! Władze wysłały af...

–A jakże. – Zebrałem ostatki sił i przybrałem kształt sokoła.

Simpkin nie oczekiwał takiej przemiany u skromnego posłańca. Po tknął się, upadł na plecy. Przeleciałem mu nad głową, na pożegnanie ochlapując ją

łajnem, i wreszcie pofrunąłem ku wolności, ku otwartej przestrzeni!

A tam spadła na mnie siatka ze srebrnych nici, ściągnając na chodnik Piccadilly.

To były Sidła, i to najmocniejsze z możliwych: trzymały mnie na każdym planie, przywierając do szamocących się skrzydeł, kąpiących łap, kłapiącego dzioba. Opierałem się z całej siły, ale nici trzymały pewnie. Dodawał im ciężaru żywioł ziemi, najbardziej mi obcy, a poza tym paliły dotykem srebra. Nie mogłem teraz zmienić postaci. Nie mogłem użyć żadnej magii, ani tej wielkiej, ani małej. Moją esencję ranił nawet najmniejszy kontakt z siecią -więc im bardziej się miotalem, tym gorzej bolało.

Po kilku sekundach walki poddałem się. Leżałem zwinięty w mały, spokojny, pierzasty kłębek. Jednym okiem zerknąłem spod zgiętego skrzydła. Za morderczymi niciami widziałem szary chodnik, wciąż mokry po ostatnim deszczu, pokryty cienką warstwą szklanych odłamków. I słyszałem rechot Simpkina, długi i piskliwy.

A potem chodnikowe płyty okrył cień.

Z cichym brzękiem wylądowała przede mną para wielkich, rozszczepionych kopyt. Tam gdzie dotknęły betonu, topił się on i bulgotał.

Wokół sieci uniosły się opary, ciężkie od obrzydliwego zapachu czosnku i rozmarynu. Straciłem jasność myśli, zakręciło mi się w głowie, moje mięśnie osłabły...

Sokoła otuliła ciemność. – Jego zmysły zgasły jak zdmuchnięta świeca.

CSfatfaniel

18

wa dni, które nastąpiły po Nadaniu Imienia, nie były dla Nathaniela zbyt miłe. Zupełnie opadł z sił. Bardzo się zmęczył przyzywaniem Bartimaeusa i ich magicznym pojedyńkiem. Kiedy wrócił z wyprawy nad Tamizę, lekko już pociągał nosem. Do zapadnięcia zmroku pociągał już jak wieprzek – a o poranku miał solidny katar. Kiedy przywłókł się do kuchni, pani Underwood spojrzała na niego tylko raz i odesłała z powrotem do łóżka. Wkrótce potem przyniosła butelkę gorącej wody, stos kanapek z masłem czekoladowym i parujący dzbanek miodu z cytryną. Nathaniel spod stosu koców wykaszał podziękowania.

– John, nie ma za co – odparła. – I nie chcę słyszeć o żadnej kolejnej wycieczce. Przecież musimy się postarać, żebyś wydobrzył przed przemówieniem premiera, prawda? – Rozejrzała się po pokoju i skrzywiła. – Bardzo czuć tu świece. I kadzidło. Ćwiczyłeś, tak?

–Nie, pani Underwood. – W duchu skłął się za nieostrożność. Powinien otworzyć okno, aby pozbyć się zapachu. Jednak wczoraj wieczorem był taki zmęczony, że całkiem o tym zapomniał. – Czasem tak się zdarza. Ku szczytowi domu ulatują zapachy z pracowni pana Underwooda.

–Dziwne. Wcześniej tego nie zauważyłam.

Jeszcze raz pociągnęła nosem. Nathaniel wciąż popatrywał na dywan -przerażony dostrzegł wystający obwód zakazanego pentagramu. Z wielkim trudem zmusił się, by nie patrzeć w tamtą stronę, i głośno się rozkaszał. Zmartwiona pani Underwood podała mu miód z cytryną.

–Wypij to, kochanie. I prześpij się – powiedziała. – Przyjdę w porze lunchu.

Już na długo przed tym okno zostało otwarte, pokój starannie wywietrzony,

a podłoga pod dywanem zalsniła czystością.

Nathaniel leżał w łóżku. Jego nowe imię, którego pani Underwood najwyraźniej postanowiła teraz używać, jakoś dziwnie dźwięczało mu w uszach. Brzmiało nienaturalnie, głupawo. John Mandrake. Może dobre było dla maga z książki historycznej, ale trochę mniej dla zakatarzonego chłopca. Korzystanie z nowej tożsamości mogło okazać się trudne, trudniejsze nawet niż niepamięć starego imienia...

A przecież za sprawą Bartimaeusa i tak nie mógł go zapomnieć. Choć pamiętał, że ma zabezpieczenie – puszkę po tytoniu na dnie rzeki – nie czuł się całkiem spokojny. Bardzo się starał odpędzić złe myśli, ale lęk nie ustępował. Był jak nieczyste sumienie: dźgał, co jakiś czas powracał, nie pozwalał mu się odprężyć. Może przeoczył coś bardzo ważnego, co demon już zauważył... Może Bartimaeus, zamiast szpiegować Lovelace'a, snuje teraz nieczne plany.

Kiedy wyciągnął się wśród skórek pomarańczy i zgniecionych chusteczek, w głowie kłębiły mu się różne nieprzyjemne wizje. Bardzo go korciło, by ze schowka pod dachem wyjąć magiczne zwierciadło i za jego pomocą sprawdzić, co porabia džinn. Wiedział, że to byłoby niemądre – myśli miał zamglone, głos słaby i zachrypnięty, w ciele brakło siły nawet do tego, by siedzieć prosto, a co dopiero pilnować małego, wojowniczego impa. Na razie demon mógł więc spokojnie zajmować się swoimi podejrzanymi sprawkami. Pewnie i tak wszystko będzie dobrze.

Już trzeciego ranka pani Underwood natychmiast zauważyła, że Nathaniel wydobrzeał.

–W samą porę – powiedziała. – Dziś jest twój wielki wieczór.

–Kto tam będzie? – spytał chłopiec. Siedział po turecku w kącie kuchni, polerując sobie buty.

–Trzystu ministrów rządu, ich małżonkowie, kilku bardzo szczęśliwych, Nazwanych uczniów... i kilku pieczeniarzy: pomniejszych magów ze służby cywilnej albo z wojska, takich, którym niewiele brakuje do awansu, ale nie znają jeszcze odpowiednich ludzi. John, to dobra sposobność, by zorientować się, kto jest na górze, a kto na dole, no i popatrzeć na stroje. Podczas letniego zgromadzenia, w czerwcu, kilka kobiet-ministrów eksperymentowało z kaftanami a la Samarkanda. Wywołało to spore poruszenie, ale oczywiście się nie przyjęło.

Chłopiec upuścił szczotkę.

–Och, John, proszę, skup się.

–Przepraszam, wyślizgnęła mi się. Dlaczego Samarkanda, pani Underwood? Co w niej jest takiego?

–Nie mam bladego pojęcia. Jeśli wyczyściłeś już buty, to weź się do marynarki.

Była to niedziela, dlatego żadne lekcje nie przeszkadzały Nathanielowi w pełnym napięcia oczekiwaniu na to, co miało się dziś wydarzyć. Jego podniecenie rosło z upływem czasu. O trzeciej, kilka godzin wcześniej niż było trzeba, miał już na sobie najlepsze ubranie i bez celu krążył po domu – aż wreszcie mistrz wysunął głowę z sypialni i kazał mu przestać.

–Chłopcze, dość już tego łażenia! Głowa mnie przez ciebie boli! A może

wolisz wieczorem zostać w domu?

Nathaniel pokręcił obolałą głową i zszedł na paluszkach do biblioteki, gdzie mógł uniknąć kłopotów, studiując nowe czary, pozwalające trzymać w ryzach dzinny średniego stopnia. Czas płynął mu miło; chłopiec właśnie powtarzał trudną inkantację Wyszczerbionego Wahadła, kiedy do pokoju wszedł pan Underwood. Powiewał za nim jego najlepszy płaszcz.

–Tu jesteś, durniu! Wołałem cię, szukałem po całym domu! Jeszcze chwila i pojechalibyśmy bez ciebie.

–Wybacz, panie, czytałem...

–Nie tę książkę, która powinieneś, ty zaspany głupku. To czwarty poziom, napisane po koptyjsku, nawet nie masz szans tego rozczytać. Spałeś,

nie wypieraj się. No, zbieraj się szybko, bo inaczej naprawdę pojedziemy bez ciebie.

Kiedy mistrz wchodził do biblioteki, Nathaniel akurat miał zamknięte oczy. Chłopiec odkrył kiedyś, że w ten sposób łatwiej mu zapamiętywać. Właściwie to może nawet był szczęśliwy przypadek, bo uniknął dalszego tłumaczenia się przed Underwoodem. Zostawił książkę na krześle, wyskoczył z biblioteki i pospieszył za starym magiem. Pobiegnął korytarzem, napięty, z sercem walącym jak młot. Przed domem, obok czarnej limuzyny czekała już uśmiechnięta pani Underwood w błyszczącej zielonej sukni, szyję owinęła czymś, co przypominało futrzastą anakondę.

Dotychczas chłopiec tylko raz był w samochodzie swojego mistrza, ale nic z tego nie zapamiętał. Wdrapał się teraz na tylne siedzenie – zdumiał go dotyk lśniącej skóry i dziwny, sztuczny zapach sosnowego odświeżacza powietrza, dyndającego przy szybie.

–Siedź spokojnie i nie dotykaj okien.

Nathaniel zobaczył w lusterku nachmurzonego Underwooda. Usadził się więc wygodnie, zadowolony położył dłonie na kolanach. I tak zaczęła się podróż do parlamentu.

Jechali na południe, Nathaniel spoglądał przez okno. Przed oczyma szybko migały mu niekończące się światła Londynu – reflektory, latarnie, witryny sklepów, okna, kule strażnicze. Patrzył na nie oszołomiony, starał się nawet nie mrugać i chłonał wszystko. Wędrówka przez miasto już sama w sobie była czymś wyjątkowym – coś takiego rzadko zdarzało się Nathanielowi, on poznawał świat głównie dzięki lekturze książek. Od czasu do czasu pani Underwood zabierała go na konieczne, autobusowe wyprawy do sklepów z obuwem i odzieżą. Raz, kiedy pan Underwood wyjechał w interesach, wzięła go też do zoo. Jednak i tak nieczęsto przekraczał granice Highgate, a już nigdy po zmroku.

Jak zwykle dech w piersiach zapała mu szeroka perspektywa ulic i bocznych dróg, wstęgi światel wijące się z każdej strony. Większość domów bardzo różniła się od tych na jego ulicy. Były znacznie mniejsze, skromniejsze, bardziej stłoczone. Często zdawały się skupiać wokół dużych, pozbawionych okien budynków o płaskich dachach i wysokich kominach, zapewne fabryk, w których pospólstwo gromadziło się w jakichś nudnych celach. Zresztą w ogóle go to nie interesowało.

Zobaczył też owo pospólstwo. Zawsze dziwił się, jak bardzo jest ono liczne. Choć nastał już ciemny, dżdżysty wieczór, po ulicach chodziło zaskakująco wielu plebejuszy. Głowy mieli opuszczone i spieszyli się jak mrówki w ogrodzie, wchodzili i wychodzili ze sklepów, a czasem znikali w wałących się knajpach na rogach ulic, skąd zza matowych szyb wypływało ciepłe, pomarańczowe światło. Każdy taki dom miał swoją kulę strażniczą – unosiła się w powietrzu, w widocznym miejscu nad drzwiami. Kiedy ktoś przechodził pod taką kulą, podskakiwała i zaczynała pulsować głęboką czerwienią.

Samochód przejeżdżał właśnie obok jednego z takich lokali – wyjątkowo dużego, naprzeciwko stacji metra – kiedy pan Underwood tak mocno walnął pięścią w tablicę rozdzielczą, że Nathaniel aż podskoczył.

–To właśnie ten, Martho – krzyknął. – To właśnie jeden z najgorszych! Gdyby to zależało od mnie, Nocna Policja przyszłaby tu jutro i zgarnęła wszystkich, co są w środku.

–Och, Arthurze, tylko nie Nocna Policja – powiedziała jego żona zbolalym głosem. – Na pewno są lepsze sposoby na to, żeby sprowadzić ich na dobrą drogę.

–Martho, sama nie wiesz, o czym mówisz. Pokaż mi w Londynie jakąś gospodę, a ja zaraz ci tam znajdę ukryte miejsce spotkań pospólstwa. Na poddaszu, w piwnicy, w schowku na tyłach domu... Widziałem je wszystkie. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wystarczająco często robiło na nie naloty. Ciekawe, że nigdy nie ma tam żadnych dowodów, żadnych rzeczy, których szukamy – tylko puste izby, kilka krzeseł i stołów... Wierz mi, to w tych brudnych spelunkach i melinach zaczynają się wszystkie kłopoty. Premier wkrótce ma podjąć jakieś kroki, ale kto wie, czego się oni jeszcze zdążą dopuścić. Kule strażnicze to za mało! Powinniśmy spalić te miejsca aż do samych fundamentów, to właśnie powiedziałem Duvallowi dzisiaj po południu. Ale oczywiście nikt mnie nie słucha.

Nathaniel już dawno nauczył się nie zadawać pytań, niezależnie od tego, jak bardzo go coś interesowało. Wyciągnął szyję i patrzył, jak pomarańczowe światła gospody maleją, nikną gdzieś w tyle.

Wjechali do centrum Londynu. Budynki były coraz wyższe i bardziej okazałe, jak na stolicę imperium przystało. Po ulicach jeździło więcej prywatnych samochodów, witryny sklepowe wystawne i krzykliwe, wabiły klienta. Na chodnikach oprócz pospólstwa pojawili się też magowie.

–No jak tam, kochanie? – zapytała Nathaniela pani Underwood.

–Wszystko w porządku, pani Underwood. Daleko jeszcze?

–Kilka minut.

Mistrz zerknął w przednie lustro.

–W takim razie zostało jeszcze tyle czasu, by dać ci przestrożę – oznajmił. – Dziś wieczór będziesz mnie reprezentował. Znajdziemy się w tej samej sali, co wszyscy ważniejsi magowie kraju, to znaczy ludzie, których władzy i mocy nawet nie potrafisz sobie wyobrazić. Jedno twoje uchybienie zszarga mi opinię. Czy wiesz, co się stało uczniowi Disraelego?

–Nie, panie.

–Był na przemówieniu premiera, takim jak to dziś. Potknął się na schodach, kiedy Disraelego przedstawiano zgromadzonym. Zleciał na łeb, na szyję i wpadł na swego mistrza. Disraeli wyładował na księżnej Argyll, szczęśliwie dosyć pulchnej kobiecie.

–Tak, panie.

–Disraeli wstał i bardzo uprzejmie przeprosił księżną. Potem odwrócił się do swojego ucznia, który trząsał się i szlochał przy schodach, i klasnął. Uczeń padł na kolana, błagalnie wyciągnął ręce. Na próżno. Na piętnaście sekund korytarz okryła ciemność. Kiedy się rozproszyła, uczeń zniknął, a w jego miejscu pojawiła się solidna, żelazna figura dokładnie o kształtach nieszczęsnego chłopca. W jego wyciągniętych błagalnie rękach tkwiła skrobaczka do butów. I od stu pięćdziesięciu lat wszyscy, którzy wchodzą na korytarz, mogą sobie czyścić na niej obuwie.

–Naprawdę, panie? Mogę to zobaczyć?

–Chodzi mi o to, chłopcze, że jeśli w jakikolwiek sposób mnie rozłóścisz, postaram się, żeby znalazł się tam też stojak na kapelusze. Zrozumiałeś?

–Tak, panie – Nathaniel zanotował sobie w pamięci, by sprawdzić formułę Petryfikacji. Domyślał się, że wymaga ona przyzwania afryta odpowiedniej mocy. Znając już zdolności swojego mistrza, wątpił, by miał on choć najmniejszą szansę dokonać czegoś podobnego. Uśmiechnął się lekko pod osłoną mroku.

–Cały czas stój przy mnie – ciągnął Underwood. – Nie odzywaj się, póki ci nie pozwolę, i nie gap się na żadnego z magów, niezależnie od tego, jak bardzo będzie ułomny. A teraz siedź cicho. Już dojeżdżamy i muszę się skupić.

Samochód zwolnił. Włączył się do korowodu podobnych, czarnych wehikułów, jadących wzdłuż szerokiego, szarego Whitehallu. Minęli szereg granitowych pomników, upamiętniających konkurujących ze sobą magów późnej epoki wiktoriańskiej i poległych bohaterów Wielkiej Wojny. A potem jeszcze kilka rzeźb-monolitów, przedstawiających cnoty idealne: patriotyzm, szacunek dla władzy, posłuszną żonę. Za nimi wznosiły się płaskie, wielookienne budowle, siedziba władz imperium.

Samochód zaczął się wlec jak żółw. Nathaniel zauważył grupy gapiów, którzy stali w ciszy na chodnikach i przyglądali się przejeżdżającym. Byli nastawieni raczej mało przyjaźnie, wręcz wrogo. Większość z nich miała szczupłe i blade twarze. Dalej stali krzepcy mężczyźni w szarych uniformach, nie spuszczać oczu z tłumu. Policjanci i pospólstwo traktowali się nawzajem bardzo chłodno.

Chłopiec, siedząc w odizolowanym, wygodnym wnętrzu auta, był coraz bardziej zadowolony z siebie. Nareszcie coś się działo, wszedł na swoją drogę prowadzącą do parlamentu. Był kimś ważnym, wyróżniał się wśród innych i czuł się z tym dobrze. Po raz pierwszy w życiu poznał leniwe, radosne oczarowanie łatwym awansem.

Wreszcie samochód dotarł na plac parlamentu, potem skręcił w lewo, pod bramę z kutego żelaza. Pan Underwood machnął przepustką, ktoś dał im znak, by ruszali, i auto potoczyło się brukowanym dziedzińcem i opadającą w dół rampą, aż do oświetlonego jarzeniówkami podziemnego parkingu. Pan Underwood wjechał na puste miejsce postojowe i wyłączył silnik.

Nathaniel wbił palce w skórzane siedzenie. Drżał ze skrywanego podniecenia.

Przybyli do parlamentu.

S

19

zli obok niekończącego się szeregu połyskujących czarnych aut. zmierzając ku metalowym drzwiom parkingu. Chłopca ogarnęło takie

145

podniecenie, że nie mógł się na niczym skupić. Oszołomiony, ledwie zauważył dwóch szczupłych strażników, którzy zatrzymali ich za tymi drzwiami, jak przez mgłę widział, że Underwood wyciąga trzy plastikowe przepustki, a wartownicy uważnie je oglądają. Nie zwrócił też szczególnej uwagi na wyłożoną dębiną windę ani na małą kulę spoglądającą na nich spod sufitu. Ale kiedy tylko drzwi windy otwarły się i wkroczyli do wspaniałego Westminster Hall,

chłopiec nagle oprzytomniał.

Ujrzał olbrzymią salę, szeroką i wysoką, pod ostrym sklepieniem z poczerniałych od staroci belek, o ścianach i podłodze z gigantycznych bloków polerowanego kamienia. Okna-witraże były zwieńczone łukami. Na drugim końcu drzwi i okna wychodziły na taras z widokiem na rzekę. U sufitu wisiały żółte lampy, były też w metalowych koszykach na ścianach. W hallu stało lub przechadzało się ze dwieście osób, jednak i tak zdawał się niemal pusty. Nathaniel głośno przełknął ślinę. Nagle poczuł się tylko marnym pyłkiem.

Stał obok państwa Underwoodów na szczycie schodów prowadzących w dół, do sali. Ubrany w czern służący podszedł do nich posuwistym krokiem i zaraz odsunął się z płaszczem czarodzieja. Inny lokaj uprzejmie wskazał drogę. Zeszli po stopniach.

Uwagę chłopca zwrócił stojący z boku posąg. Szara kamienna figura wyobrażała przykucniętego młodzieńca w dziwnym stroju. Spoglądał w górę szeroko otwartymi oczyma, w dłoni trzymał skrobaczkę do butów. Choć czas zatarł rysy jego twarzy, wciąż miała błagalny wyraz. Nathanielowi ciarki przeszły po plecach. Szybciej ruszył do przodu, ale starał się nie podchodzić za blisko mistrza.

Zatrzymali się u podnóża schodów. Podeszli do nich służący z kielichami szampana, na który Nathaniel miał ochotę, i z lemoniadą, której nie chciał, ale ją dostał. Pan Underwood pociągnął długi łyk, niespokojnie łypnął oczyma. Pani Underwood rozglądała się wokół, z lekkim, jakby sennym uśmiechem. Chłopiec wypił trochę lemoniady i też się rozejrzał.

Dookoła tłoczyli się magowie w każdym chyba wieku, rozmawiali i śmiali się. Wszędzie widać było czarne garnitury i eleganckie suknie. Połyskiwały białe zęby, klejnoty skrzyły się w blasku żyrandoli. Przy każdym wejściu stali mężczyźni o ponurych twarzach, ubrani w identyczne, szare garnitury.

Nathaniel domyślił się, że to magowie z policji albo służby bezpieczeństwa, gotowi wezwać dżinna w razie choćby najmniejszych kłopotów, lecz nawet przez swoje soczewki nie dostrzegł żadnych czarodziejskich istot.

Zobaczył jednak paru dumnie kroczących chłopców i kilka prosto trzymających się dziewcząt, niewątpliwie uczniów jak on. Wszyscy zgromadzeni, bez wyjątku, gawędzili ze sobą bardzo luźno i swobodnie. Nagle coś zaszokowało Nathaniela: zauważył, jak niezręcznie zachowują się jego mistrz i pani Underwood – stali z boku, jakby się izolowali.

–Może powinniśmy z kimś porozmawiać? – zaproponował nieśmiało.

Underwood posłał mu jadowne spojrzenie.

–Myślałem, że ci mówiłem... – przerwał i pozdrowił grubego mężczyznę,

który właśnie szedł schodami. – Grigorij!

Grigorij nie okazał szczególnego entuzjazmu.

–Och, witaj, Underwood!

–Jak wspaniale cię zobaczyć! – Underwood zastąpił czarodziejowi drogę, niemal się na niego rzucił, tak gorliwie zabiegał o rozmowę. Żonę i Nathaniela pozostawił samym sobie.

–On mu nas nie przedstawi? – spytał rozdrażniony chłopiec.

–Nie przejmuj się, kochanie. Twojemu mistrzowi zależy na tym, by porozmawiać z wysoko postawionymi osobami. Nie musimy rozmawiać z każdym, prawda? Ale zawsze możemy sobie popatrzeć, co też jest całkiem miłe... – cicho zamruczała. – Muszę przyznać, że w tym roku pod względem mody jest trochę konserwatywnie.

–Pani Underwood, czy to premier? Wyciągnęła szyję.

–Nie sądzę, kochanie, nie. Jeszcze nie. A to jest pan Duvall, szef policji... Nieopodal krzepki mężczyzna w szarym uniformie spokojnie słuchał dwóch

młodych kobiet. Obie mówiły z ożywieniem i chyba równocześnie.

–Kiedyś go spotkałam, czarujący dżentelmen. I oczywiście, bardzo potężny.

Popatrzmy, kto tu jeszcze jest? O mój Boże, tak... Widzisz tamtą panią?

Nathaniel widział. Kobieta była zdumiewająco chuda, miała krótko obcięte, siwe włosy, a jej

palce, jak ptasie szpony, obejmowały kielich.

–To Jessica Whitwell. Ma coś wspólnego ze służbą bezpieczeństwa. Bardzo szanowana czarodziejka. To właśnie ona dziesięć lat temu schwytała czeskich szpiegów. Przywołali marida i nasłali go na nią, ale ona stworzyła Pustkę, a ta go wessała. Wszystko zrobiła sama i to właściwie bez strat. Zatem, John, kiedy będziesz już starszy, lepiej nie wchodzić jej w drogę.

Zaśmiała się i opróżniła kieliszek. Natychmiast pojawił się służący i napełnił naczynie po brzegi. Nathaniel też się roześmiał. Poczuł, że udziela mu się spokój pani Underwood – jak zwykle, kiedy był blisko niej. Trochę się odprężył.

–Przepraszam, przepraszam! Książę i księżna Westminsteru!

Dwóch służących odzianych w liberie przeciskało się przez tłum. Nathaniela bezceremonialnie odsunięto na bok. Rozpychając się łokciami, między zgromadzonymi przeszła mała jędzowata kobieta w brzydkiej czarnej sukni i ze złotą bransoletą na władczo uniesionej ręce. Tuż za nią podążał mężczyzna o zmęczonej twarzy. Pani Underwood patrzyła na nich jak urzeczona.

–Cóż za okropna baba! Co też ten książę w niej widzi. – Upiła łyk

szampana. – A tutaj... Wielkie nieba! Co mu się stało? To kupiec, Sholto Pinn!

Nathaniel zobaczył wielkiego tłuściocha w białym lnianym garniturze, kuśtykającego po schodach na kulach. Szedł tak, jakby każdy ruch sprawiał mu wielki ból. Twarz pokrywały mu sińce, jedno oko miał podbite i zapuchnięte. Kręciło się przy nim dwoje służących, torowali mu drogę ku krzesłom pod ścianą.

–Nie wygląda dobrze – zauważył chłopiec.

–W rzeczy samej. Jakiś straszny wypadek. Może z jakimś artefaktem poszło mu nie tak. Biedaczyna...

Pani Underwood, rozochocona szampanem, opowiadała Nathanielowi o ważnych osobach, kolejno wchodzących do sali. Na spotkanie w Westminsterze przyszła sama śmietanka, towarzyska i rządowa, najbardziej wpływowi ludzie Londynu – czyli, tym samym, świata. Kiedy pani Martha mówiła o ich najsłynniejszych czynach, chłopiec stawał się coraz bardziej przybity. Uświadamiał sobie, jak daleko mu jeszcze do całej tej potęgi i świetności. Zapomniał już o zadowoleniu z siebie, które na krótko ogrzało go w samochodzie. Teraz zastąpiła je gryząca frustracja. Kilka razy zauważył swego

mistrza. Mag zawsze stał na uboczu, ledwie tolerowany przez towarzystwo -lub po prostu ignorowany. Już od zdarzenia z Lovelace'em chłopiec wiedział, jak słaby jest Underwood. A teraz miał jeszcze jeden tego dowód. Wszyscy znajomi ministra dobrze wiedzieli o tej jego słabości. Nathaniel wściekle zgrzytnął zębami. Był pogardzanym uczniem pogardzanego czarodzieja! Nie takiego startu oczekiwał, nie takiego początku pragnął... Pani Underwood gwałtownie szarpnęła go za ramię.

–Tam! John, widzisz go? To on! To on!

–Kto?

–Rupert Devereaux. Premier!

Nathaniel nie miał pojęcia, jak ów człowiek się tu znalazł. Ale jednak był. Niewysoki, szczupły szatyn – choć stał pośród tłumu ważnych osobistości, prześcigających się elegancją wieczorowych garniturów i koktajlowych sukien, jakimś cudem emanował wdziękiem i spokojem. Słuchał kogoś, kiwał głową, lekko się uśmiechał. Premier! Najpotężniejszy człowiek w Brytanii, może na całym świecie. Nawet z oddali Nathaniel czuł ciepły blask podziwu. Jedyne, czego teraz chciał, to znaleźć się blisko tego człowieka, patrzeć na niego i słuchać, jak mówi. Miał wrażenie, że wszyscy czują to samo, przejawiało się to w każdej rozmowie, w każdym spojrzeniu. I kiedy chłopiec tak patrzył na premiera, tłum zamknął się, zasłaniając jego wiotką, elegancką postać.

Nathaniel odwrócił się niechętnie. Z rezygnacją pociągnął łyk napoju – i znieruchomiał.

Blisko podnóża schodów stało dwóch magów – chyba tylko oni nie zwracali uwagi na premiera. Rozmawiali z ożywieniem, głowy mieli blisko siebie. Nathaniel wziął głęboki oddech. Znał ich obu – te twarze dobrze wbiły mu się w pamięć od czasu poniżenia, którego doznał rok temu! Stary mężczyzna o czerwonawej, pomarszczonej skórze, bardziej uśmiechnięty i przygarbiony niż ostatnio, i młodszy, pulchny czarodziej ze strąkami włosów spadającymi na kołnierz. Przyjaciele Lovelace'a. A jeśli oni są tutaj, to czy sam Lovelace mógłby być gdzie indziej?

Nathaniel poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku, ogarnęła go irytująca słabość. Obliznął spierzchnięte wargi. Spokojnie. Nie ma się czego bać. Lovelace przecież nie dowie się, że to właśnie on skradł mu amulet – nawet jeśli staną twarzą w twarz. Gdyby było inaczej, służy czarodzieja dawno już

wtargnęliby do domu Underwooda, zanim jeszcze poczuliby aurę talizmanu. Nic mu nie grozi. Więcej, musi skorzystać z nadarżającej się sposobności, tak jak postąpiłby każdy wytrawny mag. Jeśli podejdzie do swoich wrogów, może podsłucha ich rozmowę. Rozejrzał się dookoła. Pani Underwood nie zwracała na niego uwagi. Gawędziła z jakimś niskim, przysadzistym dżentelmenem, właśnie wybuchła śmiechem. Chłopiec zaczął skradać się przez tłum. Chciał ukryć się w cieniu schodów, blisko miejsca, gdzie stali obaj czarodzieje.

W połowie drogi zorientował się, że starzec milknie w pół słowa i spogląda ku wejściu. Podążył za jego wzrokiem. Serce mu załomotało.

To on: Simon Lovelace o poczerwieniałej twarzy i krótkim oddechu. Najwyraźniej dopiero przybył. Zrzucił płaszcz, cisnął go lokajowi, poprawił klapy marynarki i szybko ruszył ku schodom. Wyglądał dokładnie tak, jak Nathaniel go zapamiętał: okulary, włosy gładko zaczesane do tyłu, energiczny krok, szerokie usta skrzywione w uśmiechu do każdego, kogo mijał. Zbiegł po schodach, odmówił proponowanego mu szampana i pospieszył do swych przyjaciół.

Nathaniel w ciągu kilku sekund schował się za jedną z poręczy, niedaleko podnóża schodów, blisko miejsca, gdzie koniec poręczy wykrzywiał się ku dołowi, tworząc zdobny cokół, zwieńczony kamienną wazą. Z jednej strony chłopiec dostrzegł tył głowy jegomościa, z drugiej kawałek marynarki starszego maga. Sam Lovelace schodził do nich po schodach, akurat teraz niewidoczny.

Waza osłaniała chłopca przed wzrokiem nieprzyjaciół. Oparł się o tył cokołu, przybierając pozę, jak miał nadzieję, elegancką i swobodną, i wytężył słuch, chcąc wyłapać z ogólnego zgiełku ich głosy.

Udało się. Mówił sam Lovelace, szorstko i ze złością:

–...wciąż nic. Próbowałem wszystkiego, co tylko się dało. Żadna moc, którą przywołałem, nie potrafiła mi powiedzieć, kto go teraz ma.

–Taaa, marnujesz nasz czas. – Starszy mężczyzna mówił z wyraźnym obcym akcentem. – A skąd inne demony mogłyby wiedzieć?

–Trzeba wykorzystać każdą możliwość. Ale nie, masz rację. Kule też się do niczego nie przydały. Dlatego chyba musimy zmienić plany. Dostaliście wiadomość ode mnie? Myślę, że powinniśmy to odwołać.

–Odwołać? – odezwał się trzeci głos, przypuszczalnie wtrącił się pulchny mężczyzna.

–Zawsze mogę obwinie dziewczynę.

–To nierozsądne – starzec mówił cicho. Nathaniel ledwie rozróżniał słowa. – Jeśli to odwołasz, Devereaux jeszcze bardziej się na ciebie rozeźli. On nie może się już doczekać tych wszystkich drobnych luksusów, które mu obiecałeś. Nie, Simon, musimy robić dobrą minę do złej gry. Szukaj dalej. Mamy kilka dni. Jeszcze wiele może się zmienić.

–Jeśli to wszystko na nic, będę zrujnowany! Czy ty zdajesz sobie sprawę, ile kosztuje wynajęcie tego miejsca?

–Uspokój się. Podnosisz głos.

–W porządku. Ale wiecie, z czym nie mogę się pogodzić? Ktokolwiek to zrobił, jest gdzieś tutaj. Patrzy na mnie, śmieje się... Kiedy odkryję kim on jest...

–Ciszej, Lovelace! – raz jeszcze zmitygował go pulchny mag.

–Może, Simonie, powinniśmy iść gdzie indziej, w jakieś bardziej dyskretne miejsce...

Nathaniel, ukryty za cokołem, szarpnął się do tyłu, jakby przeszył go prąd. Lepiej uniknąć spotkania z nimi twarzą w twarz. Chyłkiem wyszedł z cienia schodów i wmieszał się w tłum. Gdy na tyle już oddalił się od nieprzyjaciół, by móc poczuć się bezpiecznie, obejrzał się. Lovelace i jego towarzysze wciąż tam stali. Przyplątał się do nich jakiś starszy mag i coś paplał – ku ich najwyższemu zniecierpliwieniu.

Chłopiec pociągnął łyk, uspokoił się. Nie zrozumiał wszystkiego, co usłyszał, jednak cieszyła go wyraźna furia Lovelace'a. Powinien wezwać Bartimaeusa i dowiedzieć się czegoś więcej. A może jego sługa już tu jest i śledzi Lovelace'a...? Co prawda, przez soczewki nikogo nie widział, ale przecież dżinny potrafią zmieniać postać na czterech planach. Każdy z obecnych tu ludzi, zdawałoby się z krwi i kości, mógłby okazać się skorupą skrywającą demona.

Nathaniel stracił poczucie czasu. Stał blisko niewielkiej grupy czarodziejów i usłyszał ich rozmowę.

–...ale przystojny. Ma kogoś?

–Simon Lovelace? Jakąś kobietę. Nie pamiętam, jak się nazywa.

–Devino, ty chcesz go poderwać. On już nie jest złotym chłopcem.

–W przyszłym tygodniu organizuje spotkanie, prawda? Jest taki męski...

–Musiał długo i uporczywie podlizywać się Devereaux, żeby mu na to pozwolił. Nie, on nie robi

szybkiej kariery. Premier odstawił go na bok.

Rok temu Lovelace starał się o posadę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, ale Duvall zablokował jego kandydaturę. Nienawidzi go, nie wiem już dlaczego.

–Z Lovelace'em jest stary Schyler, prawda? Co on przyzwał, że teraz ma taką twarz? Widziałem impy, które wyglądały lepiej.

–Lovelace otacza się dziwnym towarzystwem jak na ministra. Kim jest ten tłuścioch?

–To chyba Lime. Rolnictwo.

–Wygląda podejrzanie...

–A tak swoją drogą, gdzie będzie to spotkanie?

–W jakimś odległym miejscu, poza Londynem.

–O nie, naprawdę?! Straszna nuda. Pewnie zwali się mnóstwo białych kołnierzyków.

–Tak, ale jeśli tego chce premier...

–Okropne.

–Jednak on jest taki przystojny...

--John...

–Devino, jesteś taka powierzchowna. Ciekawe, gdzie kupił ten garnitur.

–John!

Pani Underwood stanęła przed Nathanielem. Twarz miała zarumienioną -czy dlatego że w sali było ciepło? Chwyciła go za ramię.

–John! Wołam cię i wołam! Pan Devereaux wygłosi przemówienie.

Musimy iść do tyłu, z przodu mogą stać tylko ministrowie. Pospiesz się.

Wycofali się, tymczasem inni goście, kierowani instynktem stadnym, przesuwali się ku niewielkiemu podestowi na kółkach, pokrytemu purpurowym suknem. Słysząc było stukot obcasów i szelest sukien. Nathaniel i pani Underwood zatrzymali się z tyłu i odrobinę z boku sali, niedaleko drzwi otwierających się na taras z widokiem na rzekę. Od kiedy pojawili się w Westminsterze, gości wyraźnie przybyło. Chłopiec ocenił, że w sali jest teraz kilkaset osób.

Rupert Devereaux dziarsko jak młodzieniaszek wskoczył na podwyższenie.

–Panie, panowie, ministrowie! Jakże się cieszę, że widzę was teraz tutaj...

Miał ładny głos, głęboki, melodyjny, zdecydowany. Tłum spontanicznie

zawiatował, rozległy się oklaski. Pani Underwood z podniecenia omal nie

upuściła kieliszka. Stojący obok Nathaniel entuzjastycznie bił brawo.

–Przemówienie o stanie państwa zawsze wygłaszałem z poczuciem miłego obowiązku – ciągnął Devereaux. – Wymaga ono bowiem, bym znalazł się w towarzystwie wielu wspaniałych ludzi...

Odpowiedziały mu westchnienia i głośnie wiwaty, nawet krokwie starożytnej sali chyba się zatrzęsły.

–Dziękuję. Dzisiaj mam przyjemność poinformować was, że odnieśliśmy sukcesy na wszystkich frontach, zarówno w kraju, jak i za granicą. Za chwilę przekażę więcej szczegółów, jednak już teraz mogę oznajmić, że nasze siły walczące z włoskimi buntownikami zatrzymały ich pod Turynem i stanęły na kwatery zimowe. Co więcej, nasze górskie bataliony rozgromiły czeskie siły ekspedycyjne... – Głos premiera utonął wśród powszechnego aplauzu. – A także poskromiły wielu dzinnów-nieprzyjaciół. – Zrobił krótką przerwę. – W kraju zaś zajęliśmy się plagą drobnych kradzieży, która ostatnio dotknęła Londyn: w ciągu tylko kilku ostatnich tygodni skradziono wiele magicznych artefaktów. Teraz wszyscy już wiemy, że są to działania garstki zdrajców, drobnych bandytów bez sumienia. Ale jeżeli ich nie wyplenimy, pospólstwo może pójść w ich ślady niczym bezrozumne bydło, którym zresztą jest. Dlatego podjęliśmy drakońskie środki, by zapobiec owym aktom wandalizmu. Wszyscy podejrzani pójdą do więzienia bez sądu. Jestem pewien, że dzięki tym obostrzeniom Ministerstwo Spraw Wewnętrznych wkrótce zamknie prowodyrów pod kluczem.

Przemowa trwała jeszcze wiele minut, często przerywały ją wybuchy entuzjazmu. Odrobina

treści, jaką zawierała, szybko rozmyła się w masie powtarzających się frazesów o cnotach rządu i niegodziwości jego wrogów. Nathaniel zaczął się nudzić. Czuł, że kiedy stara się tego słuchać, mózg mu tężeje. W końcu dał sobie spokój i zajął się czym innym.

Odwrócił się lekko i przez otwarte okno zerknął na taras. Za marmurową balustradą płynęły czarne wody Tamizy, tu i ówdzie rozświetlone żółtym światłem z południowego brzegu. Trwał przyływ, rzeka toczyła swe wody pod mostem Westminsterским ku dokom i morzu.

Nie tylko Nathaniela zmęczyło to przemówienie. Chłopiec zauważył, że ktoś stoi na tarasie tuż za kręgiem światła z sali. Chyba żaden gość nie byłby

tak nierozsądny, by ostentacyjnie zlekceważyć premiera. To pewnie tylko członek ochrony.

Chłopiec się zamyślił. Wyobraził sobie szlam, zalegający dno Tamizy. Puszka dla Bartimaeusa pewnie tkwiła już w nim do połowy, na zawsze zagubiona pośród mroku.

Kątem oka Nathaniel dostrzegł, że człowiek na tarasie robi nagły, zdecydowany ruch, jakby wyciągał coś dużego spod ubrania. Próbował dojrzeć, co to jest, ale nieznajomego skryła ciemność. Z sali wciąż dochodził melodyjny głos premiera:

–...przyjaciele, to czas konsolidacji. Jesteśmy elitą światowej magii,

nikt nie stoi nad nami...

Nieznajomy ruszył ku drzwiom.

Dzięki soczewkom Nathaniel zauważył kolorowy błysk, częściowo widoczny też na innym planie...

...musimy podążać śladami naszych przodków i starać się... Chłopiec nie wiedział, co robić. Próbował się odezwać, ale język przylgnął mu do podniebienia.

Nieznajomy wskoczył do sali – młody człowiek o dzikich, ciemnych oczach, w czarnych dżinsach i czarnym skafandrze. Twarz wysmarowaną miał ciemną pastą, w dłoniach trzymał jaskrawą niebieską kulę wielkości dorodnego grejpfruta. Pulsowała światłem. Nathaniel dostrzegł kłębiące się w niej maleńkie kształty.

–...dalej dominować. Nasi wrogowie marnieją... Przybysz uniósł ramię. Kula zaśniła w blasku żyrandoli. W tłumie ktoś gwałtownie wciągnął powietrze. Zauważył...

–...tak, powtarzam wam...

Usta Nathaniela otwarły się w bezgłośnym krzyku. Ramię pomknęło do przodu, kula pozostała w dłoni.

–...marnieją...

Niebieska kula poleciała łukiem nad głową Nathaniela, nad głowami zgromadzonych. Chłopiec stał urzeczony jak mysz, którą zahipnotyzował wąż. Zdawało mu się, że ten lot trwa wiecznie. Wszystko ucichło, tylko ledwie słyszalne trzaski wydobywały się z wnętrza kuli i z sali dochodził zduszony kobiecy krzyk.

Kula znikła, a nad głowami magów pojawił się obłok sztucznego szkła.

Ułamek sekundy później nastąpił wybuch.

ozbicie kuli żywiołów na zamkniętej przestrzeni to rzecz przerażająca, kataklizm, który sieje spustoszenie. Im mniejsza jest ta przestrzeń lub kula większa, tym groźniejsze są zniszczenia. Magowie, Nathaniel zresztą też, mieli szczęście, że Westminster był tak rozległy – a kula niewielka. Ale i tak wybuch okazał się katastrofalny w skutkach.

Kiedy pękło szkło, uwięzione pod nim żywiołaki, przez wiele lat stłoczone i pozbawione sposobności do rozmów, mając już siebie nawzajem serdecznie dość, nagle wyskoczyły z zamknięcia. Wykorzystując cztery żywioły, powietrze, ziemię, ogień i wodę, błyskawicznie rozpieczęły się w cztery strony świata, siejąc chaos i zniszczenie. Niemal wszystkich stojących w pobliżu gości w jednej chwili przewrócił gwałtowny powiew, zasypały kamienie, przypiekl ogień i zalały strugi wody. Inni, którzy towarzyszyli magom, upadli na ziemię, jak kręgle rozsypując się wokół epicentrum wybuchu. Chłopiec stał na krawędzi tłumu, osłonięty przed najgwałtowniejszym uderzeniem, mimo to zawirował w powietrzu i runął na drzwi prowadzące ku tarasowi

Znaczniejsi czarodzieje przeważnie uniknęli większych szkód. Podziały różne zabezpieczenia, zwykle uwięzione dzinny, które miały obowiązek bronić swoich panów przed agresywną magią. Tarcze ochronne wchłonęły albo odbiły kule ognia, ziemi i wody, a wyjący wicher posłały w sufit. Jednak kilku pomniejszych magów i ich towarzysze nie mieli takiego szczęścia. Impet uderzenia rzucił ich na cudze bariery obronne – odbili się od nich kilka razy i stracili przytomność, pokonani przez szalejące żywioły. Innych porwały fale parującej wody – przewalając się po podłodze, zostawiły, bezwładnych i przemoczonych, gdzieś w połowie sali.

Premiera już tu nie było. Gdy tylko kula roztrzaskała się na kamieniach trzy metry od podium, z powietrza wyłonił się ciemnozielony afryt, owinał go Hermetycznym Płaszczem i zabrał w przestworza, ulatując przez okno w suficie.

Na wpół przytomny po zderzeniu z drzwiami, Nathaniel próbował stanąć na nogi. Wtedy zobaczył dwóch mężczyzn w szarych uniformach – pędzili w jego stronę. Upadł na plecy. Przeskoczyli nad nim, ku drzwiom na taras.

Gdy drugi z nich potężnym susem przesadził chłopca, wydał z siebie gardłowy warkot, tak straszny, że Nathanielowi włos zjeżył się na głowie. Usłyszał dobiegające z tarasu odgłosy szamotaniny i drapanie, jakby pazury skrobały kamień – a potem odległe plusk, plusk.

Ostrożnie uniósł głowę. Balkon był pusty, a na sali przestały już szaleć żywioły. W szczelinach między kamiennymi płytami podłogi spokojnie płynęła woda, a na ścianach i twarzach gości widać było plamy błota. Tu i ówdzie płomienie wciąż lizały purpurową draperię okrywającą podium. Czarodzieje dochodzili do siebie, podnosili się albo pomagali wstać innym. Kilku leżało nieruchomo. Zewsząd biegli lokaje. Słyszeli krzyki, szloch i spóźnione prośby o ratunek.

Nathaniel wstał, nie zwracając uwagi na ostry ból w barku, którym uderzył o ścianę. Pełen niepokoju zaczął szukać pani Underwood. Buty ślizgały mu się po nieczystościach zalegających posadzkę.

Grubas w białym garniturze przechylił się na kulach – wciąż rozmawiał z Simonem Lovelace'em i starym, pomarszczonym magiem. Wyglądało na to, że żadnemu z nich atak nie wyrządził większej szkody – choć na czole Lovelace'a widniał siniak, a okulary mu popękały.

Kiedy Nathaniel przechodził obok nich, wszyscy odwrócili się twarzą do siebie i zaczęli mrużyć czar Przyzwania. Wkrótce pojawił się džinn, wysoki: metr osiemdziesiąt, smukły, odziany w srebrny płaszcz. Padły odpowiednie rozkazy, demony uniosły się w powietrze, pomknęły ku tarasowi i dalej.

Pani Underwood oszołomiona siedziała na podłodze. Nathaniel przykucnął obok niej.

–Nic pani nie jest?

Podbródek miała uwalany mułem, a włosy przy uchu przypalone – prócz tego raczej nic jej nie było. Chłopiec poczuł taką ulgę, że niemal chciało mu się płakać.

–Nic, John, chyba nic. Nie musisz tak mnie przytulać. Cieszę się, tobie nic się nie stało. Gdzie jest Arthur?

–Nie wiem – Nathaniel spojrzał na tłum. – O, tam.

Jego mistrz najwyraźniej nie zdążył się odpowiednio zabezpieczyć. Bo przecież jego broda, teraz przypominająca drzewo rozszczepione piorunem, nie dawała żadnej ochrony. Podmuchał mu przód marynarki i elegancką koszulę, kamizelka poczerniała, a krawat lekko dymił.

Spodnie też jakoś się dziwnie skróciły. Underwood stał blisko grupy osób w podobnym stanie, jego czerwona, umazana sadzą twarz wyrażała oburzenie.

–Jego życiu chyba nic nie zagraża – oznajmił Nathaniel.

–John, idź tam i mu pomóż. No, idź. Nic mi nie jest, naprawdę. Muszę tylko chwilkę posiedzieć w spokoju.

Chłopiec niepewnie podszedł do mistrza. Kiepsko by z nim było, gdyby Underwood postanowił obwinie go za to, co właśnie się stało.

–Panie? Czy pan?...

Mag chyba nawet nie zauważył chłopca. Pod jego szerniałymi brwiami płonęło jasne światło furii. Z godnym podziwu opanowaniem złożył porwane strzępy marynarki i zapiał je na jedyny ocalały guzik. Przyglądził krawat, który lekko zniekształcił się pod wpływem gorąca i ruszył ku najbliższej grupie gości. Nathaniel poszedł za nim, nie bardzo wiedząc, co robić.

–Kto to był? Widzieliście go? – nagle wyrzucił z siebie mag.

Jakaś kobieta, której wieczorowa suknia zwisała teraz niczym mokra ścierka, pokręciła głową.

–To stało się za szybko. Inni przytaknęli.

–To był jakiś przedmiot, wleciał z zewnątrz.

–Przez portal, może to czarodziej renegat...

Do rozmowy wtrącił się jakiś siwowłosy mężczyzna o jękliwym głosie.

–Mówią, że ktoś wszedł przez taras...

–Na pewno nie, przecież jest ochrona.

–Przepraszam, panie...

–Ten ruch oporu, myśli pan, że to oni...

–Lovelace, Schyler i Pinn posłali w dół rzeki tropiące demony.

–Panie...

–Sprawca musiał wskoczyć do Tamizy i odpłynąć.

–Panie! Widziałem go!

Underwood wreszcie odwrócił się do Nathaniela.

–Co? Co ty powiedziałaś?

–Widziałem go, panie. Chłopca na tarasie...

–Wielkie nieba, jeśli kłamiesz...

–Nie, panie, to było tuż przed tym, jak on tym rzucił. Miał w ręce niebieską kulę. Wbiegł przez drzwi i rzucił nią, panie. To był chłopiec, ciemnowłosa, trochę ode mnie starszy, panie. Szczupły, w ciemnym ubraniu, chyba w płaszczu. Nie widziałem, co się z nim stało po tym, jak nią rzucił. To była kula żywiółów, jestem pewien, panie, mała kula. Dlatego nie musiał być magiem, żeby ją roztrzaskać...

Nathaniel przerwał, by zaczerpnąć oddechu. Nagle uświadomił sobie, że przepelnięty zapalem zdradził się, że zna się na magii lepiej, niż może znać się uczeń, który jeszcze nie przyzwał swojego pierwszego moulera. Ale chyba ani Underwood, ani żaden z pozostałych magów tego nie spostrzegli. Chwilę potrwało, nim dotarło do nich, co mówił, potem odwrócili się od niego i zaczęli się przekrzykiwać, wyrzucając słowa z szybkością karabinu maszynowego. Jeden drugiemu nie dawał dojść do głosu, pragnąc jak najszybciej podzielić się swoją teorią.

–To musiał być ruch oporu, ale czy oni są magami, czy nie? Zawsze mówiłem...

–Underwood, ty zajmujesz się sprawami wewnętrznymi. Czy zarejestrowano jakieś kradzieże kul żywiółów? Jeśli tak, to co, do diabła, zrobiono w tej sprawie?

–Nie mogę powiedzieć, to tajne...

–Człowieku, przestań mamrotać w resztki brody. Mamy prawo wiedzieć!

–Panie, panowie... – głos był cichy, jednak skutek odniósł natychmiastowy. Wszyscy zamilkli, głowy się odwróciły. Podszedł do nich Simon Lovelace. Był już uczesany. Gdyby nie rozbite okulary i posiniaczone czoło, wyglądałby tak elegancko jak zwykle. Nathaniel poczuł suchość w ustach.

Lovelace przyjrzał się zgromadzonym swoimi bystrymi, ciemnymi oczyma.

–Proszę, nie napadajcie na biednego Arthura – powiedział i uśmiechnął się. –

Biedak nie ponosi odpowiedzialności za ów akt przemocy. Wygląda na to, że napastnik wszedł od strony rzeki.

Jakiś czarnobrody mężczyzna wskazał Nathaniela.

–Właśnie tak mówił chłopak.

Ciemne oczy bacznie przyjrzały się dzieciakowi, powieki lekko uniosły się z uznaniem.

–Młody Underwood. Widziałeś go, prawda?

Nathaniel przytaknął w milczeniu.

–Bystry jesteś, jak zwykle. Underwood, czy on już ma imię?

–Ekhm... Tak. John Mandrake. Zatwierdziłem je oficjalnie.

–Świetnie, John – mag nie odrywał od niego wzroku. – Należą ci się gratulacje. Do tej pory nikt, z kim rozmawiałem, nie przyjrzał się napastnikowi. W swoim czasie policja może zechcieć, byś złożył zeznania.

Nathaniel odezwał się z trudem.

–Tak, panie.

Lovelace zwrócił się ku pozostałym.

–Napastnik zostawił pod tarasem łódkę, wspiął się po nadbrzeżu i podciął gardło strażnikowi. Nie ma ciała, ale są ślady krwi, więc pewnie wrzucił trupa do Tamizy i sam po ataku również skoczył do wody. Dał się ponieść nurtowi i może utonął.

Czarnobrody mężczyzna parsknął niezadowolony.

–To niesłychane! Co ten Duvall sobie myśli? Policja powinna temu zapobiec.

Lovelace uniósł rękę.

–Całkowicie się zgadzam. Jednak dwóch policjantów natychmiast ruszyło w pościg. Mogli coś znaleźć, choć w wodzie ginie trop zapachu. Posłałem dzinna wzdłuż wybrzeża. Niestety, w tej chwili nie mogę już niczego więcej powiedzieć. Powinniśmy się cieszyć, że nic się nie stało premierowi i że nie zginął nikt ważny. Czy mogę nieśmiało zasugerować, by państwo wrócili do domów, ochłonęli... i może się przebrali? Za jakiś czas na pewno otrzymacie

więcej informacji. A teraz, państwo wybaczą...

Uśmiechnął się i odszedł ku kolejnej grupie gości. Magowie patrzyli na niego z otwartymi ustami.

–Co za arogancja – parsknął czarnobrody, z trudem się opanowując. – Kto by

pomyślał, że on jest tylko wiceministrem handlu. Doigra się, któregoś dnia

spotka czyhającego na niego afryta... No, nic tu po mnie, nawet jeśli większość

z was myśli inaczej.

Ciężkim krokiem ruszył do wyjścia. Inni, jeden za drugim, poszli w jego ślady. Underwood bez słowa zabrał żonę, która porównywała swoje siniaki z siniakami jakieś pary z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, i z drepczącym obok Nathanielem opuścił pogrążony w chaosie Westminster Hall.

–Mogę liczyć tylko na to – powiedział mistrz – że ten atak zachęci ich do zwiększenia funduszy. Jeśli tego nie robią, to czego się spodziewają?

Do dyspozycji mam tylko sześciu magów! Nie jestem cudotwórcą!

Pierwsza część podróży upłynęła wśród ciszy i swądu przypalanej brody. Kiedy wyjechali z centrum Londynu, Underwood nagle zrobił się rozmowny. Wyglądało na to, że coś nie daje mu spokoju.

–To nie twoja wina, kochanie – łagodnie powiedziała pani Underwood.

–Nie, ale oni mnie oskarżają! Chłopcze, sam słyszałeś. Oskarżają mnie w związku z tymi wszystkimi kradzieżami!

Nathaniel zapytał nieśmiało:

–Jakimi kradzieżami, panie?

Underwood ze złością uderzył w kierownicę.

–Oczywiście tymi, które są sprawką tego tak zwanego ruchu oporu. Ktoś kradnie magiczne przedmioty nieostrożnym magom z całego Londynu. Takie rzeczy, jak na przykład kula żywiołów. W styczniu kilka z nich zniknęło z jakiegoś magazynu, o ile dobrze pamiętam. W ciągu paru ostatnich lat takie przestępstwa stały się coraz bardziej powszechne, a ja muszę sobie z tym radzić, i to mając tylko sześciu magów do spraw wewnętrznych!

Siedzący z tyłu Nathaniel, ośmielony, pochylił się w stronę mistrza.

–Przepraszam, panie, ale co to za ruch oporu?

Underwood zbyt szybko wziął zakręt, tak że ledwie ominął jakąś starszą panią. Wystraszył ją, waląc pięścią w klakson.

–Garstka zdrajców, co nie życzą sobie nas u władzy – warknął. – Tak, jakbyśmy nie dali temu krajowi całego jego bogactwa i wielkości. Nikt nie wie, kim oni są, ale wygląda na to, że jest ich niewielu. Garstka pospólstwa, która nawołuje do buntu po kościołach, kilku półgłówków i podżegaczy, co odrzucają magię i to, co dla nich zrobiła.

–Panie, oni nie są magami?

–Oczywiście, że nie, ty głupcze, o to właśnie chodzi! To brudne pospólstwo! Nienawidzą nas i wszystkiego, co wiąże się z magią, chcą obalić rząd! Jakby to było możliwe.

Przyspieszył, przejechał na czerwonym świetle i niecierpliwie machnął ręką na pieszych, którzy czmychali na chodnik.

–Ale dlaczego oni kradną magiczne przedmioty, panie? Przecież nienawidzą rzeczy związanych z magią.

–Kto to wie? Cale to ich rozumowanie jest pokręcone. To przecież tylko pospólstwo. Może sądzą, że w ten sposób nas osłabiają. Jakby utrata kilku artefaktów coś dla nas znaczyła! Ale kilku przedmiotów mogą używać osoby nie będące czarodziejami, co zresztą dzisiaj widziałeś. A jeśli przy tym gromadzą broń do przyszłego ataku, może na rozkaz obcych rządów... Nie sposób powiedzieć, póki ich nie znajdziemy... i nie wykończymy.

–Panie, ale to był ich taki pierwszy prawdziwy atak?

–Pierwszy na taką skalę. Wcześniej było parę zagadkowych incydentów... Na przykład słoje z moulerami rzucały w rządowe samochody... Magowie doznali obrażeń. Raz kierowca rozbił wóz. Kiedy był nieprzytomny, skradziono mu z samochodu walizkę z kilkoma magicznymi przedmiotami... Miał przez to wielkie kłopoty, idiota. Ale teraz ruch oporu posunął się już za daleko. Mówiłeś, że napastnik był młody?

–Tak, panie.

–Ciekawe... W pobliżu miejsc, gdzie dokonano innych ataków, też widziano młodych ludzi. Jednak młodzi czy starzy, ci złodzieje gorzko pożałują dnia, w którym ich znajdziemy. Po dzisiejszej nocy wszyscy będący w posiadaniu skradzionych magicznych przedmiotów zostaną ukarani najsurowiej, jak tylko rząd może ukarać. Nie czeka ich lekka śmierć, możesz być pewien. Mówiłeś coś, chłopcze?

Nathaniel zachłysnął się z piskiem. Nagle oczyma wyobraźni zobaczył skradziony Amulet z Samarkandy ukryty w gabinecie Underwooda. Milcząc, pokręcił głową.

Samochód minął ostatni zakręt i mrużąc pojechał ciemną, cichą ulicą. Underwood zaparkował przed domem.

–Zapamiętaj moje słowa, chłopcze – powiedział. – Rząd będzie teraz

musiał zareagować. Jutro rano pierwsze, co zrobię, to zażadam zatrudnienia

nowych osób w moim departamencie. Potem zaczniemy łapać tych złodziei. A

kiedy to już zrobimy, rozerwiemy ich na strzępy.

Wysiadł z samochodu i zatrzasnął drzwi, zostawiając po sobie swąd spalenizny. Pani Underwood odwróciła głowę i spojrzała na niego. – Nathaniel siedział sztywno wyprostowany, z odrętwiałym karkiem. Patrzył tępo przed siebie.

–Może wypijesz przed snem trochę czekolady? – zaproponowała.

Oiartitnaeiis

asłona ciemności, skrywająca dotąd mój umysł, nareszcie się uniosła. Odzyskałem swą zwykłą czujność, moje zmysły stały się jasne i przenikliwe, a zgromadzona energia gotowa była eksplodować działaniem. Nadszedł czas ucieczki! Tak przynajmniej myślałem.

Mój umysł pracował jednocześnie na kilku poziomach*. Znano mnie z tego, że potrafiłem swobodnie gawędzić, a jednocześnie sformułować zaklęcie i przypatrywać się runom ucieczki. To często mi się przydawało. Jednak akurat w tym momencie wystarczył mi tylko jeden poziom percepcji, bym stwierdził, że ucieczka jest w ogóle niemożliwa. Miałem spore kłopoty.

Ale wszystko po kolei. Jedyne, co mogłem w tej chwili zrobić, to nie poddawać się emocjom.

* Większość ludzi ma dostęp tylko do jednego poziomu percepcji, choć posiada kilka, a nawet więcej nieuświadomionych poziomów jaźni, ukrytych gdzieś głęboko. Wyobraź sobie coś takiego: potrafię czytać książkę, w której znajdują się cztery różne opowieści, jedna nadrukowana na drugiej, i obejmować je naraz tym samym spojrzeniem. Ale przy twoich skromnych możliwościach mogę ci pomóc tylko takimi przypisami.

162

Po przebudzeniu zobaczyłem, że gdy straciłem przytomność, zmieniła się moja postać. Sokół rozplynał się w gęstą, oleistą ciecz, zawieszoną w powietrzu. W rzeczywistości była bardzo zbliżona do mojej czystej esencji, kiedy ta przebywała uwięziona na ziemi – ale mimo swej szlachetnej natury, wyglądała niezbyt ładnie*. Szybko przybrałem więc postać szczupłej kobiety, odzianej w prostą tunikę, i dla lepszego efektu dodałem jeszcze niewielkie rogi na głowie.

Po czym uważnie rozejrzałem się wokół.

Byłem na szczycie niedużego postumentu czy też kamiennej kolumny, wysokiej na dwa metry i sterczącej z podłogi wykonanej z gładkich płyt. Na pierwszym planie mogłem się rozejrzeć we wszystkie strony, ale od drugiego do siódmego blokowało mnie jakieś paskudztwo: mała kula energii o znacznej mocy. Tworzyły ją cienkie, krzyżujące się linie bieli, wychodziły ze szczytu kolumny, spod moich szczupłych stóp, i spotykały się nad moją delikatną głową. Nie musiałem ich dotykać, by wiedzieć, że jeśli to zrobię, zadadzą mi nieznośny ból i odrzucą do tyłu.

W moim więzieniu nie było żadnej wyrwy, żadnego słabego punktu. Nie mogłem się z niego wydostać. Siedziałem zamknięty w kuli, jak niema złota rybka w akwarium.

Ale w przeciwieństwie do złotej rybki miałem dobrą pamięć. I przypominałem sobie, co stało się po tym, jak wyrwałem się ze sklepu Pinna. Przypominałem sobie zatrzasujące się na mnie srebrne Sidła. Afryta o rozgrzanych do czerwoności kopytach, topiących chodnikowe płyty.

Zapach rozmarynu i czosnku, dławiający mnie niczym mordercze dłonie, póki nie straciłem przytomności. Co za zniewaga! Ja, Bartimaeus, obezwładniony na londyńskiej ulicy! Ale czas gniewu jeszcze przyjdzie. Teraz musiałem zachować spokój i zastanowić się nad okazją do ucieczki.

Za powierzchnią kuli widziałem sporą chyba starożytną komnatę. Zbudowano ją z bloków szarego kamienia, sufit tworzyły ciężkie drewniane krokwie. Przez okienko u góry do środka wpadało słabe światło. Ledwie docierało do podłogi, przebijając się przez kłęby kurzu. Okienko otaczała magiczna bariera, podobna do mojej klatki. W komnacie stało jeszcze kilka takich kolumn jak moja. Niektóre były puste, ale na jednej balansowała mała, jaskrawa niebieska kula o bardzo gęstym splocie. Wolałbym niczego tam

*** Tak naprawdę miała wygląd i zapach pomyj.**

nie widzieć, ale zdawało mi się, że dostrzegam w niej jakiś powykrzywiany, zmiądzony kształt.

W murach nie było drzwi, co i tak nie miało znaczenia. W magicznych więzieniach dosyć powszechnie stosowano okresowe portale. Dostęp do następnej komnaty mógł okazać się możliwy tylko przez wrota, które na rozkaz otwierali zaufani wartownicy. Bardzo trudno byłoby stąd umknąć, nawet jeśli zdołałbym się wydostać ze swojej więziennej kuli.

Zadania nie ułatwiali też sami strażnicy, dwaj pokaźni utukku*, wolno kroczący pod ścianami komnaty.

Jeden z ich miał głowę i grzebień pustynnego orła, okrutny, krzywy dziób i zjeżony pióropusz. Drugi głowę byka, a z jego nozdrzy pryskały obłoczki śliny. Obaj chodzili tak jak ludzie. Mieli potężne nogi, a ich wielkie, żyłaste ręce ścisnęły włócznie o srebrnych grotach. Skórzaste skrzydła złożyli na muskularnych grzbietach. Ich oczy, lśniące głupawym, złowrogim blaskiem, poruszały się bez przerwy, przepatrując każdy milimetr komnaty.

Westchnąłem lekko, trochę jak dziewczyna. Sprawy naprawdę nie wyglądały obiecująco.

Nadal jednak nie czułem się pokonany. Sądząc po imponującej skali tego więzienia, pewnie wpadłem w ręce rządu, jednak należało się jeszcze upewnić. Przede wszystkim musiałem wyciągnąć z moich strażników wszystko, co wiedzieli**.

* Rodzaj dzinnów; ulubili go sobie asyryjscy magowie, bo odznaczał się bezrozumnym zamiłowaniem do przemocy. Pierwszy raz walczyłem z nimi w bitwie pod Al-Arisz, kiedy to faraon wyparł wojska Asyrii z Egiptu. Utukku wyglądają całkiem nieźle – cztery metry wzrostu, głowy dzikich zwierząt lub drapieżnych ptaków, kryształowe napierśniki, błyszczące szable. Ale można sobie z nimi poradzić starą sztuczką „za tobą!”. Oto przepis na sukces: 1. Weź kamień. 2. Rzuć go za utukku, tak by rozległ się dźwięk. 3. Patrz, jak utukku odwraca się, wybałuszając oczy. 4. Z zapalem przebij go na wylot. 5. Raduj się zwycięstwem. Nie wiedzieć czemu moje czyny dokonane tamtego dnia narobiły mi wrogów wśród tych utukku, którzy ocaleli.

** Czyli pewnie niewiele. Inteligencję dzinna prawie zawsze można poznać po liczbie kształtów, które on lub ona przybiera. Żwawe byty, takie jak ja, nie znają ograniczeń formy. Szczerze mówiąc, im więcej różnych postaci, tym lepiej. To czyni nasze życie łatwiejszym.

Gwizdnąłem bezczelnie. Najbliższy utukku, o głowie orła, spojrział na drugą stronę komnaty i skierował włócznię w moją stronę. Uśmiechnąłem się kusząco.

–Cześć.

Utukku syknął jak wąż, wywalił czerwony ptasi język i podszedł bliżej, wymachując włócznią.

–Daj spokój – powiedziałem. – Większe wrażenie robi broń trzymana w pogotowiu. Wyglądasz, jakbyś próbował nabić galaretkę na widelec.

Orlodzioby podszedł jeszcze bliżej. Jego stopy spoczywały na posadzce dwa metry pode mną, jednak był tak wysoki, że mógł patrzeć mi prosto w oczy. Na wszelki wypadek nie zbliżał się do świecącej ściany klatki.

–Jeszcze raz odezwiesz się nie pytana – warknął utukku – a cię podziurawię. – Wskazał ostrze włóczni. – To jest srebro. Bez trudu przebije twoją klatkę i nieźle cię dziabnie, jak się nie zamkniesz.

–Punkt dla ciebie – odgarnąłem z czoła kosmyk włosów. – Widzę, że jestem na twojej łasce.

–Zgadza się. – Utukku już miał odejść, kiedy na ugorze jego umysłu w jakiś sposób zakwitła samotna myśl.

–Ten tu, mój towarzysz – wskazał Byczogłowego, który z oddali przypatrywał się nam swymi małymi czerwonymi oczkami – mówi, że już gdzieś ciebie widział.

–Nie sędzę.

–Dawno temu. Tylko że wyglądałaś wtedy inaczej. Mówi, że na pewno już kiedyś czuł twój zapach. Tylko nie wie kiedy.

–Może ma rację. Swego czasu zdarzało mi się być tu i tam. Niestety, nie mam dobrej pamięci do twarzy. Nie mogę mu pomóc. Gdzie teraz dokładnie jesteście?

Próbowałem zmienić temat rozmowy, obawiałem się bowiem, że może przybrać zły obrót. Jeśli Byczogłowy przeżył bitwę pod Al-Arisz i poznał moje imię...

I odwrotnie, prawdziwe tępaki (np. Jabor, utukku itp.) wolą jedną postać i to zwykle bardzo, bardzo przestarzałą. Kształty, jakie przybrali ci utukku, były modne na ulicach Niniwy w 700 r. p.n.e. Kto teraz obnosi się z byczą głową? To takie staroświeckie.

Grzebień na głowie utukku lekko się przechylił, kiedy demon zastanawiał się nad odpowiedzią.

–Nic się nie stanie, jeśli się dowiesz – mruknął w końcu. – Jesteśmy w

Tower. Londyńskiej Tower.

Wyraźnie rozkoszował się słowami, każde podkreślał uderzeniem włóczni o posadzkę.

–To dobrze, prawda?

–Nie dla ciebie.

Kilka złośliwych uwag cisnęło mi się na usta, ale, z trudem, bo z trudem, się od nich powstrzymałem. Nie chciałem, żeby zrobił mi krzywdę. Orlo-dzioby utukku odszedł, by dalej pełnić służbę, lecz jego kolega przybliżył się, cały czas wężąc i niuchając swoim wstrętnym, wilgotnym nosem.

Kiedy był blisko mojej klatki, że krople śliny, którą parskał, skwierczały i parowały na białych liniach, wydał z siebie udręczony warkot.

–Znam cię – powiedział. – Znam twój zapach. To było dawno temu, tak, ale nigdy nie zapomniałem. Znam twoje imię.

–Może jestem kolegą twojego kolegi? – nerwowo zerkąłem na ostrze jego włóczni. W przeciwieństwie do Orłodziobego w ogóle nią nie machał.

–Nie... raczej wrogie...

–To okropne, kiedy nie możesz sobie przypomnieć czegoś, co już masz na końcu języka – zauważyłem. – Prawda? Starasz się to sobie przypomnieć, ale ci to nie wychodzi, bo jakiś głupek ci przeszkadza, papie tak, że nie możesz się skupić i...

Byczogłowy ryknął wściekle:

–Zamknij się! Prawie sobie przypominałem!

Nagle przez komnatę przeszło drżenie, wibracje przebiegły wzdłuż podłogi i w górę słupa. Utukku natychmiast się odwrócił i odbiegł, by nadal pełnić wartę pod niczym niewyróżniającym się fragmentem muru. Kilka metrów dalej Orłodzioby zrobił to samo. Między nimi w powietrzu pojawiła się elipsa i wyłoniły się z niej dwie postacie. Powoli, w miarę jak wychodziły z gęstej nicości portalu, nabierały koloru i kształtu. To byli ludzie, choć tak różnili się od siebie, że aż nie do uwierzenia.

Jednym z nich był Sholto Pinn.

Gruby Sholto kuśtykał, jakby bolał go każdy miesiąc. Z radością zauważyłem, że miotającą plazmą laskę zastąpiła para zwyczajnych kul.

Twarz kupca wyglądała tak, jakby właśnie nadepnął ją słoń, i przysięgam, krawędź monokla przytrzymała taśmą klejącą. Jedno oko miał sine i zamknięte. Uśmiechnąłem się pod nosem. Choć znalazłem się w trudnym położeniu, nie odebrano mi jednak wszystkich przyjemności.

Widok wielkiego, posiniaczonego Sholto Pinna sprawiał, że kobieta u jego boku zdawała się jeszcze szczuplejsza niż rzeczywiście była. Zgarbiona jak czapla, miała na sobie szarą bluzkę i długą czarną spódnicę. Proste białe włosy ścięła krótko, nad uszami. Twarz, pozbawiona koloru, to były właściwie tylko kości policzkowe i oczy, wyblakłe dwa kamienie barwy deszczowej wody. Z falbaniastych rękawów wystawały chude palce o długich, ostrych paznokciach. Otaczała ją budząca grozę aura władzy, kiedy przechodziła, utukku zastukały kopytami i zasalutowały. Pstryknięciem palców zamknęła za sobą portal.

Uwięziony w swej kuli patrzyłem, jak się zbliżają – chuda i gruby, zgarbiona i utykający. Cały czas ukryte za monoklem oko Pinna patrzyło prosto na mnie.

Zatrzymali się niedaleko kolumny. Kobieta ponownie strzeliła szponiastymi palcami i ku memu niezbyt wielkiemu zaskoczeniu, płyty, na których stali, z wolna uniosły się w powietrze. Zniewolone impy, dźwigające je na barkach, od czasu do czasu jęczały pod ich ciężarem, ale ruchy miały płynne, zdecydowane. Wkrótce kamienie zatrzymały się i para magów spojrzała wprost na mnie. Beznamiętnie odwzajemniłem to spojrzenie.

–Obudziłeś się, co? – powiedziała kobieta. Jej głos był jak tłuczone szkło w wiaderku z lodem*. – Dobrze. Niewykluczone że nam pomożesz. Najpierw twoje imię. Bodmin? Darujmy sobie, to strata czasu. Sprawdzono już archiwa i wiemy, że to fałszywa tożsamość. Jedyne dzinn o tym imieniu zginął podczas wojny trzydziestoletniej.

Milcząc, wzruszyłem ramionami.

–Chcemy poznać twoje imię, powód, dla którego przybyłeś do sklepu pana Pinna, i wszystko, co wiesz o Amulecie z Samarkandy. A zwłaszcza chcemy się dowiedzieć, kto jest twoim panem.

Odgarnąłem włosy z oka i zaczesalem do tyłu. Obrzuciłem komnatę znudzonym spojrzeniem.

* Wyjątkowo ostry. I chłodny. Nikt nie może powiedzieć, że się nie staram, aby opisać ci wszystko jak najlepiej.

Kobieta nie rozeźliła się ani nie straciła cierpliwości. Cały czas mówiła takim samym tonem.

–Będziesz rozsądny? – spytała. – Możesz nam to wszystko powiedzieć teraz albo później. To zależy tylko od ciebie. Po prawdzie, pan Pinn nie sądzi, że będziesz rozsądny. To dlatego tutaj przybył. Chce zobaczyć, jak cierpisz.

Puściłem oko do zmaltretowanego Sholto.

–No dalej – zachęcałem go wesoło, choć wcale się tak nie czułem. – Też do mnie mrugnij. To dobre ćwiczenie dla podbitego oka.

Czarodziej wyszczerzył zęby, ale milczał.

Kobieta poruszyła się, jej płyta zbliżyła się do klatki.

–Demonie, w twoim obecnym położeniu bezczelność jest niewskazana.

Pozwól, że objaśnię ci twoją sytuację. To jest Londyńska Tower, tu karze się wszystkich wrogów rządu. Może o niej słyszałeś? Od stu pięćdziesięciu lat trafiają tu magowie i duchy wszelkiego rodzaju. Żaden stąd nie wyszedł, chyba że za naszą zgodą. Tę komnatę chronią trzy pasy magicznych zabezpieczeń.

Między nimi czuwają bataliony horli i utukku, bezustannie patrolują okolicę.

Ale żeby choćby do nich dotrzeć, musiałbyś opuścić swoją klatkę, a to niemożliwe. Jesteś w Kuli Smutku. Jeśli jej dotkniesz, rozerwie twoją esencję.

A na mój rozkaz... – coś powiedziała, a linie na kuli jakby drgnęły i pogrubiały.

–Na mój rozkaz kula się skurczy. Jestem pewna, że ty też możesz się kurczyć, więc na początku będziesz unikał poparzeń. Ale kula może się kurczyć w nie skończoność. A ty nie.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie popatrzeć na sąsiednią kolumnę, tę z małą, niebieską kulą. Kiedyś wewnątrz tamtej klatki coś było, widziałem szczątki. Kula zmniejszała się, aż

wreszcie temu, co w niej było, zabrakło miejsca. Resztki przypominały martwego pająka na dnie butli z ciemnego szkła.

Kobieta podążyła za moim spojrzeniem.

–Otóż to – stwierdziła. – Chyba nie muszę już nic dodawać.

–Jeśli będę mówiła – odparłem, po raz pierwszy zwracając się bezpośrednio do niej – to co się ze mną potem stanie? Co cię powstrzyma od wyciśnięcia mnie jak cytrynę?

–Jeśli będziesz współpracować, pozwolimy ci odejść. Nie musimy zabijać niewolników.

Brzmiało to tak brutalnie szczerze, że prawie uwierzyłem. Ale nie całkiem. Zanim zdołałem zareagować, Sholto Pinn zakasłał, by zwrócić na siebie uwagę. Mówił z trudem, tak jakby go bolały żebra.

–Atak – wyszeptał. – Ruch oporu.

–Ach, faktycznie – kobieta znów odwróciła się do mnie. – Twoje szanse na ułaskawienie zwiększą się jeszcze bardziej, jeśli przekażesz nam jakieś informacje o incydencie, który zdarzył się wczoraj wieczorem, po tym jak zostałaś schwytana...

–Chwileczkę. Jak długo byłam nieprzytomna?

–Trochę krócej niż dwadzieścia cztery godziny. Przesłuchalibyśmy cię już wtedy, ale jak mówię, ten incydent... Dopiero pół godziny temu mieliśmy wreszcie czas, żeby zdjąć tę srebrną sieć. Jestem pod wrażeniem, że tak szybko doszłaś do siebie.

–Cóż, mam praktykę*. A ten incydent... Powiedz mi, co się stało.

–To był atak terrorystów, tak zwanego ruchu oporu. Głoszą oni, że nienawidzą wszelkich rodzajów magii, lecz mimo to sądzą, że mają jakieś powiązania z czarodziejami. Może też z takimi dzinnami jak ty, przywoływanymi przez nieprzyjacielskich magów.

Znowu ten ruch oporu. Simpkin również o nich wspominał. Podejrzał, że to oni skradli amulet. Ale to przecież była sprawka Lovelace'a. Może on też stoi za jakimiś innymi, poważniejszymi aktami przemocy.

–Jaki to był atak?

–Kula żywiołów. Daremny, na oślep.

To nie wyglądało na sprawkę Lovelace'a. Uważałem go za człowieka działającego raczej skrycie i posługującego się intrygami. Takiego, który zleca morderstwa, zajadając kanapkę z ogórkiem gdzieś na ogrodowym przyjęciu. Ale jego list do Schylera wskazywał, że w niedalekiej przyszłości szykują coś groźnego.

Rozważania brutalnie przerwało mi gardłowe warknięcie mojego starego przyjaciela Sholto.

–Dość tego! Ona nic nie powie z własnej, nieprzymuszonej woli. Droga

Jessico, zmniejsz klatkę, tak aby ten demon się skulił i zaczął mówić!

Oboje mamy za dużo pracy, by przesiedzieć w tej celi cały dzień.

*** To prawda, aż nazbyt wielka. Kilka osób parę razy mnie znokautowało w miejscach tak dalekich jak Persepolis, Kalahari i Chesapeake Bay.**

Pierwszy raz, od kiedy kobieta zjawiała się w komnacie, wąskie wargi rozciągnęły się w czymś na kształt uśmiechu.

–Pan Pinn się niecierpliwi, demonie – oznajmiła. – Póki działa kula, nie obchodzi go, czy będziesz mówił, czy nie. Jednak ja zawsze wolę trzymać się określonego porządku. Powiedziałam ci wszystko, co powinieneś wiedzieć. Teraz pora na ciebie.

Zapadła cisza. Mógłbym powiedzieć, że cały jestem spięty. Albo że zmagam się ze swoim sumieniem: opowiedzieć o Nathanielu i moim zadaniu? Zalewały mnie fale zwątpienia, a prześladowcy niecierpliwie czekali, co zrobię. Owszem, mógłbym tak powiedzieć, ale to byłoby kłamstwo*. Ciężka i ponura cisza przeciągała się, a ja próbowałem przygotować się na ból, którego wkrótce miałem zaznać.

Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności niż załatwienie Nathaniela raz na zawsze. Podałbym im wszystko: jego imię, adres, rozmiar buta -postarałbym się nawet odgadnąć długość wewnętrznej strony jego nogi, jeśli tylko by tego chcieli. Nie pominąłbym milczeniem Lovelace'a i Faquarla, a także dokładnie bym wyjaśnił, gdzie mogą znaleźć Amulet z Samarkandy. Wyśpiewałbym wszystko jak kanarek – tyle przecież było do powiedzenia. Ale... Gdybym tak zrobił, wydałbym na siebie wyrok. Dlaczego? Z dwu powodów: 1) istniało spore ryzyko, że tak czy owak zgnetliby mnie w tej kuli i 2) nawet jeśli puściliby mnie wolno, to Nathaniel zostałby zabity albo miałby wielkie kłopoty, a wtedy trafiłbym do puszek po tytoniu Old Chokey na dnie Tamizy.

Już na samą myśl o rozmarynie dostawałem kataru**.

Lepsza szybka śmierć w kuli niż wieczne cierpienie. Potarłem swój delikatny podbródek i czekałem na to, co nieuniknione.

Sholto chrząknął i spojrzał na kobietę. Postukała w swój zegarek.

* A ja, jak wiadomo, zawsze jestem uczciwy. ** Inteligentny czytelnik mógłby teraz zauważyć, że skoro Lovelace również skradł amulet, to działał przeciwko rządowi i może warto opowiedzieć o jego zbrodniach. Nathaniel i ja może zostalibyśmy puszczeni wolno w podzięce za świadczone usługi. Racja – tyle że nie wiadomo było, kto dokładnie jest zamieszany w spisek Lovelace'a. A skoro Sholto Pinn poprzedniego dnia jadł z nim lunch, to jemu na pewno nie należało ufać. Podsumowując, ryzyko, jakie niosło przyznanie się do winy, znacznie przewyższało ewentualne korzyści.

–Czas minął – powiedziała. – I jak?

A wtedy, niczym w jakiejś wiejskiej powieści, zdarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Szykowałem się już do wygłoszenia płomiennej tyrady, pełnej jednakże celnych obelg, kiedy nagle poczułem w sobie znajome, bolesne uczucie. Mrowie rozżarzonych do czerwoności szczypczyków złapało moją esencję i zaczęło ją ciągnąć.

Ktoś mnie przyzywał!

22

o raz pierwszy byłem chłopcu autentycznie wdzięczny. Co za znakomite wycucie chwili! Co za doniosły zbieg okoliczności! Mogłem teraz zniknąć im prosto przed nosa, zdematerializowany przyzwaniem, a oni gapiliby się na mnie i łapali powietrze jak przestraszone ryby. Jeśli bym się pospieszył, zdążyłbym jeszcze zagrać im palcami na nosie.

Ze smutkiem potrząsnąłem głową.

–Tak mi przykro – odparłem, uśmiechając się. – Naprawdę, bardzo chciałbym wam pomóc. Ale muszę już iść. Może jeszcze kiedyś znów przyjdzie czas niewoli i tortur. Tyle że to ja będę tam, gdzie wy, a wy będziecie cisnąć się w tej kuli. Zatem, Sholto, lepiej, żebyś wziął się za odchudzanie. A teraz możecie... au!... wściekać się i... aaa!... Oooo!

Muszę przyznać, że to nie była najbardziej płynna riposta, jaką zdarzyło mi się wygłosić, jednak przyzwanie naprawdę bolało. I to bardziej niż zwykle -było ostrzejsze, bardziej dotkliwe...

I trwało dłużej...

Dałem sobie spokój z bezczelną pozą. Skuliłem się na kolumnie, pragnąc, by chłopiec wreszcie skończył. Z czym miał problem? Nie wiedział, że cierpię męczarnie? Nawet nie mogłem porządnie skręcać się z bólu – klatka była za blisko.

Po dwóch bardzo nieprzyjemnych minutach gwałtowne szarpanie ustało, a ja przyjąłem raczej mało godną pozycję. Zwinąłem się w kłębek, głowę

miałem między kolanami, a ramiona na niej. Sztywny od nagromadzonego bólu, ostrożnie odgarnąłem włosy z oczu.

Nadal siedziałem w klatce. Dwójka czarodziejów stała tam, gdzie do tej pory; uśmiechali się bezczelnie.

To nie wyglądało dobrze. Ponury, wciąż nękany igielkami bólu, wyprostowałem się i twardo odwzajemniłem ich spojrzenie. Sholto cicho zachichotał.

–Droga Jessico, to już samo w sobie było warte, żeby tu przyjść –

powiedział. – Wyraz jej twarzy był po prostu fantastyczny.

Przytaknęła.

–Co za świetne wycucie chwili – stwierdziła. – Tak się cieszę, że mogliśmy to obejrzeć. Czy jeszcze nie rozumiałaś, ty głupia istoto? – Płyta, na której stała, uniosła się trochę wyżej. – Przecież ci mówiłam. Nie sposób opuścić Kuli Smutku, a obejmuje to też wszelkie przyzwania. Twoja esencja jest w niej zamknięta. Nawet twój pan nie może cię z niej zabrać.

–Ona znajdzie jakiś sposób – odparłem, a potem przygryzłem wargi, tak jakbym pożałował tego, co właśnie powiedziałem.

–Ona? – Kobieta zmrużyła powieki. – Twój mistrz jest kobietą?

–Demon kłamie. – Sholto Pinn potrząsnął głową. – Jessico, to oczywisty blef. Jestem już zmęczony. Już się spóźniłem na poranny masaż w Łażniach Bizantyjskich. Teraz powinienem być w saunie. Czy mogę zasugerować, że ta istota potrzebuje lepszej motywacji i my powinniśmy jej dostarczyć?

–Znakomity pomysł, drogi Sholto.

Kobieta pięć razy pstryknęła palcami. Pręty klatki zahuczały i zatrzęsły się. Pora się zmniejszać, szybko! Resztę sił zużyłem na przyspieszoną transformację i kiedy migoczące linie zbliżyły się do mnie, skurczyłem się do nowej postaci: wytwornego kota, który prężył się i wyginał.

W ciągu kilku sekund kula zmniejszyła się do jednej trzeciej swoich poprzednich rozmiarów. Buczenie jej paskudnej energii huczało w moich kocich uszach, ale odległość od prętów klatki była jeszcze całkiem przyzwoita. Kobieta pstryknęła szponiastymi palcami, tempo kurczenia raptownie zmalowało.

–Fascynujące – odezwała się do Pinna. – Zagrożony zmienia się w

**pustynnego kota. To bardzo egipskie. Myślę, że ten demon ma już za sobą
długą karierę.**

Odwróciła się do mnie.

–Demonie, kula będzie się dalej kurczyć – oznajmiła. – Raz szybciej, raz wolniej. Aż wreszcie zmieni się w punkcik. Będziesz cały czas pod obserwacją, dlatego kiedy tylko zechcesz mówić, daj znać. W przeciwnym razie, żegnaj.

W odpowiedzi kot zasyczał i prychnął. Bardzo wymownie.

Płyty odwróciły się i opadły na swoje pierwotne miejsca. Sholto i kobieta ruszyli do łukowato sklepionej bramy; po chwili wchłonął ich portal. Przejście zamknęło się, mur znów wyglądał tak jak dawniej. Orłodzioby i Byczogłowy podjęli swój marsz. Trupiobiała powierzchnia kuli buczała, wysyłając błyski. Powoli, niemal niezauważalnie, klatka coraz bardziej się kurczyła.

Kot zwinął się w kłębek i jak najściślej owinął wokół siebie ogon.

Mijały godziny i moje położenie stawało się coraz trudniejsze. Początkowo kocia postać całkiem mi odpowiadała, ale w końcu klatka tak się zmniejszyła, że uszy musiałem trzymać niżej wąsów. Czuję, że zaczyna mi się przysmażać koniuszek ogona. Nastąpiła więc cała seria przemian. Wiedziałem, że mnie obserwują, dlatego nie zrobiłem rzeczy najbardziej oczywistej: nie zmieniłem się od razu w pchłę – to mogłoby przyspieszyć kurczenie się kuli, która próbowała za mną nadążyć. Przybierałem więc różne futrzaste i łuskowate kształty, za każdym razem zatrzymywałem się tuż przed migoczącymi prętami więzienia. Najpierw stałem się królikiem, potem małpką, a wreszcie pospolitym gryzoniem... Gdyby zebrać razem te wszystkie stworzenia, byłaby niezła, ale nieatrakcyjna menażeria.

Choć bardzo się starałem, nie potrafiłem wymyślić żadnego sensownego planu ucieczki. Oczywiście, mogłem zyskać czasowe ulaskawienie, gdybym wymyślił dla tej kobiety jakieś długie, skomplikowane kłamstwo. Ale ona wkrótce by odkryła, że ją nabrałem, i skończyłaby ze mną jeszcze szybciej. Niedobry pomysł.

Co gorsza, podły chłopiec próbował wezwać mnie jeszcze dwa razy. Łatwo się nie poddawał, pewnie uznał, że wcześniej popełnił jakiś błąd. Tak mnie wymęczył, że omal nie zdecydowałem się go wydać.

Omiał, ale nie ostatecznie. Jeszcze nie było mowy o rezygnacji. Zawsze istniała szansa, że jednak coś się wydarzy.

–Byłeś pod Angkor Thom? – spytał Byczogłowy, wciąż usiłując sobie przypomnieć, skąd mnie zna.

–Co? – Przyjąłem już postać gryzonia. Staralem się, jak mogłem, przemawiać z wyniosłą pogardą, jednak gryzonie potrafią tylko wściekle piszczeć.

–No wiesz, Imperium Khmerów. Pracowałem dla imperialnych magów, kiedy zdobywali Syjam. Miałeś z tym coś wspólnego? Byłeś buntownikiem?

–Nie*.

–Na pewno?

–Tak! Oczywiście, że na pewno! Mylisz mnie z kimś innym. Ale na chwilę o tym zapomnij. Słuchaj... – Gryzoń ściszył głos, przybrał przyjacielski ton. Mówiąc, zakrywał pyszczek uniesioną łapką. – Jesteś mądrym facetem, nieraz kręciłeś się w różnych ważnych miejscach, pracowałeś dla wielu najokrutniej szych imperiów. Wiesz? Mam potężnych przyjaciół. Jeśli dasz radę mnie stąd wydostać, zabiją twojego pana i uwolnią cię.

Gdyby Byczogłowy miał nieco więcej rozumu, przysięgłbym, że spojrział wtedy na mnie z powątpiewaniem. Niemniej brnąłem dalej.

–Jak długo już tkwisz tutaj na straży? – spytałem. – Pięćdziesiąt lat?

Sto? To nie jest życie dla utukku, prawda? Równie dobrze mógłbyś być

w takiej klatce jak ta.

Łeb stwora zbliżył się do krat. Ogarnął mnie obłok pary buchającej mu z nozdrzy, na furze zostały mi lepkie kropelki.

–Jacy to przyjaciele?

–Ekhm, potężny marid i cztery bardzo silne afryty, znacznie silniejsze ode mnie... Możesz się do nas przyłączyć...

Łeb odsunął się z pogardliwym warknięciem.

–Masz mnie za głupca!

–Nie, nie... – Gryzoń obruszył się. – Tak właśnie mówił ten Orlodzioby. Powiedział, że nie zgodzisz się na nasz plan. No, jeśli cię to nie interesuje... -wiercąc i na wpeł skacząc, odwrócił

się tyłem do utukku.

*** Akurat to była prawda. To działo się jakieś osiemset lat temu. A w tych czasach bawiłem głównie w Ameryce Północnej.**

–Co? – Byczogłowy podbiegł do drugiej strony kolumny, włącznie trzymał blisko klatki. – Nie odwracaj się do mnie tyłem! Co ci powiedział Kserkses?

–Oho! – Orłodzioby przybiegł z drugiego końca pomieszczenia. – Usłyszałem swoje imię! Przestań rozmawiać z więźniem!

Byczogłowy spojrział na niego pełen urazy.

–Mogę mówić, co chcę. A więc, według ciebie, jestem głupcem, co? Wcale

nie! No, jaki macie plan?

–Kserkses, nie mów mu! – szepnąłem głośno. – Nic mu nie mów.

Orłogłowy zazgrzytał dziobem.

–Plan? Nie wiem nic o żadnym planie. Baztuk, więzień cię okłamuje. Co on powiedział?

–W porządku, Kserkses – zawołałem radośnie. – Nie wspominałem o... no wiesz.

Byczogłowy machnął włócznią.

–Kserkses, chyba to ja tu powinienem zadawać pytania – zawołał. – Ty spiskowałeś z jeńcem!

–Nie, idioto...

–Ja jestem idiotą?

I zaczęło się. Pysk przeciw dziobowi, naprężone mięśnie i jaskrawy pióropuszczyk, krzyki i ciosy pięści w zbrojne piersi. Tereferę. Utukku zawsze dawały się łatwo nabrać. Strażnicy tak się zapalili, że całkiem o mnie zapomnieli, co bardzo mi odpowiadało. Kiedy indziej z przyjemnością bym popatrzył, jak skaczą sobie do gardeł, ale akurat teraz owa bójka dawała mi tylko niewielką pociechę.

Klatka raz jeszcze się skurczyła, więc i ja się zmniejszyłem, tym razem stałem się skarabeuszem. Nie był to najlepszy pomysł, ale w ten sposób opóźniłem nieuniknione. Zapewniłem sobie trochę miejsca, by móc fruwać tam i z powrotem na szczycie kolumny. Machałem skrzydełkami z wściekłością i rozpaczą. Ten chłopak, Nathaniel! Jeśli wyjdę z tego cało, to tak się na nim zemszczę, że to przejdzie do legendy i będą nią straszyć małe dzieci! Ja, Bartimaeus, który rozmawiał z Salomonem i Hiawathą, musiałem zmienić się w coś takiego – w żuczka, miażdżonego przez wroga zbyt aroganckiego, żeby chociaż na mnie popatrzeć! Nie! Nawet teraz znajdę jakiś sposób...

Biegałem tam i z powrotem, tam i z powrotem, myślałem i myślałem...

Nieosiżliwe. Nie mogłem uciec. Śmierć powoli zbliziała się z kaźdej strony. Trudno było juź sobie wyobrazić, by mogło być gorzej. Obłok pary, ryk, oszalałe czerwone oko, zniżające się, by spojrzeć na mnie.

–Bartimaeus!

No, jednak mogło być gorzej. Byszogłowy przestał wojować z kolegą. Nagle przypomniał sobie, kim naprawdę jestem.

–Teraz cię poznaję! – krzyknął. – Twój głos! Tak, to ty, morderca mojego

ludu! Nareszcie! Czekalem na tę chwilę dwadzieścia siedem stuleci!

Słyszając coś takiego, trudno cokolwiek wymyślić. Utukku uniósł srebrną

włócznie i zawył, wydając z siebie triumfalny, bojowy okrzyk, po którym u

jego rasy zawsze następuje śmiertelny cios. W rozpaczkliwym akcie odwagi

uspokoilem drzenie skrzydełek.

ftotfiamel

23

zien, który okazał się najgorszym dniem w życiu Nathaniela, pod wieloma względami zaczął się odpowiednio do tego, co później się zdarzyło. Chłopiec wrócił z Parlamentu bardzo późnym wieczorem, jednak w ogóle nie mógł zasnąć. Wciąż brzmiały mu w uszach ostatnie słowa mistrza, wzbudzały coraz większy niepokój: „Wszyscy będący w posiadaniu skradzionych magicznych przedmiotów zostaną ukarani najsurowiej...” Ukarani naj surowiej... A czymże był Amulet z Samarkandy jak nie skradzionym przedmiotem magicznym?

Z drugiej strony, to przecież Lovelace pierwszy zrabował ten amulet: chłopiec posłał Bartimaeusa, by znalazł na to dowody. Jednak to on – a mówiąc ściślej, Underwood – przechowywał teraz skradzione dobra. Nathaniel bał się nawet pomyśleć, jakie katastrofy by nastąpiły, gdyby Lovelace, policja albo ktokolwiek z rządu znalazł to w tym domu... Albo jeśli zrobiłby to sam Underwood. Cios, wymierzony w osobistego wroga, nagle okazał się czymś znacznie poważniejszym i ryzykownym. Chłopiec miał przeciw sobie nie tylko Lovelace'a, ale i długie ramię rządu. Słyszał historie o szklanych graniastosłupach ze szczątkami zdrajców, zwisającymi z blanków Tower. Ich wymowa była jasna. Niemądrze jest narażać się na gniew władz.

Kiedy przez okienko zaczęła już sączyć się szarość przedświt, Nathaniel pewien był tylko jednego. Należy szybko pozbyć się amuletu, nie dbać o to, czy džinn zdobędzie jakieś dowody. Oddać go Lovelace'owi i jakoś zaalarmować władze. Ale do tego potrzebował Bartimaeusa.

A Bartimaeus nie zjawiał się na wezwanie.

Mimo przytłaczającego zmęczenia tego ranka chłopiec trzykrotnie dokonał przyzwania – i trzykrotnie džinn się nie stawiał. Podczas ostatniej próby Nathaniel, zdjęty paniką, prawie łkał, szybko wypowiadał zaklęcia, ledwie dbał o to, że źle wymówiona sylaba może sprowadzić nań niebezpieczeństwo. Kiedy skończył, czekał. Oddychał szybko i spoglądał na krąg. Przyjdź, przyjdź.

Nie było dymu ani smrodu. Nie było demona.

Chłopiec zaklął, odwołał przyzwanie, kopnął kadzielnicę i rzucił się na łóżko.

Co się dzieje? Czy Bartimaeus znalazł jakiś sposób, żeby się uwolnić? Nie, niemożliwe – z tego, co Nathaniel wiedział, coś takiego nie udało się jeszcze żadnemu demonowi. Bezsilnie uderzył pięścią w koc. Kiedy znów spotka się z džinnem, odpłaci mu za to spóźnienie – rzuci na niego czar Wyszczerbionego Wahadła i będzie patrzył, jak demon wije się z bólu.

A tymczasem co robić?

Użyć magicznego zwierciadła? Nie, później przyjdzie na to pora: trzy wezwania go znużyły, teraz przede wszystkim musiał odpocząć. Była jeszcze biblioteka mistrza. Tam powinien zacząć. Może znajdzie i wypróbuje jakieś inne, doskonalsze metody przyzywania. A może są tam też wzmianki o sztuczkiach, pozwalających džinnom nie stawiać się na rozkaz.

Chłopiec wstał i zasłonił dywanem kredowe znaki na podłodze. Nie miał teraz czasu, by je wyczyścić – za kilka godzin czekało go spotkanie z mistrzem i długo oczekiwana próba przyzwania implinga. Jęknął z rozpaczą – tej lekcji teraz na pewno nie potrzebował! Umiałby wezwać implinga nawet przez sen, ale mistrz zadba, by po dwa razy sprawdził każdą linię, każdą frazę – no i wszystko zajmie kilka godzin. Takie przygotowania to strata czasu, świetnie mógł się bez nich obejść. Jakimże głupcem był jego mistrz!

Nathaniel ruszył do biblioteki. Zbiegł po schodach.

I zderzył się z mistrzem, który szedł w przeciwnym kierunku.

Underwood upadł do tyłu, na ścianę. Łokieć chłopca rozerwał mu kamizelkę. Mistrz krzyknął ze złości i trzepnął ucznia po głowie.

–Ty mały zbóju! Mogłeś mnie zabić!

–Przepraszam, panie. Nie spodziewałem się...

–Pędzisz po schodach jak jakiś prostak, jak plebejusz! Mag przez cały czas zachowuje się godnie. Co ty wyrabiasz?

–Panie, jest mi bardzo przykro... – Nathaniel otrząsnął się z szoku, mówił potulnym głosem. – Właśnie schodziłem do biblioteki, chciałem jeszcze raz sprawdzić kilka rzeczy przed przyzwaniem. Przepraszam, jeśli byłem zbyt niecierpliwy.

Pokora dała efekty. Underwood westchnął ciężko, jednak złagodniał.

–No, jeśli miałeś dobre intencje, to myślę, że nie powinienem być na ciebie zły. Szczerze mówiąc, szedłem właśnie na górę, żeby ci powiedzieć, że niestety nie będzie mnie tutaj po południu. Zdarzyło się coś poważnego i muszę... – przerwał i zmarszczył brwi. – Co to za zapach?

–Panie?

–Ten odór... to od ciebie, chłopcze.

Nachylił się bardziej i pociągnął nosem.

–Prze... Przepraszam, panie. Dziś rano zapomniałem się umyć. Pani Underwood już mi zwróciła uwagę.

–Nie mówię o twoim własnym zapachu, chłopcze, choć jest niemiły. Nie, to jest bardziej jak... rozmaryn... Tak! I wawrzyn... i dziurawiec. Nagle Underwood szeroko otworzył oczy i spojrzał ku otulonym półmrokiem schodom. – Czuć od ciebie kadzidłem do przyzwań!

–Nie, panie...

–Nie waż się mi przeczyć, chłopcze! Skąd to?... – W jego oczach błysnęło podejrzenie. – Johnie Mandrake, chcę zobaczyć twój pokój! Idź przede mną!

–Może nie, panie... Tam jest straszny bałagan. Wstydzę się...

Mistrz wyprostował się, oczy mu zabłysły, a przypalona broda się zje-

żyła. Jakby urósł... stał przecież wyżej. Nathaniel poczuł, że się kurczy i kuli. Underwood wyciągnął palec, wskazał schody.

–Idziemy!

Chłopiec, bezradny, wypełnił polecenie. W ciszy poprowadził mistrza do pokoju, ciężkie buty maga stukały tuż za jego plecami. Kiedy otworzył

drzwi, owionął go charakterystyczny zapach kadzidła i stopionego wosku. Stanął z boku, garbiąc się pod niskim sufitem, a czarodziej wkroczył do środka.

Przez kilka sekund Underwood w milczeniu przyglądał się temu, co zastał. A widok nie pozostawiał wątpliwości: z wywróconego do góry dnem kociołka po podłodze ciągnęła się wielobarwna smuga kadzidła; wciąż jeszcze tliło się kilka świec do przyzywania, rozstawionych pod ścianami i na stole; na łóżku leżały otwarte dwie grube magiczne księgi z prywatnej kolekcji Underwooda. Nie widać było tylko kręgów – przykrywał je dywan. Nathaniel pomyślał, że jest może szansa na ratunek. Odchrząknął.

–Mógłbym to wyjaśnić, panie.

Mistrz nie zwracał na niego uwagi. Ruszył przed siebie i kopniakiem uniósł róg kobierca, odsłaniając fragment kręgu i kilka zewnętrznych run. Przez chwilę czytał inskrypcję, potem z ponurym błyskiem w oku odwrócił się do ucznia.

–I co?

Nathaniel przełknął ślinę. Wiedział, że nie ocali go już żadna wymówka, ale musiał spróbować.

–Właśnie uczyłem się rysować te znaki, panie – zaczął niepewnie. –

Chciałem się z nimi oswoić. Oczywiście, tak naprawdę to niczego nie

przyzywałem, panie. Nie odważyłbym się...

Głos mu się załamał, umilkł. Mistrz jedną ręką wskazał środek większego kręgu – tam gdzie Bartimaeus, objawiając się po raz pierwszy, przypalił spory kawałek podłogi – drugą zaś liczne ślady ognia na ścianach, pozostałość Klatki Bólu. Nathaniel aż się przygarbił.

–Hm...

Przez chwilę wyglądało na to, że Underwood straci panowanie nad sobą. Twarz mu poczerwieniała z wściekłości, zrobił ku chłopcu dwa szybkie kroki, zamierzył się... Uczeń zadrzał, jednak cios nie został zadany.

Ręka opadła.

–Nie – powiedział mag, oddychając ciężko. – Nie. Muszę się zastanowić, jak

się z tobą policzę. Okazałeś nieposłuszeństwo na sto różnych sposobów.

Postępując tak, ryzykowałeś swoje życie, a także życie innych osób w tym

domu. Po amatorsku odprawiałeś magię, zainteresowałeś się sprawami, na których zrozumienie nie możesz nawet mieć nadziei.

Widzę tutaj *Kompendium Fausta* i *Usta Ptolemeusza*! Przyzwalesz albo starałeś się przyzwać dżinna co najmniej czternastego poziomu, a nawet próbowałeś związać go pentagramem Adelbranda, przed czym nawet ja bym się wzdragał. A że bez wątpienia ci się to nie udało, nie jest żadną okolicznością łagodzącą. Popełniłeś wielkie przestępstwo! Głupi dzieciaku! Czy ty nie wiesz, co taka istota by ci zrobiła, gdybyś popełnił choć najmniejszy błąd? Czy wszystkie lekcje, które ci dawałem przez te lata, w ogóle do ciebie nie dotarły? Już w zeszłym roku powinienem zrozumieć, że nie można ci ufać, wtedy kiedy twój atak na moich gości niemal zniszczył mi karierę. Powinienem się ciebie pozbyć, kiedy jeszcze nie miałeś imienia. Kto inny w ogóle by się nie zastanawiał! Ale teraz, gdy już zostałeś nazwany i znajdziesz się w następnym wydaniu *Almanachu*, nie mogę już tak po prostu cię wygonić! Musiałbym odpowiadać na pytania, wypełniać formularze i mój osąd raz jeszcze zostałby podany w wątpliwość. Nie, trzeba mi zastanowić się, co z tobą zrobić, choć ręce mnie świerzbią, żeby od razu wezwać Oszczercę i oddać cię pod jego troskliwą opiekę.

Umilkł na chwilę, by złapać oddech. Nathaniel całkiem opadł z sił; usiadł na łóżku.

–Wiedz, że – oznajmił mistrz – jeszcze żaden z moich uczniów nie okazał mi takiego nieposłuszeństwa. Gdybym nie musiał szybko jechać do ministerstwa, już teraz zrobiłbym z tobą porządek. Na razie nie wolno ci opuszczać swojego pokoju, aż do mego powrotu. Ale najpierw – podszedł do szafy i szeroko otworzył drzwi – chcę sprawdzić, czy nie chowasz tu żadnej innej niespodzianki.

Przez następne dziesięć minut Nathaniel patrzył tępo, jak mistrz przeszukuje pokój: otwiera szafę i komodę i wyrzuca ich zawartość. Kilka ubrań znalazło się na podłodze. Czarodziej znalazł plastikowe torebki z kadzidłem, niewielki zapas barwnej kredy i dwie kartki notatek, jakie Nathaniel zrobił, ucząc się dodatkowo. Nie znalazł tylko magicznego zwierciadła ukrytego pod okapem.

Underwood zabrał kadzidło, księgi, kredę i notatki.

–Przeczytam twoje bazgroły, jak tylko wrócę z ministerstwa – oznajmił. –

Na wypadek, gdybym przed wyznaczeniem ci kary musiał cię wypytać o to, co robiłeś. Tymczasem zostaniesz tutaj, porozmyślasz o swoich grzechach i zrujnowanej karierze.

Więcej już nic nie powiedział. Zszedł z poddasza, zamykając za sobą drzwi.

Serce Nathaniela było teraz jak kamień, który spada wprost na dno głębokiej, ciemnej studni. Bez ruchu siedział na łóżku. Słuchał deszczu, stukającego o świetlik i głosu swego mistrza, który gdzieś daleko z wściekłością biegał z pokoju do pokoju. Wreszcie odległe trzaśnięcie drzwi upewniło go, że pan Underwood opuścił dom.

Jakiś czas później z pełnego rozpaczy otępienia wyrwał chłopca dźwięk klucza, przekręcającego się w zamku. Serce zadrżało mu ze strachu. Czyżby mistrz już wrócił?

Ale to była pani Underwood, przyniosła na tacy miseczkę zupy pomidorowej. Postawiła ją na stole i przez chwilę przypatrywała się chłopcu. Nathaniel nie miał śmiałości na nią spojrzeć.

–Teraz chyba jesteś z siebie zadowolony – powiedziała spokojnym

głosem. – Sądząc po tym, co powiedział mi Arthur, rzeczywiście bardzo

źle się zachowałeś.

Jeśli potok wściekłości, który wypłynął z ust mistrza, tylko sparaliżował chłopca, to kilka słów pani Underwood, skrywających ciche rozczarowanie, ugodziło go prosto w serce. Już nad sobą nie panował. Spojrzał na nią oczyma pełnymi łez.

–Och, Nat... John! – Jeszcze nigdy nie słyszał w jej głosie takiej rozpaczy. – Czemu nie mogłeś być cierpliwy? Panna Lutyens mówiła, że to twoja największa wada, i miała rację! Próbowaleś wybiec przed szereg i nie wiem, czy twój mistrz ci to kiedykolwiek wybaczy.

–On mi nigdy nie wybaczy. Tak powiedział. – Nathaniel mówił słabym głosem, ledwie powstrzymując łzy.

–John, on jest strasznie wściekły i ma rację.

–Powiedział, że moja... moja kariera jest zrujnowana.

–Nie zdziwiłabym się, gdybyś poniósł właśnie taką karę.

–Pani Underwood!

–Ale może, jeśli szczerze i uczciwie z nim porozmawiasz, jest szansa, że cię wysłucha, jak wróci. Bardzo mała szansa.

–Nie wysłucha. Za bardzo się rozgniewał.

Pani Underwood usiadła na łóżku obok Nathaniela i objęła go ramieniem.

–Myślisz, że nigdy się nie zdarzyło, by jakiś uczeń chciał zbyt wiele i za szybko? To właśnie wyróżnia tych obdarzonych prawdziwym talentem.

Arthur jest wściekły, ale, moim zdaniem, zrobiłeś na nim wrażenie. Myślę, że powinieneś w pełni mu zaufać. Zдай się tylko na jego łaskę. To mu się spodoba.

Nathaniel pociągnął nosem.

–Tak pani myśli, pani Underwood?

Jak zwykle jej bliskość i spokojny, zdrowy rozsądek kruszyły wszystkie mury, którymi się otoczył. Może miała rację. Może powinien wyjawic całą prawdę...

–Ja też zrobię wszystko, co w mojej mocy, by go uspokoić – mówiła. – Bóg raczy wiedzieć, może na to nie zasłużyłeś. Popatrz, jaki tu bałagan!

–Zaraz posprzątam, pani Underwood, zaraz.

Poczuł się spokojniejszy. Może powinien opowiedzieć mistrzowi o wszystkim, o swoich podejrzeniach co do Lovelace'a i amuletu. To jest jakieś wyjście, bolesne, ale zarazem prostsze.

–Najpierw zjedz zupę. – Wstała. – A potem upewnij się, czy dokładnie wiesz, co powiedzieć mistrzowi, kiedy wróci.

–Dlaczego pan Underwood poszedł do ministerstwa? Przecież jest niedziela.

Nathaniel już zbierał swoje rzeczy i wpychał je z powrotem do szuflad.

–Jakaś nagła sprawa, kochanie. W centrum Londynu znaleziono jakiegoś bezpańskiego dżinna.

Chłopcu przeszły ciarki po plecach.

–Dżinna?

–Tak. Nie znam szczegółów, ale najwyraźniej udawał jednego z impów pana Lovelace'a. Włamał się do sklepu pana Pinna i narobił wielkich szkód. Ale posłali tam afryta, który go

szybko złapał. Teraz go przesłuchują. Twój mistrz sądzi, że mag, który wysłał dzinna, może być powiązany z kradzieżami arfektów, tymi, którymi tak bardzo się przejmuje. Może nawet z ruchem oporu. Chce tam być, kiedy będą wyduszać z więźnia zeznania. Ale, John, tak naprawdę, to nie jest twoje zmartwienie, prawda? Powinieneś dobrze się zastanowić, co powiesz mistrzowi.

I wypucować podłogę, żeby aż lśniła!

–Tak jest, pani Underwood.

–Dobry chłopiec. Później przyjdę po tacę.

Dopiero kiedy zamknęła za sobą drzwi, Nathaniel podbiegi do świetlika, szybko go otworzył i sięgnął pod chłodne, wilgotne dachówki. Szukał dysku z brązu. Wyciągnął go i zamknął okno, chroniąc się przed zacinającym deszczem. Dysk był zimny. Nathaniel potrzebował kilku minut i coraz poważniejszych zachęt, by wreszcie, niechętnie, pojawiła się w nim twarz impa.

–Jasny gwint – powiedział demon. – Trochę to trwało. Myślałem, że już o mnie zapomniałeś. Jesteś gotów mnie odesłać?

–Nie – Nathaniel nie był w nastroju do pogaduszek. – Bartimaeus. Znajdź go. Chcę się dowiedzieć, gdzie jest i co robi. Teraz. Albo zakopię ten dysk w ziemi.

–Ktoś tu wstał lewą nogą, co? Wiesz, jest coś takiego jak uprzejme pytanie! Dobra, już idę, ale w swoim czasie dostawałem łatwiejsze zadania, nawet od ciebie...

Mrucząc i krzywiąc się, dziecięca twarz znikła, ale po chwili znów się pojawiła, teraz słabo widoczna, jakby znalazła się gdzieś daleko.

–Powiedziałeś: Bartimaeus? Z Uruk?

–Tak! A ilu takich może być?

–Zdziwiłbyś się, panie Drażliwy. Dobra, odetchnij spokojnie. To może chwilę potrwać.

Dysk zmatowiał. Nathaniel rzucił go na łóżko, ale zastanowił się i schował go pod materac. Z wielkim zapalem wziął się do sprzątania pokoju. Szorował podłogę, aż znikły wszystkie ślady pentagramów, nawet zmniejszyły się plamy po świecach. Schludnie poskładał ubrania, odłożył wszystko na właściwe miejsce. Potem zjadł zupę. Była już zimna.

Pani Underwood wróciła po tacę i z aprobatą przyjrzała się pokojowi.

–Dobry z ciebie chłopiec, John – powiedziała. – Teraz jeszcze sam doprowadź się do porządku, przede wszystkim się umyj. Co to było?

–Co, pani Underwood?

–Wydawało mi się, że słyszałam jakieś wołanie.

Nathaniel też usłyszał. Przytłumione „oj” dobiegało spod łóżka.

–Chyba z dołu – powiedział słabym głosem. – Może ktoś jest pod drzwiami?

-Tak sądzisz? Lepiej zobaczę.

Nie do końca przekonana wyszła z pokoju, zamykając drzwi.

Nathaniel odepchnął materac.

–No i? – warknął.

Dziecięca twarz miała teraz pod oczyma wielkie sińce. Wydawała się podrapana.

–No, zrobiłem tyle co w mojej mocy. Nie proś mnie o więcej.

–Pokaż mi!

–Proszę bardzo.

Twarz znikła. Nathaniel zobaczył panoramę Londynu. Srebrna wstęga, na pewno Tamiza, wiała się na tle ciemnoszarej masy składów i nadbrzeży. Padający deszcz przysłaniał widok, jednak Nathaniel bez trudu dostrzegł najważniejszą część obrazu: wielki zamek, chroniony wokół niekończącymi się wysokimi, szarymi murami. Pośrodku wznosiła się wysoka kwadratowa twierdza, powiewała nad nią brytyjska flaga. Niżej, po zamkowym dziedzińcu jeździły czerwone policyjne ciężarówki, widać było też małe figurki policjantów. Nie zawsze ludzi.

Nathaniel wiedział, co ogląda, ale nie potrafił pogodzić się z prawdą.

–A co to ma wspólnego z Bartimaeusem? – burknął.

Imp mówił bardzo zmęczonym głosem:

–Właśnie tam on jest, z tego, co się dowiedziałem. Złapałem jego trop w centrum Londynu, ale był już słaby i zimny. Jak dobrze wiesz, nie mogę się już bardziej zbliżyć do Tower. Za wiele czujnych oczu. Nawet przy takiej odległości kilka kul omal mnie nie złapało. Nieźle się zmachałem. Jeszcze coś? – spytał, bo Nathaniel nie reagował. – Muszę się przespać.

–Nie, nie, to już wszystko.

–Nareszcie mówisz rozsądnie – imp jednak nie znikł. – Jeśli ten Bartimaeus tam jest, to znaczy, że ma problemy – zauważył, wcale tym nie zmartwiony. – Nie wysyłałeś go tam, prawda?

Nathaniel milczał.

–Och, kochany – powiedział demon. – Ty masz chyba równie wielkie

kłopoty jak on, prawda? Coś mi się wydaje, że on właśnie zdradza twoje imię –

uśmiechnął się półgębkiem, szczerząc małe, ostre ząbki. Głośno parsknął i

znikł.

Chłopiec siedział spokojnie ze zwierciadłem w dłoniach. Światło dnia powoli gasło.

ę skarabeusza wielkości pudełka od zapalek i poszczuj nim czterometrowego potwora o psiej głowie, trzymającego srebrną włócznię. Nie spodziewaj się długiej walki, zwłaszcza jeśli skarabeusz jest zamknięty w małej kuli, palącej jego esencję, zawsze gdy dotknie jej choćby czułkiem. Szczerze mówiąc, robiłem wszystko, by oddalić wyrok. Unosiłem się nad kolumną z nadzieją, że kiedy włócznia poszybuję w dół, ja zdołam przemknąć na drugą stronę. Ale tak naprawdę w to nie wierzyłem. Wiedziałem, co mnie czeka: zgniecie mnie kretyn o inteligencji pchły -właściwie im wcześniej, tym lepiej.

Zdziwiłem się więc, kiedy piskliwy, wojenny wrzask utukku nagle umilkł. Akurat wtedy, gdy włócznia miała już spaść mi na głowę, rozległ się rozkazujący krzyk:

–Baztuk, stop!

To był Orlodzioby. Zareagował szybko. Utukku, kiedy na coś już się zdecydują, rzadko zmieniają zdanie. Byczogłowy, choć przyszło mu to z trudem, nie rzucił włócznią, jednak cały czas trzymał ją nad kulą.

–Co teraz, Kserkses? – warknął. – Nie próbuj okraść mnie z mojej zemsty!

Dwadzieścia siedem stuleci marzyłem, by zdobyć władzę nad Bartimaeusem...

–To możesz poczekać jeszcze chwilę. On tu zostanie. Słuchaj... Słyszysz

coś?

Baztuk przechylił głowę. A ja przestałem trzepotać skrzydełkami i też zacząłem nasłuchiwać. Delikatne stukanie... Tak ciche, tak nieśmiałe, że nie wiadomo było, skąd dobiega.

–Nic takiego. Po prostu robotnicy hałasują. Albo ludzie znowu zorganizowali jakiś marsz. Bo to lubią. Zamknij się, Kserkses. – Baztuk zlekceważył sprawę. Prężąc mięśnie, uniósł włócznię.

–To nie robotnicy. Za blisko. – Pióra na głowie Kserksesa nastroszyły się. Zdenerwował się. – Zostaw Bartimaeusa i posłuchaj. Chcę wiedzieć, skąd to dochodzi.

Klnąc, Baztuk odszedł od mojej kolumny. Razem z Kserksesem okrążyli komnatę. Czujnie

nasłuchiwali, jeden uciszał drugiego. Cały czas słyhać było stukanie, delikatne, nieregularne i trudne do zlokalizowania

–Nie wiem – Baztuk końcem włóczni podrapał ścianę. – To może dochodzić

z każdej strony. Poczekaj... Może on to robi?

Spojrzał na mnie złym wzrokiem.

–Jestem niewinny, szanowny panie – oznajmiłem.

–Baztuk, nie bądź głupi. – Klatka nie pozwala mu używać magii poza kratami. To coś innego. Powinniśmy podnieść alarm – powiedział Orlodzioby.

–Ale nic się nie stało. Oni nas ukarzą – panikował Byczogłowy. – Przynajmniej pozwól mi zabić Bartimaeusa – błagał. – Nie mogę stracić takiej szansy.

–Zdecydowanie powinieneś wezwać pomoc – poradziłem. – Ty sobie na pewno z tym nie poradzisz. Może to komik. Albo dezorientowany dzieciół.

Baztuk na metr buchnął parą.

–Tego już za wiele. Bartimaeus! Doczekałeś się! – Przerwał. – Może to jednak jest kornik, zaraz, zaraz...

–W solidnym, kamiennym budynku? – Szyderczo uśmiechnął się Kserkses. – Nie sądzę.

–A co się z ciebie nagle zrobił taki specjalista?

Znowu wybuchła kłótnia. Moi strażnicy jeszcze raz hardo spojrzeli po sobie i prężąc mięśnie, natarli na siebie, doprowadzeni do szału wzajemną głupotą i moimi uwagami.

Ale ja wciąż słyzałem stukot, stuk, stuk. Już dawno znalazłem miejsce, z którego dobiegał. Był to kamień, wysoko w jednym z murów,

niezbyt daleko od samotnego okienka. Podsycając sprzeczkę, nie spuszczałem z niego oka i po kilku minutach zauważyłem, że spomiędzy dwóch kamiennych bloków sypią się drobiny pyłu. Chwilę później ujrzałem tam małą dziurkę, która naraz gwałtownie się poszerzyła. Wydobyło się z niej jeszcze więcej pyłu i drobnych kamieni, wypchniętych przez coś małego, ostrego i czarnego

Kserkses i Baztuk okrążali pokój, wymierzając sobie kuksańce i piszcząc jak dziewczyny. Zdenerwowałem się, kiedy przystanęli akurat obok tej tajemniczej dziury. Jeszcze chwila, a zauważą opadający spiralnie pył – trzeba postawić wszystko na jedną kartę.

–Hej, piaskożercy! – wrzasnałem. – Księżyc świeci nad trupami waszych druhów! Szakale wloką ich odcięte głowy i dają swym szczeniakom do zabawy!*

Tak, jak się spodziewałem, Baztuk natychmiast puścił pióra Kserksesa, a Kserkses zostawił w spokoju nos Baztuka. Obaj powoli odwrócili się do mnie, w ich oczach zalśniła żądza mordy. Dobra, dobra. Wyliczyłem, że upłynie jakieś trzydzieści sekund, zanim pojawi się to, co właśnie przelazi przez dziurę. Jeżeli się spóźni, zginę – jak nie z rąk Baztuka i Kserksesa, to zabity przez klatkę, która zmniejszyła się już do rozmiarów małego grejpfruta.

–Baztuk – odezwał się Kserkses uprzejmym tonem. – Pozwolę ci zadać pierwszy cios.

–Kserksesie, to miło z twojej strony – odparł Baztuk. – A ty będziesz mógł posiekać go tak, jak tylko zapagniesz.

Obaj poderwali włącznie i ruszyli w moją stronę. Stukot za ich plecami nagle umilkł, a z dziury w ścianie, całkiem już sporej, wyłonił się błyszczący dziób, ostry jak czubek kowadła. Po nim – smoliście czarna, pierzasta głowa i paciorkowate oko. Gwałtownie się obróciło i bacznie się rozejrzało. Potem, w ciszy, przez otwór zaczął przeciskać się ptak w zupełnie nieptasi sposób.

* Oczywiście przekład zubożył te słowa. Wygłosiłem je w mowie starożytnego Egiptu, którą obaj znali i której nienawidzili. Nawiązałem do czasów, kiedy to wojska faraona dotarły w głąb Asyrii, siejąc śmierć i zniszczenie. W rozmowie z dzinnami bardzo niegrzecznie jest wspominać wojny między ludźmi (wtedy zawsze musimy stanąć po którejś ze stron). A przypominać utukku o wojnach, które przegrali, jest i niegrzecznie, i bardzo nierozsądnie.

Wielki, czarny kruk wstrząsnął skrzydłami i skoczył na krawędź kamienia. Kiedy z dziury wysunęły się już pióra ogona, pojawił się w niej kolejny dziób. Tymczasem utukku dotarli do mojej kolumny. Baztuk uniósł ramię. Chrząknąłem.

–Może spojrzycie za siebie?

–Nie ze mną te numery, Bartimaeus! – krzyknął Baztuk. Pchnął ramię do przodu i włócznia rozpoczęła lot. Jakiś czarny kształt przeciął jej drogę, złapał drzewce w dziób i poleciał w górę, wrywając broń z ręki utukku. Zaskoczony Baztuk zaskowyczał i obrócił się. Obrócił się też Kserkses.

Kruk przysiadł na pustej kolumnie, zręcznie trzymając włócznię w dziobie.

Baztuk niepewnie ruszył w jego stronę.

Kruk powoli zgniótł dziobem stalowy trzonek. Włócznia rozszczepiła się na połowy. Obie upadły na ziemię.

Baztuk zamarł.

Z dziury wyfrunął kolejny kruk i zasiadł na sąsiedniej kolumnie. Oba ptaki trwały w ciszy, wpatrując się w utukku oczyma o nieruchomych powiekach.

Baztuk popatrzył na kompana.

–Eee... Kserkses?...

Orlodzioby ostrzegawczo mlasnął językiem.

–Baztuk, podnieś alarm – powiedział. – A ja je załatwię.

Z podkurczonymi nogami skoczył wysoko w górę. Rozpostarł wielkie, białe skrzydła, wydając przy tym taki dźwięk, jakby pękał materiał. Załopotał nimi raz i drugi. Wznosił się coraz wyżej, aż pod sufit. Pióra wygięły się, a potem wyprężyły. Obrócił się i zanurkował głową w dół, w ręce trzymał wyciągniętą włócznię. Spadał z szybkością błyskawicy.

Ku spokojnie czekającemu krukowi.

W oczach Kserksesa zobaczyłem niedowierzanie. Teraz był już niemal tuż nad krukiem, a ptak wciąż ani drgnął. Utukku nagle się przestraszył, szarpnął skrzydłami do tyłu i rozpaczliwie starał się przechylić, unikając zderzenia...

Kruk szeroko otworzył dziób.

Kserkses krzyknął.

Kłęb i wir, kłap-kłap i zaraz potem odgłos przelotykania. Na kamienie wokół kolumny z wolna opadło kilka trzepocących piór. Kruk cały czas siedział spokojnie, spoglądając sennymi oczyma. Kserkses znikł.

Baztuk rzucił się ku ścianie, w której powinien otworzyć się portal. Grzebał w sakiewce zawieszanej u pasa. Drugi kruk leniwie przeskakiwał z jednej kolumny na drugą – w końcu wyprowadził go z równowagi. Utukku z okrzykiem udręki cisnął włócznią. Przeleciała obok ptaka i po rękojeść utkwiała w kamiennym słupie. Kruk ze współczuciem potrząsnął głową i rozpostarł skrzydła. Baztuk gwałtownie otworzył sakiewkę, wyjął niewielki brązowy gwizdek i przyłożył go do warg...

Znów się zakotłowało, znów powstał skłębiony wir. Baztuk okazał się szybki. Schylił łeb, dźgnął rogami – i nagle wpadł w rozedrganą otchłań. Nie został po nim żaden ślad. Kruk niezgrabnie przysiadł na ziemi, ze skrzydła sączyła mu się zielona krew.

Uwięziony w kuli skarabeusz podskakiwał radośnie

–Dobra robota! – zawołałem, starając się, by mój głos nie brzmiał

piskliwie. – Nie wiem, kim jesteście, ale jeśli o mnie chodzi...

Urwałem w pół zdania. Za sprawą kuli mogłem widzieć przybyszy tylko na pierwszym planie, gdzie aż do tej chwili każdy miał postać kruka. Może zdali sobie z tego sprawę, gdyż nagle, w ułamku sekundy, mi się ujawnili. Już wiedziałem, kim są.

Zamknięty w kuli chrząszcz zachłysnął się.

–Och – powiedziałem. – Cześć.

–Cześć, Bartimaeus – odpowiedział Faquarl.

25

I Jabor tu jest – dodałem. – Jak to miło z waszej strony, że przyszliście.

–Bartimaeusie, pomyśleliśmy, że możesz czuć się samotny.

Kruk z krwawiącym skrzydłem zamigotał i przybrał postać kucharza. Ramię miał głęboko rozcięte.

–Nie, nie, znalazłem się w centrum uwagi.

–Właśnie widzę. – Kucharz przyjrzał się mojej kuli. – O rety, i to w ścisłym centrum.

Zachichotałem, ale bez przekonania.

–Stary druhu, żarty na bok. Może udałoby ci się jakoś mnie stąd wydostać?

Te bariery już się na mnie zaciskają.

Kucharz pogłaskał się po podbródku.

–Ciężka sprawa. Ale widzę rozwiązanie.

–Świetnie!

–Możesz zmienić się w pchłę albo w jakiegoś innego insekta. To da ci jeszcze kilka cennych chwil życia, zanim twoja esencja ulegnie zniszczeniu.

–Dzięki ci za tę użyteczną radę – wykrztusiłem. Kula była już bardzo blisko. – A może w jakiś sposób unieruchomisz tę klatkę i mnie uwolnisz. Będę niewyobrażalnie wdzięczny...

Faqual uniósł palec.

–Przyszło mi co innego do głowy. Mógłbyś nam powiedzieć, gdzie ukryłeś

Amulet z Samarkandy. Jeśli będziesz mówił szybko, to może zdążymy

zniszczyć kulę, zanim zginiesz.

–Odwróć kolejność, a umowa stoi. Kucharz westchnął ciężko.

–Nie sądzę, by twoje położenie było odpowiednie do... Przerwał, słysząc jakieś odległe wycie. W tej samej chwili komnatę

przebiegło znajome drżenie.

–Portal się otwiera – wyjaśniłem szybko. – Przeciwległa ściana.

Faqual spojrzał na drugiego kruka, który wciąż siedział na kolumnie

i oglądał sobie szpony.

–Jabor, czy byłbyś tak uprzejmy?...

Kruk zrobił krok poza kolumnę i zmienił się w wysokiego mężczyznę o głowie szakala i jaskrawoczerwonej skórze. Ruszył przez izbę i stanął pod przeciwległą ścianą. Jedną nogę miał wysuniętą do przodu, drugą cofniętą, ręce wyciągnięte przed siebie.

Kucharz odwrócił się w moją stronę.

–Teraz, Bartimaeusie...

Mój pancerzyk zaczynał już się smażyć.

–Dość tego przekomarzania się – stwierdziłem. – Obaj wiemy, że nawet jeśli powiem ci, gdzie jest amulet, i tak zostawisz mnie tu na śmierć. I że w tej sytuacji na pewno dam ci fałszywą informację, tylko żeby zrobić ci na złość. Zatem, cokolwiek powiem, przebywając tutaj, będzie to bezwartościowe. To znaczy, że musisz mnie stąd wydostać.

Faugarl ze zdenerwowania postukał w krawędź kolumny.

–To irytujące, ale rozumiem twój punkt widzenia.

–To wycie to na pewno jest alarm – ciągnąłem. – Magowie, którzy mnie tu wtrącili, wspominali coś o hordach horli i utukku. Wątpię, żeby nawet Jabor zdołał ich wszystkich połknąć. Więc może odłożmy tę dyskusję na później?

–Zgoda – Faugarl zbliżył głowę do kuli, teraz ledwie wielkości mandarynki. – Bartimaeusie, bez nas nigdy nie uciekniesz z Tower, więc nie próbuj już teraz żadnych sztuczek. Muszę cię ostrzec, że przybyłem tu z dwoma rozkazami. Po pierwsze, mam się dowiedzieć, gdzie jest amulet. Gdyby to okazało się niemożliwe, drugi rozkaz nakazuje mi cię zniszczyć. Nie muszę ci chyba mówić, co sprawiłoby mi większą przyjemność.

Odsunął głowę. W tej właśnie chwili na ścianie z tyłu pojawił się owal i zaczął rozszerzać się ku łukowi portalu. Z ciemności wyłoniły się liczne postaci: bladolice horle, dzierżące w swych patykowatych rękach trójzęby i srebrne sieci. Poza portalem tarcze ochronne czyniły dżinny odpornymi na ciosy – jednak w trakcie przechodzenia horle były słabe i na chwilę odsłaniały swoją esencję. Jabor w pełni to wykorzystał. Odpalił trzy gwałtowne Detonacje, jedną po drugiej. Przestrzeń pod łukowatym sklepieniem wypełniły trzy jaskrawozielone eksplozje. Horle, piszcząc żałośnie, upadły na posadzkę, wciąż do połowy tkwiąc w portalu. Jednak za nimi szedł już kolejny oddział, ostrożnie krocząc po ciałach towarzyszy. Jabor wystrzelił raz jeszcze.

Faugarl też się nie lenił. Z kieszeni fartucha wyciągnął żelazny pierścień, mniej więcej wielkości bransolety, przyczepiony do końca długiego drewnianego kija. Przyglądałem się temu pierścieniowi z obawą*.

–I co mam z tym zrobić? – zapytałem.

–Skoczyć przez to, oczywiście. Wyobraź sobie, że jesteś psem cyrkowym. Bartimaeusie, jestem pewien, że to dla ciebie nic trudnego. W swoim czasie praktykowałeś przecież najróżniejsze zawody.

Faugarl ostrożnie trzymał kij między palcem wskazującym a kciukiem, umieścił go tak, by pierścień dotykał powierzchni kuli. Pręty bariery,

* Żelazo nie służy dżinnowi, tak jak nie służy mu srebro. Ludzie od tysiącleci używają go, by się przed nami bronić. Mówi się, że podkowa przynosi szczęście – właśnie dlatego że jest z żelaza.

skwierząc głośno, rozeszły się i opłynęły bransoletę, zostawiając w środku niej wolną przestrzeń.

–Lovelace specjalnie wzmocnił ten pierścień, by zwiększyć magiczną odporność żelaza – wyjaśnił Faquarl. – Ale to nie będzie trwało wiecznie, więc proponuję, żebyś szybko skoczył.

Miał rację. Krawędzie pierścienia zaczęły już się pokrywać bąblami i topić się pod wpływem energii klatki. Jako chrząszcz z braku miejsca miałem skrępowane ruchy, dlatego zużyłem resztę sił i raz jeszcze stałem się muchą. Bez dalszych ceregieli szybko okrążyłem kulę, żeby nabrać szybkości, i w mgnieniu oka wyskoczyłem przez topiący się pierścień – ku wolności!

–Wspaniale! – zawołał Faquarl. – Szkoda że bez akompaniamentu!

Mucha wylądowała na podłodze i zmieniła się w bardzo rozłoszczonego sokoła.

–Dla mnie to i tak było wystarczająco dramatyczne, możesz być pewien – oznajmiłem. – I co teraz?

Faquarl cisnął na podłogę resztki pierścienia.

–Lepiej już chodźmy.

W powietrzu śmignął srebrny trójząb i zagrzechotał, upadając między nami na posadzkę. Przy portalu, teraz niemal już zapchanym ciałami horli, Jabor powoli przystępował do odwrotu. Za silną, zbiorczą Tarczą pojawiła się nowa fala strażników, głównie utukku, którzy odbijali coraz słabsze Detonacje, ciskając nimi po komnacie. Wreszcie jakaś horla przedostała się przez portal i gdy jej pancerz w pełni się uformował, drobnymi krokami zaczęła okrążyć Tarczę. Jabor strzelił w nią. Cios trafił dzinna w wątły tors i został całkowicie wchłonięty. Demon uśmiechnął się lodowato i rzucił do przodu, wirując swą siecią jak lassem.

Faquarl zmienił się w kruka i z wysiłkiem uniósł się w powietrze, ciężko machając skrzydłami, sokół ruszył za nim, ku dziurze. Sieć przemknęła tuż pode mną. Trójząb zatopił ostrza w ścianie.

–Jabor! – krzyknął Faquarl. – Już nas nie ma!

Zerknąłem za siebie. Jabor szamotał się z jakąś horlą. najwyraźniej w ogóle się nie zmęczył.

Do izby przybywały niezliczone rzesze nowych dżinnów. Zebrałem się więc w sobie, by dotrzeć do otworu. Faquarl już w nim zniknął. Schyliłem dziób i zrobiłem to samo. Za mną rozległ się huk wielkiej eksplozji oraz dziki, wściekły krzyk szakala.

W wąskim, ciemnym tunelu głos Faquarla brzmiał niewyraźnie i jakoś dziwnie.

–Jesteśmy prawie na zewnątrz. Teraz najlepiej będzie przybrać postać kruka.

–Dlaczego?!

–Wokół Tower jest ich mnóstwo. Możemy wmieszać się w jakieś stadko i zyskać trochę czasu, jak będziemy lecieć do murów.

Nie miałem ochoty stosować się do żadnej rady Faquarla, ale nie miałem też pojęcia, z czym przyjdzie nam się teraz zmierzyć. Ucieczka z Tower była sprawą najważniejszą. Jeszcze przyjdzie czas, by uciec też od niego. Skupiłem się więc i zmieniłem kształt.

–Już się przemieniłeś?

–No. Jeszcze nie próbowałem tego przebrania, ale nie wydaje się skomplikowane.

–Za nami ani śladu Jabora?

–Nie.

–Znajdzie nas. Dobra, wyjście jest zaraz przede mną. Na otwór rzucone jest Ukrycie, więc nie powinni go jeszcze znaleźć. Wyleć szybko i kieruj się prosto w dół. Zobaczysz podwórze kuchni, gdzie zbierają się kruki, żeby zjadać odpadki. Tam się spotkamy. I przede wszystkim nie bądź podejrzliwy.

Droga na oślep przez tunel, potem nagły blask. Faquarl znikł, odsłaniając zarysy wyjścia, skrytego siatką magicznych nici.

Skacząc, parłem naprzód, aż wreszcie trafiłem dziobem w barierę. Nacisnąłem ją i po chwili wystawiłem głowę na zimne, listopadowe powietrze.

Nie zwlekając, wygramoliłem się z dziury i zacząłem szymbować ku dziedzińcowi.

Kiedy zniżałem lot, szybko rozejrzałem się wokół: daleko nam jeszcze do bezpiecznych miejsc, zza rzędów okrągłych wież i zasłony murów ledwie widziałem odległe dachy Londynu. Po fortyfikacjach przechadzali się strażnicy, nieboskłon przemierzały kule tropiące. Podniesiono już alarm. Gdzieś z wysoka dochodziło zawodzenie syreny, a całkiem niedaleko, po najbliższym dziedzińcu biegly bataliony policji.

Wylądowałem na niewielkim, bocznym podwórzu, osłoniętym przed ogólnym zamieszaniem dwoma budynkami gospodarczymi, które przylegały do korpusu głównej wieży. Na kamiennym bruku wałały się tłuste kawałki chleba i skórki od słoniny i aż czarno było od głodnych,

hałaśliwych kruków.

Jeden z ptaków chyłkiem się do mnie zbliżył.

–Bartimaeusie, ty chyba do reszty zdumiałeś.

–Co jest?

–Masz jasnobłękitny dziób. Zmień to.

No cóż, przecież jeszcze nigdy wcześniej nie byłem krukami. I przemiany musiałem dokonać w zupełnej ciemności. Czego on się spodziewał? Ale to nie czas i nie miejsce, żeby się spierać. Zmieniłem kolor dzioba.

–I tak przejrzą to przebranie – rzuciłem. – Tu musi być z tysiąc wartowników wszelkiego rodzaju.

–Prawda, ale my potrzebujemy tylko odrobiny czasu. Jeszcze nie wiedzą, że jesteśmy krukami, a jeśli wmieszamy się w stado, wyłowienie nas i sprawdzenie zajmie im kilka dodatkowych sekund. Musimy poderwać stado do lotu...

Ze sto kruków niewinnie zajadało zimną skórkę od słoniny, w zgodzie ze sobą i ze światem. A potem Faquarl na pierwszym planie objawił im swoje prawdziwe kształty. Trwało to ledwie ułamek sekundy, ale wystarczyło. Cztery kruki padły trupem na miejscu, wiele innych zwróciło śniadanie, a reszta, ogarnięta paniką, poderwała się z dziedzińca, wrzeszcząc i machając skrzydłami. Faquarl i ja znaleźliśmy się w samym środku stada, też machaliśmy skrzydłami, kołując i nurkując razem ze wszystkimi. Rozpaczliwie staraliśmy się nie zostać gdzieś z tyłu.

Ilecieliśmy najpierw wysoko, nad płaskim dachem wielkiej twierdzy, tam gdzie łopotała ogromna flaga i stali ludzcy wartownicy na straży wód Tamizy. Potem w dół, tuż nad szarym dziedzińcem po drugiej stronie. Na środku placu parad namalowano ze dwadzieścia roboczych pentagramów i kiedy tamtędy przelatywałem, dostrzegłem przerażającą kompanię duchów, przywoływanych przez grupę magów w szarych mundurach. Były to pomniejsze istoty, głównie impy*, ale w takiej masie mogły sprawić problem. Miałem nadzieję, że stado kruków nie zdecyduje się tam wylądować.

* Przyzywanie mniej potężnych istot jest łatwiejsze i trwa krócej. Większość magicznych imperiów specjalnie zatrudnia magów, którzy w razie potrzeby mogą zmobilizować całe kohorty impów. Tylko mocarstwa mają tyle siły, żeby gromadzić wojska składające się z wyższych bytów. Najstraszliwszą spośród takich armii zebrał faraon Tutmosis III w 1478 r. p.n.e. W jej skład wchodził legion afrytów oraz gromada potężnych dzinnów, a najpotężniejszym z nich był, rzecz jasna... Nie, skromność nie pozwala mi tego wyjawiać.

A ptaki nie miały chyba najmniejszej ochoty w ogóle się zatrzymywać. Strach wciąż pchał je naprzód, sprawiał, że bezustannie okrążały fortyfikację Tower. Kilkakrotnie zdawało mi się, że kruki lecą już ku zewnętrznemu murowi, zawsze jednak przed nim skręcały.

Raz miałem nawet ochotę polecieć tam samotnie, ale od tego pomysłu odwiódł mnie dziwny, czarno-niebieski strażnik o czterech pajęczych nogach, którego dostrzegłem na murach. Nie spodobał mi się, a niewola i wymuszone zmiany postaci zbyt mnie zmęczyły, bym ryzykował spotkanie z jakąś nieznaną siłą.

Dotarliśmy do innego podwórza, z trzech stron otoczonego zamkowymi budynkami. Z czwartej zaś strony wznosiła się stroma skarpa, porośnięta zieloną trawą i zwieńczona wysokim murem. Kruki siadły na niej i w niespokojnej gromadzie bez celu dziobały ziemię.

Faugarl w podskokach zbliżył się do mnie. Jedno skrzydło miał obwisłe. Wciąż krwawił.

–Te ptaki nigdy nie opuszczą Tower – stwierdziłem. – Tu mają jedzenie.

Przytaknął.

–Zaciągnęły nas tak daleko, jak tylko mogły, ale to wystarczy. To zewnętrzny mur. Przelecimy nad nim i już jesteśmy poza Tower.

–Ruszajmy.

–Za chwilę. Muszę odpocząć. I może Jabor...

–Jabor nie żyje.

–Bartimaeusie, przecież znasz go lepiej – Faugarl dziobnął zranione skrzydło, odsłonił krzepnącą krew. – Poczekaj tylko chwilkę. Tamten utukku! Nie spodziewałem się, że jest taki silny!

–Nadchodzą impy – syknąłem.

Pod łukiem bramy na przeciwległym krańcu podwórza mknął już cały batalion. Rozbiegał się na boki, by dokładnie sprawdzić każdy skrawek dziedzińca. My wciąż ukrywaliśmy się w stadzie kruków, ale to nie mogło trwać długo.

Faugarl wypluł na trawę kolejne pióro. Zmieniło się w zwitek galarety i szybko rozpuściło.

–Bardzo dobrze. Do góry, za mur i w nogi. Bez przystanku. Uprzejmie wskazałem mur skrzydłem.

-Ty pierwszy.

–Nie, nie, Bartimaeusie, ty pierwszy. – Wyprostował dużą, szponiastą nogę. – Będę cały czas leciał za tobą, więc proszę, leć pierwszy i nie próbuj uciekać.

–Jesteś chorobliwie podejrzliwy.

Impy były coraz bliżej, węszyły po ziemi jak psy. Uniosłem się w powietrze i błyskawicznie pomknąłem ku murom. Kiedy do nich dotarłem, spostrzegłem wartownika, patrolującego pomost. Był to mały diablak, przy głowie miał poobijany róg z brązu. Niestety, on również mnie dostrzegł. Zanim zareagowałem, przytknął wargi do ustnika rogu i zadał krótko, a głośno. Natychmiast odpowiedział mu chór podobnych sygnałów, wzdłuż całego muru, na dole i na górze. Pomknąłem wprost nad blankami, stromą skarpą z czarnych kamieni i ziemi ku miastu, jak najdalej od Tower.

Nie było czasu do stracenia, nie oglądałem się za siebie. Leciałem tak szybko, jak tylko mogłem. Pode mną przesuwawała się szeroka, szara ruchliwa ulica, pełna samochodów, potem skupisko garaży o płaskich dachach, wąska droga, domy, zakręt Tamizy, nabrzeże, dźwig, kolejna droga... hej! To nie było takie złe – uciekałem z fantazją, jak zwykle! Tower musiała już zostać daleko za mną. Niedługo mógłbym...

Spojrzałem przed siebie i zamrugałem ze zdumienia. Tower była tuż przede mną. Nad główną twierdzą klębiła się grupa lotnych istot. Wyglądało na to, że nie wiedzieć czemu zawróciłem i leciałem prostu ku warowni. Z moim wyczuciem kierunku stało się chyba coś złego. Niezmiernie zmieszany zatoczyłem luk wokół komina i pognałem w przeciwną stronę. Za plecami usłyszałem głos Faquarla.

–Bartimaeusie, stój!

–Nie widzisz ich? – wrzasnąłem do tyłu, nad skrzydłem. – Za chwilę nas dostaną!

Podwoiłem szybkość, nie zwracając uwagi na krzyki Faquarla. Śmigwały pode mną dachy, błotnisty przestwór Tamizy, który przekroczyłem w rekordowym tempie, a potem znów...

Londyńska Tower. Latające istoty rozpięzły się we wszystkich kierunkach, każdej grupie towarzyszyła kula tropiąca. Jedna z grup zmierzała prosto na mnie. Wszystko mi mówiło: zawróć i zwiewaj, ale byłem zbyt zdziwiony. Usiadłem na dachu. Kilka chwil później obok mnie zjawił się Faquarl, dyszał ciężko i klął tak, jakby zaraz miał eksplodować.

–Ty kretynie! Wróciliśmy tam, skąd wylecieliśmy!

Zdębiałem.

–Według ciebie...

–Ta pierwsza Tower, którą widziałeś, była tylko lustrzaną iluzją. Należało przez nią przelecieć*. Lovelace ostrzegał mnie przed czymś takim, ale ty nie mogłeś poczekać i mnie posłuchać! Niech szlag trafi moje ranne skrzydło, niech szlag trafi ciebie, Bartimaeusie!

Batalion latających dzinnów właśnie przekraczał zewnętrzne mury. Oddzielała nas od niego ledwie szerokość drogi. Faquarl, ponury, skulił się za kominem.

–Dolecą do nas.

Przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

–No to nie lećmy. Po drodze mijaliśmy kilka przejść ze światłami.

–I co? – Faquarl nie był zbyt cywilizowany.

–I pojedziemy autostopem!

Sfrunąłem z dachu, lecąc ku skrzyżowaniu, tam gdzie przed czerwonym światłem stał właśnie rząd aut. Oczywiście frunąłem tak, żeby budynek oddzielał mnie od pogoni. Wylądowałem na chodniku, przy końcu owego rzędu, a Faquarl zaraz za mną.

–Dobra – powiedziałem. – Czas zmienić postać.

–Na jaką?

–Coś z mocnymi pazurami. Szybko, światła już migają.

Nim Faquarl zdążył zaprotestować, skoczyłem z chodnika prosto pod najbliższy samochód. Starąłem się nie zwracać uwagi na paskudny smród oleju i spalin i na przyprawiające o mdłości wibracje, które nasiliły się, gdy kierowca zwiększył obroty silnika. Bez żalu pożegnałem się z postacią kruka. Zmieniłem się w stygijskiego impleta: to niewiele więcej jak splot mięśni najeżony kolcami. Kolce i haczyki wczepiły się w brudny metal podwozia, trzymały mnie mocno, gdy samochód powoli ruszył przed siebie. Miałem nadzieję, że Faquarl za mną nie nadąży, jednak mi się nie poszczęściło. Wkrótce obok pojawił się drugi implet. Zawisł między kołami, nie spuszczał ze mnie wzroku.

* Lustrzana iluzja: szczególnie przebiegły i wyszukany czar. Tworzy fałszywe wizerunki dużych obiektów – na przykład armii, góry czy zamku. Wizerunki są płaskie i rozwiewają się, kiedy się przez nie przeleci. Lustrzane iluzje mogą zmylić nawet najsprytniejszych. Jak widać.

Podczas tej podróży nie rozmawialiśmy wiele. Silnik pracował zbyt głośno, poza tym stygijskie implety nie mają ani języka, ani zębów.

Po nieskończeniu długim czasie samochód wreszcie się zatrzymał. Kierowca wysiadł i poszedł. Nastąpiła cisza. Jęknąłem i uwolniłem swoje zaczepy, ciężko upadłem na asfalt. Byłem oszołomiony chorobą lokomocyjną, no i smrodem techniki*.

Faugarl czuł się nie lepiej. Bez słowa zmieniliśmy się w dwa podstarzałe, brudnawe koty, wygrzebaliśmy się spod auta i przez trawnik ruszyliśmy do gęstej kępy krzaków. Tam odpoczęliśmy w naszych ulubionych postaciach.

Kucharz ciężko oparł się o pień drzewa.

–Zapłacę ci za to, Bartimaeusie – wydyszał. – Jeszcze nigdy się tak nie nacierpiałem.

Egipski chłopiec uśmiechnął się szeroko.

–Udało nam się wyrwać, prawda? Jesteśmy bezpieczni.

–Jeden z moich kołców przebił zbiornik benzyny. Zalała mnie. Dostanę wysypki.

–Przestań narzekać. – Spojrzałem między liśćmi. Zobaczyłem osiedlową drogę, wielkie przyczepy, mnóstwo drzew. Nikogo w zasięgu wzroku, poza małą dziewczynką, która bawiła się piłką tenisową na niedalekim podjeździe. – Jesteśmy na przedmieściach. Peryferie Londynu albo nawet dalej.

Faugarl tylko burknął. Zerknąłem w bok. Dżinn przyglądał się ranie, którą zadał mu Baztuk. Wyglądała źle, musiał być osłabiony.

–Bartimaeusie, nawet z tą raną wciąż jeszcze mogę stawić ci czoło. Podejdz

i usiądź. – Zrobił niecierpliwy gest. – Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Posłusznie, jak to miałem w zwyczaju, usiadłem na ziemi ze skrzyżowanymi nogami niczym Ptolemeusz. Niebyt blisko, gdyż Faugarl bardzo cuchnął benzyną.

–Po pierwsze – powiedział – wypełniłem swoją część umowy. Wbrew sobie uratowałem ci skórę. Twoja kolej. Gdzie jest Amulet z Samarkandy?

* Wiele produktów nowoczesności – plastik, sztuczne metale, wewnętrzne mechanizmy

maszyn – ma w sobie tyle pierwiastka ludzkiego, że jeśli długo jesteśmy zbyt blisko, źle działają na naszą esencję. To pewnie jakiś rodzaj alergii.

Zawahałem się. Tylko pamięć o puszcze na dnie Tamizy powstrzymywała mnie od powiedzenia mu wszystkiego o Nathanielu. Tak, uciekłem dzięki Faquarlowi, ale przede wszystkim musiałem dbać o siebie.

–Posłuchaj. Nie myśl, że nie jestem ci wdzięczny za to, że mnie stamtąd wyciągnąłeś. Ale wcale nie jest mi łatwo odpowiedzieć na to pytanie. Mój pan...

–Na pewno nie jest tak potężny jak mój – Faquarl natarczywie pochylił się do przodu. – Bartimaeusie, chcę, żebyś wysilił swój mały, głupi mózdzek i chwilę pomyślał. Lovelace bardzo chce odzyskać swój amulet, tak bardzo, że rozkazał mnie i Jaborowi włamać się do najlepiej strzeżonego, rządowego więzienia i ratować żalosego niewolnika takiego jak ty.

–Faktycznie, naprawdę bardzo mu zależy – przyznałem.

–Pomyśl tylko, jak to jest niebezpieczne i dla nas, i dla niego. Zaryzykował wszystko. Wyciągnij z tego wnioski.

–A do czego jest mu potrzebny ów amulet? – przerwałem ten wywód.

–Ach, tego nie mogę ci wyjawić. – Kucharz poklepał się po nosie i uśmiechnął się tajemniczo. – Ale mogę powiedzieć, że przyłączając się do nas, odniósłbyś wielką korzyść. Mamy pana, który daleko zajdzie, wiesz chyba co mam na myśli.

Uśmiechnąłem się szyderczo.

–Każdy czarodziej tak mówi.

–Ale on naprawdę już wkrótce daleko zajdzie. To kwestia dni. A amulet jest mu niezbędny do sukcesu.

–Może, ale czy my będziemy dzielić jego sukces? Takie przechwałki to dla mnie żadna nowość. Magowie wykorzystują nas, by zdobyć większą władzę, a potem po prostu jeszcze bardziej zacieśniają więzy! I co nam z tego?

–Bartimaeusie, mam plany...

–Tak, tak, wszyscy je mamy. Zresztą nic nie zmienia faktu, że wiąże mnie wcześniejszy rozkaz. Grożą mi surowe kary...

–Kary można przetrzymać! – Faquarl w złości uderzył dłonią w skroń. – Moja esencja wciąż dochodzi do siebie po tym, jak Lovelace mnie ukarał, kiedy ty zniknąłeś z amuletem! Szczerze mówiąc, całe nasze istnienie i, Bartimaeusie, nie usprawiedliwiaj się, ty przecież w ogóle się tym nie przejmujesz, cała nasza egzystencja to nic innego, jak kara za karą! Zmieniają się tylko ci

przekłęci czarodzieje, jeden idzie do grobu, a już pojawia się

następny, przypomina sobie nasze imiona i znowu nas wzywa! Oni przemijają, my trwamy. Wzruszyłem ramionami.

–Chyba już kiedyś o tym rozmawialiśmy. W Wielkim Zimbabwe, prawda?

Faqual przestał się wściekać. Przytaknął.

–Może. Ale czuję, że nadchodzą zmiany, i jeśli ty miałbyś odrobinę rozsądku, też byś to wyczuł. Upadek imperium to zawsze niespokojny czas: na ulicach wybuchają zamieszki, magowie klócą się, nie zważając na nic, ich mózgi rozmiękczają luksus i potęgę... Obaj oglądaliśmy to już wystarczająco często, i ty, i ja. Mamy wtedy lepszą sposobność do działania. Nasi mistrzowie robią się leniwi, Bartimaeusie, dają nam więcej swobody.

–Tylko trochę.

–Lovelace to właśnie jeden z takich czarodziejów. Tak, jest mocny, racja, ale jest niecierpliwy. Od kiedy po raz pierwszy mnie przyzwał, chodzi sfrustrowany tym, jak ogranicza go jego urząd w ministerstwie. Bardzo chce naśladować wielkich magów z przeszłości, zadziwić świat swymi dokonaniem. Pociąganie za sznurki władzy bawi go tak, jak psa spleśniała kość. Cały czas spędza na intrygach i spiskach, ciągle stara się zdobyć przewagę nad rywalami... Nigdy nie spoczywa na laurach. I nie jest w tym odosobniony. W rządzie są inni tacy jak on, niektórzy nawet bardziej niecierpliwi. Znasz takich. Kiedy magowie grają o najwyższą stawkę, rzadko kiedy udaje im się długo przetrwać. Wcześniej czy później popełniają błędy, i to jest nasza szansa. W końcu nadejdzie nasz dzień. – Spojrzał w niebo. – No, czas się ruszyć – powiedział. – To moja ostatnia propozycja. Zaprowadź mnie do amuletu, a ja obiecuję, że niezależnie od tego, jaką karę będziesz musiał ścierpieć, Lovelace później cię przygarnie. Twój mistrz, kimkolwiek jest, nie zdoła stanąć mu na drodze. Bartimaeusie, bądźmy partnerami, nie wrogami. To byłaby miła odmiana, prawda?

–Sympatyczna – odparłem.

–Albo... – Faqual położył ręce na kolanach. – Możesz umrzeć tu i teraz, na tym zwykłym podmiejskim trawniku. Wiesz, że nigdy wcześniej mnie nie pokonałeś, tylko przypadek zawsze ratował ci skórę*. Ale tym razem tak nie będzie.

* Przypadek albo, jak wołałem o tym myśleć, mój wielki spryt. Ale coś w tym było. Zawsze starałem się unikać otwartej walki.

Kiedy rozmyślałem o tych poważnych słowach i zastanawiałem się, jak by tu uciec, nagle coś nam przeszkodziło. To coś przeleciało przez gałęzie i liście, a potem zgrabnie odbiło się od ziemi pod naszymi stopami. Piłka tenisowa. Faquarl odskoczył od pnia, ja też zerwałem się na nogi – jednak za późno, by się schować. Ktoś już przedzierał się na sam środek kępy krzaków.

Była to mała dziewczynka, widziałem ją, jak bawiła się na podjeździe. Miała z sześć lat, piegi, potargane włosy, luźny podkoszulek rozciągnięty aż po umorusane kolana. Przypatrywała się nam z ciekawością, ale i wystraszoną.

Przez kilka sekund żadne z nas się nie poruszyło. Dziewczynka patrzyła na nas, a my na nią. Wreszcie się odezwała.

–Pachniecie benzyną.

Milczeliśmy. Faquarl poruszył ręką. Wyczułem jego nieczne zamiary.

Dlaczego właśnie wtedy postanowiłem działać? Z czystego egoizmu. Faquarl przez chwilę nie zwracał na mnie uwagi, co dało mi świetną sposobność do ucieczki, no i mogłem uratować tę dziewczynkę... To by było sprawiedliwe. Przecież to ona podsunęła mi pomysł.

Na końcu palca rozpałem małą Iskrę i cisnąłem nią w kucharza.

Cichy wybuch, tak jak przy zapalaniu palnika gazowego. Faquarl zmienił się w żółtopomarańczową kulę płomieni. Kiedy zaczął się miotać, rycząc z bólu i przy okazji podpalając liście, dziewczynka pisnęła i uciekła. Wiedziała, co robi. Zaraz poszedłem w jej ślady*.

Po chwili już byłem w powietrzu, daleko stamtąd, pędząc ku Highgate i mojemu głupiemu, żaloszemu panu.

* Tyle że oczywiście nie pisnąłem.

0[atfumieC

Im bliżej było wieczoru, tym Nathaniel bardziej drżał ze strachu. Krążył po pokoju jak pantera zamknięta w klatce, czuł się usidlony na tuzin różnych sposobów. Tak, drzwi były zamknięte, więc nie mógł uciec fizycznie, ale w tej chwili to był najmniejszy problem.

Jego sługa Bartimaeus siedział zamknięty w Tower, gdzie arcymagowie poddawali go jakimś wymyślnym torturom. Jeśli to rzeczywiście on spowodował masakrę w centrum Londynu,

właśnie ponosił zasłużoną karę. Ale przecież Nathaniel był jego panem. Odpowiadał za jego zbrodnie.

A to oznaczało, że i jego szukali teraz czarodzieje.

Tortury mogły sprawić, że Bartimaeus zapomni o groźbie Wiecznego Uwięzienia. Wyjawi im imię chłopca, które trafi do policji. A potem...

Nathaniel wzdrygnął się, wspominając poranionego Sholto Pinna. Konsekwencje mogły być przykre.

Nawet jeśli, jakimś cudem, Bartimaeus siedziałby cicho, zostawał jeszcze Underwood. Mistrz obiecał już, że wyrzeknie się ucznia – a może zrobi coś gorszego. Jeśli tylko przeczytał notatki, jakie zabrał z jego izby, od razu by wiedział, co dokładnie przyzwał Nathaniel. Wtedy mógłby zażądać pełnych wyjaśnień. Chłopiec zadrżał, myśląc, jakich sposobów perswazji użyłby stary mag.

Co tu robić? Pani Underwood zaproponowała pewne wyjście. Radziła, by zwyczajnie wyjawic całą prawdę. Ale Nathaniel dostawał mdłości na myśl, że odkrywając swoje sekrety, wystawiłby się na złośliwość i sarkazm mistrza.

Chłopiec odpędził przykre myśli, przyzwał zmęczonego impa i nie zwracając uwagi na jego protesty, raz jeszcze wysłał na przeszpiegi do Tower. Z bezpiecznej odległości oszołomiony patrzył, jak wściekła horda zielonoskrzydłych demonów niczym szarańcza krąży nad balustradami, a potem nagle rozpierzcha się we wszystkie strony, lecąc przez ciemniejsze niebo.

–To robi wrażenie – skomentowało zwierciadło. – Naprawdę, niezła klasa. Nie poradzi sobie z nimi nawet džinn wysokiego poziomu. Kto wie... – dodał demon. – Może niektóre lecą po ciebie.

–Znajdź Underwooda – warknął Nathaniel. – Gdzie on jest i co robi?

–Hej, jeszcze ci mało? Zobaczmy, Arthur Underwood... Nie, przepraszam. On też jest w Tower. Nie mogę się tam dostać. Ale możemy czegoś się domyślić, prawda? – imp zachichotał. – Pewnie rozmawia z twoim Bartimaeusem.

Dalsza obserwacja Tower nic by nie dała. Nathaniel cisnął dysk pod łóżko. Niedobrze. Możliwe, że jednak będzie musiał wszystko wyjaśnić, opowiedzieć swojemu mistrzowi: człowiekowi, którego nie szanował, który nie zdołał go obronić, stchórzył i płaszczyl się przed Lovelace'em. Nathaniel potrafił świetnie sobie wyobrazić, czym wyrazi się furia Underwooda – szyderstwami, docinkami, strachem o własną reputację... A również to, co potem się zdarzy...

Mniej więcej godzinę później usłyszał echo trzaskających na dole drzwi. Zamarł, ze strachem nasłuchując kroków mistrza, ale przez dłuższą chwilę nikt nie nadchodził. Kiedy w zamku przekręcił się klucz, odgadł po delikatnie chrapliwym oddechu, że przyszła pani Underwood. Przyniosła małą tackę, a na niej szklankę mleka i kanapkę z pomidorem i ogórkiem.

–John, przepraszam, że tak późno – powiedziała. – Jedzenie dla ciebie było już dawno gotowe, ale twój mistrz wrócił do domu, nim zdążyłam ci je przynieść. – Wzięła głęboki oddech. – Muszę już iść. Na dole jest trochę zamieszania.

–Co... co się dzieje, pani Underwood?

–Bądź grzecznym chłopcem i zjedz swoją kanapkę. Chyba zgłodniałeś, jesteś taki blady. Już niedługo mistrz cię wezwie, jestem pewna...

–A czy coś mówił?

–John, wielkie nieba! Czy ty nigdy nie przestaniesz zadawać pytań? Dużo mówił, ale ja nic ci nie powtórzę. W kuchni zostawiłam garnek z wodą, muszę szybko coś przyrządzić mężowi. Jedz kanapkę, kochanie.

–Czy mój mistrz...

–Zamknął się w gabinecie i nie wolno mu przeszkadzać. Ja też mogę tylko zanieść mu posiłek. To jest dosyć nagły wypadek.

Nagły wypadek... Nathaniel właśnie w tej chwili nagle podjął decyzję. Pani Underwood była jedyną osobą, której mógł zaufać, jedyną, która naprawdę o niego dbała. Powie jej wszystko: o amulecie, porachunkach z Lovelace'em. Ona mu pomoże stawić czoło Underwoodowi, a nawet, jeśli będzie trzeba, policji. Nie wiedział, w jaki sposób, ale ona mogła sprawić, że wszystko się ułoży.

–Pani Underwood... Uniosła rękę.

–Nie teraz, John. Nie mam czasu.

–Ale pani Underwood, naprawdę muszę...

–Ani słowa! Wracam na dół.

I odeszła ze zbolalym uśmiechem. Drzwi zamknęły się, w zamku zazgrzytał klucz. Nathaniel został sam, wpatrując się w miejsce, gdzie stała. Najpierw poczuł się tak, jakby za chwilę miał się rozplakać, potem wzrósł w nim gniewny upór. Czy jest jakimś niegrzecznym dzieciakiem, którego zostawia się na poddaszu, żeby czekał na karę? Nie. On jest magiem! Kimś, kogo się nie lekceważy!

Zabrano mu całe wyposażenie. Nie miał nic poza magicznym zwierciadłem -i jedyne, co mógł zrobić, to w nie popatrzeć. A patrzeć daje wiedzę. A wiedza to potęga.

Nathaniel ugryzł kawałek wyschniętej kanapki i od razu tego pożałował. Odstawił talerz i podszedł do świetlika. Wyjrzał na zewnątrz, popatrzył na kobierzec żółtych świateł rozciągający się pod nocnym niebem. Jeśli Bartimaeus wymienił jego imię, to Underwood albo policja dawno by już go dopadli. Dziwne. A ten nagły wypadek... Czy miał jakiś związek z Bartimaeusem?

Underwood był na niższym piętrze, na pewno siedział przy telefonie. Nasuwał się prosty wniosek – żeby wyjaśnić sprawę, trzeba ruszyć na przeszpiegi.

Nathaniel wyjął zwierciadło.

–Mój mistrz jest w gabinecie. Zbliź się do niego, tak żebyśmy mogli wszystko zobaczyć. Słuchaj też uważnie i natychmiast przekazuj mi, co on mówi.

–Ktoś tu jest małym donosicielem, co? Przepraszam, przepraszam, wystarczy! Twoja moralność to nie moja sprawa. No to idziemy...

Środek dysku rozjaśnił się. Pojawił się w nim wyraźny, ostry obraz gabinetu mistrza. Underwood siedział w skórzanym fotelu, przygarbiony, łokcie opierał na biurku. Jedną dłonią ścisnął słuchawkę telefonu, drugą machał i gestykułował. Imp zbliżył się. Po twarzy Underwooda widać było, jak bardzo jest poruszony. Na pewno krzyczał.

Nathaniel zapukał w dysk.

–Co on mówi?

Głos impa zabrzmiał w połowie zdania. Docierał do Nathaniela z małym opóźnieniem, ale chłopiec widział, że demon powtarza wszystko dokładnie.

–...tak mówisz? Wszyscy trzej uciekli? Dziesiątki ofiar? Niesłychane!

Whitwell i Duvall muszą za to odpowiedzieć. Tak, bardzo mi to leży na sercu,

Grigorij... To dotkliwy cios dla mojego śledztwa. Zamierzałem go osobiście

przesłuchać. Tak, ja. Bo jestem pewien, że jest powiązany z kradzieżami

artefaktów... One się ostatnio nasiliły. Wszyscy wiedzą, że najlepsze

przedmioty magiczne są u Pinna, demon miał nadzieję, że je skradnie... No tak,

to może znaczyć, że wmieszany jest w to jakiś mag... Tak, wiem, że to mało

prawdopodobne... Jednak to był jeden z moich najlepszych tropów... Jedyne

trop, szczerze mówiąc, ale czego oczekujesz przy takich funduszach? Co z

ustaleniem ich tożsamości? Też nic? To będzie dla Jessiki wielki cios. To

jedyna dobra rzecz, jaka wynikła z tej pożałowania godnej afery... Tak, tak

przypuszczam. I słuchaj, Grigorij, zmieniając temat, chciałbym poznać twoje zdanie w pewnej bardziej osobistej sprawie...

Wtedy imp nagle umilkł, choć widać było, że Underwood nadal mówi, tyle że słuchawkę trzymał tuż przy ustach.

Nathaniel przesłał dyskiem szok elektryczny. W zwierciadle pojawiła się twarz demona.

–Hej, nie trzeba było tego robić!

–Dźwięk, gdzie jest dźwięk?

–Przecież on szepcze! Nie słyszę. A niebezpiecznie jest się zbliżać.

–Daj mi tego posłuchać!

–Ależ szefie, bezpiecznie to już bliżej się nie da. Magowie często mają czujniki. Wiesz, nawet ten...

Nathaniel poczuł, że twarz boli go i puchnie mu z napięcia. Nie dbał już o ostrożność.

–Zrób to. Chyba nie chcesz, żebym cię jeszcze raz poprosił?

Imp nie odpowiedział. W zwierciadle znów pojawiła się twarz Underwooda, tak blisko, że niemal zajmowała cały jego środek. Nawet włosy wystające z nozdrzy widać było teraz trójwymiarowo, z detalami. Mag kiwał głową.

–Zgadzam się, chyba powinienem czuć dumę... Jeśli spojrzeć na to w taki

sposób, to chłopiec jest świadectwem mojej ciężkiej pracy i inspiracji, jaką

daję. A teraz, mój stary mistrzu...

Przerwał, skrzywił się i wzdrygnął, tak jakby otarło się o niego coś zimnego...

–Przepraszam, Grigorij. Właśnie coś poczułem...

Nathaniel zobaczył, że czarodziej mruży oczy, a jego brwi stroszą się w znajomy sposób. Wtedy obraz w zwierciadle nagle zaczął się powiększać, jakby imp pośpiesznie się wycofywał. Underwood wypowiedział jakieś słowo, demon spróbował je powtórzyć, ale umilkł w połowie, niczym wyłączone radio. Obraz pozostał, ale dziwnie drżał.

Nathaniel nie potrafił ukryć zdenerwowania.

–Impie, co się dzieje? Cisza.

–Nakazuję ci opuścić gabinet i wrócić do mnie.

Bez odpowiedzi.

**Obraz w zwierciadle nie nastrojał optymistycznie. Chociaż drgał, Nathaniel widział, że Underwood odkłada słuchawkę telefonu, potem wolno podnosi się z fotela i wychodzi z za biurka, cały czas się rozglądając – w górę, w dół, w każdym kierunku. Tak jakby szukał czegoś, o czym wiedział, że na pewno jest w pobliżu. Obraz zatrzęsł się jeszcze bardziej: pewnie imp
ze**

wszystkich sił starał się uciec, jednak na próżno. Chłopiec, coraz bardziej spanikowany, cisnął w dysk kilka pospiesznych Szoków, lecz nic to nie dało. Demon zamarł, niezdolny ani mówić, ani się poruszać.

Underwood ruszył do szafki z tyłu gabinetu, poszperał w niej i wrócił ze szklanym cylindrem. Potrząsnął nim. Z czterech dziurek wydobyl się biały pył, który szybko rozpięchł się po całym pokoju. Nieważne, jak działał ten puder – poskutkował od razu. Underwood wzdrygnął się i spojrzał w górę – prosto na Nathaniela. Dysk był teraz jakby oknem, przez które mag właśnie patrzył. Chłopiec pomyślał, że jego mistrz może naprawdę go widzi. Potem uświadomił sobie, że czarodziej po prostu ogląda wiszącego na suficie impa, którego właśnie zdemaskował.

Nathaniel, przerażony, patrzył, jak mag schyla się nad dywanem, pociąga za umieszczoną na nim pętlę, podnosi spory prostokąt kobierca i odkłada go na bok. Pod spodem były dwa namalowane pentagramy. Underwood wszedł do mniejszego z nich, nawet na chwilę nie odrywając wzroku od znieruchomiałego impa. Zaczął coś mówić i po kilku sekundach w większym kręgu pojawiła się wysoka, mglista postać. Widmo skłoniło się, po czym znikło. Ku zdumieniu Nathaniela, ciało Underwooda jakby zamigotało i wyszło samo z siebie. Mistrz nadal był w pentagramie, ale obok stanęła druga jego wersja – przezroczysta, wyglądała jak duch.

Widmowy Underwood uniósł się w powietrze, wierzgnął stopami i zaczął lecieć prosto do góry – dokładnie tam, gdzie bezbronny imp wciąż przekazywał obraz z gabinetu. Nathaniel wykrzyczał rozkaz, z furią potrząsnął dyskiem, ale nie mógł w żaden sposób zatrzymać maga, który był blisko, coraz bliżej... Zjawa zmarszczyła brwi, błyszczące oczy patrzyły prosto przed siebie. Underwood wypełnił całą powierzchnię zwierciadła, wyglądał tak, jakby miał się przez nie zaraz przebić...

A potem nic. W dysku znów pojawił się gabinet i fizyczne ciało mistrza, spokojnie stojące w pentagramie.

Mimo paniki Nathaniel aż nazbyt dobrze wiedział, co się dzieje. Underwood, po wykryciu i unieruchomieniu szpiega, postanowił iść po astralnej więzi impa aż do jej źródła, by dowiedzieć się, kim jest wrogi mag. Zwykle ktoś taki przebywał gdzieś daleko i mistrz pewnie oczekiwał, że jego kontrolowaną przez dżinna postać czeka długa podróż. A jeśli tak, to zaraz miał się zdziwić.

Zbyt późno Nathaniel uświadomił sobie, co powinien zrobić. Okno! Gdyby tylko zdołał wyrzucić dysk na ulicę, to może czarodziej niczego by się nie domyślił...

Zrobił ledwie dwa kroki ku świetlikowi, gdy z podłogi cichutko wyłoniła się głowa Arthura Underwooda. Była przezroczysta, fosforyzowała zielonkawym blaskiem, czubek przypalonej brody tkwił w posadzce. Powoli, bardzo powoli, głowa obróciła się o dziewięćdziesiąt stopni, wprost na Nathaniela, który trzymał w rękach magiczne zwierciadło.

Wtedy twarz czarodzieja przybrała wyraz, którego chłopiec jeszcze nigdy u niego nie widział. Nie była to niecierpliwa pogarda, zapamiętana z lekcji magii. Nie była to nawet furia, taka jak dziś rano, po odkryciach dokonanych w jego pokoju. To był niesłychany szok, a potem nagły wybuch takiej złości, że aż kolana się pod nim ugięły. Zwierciadło wypadło mu z rąk. Próbował mówić, ale nie mógł.

Głowa-widmo patrzyła na niego ze środka podłogi. Chłopiec odwzajemnił spojrzenie; nie był w stanie oderwać wzroku. Potem ze zwierciadła rozległ się głos Underwooda, bardzo przytłumiony i daleki, może dlatego że dochodził z ciała, które przecież znajdowało się znacznie niżej.

–Zdrajca...

Chłopiec otworzył usta, jednak wydobył się z nich tylko zduszony char-kot. Głos przemówił ponownie:

–Zdrajca! Zdradziłeś mnie. Odkryję, kto tobą kieruje, kto ci kazał mnie szpiegować.

–Nikt, naprawdę nikt... – Nathaniel ledwie wyszeptał.

–Przygotuj się! Idę do ciebie.

Głos umilkł. Głowa Underwooda zniżyła się i, wirując, zapadła w podłódze. Wraz z nią znikł fosforyzujący blask. Chłopiec drżącymi rękoma uniósł zwierciadło i spojrzał w nie. Po kilku sekundach widok na gabinet zrobił się zamglony – to widmowa postać czarodzieja przepływała przez impa. Mag pomknął dalej, ku swemu ciału. Zbliżając się do niego, przybrał dokładnie taką samą pozę jak ono i zlał się z nim w jedno. Chwilę później znów był sobą, a w drugim kręgu pojawiło się mroczne widmo. Czarodziej klasnął, odwołując dzinna. Demon skłonił się i znikł. Underwood wystąpił z pentagramu, oczy mu błyszczwały. Szybkim krokiem ruszył go drzwi gabinetu.

Wtedy właśnie zdjęty został czar krępujący impa, zwierciadło znów wypełniła twarz dziecka. Z ulgą wypuściło powietrze, nadymające mu policzki.

–Uff! Brak mi słów. żeby wypowiedzieć, jakie to było dla mnie straszne. Ten okropny, stary dziwak przeleciał przeze mnie na wylot i ruszył prosto po mojej astralnej więzi... Ciarki mnie przechodzą na samo wspomnienie, serio!

–Zamknij się! Zamknij! – Choć przerażony, Nathaniel starał się jednak myśleć.

–Słuchaj, zrób nam przysługę – powiedział imp. – Nie zostało ci dużo czasu. Nie mógłbyś teraz, zanim umrzesz, po prostu mnie uwolnić? Ciężko się żyje w takim zwierciadle, nawet nie wiesz, jak czułem się tu samotny. No, dalej, szefie. Naprawdę byłbym wdzięczny.

Dziecko próbowało uśmiechnąć się ujmująco, ale właśnie wtedy dysk rąbnął o ścianę.

–Au! Jak tak, to mam nadzieję, że spodoba ci się to, co po ciebie idzie!

Nathaniel podbiegł do drzwi i rozpaczliwie zaczął szarpać klamkę.

Gdzieś na dole, na schodach, rozbrzmiewały pospieszne kroki mistrza.

–On jest naprawdę wściekły – zawołał imp. – Nawet jego forma astralna, jak tu szedł, prawie zakwasila moją esencję.

Nathaniel skoczył ku szafie, szybko ją pchnął. Chciał zastawić nią drzwi. Okazała się jednak za ciężka, nie był wystarczająco silny. Z trudem łapał powietrze.

–O co chodzi? – Spytał imp. – Przecież jesteś wielkim magiem. Wezwij coś,

co ci ocali skórę. Może afryta, on sobie powinien poradzić. A co z tym

Bartimaeusem, na którego punkcie masz takiego hopla? Gdzie on teraz jest,

teraz, kiedy go potrzebujesz?

Nathaniel zaszlochał i powlókł się na środek pokoju. Spojrzał na drzwi.

–Paskudnie, co? – z głosu impa biła wielka satysfakcja. – Paskudnie jest być

na czyjeś łasce. Teraz już wiesz, jak to jest. Zmierz się z tym, mały, teraz jesteś

zdany na własne siły. Nie masz nikogo, kto ci pomoże.

Coś zapukało w świetlik.

Po chwili, kiedy serce w nim zamarło, Nathaniel spojrział w stronę okna: za szybą siedział nastroszony gołąb i ponagląco machał skrzydłami. Chłopiec z niedowierzaniem podszedł bliżej.

–Bartimaeus?...

Gołąb kilka razy zastukał dziobem w szybę. Nathaniel uniósł dłoń, by otworzyć okno...

W zamku zgrzytnął klucz i drzwi otwarły się z hukiem. Stanął w nich Underwood, twarz miał czerwoną z wysiłku, białe włosy i brodę potargane. Chłopiec opuścił rękę i odwrócił się do swego mistrza. Gołąb zniknął z okna.

Chwilę potrwało, nim Underwood złapał oddech.

–Nieszczęsny chłopcze! Kto wydaje ci rozkazy? Który z moich wrogów? Nathaniel czuł, że cały drży, ale zmusił się, by stać sztywno i patrzeć mistrzowi prosto w oczy.

–Nikt, panie, ja...

–Czy to Duvall? Albo Mortensen? Albo Lovelace? Nathaniel skrzywił się, słysząc to ostatnie nazwisko.

–Żaden z nich, panie.

–Kto cię nauczył, jak zrobić zwierciadło? Kto ci kazał mnie szpiegować? Mimo strachu w sercu chłopca zapłonął gniew. Odparł z satysfakcją:

–Czy nie słyszałeś, co mówiłem? Już powiedziałem. Nikt.

–Nawet teraz nie przestajesz kłamać! Doskonale! Po raz ostatni przyjrzyj się

swojemu pokojowi. Już tu nie wrócisz. Pójdziemy do mojego gabinetu,

zostaniesz tam w towarzystwie moich impów, aż ci się język rozwiąże. No

dalej!

Nathaniel zawahał się, ale nic nie mógł poradzić. Ręka mistrza opadła mu na bark i zacisnęła się jak imadło. Czarodziej niemal wypchnął go za drzwi i poprowadził w dół schodów.

Na półpiętrze spotkała ich pani Underwood. Bardzo się spieszyła, brakło jej tchu. Kiedy zobaczyła cierpienie na twarzy chłopca i furię męża, przerażona szeroko otworzyła oczy, ale nic nie powiedziała.

–Arthur – wydyszała nareszcie. – Ktoś do ciebie przyszedł.

–Nie mam czasu. Ten chłopak...

–On mówi, że to sprawa absolutnie niecierpiąca zwłoki.

–Kto? Kto mówi?

–Simon Lovelace, Arthurze. Właściwie wtargnął tu siłą.

Underwood zmarszczył brwi.

–Lovelace? – warknął. – Czego chce? To typowe dla niego, przychodzić w najmniej odpowiednim momencie. Dobrze, zobaczę się z nim.

A ty przestań się wiercić! Nathaniel szarpał się gorączkowo, jakby chciał się wyrwać z uścisku.

–Ty, chłopcze, zaczekasz w komórce. Później przyjdę i się z tobą porachuję.

–Panie...

–Ani słowa! – Underwood ciągnął Nathaniela przez półpiętro. – Martho, nastaw dla naszego gościa imbryk z herbatą. Za chwilę będę na dole. Muszę się doprowadzić do porządku.

–Tak, Arthurze.

–Panie, proszę mnie wysłuchać! To ważne! W gabinecie...

–Milcz! – Underwood otworzył wąskie drzwi i wrzucił Nathaniela do małego, chłodnego pomieszczenia, pełnego starych pudeł i stosów rządowych papierów. Nie oglądając się za siebie, zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Chłopiec zapukał w drewno, rozpaczliwie wzywając Underwooda.

–Panie! Panie! – Nikt nie opowiadał. – Panie!

–Jesteś za bardzo uprzejmy – pod drzwiami przecisnął się duży żuk o wielkich szczękoczułkach. – Panie to jak na mnie trochę zbyt formalne określenie, ale lepsze to niż „niecny demon”.

–Bartimaeus! – Nathaniel, zaszokowany, cofnął się. Na jego oczach żuk rósł, zmieniał kształt... Wreszcie stał się ciemnoskórym chłopcem, ręce oparł na biodrach, głowę lekko przechylił na bok. Jak zwykle postać, którą przybrał demon, była perfekcyjną kopią ludzkiego ciała: włosy poruszały się, w porach skóry połyskiwał blask słońca – nikt nie dostrzegłby w nim falsyfikatu, nawet jeśli obok stałby tysiąc prawdziwych ludzi. Jednak było w nim coś bardzo obcego – może łagodne, ciemne oczy, wpatrujące się teraz w Nathaniela. Mały czarodziej zamrugał, z trudem zachowując spokój. Czul się tak samo zdezorientowany jak podczas

poprzedniego spotkania.

Falszywy Egipcjanin przyjrzał się gołej podłodze i zwałom śmieci.

–No i kto tu jest teraz niegrzecznym, małym magikiem? – powiedział zgrzyźliwie. – Underwood w końcu cię dorwał. Teraz cię ma.

Nathaniel puścił to mimo uszu.

–Czyli to ty byłeś w oknie – zaczął. – Jak ci się udało?

–Przez komin, a jak myślisz? A uprzedzając twoje słowa, ja wiem, że mnie nie przyzwalesz, ale sprawy zaczęły toczyć się za szybko, żebym czekał. Amulet...

Nathaniel poraziła nagła myśl.

–Ty! Ty sprowadziłeś tu Lovelace'a! Chłopiec wyglądał na zaskoczonego.

–Co?

–Nie okłamuj mnie, demonie! Zdradziłeś mnie! Przyprowadziłeś go tutaj.

–Lovelace? – dzinn był szczerze zdumiony. – Gdzie on jest?

–Na dole. Właśnie przyszedł.

–Nie mam z tym nic wspólnego. Wygadałeś się?

–Ja?

–To ty...

–Ja nic nie powiedziałem. Pamiętam o tej puszcze po tytoniu... – skrzywił się. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. – Muszę przyznać, że to drobny zbieg okoliczności.

–Drobny? – Nathaniel aż podskoczył z oburzenia. – Przyprowadziłeś go tutaj, ty głupcze! A teraz szybko zabieraj amulet! Zabieraj go z gabinetu, zanim Lovelace go znajdzie!

Chłopiec zaśmiał się cierpko.

–Nie ma szans. Jeśli Lovelace jest tutaj, to zostawił na zewnątrz z tuzin kul.

One znają aurę amuletu i złapią mnie, jak tylko wyjdę z domu.

Nathaniel zebrał się w sobie. Teraz, kiedy wrócił jego sługa, nie był już taki bezbronny. Może uda mu się uniknąć katastrofy, oczywiście, jeśli demon zrobi, co on mu każe.

–Rozkazuję ci być posłusznym! – zaczął. – Idź do gabinetu.

–Och, Nat. – Egipski chłopiec ze znużeniem machnął ręką. – Teraz nie jesteś w pentagramie. Nie możesz mnie zmusić do wykonania żadnego nowego rozkazu. Ucieczka z amuletem będzie miała fatalne skutki, wierz mi. Jak silny jest Underwood?

–Co? – Nathaniel nie zrozumiał.

–Jak silny? Jaki poziom? Sądząc po wielkości brody, nie jest najmocniejszy, ale mogę się mylić. Dobry jest? Da radę pokonać Lovelace'a? O to mi chodzi.

–Och. Nie. Chyba nie... – wiedza Nathaniela o mistrzu nie była najświeższa, ale wystarczyło mu, że widział, jak on płaszczył się przed Lovalace'em. – Mówisz...

–Masz jedną jedyną szansę: jeśli Lovelace znajdzie amulet, to może będzie się starał uniknąć nagłośnienia całej sprawy. Może spróbuje porachować się z Underwoodem. Jeżeli on nie...

Nathaniela oblał zimny pot.

–Nie sądzisz, że on...

–Ojej! Z tego całego podniecenia niemal zapomniałem ci powiedzieć, po co przyszedłem! – egipski chłopiec zaczął mówić niskim, dudniącym głosem: -Wiedz, że z poświęceniem wykonałem swoje zadanie. Szpiegowałem Lovelace'a. Szukałem tajemnic amuletu. Zaryzykowałem dla ciebie wszystko, mój panie. A skutek jest taki... – tu przybrał bardziej zwyczajny, kpiący ton -że okazałeś się głupcem. Nie masz pojęcia, co zrobiłeś. Amulet jest tak potężny, że rząd strzegł go przez dziesiątki lat, póki nie skradł go Lovelace. Nasłany przez niego zabójca dla tego amuletu nie wahał się zamordować wysokiego rangą maga. Raczej mało prawdopodobne, że chcąc go odzyskać, powstrzyma się od zabicia Underwooda, prawda?

Nathanielowi zdało się, że pokój zawirował. Zrobiło mu się słabo. To było gorsze niż wszystko, co sobie wyobrażał.

–Nie możemy po prostu tutaj stać – wyjąkał. – Musimy coś zrobić...

–Słusznie. Pójdę i rozejrzę się w sytuacji. Tymczasem ty lepiej zostań tutaj, jak grzeczny, mały chłopiec, i bądź gotów szybko się ulotnić, jeśli będzie naprawdę źle.

–Nie zamierzam uciekać – powiedział bardzo, bardzo cicho. W głowie miał zamęt. Pani Underwood...

–Dam ci radę, a przemawia przeze mnie długoletnie doświadczenie. Jeśli stawką jest ocalenie skóry, dobrze jest uciekać. Lepiej się z tym pogódź, kolego...

Egipski chłopiec odwrócił się do drzwi komórki i oparł na nich dłoń. Z ostrym trzaskiem pękły wokół zamka i stanęły otworem.

–Idź na górę, do swojego pokoju, i czekaj. Jak coś się stanie, od razu ci

powiem. I przygotuj się, że trzeba będzie działać szybko.

I dzinn odszedł. Kiedy Nathaniel ruszył za nim, na półpiętrze było już pusto.

rthurze, przepraszam, że tak tu wtargnąłem – powiedział Simon Lovelace. Kiedy dogoniłem Underwooda, właśnie wchodził do swej długiej, ciemnej jadalni. Wcześniej spędził kilka chwil przed lustrem, na niższym półpiętrze, przyglądając włosy i poprawiając krawat. Nic to nie dało. Nadal wyglądał niechlujnie, tak jakby nadgryzły go mole. W każdym razie w porównaniu z młodszym czarodziejem, który stał teraz obok gzymsu kominka i oglądał sobie paznokcie, chłodny i spięty jak naciągnięta sprężyna. Underwood machnął ręką w wielkodusznym geście.

–Czuj się jak u siebie w domu. Przepraszam, że musiałeś czekać, Lovelace.

Zechcesz usiąść?

Lovelace nie usiadł. Miał na sobie dopasowany, ciemny garnitur i ciemnozielony krawat. W szklach jego okularów odbijało się światło lampy z sufitu i błyskało przy każdym ruchu głowy. Oczy pozostały niewidoczne, jednak skóra pod okularami była szara i obwisła.

–Underwood, wyglądasz, jakbyś się denerwował – zauważył.

–Nie, nie. Byłem zajęty na górze. Trochę się zadyszałem.

Wślizgnąłem się do pokoju jako pająk, ostrożnie przeszedłem przez nadproże, po czym ruszyłem w górę ściany, aż dotarłem do zacisznego

mroku najciemniejszego kącika. Tam pospiesznie utkałem kilka nici, taką zasłonę dla mnie, bo zauważyłem, że młodszy czarodziej ma impa, obecnego na drugim planie, a ten swymi małymi, żarzącymi się oczkami zaglądał we wszystkie zakamarki.

Nie potrafiłem odgadnąć, w jaki dokładnie sposób Lovelace odnalazł ten dom. Czułem do chłopca niechęć, ale nie mogłem udawać, że nie widzę nieszczęśliwego zbiegu okoliczności: mag przybył dokładnie wtedy, kiedy przyszedłem ja. Jednak teraz nie pora była się nad tym zastanawiać. Przyszłość chłopca – a w konsekwencji i moja – zależała od tego, czy szybko zareaguję na to, co się stanie.

Underwood usiadł w swoim ulubionym fotelu i skrzywił usta w wymuszonym uśmiechu.

–Zatem... – powiedział. – Jesteś pewien, że nie chcesz spocząć?

–Nie, dziękuję.

–No to przynajmniej nakaz swojemu impowi, żeby siedział spokojnie. On sprawia, że się czuję

bardzo nieswojo – starszy mag wypowiedział te słowa szybko, ostrzejszym tonem.

Simon Lovelace cmoknął. Imp, unoszący się za jego głową, nagle zeszytywniał, niesympatycznie wyszczerzył się w szerokim uśmiechu i wybałuszył oczy.

Underwood starał się jak mógł nie zwracać na niego uwagi.

–Mam dziś jeszcze kilka spraw do załatwienia – oznajmił. – Powiedz mi, proszę, co mogę dla ciebie zrobić?

Simon Lovelace z powagą schylił głowę.

–Niedawno nocą – zaczął – padłem ofiarą kradzieży. – Kiedy nie było mnie w domu, skradziono z niego pewien przedmiot, małą część mojej mocy.

Underwood mruknął pocieszająco.

–Przykro mi to słyszeć.

–Dziękuję. Ta rzecz jest mi szczególnie droga. Oczywiście, bardzo chcę ją odzyskać.

–To zrozumiałe. Podejrzewasz ruch oporu?...

–I właśnie w związku z tym odwiedzam się dzisiaj, Underwood...

Mówił powoli, ostrożnie, krążył wokół sedna sprawy. Może nawet miał nadzieję, że nie będzie musiał wysuwać bezpośredniego oskarżenia. Magowie zawsze owijają w bawełnę. Bo przecież, kiedy nadchodzi kryzys,

pochopne słowa łatwo powodują katastrofę. Jednak starszy mężczyzna niczego się nie domyślił.

–Naturalnie możesz liczyć na moje wsparcie – spokojnie powiedział Underwood. – Te kradzieże to prawdziwa plaga. Od pewnego czasu wiemy, że istnieje czarny rynek skradzionych artefaktów, a ja uważam, że z ich sprzedaży finansowany jest ruch oporu przeciwko naszym rządom. Wczoraj widzieliśmy, do jakich spustoszeń może to doprowadzić. – Brwi Underwooda uniosły się, jakby coś go rozbawiło. – Muszę przyznać – ciągnął – że jestem zaskoczony: i ty padłeś ofiarą kradzieży?! Większość ostatnich rabunków dotknęła, będą szczery, raczej pomniejszych magów. Często złodzieje to młodzi ludzie, a nawet dzieci. Myślałem, że twój system ochronny dałby sobie z nimi radę.

–Właśnie – wycedził Simon Lovelace przez zaciśnięte zęby.

–Myślisz, że to ma jakiś związek z atakiem na Parlament?

–Chwileczkę. – Lovelace uniósł dłoń. – Mam powód, by podejrzewać, że kradzież... kradzież mojego przedmiotu nie była dziełem tak zwanego ruchu oporu, ale innego maga.

Underwood skrzywił się.

–Tak sądzisz? Na jakiej podstawie?

–Ano na takiej, że wiem, co dokonało napadu na mój dom. Ta kradzież łączy się z niesławnym imieniem Bartimaeus. To dzinn, średniego poziomu w hierarchii duchów, istota wielce bezczelna i mało inteligentna*. To sprawka jakiegoś maga od siedmiu boleści, a nie kogoś z pospólstwa.

–Mimo to – łagodnie zauważył Underwood – ów Bartimaeus jednak zdołał zabrać twoją rzecz**.

–To był partacz! Pozwolił się zdemaskować! – Lovelace z trudem się opanowywał. – Nie, nie. Masz całkowitą rację, ten demon zabrał moją rzecz.

* W tym momencie ktoś o doskonałym słuchu wyłowiłby dźwięk wściekłego wystrzeliwania pajęczej nici, dochodzący z rogu pokoju. Na szczęście imp był bardzo zajęty: straszyl Underwopda bardzo, bardzo powolną zmianą wyrazu twarzy. Niczego nie usłyszał.

** Poczulem nagły przyływ życzliwości dla starego głupca. To nie trwało długo. Tylko tak sobie teraz pomyślałem, że o tym wspomnę.

–A co do tego, kto go przyzwał... Szklą okularów błysnęły.

–I właśnie, Arthurze, dlatego tutaj jestem. Musiałem się z tobą spotkać. Przez jakiś czas panowała cisza, a szare komórki Underwooda usiłowały

połączyć wszystko, co usłyszał. Z dobrym skutkiem. Różne emocje odbiły się na twarzy maga, wreszcie zwyciężył lodowaty spokój. Temperatura w pokoju wyraźnie opadła.

–Przepraszam – wydusił bardzo cicho. – Co powiedziałaś?

Simon Lovelace pochylił się do przodu, obie dłonie oparł na stole. Miał bardzo zadbane paznokcie.

–Arthurze. Bartimaeus ostatnio też nie zdołał zachować dyskrecji. Na

przykład tego ranka został uwięziony w Tower, po swoim ataku na Pinna na

Piccadilly.

Underwood osłupiał.

–Tamten dzinn? Skąd... Skąd ty o tym wiesz? Oni nie mogli nawet poznać jego imienia... I... I on uciekł, dziś późnym popołudniem...

–To prawda – Lovelace nie objaśnił jednak jak. – I po tej ucieczce moi agenci... go wykryli. Szli tropem Bartimaeusa przez cały Londyn i dotarli aż tutaj*.

Underwood potrząsnął głową oszołomiony.

–Tutaj? Kłamiesz!

–Mniej niż dziesięć minut temu wleciał do twego komina pod postacią obrzydliwego obłoku. Dziwisz się, że natychmiast tu przybyłem, żeby zażądać zwrotu tego, co do mnie należy? A teraz, kiedy jestem już w środku... -Lovelace uniósł głowę, tak jakby poczuł jakiś miły zapach.

– Tak, czuję jego aurę. Jest blisko.

–Ale...

–Nigdy bym się nie domyślił, że to ty, Arthurze. Choć wiem, że pożądasz

moich skarbów. Po prostu sądziłem, że brakuje ci zdolności, by je zabrać.

* O rety. Lovelace odgadł chyba, że mogę uciec Faquarłowi. Musiał mieć szpiegów

obserwujących Tower, którzy ruszyli naszym śladem, jak tylko wyrwaliśmy się na wolność. A ja zaprowadziłem ich prosto do amuletu, i to w ekspresowym tempie. Ale wstyd.

Starszy mężczyzna otworzył i zamknął usta niczym złota rybka. Przy okazji wydał z siebie nieartykułowany dźwięk. Imp Lovelace'a natychmiast przybrał inny wyraz twarzy i zaraz wrócił do poprzedniego. Jego mistrz delikatnie postukał w stół palcem wskazującym.

–Arthurze, mógłbym wtargnąć do twojego domu siłą. Miałbym do tego pełne prawo. Jednak wolę być uprzejmy, bo ta moja rzecz, czego, jak sądzę, jesteś świadom, jest raczej kontrowersyjna. Żaden z nas nie chciałby, by inni się dowiedzieli, że mieliśmy ją w swoich domach, prawda? Zatem, jeśli mi to zwrócisz, jestem pewien, że zdołamy dojść do... porozumienia, które zadowoli nas obu. – Wyprostował się, jedną ręką bawił się mankietem. – Czekam.

Gdyby Underwood zrozumiał choć jedno słowo z tego, co mówił Lovelace, mógłby się uratować*. Gdyby przypomniał sobie złe postęпки ucznia i skojarzył jedno z drugim, niewykluczone że wszystko potoczyłoby się dobrze. Jednak, zaskoczony i zmieszany, nie widział niczego poza fałszywym oskarżeniem. Uniósł się z krzesła, przepełniony wielkim gniewem.

–Ty nadęty bubku! – krzyknął. – Nie waż się oskarżać mnie o kradzież! Nie wzięłem tej twojej rzeczy. Nic o niej nie wiem, a jeszcze mniej jej pragnę. Dlaczego miałbym ją brać? Nie jestem takim lizusowatym padalcem jak ty. Nikomu nie nadskakuję i nie zadaję ciosów w plecy. Nie szwendam się, niuchając wszędzie za władzą i wpływami, jak wieprz na śmietniku! A nawet gdybym tak robił, nie zadałbym sobie trudu, by ciebie okraść. Każdy wie, że twoja gwiazda przygasła. Nie jesteś wart tego, by cię ugodzić. Nie, twoim agentom coś się pomyliło, a co bardziej prawdopodobne, po prostu cię okłamali. Bartimaeusa tu nie ma! Nic nie wiem o jego zbrodniach. A tej twojej błyskotki też nie ma w moim domu!

Kiedy tak wyrzucał z siebie te słowa, twarz Simona Lovelace'a zdawała się kurczyć, zapadać w jakiś głęboki cień, mimo że światło lampy wciąż odbijało się od jego okularów. Wolno

potrzęsnał głową.

*** Mógł wyjąć amulet, przystać na układ i patrzeć, jak Lovelace, zadowolony, znika wśród ciemności. Oczywiście, wiedząc to i owo o jego przestępstwach, mógł też wkrótce po tym zostać zlikwidowany, ale ta krótka chwila oddechu dałaby mu czas, by zgolił brodę, włożył kwiecistą koszulę i złapał samolot do jakiegoś ciepłego, piaszczystego miejsca – i w ten sposób ocalał.**

–Arthurze, nie bądź głupi – powiedział. – Moi informatorzy mnie nie okłamują. To są potężne istoty, one się przede mną płaszczą.

Underwood buntowniczo nastroszył brodę.

–Precz z mojego domu.

–Ledwie się powstrzymuję, by nie pokazać ci, jakimi środkami dysponuję. Porozmawiaj ze mną spokojnie, a możemy uniknąć nieprzyjemności.

–Nie mam nic do powiedzenia. Twoje oskarżenie jest fałszywe.

–A więc dobrze...

Lovelace pstryknął palcami. Jego imp natychmiast ruszył w dół i wylądował na mahoniowym blacie stołu w jadalni. Skrzywił się, naprężył, na końcu jego ogona spęczniała gąbka, która zmieniła się w ostrze o zębatym boku. Imp w skupieniu przysiadł i obrócił ogon – kolec wbił się w polerowany blat, wszedł w niego jak w masło. Imp ruszył przed siebie, w poprzek stołu. Ciągnął ogon przez drewno, tnąc je na pół. Underwood wybałuszył oczy. Lovelace się uśmiechnął.

–To rodzinna pamiątka, Arthurze? – zagadnął. – Tak myślałem.

Imp był już niemal przy drugiej krawędzi stołu, kiedy nagle ktoś zapukał do drzwi. Obaj mężczyźni odwrócili się, a imp zastygł bez ruchu. Do pokoju weszła pani Underwood, niosła tacę pełną wiktuałów.

–Zrobiłam herbatę – oznajmiła. – I przyniosłam trochę maślanych her

batników, to ulubione ciasteczka Arthura, panie Lovelace. Tylko to tutaj

postawię, dobrze?

Bez słowa magowie i imp patrzyli, jak kobieta podchodzi do stołu i bardzo ostrożnie stawia ciężką tacę między wypilowaną rysą a krawędzią blatu, przy której stał Underwood. W nieprzyjemnej ciszy zdjęła duży, porcelanowy imbryk – imp musiał się uchylić, robiąc krok do tyłu – dwie filiżanki, dwa spodeczki, dwa talerzyki, stojaczek z herbatnikami, przełożyła też kilka swoich najlepszych sztucców. Krawędź stołu wyraźnie ugięła się pod tym ciężarem. Rozległ się cichy trzask.

Pani Underwood podniosła tacę i uśmiechnęła się do gościa.

–Proszę się częstować, panie Lovelace. Powinien pan nabrać trochę ciała.

Lovelace, czując na sobie jej szczere spojrzenie, wziął ciasteczko. Błat zachybotał się. Mag uśmiechnął się lekko.

–Proszę mnie zawołać, jeśli zechce pan jeszcze herbaty. – Pani Underwood wyszła z tacą pod pachą. Czarodzieje patrzyli za nią.

Drzwi się zamknęły.

Magowie jednocześnie odwrócili się w stronę stołu.

Rozległ się głośny trzask i jedyny nienaruszony kawałek drewna pękł. Cała krawędź stołu, a razem z nią imbryk, filiżanki, spodki, talerzyki, ciasteczka i kilka najlepszych sztuców, runęła prosto na podłogę. Imp zgrabnie odskoczył. Wylądował na gzymsie obok bukietu suchych kwiatów.

Na chwilę zapadła cisza.

Simon Lovelace cisnął swój herbatnik na stos piętrzący się na podłodze.

–Arthurze, to, co zrobiłem z tym drewnianym stołem, mogę też zrobić z pewnym głupcem.

Underwood spojrzał na niego.

–To był mój najlepszy imbryk – powiedział to jakoś dziwnie, jakby przemawiał z daleka.

Trzykrotnie gwizdnął piskliwie. W odpowiedzi rozległ się głęboki, dudniący głos i z podłogi przed kominkiem wyrósł krzepki goblin, krępy, o niebieskiej twarzy. Underwood dał mu znak i znów zagwizdał. Goblin skoczył, obrócił się w powietrzu i spadł na impa, skulonego za kwiatami. Chwycił go swoimi pozbawionymi palców łapami i zaczął zgniatać, nie zwracając uwagi na sieczący we wszystkie strony zębaty kolec na ogonie. Substancja mniejszego demona wygięła się, zamazała, dała zgnieść jak plastelina. W okamgnieniu goblin uformował z niej żółtawą kulę, rzucił ją w powietrze, otworzył usta i połknął.

Underwood odwrócił się do Lovelace'a, który patrzył na to wszystko, zaciskając wargi.

Muszę przyznać, że ten stary ramol mnie zaskoczył – dał lepsze przedstawienie, niż się spodziewałem. Ale i tak wezwanie tego oswojonego dżinna bardzo go wyczerpało. Kark miał cały spocony.

Lovelace to zauważył.

–Ostatnia szansa – rzucił. – Oddaj mi moją własność albo porozmawiamy poważnie. Prowadź mnie do gabinetu.

–Nigdy! – Underwood zdenerwowany i wściekły całkiem stracił panowanie nad sobą. Już nie

szłuchał tego, co podpowiadał mu rozsądek.

–A więc patrz – Lovelace przyglądał wypomadowane włosy. Po cichu powiedział kilka słów.

W pokoju jadalnym napięcie sięgnęło zenitu. Wszystko w nim zamigotało, jedna ze ścian zaczęła znikać. Robiła się coraz bardziej przezroczysta, aż wreszcie rozplynęła się bez śladu. Pojawił się tam długi, przestronny korytarz. Kiedy Underwood nań patrzył, gdzieś daleko zauważył jakąś postać. Zaczęła się zbliżać, rosła z wielką szybkością, nie biegła, tylko sunęła, choć jej nogi pozostawały nieruchome.

Underwood sapnął, zachwiał się i cofnął.

Nic dziwnego. Znałem tego osobnika, te niezgrabne kształty, tę głowę szakala.

–Stój! – Underwood pobladł. Oparł się o fotel.

–Co takiego? – Simon Lovelace przytknął palec do ucha. – Nie słyszałem*.

–Stój! W porządku, wygrałeś! Zabiorę cię do mojego gabinetu, już teraz! Odwołaj to!

Postać jeszcze bardziej urosła. Underwood skulił się. Goblin posmutniał i spieszenie wtopił się w ścianę. Zaszyłem się w swoim kąciку, głowiąc, co zrobię, kiedy Jabor wkroczy do pokoju**.

Lovelace natychmiast dał znak i nieskończenie długi korytarz oraz zbliżająca się postać znikły. Ściana wróciła na swoje miejsce, pośrodku wisiała pożółkła fotografia uśmiechniętej babci Underwooda.

Sam Underwood klęczał obok szczątków swojego serwisu do herbaty. Trząsł się tak bardzo, że ledwie zdołał wstać.

–Którędy do gabinetu, Arthurze? – zapytał Simon Lovelace.

* To było niepotrzebne. Ech, magowie lubują się w odgrywaniu podobnych scen. ** Zatem Faquarl miał rację. Mała armia horli i utukku nie była w stanie powstrzymać Jabora. Złe to wróżyło.

athaniel samotnie stał na półpiętrze, trzymając się poręczy, tak jakby bał się, że zaraz spadnie. Z jadalni nadal dochodziły głosy – dźwięk wzmagął się i słabł, ale on ledwo to zauważał. Panika w głowie zagłuszała wszystkie inne dźwięki. Tylko kiepski mag jest niekompetentny. Czym jest niekompetencja? Utratą kontroli. A właśnie przez ostatnich kilka dni powoli, stopniowo wszystko wymykało się Nathanielowi spod kontroli. Najpierw Bartimaeus poznał jego prawdziwe imię, ale on znalazł na to radę, używając puszek po tytoniu. Chwila wytchnienia nie trwała jednak długo. Na głowę chłopca zaczęło spadać nieszczęście za nieszczęściem. Rząd schwytał Bartimaeusa, Underwood odkrył, czym zajmuje się jego uczeń, i

kariera chłopca legła w gruzach, zanim się jeszcze zaczęła. Teraz demon odmówił posłuszeństwa, a pod drzwiami stanął Lovelace. Nathaniel mógł tylko stać i patrzeć na to wszystko, bezradny, niezdolny do działania. Uniosła go lawina wydarzeń, którą sam wywołał.

Nagle jakiś cichy dźwięk przedostał się przez barierę żalu nad samym sobą. Chłopiec aż się wzdrygnął. To pani Underwood podśpiewywała sobie cicho, idąc korytarzem z kuchni do jadalni. Niosła herbatę: Nathaniel słyszał brzęk porcelany na tacy. Potem było pukanie do drzwi i jeszcze trochę brzęku, kiedy kobieta wchodziła do pokoju. A później cisza.

Chłopiec całkiem zapomniał o swoich kłopotach. Pani Underwood znalazła się w niebezpieczeństwie. W domu przebywał wróg. Za kilka chwil na pewno zmusi albo namówi starego maga, by otworzył gabinet i pozwolił go przeszukać. Znajdzie amulet. A potem... Co Lovelace może zrobić panu Underwoodowi i jego żonie?

Bartimaeus kazał mu czekać na górze i być przygotowanym na najgorsze. Jednak Nathaniel miał już dość takiej bezradności. Wciąż jeszcze mógł coś zrobić. Znalazł się w rozpaczliwej sytuacji, ale jeszcze mógł działać. Magowie rozmawiali w jadalni, a w gabinecie Underwooda nikogo nie było. Jeśli uda mu się tam wśliznąć i zabrać amulet, spróbuje go gdzieś schować, nie zważając na to, co mówił Bartimaeus.

Spokojnie, po cichu, ruszył w dół schodów, do kolejnego półpiętra, tam gdzie był gabinet i pracownia mistrza. Przytłumione głosy z dołu teraz się wzmożyły: czyżby słyszał krzyk Underwooda? Czasu było coraz mniej. Nathaniel pobiegł przez pokoje do drzwi prowadzących ku schodom do gabinetu. Tam się zatrzymał. Ostatnio siedł tamtędy, kiedy miał sześć lat. Dopadły go odległe wspomnienia, sprawiły, że zadrżał, ale odrzucił je od siebie. Ruszył prosto w dół schodów...

I zamarł bez ruchu.

Przed nim były drzwi do gabinetu Underwooda, drzwi z czerwoną, pięcioramienną gwiazdą. Nathaniel jęknął głośno. Teraz już na tyle dobrze znał magię, by wiedzieć, że to znak ognia. Spłonąłby, jeśli tylko by go dotknął. Nie zdoła tamtędy przejść bez ochrony – a żeby ją uzyskać, potrzebował kręgu, przywołań, musiał się starannie przygotować...

A na to brakło czasu. Był bezradny. Bezużyteczny! Uderzył pięścią w mur. Gdzieś w odległej części domu rozległ się dźwięk: okrzyk przerażenia?

Chłopiec pognął z powrotem schodami na półpiętro. Kiedy tak pędził, usłyszał, jak otwierają się drzwi jadalni i w korytarzu rozbrzmiewają kroki.

Nadchodzili.

A potem dobiegł go głos pani Underwood, też z dołu, pełen niepokoju. Dźgnął Nathaniela ostrzem strachu.

–Arthurze, wszystko w porządku?

Odpowiedział jej ponury, zmęczony, jakby obcy głos.

–Właśnie pokazuję panu Lovelace'owi coś w moim gabinecie. Dziękuję, nic

nam nie trzeba.

Teraz wchodzili po schodach. Udręczony Nathaniel wciąż nie mógł zdecydować się, co robić. Ktoś wyszedł zza rogu, chłopiec wśliznął się więc za najbliższe drzwi i prawie całkiem je zamknął. Oddychając ciężko, przycisnął oko do niewielkiej szczeliny, którą zostawił, by widzieć półpiętro.

Przeszła tamtędy malutka procesja. Prowadził pan Underwood. Włosy i ubranie miał potargane, oczy szalone, garbił się, jakby dźwigał wielki ciężar. Za nim podążał Simon Lovelace, oczy ukrył za okularami, a wąskie usta zacisnął ponuro. Na końcu, w cieniu muru, drobnymi kroczkami pomykał pajak.

Orszak zniknął z pola widzenia, kierując się ku gabinetowi. Nathaniel odsunął się od drzwi. Kręciło mu się w głowie, robiło niedobrze ze strachu i poczucia winy. Twarz Underwooda... Choć z całych sił nie znosił swego mistrza, czuł się wstrząśnięty, widząc go w takim stanie. Tak, on był słaby. Tak, on był mały. Zgadza się, zawsze traktował Nathaniela z pogardą. Ale ten człowiek był też ministrem, jednym z trzystu w rządzie. I to nie on zabrał amulet. Zabrał go jego uczeń.

Ugryzł się w wargę. A Lovelace był kryminalistą. Nie wiadomo co mógł zrobić. Niech to Underwood poniesie odpowiedzialność. Zasłużył sobie na to. Nigdy nie stanął w obronie Nathaniela, wyrzucił pannę Lutyens... Niech też pocierpli. Chłopiec schował amulet w gabinecie właśnie dlatego, by uchronić się przed Lovelace'em. Nie powinien się wtrącać, tak jak radził dziennikarz. I być gotowy do ucieczki, jeśli zajdzie taka potrzeba...

Nathaniel schował twarz w dłoniach.

Nie mógł uciec. Nie mógł się schować. Owa rada padła przecież z ust demona, zdradzieckiego i przebiegłego. Honorowy mag nie chowa się, nie ucieka. Jeśli pozwoli, by jego mistrz samotnie stawiał czoło Lovelace'owi, to jak później będzie z tym żyć? Jeżeli stary czarodziej ucierpi, ucierpi też pani Underwood, a tego Nathaniel już by nie zniósł. Nic nie mógł wymyślić. Teraz, kiedy nadszedł kryzys, ku swemu zaskoczeniu i zgrozie odkrył, że musi działać. Musi coś uczynić, niezależnie od konsekwencji.

Już samo myślenie o tym sprawiało mu fizyczną przykrość. Jednak wreszcie się ruszył, ociężale stawiając krok za krokiem. Najpierw na zewnątrz, za drzwi, przez półpiętro, potem po schodach do gabinetu... I na dół, stopień po stopniu...

A z każdym takim krokiem zdrowy rozsądek wrzeszczał, by zawrócić i uciec, lecz chłopiec jakoś to wytrzymał. Uciekając, zawiódłby panią Underwood. Pójdzie tam i powie prawdę, niech się dzieje, co chce.

Drzwi były uchylone, płomienny znak unieszkodliwiony. Z gabinetu sączyło się żółte światło.

Chłopiec stanął w progu. Czuł się tak, jakby jego mózg przestał pracować. Nie za bardzo rozumiał, co właśnie robi.

Popchnął drzwi i wszedł do środka, akurat w kulminacyjnym momencie.

Lovelace i Underwood stali obok ściennej szafki, odwróteni do niego plecami. Drzwi szafki były szeroko otwarte. Lovelace wychylił głowę do przodu, niecierpliwie, jak polujący kot. Wyciągnął dłoń, odsunął coś na bok i wydał triumfalny okrzyk. Powoli odwrócił się i uniósł rękę przed trupioblądą twarzą Underwooda.

Nathaniel aż się przygarbił.

Jakże mały wydawał się Amulet z Samarkandy, jakże niewiele znaczący teraz, kiedy tak zwisał z palców Lovelace'a na swym cienkim, złotym łańcuszku. Chybał się delikatnie, połyskując w świetle lampy.

Lovelace uśmiechnął się.

–No, no, co my tu mamy?

Oślupiały Underwood kręcił głową z niedowierzaniem. Przez tych kilka chwil jego twarz się postarzała.

–Nie – wyszeptał. – To sztuczka... Wrabiasz mnie...

Lovelace nawet na niego nie spojrział. Oglądał swoją zdobycz.

–Nie mam pojęcia, co chciałeś z tym zrobić – powiedział. – Samodzielne przyzywanie Bartimaeusa zużyłoby całe twoje siły.

–Już mówiłem – cicho odparł Underwood. – Nic nie wiem o tym Bartimaeusie i nic nie wiem o twoim przedmiocie ani o tym, jak się tu znalazł.

Nathaniel usłyszał trzeci głos, piskliwy i drżący. Swój własny.

–On mówi prawdę – oznajmił. – Ten, którego szukasz, to ja.

Cisza, która potem nastąpiła, trwała niemal pięć sekund. Obaj magowie natychmiast się obrócili i spojrzeli na niego, otwierając usta ze zdumienia. Brwi Underwooda uniosły się wysoko, potem opadły nisko, potem jeszcze raz się uniosły pod wpływem szoku. Lovelace skrzywił się pełen niedowierzania.

Nathaniel skorzystał ze sposobności i podszedł do nich bliżej.

–Ja to zrobiłem – powiedział teraz, kiedy to już się stało, pewniejszym głosem. – On nic o tym nie wiedział. Możesz puścić go wolno.

Underwood zamrugał i potrząsnął głową. Wyglądał tak, jakby nie wierzył własnym oczom i uszom. Lovelace zachował całkowity spokój, jego zakryte szklami oczy wpatrywały się w chłopca. Amulet z Samarkandy delikatnie chybotął się między zastygniętymi w bezruchu palcami.

Nathaniel chrząknął, w gardle mu zaschło. Starał się nie myśleć, co się teraz stanie. Gdzieś w pokoju czaił się jego sługa, nie był więc całkiem bezbronny. W razie potrzeby Bartimaeus na pewno mu pomoże.

Wreszcie mistrz się odezwał:

–Co ty bełkoczesz, głupcze? Nie masz pojęcia, o czym rozmawiamy. Idź stąd natychmiast! – Raptem coś przyszło mu do głowy.

–Czekaj. Jak udało ci się wyjść z komórki?

Skrzywiony dotychczas Lovelace nagle nerwowo się uśmiechnął.

–Chwileczkę, Arthurze. Może zbyt się spieszysz.

Underwood znów wybuchnął:

–Nie opowiadaj bredni! Ten smarkacz nie mógłby popełnić tego przestępstwa! Musiałby przejść przez mój ognisty znak, nie mówiąc już o twoich własnych osłonach.

–I przywołać dzinna czternastego poziomu – wymamrotał Lovelace. – To też.

–Właśnie. To są brednie... – Underwood zachłysnął się. Nagle go olśniło. – Czekaj... Może... Czy to możliwe? Lovelace, dziś przyłapałem tego łobuza z przyborami do wzywania demonów. Stał nad Pentagramem Adelbranda, wyrysowanym kredą na podłodze. Miał uczone księgi, choćby *Usta Ptolemeusza*. Uznałem, że nic mu nie wyszło, że przesadził z ambicjami... Ale jeśli się myliłem?

Simon Lovelace milczał. Nie spuszczał wzroku z Nathaniela.

–Ledwo godzinę temu – ciągnął Underwood – złapałem go na tym, jak szpiegował mnie w gabinecie. Miał magiczne zwierciadło, a ja nigdy mu go nie dałem. Jeśli był do tego zdolny, kto wie, jakie jeszcze inne zbrodnie chciał popełnić?

–Nawet jeśli – łagodnie przemówił Lovelace – to dlaczego miałby mi to kraść?

Nathaniel wywnioskował z zachowania mistrza, że mag nie zna wartości amuletu, ta niewiedza mogła go ocalić. Czy Lovelace uwierzy, że on też nie

poznał się na artefakcie? Zaczął mówić szybko, chciał sprawiać wrażenie małego dziecka.

–To była tylko sztuczka, panie. Żart. Chciałem się na tobie zemścić, za tamto. Poprosiłem demona, by zabrał coś twojego, cokolwiek. Chciałem to zatrzymać, póki nie będę starszy, myślałem, że wtedy się dowiem, co to jest i jak tego używać. Mam nadzieję, że to nie było cenne, panie. Bardzo mi przykro, jeśli sprawiłem panu kłopot...

Urwał, boleśnie świadom, jak grubymi nićmi szyta jest ta historyjka. A Lovelace tylko na niego patrzył. Z wyrazu jego twarzy niczego nie dawało się wyczytać.

Ale Underwood mu uwierzył. I dał upust wściekłości.

–Tego już za wiele, Mandrake! – krzyknął. – Postawię cię przed sądem! Nawet jeśli uciekniesz z więzienia, to i tak wylecisz z terminu, trafisz na ulicę! Wypędzę cię! Nikt nie da ci pracy! Staniesz się nędzarzem wśród pospólstwa!

–Tak, panie. – Wszystko, byle Lovelace już wyszedł.

–Lovelace, mogę cię tylko przeprosić – Underwood zebrał się w sobie i wypiął pierś. – Napytał biedy nam obu, mnie zdradził, a tobie skradł wielki skarb, ten amulet...

Spojrzał na mały, złoty owal w dłoni maga i w jednej, fatalnej chwili uświadomił sobie, co to naprawdę jest. Ze świstem wciągnął powietrze. Niby cicho, jednak Nathaniel to usłyszał. Lovelace się nie poruszył.

Z policzków starca odpłynęła krew. Spojrzał szybko na Lovelace'a, by sprawdzić, czy ten coś zauważył. Nathaniel też utkwiał w nim wzrok. Choć w głowie łomotała mu krew, słyszał, jak Underwood mówi dalej:

–i... i obaj ujrzymy go stosownie ukaranego, tak, zobaczymy. Pożałuje dnia, w którym po raz pierwszy pomyślał o...

Lovelace uniósł rękę. Underwood od razu zamilkł.

–No, Johnie Mandrake – powiedział młody mag spokojnie. – Jestem niemal pod wrażeniem. Tak, napytałeś mi biedy. Ostatnich parę dni było dla mnie

**trudne. Jednak spójrz, znów mam ten cenny przedmiot i teraz wszystko będzie
dobrze. Proszę, nie tłumacz się. Przyzwanie w twoim wieku takiego dzinna jak
Bartimaeus to bez wątpienia spore osiągnięcie. Kontrolowanie go przez kilka
dni jest jeszcze bardziej zaskakujące. Co więcej, zdenerwowałeś mnie, co
zdarza się rzadko, i trzymałeś Underwooda w nieświadomości, co jest już
mniej niezwykle. To wszystko było bardzo sprytne. Dopiero na sam**

koniec ci się nie powiodło. Co cię opętało, że się przyznałeś do tego czynu? Mógłbym po cichu porachować się z Underwoodem i zostawić cię w spokoju. Starszy czarodziej bardzo chciał się odezwać, jednak Lovelace mu nie pozwolił.

–Cicho, człowieku. Chcę usłyszeć, jakie ten chłopiec miał powody.

–Przyznałem się, bo to nie była jego wina – odparł Nathaniel obojętnym głosem. – Nic nie wiedział. Sprawę miałeś ze mną, to bez znaczenia, czy o tym wiedziałeś, czy też nie. On nie powinien być w to zamieszany. Właśnie dlatego przyszedłem. – I nagle poczuł, że jego wysiłki były daremne.

Lovelace zachichotał.

–Dziecięca duma, co? Tyle to się domyśliłem. Honorowe zagrywki. Bohaterskie, ale głupie. Kto podsunął ci ten pomysł? Założę się, że nie Underwood.

–Okradłem cię, bo mnie skrzywdziłeś – mówił dalej Nathaniel. – Chciałem wyrównać rachunki. Tylko tyle. Ukarz mnie, jeśli chcesz. Wszystko mi jedno.

W tej zupełnej rezygnacji kryła się jednak rosnąca nadzieja. Może Lovelace nie zorientuje się, co oni naprawdę wiedzą o amulecie, może wymierzy jakąś symboliczną karę i pójdzie sobie.

Underwood najwyraźniej liczył na to samo. Gorączkowo chwycił Lovelace'a za ramię.

–Słyszysz, Simonie, jestem niewinny. To ten podły, podstępny chłopak.

Musisz wymierzyć mu karę, na jaką według ciebie zasługuje, odpowiednią do tej zbrodni. Zostawiam to tylko tobie.

Lovelace łagodnie uwolnił się z jego uścisku.

–Dziękuję, Underwood. Wkrótce to zrobię.

–Świetnie.

–Po tym, jak pozbędę się ciebie.

–Co?... – Underwood zamarł w bezruchu, potem z szybkością niespodziewaną u człowieka w jego wieku pobiegł ku otwartym drzwiom. Kiedy mijał Nathaniela, powiew wiatru, nie wiadomo skąd, je zatrzasnął. Starzec szarpał za klamkę, naciskał ją z całej siły, na próżno. Odwrócił się, strach wykrzywił mu twarz. Teraz i on, i Nathaniel patrzyli na Simona Lovelace'a, który stał po drugiej stronie pokoju. Chłopcu drżały nogi.

Gorączkowo rozglądał się wokół, wypatrywał Bartimaeusa, jednak nigdzie go nie widział.

Lovelace bardzo ostrożnie chwycił łańcuszek Amuletu z Samarkandy i zawiesił go sobie na szyi.

–John, nie jestem głupi – powiedział. – Możliwe, że nie wiesz, co to za przedmiot, ale przecież nie mogę ryzykować. A biedny Arthur na pewno wie.

Wtedy Underwood wyciągnął rękę i chwycił Nathaniela za kark. Głos łamał mu się z przerażenia.

–Tak, ale ja nic nie powiem! Lovelace, możesz mi zaufać! Dla mnie to możesz trzymać ten amulet przez całą wieczność! Lecz ten chłopak to głupi mąciciel. Trzeba go uciszyć, zanim coś wypapla. Zabij go teraz, a będzie po sprawie!

Wbił paznokcie w skórę chłopca i pchnął go do przodu. Nathaniel krzyknął z bólu.

Na twarzy Lovelace'a pojawił się wzgardliwy uśmiech.

–Cóż za pokaz lojalności mistrza względem ucznia! Bardzo wzruszające.

Widzisz, John, Underwood i ja dajemy ci właśnie ostateczną lekcję bycia magiem i może dzięki naszej pomocy zrozumiesz, dlaczego zrobiłeś błąd, przyznając się do winy. Wierzyłeś w opowieści o honorowych magach, którzy biorą na siebie odpowiedzialność za swe czyny. Czysta propaganda. Takie cnoty, jak honor, szlachetność, sprawiedliwość nie istnieją. Każdy mag działa tylko we własnym interesie i zawsze wykorzystuje sytuację. Kiedy jest słaby, unika niebezpieczeństwa – dlatego ci z drugiej ligi mozolnie pracują dla systemu, Arthur coś o tym wie, prawda, Underwood? – ale kiedy jest silny, uderza. Jak myślisz, jak Rupert Devereaux doszedł do władzy? Jego mistrz zabił poprzedniego premiera w zamachu, dwadzieścia lat temu, a on

odziedziczył tytuł. Taka jest prawda. To tak się właśnie dzieje. Kiedy w przyszłym tygodniu użyję amuletu, postąpię zgodnie z chwalebną tradycją sięgającą czasów Gladstonea. – Szkła jego okularów błyszcząły, rękę miał uniesioną, jakby chciał coś przekazać gestem. – Może to cię pocieszy, ale zanim przyszedłeś, już postanowiłem zabić ciebie i wszystkich w tym domu.

Nie mogę ryzykować. Zatem twoja głupia decyzja, by przyjść tutaj, tak naprawdę niczego nie zmieniła.

Nathanielowi stanęła przed oczyma pani Underwood, pewnie była teraz na dole, w kuchni. Oczy zaszyły mu łzami.

–Proszę...

–Jesteś słaby, chłopcze. Tak jak twój mistrz – Lovelace klasnął.

W gabinecie nagle pociemniało. Podłogę przebiegło drżenie. Nathaniel poczuł, że z odległego końca pokoju coś się zbliża, jednak strach sprawił, że zastygł bez ruchu. Nie odważył się spojrzeć w tamtą stronę. Obok Underwood wypowiadał słowa ochronnego zaklęcia. Oplotła go błyszcząca, zielona sieć zabezpieczających nici. Nathaniel znalazł się poza nią, całkiem bezbronny.

–Mistrzu!...

W tej chwili zabrzmiało echo straszliwego głosu, jak w zapadającym się szybie w kopalni łupku.

–Twoje życzenie?

Lovelace krzyknął:

–Zniszcz ich obu! I wszystko, co żyje w tym domu! Spal go do fundamentów, z całą zawartością!

Underwood wrzasnął.

–Bierz chłopca! Zostaw mnie!

Popchnął Nathaniela z szaleńczą siłą. Chłopiec poleciał do przodu, potknął się i upadł. Nic nie widział, oczy zalały mu łzy. Spróbował się podnieść, świadom tylko swej całkowitej bezradności. Gdzieś blisko rozległ się trzask. Chłopiec otworzył usta – w niemym krzyku – na gardle zacisnęły mu się szpony.

ftartimams

aufałem biurku Underwooda. Był to staroświecki, solidny mebel, a Jabor, na szczęście, zmaterializował się na jego drugim końcu. Przebijanie się przez nie zabrało mu trzy sekundy, przyszedł więc czas na mój ruch. Biegłem po suficie, w szczelinie, tam gdzie nie sięgało światło. Opuściłem się prosto w dół, jednocześnie zmieniając się w gargulca. Wylądowałem dokładnie na moim panu, bez żadnych ceregieli złapałem go za szyję i widząc, że Jabor zatarasował okno, skoczyłem do drzwi. Prawie nikt mnie zauważył.

Magowie byli wystarczająco zajęci sobą nawzajem. Underwood, spowity ochronną siecią, posłał w Lovelace'a kulę błękitnego, trzaskającego ognia. Pocisk trafił go w pierś i znikł. Jego energię wchłonął Amulet z Samarkandy.

Przebiełem się przez drzwi, z chłopcem pod pachą, i ruszyłem w górę schodów. Jeszcze nie dotarłem do ich szczytu, kiedy potworna eksplozja rozdarła korytarz za naszymi plecami i rzuciła nas ku przeciwległej ścianie. Wstrząs na chwilę mnie zamroczył. Kiedy leżałem oszołomiony, usłyszałem serię

ogłuszających trzasków. To Jabor szarżował: odgłos był taki, jakby rozpadła się pod nim podłoga w gabinecie*.

Przywrócenie mojej esencji do porządku nie zabrało mi zbyt wiele czasu. Jakoś się podniosłem, jednak, możecie mi wierzyć lub nie, w ciągu tych kilku chwil ten głupi chłopak gdzieś przepadł. Dostrzegłem go na pół-piętrze -zmierzał ku schodom, by zejść nimi na dół.

Potrząsnąłem głową z niedowierzaniem. Czyja mu nie mówiłem, żeby trzymał się z dala od kłopotów? A on właśnie pakował się prosto w łapy Lovelace'a i ryzykował życie nas obu. Teraz najprawdopodobniej zbliżał się do Jabora. Rozumiem, chciał uciekać, by się ratować, mógł jednak biec w dobrym kierunku. Zamachałem skrzydłami i ponuro ruszyłem za nim w pościg.

Druga złota zasada ucieczek brzmi: „Nie wydawaj niepotrzebnych dźwięków”. Kiedy chłopiec dotarł na parter, usłyszałem, jak łamie ją bez chwili wahania i wrzeszczy:

–Pani Underwood! Pani Underwood! Gdzie pani jest?

Jego krzyki były nawet głośniejsze od trzasków, które rozbrzmiewały w całym domu.

Z politowaniem wywróciłem oczyma i zszedłem z ostatniego piętra. Zobaczyłem, że hall zaczyna już wypełniać się kłębamii dymu. Wzdłuż korytarza połyskiwały roztańczone płomienie.

Chłopiec był przede mną – widziałem, jak potykając się, brnie w ogień.

–Pani Underwood!

Daleko, wśród dymu, coś się poruszyło. W kącie, za barierą płomieni kulił się jakiś kształt. Chłopiec też go zauważył. Zataczając się, ruszył w tamtą stronę. Przyspieszyłem, wyciągnąłem szpony.

–Pani Underwood! Czy pani?...

Kształt urósł, rozprostował się. Miał głowę potwora. Chłopiec otworzył usta... I wtedy złapałem go i objąłem w pasie. Wyrwał mu się tylko zdławiony krzyk.

–To ja, głupku. – Zaciągnąłem go do tyłu, ku schodom. – To coś idzie

cię zabić. Chcesz umrzeć razem ze swoim mistrzem?

* Typowe dla Jabora. On należy do tych, co to beztriosko podciąliby gałąź, na której siedzą, albo malowanie podłogi zakończyliby, stojąc w rogu pokoju. Oczywiście, gdyby umiał majsterkować.

Chłopiec pobladł. Moje słowa zaszokowały go. Sądzę, że aż do tamtej chwili nie rozumiał tak naprawdę, co się dzieje, nawet jeśli wszystko widział na własne oczy. Jednak cieszyłem się, że dzięki mnie wreszcie przejrzał. Nadszedł czas, by poznał konsekwencje swoich czynów.

Jabor wyłonił się ze ściany ognia. Jego skóra połyskiwała jak naoliwiona. Tańczące płomienie odbijały się od niej blaskiem, kiedy kroczył przez hall.

Znow ruszyliśmy schodami. Uginałem się pod ciężarem chłopca. Jego kończyny całkiem zwiotczały, chyba nie dałby rady sam iść.

–Do góry – warknąłem. – Ten dom łączy się z innymi. Spróbujemy iść

dachem.

Usiłował coś wymamrotać.

–Mój mistrz...

–Nie żyje. Pewnie został połknięty w całości. – W takich sytuacjach należało wyrażać się ściśle.

–Ale pani Underwood...

–Na pewno zginęła razem z mężem. Teraz jej nie pomożesz.

A wtedy, możecie mi wierzyć lub nie, ten głupiec zaczął się szamotać i walić we mnie swoimi żalnymi piąstkami.

–Nie! – krzyczał. – To moja wina! Muszę ją znaleźć!...

Wił się jak piskorz, wyślizgując z moich objęć. Za chwilę mógł rzucić się przez poręcz, prosto w chętnie łapska Jabora. Zakląłem szpetnie*, złapałem go za ucho i szarpnąłem.

–Przestań się miotać! – burknąłem. – Już chyba dość niepotrzebnych ruchów jak na jeden dzień?

–Pani Underwood...

–Nie chciałaby, żebyś ty też zginął – zaryzykowałem**. – Tak, to twoja

wina, ale, ee, nie potępiaj się. Życie jest po to, żeby się nim cieszyć... i eee... –

och, coś w tym stylu. Brakło mi już sił***.

*** Spokojnie, to było w starobabilońskim. Chłopiec niczego nie zrozumiał. ** Raczej niezbyt wiele. Wydawało mi się to wręcz oczywistym, rozsądnym pragnieniem.**

***** Psychologia nie jest moją mocną stroną. Nie wiedziałem, co popycha do działania większość ludzi, a jeszcze mniej o to dbałem. Z magami jest zwykle bardzo prosto. Dzielą się na trzy wyraźne kategorie: motywowanych ambicją, chciwością albo paranoją. Na przykład**

Niezależnie od tego, czy był to efekt moich słów, czy też mojej mądrości, chłopiec przestał się wyrywać. Oplotłem mu szyję ramieniem i pociągnąłem w górę, mijając kolejne zakręty korytarza, na w górę lecąc, na w górę idąc, byle najprędzej. Dotarliśmy na drugie półpiętro i wzbiliśmy się jeszcze wyżej, ku schodom na poddasze. Dokładnie pod nami schody trzaskały i pękały pod stopami Jabora.

Gdy byliśmy już na samej górze, mój pan zdołał na tyle się uspokoić, że mógł już iść samodzielnie, choć jeszcze się zataczał.

I tak oto, niczym żalosna para w wyścigu trójnogów, która wlecze się na końcu, przy pełnych współczucia oklaskach, wciąż żywi przybyliśmy na poddasze. Przyznaję, to było niezłe osiągnięcie.

–Okno! – zawołałem. – Musimy wyjść na dach!

Popchnąłem Nathaniela w stronę świetlika i otworzyłem go pięścią. Do pokoju wpadło chłodne powietrze. Przeleciałem przez otwór, przysiadłem na dachu i wyciągnąłem rękę w dół.

–Chodź – powiedziałem. – Wyłaź.

Jednak ku mojemu zdumieniu chłopak zawahał się. Ruszył w kąt pokoju, schylił i coś podniósł. To było magiczne zwierciadło. Naprawdę! Szakalogłowa śmierć deptała nam po piętach, a on guzdrał się, żeby zabrać... co? Wolno wspiął się do świetlika, jego twarz była jak martwa.

Jabor miał tylko jedną zaletę. Był powolny. Potrzebował czasu, by sprostać wyzwaniu, jakim były dlań schody – gdyby gońił nas Faquarl, pewnie już by nas wyprzedził, zatarasował świetlik i może nawet zawiesił na nim piękną, nową roletę. A jednak ledwie zdołałem utrzymać mojego pana, który pogrążył się w letargu, w bezpiecznej odległości od Jabora, gdy ten wreszcie pojawił się na szczycie schodów. Z ciała demona leciały iskry, podpalały wszystko wokół. Dostrzegł chłopca, uniósł rękę i ruszył przed siebie.

I wyrznął głową w niską framugę drzwi.

To dało mi chwilę, której potrzebowałem. Śmignąłem w dół i nogami przytrzymałem się świetlika, jak gibbon. Chwyciłem chłopca pod pachę

Underwood, jak zaobserwowałem, był typem paranoika. Lovelace? Łatwe – zionął ambicją jak smrodem. Chłopiec też należał do tych ambitnych, jednak był jeszcze młody, nieukształtowany. Stąd ten nagły, śmieszny wybuch altruizmu.

i wciągnąłem się z powrotem na górę. Kiedy opadliśmy na dachówki, z okienka wystrzelił jęzor ognia. Cały budynek się zatrzęsł.

Chłopiec, gdybym tylko mu na to pozwolił, przeleżałby tam chyba całą noc, patrząc w gwiazdy. Może jeszcze nigdy wcześniej nikt nie próbował go zabić. A moje reakcje brały się z długiej praktyki. Poderwałem się błyskawicznie i ciągnąc go za sobą, zjechałem pochyłym dachem, mocno chwytając się pazurami.

Dotarłem do najbliższego kominia, szybko ukryłem za nim chłopca i zerknąłem do tyłu. Żar robił swoje: dachówki odskakiwały, w szczelinach między nimi tańczyły płomienie. Gdziekolwiek masa drewna trzeszczała i przemieszczała się.

Przy świetliku coś się zakotłowało. Spomiędzy płomieni, łopocząc skrzydłami, wyleciał ogromny, czarny ptak. Usiadł na czubku dachu i zmienił postać. Jabor spojrzał przed siebie, a potem się obejrzał. Wślizgnąłem się za komin, rozejrzałem się szybko.

Nigdzie nie spostrzegłem żadnego innego sługi Lovelace'a. Żadnego dżinna, żadnych kul tropiących. Może, odzyskawszy amulet, czarodziej uznał, że nie będzie już miał z nich pożytku. Zdał się tylko na Jabora.

Dachy sąsiednich domów łączyły się ze sobą – była to dla nas droga ucieczki. Z lewej, dachy tworzyły ciemną półkę nad oświetloną lampami przepaścią ulicy. Z prawej rozciągały się ciemne ogrody, gęstwina wysokich drzew i krzaków.

Kawałek od nas, blisko domu rosło duże drzewo. A może by tak...

Ale chłopiec wciąż był otępiały. Nie mogłem liczyć na to, że będzie szybko uciekał. Jabor przygwoździłby nas Detonacją, nim przebieglibyśmy pięć metrów. Zaryzykowałem i wychyliłem się zza węgła. Jabor już się zbliżał, lekko pochylony. Zwęszył nasz trop. Wkrótce mógł odgadnąć, gdzie się ukrywamy, i sprawić, że komin wyparuje. Teraz z pewnością nadszedł już czas, by obmyślić jakiś błyskotliwy plan.

Albo improwizować.

Zostawiłem chłopca za kominem, sam zaś wbiłem się w powietrze pod postacią gargulca. Jabor mnie zobaczył. Kiedy plunął ogniem, na chwilę złączyłem skrzydła i przez chwilę spadałem. Detonacja przemknęła nad moją głową, zatoczyła łuk nad dachem i niegroźnie* eksplodowała

* Niegroźnie dla mnie. I tylko to się liczy.

gdzieś na ulicy. Załopotałem skrzydłami i poszybowałem bliżej Jabora. Cały czas obserwowałem niewielkie pasma ognia, pękały od niego dachówki i nadwątlała się ukryta pod nimi drewniana konstrukcja. Uniosłem szpony w geście posłuszeństwa.

–Nie możemy o tym pogadać? Twój mistrz może chcieć chłopca żywego.

Jabor nigdy nie był rozmowny. Jego kolejna, prawie celna Detonacja, już na początku omal nie zakończyła dyskusji. Zatoczyłem wokół niego koło, tak szybko jak tylko mogłem, bardzo się starając, by nie ruszył się z miejsca. Za każdym razem, gdy strzelał, siła Detonacji osłabiała tę część dachu, na której stał. I za każdym razem trząsał się coraz bardziej. Traciłem już siły – moje uniki stawały się coraz mniej zwinne. W końcu jedna z Detonacji otarła się o moje skrzydło. Upadłem.

Jabor ruszył przed siebie.

Uniosłem dłoń, wystrzeliłem do niego. Strzał był słaby, o wiele za słaby, żeby coś mu zrobić. Ale trafił pod jego stopy. Dżinn nawet nie drgnął. Roześmiał się triumfalnie...

... i nagle umilkł, bo zawalił się pod nim cały kawał dachu. Główny wspornik, który ciągnął się wzdłuż budowli, pękł właśnie na dwoje.

Odpadły belki stropowe. Drewno, gips i dachówka po dachówce spadały teraz do szalejącego w domu piekła, a Jabor z nimi. Spadał długo – przez cztery płonące piętra aż do piwnicy. I tam zwała się na niego wielka część budynku.

Obok zatrzeszczały płomienie. Kiedy chwyciłem się krawędzi komina i rozhuśtawszy się, przeskoczyłem na drugą stronę, te trzaski brzmiały dla mnie jak brawa.

Chłopiec, wciąż skulony przy kominie, tępo spoglądał w mrok.

–Zyskaliśmy kilka minut – oznajmiłem. – Ale nie ma czasu do stracenia.

Rusz się.

Nie wiem, czy sprawił to przyjazny ton mojego głosu, czy też coś innego, w każdym razie chłopiec dosyć szybko wstał. Ale potem włókł się po dachu z szybkością i wdziękiem chodzącego trupa. Jeśli cały czas szedłby w takim tempie, to do drzewa dotarłby za tydzień. I dogoniłby go nawet starzec z parą szklanych oczu. Co dopiero wściekły dżinn. Obejrzałem się za siebie. Jeszcze nikt nas nie gonił – tylko ryczące płomienie. Nie tracąc ani chwili, zebrałem wszystkie siły i przerzuciłem sobie chłopca przez ramię. Potem,

tak szybko jak tylko mogłem, pobiegłem wzdłuż dachów.

Cztery domy dalej zbliżyliśmy się do drzewa, wiecznie zielonej jodły. Jej gałęzie były ledwie cztery metry od nas. Dam radę. Jednak najpierw potrzebowałem chwili odpoczynku. Zrzuciłem chłopca na dachówki i jeszcze raz sprawdziłem, czy nikt nas nie goni. W porządku. Jabor miał problemy. Wyobraziłem sobie, jak miota się w białym żarze, gdzieś w piwnicy, przygwożdżony tonami płonących gruzów, i próbuje jakoś się spod nich wydostać...

Nagle wśród płomieni coś się poruszyło. Czas naglił.

Chłopiec nie zdążył nawet spanikować. Złapałem go w pasie, pobiegłem w dół dachu i skoczyłem. Kiedy łukiem lecieliśmy ku jodle, oświetleni pomarańczowym blaskiem ognia, dzieciak nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Gorączkowo machałem skrzydłami, utrzymując nas w powietrzu tak długo, byśmy zdołali spaść na koronę drzewa. Runęliśmy na nie, łamiąc gałęzie.

Chwyciłem się pnia i spowolniłem upadek. Chłopiec przytrzymał się konara. Zerkałem do tyłu, w stronę domu. Na tle płomieni z wolna przesuwała się czarna sylwetka.

Zwolniłem uścisk tak, byśmy ześlizgnęli się niżej. Przesuwaliśmy się w dół, każdy mój pazur pozostawiał głęboki ślad na korze. Zatrzymaliśmy się na wilgotnej trawie w ciemnościach u stóp drzewa.

Pomogłem chłopcu wstać.

–A teraz cisza! – szepnąłem. – I trzymaj się cienia drzew.

Oddaliliśmy się chylkiem, mój pan i ja. Zagłębiliśmy się w czarną noc, a z ulicy za nami dochodziło wycie syren straży pożarnej. W płonące ruiny domu Underwooda zwałił się kolejny wielki dźwigar.

Część 3

9{athaniel

iebo za popękaną szybą pojaśniało. Deszcz, który bez przerwy padał od świtu, przeszedł w mżawkę i wreszcie ustał. Londyn się budził. Na ulicy, na dole, pojawiły się pierwsze pojazdy: brudne, czerwone autobusy o warkoczających silnikach, wiozące do centrum pierwszych pracowników, a także kilka samochodów – trąbiły na każdego, kto przebiegł przez drogę. I jeszcze rowery, na których zgarbieni cykliści, przykryci ciężkimi płaszczami, pedałowali zawzięcie.

Powoli naprzeciwko zaczynało otwierać sklepy. Pojawili się ich właściciele i z ostrym zgrzytem podnosili opuszczone na noc metalowe kraty. Przygotowywano wystawy: rzeźnik pacnął na emaliowane półki różowe kawały mięsa, kioskarcz umieścił nad ladą wieszaki z gazetami. Obok, w piekarni, już od wielu godzin grzały się piece. Ciepłe powietrze, pachnące chlebem i lukrowanymi pączkami, unosiło się nad ulicą, aż wreszcie fala ciepłego zapachu dotarła do Nathaniela, który, głodny, drżał z zimna w pustej izbie.

W niedalekiej uliczce zaczynał ożywać targ. Zabrzmiały okrzyki, jedne wesole, inne ochryple i gardłowe. Chłopcy toczyli metalowe beczułki albo wózki pełne warzyw. Przejechał radiowóz, kierując się gdzieś na północ. Zwolnił przy bazarze, potem ostentacyjnie przyspieszył i odjechał.

241

Słońce wisiało nisko nad dachami, bladożółty jak jajko dysk, przysłonięty mgłą.

W każdy inny ranek pani Underwood już przygotowywałaby śniadanie.

Miał ją przed oczami: drobną, zabieganą, wesolą, krzątającą się po kuchni. Brzęczała patelniami na piecyku, kroїła pomidory, wsuwała grzanki do tosterka... Czekala, aż Nathaniel zejdzie na dół.

W każdy inny ranek tak właśnie by było. Ale teraz kuchnia znikła. Dom zniknął. A pani Underwood, pani Underwood...

Chciało mu się płakać, twarz miał obrzmiałą. Tak jakby uwięzła w niej cała fala emocji, która w każdej chwili może runąć przed siebie. Ale oczy chłopca pozostały suche. Jak szczelna zapora. Gapił się na coraz bardziej ożywioną ulicę, lecz niczego nie dostrzegał, nie zwracał też uwagi na chłód przenikający go aż do szpiku kości. Kiedy tylko zamknął oczy, widział białe kształty tańczące w mroku – wspomnienie płomieni.

Pani Underwood...

Nathaniel wziął głęboki, drżący oddech. Wsadził ręce do kieszeni spodni i namacał tam dysk, gładki pod palcami. To go otrzeźwiło. Wyciągnął rękę. Dygotał z zimna. Jego mózg również

zdawał się zmrożony.

Mistrz... Zrobił dla niego wszystko, co było w jego mocy. Ale ona... Powinien ją ostrzec, zabrać ją z domu, zanim to się stało. Tymczasem on...

Musiał się zastanowić. To nie był czas na... Musiał się zastanowić, inaczej było już po nim.

Przez pół nocy pędził jak szalowiec przez ogrody i boczne uliczki północnego Londynu, oczy miał błędne, usta szeroko otwarte. Później pamiętał bieg przez mrok, wspinaczkę na mury i sprint pod latarniami – no i szeptane mu rozkazy, które odruchowo wykonywał. Miał wrażenie, że przyciska się do zimnego, ceglanego muru, a potem przedziera się przez żywopłoty, pokaleczony, posiniaczony i przemoczony do suchej nitki. Raz, nim wreszcie usłyszał, że niebezpieczeństwo minęło, schował się nawet w zwale kompostu, przyciskając twarz do gnijącego szlamu. To wszystko zdawało mu się nierzeczywiste jak długi, długi sen.

Uciekając, wspominał przerażoną twarz Underwooda i głowę szakala unoszącą się nad płomieni. To też zdawało się nierzeczywiste. Sny we śnie.

Nie pamiętał pościgu, choć czasem deptał mu on po piętach. Słyszał tylko szum kuli tropiącej, czuł dziwny chemiczny zapach niesiony wiatrem. Później, niedługo przed świtem, potykając się, weszli do tej części miasta, w której dużo było wąskich domów z czerwonej cegły i krótkich uliczek. Tam znaleźli ten zabity deskami budynek.

W nim właśnie, przynajmniej przez chwilę, Nathaniel był bezpieczny. Miał czas, by się zastanowić, pomyśleć, co powinien zrobić...

Ale pani Underwood...

–Zimno, prawda? – powiedział jakiś głos.

Nathaniel odwrócił się od okna. Tuż obok, w zrujnowanym pokoju stał chłopiec, który nie był chłopcem, i spoglądał na niego błyszczącymi oczyma. Demon okrył się iluzją grubej, zimowej odzieży – puchowa kurtka, nowe dżinsy, solidne brązowe buty i wełniana czapka, która wyglądała na bardzo ciepłą.

–Trzęsiesz się – zauważył. – Nie ubrałeś się odpowiednio, jak na zimową

wyprawę. Co masz pod tym pulowerkiem? Pewnie tylko koszulę. I spójrz na

te liche buty. Musiały już całkiem przemoknąć.

Nathaniel ledwie go słyszał. Jego myśli błądziły gdzieś daleko.

–To nie jest dobre miejsce, żeby w nim chodzić na wpół nago – ciągnął

chłopiec. – Spójrz tylko! Szczeliny w ścianach, dziura w suficie... Jesteśmy tu

zdani na łaskę żywiołów. Brrr! Ależ ziąb.

Znajdowali się na górnym piętrze czegoś, co chyba było kiedyś budynkiem publicznym. Wielkie pomieszczenie miało pobielone ściany, znaczone zielonymi i żółtymi plamami pleśni. Było puste, tylko rząd długich półek ciągnął się na całej długości muru – kurz, brud i ptasie odchody. W kilku kątach piętrzyły się żałośnie kupy drewna, niegdyś stoły albo krzesła. Wysokie okna wychodziły na ulicę, a szerokie marmurowe schody wiodły w dół. Całe to miejsce cuchnęło wilgocią i stęchlizną.

–Chcesz, żebym ci pomógł zwalczyć to zimno? – odezwał się demon,

patrząc na chłopca z ukosa. – Musisz tylko poprosić.

Nathaniel nie odpowiedział. Oddech zamarzał mu przed ustami. Dżinn się zbliżył.

**–Mógłbym rozpalić ogień – powiedział. – Piękny, gorący ogień. Umiem
nieźle panować nad tym żywiołem. Spójrz!**

Pośrodku jego rozwartej dłoni zamigotał mały płomyk.

–Całe to drewno tutaj marnuje się... Jak sądzisz, czym kiedyś było to miejsce? Biblioteką? Tak myślę. Nie wiedziałeś, że pospólstwo dużo czyta, prawda? Tak to już z wami jest.

Płomień był coraz większy.

–Wystarczy, że poprosisz, mój panie. Potraktuję to jako przysługę dla ciebie. Po to w końcu są przyjaciele.

Nathaniel szcząkał zębami. Bardziej niż czegokolwiek innego potrzebował właśnie ciepła – to pragnienie było nawet silniejsze niż głód, który szargał jego wnętrzności jak wściekły pies. Płomień tańczył i wirował.

–Tak – polecił chrapliwie. – Rozpal ogień! Płomyk od razu zgasł. Demon zmarszczył brwi.

–To nie było zbyt uprzejme. Nathaniel zamknął oczy i jęknął ciężko:

–Proszę.

–Znacznie lepiej.

Niewielka iskra podskoczyła i zapaliła pobliski stos drewna. Nathaniel powłókł się do niego i skulił obok, dłonie trzymał tuż przy płomieniach.

Przez parę minut dzinn milczał, przechadzając się po pokoju. W palcach chłopca z wolna powracało czucie, choć twarz pozostała jakby martwa. Wreszcie zauważył, że demon ponownie się do niego zbliżył, przykucnął i od niechcienia pogrzebał w ogniu długą drzazgą.

–Jak się czujesz? Mam nadzieję, że odmarzasz.

Uprzejmie czekał na odpowiedź, jednak Nathaniel milczał.

–Coś ci powiem – ciągnął dzinn. – Jesteś ciekawym przypadkiem. Swego czasu poznałem kilku magów i nie było wśród nich wielu o tak samobójczych skłonnościach. Większość uznałaby, że bez sensu jest stawiać czoło potężnemu wrogowi i przyznawać mu się do tego, że się zwędziło jego skarb. Zwłaszcza jeśli jest się całkiem bezbronny. Ale ty? Dla ciebie to nic takiego.

–Musiałem tak zrobić – uciał Nathaniel. Nie miał ochoty na pogawędkę.

–Hm, bez wątpienia miałeś jakiś błyskotliwy plan, na którym ja i Lovelace zupełnie się nie

poznaliśmy. Możesz mi powiedzieć, co to było?

–Siedź cicho!

Dzinn zmarszczył nos.

–To właśnie był twój plan? Prosty, powiem krótko. Ale nie zapominaj, że to moje życie ryzykowałeś, próbując złagodzić te swoje dziwne wyrzuty sumienia. – Demon zniecka sięgnął w płomień i wydobył żarzący się węgielek. Zamysłony trzymał go między palcem wskazującym a kciukiem. – Kiedyś miałem takiego pana jak ty. Był tak samo uparty jak osioł i jak ty rzadko myślał tylko o sobie. Nie pożył długo – westchnął i cisnął żarzący się węgielek z powrotem w płomień. – Nieważne, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Nathaniel po raz pierwszy spojrział na niego.

–Wszystko dobre?

–Żyjesz. Czy to nie jest dobre?

Chłopiec wyobraził sobie twarz pani Underwood, spoglądającej na niego przez płomień. Przetarł oczy.

–Bardzo przykro mi to mówić – odezwał się džinn – ale Lovelace miał rację. Ostatniej nocy ziemia zupełnie osunęła ci się spod nóg. Magowie nie postępują tak jak ty. Dobrze, że byłem tam, by cię uratować. Ale dokąd teraz zmierzasz? Do Pragi?

–Co?

–No, Lovelace wie, że uciekłeś. Będzie cię szukał, a już widziałeś, na co go stać. Twoja jedyna szansa to zniknąć i na dobre opuścić Londyn. Najbezpieczniej będzie za granicą. W Pradze.

–Dlaczego miałbym jechać do Pragi?

–Tamtejsi magowie mogą ci pomóc. A poza tym podobno mają też dobre piwo.

Nathaniel się skrzywił.

–Nie jestem zdrajcą.

Dżinn wzruszył ramionami.

–Jeśli nie, to tutaj zacznij nowe życie. Jest mnóstwo możliwości. Spójrzmy... trzeba raczej wykluczyć dźwiganie ciężarów, jesteś za chudy. Robotnikiem to ty nie będziesz.

Nathaniel się skrzywił.

–Nie mam zamiaru...

Dżinn nie zwrócił na niego uwagi.

–Ale możesz uczynić tę swoją mizerną posturę zaletą. Tak! Kominiarczyk, to jest pomysł. Zawsze potrzebują dzieciaków do łażenia po kominach.

–Czekaj, nie jestem...

–Możesz też zostać uczniem kanalarza. Dostaniesz szczotkę, hak i gumowy dzwon, a potem zanurkujesz w najciaśniejsze tunele, szukając zatorów.

–Ja nie...

–Masz przed sobą wielkie perspektywy! Byle tylko nie skończyć jako trup.

–Zamknij się! – Nathaniel z wysiłkiem podniósł głos i poczuł się tak, jakby głowa pękła mu na pół. – Nie potrzebuję twoich rad!

Wstał, oczy błyszczały mu gniewem. Chichot dzinna sprawił, że ustąpiły zmęczenie i żal, rozniecił dławioną do tej pory złość, która nagle ogarnęła go całego. Jej źródłem było poczucie winy, szok i cierpienie. Lovelace powiedział, że nie ma czegoś takiego jak honor, że każdy mag działa tylko we własnym interesie. Świetnie. On, Nathaniel, będzie trzymał go za słowo. Drugi raz już nie popełni błędu.

Ale Lovelace też się pomylił. Nie docenił przeciwnika. Powiedział, że Nathaniel jest słaby, a potem próbował go zabić. Tymczasem chłopiec przetrwał.

–Chcesz, żebym uciekł jak szczur! – krzyknął. – Nie mogę! Lovelace zabił jedyne go człowieka, który kiedykolwiek się o mnie troszczył... – umilkł. Głos mu się łamał, lecz oczy pozostały suche.

–Underwooda? Chyba żartujesz! On tobą gardził! Był rozsądny!

–Miałem na myśli jego żonę. Chcę sprawiedliwości. Zemsty za to, co on zrobił.

Mocne słowa, ale demon tylko lekceważąco prychnął, wstał i ze smutkiem potrząsnął głową, tak jakby ciążyła mu wielka wiedza.

–Nie o sprawiedliwość ci chodzi, chłopcze. Chodzi ci o ukojenie. Zeszłej nocy płomienie pochłonęły wszystko, co miałeś. Nie masz już nic do stracenia. Mogę odczytać twoje myśli, tak jakby to były moje własne. Chcesz, w blasku chwały, ruszyć przeciw Lovelace'owi.

–Nie. Chcę sprawiedliwości.

Demon wybuchł śmiechem.

–To zbyt łatwe, podążać za swoim mistrzem i jego żoną, prosto w ciemność.

Trudniej jest rozpocząć życie od nowa. Rządzi tobą twoja duma, a ona prowadzi cię ku śmierci. Czy ostatnia lekcja niczego cię nie nauczyła? Nie pokonasz go, Nat. Dajże spokój.

–Nigdy.

–Nie pokonasz go, nawet gdybyś był prawdziwym magiem. – Bartimaeus wskazał odrapane ściany. – Rozejrzyj się wokół. Gdzie jesteśmy? Gdzie świece? Gdzie kadzidła? Gdzie wygoda? Nathanielu, chcesz czy nie, straciłeś wszystko, czego potrzebuje mag. Bogactwo, bezpieczeństwo, szacunek dla samego siebie, mistrza... Spójrz prawdzie w oczy, nie masz nic.

Mam swoje magiczne zwierciadło – odparł chłopiec. – I mam ciebie. Szybko usiadł przy ogniu. Wciąż przenikał go chłód, panujący w budynku.

–Ach tak. Do tego właśnie zmierzałem. – Dżinn zaczął bokiem buta

odsuwać gruz. – Kiedy się trochę uspokoisz, przyniosę ci kredę. Będziesz mógł narysować mi krąg i mnie uwolnić.

Nathaniel spojrzał na niego.

–Wypełniłem zadanie – ciągnął demon. – I zrobiłem jeszcze wiele, wiele

więcej. Szpiegowałem dla ciebie Lovelace'a. Dowiedziałem się o amulecie.

Uratowałem ci życie.

Nathaniel czuł się dziwnie – głowę miał lekką, ale myśli otępiałe, tak jakby wewnątrz czaszki wypchano mu szmatami.

–Proszę! Nie dziękuj mi teraz – mówił dalej demon. – To byłoby dla mnie krępujące. Chcę tylko zobaczyć, jak rysujesz pentagram. Więcej mi nie trzeba.

–Nie – odparł chłopiec. – Jeszcze nie.

–Co? Słuch mnie chyba zawodzi, pewnie przez tę dramatyczną ucieczkę, przez całą zeszłą noc. Wydawało mi się, że mówisz „nie”.

–Owszem. Nie uwalniam ciebie. Jeszcze nie.

Zapadła grobowa cisza. Nathaniel spoglądał w ogień – powoli przygasał i wreszcie całkiem znikł. Z leciutkim trzaskiem na kawałkach drewna, które jeszcze przed chwilą pięknie się paliły, zaczął osiadać lód. Skóra chłopca okryła się gęsią skórką. Oddychanie stało się trudne, bolesne.

Wyprostował się gwałtownie.

–Przestań! – wykrztusił. – Przywróć ogień!

Oczy dzinna błysnęły.

–To dla twojego dobra – powiedział. – Właśnie sobie uświadomiłem, jak bardzo jestem niedelikatny. Przecież ty nie chcesz już oglądać ognia, nie po tym pożarze, który wywołałeś zeszłej nocy. Twoje sumienie bardzo cię musi palić.

Przed oczyma Nathaniela stanął rozedrgany obraz: płomień buchające ze zrujnowanej kuchni.

–To nie ja podłożyłem ten ogień – wyszeptał. – To nie była moja wina.

–Nie? To ty schowałeś amulet. To ty wrobiłeś Underwooda.

–Nie! Nie chciałem, żeby przyszedł Lovelace. To było ze względu na bezpieczeństwo...

Dżinn-chłopiec parsknął.

–Jasne, że było... Ze względu na twoje bezpieczeństwo.

–Jeśli Underwood byłby coś wart, toby przeżył! Odparłby atak Lovelace'a, wszczął alarm!

–Sam w to nie wierzysz. Spójrz prawdzie w oczy, to ty zabiłeś ich oboje.

Nathaniel wykrzywił twarz z wściekłości.

–Chciałem zdemaskować Lovelace'a! Chciałem złapać go z amuletem, wskazać władzom.

–Kogo to obchodzi? Spóźniłeś się. Zawiodłeś.

–Przez ciebie, demonie! Gdybyś nie sprowadził Lovelace'a do domu, nic by się nie stało!

Chłopiec chwycił się tego pomysłu, jak tonący brzytwy.

–To wszystko twoja wina, ale ja ci odpłacę! Myślisz, że kiedykolwiek odzyskasz wolność? Zastanów się! Zostaniesz tu na zawsze! Czeka cię Wieczne Uwięzienie.

–Czyżby? W takim razie – demon ruszył przed siebie i nagle znalazł się bardzo blisko – mogę zaraz cię zabić. Co mam do stracenia? Tak czy owak wyląduję w puszcze. Ale przynajmniej będę miał satysfakcję z tego, że skręciłem ci kark.

Jego dłonie delikatnie opadły na barki Nathaniela. Chłopiec poczuł, jak przebiega go dreszcz. Bardzo chciał uciec, jednak przemógł się i spojrzał prosto w beznamiętne, ciemne oczy. Przez dłuższą chwilę obaj milczeli. Wreszcie Nathaniel obliznął suche wargi.

–To nie będzie konieczne – powiedział z trudem. – Uwolnię cię, zanim minie miesiąc.

Dżinn przysunął się bliżej.

-Uwolnij mnie teraz.

-Nie – Nathaniel przełknął ślinę. – Najpierw musimy zrobić coś jeszcze.

–Co? – Demon się skrzywił, jego dłoń ścisnęła ramię chłopca. – Co tu jest do zrobienia?

Chłopiec starał się zachować spokój.

–Mój mistrz i jego żona nie żyją. Muszę ich pomścić. Lovelace zapłaci za to, co zrobił.

Szepczące usta były teraz bardzo blisko, ale Nathaniel nie czuł na twarzy powiewu oddechu.

–Przecież już ci mówiłem. Lovelace jest zbyt potężny. Nie masz szans go pokonać. Zapomnij o tym, tak jak ja. Uwolnij mnie i puść w niepamięć swoje kłopoty.

–Nie mogę.

–Dlaczego?

–Je... Jestem to winien swojemu mistrzowi. Był dobrym człowiekiem...

–Nie, nie był. Zresztą to nie powód – dzinn szeptał mu prosto w ucho. – Teraz kieruje tobą poczucie winy, nie pragnienie sprawiedliwości, nie honor. Nie możesz pogodzić się z następstwami swoich czynów. Chcesz zagłuszyć wyrzuty sumienia, spowodowane tym, co zrobiłeś swojemu mistrzowi i jego żonie. No, jeśli ludzie właśnie w ten sposób chcą cierpieć, to trudno. Ale mnie zostaw w spokoju.

Nathaniel odpowiedział zdecydowanie, choć tak naprawdę nie czuł się pewnie:

–Jeśli chcesz odzyskać wolność, to póki nie minie wyznaczony ci miesiąc, będziesz mi służył.

–Chcesz dopaść Lovelace'a, a to w każdym przypadku oznacza samobójstwo: twoje i moje – fałszywy chłopiec uśmiechnął się złośliwie. – W takim razie wciąż nie wiem, czy cię po prostu teraz nie zabić...

–Na pewno znajdą się sposoby, żeby go zdemaskować! – Nathaniel już nie mógł się dłużej powstrzymać. Mówił o wiele za szybko. – Musimy to tylko dokładnie przemyśleć. Zawrzyjmy układ. Ty pomożesz mi zemścić się na moim wrogu, a zaraz po tym ja cię uwolnię. Sytuacja będzie jasna. Sukces leży w interesie nas obu.

Dzinnowi błysnęły oczy.

–Tak jak zawsze, chwalebnie uczciwy układ, dyktowany z pozycji

jednostronnej siły. Świetnie. Nie mam wyboru. Ale jeśli kiedykolwiek narazisz nas na wielkie niebezpieczeństwo, pamiętaj: ja się zemszczę.

–Zgoda.

Dżinn cofnął się, puszczając ramię Nathaniela. Młodociany mag odszedł, oczy miał szeroko otwarte, ciężko oddychał. Dżinn, nucąc cicho, ruszył do okna po drodze, od niechcienia zapalając ogień. Nathaniel znów poczuł przypływ smutku, ale mu się nie poddał. Nie tym razem. W obecności sługi nie mógł okazać słabości.

–A więc, panie – powiedział dżinn – oświeć mnie. Co zrobimy?

Chłopiec bardzo się starał, by nie łamał mu się głos.

–Po pierwsze, potrzebuję jedzenia i... nowych ubrań. Po drugie, musimy przeanalizować wszystko, co wiemy na temat Lovelace'a i amuletu. Musimy się też dowiedzieć, co władze wiedzą o... o tym, co się stało ostatniej nocy.

–To akurat jest łatwe – powiedział Bartimaeus, wskazując okno. – Popatrz tam.

32

Wydanie poranne! „Times”! Gazeciarz wolno toczył wózek po chodniku, zatrzymywał się, kiedy jakiś przechodzień rzucał mu monety. Ulicą szło wielu ludzi, dlatego chłopak poruszał się tak wolno. Kiedy Nathaniel i Bartimaeus ukradkiem wyszli z alejki za zniszczoną biblioteką i przeszli przez jezdnię, ledwie dotarł na wysokość piekarni.

Nathaniel wciąż miał w kieszeni resztkę pieniędzy, które kilka dni temu ukradł ze słoika pani Underwooda. Zerknął na wózek: leżała tam wysoka sterta egzemplarzy „Timesa” – oficjalnej gazety rządu. Gazeciarz nosił dużą, sukienną czapkę w kratkę, rękawice bez palców i długi ciemny płaszcz, który sięgał mu prawie do kostek. Końcówki palców posiniały mu z zimna. Bez przerwy wykrzykiwał:

–„Times”! Wydanie poranne!

Nathaniel nie miał wielkiego doświadczenia w kontaktach z pospółstwem. Zawołał możliwie jak najniższym i najbardziej stanowczym głosem:

–„Times”. Ile kosztuje?

–Czterdzieści pensów, mały.

Nathaniel, okazując pełen wyższości chłód, podał drobne i wziął gazetę. Gazeciarz spojrział na niego, wpierw przelotnie, a potem, zdawałoby się, z nagłym zaciekawieniem. Chłopiec chciał już odejść, ale gazeciarz nagle go zagadnął.

–Kiepsko wyglądasz, koleś – zauważył wesoło. – Cała nocka poza domem?

–Nie – Nathaniel przybrał surowy wyraz twarzy. Miał nadzieję, że tym ostudzi ciekawość nieznajomego.

Nie podziałało.

–Ależ tak, tak. I nie mam nic do ciebie. Ale uważaj po godzinie policyjnej.

Policja węszy tu bardziej niż zwykle.

–Co to za godzina policyjna? – spytał dzinn.

Gazeciarz szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

–Gdzie ty byłeś, chłopie? Po tym haniebnym ataku na Parlament codziennie o ósmej wieczorem zaczyna się godzina policyjna. Niby nic takiego, ale latają kule tropiące, chodzi też Nocna Policja, więc lepiej żebyś gdzieś się zaszył, bo cię dopadną i zjedzą. Zdaje mi się, że do tej pory miałeś farta. Wiesz co...

Znajdę ci dobrą kryjówkę na tę noc, jeśli chcesz. To bezpieczna melina i dobre miejsce, jeśli – umilkł, spojrział w niebo, potem pod nogi, ściszył głos – jeśli masz coś, co chciałbyś sprzedać.

Nathaniel popatrzył na niego obojętnie.

–Dziękuję. Nie mam. Gazeciarz podrapał się w głowę.

–Rób, jak chcesz. No, szkoda czasu na gadanie. Niektórzy tutaj pracują. Idę. Chwycił rączki wózka i odjechał, ale Nathaniel zauważył, że parę razy

odwrócił się, by spojrzeć na nich przez ramię.

–Dziwne – stwierdził Bartimaeus. – O co mu chodziło?

Chłopiec wzruszył ramionami. Nic go to już nie obchodziło.

**–Idź, zdobądź mi coś do jedzenia i cieplejsze ubranie. Pójdę do biblioteki i
poczytam gazetę.**

–Dobrze. Staraj się nie wpakować w tarapaty, kiedy mnie nie będzie.

Dzinn odwrócił się i ruszył w tłum.

Artykuł wydrukowano na drugiej stronie, między comiesięcznym ogłoszeniem o naborze nowych czeladników, zamieszczonym przez Ministerstwo Pracy, a krótkim raportem z kampanii włoskiej. Zajmował trzy kolumny. Autor ze smutkiem informował o tragicznej śmierci w pożarze domu, którą ponieśli minister spraw wewnętrznych Arthur Underwood i jego żona Martha. Ogień zaprószono prawdopodobnie około dwudziestej drugiej piętnaście, straż pożarna i magowie z brygad ratunkowych ugasili go dopiero trzy godziny później. Płomienie strawiły cały budynek. Poważnie ucierpiały też dwa sąsiednie domy, ich mieszkańców ewakuowano. Przyczyna pożaru jest nieznana, jednak policja chce przesłuchać czeladnika pana Underwooda, dwunastoletniego Johna Mandrakea, którego ciała nie odnaleziono. Ktoś widział go, jak uciekał z budynku. Podobno Mandrake był niezrównoważony emocjonalnie. Rok temu zaatakował kilku prominentnych czarodziejów, dlatego tym, którzy go spotkają, zaleca się ostrożność. Śmierć pana Underwooda, podsumowywał autor artykułu, jest bolesną stratą dla rządu – całe życie sumiennie pracował w ministerstwie, na opisanie jego zasług zabrakłoby miejsca w gazecie.

Nathaniel wypuścił „Timesa” z dłoni. Siedział pod oknem, głowa opadła mu na pierś. Zamknął oczy. Gdy teraz pod postacią chłodnego, wyraźnego dźwięku ujrzał rzeczy, które właśnie przeżył, uderzyły go one z nową siłą. Zakręciło mu się w głowie, chciał się rozplakać, ale nie mógł – ból tkwił gdzieś głęboko w nim, zdławiony, nieuchwytny. Niedobrze. Był już za bardzo zamęczony. Zapadł w sen...

Szturchnął go czyjś but, wcale nie delikatnie. Ocknął się.

Stał nad nim dzinn, szeroko uśmiechnięty. Trzymał papierową torbę, z której unosiła się pachnąca para. Wielki głód pokonał dumę Nathaniela. Chłopiec chwycił torbę, prawie rozlewając na kolana kawę w polistyrenowym kubku. Z ulgą znalazł też pod kubkiem dwie paczuszki schludnie zawinięte w pergaminowy papier, a w każdej gorącą kanapkę z kotлетem i sałatą. Chyba w życiu jeszcze nie jadł czegoś tak dobrego. Obie kanapki znikły w ciągu dwóch minut, potem chłopiec chwycił kubek w zziębnięte palce. Oddychał ciężko.

–Ale widok – mruknął dzinn. Nathaniel siorbnął kawę.

–Skąd to wzięłeś?

–Ukradłem. Powiedziałem sprzedawcy, żeby mi to przyrządził, a potem uciekłem, kiedy był jeszcze przy kasie. Tak po prostu. Wezwano policję.

Nathaniel jęknął.

–Tylko tego nam było trzeba.

–Nie martw się. Będą szukać wysokiej blondynki w futrze. A skoro już o tym mowa – wskazał niewielki kopczyk wśród gruzu na podłodze -znajdziesz tam trochę lepszych ubrań. Płaszcz, spodnie, kapelusz i rękawiczki. Mam nadzieję, że będą pasowały. Wybrałem najmniejsze rozmiary, jakie mogłem znaleźć.

Kilka minut później Nathaniel był już najedzony, lepiej ubrany i bardziej ożywiony. Grzał się przy ogniu. Dżinn przykucnął obok, wpatrując się w płomienie.

–Oni myślą, że ja to zrobiłem – powiedział chłopiec, wskazując gazetę.

–No, a czego się spodziewałeś? Lovelace się nie przyzna, prawda? Jaki mag zrobiłby coś tak głupiego? – Bartimaeus znacząco spojrział na Nathaniela

–To podpalenie było po to, żeby ukryć wszystkie ślady jego wizyty. A jeśli nie zdołał cię zabić, to chociaż ciebie wystawił, żebyś to ty dostał po łapach.

–Szuka mnie policja.

–No, z jednej strony policja, z drugiej Lovelace. On wyśle swoich tropicieli, żeby cię odszukali. Nieźle, dostałeś się w kleszcze. Właśnie tego on chce: żebyś ciągle uciekał, nie miał znikąd pomocy.

Nathaniel zazgrzytał zębami.

–Zastanówmy się. A jeśli sam pójdę na policję? Zrobią nalot na dom Lovelace'a. Znajdą amulet...

–Myślisz, że cię wysłuchają? Jesteś poszukiwany. Poszukiwany w najszerszym tego słowa znaczeniu. Lovelace nie działa sam. Ma swojego mistrza, Schylera...

–Schylera? – oczywiście, ten pomarszczony starzec o czerwonej twarzy. – Schyler to jego mistrz? Tak... Znam go. Podśluchałem ich, jak w Parlamencie rozmawiali o amulecie. Jest też jeszcze jeden, nazywa się Lime.

Dżinn przytaknął.

–To może być dopiero szczyt góry lodowej. Kiedy tamtej, pierwszej nocy ukradłem amulet, ściagało mnie bardzo dużo kul tropiących. To była robota wielu magów. Jeśli to jakaś szeroka konspiracja, to idąc do władz, nie możesz nikomu zaufać, nie wiesz, czy nikt stamtąd nie da mu cynku, a on nie przyjdzie i cię nie zabije. Na przykład Sholto Pinn, handlarz artefaktami, też może być w tym spisku. Jest jednym z najbliższych przyjaciół Lovelace'a, zresztą wczoraj jadł z nim lunch. Dowiedziałem się o tym na krótko przed tym, jak, wbrew mojej woli, zatrzymano mnie w jego sklepie.

Nathaniel się rozzłościł.

–Byłeś zbyt lekkomyślny! Prosiłem cię, żebyś szpiegował Lovelace'a, a nie sprowadzał na mnie niebezpieczeństwa!

–Spokojnie, spokojnie. Robiłem dokładnie to, co kazałeś. Właśnie u Pinna sporo się dowiedziałem o amulecie. Lovelace zabrał go rządowemu magowi Beechamowi, któremu złodziej poderżnął gardło. Rząd bardzo chce odzyskać artefakt. Dowiedziałbym się więcej, lecz przyleciał afryt i zabrał mnie do Tower.

–Ale uciekłeś. Jak?

–Ach, to było dopiero ciekawe. Ucieczkę umożliwił mi sam Lovelace. Musiał słyszeć od Pinna albo kogoś innego, że schwytano dżinna wielkich zalet i od razu domyślił się, że to ja, ten, który skradł mu amulet. Posłał swoje sługi, Faquarla i Jabora, z misją ratunkową, to było niesłychanie ryzykowne przedsięwzięcie. Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

–Chciał odzyskać amulet.

–Właśnie. I wkrótce będzie go potrzebował. Tyle powiedział nam zeszłej nocy. A Faquarl powtórzył za nim: za kilka dni ten przedmiot zostanie użyty w dużej akcji. Czas gra tu wielką rolę.

W Nathanielu obudziło się na wpół pogrzebane wspomnienie.

–Ktoś z parlamentu wkrótce urządza bal albo konferencję. Gdzieś pod Londynem.

–I ja się tego dowiedziałem. Lovelace ma żonę, dziewczynę albo znajomą o imieniu Amanda. To ona organizuje tę konferencję, w jakimś dworku czy coś takiego. Gościem będzie premier. Kiedy kradłem amulet, widziałem tę Amandę w domu Lovelace'a. Bardzo się starał ją oczarować, czyli że ona raczej nie jest jego żoną. Wątpię, żeby się długo znali.

Nathaniel zamyślił się.

–Podśluchałem, jak Lovelace mówił Schylerowi, że chciał odwołać konferencję. Ale jeszcze wtedy nie miał amuletu.

–Tak. Niestety, teraz już go ma z powrotem. Nathaniel znów poczuł zimną wściekłość.

–Amulet z Samarkandy. Odkryłeś jego właściwości?

–Nic ponad to, co i tak już wiedziałem. Od dawna uchodzi za rzecz o wielkiej mocy. Szaman, który go zrobił, naprawdę był potężnym magiem, znacznie większym od każdego z twojego śmiesznego tłumu. Jego plemię nie znało ksiąg ani pergaminów. Wiedzę przekazywał ustnie i zachowywał tylko w pamięci. W każdym razie amulet chroni tego, kto go nosi, przed atakiem magii. I w tym rzecz. To nie jest talizman, nie możesz używać go agresywnie, żeby zabić rywali. On tylko chroni. Wszystkie amulety...

–Nie ucz mnie! Wiem, jak działają amulety – przerwał mu ostro Nathaniel.

–Tylko cię sprawdzam. Nie wiem, czego się teraz uczą dzieci. No, poznałem niektóre możliwości amuletu, kiedy podkładałem go dla ciebie w gabinecie Underwooda.

Nathaniel skrzywił się.

–Nie wrabiałem go.

–Jasne. Amulet poradził sobie bez problemu z ognistym znakiem, choć trzeba przyznać, dosyć słabym. Po prostu wchłonął jego energię. I już. Ostatniej nocy udaremnił też mizerne ataki Underwooda, sam widziałeś, zwisając mi pod pachą. Jeden z moich informatorów twierdził, że podobno amulet ma w sobie jakiś byt z samego centrum Zaświatów. Jeśli to prawda, to rzeczywiście musi być potężny.

Nathaniela zapiekły oczy. Przetarł je. Bardziej niż czegokolwiek innego potrzebował teraz snu.

–Bez względu na to, jakie właściwości ma ten amulet. – Ciągnął dzinn

–Lovelace chce go użyć za kilka dni, na konferencji, którą organizuje. Ale jak?

Trudno zgadnąć. A dlaczego? To proste. On chce zdobyć władzę – demon ziewnął. – To stara historia.

Nathaniel zaklął.

–On jest renegatem, zdrajcą!

–On jest zwykłym magiem. Ty jesteś dokładnie taki sam.

–Co? Jak śmiesz? Ja...

–No, może jeszcze nie. Poczekajmy kilka lat – dzinn chyba się nudził.

–A więc co proponujesz?

Chłopcu nagle przyszła do głowy pewna myśl.

–Zastanawiam się... – powiedział. – Dwa dni temu zaatakowano Parlament. Myślisz, że za tym też stał Lovelace?

–Wątpię. To było zbyt amatorskie. Sądząc po listach Lovelace'a, on i Schyler tamtego wieczoru niczego się nie spodziewali.

–Mój mistrz podejrzewał, że to ruch oporu, ludzie, którzy nienawidzą czarodziejów.

Bartimaeus uśmiechnął się szeroko.

–A to już bardziej prawdopodobne. Mogą być teraz niezorganizowani, ale w końcu dopną swego. Tak się zawsze dzieje. Spójrz na Egipt, spójrz na Pragę...

–Praga jest pogrążona w dekadencji...

–To prascy magowie są dekadentami. I już nie rządzą. Popatrz na to...

W części biblioteki przegniłe półki całkiem się zapadły. Ściany były tam pomazane warstwami graffiti i jakimiś starannie wyrysowanymi hieroglifami.

–To klątwy Starego Królestwa – powiedział Bartimaeus. – O, tu masz pamiątkę po chuliganach. „Śmierć panom”, to właśnie głosi ów duży napis. Chyba o was chodzi, Natusiu, jeśli się nie mylę.

Nathaniel nie zwracał na niego uwagi. Próbował uporządkować myśli.

–Zgłoszenie sprawy Lovelace'a władzom jest zbyt niebezpieczne – powiedział wolno. – Więc jest tylko jedno wyjście. Muszę sam pójść na tę konferencję i tam ujawnić spisek.

Dzinn kaszlnął znacząco.

–Myślałem, że już rozmawialiśmy o nadmiernym ryzyku... Bądź ostrożny. Ten pomysł wydaje

mi się samobójczy.

–Nie, jeśli starannie to zaplanujemy. Najpierw musimy się dowiedzieć, gdzie i kiedy odbędzie się to spotkanie. Trudna sprawa... Będziesz musiał zdobyć dla mnie tę informację. – Nathaniel znów zaklął. – A na to potrzeba czasu. Gdybym tylko miał kilka księżek i odpowiednie kadzidła... Mógłbym zorganizować grupę impów, żeby szpiegowały naraz wszystkich ministrów! Nie, ciężko byłoby nad nimi zapanować. Albo mógłbym...

Dzinn podniósł gazetę i ją przejrzał.

–Albo mógłbyś po prostu przeczytać to. co tutaj drukują.

–Co?

–Tu jest okólnik parlamentu. Słuchaj: „Środa, drugiego grudnia, Hed-dleham Hall. Amanda Cathcart organizuje coroczną konferencję Parlamentu i towarzyszący jej bal zimowy. Gościć będą tam, między innymi, wielce szanowni Rupert Devereaux, Angus Nash, Jessica Whitwell, Chloe Baskar, Tim Hildick, Sholto Pinn oraz inne osobistości z wyższych sfer”.

Nathaniel wyrwał mu gazetę i sam to przeczytał.

–Amanda Cathcart. To chyba ta dziewczyna Lovelace'a. Na pewno. To musi być to, o co nam chodzi.

–Szkoda że nie wiemy, gdzie jest Heddleham Hall.

–Znajdzie go moje magiczne zwierciadło – Nathaniel wyciągnął z kieszeni metalowy dysk.

Bartimaeus spojrzał nań z powątpiewaniem.

–Nie sądzę. Jest do niczego.

–Ja je zrobiłem.

–No właśnie.

Chłopiec dwa razy przesunął dłonią po zwierciadle i wyszeptał inwokację. Po trzecim pytaniu w lustrze pojawiła się twarz impa, kręciła się jak na karuzeli. Demon uniósł brwi, zdziwiony.

–Ty żyjesz? – zapytał.

–Owszem.

–Szkoda.

–Przestań się kręcić – warknął Nathaniel. – Mam dla ciebie zadanie.

–Chwileczkę – imp nagle zatrzymał się z piskiem. – Kto z tobą jest?

–To Bartimaeus, inny mój sługa.

–Tak mu się wydaje – mruknął dzinn. Imp skrzywił się.

–To jest Bartimaeus? Ten z Tower?

–Tak.

–On też żyje?

–Owszem.

–Szkoda.

–Bezczelny typ – Bartimaeus przeciągnął się i ziewnął. – Powiedz mu, żeby lepiej się pilnował. Na takich impach jak on zjadłem zęby.

Demon w lustrze skrzywił się z powątpiewaniem.

–Tak? A ja takie dzinny jak ty, gościu, wcinałem na śniadanie.

Nathaniel tupnął.

–Zamkniecie się obaj i pozwolicie mi wydać rozkaz? Ja tu jestem szefem. Dobra. Impie, chcę, żebyś mi pokazał Heddleham Hall. Gdzieś pod Londynem. Jego właścicielką jest Amanda Cathcart. Idź i wykonaj polecenie!

–Mam nadzieję, że ten cały Hall nie jest za daleko stąd. Moja więź astralna nie jest zbyt długa, wiesz?

Powierzchnia dysku zamglila się. Nathaniel niecierpliwie czekał, aż rozjaśni się ponownie. Czekał i czekał.

–To dosyć powolne zwierciadło – stwierdził Bartimaeus. – Jesteś pewien, że działa?

–Jasne. To trudne zadanie, dlatego zabiera mu tyle czasu. I ty też nie myśl, że będzie ci lekko. Kiedy znajdziemy Hall, chcę żebyś się tam udał i wszystko sprawdził. Zobacz, co się tam dzieje. Lovelace może przygotować pułapkę.

–To powinna być bardzo przemyślana pułapka, tak aby dali się w nią złapać ci wszyscy magowie, którzy idą tam w środę. Może potrząśnij tym dyskiem?

–To działa, mówię ci. Patrz, już jest.

Imp zjawił się ponownie, dyszał i rządził, jakby całkiem opadł z sił.

–Co ci przyszło do głowy? – wysapał. – Większość magów używa swoich zwierciadeł po to, żeby podglądać innych pod prysznicem. Ale nie ty, och, nie.

To byłoby za proste. Jeszcze nigdy nie zbliżyłem się do tak dobrze strzeżonego miejsca. Ten Hall, dwór, jest prawie tak straszny jak sama Tower. Cienkie jak włos siatki, strażnicy materializujący się w przypadkowych miejscach, normalnie wszystko. Musiałem uciekać, jak tylko się zbliżyłem. Oto najlepszy przekaz, jaki zdołałem uzyskać.

W centrum dysku pojawił się bardzo niewyraźny obraz. Można było rozróżnić rozmazany, brązowy budynek z kilkoma wieżyczkami, otoczony lasem, odchodziła od niego długa droga.

Przez niebo nad gmachem pospiesznie przemykała para czarnych punkcików.

–Widzisz ich? – odezwał się imp. – To strażnicy. Wyczuli mnie, gdy tylko się tam pojawiłem. Właśnie po mnie lecą. Szybko, prawda? Nic dziwnego, że musiałem od razu wiać.

Obraz znikł, zastąpiła go dziecięca twarz. – I co?

–Wielkie nic – stwierdził Bartimaeus. – Wciąż nie wiemy, gdzie jest Heddleham Hall.

–I tu się mylisz – dziecięca twarz wyrażała teraz ogromne zadowolenie. – Podaję lokalizację: osiemdziesiąt kilometrów na południe od Londynu i trzynaście na zachód od linii kolejowej do Brighton. Wielka posiadłość. Łatwo tam trafić. Może jestem powolny, ale za to dokładny.

–Możesz odejść – Nathaniel przesunął dłonią po dysku, ścierając obraz. – Teraz mamy punkt zaczepienia. Dużo magicznych zabezpieczeń... to znaczy, że właśnie tam odbędzie się to spotkanie. Środa... w dwa dni musimy się tam dostać.

Dżinn bezczelnie nadął policzki.

–Dwa dni, i znowu będziemy na łasce Lovelace'a, Faquarla, Jabora i setki paskudnych magów, którzy myślą, że jesteś podpalaczem. Świetnie. Nie mogę się doczekać.

Nathaniel odparł twardo:

–Zawarliśmy umowę, pamiętasz? Wszystko, czego potrzebujemy, to odpowiedni plan. Teraz leć do Heddleham Hall, zbliż się tak bardzo, jak tylko zdołasz, i znajdź sposób, by dostać się do środka. Poczekam tutaj na ciebie. Muszę się przespać.

–Ale z was ludzi słabeusze. No dobra. Idę. – Dżinn wstał.

–Ile czasu ci to zajmie? – zapytał chłopiec.

–Kilka godzin. Wrócę przed zmierzchem. Wtedy będzie godzina policyjna i kule tropiące na ulicach, więc stąd nie wychodź.

–Nie musisz mi tego mówić! Idź już! Czekaaj, powiedz mi jeszcze, jak mam rozpalić ogień.

Kilka minut później dżinn ruszył w drogę. Nathaniel leżał na podłodze, blisko trzaskających płomieni. Żal i poczucie winy go nie opuściły, ale zmęczenie okazało się silniejsze. Nie upłynęła nawet minuta, a już spał.

e śnie siedział w letnim ogrodzie z jakąś kobietą. Czuł przyjemny spokój: ona mówiła, a on słuchał, dźwięk jej głosu mieszał się ze śpiewem ptaków. Słońce grzało twarz. Na kolanach trzymał zamkniętą książkę, jednak nie zwracał na nią uwagi. Nie czytał jej, nawet nie miał na to ochoty. Głos kobiety wносił się i opadał. Nathaniel śmiał się, czuł jej ramię wokół swoich ramion. Nagle chmura zasłoniła słońce, powietrze się ochłodziło. Gwałtowny powiew otworzył książkę, z hałasem przerzucił kartki. Głos kobiety był teraz bardziej głęboki, po raz pierwszy spojrzała w jego stronę... Pod gęstwą jasnych włosów ujrzał oczy dzinna, jego brzydki uśmiech. Uścisk obejmującego ramienia stawał się coraz mocniejszy.

Demon przyciągnął chłopca, jego usta się otwały...

Nathaniel się obudził. Ciało miał wykręcone, jedno ramię unosił w obronnym geście, zasłaniając twarz.

Ogień się dopalił, zmierzchało. W bibliotece gęstniał mrok. Od kiedy chłopiec zasnął, minęło już pewnie kilka godzin, jednak nie czuł się odświeżony, tylko sztywny i zziębnięty. Głód ścisnął mu żołądek. Próbował wstać i wtedy poczuł, jak bardzo jest osłabiony. Suche oczy wciąż go piekły.

W świetle padającym z okna spojrzął na zegarek. Trzecia czterdzieści: dzień prawie już się kończył. Bartimaeus jeszcze nie wrócił.

Kiedy zapadł zmierzch, ze sklepów wyszli kupcy – trzymając w dłoni drągi zakończone hakami, ściągnęli w dół kraty i zasłaniali wystawy. Przez kilka minut wszędzie na ulicy rozbrzmiewały stukoty i trzaski, tak jakby w stu zamkowych bramach naraz opadły kraty. Jedno po drugim zapalały się żółte uliczne światła. Nathaniel zauważył, że w oknach nad sklepami domownicy zaciągają cienkie zasłony. Ulicą przejeżdżały oświetlone autobusy. Chodnikami śpieszyli ludzie – chcieli jak najszybciej dotrzeć do domu.

A Bartimaeusa wciąż nie było. Chłopiec niecierpliwie krążył po zimnym, ciemnym pomieszczeniu. Wściekał się. Znów czuł się bezsilny, rzucony na pastwę losu. Zawsze gdy przychodził kryzys, począwszy od pierwszego

ataku Lovelace'a, rok temu, a skończywszy na zabójstwie pani Underwood, Nathaniel nie mógł odpowiedzieć na cios – zdawał sobie sprawę ze swojej słabości i za każdym razem wiele go ona kosztowała. Jednak teraz wszystko się zmieni. Nic go nie powstrzyma, bo nie miał nic do stracenia. Kiedy dzinn wróci. on...

–Wydanie popołudniowe! Najświeższe wiadomości!

Głos dobiegał z teraz już niemal mrocznej ulicy, był przytłumiony. Chłopak przycisnął czoło do okna z lewej strony i ujrzał słabe światło, które migocząc, zbliżało się wzdłuż chodnika. Zwisła z długiej tyki, osadzonej na trzęsącym się wózku. Znowu zawitał tu gazeciarsz

Przez kilka minut Nathaniel patrzył, jak on się zbliża. Zastanawiał się. Wszystko wskazywało na to, że nie ma po co kupować kolejnej gazety: od rana pewnie niewiele się zmieniło. Ale, z drugiej strony, „Times” był dla niego jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym. Mógł dostarczyć mu nowych informacji – o szalejącej policji albo o konferencji. Poza tym musiał coś zrobić, żeby nie zwariować. Pogrzebał w kieszeni i przeliczył drobne. Decyzja zapadła. Ostrożnie krocząc w półmroku, ruszył ku schodom, zszedł na parter, odsunął deskę i precyzyjnie przycisnął się na boczną uliczkę.

–Jeden egzemplarz, proszę. – Złapał gazeciarsza, akurat kiedy ten skręcał już wózkem za róg, zjeżdżając z głównej drogi. Czapka zwisła mu z tyłu głowy, na oczy opadał kosmyk bardzo jasnych włosów. Sprzedawca rozejrzał się wokół i uśmiechnął trochę szczerbato.

–Znowu ty. Wciąż na ulicy?

–Jedną gazetę – Nathanielowi zdało się, że chłopiec bacznie się weń wpatruje. Niecierpliwie wyciągnął pieniądze. – Wszystko w porządku. Mam czym zapłacić.

–Nieważne, że masz, stary. Kłopot w tym, że ja już wszystko sprzedałem. – Wskazał pusty wózek. – Na szczęście dla ciebie, mojemu kumplowi coś jeszcze zostało. Nie umie się zareklamować, więc mniej mu schodzi.

–Nieważne – Nathaniel już chciał odejść.

–Och, on zaraz tu będzie. Tylko chwilka. Pod koniec dnia zawsze się z nim spotykam koło Nag's Head*. To za następnym rogiem.

*Nag's Head – knajpy pod Szkapią Głową.

–No... – Nathaniel zawahał się. Bartimaeus mógł wrócić w każdej chwili, a przecież kazał mu czekać w bibliotece. Zaraz, kazał? Kto tu w końcu jest panem? To już za rogiem, łatwo go znaleźć.

–W porządku – powiedział.

–Świetnie. No to chodź – gazeciarz ruszył, koła jego wózka skrzypiały i podskakiwały na nierównym bruku. Nathaniel szedł obok.

Boczna alejka była mniej uczęszczana niż główna droga, zanim weszli za następny róg, minęli tylko kilka osób. Ta ulica okazała się jeszcze spokojniejsza. Trochę dalej stała przy niej gospoda, brzydki budynek o płaskim dachu i szarych, kamiennych ścianach. Nad wejściem niechlujnie wymalowano brzydkiego, przysadzistego konia. Nathaniel zaniepokoił się, widząc niewielką kulę strażniczą dyskretnie unoszącą się nad drzwiami.

Gazeciarz chyba wyczuł, że chłopiec się waha.

–Nie martw się, nie zbliżymy się do tego szpiega. On tylko patrzy na drzwi,

odstrasza. A to i tak nie działa. Każdy wchodzi do Szkapiej Głowy od tyłu.

Zresztą i tak stary Fred już tu jest.

Od ulicy pod kątem odchodziła wąska alejka, biegła między domami. U jej wylotu stał drugi wózek, a w cieniu obok o mur opierał się wysoki chłopak w czarnej skórzanej kurtce. Spokojnie jadł jabłko i patrzył na nich spod na wpół przymkniętych powiek.

–Cześć, Fred! – wesoło zawołał gazeciarz. – Przyproważyłem ci tego

gościa.

Fred milczał. Odgryzł wielki kęs jabłka, powoli go przeżuł, otwierając usta, i przełknął. Obrzucił Nathaniela spojrzeniem od stóp do głów.

–Przyszedł po popołudniowe wydanie – wyjaśnił gazeciarz.

–Naprawdę? – spytał Fred.

–Tak, u mnie już się skończyło. To ten, o którym ci mówiłem – szybko dodał gazeciarz. – Ma to ze sobą.

Na te słowa Fred wyprostował się, przeciągnął, cisnął na ulicę resztę jabłka i odwrócił się do nich. Jego skórzana kurtka skrzypiała, kiedy się poruszał. Był wyższy od Nathaniela o głowę, a

do tego potężny w barach. Pryszczę na podbródku i policzkach nie łagodziły groźnego wyrazu twarzy. Chłopiec poczuł się trochę nieswojo, jednak zebrał się w sobie i odezwał z tak szorstką pewnością siebie, na jaką tylko potrafił się zdobyć.

–No to jak, macie jedną? Nie chcę tracić czasu. Fred spojrział na niego.

–U mnie też wszystkie zeszyły – powiedział.

–Trudno. Aż tak bardzo jej nie potrzebowałem. – Nathaniel chciał już tylko jak najszybciej odejść.

–Poczekaj. – Fred wyciągnął swoją dużą dłoń i chwycił go za rękaw. – Nie musisz tak szybko uciekać. Masz trochę czasu przed godziną policyjną.

–Puść mnie! Daj mi odejść! – Nathaniel spróbował strząsnąć obcą rękę. Głos miał niepewny i piskliwy.

Gazeciarz uspokajająco poklepał go po ramieniu.

–Nie panikuj. Nie szukamy kłopotów. Nie wyglądamy chyba na magów, co? No dobrze. Chcemy tylko zadać ci kilka pytań, prawda, Fred?

–Racja – Fred chyba w ogóle się nie wysilił, wciągając Nathaniela w uliczkę, poza zasięg wzroku klientów gospody.

Chłopiec ze wszystkich sił starał się opanować strach.

–Czego chcecie? – powiedział. – Nie mam pieniędzy.

Gazeciarz się roześmiał.

–Koleś, my nie chcemy cię okraść. Tylko parę pytań, tak jak mówiłem. Jak się nazywasz?

Nathaniel przełknął ślinę.

–Hm... John Lutyens.

–Lutyens? Jesteśmy z wyższych sfer, co? No, co tu robisz, John? Gdzie jest twój dom?

–E... Na Highgate – gdy tylko to powiedział, zrozumiał, że popełnił błąd.

Fred zagwizdał. W głosie drugiego gazeciarza pojawił się uprzejmy sceptycyzm.

–Bardzo ładnie. John, tam mieszkają magowie. Jesteś magiem?

–Nie.

–A twój kolega? Nathaniel zdumiał się.

–Mój... mój kolega?

–No, ten ładny, śniady dzieciak. Ten, z którym byłeś dzisiaj rano.

–On? Ładny? Zwykły chłopak, przypadkiem go spotkałem. Nie wiem, gdzie poszedł.

–Skąd masz nowe ubranie?

O, to już było więcej niż Nathaniel mógł znieść.

–A to co? – Nie muszę odpowiadać na wasze pytania! Dajcie mi spokój!

Znowu wróciła mu pewność siebie. Nie pozwoli, by jakichś dwóch prostaków go przesłuchiwało. Ta cała sytuacja to jakiś absurd.

–Luzik – powiedział gazeciarz. – Po prostu zainteresowaliśmy się tobą.

I tym, co nosisz w płaszczu.

Nathaniel zamrugał. W kieszeni miał tylko magiczne zwierciadło, na pewno żaden z nich nie widział, jak go używa. Wyjmował dysk tylko w bibliotece.

–W płaszczu? Nic w nim nie ma.

–Ależ jest – odparł Fred. – Stanley to wie. Prawda, Stanley? Gazeciarz przytaknął.

–Ano.

–On kłamie, jeśli mówi, że coś widział.

–Och, on tego nie widział. Nathaniel zmarszczył brwi.

–Bzdury pleciesz. Proszę, pozwól mi odejść.

To było nie do wytrzymania! Gdyby tylko miał pod ręką Bartimaeusa, zaraz nauczyłby tych prostaków szacunku. W półmroku alejki Fred spojrział na zegarek.

–Stanley, musimy wracać przed godziną policyjną. Chcesz, żebym mu to zabrał?

Gazeciarz westchnął.

–Słuchaj, John – powiedział spokojnie. – Chcemy tylko zobaczyć to, co

ukradłeś. Nie jesteśmy ani glinami, ani magami, więc nie musisz się szarpać. I,

kto wie, może się postaramy, żebyś na tym wszystkim nie stracił. Swoją drogą,

to co chcesz z tym zrobić? Użyć tego? Nie, po prostu pokaż, co masz w lewej kieszeni. Jak nie, to ja będę musiał pozwolić, żeby wziął się za ciebie stary

Fred.

Nathaniel zrozumiał, że nie ma wyboru. Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął dysk i podał go bez słowa. Gazeciarz w świetle lampy przyjrzał się zwierciadłu, obracał je w dłoniach.

–Stanley, co o tym sądzisz? – zapytał Fred.

–Nowoczesne – odparł wreszcie drugi chłopak. – Bardzo topornie zrobione.

Można powiedzieć, że domowa robota. Nic specjalnego, ale warto to mieć –

przekazał dysk Fredowi, by i ten go sobie obejrzał.

Nagle Nathaniel zaczął coś podejrzewać. Ostatnia lawina kradzieży magicznych przedmiotów przysparzała ministrom wielu zmartwień. Devereaux wspominał o niej w swojej przemowie, a mistrz chłopca wiązał te przestępstwa z tajemniczym ruchem oporu, który dwa dni temu zaatakował Parlament. Zapanowało przekonanie, że kradzieży dokonuje pospólstwo, a potem czarodziejskie przedmioty trafiają w ręce wrogów rządu... Nathaniel przypomniał sobie chłopaka o dzikim spojrzeniu, który stał na tarasie Westminster Hall i ciskał kulą żywiołów. Tam na własne oczy widział ruch oporu w akcji. Serce zabiło mu szybciej. Musiał być bardzo ostrożny.

–Czy to... Czy to cenne? – zapytał.

–Tak – odparł Stanley. – We właściwych rękach może się przydać. Skąd to masz?

Nathaniel myślał szybko.

–No dobra – powiedział. – Ja, eee... ukradłem to. Byłem na Highgate... jasne, że tam nie mieszkam, przechodziłem obok takiego dużego domu. Okno było otwarte i zobaczyłem na ścianie coś błyszczącego. No więc wskoczyłem i to zabrałem. Nikt mnie nie widział. Myślałem po prostu, że będę mógł to sprzedać, i tyle.

–John, wszystko jest możliwe – powiedział gazeciarz. – Wszystko jest możliwe. Wiesz, co się tym robi?

–Nie.

–To jest czarodziejskie zwierciadło, coś w tym stylu.

Nathanielowi wracała pewność siebie. Oni chyba dadzą się łatwo nabrać. Otworzył usta, robiąc grymas, który, jak sądził, pojawia się na twarzach oszołomionych ludzi z prostaków.

–I co? Można w tym zobaczyć przyszłość?

–Być może.

–Umiesz się tym posługiwać? Stanley gwałtownie splunął pod ścianę.

–Ty bezczelny gnojku! Powiniennem cię za to nieźle trzepnąć. Nathaniel odsunął się zmieszany.

–Przepraszam, chodziło mi... No, hm, jeśli to cenne, to może znasz kogoś, kto by to kupił? Tak się składa, że bardzo potrzebuję forsy.

Stanley spojrział na Freda, który powoli skinął głową.

–Masz farta – stwierdził wesoło. – Fredowi to się podoba, a ja zawsze się zgadzam ze starym Fredem. Znamy kogoś, kto pewnie zapłaci dobrą cenę, a jak ci się poszczęści, to jeszcze w czymś pomoże. Chodź z nami, przygotujemy to spotkanie.

To było interesujące, ale kłopotliwe. Nathaniel nie mógł teraz łązić po Londynie i umawiać się na spotkania. I tak już za długo był poza biblioteką. Znacznie ważniejsze było dostać się na konferencję u Lovelace'a. Zresztą, jeśli miałby wchodzić w jakieś konszachty z tymi kryminalistami, to potrzebował Bartimaeusa. Potrząsnął głową.

–Teraz nie mogę iść – oświadczył. – Powiedz mi, gdzie go znajdę albo gdzie powinienem przyjść, i spotkamy się później.

Gazeciarze popatrzyli na niego spokojnie.

–Niestety – powiedział Stanley. – To nie taki rodzaj spotkania i też nie taka osoba, jak myślisz. A właściwie to co ty masz takiego pilnego do roboty?

–Muszę, hm, spotkać się z kolegą – zaklął cicho. Błąd. Fred poruszył się. Jego kurtka zaskrzypiała.

–Przed chwilą mówiłeś, że nie wiesz, gdzie on jest.

–Ee, tak. Muszę go znaleźć. Stanley popatrzył na zegarek.

–Przykro mi, John. Teraz albo nigdy. Twój kolega może poczekać. Myślałem, że chcesz sprzedać ten przedmiot.

–Chcę, ale nie dzisiaj. Naprawdę interesuje mnie to, co proponujesz. Po prostu nie mogę teraz tego zrobić. Słuchaj. Spotkajmy się tutaj jutro. To samo miejsce, o tej samej porze.

Był coraz bardziej zdesperowany, mówił za szybko. Czuł, jak rosą ich podejrzenia i niedowierzanie. Chciał już tylko pójść sobie stąd jak najszybciej.

–Nic z tego. – Gazeciarz poprawił czapkę. – Fred, tu się chyba nie

dogadamy. Zbieramy się?

Fred skinął głową. Zdumiony Nathaniel patrzył, jak chowa magiczne zwierciadło w kieszeni kurtki. Krzyknął wściekle:

–Hej! To moje! Oddaj!

–John, straciłeś już swoją szansę. Jeśli w ogóle tak masz na imię. Spływamy.

Stanley chwycił rączki swojego wózka. Fred popchnął Nathaniela prosto na wilgotne kamienie muru.

A Nathanielowi puściły nerwy. Ze zduszonym krzykiem rzucił się na Freda, okładał go pięściami i kopał.

–Oddawaj... mój... dysk!

Czubek buta mocno uderzył w goleń chłopaka – gazeciarz aż ryknął z bólu. W powietrzu świsnęła pięść i wylądowała prosto na policzku chłopca. Kiedy się ocknął, leżał w błocie na ulicy, kręciło mu się w głowie, a Fred i Stanley oddalali się szybko, ciągnąc za sobą podskakujące wózki.

Gniew pokonał słabość, zwyciężył też nad ostrożnością. Nathaniel z trudem wstał i chwiejnym krokiem ruszył w pościg.

Nie mógł iść szybko. W uliczce było już ciemno. Mury domów stały się szarymi kurtynami, niewiele jaśniejszymi od rozciągającej się przed nim atramentowej pustki. Gorączkowo wymacał drogę, krok po kroku. Dłonią sunął po ceglach, nasłuchując uważnie znajomego odgłosu wózków gazeciarzy. Fred i Stanley chyba też zwolnili – wózki skrzypiały ciszej, ale wciąż było je słychać. Na każdym skrzyżowaniu potrafił określić, którądy pojechali.

Bezradność doprowadzała go do szału. Niech szlag trafi tego dżinna! Kiedy go potrzebował, nigdy go nie było! Jeśli uda mu się złapać tych złodziei, gorzko tego pożałują... A teraz dokąd iść? Stał obok wysokiego, zakratowanego okna pokrytego grubą warstwą brudu. Gdzieś w oddali usłyszał koła wózka, głośno stukające o bruk. W lewo. Ruszył tamtędy.

Wkrótce zauważył, że dźwięk przed nim się zmienił. Zamiast chrzęstu jadącego wózka, słyszał teraz przytłumione głosy. Szedł więc ostrożniej, przyciskając się do muru. Każdy krok stawiał ostrożnie, byle nie zapluskać w kałuży.

Uliczka prowadziła do wąskiej, brukowanej alejki – z obu jej stron ciągnęły się ubogie sklepiki, opuszczone i zabite deskami. Cienie niczym pajęczyna zasłoniły ich wejścia. W powietrzu unosił się delikatny zapach trocin.

Zobaczył wózki, stały pośrodku uliczki. Tyczka z lampą Stanleya została przeniesiona, teraz świeciła w zadaszonych drzwiach. W kręgu jej słabego blasku trzy osoby rozmawiały ściszymi głosami: Fred, Stanley i ktoś jeszcze. Szczupła postać odziana w czerń. Nathaniel nie mógł dojrzeć jej twarzy.

Bał się nawet odetchnąć. Nadstawił uszu, próbując dosłyszeć słowa.

Nic z tego. Był za daleko. Wiedział jednak, że choć teraz nie da rady z nimi walczyć, każdy strzęp informacji może mu się przydać. Uznał zatem, że warto zaryzykować. Podszedł bliżej. Wciąż nic. Ale zorientował się, że Fred i Stanley przeważnie milczą, a mówi głównie ta trzecia osoba. Miała wysoki głos, młody i ostry.

Jeszcze trochę bliżej...

Przy następnym kroku but chłopca uderzył w pustą butelkę po winie stojącą pod ścianą. Zachwiała się, zadźwięczała cicho o cegły. Nie przewróciła się. Ale ten brzęk wystarczył. Światło się poruszyło i trzy głowy zwróciły się ku chłopcu: Stanley, Fred i...

Widział tę twarz tylko przez chwilę, ale dobrze wryła mu się w pamięć. Twarz dziewczyny, blada i młoda, otoczona gęstwą prostych, ciemnych włosów. Szeroko otworzyła oczy, zaskoczona, ale nie wystraszona, wzrok miała przenikliwy. Słyszał, jak wydaje rozkaz, zobaczył, że Fred rzuca się ku niemu, dostrzegł też coś bladego i połyskliwego, co leciało w jego stronę przez mrok. Uchylił się pospiesznie... i uderzył skronią o ścianę. Gorycz w ustach, błysk przed oczyma. Upadł w kałużę u stóp budynku.

Leżał bez ruchu, na wpół przytomny, ledwie świadom tego, co dzieje się wokół. Ciało miał bezwładne. Usłyszał odgłos zbliżających się kroków, zazgrzytał metal, zaskrzypiała skóra. Poczul czyjąś obecność, twarz omiotło mu światło.

–Nie trafiłeś go. Zemdlał, ale żyje – powiedział dziewczęcy głos.

–Kitty, jak chcesz, to mogę podciąć mu gardło – to był Fred. Nathaniel nie wiedział, jak długo trwała cisza po tych słowach.

–Nie... To tylko głupi dzieciak. Chodźmy.

W mrocznej uliczce nastał spokój. Chłopiec się nie ruszał, jeszcze długo po tym, jak przestało szumieć mu w głowie. Jego ubranie nasiąkło wodą, przemarzło do szpiku kości. Ale ani drgnął.

Oiartitnaeiis

inęło prawie pięć godzin, nim wreszcie usłyszałem dźwięk odsuwanej luźnej deski i do biblioteki wgramolił się mój smutny, sponiewierany i cuchnący niesłychanie pan. Zostawiał za sobą smugi czegoś, co, jak miałem nadzieję, było błotem. Powłókł się w górę schodów, jak olbrzymi ślimak – i oklapł pod ścianą. Wiedziony naukową ciekawością, rozpałem niewielki Płomień i przyjrzałem mu się z bliska. Dobrze, że miałem doświadczenie w obchodzeniu się ze stygijskimi impletami i podobnymi im istotami, bo on wyglądał strasznie, jakby przeciągnięto go przez wyjątkowo ohydne grzęzawisko albo przez stajnię i potem jeszcze wsadzono głową w dół do brudnej kadzi pełnej skoszonej trawy. Włosy sterczały mu jak kolce jeża. Dżinsy miał na kolanach podarte i zakrwawione. Na policzku widniał wielki siniak, paskudnie rozciął też sobie skórę nad uchem. Ale najbardziej widoczna była wściekłość w jego oczach.

–Jak minął wieczór, panie? – zapytałem.

–Ogień – warknął. – Rozpał ogień. Zamarzam.

Nieuprzejmy, władczy ton jego głosu trochę nie pasował do kogoś, kto wyglądał, jakby właśnie wypluł go szakal, ale nie protestowałem. To wszystko było dla mnie bardzo zabawne. Zebrałem więc kilka kawałków

269

drewna, podsycałem płomienie, a potem usiadłem (pod postacią Ptolemeusza), tak blisko jak tylko mogłem.

–No – zacząłem wesoło – co za miła odmiana. Zwykle to dżinn przy

chodzi wymęczony i brudny. Podobają mi się takie innowacje. Dlaczego

wyszedłeś z biblioteki? Lovelace cię do tego zmusił? Jabor tu wtargnął?

Chłopiec odpowiedział powoli, przez zaciśnięte zęby:

–Wyszedłem po gazetę.

Coraz lepiej! Ze smutkiem potrząsałem głową.

–Takie niebezpieczne zadania powinieneś powierzać ludziom, którzy lepiej się do tego nadają: następnym razem poproś staruszkę albo małe dziecko...

–Zamknij się! – Oczy mu błyszczały. – To był tamten gazeciarski! I jego kumpel, Fred! Obaj z pospólstwa! Ukradli mi dysk, ten, który zrobiłem, i wywabili daleko stąd. Śledziłem ich, a oni próbowali mnie zabić. I zrobili by to, gdyby nie dziewczyna...

–Dziewczyna? Jaka dziewczyna?

–...ale i tak rozwalilem sobie głowę i upadłem w kałużę, a potem, kiedy sobie poszli, nie mogłem znaleźć powrotnej drogi, a to była już godzina policyjna, w powietrzu latały kule tropiące, więc musiałem się chować, jak przelatują. W końcu wylądowałem w ścieku pod mostem i całe wieki leżałem tam w błocie, a światła omiatały ulicę na górze. Potem, kiedy sobie poszli, wciąż szukałem drogi powrotnej. Godzinami! I skaleczyłem się w kolano!

No, to może nie był Szekspir, ale i tak dawno już nie słyszałem lepszej opowieści. Prawie mnie rozweseliła.

–Oni byli z ruchu oporu – mówił dalej, spoglądając w płomienie. – Jestem pewien. Będą chcieli sprzedać dysk, tym samym ludziom, którzy zaatakowali parlament! Ach! – zacisnął pięści. – Dlaczego ciebie tam nie było, czemu mi nie pomogłeś? Mógłbym ich złapać, zmusić, żeby zdradzili mi imię swojego przywódcy.

–Zapomniałeś? – odparłem chłodno. – Wykonywałem zadanie, które mi powierzyłeś. Kim była ta dziewczyna?

–Nie wiem. Widziałem ją tylko przez chwilę. Dowodziła nimi. Ale kiedyś ją odnajdę i wyrównam rachunki!

–Ale ty chyba mówiłeś, że to ona nie pozwoliła im cię zabić?

–Co z tego, i tak wzięła mój dysk! Złodziejka i zdrajczyni!

Kimkolwiek była ta dziewczyna, opowieść o niej brzmiała bardzo znajomo. Nagle coś przyszło mi do głowy.

–Skąd oni wiedzieli, że masz dysk? Pokazałeś im?

–Nie. Myślisz, że jestem idiotą?

–To swoją drogą. Jesteś pewien, że go nie wyjąłeś, kiedy szukałeś drobnych?

–Nie. Gazeciarz po prostu skądś wiedział. Jakby był dzinnem albo impem.

–Interesujące...

Z tego, co mówił chłopak, wynikało, że oni zachowywali się tak samo jak tamta banda, która napadła mnie w noc, gdy miałem Amulet z Samarkandy. Wtedy dziewczyna i jej kumple też nie musieli widzieć amuletu, by wiedzieć, że go mam. A potem znaleźli mnie mimo Ukrycia. Przydatne umiejętności... Z których, najwyraźniej, ktoś robił dobry użytek. Jeśli oni należeli do ruchu oporu, wyglądało na to, że opozycja wobec magów była lepiej zorganizowana i bardziej groźna niż sądziłem. W Londynie zbliżał się czas zmian...

Nie podzieliłem się z chłopcem tymi przemyśleniami. Mimo wszystko był wrogiem, a ostatnią rzeczą, jakiej trzeba magom, są moje mądre spostrzeżenia.

–Na chwilę zapomnijmy o twoich nieszczęściach – powiedziałem. – Może wysłuchasz mojego raportu?

–Znalazłeś Heddleham Hall? – mruknął

–Znalazłem. I jeśli chcesz, mogę cię tam zabrać. Wzdłuż Tamizy biegają tory kolejowe, prowadzą na południe, przez rzekę i za Londyn. Ale najpierw opowiem ci o zabezpieczeniach, jakimi Lovelace otoczył dom swojej przyjaciółki. Są niebezpieczne. Latające diabluki patrolują okolicę, a w przypadkowych miejscach posiadłości materializują się wyższe byty. Nad samym budynkiem są co najmniej dwie ochronne kopuły, które też się poruszają. Nawet sam nie dałem rady się przebić, a jak będę holował taki balast jak ty, będzie jeszcze trudniej.

Nie pozwolił wyprowadzić się z równowagi. Był już za bardzo zmęczony.

–Czuję w swojej esencji, że w tej posiadłości coś chowają – ciągnąłem. – Te zabezpieczenia są tam dwa dni za wcześnie, a to przecież kolosalne zużycie mocy. Wniosek? Tam już się coś dzieje.

–Ile czasu zabierze nam podróż?

–Do granic posiadłości możemy dotrzeć o zmierzchu, jeśli złapiemy poranny pociąg. Potem czeka nas długi spacer. Ale powinniśmy ruszyć już teraz.

–Świetnie. – Poderwał się. Ociekał błotem i wodą.

–Ten plan na pewno ci odpowiada? – zapytałem. – Zawsze mogę cię zabrać do doków. Brakuje im chłopców pokładowych. To ciężkie życie, ale dobre. Pomysł o słonym, morskim powietrzu.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Chłopiec już ruszył w drogę. Westchnąłem, zdmuchnąłem ogień i podążyłem za nim.

Szlak, który wybrałem, biegł po jałowej ziemi na południe i wschód, między fabrykami i magazynami, wzdłuż wąskiego dopływu Tamizy. Niewielki strumień bardzo się wił, tworząc labirynt malutkich wzgórz, trzęsawisk i jeziorok. Przeprowa zajęła nam resztę nocy. Buty nasiąkły błotem i wodą, ostre trzciny pokłuły nam nogi i ręce, a czasem nad głowami brzęczały owady. W przeciwieństwie do chłopca, który brzęczał bez przerwy. Po swoich przygodach z ruchem oporu miał bardzo zły humor.

–A czy ty wiesz, że to wszystko jest dla mnie znacznie gorsze niż dla ciebie? – rzuciłem po jakiejś szczególnie nieznośnej serii utyskiwań. – Sam mógłbym sobie nad tym przelecieć w pięć minut, ale nie, przecież muszę ci towarzyszyć. Taplanie się w błocie i szlamie jest pisane wam, ludziom, nie mnie.

–Nie widzę, gdzie stąpam – odparł chłopiec. – Możesz zapalić światło?

–Oczywiście, pod warunkiem że chcesz zwrócić uwagę latających po nocy dzinnów. Ulice są dobrze strzeżone. Sam się o tym przekonasz. Nie zapominaj, że Lovelace wciąż może nas szukać. Tę trasę wybrałem tylko dlatego, że tutaj jest tak ciemno i nieprzyjemnie.

Moje słowa chyba nie dodały mu otuchy. Ale przestał narzekać*.

* Maszerując tym szlakiem, odnieśliśmy jeszcze jedną korzyść: chłopak wreszcie przestał zamartwiać się utratą swojego cennego, magicznego zwierciadła. A sądząc ze sposobu, w jaki o nim opowiadał, można by pomyśleć, że tamten imp to jego brat krwi, a nie prymitywny naśladowca małego dziecka – i to schwytywany wbrew swojej woli. Owo przykre zdarzenie chyba bardzo dotknęło Nathaniela. Przypuszczam, że po tym, jak stracił swoją ukochaną panią Underwood, ten dysk był dla niego jedynym przyjacielem. Biedaczysko.

Kiedy tak się wleliśmy, rozważałem naszą sytuację, korzystając ze swojej niezawodnej logiki. Od chwili, gdy ten dzieciak mnie przyzwał, minęło już sześć dni. Sześć dni niewygód, których skutki gromadziły się w mojej esencji. Nie miałem pojęcia, kiedy to się wreszcie skończy.

Ten dzieciak... Jaką pozycję zajmował na mojej liście znajomych ludzików? Nie był najgorszym panem, którego musiałem znosić*, jednak miał kilka szczególnych, kłopotliwych cech. Każdy rozsądny mag, dobrze obeznany z mądrym okrucieństwem, wie, kiedy nadchodzi odpowiedni czas, by walczyć. Stosunkowo rzadko ryzykuje własną skórę (i skórę swoich sług). Ale ten mały nie miał o tym pojęcia. Napytał sobie biedy i zareagował, rzucając jak zraniony wąż. Coś go kiedyś poróżniło z Lovelace'em i jego dotychczasową dyskrecję zastąpił ślepy upór spotęgowany rozpaczą. Wściekłość i duma sprawiły, że wygasł w nim instynkt samozachowawczy. Zmierzał prosto na spotkanie ze śmiercią. Co zresztą chyba byłoby w porządku, gdyby tylko nie brał mnie ze sobą.

Nic nie mogłem na to poradzić. Krępowały mnie czarodziejskie więzy. Pozostawało mi tylko utrzymywać go przy życiu.

Do świtu przeszliśmy wspomnianym już, jałowym skrawkiem ziemi, z północnego Londynu niemal do samej Tamizy. Tam strumyk na krótko się poszerzył, a następnie, przez serię śluz i jazów, spłynął do rzeki. Nadszedł czas, by wrócić na drogę. Wspięliśmy się po brzegu aż do drucianego ogrodzenia, w którym wypaliłem małą dziurę i wyszliśmy przez nie na brukowaną ulicę. Z prawej strony było polityczne serce miasta, przed nami ciągnęła się Tamiza. Godzina policyjna na pewno już minęła, ale wciąż było pusto.

–Dobra – powiedziałem, zatrzymując się. – Stacja już blisko. Zanim tam pójdziemy, musimy rozwiązać pewien problem.

–Jaki?

–Nie możesz już dłużej wyglądać i cuchnąć jak prosiak.

Chłopca oblepiały różne świństwa, tworząc skomplikowany, plamisty wzór. Tylko oprawić go w ramki i zawiesić na ścianie.

* Prawdę mówiąc, określenie „dobry pan” zawiera w sobie sprzeczność. Nawet Salomon bywał nieznośny – za młodu bywał taki kapryśny – ale na szczęście jeden obrót pierścienia... i mógł rozkazywać aż dwudziestu tysiącom duchów. Miałem więc sporo wolnego czasu.

Skrzywił się.

–Racja. Najpierw mnie wyczyść. Musi być jakiś sposób.

–Jest.

Może nie powinienem go tak traktować: chwyciłem go i zanurzyłem w rzece. Tamiza przypominała błoto, w którym brodził. Ale i tak zmyła z niego najgorszy brud. Po minucie energicznej kąpieli pozwoliłem mu się wynurzyć. Parskał, wyrzucając wodę z nosa. Niezrozumiale bulgotał. Ja jednak spróbowałem go zrozumieć.

–Jeszcze raz? Jesteś nie do wytrzymania.

Po kolejnym solidnym płukaniu wyglądał już jak nowy. Oparłem go o betonowe nadbrzeże i wysuszyłem na nim ubranie, dyskretnie korzystając z Płomienia. Dziwne, ale jego humor się nie polepszył, za to pozbyliśmy się przykrego zapachu. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Ruszyliśmy dalej, do stacji, w samą porę, by złapać pierwszy pociąg na południe. Ukradłem z kiosku dwa bilety, a kiedy cała obsługa szukała po peronach rumianej, wzbudzającej zaufanie zakonnicy, usadowiłem się w wagonie, akurat gdy pociąg ruszał. Nathaniel usiadł gdzie indziej – myślę, że na złość. Chyba wciąż miał mi za złe to zaimprovizowane czyszczenie.

Pierwsza część podróży, trwająca pół godziny, to był najspokojniejszy i najmniej przykry czas, od kiedy w ogóle mnie tu przyzwano. Pociąg, wolno jak reumatyk, przemierzał niekończące się przedmieścia Londynu, przygnębiającą, bezludną dżunglę z cegły, która wyglądała jak morenowe ostańce, pozostawione przez ogromny lodowiec. Minęliśmy rzędy pustych fabryk i bloków betonu, pozostawionych samym sobie. Za nimi ciągnęły się wąskie, ciasne uliczki, gdzieś z kominów unosił się dym. Raz, wysoko pod jasnymi, białymi chmurami skrywającymi słońce, dostrzegłem grupę dżinnów, kierującą się na zachód. Nawet z tej odległości widziałem blask ich napierśników.

Mało kto wsiadał lub wysiadał z pociągu. Rozluźniłem się. Dżinny nie drzemią, ale zapadłem w coś będącego odpowiednikiem snu. Wspominałem minione stulecia i delectowałem się ich najmiłszymi chwilami: pomyłkami czarodziejów, swoją zemstą...

Kres tym marzeniom położył chłopak, usiadł naprzeciwko i powiedział nadąsany:

–Dobrze byłoby coś zaplanować. Jak przejdziemy przez te zabezpieczenia?

–Kiedy ma się do czynienia z przypadkowo zmieniającymi się kopułami i wartownikami – odparłem – nie sposób przejść niezauważonym. Potrzebujemy konia trojańskiego.

Chłopiec nie zrozumiał.

–Czegoś, co wygląda niewinnie i pozwoli nam przejść przez bramy. To coś, w czym się schowamy. A tak szczerze, to czego teraz uczą magów?*

–Musimy się w czymś schować – mruknął. – Masz jakiś pomysł?

–Żadnego.

Krzywiąc się, chłopak zastanawiał się nad tym, co mu powiedziałem. Niemal słyszałem, jak wytęża szare komórki.

–Goście przyjadą jutro – stwierdził. – Muszą ich wpuścić, więc przez bramę ciągle coś będzie jechało. Może powinniśmy się schować w jakimś samochodzie.

–Może – odparłem. – Ale wszyscy magowie będą po czubek nosa osłonięci Tarczami i otoczeni impami o wylupiastych oczach. Będzie nam trudno podkraść się niezauważenie.

–A co ze służbą? Też musi jakoś wchodzić – zauważył dzieciak

Trzeba mu przyznać: to dobry pomysł.

–Większość jest już na miejscu – odparłem – ale masz rację, niektórzy przyjadą w ciągu dnia, muszą przywieźć świeże jedzenie. Może przyjadą też komedianci, muzycy i żonglerzy...

Chłopiec spojrział z pogardą.

–Żonglerzy?

–Kto tu lepiej zna się na magach, ty czyja? Zawsze są żonglerzy*. Ale chodzi głównie o to, że na teren posiadłości wejdzie kilku niemagów.

* Zapewne nie historii starożytnej. Taka ignorancja zdenerwowałaby Faquarla, który często się przechwala, jak to podsunął Odysowi pomysł zbudowania drewnianego konia. Jestem pewien, że kłamię, ale nie mogę tego udowodnić, bo nie było mnie wtedy pod Troją.

Przebywałem wówczas w Egipcie...

**** Magowie mają najgorszy gust na świecie. Zawsze mieli. Och, publicznie starają się być zawsze grzeczni i dystyngowani, ale czy w wolnej chwili słuchają koncertów orkiestry kameralnej? Skądże znowu! Wolą oglądać karła na szczudłach albo taniec brzucha w wykonaniu kobiety z brodą, najlepiej codziennie. Mało kto wie, że Salomon, gdy odpoczywał po sprawowaniu sądów, zabawiał się w towarzystwie wesołych libańskich komediantów.**

Więc jeśli wystarczająco wcześnie zjawimy się w odpowiednim miejscu, to mamy szansę wślizgnąć się z którymś z nich. Warto spróbować. Tymczasem powinieneś się przespać. Do stacji jeszcze długa droga przed nami.

Powieki ciążyły mu jak ołów. Chociaż raz się ze mną nie spierał.

Widziałem lodowce, które poruszały się szybciej niż ten pociąg, więc chłopak wreszcie mógł się porządnie zdrzemnąć. W końcu jednak dotarliśmy na dworzec w pobliżu Heddleham Hall. Potrząsnąłem swoim panem i wygramoliliśmy się z wagonu na peron – tu natura szybko wypierała człowieka. W szczelinach betonu rosło kilka rodzajów trawy, a wybujale pnącza pokrywały ściany i sufit walącej się poczekalni. Pod zardzewiałymi lampami gnieździły się ptaki. Nie było kasy – nie było też ludzi.

Pociąg kuśtyk-kuśtyk pojechał dalej, tak jakby zaraz miał umrzeć pod żywoplotem. Biała furтка po drugiej stronie torów prowadziła do drogi. Wokół ciągnęły się pola. Odżyłem. Dobrze jest znaleźć się z dala od szkodliwych kleszczy miasta, w naturalnym otoczeniu drzew i zbóż*.

–Chodźmy drogą – powiedziałem. – Dwór jest co najmniej jedenaście

kilometrów stąd, więc jeszcze nie musimy uważać. Ja... O co chodzi?

Chłopiec zrobił się blady i niespokojny.

–Nic takiego. Po prostu... Nie jestem przyzwyczajony do wielkiej... przestrzeni. Nie widzę żadnych domów.

–I bardzo dobrze. To znaczy, że nie ma tu ludzi. Nie ma magów.

–Dziwnie się czuję. Tu jest tak cicho.

Racja. On jeszcze nigdy nie był poza miastem. Nigdy też pewnie nie był nawet w dużym parku. Pustka go przerażała. Przeszedłem przez tory i otworzyłem furtkę.

–Za tymi drzewami jest wioska. Dostaniesz tam jedzenie i poprzytulasz się

do budynków.

* Nawet jeśli pola są koszone i kształtowane przez ludzi, to i tak nie unosi się nad nimi smród magii. Od wieków czarodzieje pozostawiali zdecydowanie miejskimi stworzeniami. Kwitli za murami, mnożyli się tam jak szczury, snuli plotki i spiski, jak wielkie, spalone pająki. Tylko magowie z wiejskich społeczności – szamani z Ameryki Północnej i azjatyckich stepów -swoimi działaniami tak różnią się od tamtych, że niemal trudno ich w ogóle nazwać czarodziejami. Ale ich czas już przeminął.

Mój pan potrzebował sporo czasu, by wyzbyć się lęków. Wyglądał tak, jakby tylko czekał, aż puste pola czy zimowe krzaki powstaną jak wrogowie i runą na niego. Wciąż się rozglądał w obawie przed nagłym atakiem. Wzdrygał się, słysząc śpiew ptaków.

W przeciwieństwie do niego ja po raz pierwszy podczas tej podróży byłem rozluźniony, i to właśnie dlatego że okolica robiła wrażenie opustoszałej. Nie działała tam żadna magia, nawet wysoko na niebie.

Kiedy dotarliśmy do wioski, włamaliśmy się do jedyne go sklepu spożywczego i ukradliśmy tyle jedzenia, by żołądek chłopca przez resztę dnia był zaspokojony. Wieś była niewielka. Wokół zrujnowanego kościółka tłoczyło się tylko kilka domków. Raczej nie mieszkał tu jakiś czarodziej. Tych kilku ludzi, których dostrzegliśmy, szło spokojnie, nie towarzyszył im nawet imp. Mój pan wyrażał się o nich bardzo lekceważąco.

–Czy oni nie widzą, jak łatwo ich zranić? – parsknął pod nosem, kiedy mijaliśmy ostatni dom. – Nie mają żadnych ochron. Byłe magiczny atak i są bezbronni.

–Może nie przywiązują tak wielkiej wagi do swojego bezpieczeństwa. Są inne sprawy, o które można się martwić: na przykład, jak się utrzymać do wypłaty. Pewnie cię o tym w ogóle nie uczono*.

–O, nie – odparł. – Bycie magiem to najwyższe powołanie. To dzięki naszym umiejętnościom i naszemu poświęceniu ten kraj coś sobą reprezentuje, a ci głupcy powinni nam być wdzięczni.

–Więc, według ciebie, powinni być wdzięczni takim jak Lovelace?

Skrzywił się, ale nic nie odpowiedział.

Niebezpieczeństwo zagroziło nam po południu. Mój pan uświadomił je sobie, dopiero kiedy rzuciłem się na niego i zepchnąłem do płytkiego rowu obok drogi. Przycisnąłem go płasko do ziemi, mocniej niż naprawdę było trzeba.

W ustach miał pełno błota.

* Dużo w tym było prawdy. Magowie są w gruncie rzeczy pasożytami. W społeczeństwach, gdzie dominują, żyją dostatnio kosztem innych. Kiedy tracą władzę i muszą sami zarabiać na chleb, zazwyczaj ich sytuacja staje się trudna. W zamian za kilka miedziaków odprawiają niewielkie przyzwania, ku uciesze szyderczej tłuszczy z piwiarni.

–Co ty wyrabiasz?

–Siedź cicho. Patrol nad nami leci. Z północy na południe. Wskazałem prześwit w żywopłocie. Wysoko pod chmurami frunęło niewielkie stado szpaków. Dzieciak wypluł ziemię.

–Nie widzę ich.

–Na piątym planie to są diabliki*. Zaufaj mi. Teraz musimy już uważać.

Szpaki znikły gdzieś na południu. Wstałem ostrożnie i przyjrzałem się widnokręgowi. Przed nami samotna kępa drzew znaczyła początek strefy lasów.

–Lepiej zejdźmy z drogi – powiedziałem. – Jesteśmy tu zbyt widoczni. Po zmroku podejziemy bliżej domu.

Bardzo ostrożnie precyzyjnie się przez szczelinę w żywopłocie. Okrążyliśmy pole i znaleźliśmy się we względnie bezpiecznym cieniu drzew. Na żadnym planie nic nam nie groziło.

Las przeszliśmy spokojnie. Wkrótce przycupnęliśmy na jego skraju, przyglądając się temu, co było przed nami. Teren łagodnie opadał, dlatego mieliśmy dobry widok na jesienne pola, zaorane i purpurowobrunatne.

W odległości mniej więcej kilometra pola przecinał stary, ceglany mur, walący się i zniszczony wskutek kaprysów pogody. On to właśnie, a także rosnące za nim niskie, ciemne kępy sosen znaczyły granicę posiadłość Heddleham. Widać było, na piątym planie, czerwoną kopułę nad drzewami. Kiedy na nią patrzyłem, znikła. Chwilę później na szóstym planie i w nieco większej odległości zmaterializowała się druga, niebieskawa.

Między drzewami widać też było niewyraźne zarysy wysokiego łuku, chyba oficjalnego wejścia na teren posiadłości. Od tego miejsca droga stawała się szersza, prosta jak tor oszczepu ciśniętego przez pola. Docierała do krzyżówki obok kępy dębów, pół kilometra od nas. Dróżka, którą ostatnio szliśmy, też kończyła się na tej krzyżówce. Odchodziły od dwa inne szlaki.

Słońce jeszcze całkiem nie znikło za drzewami. Chłopiec spojrział w jego stronę, mrużąc oczy, i spytał:

* Odmiana o pięciorgu oczach: dwoje na głowie, jedno na każdym boku i jedno... No, powiedzmy, że ciężko przemknąć obok niego, kiedy się wypina.

–Czy to wartownik?

Wskazał jakiś odległy pniak, w połowie drogi do krzyżówki. Coś na nim było: chyba jakaś nieruchoma, czarna postać.

–Tak – odparłem – Inny wartownik właśnie zmaterializował się na skraju trójkątnego pola.

–Och! Ten pierwszy zniknął!

–Mówiłem ci. Oni się pojawiają w przypadkowych miejscach. Nie możemy przewidzieć, gdzie ich spotkamy. Widzisz tę kopułę?

–Nie.

–Twoje soczewki są nawet gorzej niż bezużyteczne. Chłopiec zaklął.

–A czego oczekujesz? Nie mam twojego wzroku, demonie. Gdzie to jest?

–Grubiański język nic ci nie pomoże. Nie powiem.

–Nie bądź śmieszny! Muszę wiedzieć!

–Ten demon już nic nie powie.

–Gdzie to jest?

–Uważaj, gdzie stawiasz nogi. Właśnie w coś wdepnąłeś.

–Powiedz mi!

–Ile razy jeszcze mam ci powtarzać? Nie lubię, jak się mnie nazywa demonem. Rozumiesz?

Wziął głęboki oddech.

–Świetnie.

–Po prostu o tym pamiętaj.

–W porządku.

–Jestem dzinnem.

–W porządku, w porządku. Gdzie jest kopuła?

–W lasku. Teraz na szóstym planie, ale wkrótce się przemieści.

–Nie ułatwiają nam zadania.

–Właśnie po to są zabezpieczenia.

Twarz miał szarą ze zmęczenia, ale wciąż zaciętą i stanowczą.

–Dobra. Sprawa jest jasna. Ta brama to oficjalne wejście na teren posiadłości, jedyna pusta przestrzeń w ochronnych kopułach. Przy niej będą sprawdzać wjeżdżających gości i puszcząć ich dalej. Jeśli tamtędy przejdziemy, dostaniemy się do środka.

–Po to, by nas tam związali i zabili – odparłem. – Hura.

–Problem w tym – mówił dalej – jak tam wejdziemy...

Przez dłuższy czas siedział, przysłaniając oczy dłonią, i patrzył, jak słońce chowa się za drzewami, a na polach kładzie się chłodny, zielony cień. W nieregularnych odstępach czasu pojawiali się i bez śladu znikali wartownicy -byliśmy za daleko, by poczuć zapach siarki.

Odległy dźwięk sprawił, że znów spojrzeliśmy na drogi. Jedną z nich, tą, która wiodła ku horyzontowi, jechało z rykiem coś, co wyglądało jak czarne pudełko zapalek: samochód jakiegoś maga. Pędził między żywopłotami, trąbił władczo na każdym zakręcie. Dotarł do krzyżówki, zwolnił, zatrzymał się i upewniwszy się, że nic nie jedzie, skręcił w prawo, ku Heddleham. Kiedy zbliżał się do bramy, nad ciemnymi polami błyskawicznie poszybowało ku niemu dwóch wartowników. Płaszcz powiewały za nimi jak podarte szmaty. Gdy dotarli do żywopłotów po obu stronach drogi, nie zbliżali się już bardziej, tylko trzymali się w stałej odległości od auta, które było już przy bramie. Cień tam był bardzo gęsty, niewiele było widać. Samochód stanął. Ktoś do niego podszedł. Wartownicy schowali się za drzewami. Wkrótce wóz ruszył dalej, pod łukiem – i już go nie widzieli. Warkot silnika rozplynął się w wieczornym powietrzu. Strażnicy pomknęli z powrotem na pola.

Chłopiec usiadł i przeciągnął się.

–Dobra – powiedział – teraz już wiemy, co powinniśmy zrobić.

35

krzyżówka była dobrym miejscem na zasadzkę. Każdy pojazd, który się do niej zbliżał, musiał zwolnić, z obawy przed wypadkiem. Gęsta kępa dębów i wawrzynu zasłaniała ją przed Heddleham. I wyglądała na miejsce, w którym można się przyczaić.

Dlatego, gdy przyszła noc, tam właśnie ruszyliśmy. Chłopiec czołgał się pod żywopłot, ja leciałem wolno przed nim, przybrawszy kształt nietoperza.

Obok nas nie pojawił się żaden wartownik. Nad głowami nie przeleciał też żaden strażnik. Chłopiec dotarł do krzyżówki i zagrzebał się w poszyciu pod

największym dębem. Ja zawisłem na konarze, czujnie obserwując otoczenie.

Mój mistrz spał albo przynajmniej próbował. Wsłuchiwałem się w rytm nocy: odgłosy sów, gryzoni i żerujących jeży, gdzieś skradał się niespokojny dzinn. Przed świtem odpłynęły chmury i zajaśniały gwiazdy. Zastanawiałem się, czy Lovelace czyta z nich teraz, stojąc na dachu dworu, i co mu one mówią. Noc była coraz chłodniejsza. Na polach lśnił mróz.

Nagle uświadomiłem sobie, że mój pan może bardzo ucierpieć z zimna. Ta myśl sprawiła, że następna godzina minęła mi całkiem przyjemnie. Potem uświadomiłem sobie jeszcze jedno. On przecież mógł w tej kryjówce zamarznąć na śmierć. A to nie byłoby dla mnie dobre. Wtedy już nieuchronnie znalazłbym się w puszczy. Niechętnie pofrunąłem spiralą w dół, do krzaków, i zacząłem go szukać.

Co za ulga – choć nie radosna: żył, ale twarz mu już trochę posiniała. Kulił się w swojej kurtce, przykryty kupą liści szeleszczących, gdy drżał.

–Chcesz się ogrzać? – szepnąłem.

Ledwie poruszył głową – nie wiedziałem, czy nią potrząsnął, czy też po prostu zadygotała z zimna.

–Nie?

–Nie.

–Dlaczego?

Szczęki miał ściśnięte tak mocno, że z trudem je rozwarł.

–To może ich do nas ściągnąć.

–Na pewno nie chodzi o twoją dumę? Nie chcesz pomocy od paskudnego demona? Lepiej uważaj na ten mróz, bo mogą ci zamarznąć gile w nosie. Już widziałem coś takiego*.

–Z... Zostaw mnie.

–Rób, jak chcesz.

Wróciłem na moje drzewo. Jakiś czas później, kiedy niebo na wschodzie zaczęło już jaśnieć, usłyszałem, że chłopak kicha, ale dalej uparcie milczał, choć było mu źle; cóż, na własne życzenie.

Kiedy nastał świt, nie mogłem już zwisać z gałęzi pod postacią nietoperza -teraz to nie był

odpowiedni kamuflaż. Schowałem się więc pod krzakami

*** To było bardzo, bardzo paskudne. Kiedyś o tym opowiem.**

i zmieniał w polną mysz. Chłopiec był tam, gdzie go zostawiłem, zesztyniał i kapalo mu z nosa. Przysiadłem na pobliskiej gałęzi.

–Masz chusteczkę do nosa, mój panie? – zapytałem.

Dzieciak z trudem uniósł dłoń i otarł smarki w rękaw. Pociągnął nosem.

–Jak tam?

–Wciąż masz gila pod prawą dziurką. A poza tym czysto.

–Chodzi mi o drogę.

–Nie. Jeszcze za wcześnie. Jeśli zostało ci coś do zjedzenia, to wcinaj teraz. Musimy być w pełnej gotowości, kiedy przyjedzie pierwszy samochód.

Jak się później okazało, nie musieliśmy się wcale spieszyć. Wszystkie cztery drogi długo były puste i ciche. Chłopiec zjadł to, co mu zostało, potem kucnął w mokrej trawie pod krzakiem i przyglądał się krzyżówce. Chyba się przeziębił, bo od czasu do czasu miał dreszcze. Biegałem tam i z powrotem – a nuż wynikną jakieś kłopoty – aż wreszcie wróciłem do chłopca.

–Pamiętaj – powiedziałem. – Samochód nie może stać dłużej niż kilka sekund, inaczej wartownik odgadnie, że coś jest nie tak. Musimy wskoczyć do auta, jak tylko dojedzie do krzyżówki. Musisz być szybki.

–Będę gotów.

–Naprawdę szybki.

–Powiedziałem, że będę gotów.

–No dobra. Widywałem już szybsze od ciebie ślimaki. Wczoraj nie chciałeś mojej pomocy, no i teraz jesteś chory.

–Nie jestem chory.

–Przepraszam, źle zrozumiałem. Zęby ci za głośno dzwonią.

–Nic mi nie będzie. Zostaw mnie samego.

–To twoje przeziębienie może nam narobić kłopotów, jak już będziemy w tym dworze. Lovelace może iść za odgłosami kich... Słuchaj!

–Co?

–Samochód! Jest za nami. Znakomicie. Zwolni akurat tutaj. Czekaj na mój rozkaz.

Przez wysokie trawy pobiegłem na drugą stronę zagajnika i przyczałem się za dużym kamieniem, na błotnistej skarpie nad drogą. Hałas silnika się wzmógł.

Przyjrzałem się niebu. Nie dostrzegłem żadnych obserwatorów, a od strony domu drogę skrywały drzewa. Już miałem skoczyć...

I skuliłem się za głazem. Niedobrze. Czarna błyszcząca limuzyna: samochód maga. Za duże ryzyko. Wóz przemknął, wzbijając tumany kurzu i rozrzucając drobne kamienie. Piszczwały hamulce, maska lśniła. Dostrzegłem pasażera: nieznanego mi człowieka o szerokich ustach, bladego, z włosami zaczesanymi do tyłu. Żadnego impa ani innego strażnika – lecz to bez znaczenia. Nie ma sensu atakować czarodzieja, pomyślałem.

Wróciłem do chłopca, który wciąż bez ruchu tkwił pod krzakiem.

–Nie idziemy – powiedziałem. – To mag.

–Widzę – smarknął. – Znam go. To jest Lime, jeden z ludzi Lovelace'a. Nie wiem, czemu wciągnięto go w spisek. Miernota. Kiedyś napuściłem na niego żądłące demony. Spuchł jak balon.

–Naprawdę? – Muszę przyznać, że byłem pod wrażeniem. – I co było potem?

Wzruszył ramionami.

–Dostało mi się. Ktoś się zbliża?

Na zakręcie przed nami pojawił się rower. Siedział na nim niski, otyły mężczyzna, jego nogi wirowały jak śmigła helikoptera. Nad przednim kołem był wielki koszyk, przykryty ciężkim białym sukniem.

–To rzeźnik – stwierdziłem. Chłopak wzruszył ramionami.

–Może. Bierzemy go?

–Zmieściłbyś się w jego ubranie?

–Nie.

–To go przepuszczamy. Będą inni.

Rowerzysta z zaczerwienioną twarzą i ciężko dysząc dojechał do krzyżówki, zahamował, otarł czoło i ruszył dalej, w stronę dworu. Śledziliśmy go wzrokiem – chłopiec przyglądał się koszykowi.

–Łakomy kąsek – stwierdził tęsknym głosem. – Umieram z głodu.

Minął jakiś czas i rzeźnik rowerzysta wrócił. Pedalując, wesoło pogwizdywał. Koszyk miał teraz pusty, ale, bez wątplenia, portfel pękaty. Za żywopłotem jeden ze strażników mknął jego śladem wielkimi skokami. W słońcu ciało i podarte ubranie dzinna były niemal przezrocyste.

Rzeźnik odjechał daleko. Chłopak stłumił kichnięcie. Strażnik odleciał. Wspiąłem się po kolczastej łodydze krzaka i rozejrzałem się. Niebo było przejrzyste, słońce darzyło pola ciepłem, nietypowym o tej porze roku. A drogą nikt nie jechał.

Przez następną godzinę jeszcze dwukrotnie do krzyżówki zbliżały się różne pojazdy. Najpierw półciężarówka z kwaciarni, którą prowadziła niechlujna kobieta z papierosem w ustach. Już miałem na nią skoczyć, kiedy kątem mysiego oka spostrzegłem trójkę strażników pod postacią kosów – leniwie szybowali nad zagajnikiem. Ich paciorkowate oczy lypały w różne strony. Bez szans – mogli wszystko dojrzeć. Schowałem się i pozwoliłem kobiecie spokojnie przejechać.

Kosy odleciały i kabrioletem nadjechał mag, tym razem od strony posiadłości. Niemal całą twarz zasłaniały mu czapka i gogle. Kiedy przemknął obok mnie, dostrzegłem tylko rudawą brodę, krótką i zadbaną.

–Kto to? – zapytałem. – Kolejny współnik?

–Nigdy go jeszcze nie widziałem. Może to ten, który wczoraj przyjechał.

–Nie siedział tam długo, kimkolwiek jest.

Chłopca ogarniała coraz większa złość. Kopnął kępę trawy.

–Jeśli wkrótce się tam nie dostaniemy, zaczną przyjeżdżać inni goście.

Musimy mieć czas, żeby zorientować się, co się dzieje. Ach! Gdybym tylko miał więcej mocy!

–Odwieczna bolączka magów – odparłem zmęczony. – Cierpliwości. Spojrzał na mnie dziko.

–Żeby być cierpliwym, trzeba mieć czas. A my tego czasu nie mamy. Ale okazja zdarzyła się już dwadzieścia minut później.

Znów usłyszeliśmy warkot samochodu i znów poszedłem na drugą stronę zagajnika. Popatrzyłem ze szczytu nasypu – i już wiedziałem, że to właśnie to. Drogą jechała ciemnozielona półciężarówka ze sklepu spożywczego, wysoka, kwadratowa, z eleganckimi, czarnymi błotnikami i błyszczącą, świeżo umytą karoserią. Na boku wielkie czarne litery informowały: Squalls i syn, sklep spożywczy z croydon, smaczne wiktuały dla wyższych sfer – i, ku mojej radości, wyglądało na to, że siedzą w niej Squalls i syn. Kierowcą był starszy, łysy jegomość, towarzyszył mu wesoły młodzian w zielonej czapce. Obaj chyba specjalnie wystroili się na swój wielki dzień i już nie mogli się go doczekać. Głowa starszego była gładka, jakby wypucowana na wysoki połysk.

Za kamieniem polna mysz naprężyła mięśnie.

Auto podjechało bliżej, silnik turkotał i ryczał pod maską. Spojrzałem w niebo. Żadnych

kosów, żadnych niebezpieczeństw. Czysto.

Furgonetka znalazła się na wysokości zagajnika, niewidoczna z odległej bramy do Heddeham.

Panowie Squalls otworzyli okna, by rozkoszować się świeżym powietrzem. Syn mruczał wesoło.

W połowie zagajnika usłyszał szelest. Spojrzał w prawo.

I zobaczył polną mysz – w pozycji atakującego karateki, z wyciągniętymi pazurkami i przede wszystkim wysuniętymi do przodu nogami leciała prosto na niego.

Wpadła przez otwarte okno. A oni nie zdążyli zareagować. W kabinie zakotłowało się, zakołysała się gwałtownie. Wóz skręcił i zjechał na błotnisty skraj drogi, koła zabuksowały się i wpadły w poślizg. Silnik zakrzuszył się, po czym zgasł.

Przez chwilę panowała cisza. Potem otworzyły się drzwiczki od strony pasażera. Człowiek bardzo podobny do Squallsa sięgnął do kabiny i wyciągnął nieprzytomnych Squallsów. Syn wyglądał jak obdartus.

Szybko przeniosłem obu przez drogę, nad skarpą i w głąb zagajnika. Ukryłem ich tam pod gąszczem jeżyn i wróciłem do samochodu*.

Teraz musiałem pokonać największe trudności. Dżinny i pojazdy po prostu do siebie nie pasują. To nieprzyjemne uczucie być zamkniętym w blaszanym pudle, wdychać smród benzyny i oleju, zapach sztucznej skóry i człowieka. Jak słaby i nędzny musi być gatunek ludzki, skoro, by podróżować, potrzebuje tak paskudnych środków.

A poza tym nie miałem pojęcia, jak się prowadzi samochód**.

* Faquarl stwierdziłby, że lepiej ich pożreć, a Jabor nic by nie stwierdził, tylko to zrobił. Ale ja odkryłem, że ludzkie mięso powoduje u mnie bóle esencji. To jak jedzenie źle przyrządzonych owoców morza – za dużo szkodliwych bakterii w jednym kęsie.

** Dotychczas doświadczyłem tego tylko raz: podczas Wielkiej Wojny, kiedy armia brytyjska stacjonowała jakieś pięćdziesiąt kilometrów od Pragi. Czeski mag, którego imienia nie wspomnę, kazał mi ukraść dokumenty. Dobrze ich strzeżono, dlatego, by dostać się do obozu Brytyjczyków, musiałem przejechać ambulansem obok wrogich dżinnów. Prowadziłem bardzo kiepsko, ale to pomogło mi uwiarygodnić przebranie. Po prostu brałem do karetki każdego żołnierza, którego potrafiłem. Kiedy byłem już w obozie, szybko zabrano ich do szpitala, a ja wymknąłem się i ukradłem plany kampanii.

Włączyłem jednak silnik i udało mi się zawrócić z pobocza na środek drogi. Potem dojechałem do krzyżówki. Wszystko to trwało ledwie minutę, ale muszę przyznać, że się bałem. Bystry wartownik mógł się zdziwić, dlaczego półciężarówka tak długo jedzie przez las. Na krzyżówce zwolniłem, szybko się rozejrzałem i nachyliłem ku oknu od strony pasażera.

–Szybko! Wsiadaj!

Pobliski krzak zaszeleścił, coś szarpnęło drzwiami auta i w kabinie pojawił się chłopiec, dyszał jak słoń. Sekundę później skręciliśmy w prawo i znaleźliśmy się na drodze do Heddleham.

–To ty, prawda? – wysapał, patrząc na mnie.

–Oczywiście. Teraz szybko się przebieraj. Wartownicy będą tu za chwilę. Pomacał rękoma wokół siedzenia, zerwał z siebie płaszcz i sięgnął po

koszulę młodego Squallsa, jego zieloną kurtkę i spodnie. Wyglądały świetnie zaledwie pięć minut temu. Teraz były pomięte.

–Pospiesz się! Nadchodzą.

Z obu stron przez pola w podskokach zbliżali się strażnicy, ich czarne szmatławe ubrania powiewały na wietrze. Chłopiec szarpał koszulę.

–Dziurki od guzików są za wąskie! Nie mogę ich odpiąć!

–Wkładaj ją przez głowę.

Wartownik z mojej lewej zbliżał się szybciej. Widziałem jego oczy: dwa czarne owale pobłyskujące od czasu do czasu. Spróbowałem przyspieszyć, ale nacisnąłem zły pedał. Auto zatrzęsło się i niemal stanęło. Ze schyloną głową chłopiec poleciał do przodu, na deskę rozdzielczą.

–Au! Zrobiłeś to specjalnie!

Nacisnąłem odpowiedni pedał. Przyspieszyliśmy.

–Wkładaj tę kurtkę albo już po nas. I czapkę.

–A co ze spodniami?

–Zapomnij. Nie ma czasu.

Chłopiec włożył kurtkę, ale kiedy wciskał czapkę na poczochrane włosy, z boku pojawili się

dwaj wartownicy. Lecąc wzdłuż żywopłotu, wpatrywali się w nas błyszczącymi oczyma.

–Pamiętaj, musimy udawać, że ich nie widzimy – powiedziałem. – Patrz prosto przed siebie.

–Patrzę – nagle coś przyszło mu do głowy. – Czy oni nie widzą, kim jesteś?

–Nie są na tyle silni. – Miałem cichą nadzieję, że to prawda. Sądziłem, że są to ghule*, ale w tych czasach niczego nie można być pewnym**.

Przez jakiś czas jechaliśmy drogą ku ścianie drzew. Patrzyliśmy prosto przed siebie. Wartownicy podążali z boku. Wkrótce chłopiec znów się odezwał.

–Co mam zrobić z tymi spodniami?

–Nic. Musi ci wystarczyć to, co już masz. Zaraz będziemy przy bramie. Twoja górna połowa wygląda zresztą całkiem porządnie.

–Ale...

–Obciągnij kurtkę, wygładź każde zagięcie. Tak trzeba. Dobra. Ja jestem Squalls, a ty jesteś moim synem. Wieziemy jedzenie do Heddleham Hall, świeże wiktuały na konferencję. Zaraz, zaraz, chyba powinniśmy sprawdzić, co tak naprawdę wieziemy. Możesz spojrzeć?

–Ale...

–Nie przejmuj się, możesz zajrzeć do tyłu, to nic dziwnego.

Między nami z tyłu kabiny znajdowało się metalowe okienko. Wskazałem mu je.

–Zerknij tam. Ja mógłbym, ale prowadzę.

–Dobra. – Oparł się kolanami o siedzenie, otworzył okienko i wepchnął w nie głowę.

–Ale tu ciemno... Mnóstwo rzeczy...

–Widzisz coś konkretnego?

Zerknąłem na niego i prawie straciłem panowanie nad kierownicą. Auto skręciło gwałtownie ku żywopłotowi. W ostatniej chwili wyprowadziłem je na prostą.

–Twoje spodnie! Siadaj! Gdzie są twoje spodnie?

* Ghule: pomniejsze dzinny o podejrzanym rodowodzie, lubią ludzkie mięso. Są dobrymi (choć ponurymi) wartownikami. Mogą oglądać tylko pięć planów. Ja nie byłem Squallsem dopiero na siódmym.

** Chyba wszystko na świecie aspiruje do wyższego poziomu. Kąśliwe drobiny chcą być moulerami, moulerzy diablifikami, diabliki dzinnami. Niektóre dzinny afrytami albo nawet

maridami. To beznadziejne. Nie da się znieść ograniczeń narzuconych przez esencję, choć istnieją byty, które udają potężniejsze istoty. Oczywiście, jeśli zaczynasz z odpowiedniego poziomu, już niczego nie chcesz zmieniać.

Posłuchał. Już lepiej.

–Przecież swoje zdjąłem! Kazaleś mi nie wkładać nowych.

–Nie wiedziałem, że pozbyłeś się też tych drugich! Wkładaj je.

–Ale wartownik zobaczy...

–Wartownik już wszystko widział, możesz mi wierzyć. No wkładaj. Kiedy chłopak trącił butami deskę rozdzielczą, potrząsnąłem swoją

odblaskową głową.

–Po prostu miejmy nadzieję, że ghule nie znają się dobrze na ludzkich

obyczajach. Może pomyślą, że to normalne, że się teraz przebierasz. Ale

strażnicy przy bramie na pewno będą bardziej spostrzegawczy.

Znaleźliśmy się już blisko granicy posiadłości. Przez przednią szybę widziałem rząd drzew. Droga skręcała ku nim łagodnie, prawie natychmiast pojawił się wielki łuk bramy. Zbudowano ją z masywnych bloków żółtego piaskowca, górowała nad pobliskimi krzewami i sprawiała wrażenie bardzo solidnej – jak niejeden łuk na świecie*. Fundator pewnie pozostawał nieznany. Twarze na kariatydach, które podtrzymywały łuk, były zatarte, szczegóły inskrypcji też. Rozrastający się bluszcz z czasem zagłuszy wszystko.

Wokół bramy wznosiła się czerwona kopuła, sięgała głęboko w las. Tylko pod samym łukiem droga była czysta.

Towarzyszący nam wartownicy niecierpliwie spoglądali przed siebie.

Kilka metrów od bramy zwoleń, zatrzymałem się, ale nie wyłączyłem silnika. Pomrukiwał delikatnie. Siedzieliśmy w kabinie i czekaliśmy.

Z boku budowli otwarła się drewniana furtka i wyszedł z niej mężczyzna. Chłopiec lekko zadrzał. Spojrzałem na niego. Dzieciak, już blade, zrobił się jeszcze bledszy. Oczy miał okrągłe jak spodki.

–Kto to jest? – syknąłem.

–To on... ten, którego widziałem w zwierciadle, ten, który przyniósł Lovelace'owi amulet.

Nie było czasu na odpowiedź, nie było czasu, by w ogóle coś zrobić. Morderca, jakby od

niechcienia, lekko się uśmiechnął i podszedł do wozu.

*** Wszystkie budowano po to, by uczcić zwycięstwo jednego plemienia nad drugim. Od Rzymu do Pekinu, od Timbaktu aż po Londyn łuki triumfalne pojawiały się wszędzie tam, gdzie miasta. Emanowały żywiołem ziemi i śmierci; jeszcze nigdy żaden mi się nie spodobał.**

atem to był on – człowiek, który ukradł Amulet z Samarkandy i zniknął bez śladu, człowiek, który podciął gardło poprzedniemu właścicielowi artefaktu i zostawił go w kałuży krwi. Najemnik Lovelace'a. Jak na człowieka, był mocnej postury, wysoki i dobrze zbudowany. Miał na sobie długą, zapinaną na guziki kurtę z ciemnego sukna oraz szerokie spodnie, niby szarawary, które wetknął w cholewy skórzanych botków. Uwagę zwracały kruczoczarna broda, szeroki nos i przenikliwie niebieskie oczy pod krzaczastymi brwiami. Jak na tak potężnego mężczyznę, poruszał się lekko i zwinnie. Teraz jedną rękę trzymał swobodnie przy boku, drugą zatknął za pas. Obszedł wóz, zaczynając od okna z mojej strony, nie spuszczał nas z oka. Potem spojrzał za siebie i machnął dłonią. Kątem oka zauważyłem, że eskortujące nas ghule wracają na pola. Wysunąłem głowę przez okno.

–Dzień dobry – powiedziałem wesoło z właściwym – oby! – londyńskim

akcentem. – Firma Ernest Squalls i Syn z dostawą wiktuałów do dworu.

Mężczyzna przystanął i chwilę przyglądał się nam w milczeniu.

–Squalls i Syn... – mówił powoli, niskim głosem, a jego niebieskie

oczy niemal przewiercały mnie na wylot. Budził niepokój.

Chłopiec nieświadomie głośno przełknął ślinę. Miałem nadzieję, że nie w przyływie paniki.

–Squalls i Syn... Owszem, czekamy na was.

–Tak, psze pana.

–Co przywozicie?

–Wiktuały, psze pana.

–A dokładnie?

–Hm... – Nie miałem pojęcia. – Wszelkich rodzajów, psze pana. Chciałby je pan obejrzeć?

–Starczy lista.

Niech to.

–Dobrze, psze pana. Hm, wszystko jest w skrzyniach... mamy puszki,

mnóstwo puszek, panie, paczki, butelki...

Zmrużył oczy.

–Bardzo to ogólna informacja.

Z boku usłyszałem wysoki głos. Nathaniel przechylił się nade mną.

–On nie przygotował listy, panie. Ja ją zrobiłem. Mamy bałtycki kawior, przepiórcze jaja, świeże szparagi, wędzone bolońskie salami, syryjskie oliwki, laski wanilii z Ameryki Środkowej, świeży makaron, języki skowronków w auszpiku, ślimaki winniczki marynowane w skorupkach, tubki ze świeżym, czarnym pierzem i solą, ostrygi, strusie mięso...

Dryblas uniósł dłoń.

–Wystarczy. Teraz chcę to obejrzeć.

–Tak, psze pana. – Czulem się niepewnie, ale wyszedłem z kabiny i poprowadziłem go do tyłu, modląc się żarliwie, by nie okazało się, że chłopca poniosła fantazja. Drżałem na samą myśl o tym, co by się stało, gdyby w furgonetce znajdowały się inne wiktuały. Ale teraz i tak nie mogłem nic na to poradzić. Zwalisty facet spokojnie stał obok mnie. Otworzyłem tylne drzwiczki i lekko je uchylilem.

Przez kilka minut oglądał wnętrze auta.

–W porządku. Możecie wjechać na teren posiadłości.

Prawie nie wierząc w to, co słyszę, zerknąłem na ładunek furgonetki. Od razu zauważyłem skrzynkę z butelkami w rogu, syryjskie oliwki, i wciśnięty pojemnik ze skowronczymi językami. Obok leżały opakowania makaronu... Zamknąłem drzwi i wróciłem do kabiny.

–Jakieś wskazówki dla nas, psze pana?

Mężczyzna położył dłoń na krawędzi otwartego okna. Jej grzbiet przecinały cienkie, białe blizny.

–Jedźcie drogą aż do rozwidlenia, potem skręćcie w prawo i dojedźcie na tyły dworu. Ktoś odbierze towar, a wy ruszycie z powrotem. A przedtem jedno ostrzeżenie: wjeżdżacie na prywatny teren znamienitego maga. Jeśli wam życie miłe, to się po nim nie wałęsajcie. Spotkałaby was surowa, mrożąca krew w żyłach kara.

–Tak, psze pana.

Kiwnął głową, zrobił krok do tyłu i dal nam znak, że możemy jechać. Nacisnąłem pedał gazu i wolno przejechaliśmy przez bramę. Wkrótce wydostaliśmy się poza ochronne kopuły: sprawiły, że moją esencję aż przebiegły ciarki. Potem był już teren posiadłości. Ruszyliśmy piaszczystą, wijącą się drogą między drzewami.

Spojrzałem na chłopca. Twarz miał spokojną, tylko na skroni lśniła pojedyncza kropla potu.

–Skąd ty wiedziałeś o tych wszystkich rzeczach? – spytałem. – Patrzyłeś na

ładunek tylko kilka sekund.

Uśmiechnął się słabo.

–Wyćwiczyłem to w sobie. Czytam szybko i dokładnie zapamiętuję. No i co o nim myślisz?

–O tym zabójcy od Lovelace'a? Intrygujący. Nie jest dzinnem i nie sądzę, żeby był też magiem. Nie ma tego twojego przykrego zapachu*. Ale wiemy, że zdołał zrabować amulet, musi więc mieć jakąś moc... i aż emanuje pewnością siebie. Zauważyłeś, jak ghule się go słuchały?

Chłopiec otarł czoło.

–Jeśli on nie jest magiem ani demonem, to jaką ma moc?

–Nie lądź się – odparłem ponuro. – Są też inne jej rodzaje. – Przypomniała mi się dziewczynka z ruchu oporu i jej towarzysze.

Nie zadawał już więcej pytań, bo droga nagle się wyprostowała i wyjechaliśmy z pasa drzew. Przed nami był Heddleham Hall.

Chłopiec jęknął.

Na mnie dwór nie zrobił aż takiego wrażenia. Jeśli ktoś pomagał przy budowie paru najwspanialszych budynków świata, a w kilku przypadkach nawet udzielał dobrych rad ich architektom**, jakaś wiktoriańska posiadłość w stylu gotyckim naprawdę nie wzbudza w nim zachwyty. Pewnie każdy zna ten rodzaj budynku: mnóstwo zawijasów i wieżyczek***. Wokół rozciągał się wielki trawnik, udekorowany tu i ówdzie pawiami i wallaby*.

* Wcale nie byłem nieuprzejmy. No dobrze, byłem, ale nie mijalem się z prawdą. Może nie jestem kulą tropiącą (pamiętasz, same nozdrza), ale mam czuły węch i niemal zawsze potrafię rozpoznać maga, nawet jeśli jest incognito. Lata przebywania w zadymionych pokojach i przyzywania potężnych istot sprawiają, że ich skóra nabiera szczególnego zapachu, głównie kadzidła z ostrą nutą strachu. A jeśli nie można po tym ich rozpoznać, wystarczy spojrzeć im w oczy: zwykle widać soczewki.

** Nie zawsze moje wskazówki brano pod uwagę. Wystarczy spojrzeć na Krzywą Wieżę w Pizie.

***** Zbyt krótki opis? Dobrze, to powiem więcej. Heddleham Hall był wielkim dwupiętrowym prostokątem o krótkich i grubych skrzydłach, ustawionych w kierunku północ-południe. Mnóstwo wysokich, zwieńczonych łukami okien, wysoki, stromy dach, zbyt dużo**

Rozbito na nim kilka pasiastych namiotów, do których służący wwozili właśnie z tarasu butelki i kieliszki. Przed domem rósł masywny, stary jesion. Pod jego rozłożystymi konarami droga się rozwidlała – w lewo wiodła ku frontowi domu, w prawo go mijala, prowadząc na tyły budynku. Tak jak nam kazano, wybraliśmy drogę dla służby. Mój pan wciąż pożerał wszystko wzrokiem.

–Daj już spokój z tymi swoimi żalnymi marzeniami – powiedziałem. –

Jeśli chcesz kiedyś mieć coś takiego, to najpierw musisz przeżyć dzisiejszy dzień. No, teraz jesteśmy już w środku, musimy opracować dalszy plan. Co proponujesz?

Chłopiec natychmiast się otrząsnął.

–Na podstawie tego, co mówił Lovelace – oznajmił – domyślamy się, że on chce zaatakować ministrów. Jak? Nie wiemy. Kiedy? Gdy tu przybędą, gdy będą najbardziej zrelaksowani i mało czujni. Bardzo ważną rolę w spisku odegra amulet.

–Tak. Zgoda. – Klepnąłem kierownicę. – Ale co z naszym planem?

–Mamy dwa cele: znaleźć amulet i rozpracować pułapkę, jaką zastawia Lovelace. Lovelace pewnie ma amulet przy sobie. W każdym razie, jest dobrze strzeżony. Przydałoby się jakoś go namierzyć, ale mu go nie zabierzemy, dopóki wszyscy goście nie przyjadą. Musimy im pokazać, że on go ma: udowodnić, że jest zdrajcą. A jeśli pokażemy im też pułapkę, jaką zastawił, tym lepiej. Będziemy mieli wszystkie dowody, jakich potrzebujemy.

–Jakie to dla ciebie proste – pomyślałem o Faquarlu, Jaborze i innych sługach Lovelace'a. Westchnąłem. – No, najpierw musimy gdzieś porzucić ten samochód i nasze przebrania.

Droga nagle skończyła się na kolistym, żwirowym placyku za domem. Parkował tam samochód z kwaciarni. Nieopodal były otwarte białe po-

ceglanych kominów; barokowe zdobienia, niby blanki nad głównym wejściem, wysokie zebrowane sklepienia, rozmaite gargulce (w nadmiarze). Gmach zbudowano z kremowobrazowego kamienia, który nieźle wygląda stosowany bez przesady, jednak w dużej masie sprawia, że budynek wygląda jak wielki, topiący się karmelek.

* Naprawdę udekorowany – zastanawiałem się, czy im nie poprzyklejano nóg do ziemi.

dwójne drzwi, przed którymi stał mężczyzna w ciemnym uniformie. Gestem kazał nam zjechać na bok.

–Dobra – powiedział chłopiec. – Rozładujemy samochód i łapiemy każdą okazję, jaka się przytrafi. Czekać na moje rozkazy.

–Hej, a czy ja kiedyś robiłem coś innego? – udało mi się zatrzymać auto tuż przy ozdobnych krzewach. Wsiadłem. Podszedł do mnie kamerdyner.

–Pan Squalls?

–Tak, to ja, psze pana. A to... mój syn.

–Spóźnił się pan. Kucharz bardzo potrzebuje tego, co pan wiezie. Proszę natychmiast zanieść to do kuchni.

–Tak, szefie. – Przez moją esencję przeszło niemiłe uczucie, zjeżyły mi się włosy na karku. Kucharz... Nie, to niemożliwe. On na pewno jest gdzie indziej. Otworzyłem drzwiczki.

–Synu, do roboty albo poczujesz moją ciężką rękę!

Czułem złośliwą satysfakcję, kiedy obciążylem chłopaka tyłoma słojami syryjskich oliwek i ślimaków, iloma tylko zdołałem, a potem popchnąłem w kierunku kuchni. Aż się zatoczył, nie to co Simpkin w sklepie Pinna*. Wziąłem małe opakowanie skowronczych języków i ruszyłem za nim, do chłodnego, pomalowanego na biało korytarza. Wszędzie wokół, niczym przestraszone zające, ganiali służący różnej płci, postury i wzrostu, wykonując rozmaite prace. Panowały wrzawa i zgiełk. W powietrzu unosił się zapach świeżego chleba i pieczonego mięsa, bo otwarte były szerokie, zwieńczone łukiem drzwi do kuchni. Zerknąłem do środka. Pełno tam było ubranych na biało kuchcików: siekali, polewali tłuszczem, opłukiwali, kroili... Nad paleniskiem coś obracało się na rożnie. Na stołach piętrzyły się stosy warzyw, a obok formy do ciasta wypełniano galaretką z owocami. Wszyscy zwijali się jak w ukropie. Polecenia wydawał im potężnie zbudowany szef kuchni -właśnie krzyczał na małego chłopca w niebieskim mundurku.

Kucharz podwinął rękawy. Jedno ramię miał obwiązane grubym białym bandażem.

Przejrzałem plany do siódmego włącznie.

* Nie, nie zapomniałem o Simpkinie. Wręcz przeciwnie, mam dobrą pamięć i bujną wyobraźnię. Poczyniłem już względem niego pewne plany.

I szybko wycofałem się z pola widzenia tego osobnika. Jego macki znałem aż za dobrze, nie było mowy o żadnej pomyłce.

Mój pan wszedł do kuchni, położył swój cenny ładunek na najbliższym blacie i ruszył do wyjścia, niczego nieświadom. Kiedy minął drzwi, wcisnąłem mu do ręki pudełko z językami skowronków.

–To też zanieś – syknąłem. – Nie mogę wejść do środka.

–Dlaczego?

–Po prostu to weź

Musiał mnie posłuchać i to szybko, bo na korytarzu pojawił się już służący w ciemnym uniformie i bacznie nam się przyglądał. Zawróciliśmy po następne wiktuały.

–Szef kuchni – szepnąłem, wyciągając z samochodu skrzynię pasztetu

z dzika – to dzinn, nazywa się Faquarl. Nie pytaj, dlaczego lubi tę postać,

nie mam pojęcia. Ale nie mogę tam wejść. Od razu mnie rozpozna.

Chłopiec zmrużył oczy.

–Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę?

–Po prostu musisz mi zaufać. Dasz radę wziąć jeszcze jeden worek ze strusimi stekami? Ojej. Może nie – pomogłem mu wstać. – Rozładuję samochód, ty przenoś rzeczy. Pomyślmy, co tu zrobić.

Kiedy chłopiec chodził tak z wiktuałami, sklecieliśmy plan. Trochę to kleczenie trwało i odbywało się dosyć burzliwie. Obaj uznaliśmy, że trzeba prześlizgnąć się obok kuchni i powęszyć po domu, ale ja nie chciałem nawet zbliżyć do Faquarla. Wpadłem na pomysł, żeby rozładować auto, ukryć je gdzieś między drzewami, podkraść się tu z powrotem i dopiero rozpocząć śledztwo – dzieciak jednak na nic się nie zgadzał.

–Dla ciebie to łatwe – powiedział. – Możesz przejść nad trawnikiem jako powiew trującego wiatru czy coś w tym rodzaju. Ja nie mogę. Zaraz mnie złapią. Teraz, jak już jestem w domu, pójdę dalej.

–Ale jesteś chłopakiem od dostawcy jedzenia. Jak się wytłumaczysz, kiedy ktoś cię zobaczy?

Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

–O to się nie martw. Długo nim nie będę.

–Dobra, ale ja nie przejdę obok kuchni, to dla mnie za duże ryzyko -stwierdziłem. – Już mam takie szczęście. Faquarl wyczuwa mnie na kilometr. Nie da rady. Muszę znaleźć inną drogę do środka.

–To mi się nie podoba – odparł. – Jak się odnajdziemy?

–Ja cię znajdę. Tylko wcześniej nie daj się złapać.

Wzruszył ramionami. Nawet jeśli był śmiertelnie przerażony, świetnie to ukrywał. Wetknąłem mu w ręce ostatni stos koszyków z przepiórczy-mi jajami i patrzyłem, jak człapie do dworu. Potem zamknąłem auto, kluczyki zostały na siedzeniu kierowcy. Rozejrzałem się. Nie ma sensu zostawiać wozu między drzewami, pomyślałem. Tam by bardziej zwracał uwagę, niż stojąc tu, na tyłach budynku. Nikt przecież nie interesował się furgonetką z kwiaciarni.

Dwór miał mnóstwo okien. A z każdego coś mogło na nas patrzeć. Ruszyłem ku drzwiom, tak jakbym zamierzał wejść do środka, po drodze przeglądałem plany egzystencji: gdzieś daleko nad drzewami przeleciał patrol, już w środku wewnętrznej kopuły. W porządku, niczego nie zobaczą. A w samym domu chyba nie było pułapek.

Kiedy zbliżyłem się do drzwi, stanąłem z boku, tak, żeby nie widziano mnie ze środka, i zmieniłem postać. Pan Squalls stał się małą jaszczurką, która upadła na ziemię, popędziła do muru i wspięła się po nim na pierwsze piętro. Moja kremowo-brązowa skóra idealnie zlewała się z kamieniem, a maleńkie haczyki na nogach były bardzo chwytne. Obrotowe ślepia spojrzęły do góry, dokoła, do tyłu. Wszystko wskazywało na to, że po raz kolejny wybrałem sobie znakomitą postać. Pobiegłem w górę ściany, zastanawiając się, jak mój mistrz daje sobie radę ze swym znacznie mniej odpowiednim przebraniem.

37

athaniel zostawił koszyk z jajami na najbliższym stole i rozejrzał się za upatrzoną wcześniej ofiarą. W kuchni krzątało się tyle osób, że początkowo nigdzie nie mógł dojrzeć tego chłopca w ciemnoniebieskim mundurku. Przestraszył się, że on już gdzieś sobie poszedł. Ale wtedy właśnie go zobaczył, obok grubej kucharki. Przekładał stos maleńkich kanapek na dwupoziomową srebrną tacę.

Na pewno miał ją zanieść do jakiegoś miejsca w domu. Nathaniel zamierzał tam dotrzeć.

Przyczaił się w kuchni, udawał, że opróżnia swoje skrzynie i kosze. Coraz bardziej irytowało go to, że chłopiec tak skrupulatnie przenosi na tacę każdą kanapeczkę z topionym serem i krewetką.

Coś ciężkiego i twardego spadło mu na ramię. Odwrócił się.

Stał za nim szef kuchni. Twarz miał czerwoną i spoconą od żaru przy rożnie. W mięsistej dłoni trzymał tasak i właśnie jego tępą stroną dotykał Nathaniela.

–A co ty – zapytał łagodnie – robisz w mojej kuchni?

Nic na żadnym z planów egzystencji, które Nathaniel mógł teraz obejrzeć, nie wskazywało, by ten osobnik nie był człowiekiem. Jednak pamiętał o przestrodze Bartimaeusa i postanowił nie ryzykować.

–Zbieram kosze mojego ojca – odparł uprzejmie. – Wie pan, nie mamy ich zbyt wiele. Przepraszam, jeśli przeszkadzam.

Kucharz wskazał tasakiem drzwi.

–Wychodź.

–Tak, panie. Już idę.

Jednak gdy tylko znalazł się na zewnątrz, przycisnął się do ściany i czekał. Za każdym razem, kiedy ktoś wychodził z kuchni, schylał się, udając, że czyści sobie buty. To było ryzykowne, bał się, że na korytarzu pojawi się sam szef kuchni, ale czuł też dziwne, radosne podniecenie. Po szoku, który wywołało spotkanie z najemnikiem przy bramie, strach znikł. Nathaniel czuł teraz dreszczyk emocji – rzadko mu się zdarzało – podekscytowany tym, aż wreszcie coś się dzieje. Cokolwiek się wydarzy, on nie będzie już bezradnie stał z boku, patrząc jak jego nieprzyjaciel bezkarnie sobie poczyna. Teraz mógł wpływać na rozwój wypadków. Teraz tropił wroga. Teraz wkraczał do akcji.

Usłyszał lekkie, potykające się kroczki. Pod łukiem drzwi przeszedł chłopiec w mundurku; balansował podwójną tacą z kanapkami, którą postawił sobie na głowie. Podparł ją, jedną ręką i zwrócił się w prawo, tam dokąd biegł korytarz. Nathaniel znalazł się obok niego,

–Cześć – powiedział bardzo przyjacielskim tonem, bacznie przyglądając się chłopcu. Świetnie. Akurat odpowiednie wzrost i sylwetka.

Obcy chłopak zauważył to zainteresowanie.

–Hej, chcesz czegoś?

–Tak. Jest tu gdzieś ubikacja? Mam za sobą długą podróż... i wiesz, jak jest. Chłopak zatrzymał się u stóp szerokich schodów. Pokazał boczne przejście.

–Tędy.

–Mógłbyś mnie zaprowadzić? Boję się, że wejdę nie w te drzwi.

–Stary, śpieszy mi się.

–Proszę.

Chłopiec westchnął ciężko, odwrócił się i poprowadził Nathaniela korytarzem. Szedł tak

prędko, że taca na jego głowie zaczęła się niebezpiecznie chybotać. Zatrzymał się, poprawił ją i ruszył dalej. Nathaniel podążał za nim, przystanął tylko, by wyjąć z najwyższego kosza ciężki walek do ciasta, który ukradł z kuchni. Chłopiec zatrzymał się przy czwartych drzwiach.

–Tutaj.

–Jesteś pewien, że to te drzwi? Na żadnych nie widzę tabliczki.

–Przecież ci mówię. Popatrz – kopniakiem otworzy! wejście.

Nathaniel machnął wałkiem. Służący i jego srebrna taca wpadli do toalety z hukiem, który zabrzmiał jak wystrzał z karabinu. Na kafelkach rozsypały się kanapki z topionym serem i krewetkami. Nathaniel wśliznął się do ubikacji i zamknął drzwi na zasuwkę.

Chłopiec był nieprzytomny, więc nie stawiał oporu, kiedy Nathaniel ściągał mu ubranie. Prawdziwy kłopot był z kanapkami, które rozleciały się i leżały wszędzie, w każdej szczelinie i zakamarku toalety. Miękki ser dawało się jakoś przenieść z powrotem na pieczywo, ale nie wszystkie krewetki były do uratowania.

Kiedy Nathaniel poukładał kanapki najlepiej, jak potrafił, podarł swoją koszulę na pasy, po czym związał nimi i zakneblował chłopaka. Wepchnął go do jednego z ustępów, zamknął drzwi od środka i wygramolił się górą, balansując na rezerwuarze.

Nathaniel zatarł ślady, wygładził przed lustrem swój nowy uniform, ustawił sobie tacę na głowie i wyszedł z toalety. Stwierdził, że to, co go interesuje, na pewno nie znajduje się w kwaterach służby, cofnął się więc i ruszył schodami.

Minęło go wielu służących, pędzili w obie strony, niosąc tace i skrzynie z butelkami, jednak żaden go nie zaczepił.

Na szczycie schodów były drzwi, otwierające się na hall – światło wpadało do niego przez rząd wysokich, zwieńczonych łukami okien. Podłogę z wypolerowanego marmuru w równych odstępach przykrywały perskie dywany. Wzdłuż białych ścian w specjalnych niszach stały alabastrowe popiersia, wyobrażające wielkie osobistości dawnych czasów. Wszystko dawało efekt wielkiej jasności, nawet przy słabym, zimowym świetle.

Nathaniel szedł korytarzem, mrużąc oczy.

Przed sobą usłyszał wesole głosy, wykrzykujące pozdrowienia. Uznał, że najlepiej będzie się schować. Przez otwarte boczne drzwi dostrzegł książki. Wszedł tam...

...i znalazł się w pięknej, okrągłej bibliotece, która sięgała na wysokość dwóch kondygnacji, aż do szklanej kopuły sufitu. Spiralne schody prowadziły w stronę metalowego pasażu, biegnącego wzdłuż ścian nad głową

chłopca. Z boku wielkie szklane drzwi, nad którymi były okna, wiodły ku trawnikom i dalekiemu jeziorku, otoczonemu ozdobnymi krzewami. Ściany zastawiono książkami: dużymi, drogimi, starożytnymi, sprowadzonymi z miast całego świata. Serce Nathaniela zabiło mocniej z zachwytu. Pewnego dnia on też będzie miał taką bibliotekę...

–Co ty tutaj robisz? – jeden z regałów odsunął się i ukazały się ukryte drzwi.

Stała w nich młoda kobieta o ciemnych włosach. Zmarszczyła brwi. Trochę mu przypominała pannę Lutyens. Nie wiedział, co teraz zrobić, otworzył i zamknął usta.

Kobieta ruszyła w jego stronę. Miała na sobie elegancką suknię. Na jej delikatnej szyi połyskiwały klejnoty. Nathaniel wziął się w garść.

–Eee... Życzy pani sobie kanapkę z krewetką?

–Kim jesteś? Wcześniej cię tutaj nie widziałam. – Głos miała twardy jak kamień.

Zmusił się do myślenia.

–Jestem John Squalls, proszę pani. Dziś rano pomagałem ojcu dostarczyć tu różne wiktuały. Ale taki młody lokaj właśnie się źle poczuł i poprosił mnie, żebym mu pomógł. On nie chce, żeby u pani w taki ważny dzień zabrakło służby. Ja chyba skręciłem nie w tę stronę, nie znam...

–Wystarczy. – Była wyraźnie zła. Zmrużonymi oczyma przyglądała się tacy. – Popatrz, jak wyglądają te kanapki! Jak śmiesz przynosić takie...

–Amando! – Do biblioteki wszedł młody mężczyzna. – Tutaj jesteś. I dzięki Bogu, coś do jedzenia – przemknął obok niej i chwycił od razu kilka najbardziej wymiętoszonych kanapek.

–Jestem uratowany! Przez tę podróż z Londynu umieram z głodu. Hm... Tu jest krewetka. – Przeżuł. – Ciekawy smak, bardzo świeży. Amando, powiedz mi... Czy to prawda, że ty i Lovelace? Wszyscy mówią...

Amanda Cathcart dźwięcznie się roześmiała, a potem szorstkim gestem odprawiła Nathaniela.

–Hej, ty, obsłuż tych w głównym hallu. A następne kanapki zrób lepiej.

–Tak, proszę pani. – Chłopiec lekko się uklonił, tak jak służący, których widział w parlamencie, i wyszedł z biblioteki.

Mało brakowało. Serce waliło mu jak młotem, ale umysł pozostał spokojny. Poczucie winy, które ogarnęło go po pożarze, zmieniło się teraz

w zimne pogodzenie się z sytuacją. Pani Underwood zginęła, bo ukradł amulet. Ona umarła, on przetrwał. Nic się na to nie poradzi. Ale on zniszczy Lovelace'a. Wiedział, że pewnie nie przeżyje tego dnia. Wcale go to nie martwiło. Los sprzyjał jego wrogom, lecz nie było innego wyjścia. Albo mu się uda, albo zginie.

Podobał mu się swoisty heroizm tej sytuacji. Wszystko takie jasne i proste. Łatwiej wtedy uniknąć wyrzutów sumienia.

Ruszył w stronę głosów, które dochodziły od strony głównego hallu. Teraz przybywały tam całe tłumy gości. Ich beztroskie rozmowy odbijały się echem wśród marmurowych kolumn. Ministrowie przechodzili przez szeroko otwarte drzwi, zdejmowali rękawiczki i odwijali długie jedwabne szaliki. Para ich oddechów unosiła się w zimnym powietrzu. Mężczyźni mieli na sobie smokingi, kobiety wytworne suknie. Służący stali z boku, przyjmowali płaszcze, proponowali szampana. Nathaniel patrzył na to przez chwilę, potem uniósł wysoko tacę i ruszył w stronę tłumu.

–Panowie, panie, czy mogę zaproponować?

–Ser i krewetki, pani...

–Czy może podać?

Krążył wśród gości, przepychając się przez gąszcz wyciągniętych dłoni, łowiących kanapki niczym żarłoczne mewy. Nikt się do niego nie odezwał i chyba nawet nań nie spojrział. Kilka razy dostał po głowie ręką, macającą na oślep albo unoszącą kanapkę do ust. W ciągu paru sekund wyższa taca zrobiła się pusta, zostało na niej trochę okruchów, na niższej ledwie kilka kąsków. Tłum wypchnął na bok Nathaniela zdyszanego i z pogniecionym kołnierzykiem.

Wysoki, ponury służący nalewał tam do kieliszków.

–Jak zwierzęta, prawda? – mruknął pod nosem – Cholerni magowie.

–Tak.

Nathaniel ledwie go słuchał. Przyglądał się tłumowi ministrów, a soczewki pozwalały mu widzieć wszystko, co dzieje się w hallu. Niemal nad każdym unosił się imp. Kiedy mistrzów pochłaniało życie towarzyskie – rozmawiali z kimś albo pokazywali czyjąś biżuterię – demony też prowadziły ożywione dyskusje. Każdy imp prężył się, puszył i nadymał aż do granic śmieszności, często próbował poniżyć rywala, potajemnie klując go ogonem we wrażliwe miejsca. Niektóre istoty zmieniały kolor, przybierały barwy tęczy, kończąc na ostrzegawczym szkarłacie albo jasnej żółci. Inne zabawiały się

wykrzywianiem twarzy, naśladowały grymasy albo gesty panów swoich rywali. Jeśli magowie w ogóle to dostrzegali, nic sobie z tego nie robili. Ale owo połączenie fałszywych uśmiechów czarodziejów oraz błazeństw ich impów przyprawiało Nathaniela o zawrót głowy.

–Masz obsługiwać gości czy zmuszać ich do spaceru? – burknęła jakaś

nachmurzona kobieta, szeroka w talii i biodrach, za którą unosił się jeszcze szerszy imp.

Obok niej stał... Serce Nathaniela zatrzepotało – poznał te wodniste oczy, rybią twarz. To był pan Lime, towarzysz Lovelace'a. Za jego uchem kulił się malutki pokraczny imp. Nathaniel zachował spokój i skłonił głowę, podając tacę.

–Przepraszam, proszę pani.

Wzięła dwie kanapki, Lime jedną. Chłopiec potulnie gapił się w podłogę, jednak czuł na sobie wzrok mężczyzny.

–Czy ja ciebie już kiedyś nie widziałem? – zapytał Lime.

Kobieta pociągnęła go rękaw.

–Chodź, Rufusie, dlaczego zajmujesz się plebejuszem, skoro można tutaj

porozmawiać z tyloma prawdziwymi ludźmi? Popatrz, idzie Amanda!

Mag wzruszył ramionami i pozwolił się odciągnąć. Nathaniel niespokojnie zerkał w ich stronę. Imp Rufusa Limea wciąż oglądał się do tyłu i patrzył na chłopca tak długo, póki nie skrył go tłum.

Stojący obok lokaj nie zwrócił na to uwagi. Impy były dla niego niewidzialne.

–Już skończyłeś? – zapytał. – Teraz zanieś im tacę z napojami. Są spragnieni

jak wielbłądy. A często zachowują się jeszcze gorzej.

Kilku gości szło korytarzem do wewnętrznej galeryjki – chłopiec ucieszył się, bo zyskał pretekst, by spokojnie ruszyć w głąb domu. Musiał wydostać się z tłumy, aby spenetrować pozostałe części dworu. Na razie nigdzie nie dostrzegł nawet śladu Lovelace'a, amuletu ani niczego, co mogło być pułapką. Ale przecież jeszcze nic ważnego się nie działo, jeszcze nie przybył premier.

W połowie hallu stała kobieta z biblioteki, otoczona niewielką grupką gości. Pełniła honory domu. Nathaniel krążył w pobliżu, a magowie zamieniali puste kieliszki na pełne z tacy.

–Zobaczcie to za chwilę – mówiła. – To najcudowniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Simon sprowadził ją z Persji, specjalnie na dzisiejsze popołudnie.

–Bardzo dobrze cię traktuje – zauważył sucho jakiś mężczyzna, popijając drinka. Amanda Cathcart spłonęła rumieńcem.

–To prawda. Jest dla mnie bardzo dobry. Och... To takie piękne! Jestem pewna, że według najnowszej mody. Wiecie, nie było łatwo to zamontować: jego ludzie pracowali nad tym cały tydzień. Dopiero dziś rano pierwszy raz to zobaczyłam. Simon powiedział, że zaprze mi dech w piersiach, i miał rację.

–Premier przyjechał!

Goście, piszcząc z podniecenia, runęli do drzwi, z Amandą Cathcart na czele. Nathaniel wziął przykład z innych służących i stanął w pełnej szacunku pozie obok kolumny, gotów na wezwanie.

Wszedł Rupert Devereaux – trzymał w dłoni rękawiczki i uśmiechał się półgębkiem. Nie wmieszał się w adorujący go tłum, nie tylko ze względu na swój wytworny strój (wielki osobisty urok premiera chłopiec dobrze zapamiętał), ale i na towarzyszy: ochroniarzy – czterech ponurych, ubranych na szaro magów – i, niespodzianka, wielkiego, dwumetrowego afryta płci żeńskiej, o błyszczącej, ciemnozielonej skórze. Afryt stał tuż za swym panem, spoglądając na zgromadzonych złowrogimi, czerwonymi oczyma.

Wszystkie impy zadrżały ze strachu. Goście z szacunkiem skłonili głowy.

Nathaniel uświadomił sobie, że premier demonstrował ministrom swoją siłę na wypadek, gdyby któremuś z nich przyszło do głowy zająć jego miejsce. Zrobił na nim wielkie wrażenie. Jak Lovelace mógł myśleć, że pokona coś tak potężnego jak afryt? To chyba czyste szaleństwo.

Wreszcie i on się pojawił – prawie podskakując, szedł przez hall, by pozdrowić przywódcę. Twarz Nathaniela pozostała obojętna, jednak całe jego ciało napięło się, przepełnione nienawiścią.

–Witaj, Ruperce!

Długi, mocny uścisk dłoni. Lovelace zdawał się nie zwracać uwagi na wielkiego afryta. Odwrócił się ku zgromadzonym:

–Panie i panowie! Teraz, kiedy jest już tu nasz ukochany premier, możemy oficjalnie rozpocząć konferencję. Dzięki uprzejmości lady Amandy

witam was w Heddleham Hall. Proszę, czujcie się jak u siebie w domu!

Wzrok maga powędrował w stronę Nathaniela. Chłopiec cofnął się głębiej w cień kolumny. Spojrzenie Lovelace'a pomknęło dalej.

–Za krótką chwilę wysłuchamy pierwszych mów w Wielkim Salonie, który lady Amanda odnowiła specjalnie na ten dzień. Ale najpierw przejdźcie do skrzydła, przekąski i orzeźwiające napoje czekają.

Uczył gest ręką. Goście zaczęli się przemieszczać. Lovelace pochylił się i powiedział coś premierowi. Czający się za kolumną Nathaniel wyłowił słowa:

–Panie, muszę jeszcze wziąć kilka rekwizytów, potrzebnych do mojego wykładu. Proszę o wybaczenie, zaraz wrócę.

–Oczywiście, oczywiście, Lovelace. Nie krępuj się.

Orszak premiera wyszedł z hallu, na końcu kroczył afryt, spoglądając spode łba. Lovelace patrzył na nich przez chwilę, a potem samotnie ruszył w drugą stronę. Nathaniel jeszcze przez jakiś czas udawał służącego: zbierał puste kieliszki, które goście zostawili na starych meblach i marmurowych podestach. Potem, kiedy wyszedł już ostatni lokaj, spokojnie położył tacę na stole i cicho niczym duch podążył śladem Lovelace'a.

38

imon Lovelace szedł korytarzem i galeriami wielkiego domu. Głowę miał pochyloną, dłonie splótł za plecami. Nie zwracał uwagi na rzędy malowideł, rzeźb, gobelinów oraz innych artefaktów. Nie oglądał się też za siebie.

Nathaniel przemykał od kolumny do postumentu, od regału do biurka. Ciągłe się chował, póki nie uznał, że mag oddalił się już na tyle, że można dalej go śledzić. Serce waliło mu jak młotem, w uszach szumiało, jak wtedy, kiedy leżał chory z gorączką. Teraz jednak nie czuł się chory, lecz bardzo, bardzo podniecony.

Lovelace mógł zaatakować już wkrótce. Chłopiec wiedział o tym tak dobrze, jakby sam to wszystko zaplanował. Jeszcze nie miał pojęcia, co to może być, jednak czuł, że zbliża się nieuchronnie, poznawał to po napiętych barkach czarodzieja, jego sztywnych, nerwowych ruchach.

Nathaniel chciał, żeby Bartimaeus już do niego wrócił. Tylko jego mógł użyć jako swojej broni.

Lovelace wszedł po wąskich schodach i zniknął za otwartymi, zwieńczonymi łukiem drzwiami. Chłopiec ruszył za nim, bezgłośnie stawiając stopy na śliskich, marmurowych stopniach.

Kiedy znalazł się pod łukiem, rozejrzał się. Zobaczył niewielką bibliotekę czy może galerię – półmrok rozpraszało tam tylko światło z okien w suficie. Lovelace szedł główną alejką między rzędami regałów z książkami. Gdzieś tam stały niskie gabloty z różnymi dziwnymi przedmiotami. Nathaniel zerknął raz jeszcze, zobaczył, że wróg podchodzi już do przeciwległych drzwi, więc na palcach wsunął się do pomieszczenia.

Nagle Lovelace zawołał:

–Maurice!

Nathaniel skoczył za najbliższy regał. Przywarł do niego mocno i starał się spokojnie oddychać. Usłyszał, jak te drugie drzwi się otwierają. Po cichu, nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku, odwracał powoli głowę, aż wreszcie spojrzął nad grzbietami stojących blisko książek. Od drugiej strony galerii dzieliły go inne regały, ale przez szparę między dwiema półkami zobaczył czerwoną, pomarszczoną twarz Schylera, starego maga. Samego Lovelace'a nie widział.

–Simonie, co się dzieje? Dlaczego tu przeszedłeś?

–Mam dla ciebie prezent – Lovelace mówił swobodnie, wesoło. – Tego chłopca.

Nathaniel omal nie zemdlął z przerażenia. Napiął mięśnie, gotów uciekać... Lovelace wyłonił się zza regału.

–Nie przejmuj się. Nie wyjdiesz już stąd. Umrzesz.

Chłopiec zastygł bez ruchu. Czuł rosnącą panikę.

–Chodź tutaj, do Mauricea – Lovelace przyzywał go gestem pełnym

ostentacyjnej uprzejmości. Nathaniel, powłócząc nogami, ruszył do przodu.

–Dobry chłopiec. I przestań się trząść jak staruszek. Zapamiętaj następną lekcję: mag nigdy nie okazuje strachu.

Nathaniel wszedł w główną alejkę i po chwili stanął twarzą w twarz z czarodziejem. Trząśnięcie nie strachu, lecz z wściekłości. Łypał oczyma na boki, szukając sposobności do ucieczki. Na próżno. Lovelace poklepał go po plecach. Chłopiec się odsunął.

–Niestety, nie mamy czasu na rozmowę – powiedział Lovelace. – Zostawię cię pod czułą opieką Mauricea. Ma dla ciebie pewną propozycję. Przepraszam, co tam mamrocześ?

–Skąd wiedziałeś, że tutaj jestem?

–Rufus Lime cię rozpoznał. Stwierdziłem, że tam na dole będziesz ostrożny, zwłaszcza że policja szuka cię w związku z tamtym... nieszczęsnym pożarem. Pomyślałem więc sobie, że najlepiej będzie odciągnąć cię od tłumu, zanim znowu narozrabiasz. Teraz, proszę, wybac mi, obowiązki wzywają. Maurice, już czas.

Twarz Schylera zmarszczyła się lekko w grymasie zadowolenia.

–Rupert tu jest, prawda?

–Tak, właśnie przybył, a jego ludzie wezwali strasznego afryta. Sądzisz, że coś podejrzewa?

–Phi! Skądże. Po prostu wpadł w paranoję po tamtym przekłętym ataku na Parlament. Musimy wyrównać rachunki z ruchem oporu. Te głupie dzieciaki nie ułatwiły nam dzisiejszego zadania. Simonie, kiedy już będziemy u władzy, musimy wyplenić ich jak zarazę, powiesić na łańcuchach na Tower.

Lovelace chrząknął.

–Afryt będzie obecny podczas przemówienia. Ludzie Ruperta mogą nalegać.

–Simonie, musisz stanąć blisko niego. To w niego, na samym początku, musi pójść cała energia.

–Tak. Mam nadzieję, że amulet...

–Och! Przestań tracić czas! Już o tym mówiliśmy. Wiesz, że wytrzyma.

Coś w głosie starca przypomniało Nathanielowi chłodną niecierpliwość jego mistrza Underwooda. Pomarszczona twarz skrzywiła się nieprzyjemnie.

–Chyba nie przejmujesz się tą kobietą?

–Amandą? Oczywiście, że nie! Nic dla mnie nie znaczy. Zatem... -Lovelace wziął głęboki oddech. – Wszystko już ustalone?

–Pentagram jest gotowy. Mam niezły widok na pokój. Rufus właśnie ustawił róg w odpowiedniej pozycji, więc po problemie. Będę wszystko bacznie obserwował. Jeśli któryś z nich spróbuje stawić opór, zareagujemy odpowiednio. Ale wątpię, żeby to było konieczne. – Starzec zaśmiał się nerwowo. – Już nie mogę się doczekać.

–Do zobaczenia wkrótce – Lovelace odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia. Jakby zapomniał o Nathanielu.

Starzec nagle się odezwał.

–Włożyłeś już Amulet z Samarkandy?

Lovelace się nie obejrzał.

–Nie. Afryt wyczułby go na odległość, gdyby tylko miał czas. Włożę go, kiedy tam wejdem.

–Zatem dobrze. Powodzenia, mój chłopcze.

Lovelace nie odpowiedział. Nathaniel usłyszał jego głośnie kroki na schodach.

Schyler uśmiechnął się. Zmarszczki na jego twarzy jakby przeorały mu skórę, począwszy od kącików oczu, jednak same oczy pozostały beznamietne. Sędziwy wiek tak go przygarbił, że ledwie był wyższy od Nathaniela. Skóra jego dłoni, poznaczona plamami wątrobianymi, wyglądała jak pergamin, jednak chłopiec wyczuwał emanującą od niego siłę.

–John – powiedział Schyler. – Tak masz na imię, prawda? John Mandrake.

Bardzo nas zaskoczyłeś tym, że się tu znalazłeś. Gdzie twój demon? Straciłeś

go? Cóż za bezmyślność.

Nathaniel zacisnął wargi. Spojrzał w bok, na najbliższą gablotę. Ujrzał tam kilka dziwnych przedmiotów: kamienne misy, kościane piszczałki i wielkie, pogryzione przez mole nakrycie głowy, pewnie kiedyś własność indiańskiego szamana. Nic użytecznego.

–Byłem za tym, żeby cię po prostu zabić. Jednak Simon jest bardziej dalekowzroczny. Zasugerował, by złożyć ci pewną propozycję.

–Jaką? – Nathaniel spoglądał na następną gablotę, było w niej kilka małych metalowych pudełek, owiniętych wyblakłymi paskami papieru.

Mag podążył za jego spojrzeniem.

–Ach. Podziwiasz kolekcję panny Cathcart? Nie znajdziesz tam nic potężnego. Wśród bogatych i głupich plebejuszy panuje moda, żeby trzymać w domu magiczne przedmioty, choć całkiem niemodnie jest cokolwiek o nich wiedzieć. Rozkoszna ignorancja! Różni durnie z towarzystwa ciągle męczą Sholto Pinna o takie drobiazgi.

Nathaniel wzruszył ramionami.

–Wspomniałeś o jakiejś propozycji.

–Tak. Za kilka chwil stu najpotężniejszych i najbardziej wpływowych ministrów rządu umrze, nasz wspaniały premier też. Kiedy władzę obejmie nowa ekipa, ekipa Simona, niżsi magowie posłuchają nas bez dyskusji, będziemy bowiem od nich silniejsi. Nie jest nas jednak wielu i wkrótce pojawią się wakaty na wyższych rządowych stanowiskach. Będziemy potrzebować utalentowanych młodych magów, aby pomogli nam rządzić. Naszych sojuszników czeka wielkie bogactwo i władza. Jesteś młody, Mandrake, ale poznaliśmy się na twoich zdolnościach. Masz zadatki na wielkiego czarodzieja. Przyłącz się do nas, a my zapewnimy ci taką naukę magii, o jakiej zawsze marzyłeś. Pomyśl. Już nigdy więcej żadnych samotnych eksperymentów, nigdy też nie będziesz już musiał zadowalać się resztkami i kłaniać tym, co ledwie godni są lizać ci buty! Sprawdzimy cię i zainspirujemy, wydobędziemy twój talent na światło dzienne, pozwolimy mu się rozwijać. A może pewnego dnia, kiedy Simon i ja już odejdziemy, ty zostaniesz naszym następcą...

Starzec umilkł, a jego wizja jakby unosiła się w powietrzu. Nathaniel zamyślił się: sześć lat zawiedzionych ambicji, sześć lat powstrzymywanych pragnień, marzeń o tym, by zostać docenionym, móc otwarcie doskonalić swą moc, trafić do Parlamentu jako wszechwładny minister. A teraz jego wrogowie dawali mu to wszystko na tacy. Westchnął ciężko.

–Widzę, że to kusząca propozycja, John. Zatem, co powiesz? Nathaniel spojrzał staremu magowi prosto w oczy.

–Czy Simon Lovelace naprawdę sądzi, że się do niego przyłączę?

–Tak.

–Po tym wszystkim, co się stało?

–Nawet po tym. Wie, że masz głowę na karku.

–A więc Simon Lovelace jest głupcem.

–John...

–Aroganckim głupcem!

–Musisz...

–Po tym, co mi zrobił? Mógłby mi zaproponować władzę nad całym światem, a ja i tak bym odmówił! Ja mam się do niego przyłączyć? Wolałbym umrzeć!

Schyler pokiwał głową, chyba zadowolony.

–Dobrze. Wiem. Mówiłem mu, że tak właśnie odpowiesz. Dostrzegłem w tobie tego, kim jesteś: głupiego, pomyłonego dzieciaka. Cóż! Nie wychowano cię odpowiednio. Twój umysł jest zaćmiony. Nie mielibyśmy z ciebie żadnego pożytku.

Zrobił krok do przodu. Jego buty zaskrzypiały na błyszczącej podłodze.

–A cóż to, nie uciekasz, chłopczyku? Twój džinn odszedł. Nie masz innych mocy. Na co czekasz?

Nathaniel nawet się nie poruszył. Wiedział, że to miałyby fatalne skutki. Obrzucił szybkim spojrzeniem pozostałe gabloty, jednak nie widział dokładnie przedmiotów, które w nich wystawiono. Poza tym nieprzyjaciel blokował mu do nich drogę.

–Wiesz – powiedział mag – kiedy po raz pierwszy się spotkaliśmy, zrobiłeś na mnie wrażenie: taki młody, taki mądry. Uznałem, że Simon był dla ciebie zbyt surowy, nawet ta afera z kłuszącymi drobinami była zabawna i pokazała, że jesteś pomysłowy. W zwykłych okolicznościach sprawiłbym, byś umierał powoli, miałbym niezłą rozrywkę. Ale za chwilę będę zajęty ważniejszymi sprawami i nie mogę tracić czasu. – Uniósł rękę i wypowiedział jakieś słowo.

Wokół jego palców pojawił się błyszczący, ciemny obłok, który migotał i falował.

Nathaniel uskoczył.

Bartimmus

iałem nadzieję, że chłopak nie wpadnie w tarapaty, póki się nie spotkamy. By dostać się do budynku, potrzebowałem więcej czasu niż myślałem.

Jaszczurka biegła po murze, w górę i w dół; wokół gzymsów, nad łukami, przez pilastry, coraz szybciej i coraz bardziej chaotycznie. Każde okno, do którego się zbliżyła – a było ich mnóstwo – było szczelnie zamknięte. Aż pstrykała języczkiem ze zdenerwowania. Czy ten Lovelace i jego kumple nigdy nie słyszeli o dobrodziejstwach świeżego powietrza?

Czas upływał. Wciąż nic. Szczerze mówiąc, nie miałem ochoty się włamywać, chyba że w ostateczności. Nie wiadomo przecież, czy po drugiej stronie nie czekają już strażnicy, gotowi zareagować na najmniejszy podejrzanym hałas. Gdybym tylko znalazł jakąś szczelinę, szparę, którą dałoby się prześlizgnąć... Niestety, dom dobrze zabezpieczono.

To nie miało sensu. Musiałem spróbować wejść kominem.

Kiedy się na to zdecydowałem, ruszyłem do góry. I wtedy właśnie moją uwagę przykuły bardzo wysokie i ozdobne okna nieopodal wystającego skrzydła domu. Tam musi być jakieś spore pomieszczenie, pomyślałem. A na siódmym planie zauważyłem w tych oknach potężne, krzyżujące się pręty

309

magicznych krat. Żadne inne okno w posiadłości nie było tak chronione. Ciekawe, bardzo ciekawe.

Jaszczurka pobiegła przez mur, by lepiej przyjrzeć się zabezpieczeniu, łuski tarły o kamienie. Złapała się kolumny i wysunęła główkę ku oknu. ostrożnie, by nie dotknąć połyskujących krat.

To, co przez nie zobaczyłem, bardzo mnie zainteresowało. Ujrzałem bowiem wielką, okrągłą halę albo raczej aulę, bogato oświetloną – pod sufitem wisiało z dziesięć żyrandoli. Pośrodku stało niewielkie podium okryte czerwonym sukniem, a wokół niego, w starannym półkolu, ze sto krzeseł. Na podwyższeniu była mównica, a nawet szklanka i dzbanek z wodą. Najwyraźniej właśnie tu miała się odbywać konferencja.

Każdy element wystroju – począwszy od kryształowych żyrandoli, a na złotych ozdobach ścian skończywszy – zaprojektowano tak, by pasował do czarodziejskich (prostackich) wyobrażeń o bogactwie i pozycji społecznej. Jednak najniezwykłej szał w owej sali była podłoga – wyglądała, jakby zrobiono ją ze szkła, błyszcziała, rozszczepiając blask kandelabrow, tak że powstawały przeróżne tony i odcienie. A jakby tych niezwykłości było mało, rozciągał się pod nią olbrzymi, piękny, perski dywan: smoki, chimery, mantykory i ptaki, była też scena łowów, oddana z fantastycznymi wręcz detalami. Książę naturalnej wielkości i jego dwór wjeżdżali do

lasu, otoczeni przez psy, leopardy, pustułki i inne, oswojone zwierzęta. Przed nimi między krzakami pomykało stado chryżych saren. Dęto w rogi, łopotwały proporczyki. Obraz na dywanie przedstawiał wyidealizowanych dostojników z orientalnej baśni. Zrobiłby na mnie spore wrażenie, gdybym nie przyjrzał się twarzom kilku dworzan. Ich widok zepsuł cały efekt. Jeden, napuszony, miał paskudną gębę Lovelace'a, inny wyglądał jak Sholto Pinn. Wypatrzyłem też kobietę, która niegdyś mnie uwięziła, Jessicę Whitwell, jadącą na białej klaczy. Tylko Lovelace mógł zepsuć wspaniałe dzieło takimi pochlebczymi wymysłami*.

* Jakże tkacze z Basry musieli kląć, gdy kazano im stworzyć takie paskudztwo. Minęły już czasy, kiedy za sprawą złożonych i okrutnych zaklęć wplatali w swe dywany dzinny, powstawały latające wehikuly, unoszące swych panów przez Bliski Wschód – a przy okazji odporne na korozję. Uwięziono tak setki z nas. Ale teraz, gdy magiczna potęga Bagdadu została już dawno złamana, tamtejszych rzemieślników chroni przed biedą tylko wyrób owych tandetnych dywaników, głównie dla bogatych turystów z zagranicy. Ech, na co im przyszło...

Bez wątpienia księciem był Devereaux, premier, a jako członków jego orszaku sportretowano wszystkich ważnych magów.

Owa niezwykła podłoga nie była jedyną osobliwością w tej kolistej sali. Wszystkie okna zabezpieczono takimi samymi migoczącymi kratami jak te, przez które właśnie patrzyłem. Właściwie czemu tu się dziwić, przecież wkrótce w auli znajdzie się cały rząd. Ale w kamiennej framudze mojego okna było też coś, co wyglądało jak metalowe pręty. Czemu miały służyć? Tego już nie wiedziałem.

Właśnie się nad tym zastanawiałem, kiedy na drugim końcu auli otwały się drzwi i szybko wszedł nimi jakiś mag. Ten sam oślizgły człowiek, którego widziałem w samochodzie; chłopiec mówił, że to Lime, jeden z towarzyszy Lovelace'a. Niósł w ręku owinięty sukнем przedmiot. Kroczył szybko, nerwowo łpał oczyma na boki. Podszedł do podium, wspiął się na nie i zbliżył do mównicy. Była w niej szuflada, niewidoczna z poziomu podłogi. Mag włożył do niej przedmiot.

Zanim jednak to zrobił, zdjął sukno. Przez moje łuski przebiegły ciarki.

Był to róg przyzwań, ten sam, który widziałem w gabinecie Lovelace'a w ową noc, kiedy ukradłem Amulet z Samarkandy. Kość słoniowa pożółkła ze starości i została wzmocniona delikatnymi obręczami z metalu, ale poczerniałe odciski palców z boku* wciąż były dobrze widoczne.

Róg przyzwań...

Zaczynałem już wszystko rozumieć. Magiczne kraty w oknach, metalowe pręty wbudowane w ścianę, gotowe zatrzaskać się w jednej chwili... Zabezpieczenia tej sali nie miały powstrzymać przed wejściem do niej, ale uniemożliwić wyjście.

Najwyższy czas wślizgnąć się do środka.

Nie dbając o latających wartowników, potruchtałem w górę muru i po czerwonych dachówkach gmachu ruszyłem prosto do najbliższego komina. Przystanąłem na jego krawędzi i już miałem wleźć do środka, ale... zadrżałem i odsunąłem się. Pode mną, w poprzek otworu, rozpięto migoczącą sieć. Nie tędy droga.

* Odciski palców osoby, która jako pierwsza zadęła w róg. Charakterystyczne dla podobnych przedmiotów jest to, że ich pierwszy użytkownik musi zdać się na łaskę istoty, którą przyzwie. To dosyć poważna wada, rogi przyzwań są więc rzadkie.

Pomknąłem do następnego komina. Tak samo.

Rozgorączkowany, biegałem tam i z powrotem po dachu całego Heddleham Hall, sprawdzając każdy komin. Wszystkie okazały się zamknięte. Niejeden mag zabezpieczał to miejsce przed szpiegami.

Przystanąłem w końcu, by zastanowić się, co robić.

Cały czas przed frontem gmachu przesuwali się rząd aut z szoferami*. Pasażerowie wysiadali, a wozy kierowały się na parking. Większość gości już przybyła, konferencja miała się niedługo rozpocząć.

Spojrzałem za trawnik. Kilku spóźnialskich pędziło w stronę dworu. Ale nie tylko ich zobaczyłem.

Pośrodku trawnika znajdowało się jezioro z ozdobną fontanną: kochliwy grecki bożek próbował pocałować delfina**. Za jeziorkiem droga wiała się między drzewami, wiodąc ku bramie wejściowej. I tą właśnie drogą podążały trzy postacie, dwie szybko, trzecia jeszcze szybciej. Jak na człowieka, którego właśnie znokautowała polna mysz, pan Squalls miał niezłe tempo. Synowi szło jeszcze lepiej, zapewne motywacji dodawał mu brak ubrania – z daleka wyglądał jak jedna wielka gęsia skórka. Jednak żaden z nich nie dotrzymywał kroku brodatemu najemnikowi, którego płaszcz łopotał na wietrze, gdy dziarsko maszerował przez trawnik.

Ach. To mogło oznaczać kłopoty.

Siadłem na krawędzi komina, przeklinając swoją powściągliwość względem Squallsa i jego syna***. Zastanawiałem się, czy mogę zignorować to trio, ale zaraz podjąłem decyzję. Brodac zbliżał się najszybciej. Dziwne -jego kroki wyglądały zwyczajnie, ale gnał z prędkością zapierającą dech w piersiach. Za chwilę mógł dotrzeć do budynku i podnieść alarm.

Właściwie to nie musiałem tak natychmiast wejść do Heddleham Hall. A że nie pora na dyskrecję, stałem się kosem i zdecydowanie machając skrzydłami, sfrunąłem z dachu.

* Każdy samochód był doskonałym przykładem pozbawionego fantazji stylu magów: wielki, czarny i lśniący. Nawet najmniejsze auto wyglądało tak, jakby chciało zostać karawanem, kiedy już dorośnie. ** Nie polecam. *** Myślałem, że po moich ciosach będą nieprzytomni co najmniej kilka dni. Ale spartaczyłem robotę. Oto skutki pośpiechu.

Człowiek w czerni coraz bardziej się zbliżał. Zauważyłem, że powietrze faluje przy jego nogach, a one poruszają się tak, jakby nie były obie na jednym planie egzystencji. I nagle zrozumiałem: on włożył siedmiomilowe buty*.

Po kilku chwilach szedł już zbyt prędko, by dało się za nim nadążyć -każdym krokiem mógł przecież pokonać milę. Przyspieszyłem.

Brzeg jeziora był miłym miejscem (jeśli nie liczyć okropnego posągu delfina i bożka). Młody ogrodnik obsiewał tam grządki. Kilka niewinnych kaczuszek sennie unosiło się na powierzchni wody. Trzciny pochylały się na wietrze. Przy jeziorze rósł tatarak; jego liście połyskiwały w południowym słońcu miłą, łagodną zielenią.

Wystarczy tego opisu. Moja pierwsza Detonacja nie trafiła najemnika -trudno jest ocenić szybkość kogoś, kto chodzi w siedmiomilowych butach – ale uderzyła w tatarak, który natychmiast wyparował. Ogródnik wrzasnął i wskoczył do jeziora – w kaczuszkę uderzyła niewielka fala. Zapłonęły trzciny. Najemnik spojrzał do góry. Wcześniej mnie nie widział, zbyt wielką uwagę zwracał pewnie na swoje niezwykle buty, dlatego nie postąpiłem szczególnie honorowo – ale przecież spieszyłem się na konferencję. Moja druga Detonacja trafiła go dokładnie w pierś. Zniknął wśród szmaragdowych płomieni.

Dlaczego nie wszystkie sprawy daje się tak łatwo rozwiązać?

Zrobiłem szybkie okrążenie, lustrując horyzont. Nie dostrzegłem żadnych strażników ani w ogóle niczego groźnego, może z wyjątkiem różowego zadka syna Squallsa, który teraz, wraz z tatą, zawrócił i pędem puścił się ku bramie. Znakomicie. Właśnie miałem ruszyć w stronę domu, kiedy dym z mojej Detonacji rozwiął się i zobaczyłem, że najemnik, cały umorusany, siedzi sobie w błotnistym, głębokim leju i mruga oczyma – wciąż żywy.

Hm, czegoś takiego nie brałem pod uwagę.

* Potężny przedmiot magiczny, wynaleziony w średniowiecznej Europie. Na rozkaz swego właściciela nawet najmniejszy but przemierzyć może sporą odległość. Normalne (ziemskie) prawa związane z czasoprzestrzenią wówczas nie działają. Podobno w każdym bucie siedzi dżinn zdolny do podróży na hipotetycznym, ósmym planie (nie, żebym się na tym znał). Teraz łatwiej zrozumieć, jak najemnik zdołał umknąć pogoni, kiedy skradł Amulet z Samarkandy.

Gwałtownie zatrzymałem się w powietrzu, zawróciłem i posłałem jeszcze jeden, bardziej skupiony pocisk. Miał tyle energii, że nawet Jabora przyprawiłby o lekkie drżenie nóg. A człowieka to już na pewno powinien zmienić w chmurę pyłu, niesioną wiatrem.

Ale nie Brodacza. Kiedy płomienie zgasły, podnosił się, zupełnie przytomny! Wyglądał, jakby właśnie uciął sobie drzemkę. Owszem, jego płaszcz niemal cały spłonął, lecz ciało pozostało zdrowe i nietknięte.

Nie traciłem czasu na trzecią próbę. Zrozumiałem, o co biega.

Najemnik sięgnął pod połę płaszcza i z wewnętrznej kieszeni wyciągnął srebrny dysk. Nagle się nim zamachnął i rzucił – pocisk minął mój dziób o szerokość pióra i wirując, łagodnym łukiem wrócił do ręki mężczyzny.

Miałem już tego dosyć. Przez ostatnich kilka dni sporo przeszedłem. Odnosiłem wrażenie, że każdy, kogo spotykam, chce sprawić mi przykrość: dżinny, magowie, ludzie... bez różnicy. Przyzywali mnie, poniewierali, chwyтали, strzelali do mnie, ograniczali moją swobodę, rozkazywali mi i w ogóle mieli mnie za nic. A teraz, jakby tego było mało, jeszcze ten facet robił mi na złość, akurat kiedy chodziło mi tylko o to, żeby go spokojnie zabić.

Moja cierpliwość się skończyła.

Najbardziej rozeźlony kos, jakiego kiedykolwiek można było zobaczyć, zanurkował ku posągowi pośrodku jeziora. Wylądował u podstawy delfi-niego ogona, objął kamień skrzydłami i raz jeszcze przybrał kształt gargulca. Delfin i bożek* oderwali się od postumentu. Rozległ się trzask i zgrzyt rozrywanego ołowiu i rzeźba się rozpadła. Z ukrytych w niej, a teraz pękniętych rur trysnął silny strumień wody. Gargulec uniósł posąg nad głowę, skoczył i wylądował na brzegu jeziora blisko najemnika.

A on nie wyglądał na tak zaskoczonego, jakbym sobie życzył. Raz jeszcze cisnął dyskiem. Uderzył w moje ramię, zatruwając mnie srebrem.

Nie zważając na ból, rzuciłem posągiem niczym szkocki góral kłodą. Kamienna bryła kilka razy efektownie zawirowała w powietrzu i trafiła Brodacza.

Widziałem, że aż zaparło mu dech w piersiach. Nie przygniotła go jednak tak bardzo, jak tego chciałem. Próbował wydostać się spod niej, starał się

* Byli połączeni. Nieważne jak.

czegoś chwycić. To już zaczynało być nudne. Dobra, jeśli nie dam rady go zatrzymać, to mogę chociaż go spowolnić. Kiedy wciąż jeszcze miotał się pod rzeźbą, skoczyłem na niego, rozsznurowałem siedmiomilowe buty i ściągnąłem mu z nóg. Potem z całej siły cisnąłem je na sam środek jeziora, gdzie kaczuski tworzyły krąg. Buty plusnęły między nimi i od razu zatoneły.

– Zapłacisz mi za to – sapnął do połowy przy walony jeszcze posągiem.

– Nie wiesz, kiedy dać spokój, co? – zdenerwowany podrapałem się po rogu. Zastanawiałem się, co by tu jeszcze zrobić, kiedy...

...poczułem się, jakby wnętrzności wysysano mi przez plecy. Moja esencja wiła się i skręcała. Zachłysnąłem się. Najemnik patrzył, jak moje kształty zaczynają się rozplwać.

Wyteżył się i zepchnął rzeźbę. Przez zasłonę bólu widziałem, jak się podnosi.

– Stój, tchórze! – krzyknął. – Stań i walcz!

Pomachałem mu znikającym szponem.

– Masz szczęście – mruknąłem. – Puszczam cię wolno. Jednak podpadłeś mi

i pamięć...

Zniknąłem, nie kończąc.

9fat(ianieC

40

ocisk z kruczoczarnej plazmy trafił w najbliższą gablotę. Szamańska czapka, kociołki, fajki i sama gablota wraz z kawałkiem podłogi zniknęły, wydając dźwięk podobny do mlaśnięcia wody zassanej przez odpływ. Po chwili unosiły się tam cuchnące opary.

Nathaniel przekoziółkował tuż obok i stanął na nogi. Kręciło mu się w głowie, ale się nie wahał. Pobiegnął do następnej gabloty, z metalowymi sześcianami. Gdy stary czarodziej raz jeszcze uniósł rękę, chłopiec zebrał tyle kostek, ile tylko zdołał, a potem ukrył się za sąsiednim regałem. Drugi plazmowy pocisk uderzył zaraz za nim.

Odczekał chwilę. Po drugiej stronie półki stary mag cmoknął językiem.

– Co ty wyprawiasz? Chcesz mnie obrzucić tymi drobinami?

Nathaniel spojrział na to, co trzymał w rękach. Nie były to co prawda kąśliwe, małe demony, ale też nic lepszego. Praskie Kostki: drobny, magiczny przedmiot, sprzedawany przez pomniejszych czarodziejów. W każdym sześciacie przebywał mały demon, zamknięty w metalowej skorupie razem z różnymi pudrami. Należało wydać prosty rozkaz i mały demon oraz proszek zapalały się widowiskowo. Głupia rozrywka, nic więcej. A na pewno żadna broń.

Każdą kostkę owinięto papierową tasiemką ze słynnym znakiem alembiku, używanym przez alchemików ze Złotej Uliczki. Były stare, zapewne dziewiętnastowieczne. Może w ogóle straciły już swoje właściwości.

Nathaniel chwycił jedną kostkę i rzucił, razem z papierem, nad regałem.

Wykrzyczał Rozkaz Uwolnienia.

Imp siedzący w pudełku zapłonął wśród błyszczącego deszczu srebrnych iskier i przy akompaniamencie cichej melodyjki. Po galerii rozszedł się delikatny, ale wyraźny zapach lawendy.

Chłopiec usłyszał, jak stary mag głośno chichocze.

–Piękne, piękne! Proszę o jeszcze! Chcę jak najlepiej pachnieć, kiedy już obejmiemy władzę nad tym krajem! Masz może coś o zapachu jarzębiny? To mój ulubiony!

Nathaniel wziął następny sześcian. Może to były tanie sztuczki, ale nie miał nic innego.

Słyszał skrzyp butów starca, kiedy ten szedł przez galerię na koniec alejki. Co robić? Z obu stron blokowały go teraz półki.

A może jednak nie. Każda półka była przecież ażurowa. Mógł spojrzeć nad książkami, na następną alejkę. A jeśli tylko zdołałby się jakoś przecisnąć...

Rzucił następną kostką i pobiegł do półki.

Maurice Schyler wychodził właśnie zza rogu, jego dłoń zasłaniała kłębiąca się kula mocy.

Nathaniel skoczył nad półką jak skoczek nad poprzeczką. Wymamrotał Rozkaz Uwolnienia.

Kostka wybuchła na twarzy starca. Purpurowe iskry, wirując, pomknęły wysoko, pod sufit. Krótką chwilę przygrywał im dziewiętnastowieczny czeski marsz.

Wzdłuż następnej alejki z pięćdziesiąt książek spadło na podłogę, niczym walący się mur. Nathaniel wylądował na nich.

Raczej poczuł, niż zobaczył, że trzeci pocisk plazmy niszczy alejkę za jego plecami.

Mag przemówił podniesionym ze zdenerwowania głosem.

–Chłopczyku! Mamy mało czasu! Proszę, stój spokojnie!

Jednak Nathaniel już mknął ku kolejnej półce. Biegł za szybko, by myśleć, nie pozwalał sobie nawet na chwilę przerwy, żeby nie owładnęło nim

przerażenie. Chciał dotrzeć do drzwi na drugim końcu galerii. Starzec mówił, że jest tam pentagram.

–John, słuchaj! Podziwiam twoją determinację.

Chłopiec wylądował na plecach w następnej alejce, pośród deszczu spadających ksiąg. Uderzył go w skroń oprawiony w skórę słownik, tak mocno, że Nathaniel ujrzał gwiazdy. Wyprostował się z trudem.

–Ale to głupie mścić się za swego mistrza. – Kolejny wybuch

czarodziejskiej siły i runął następny regał. Pokój wypełnił się gęstym, gryzą

cym dymem. – Głupio i wbrew naturze. Ja sam zabiłem swojego mistrza,

dawno temu. Gdyby jeszcze ten twój Underwood był jakimś wartościowym

człowiekiem, może bym rozumiał.

Nathaniel cisnął za siebie trzecim sześcianem. Kostka uderzyła o stół i nie wybuchła. Zapomniał wypowiedzieć rozkaz.

–Ale on nie był wartościowym człowiekiem, prawda, John? On był

skończonym idiotą. A teraz przez niego narażasz życie. Daj sobie spokój.

Chłopiec dotarł do ostatniej alejki. Był już blisko drugich drzwi, ledwie kilka kroków. Ale tam, po raz pierwszy, zamarł bez ruchu. Zawrzał w nim wielki gniew, silniejszy nawet od strachu.

Buty skrzypiały cicho. Starzec sunął galerią, śladem rozrzuconych książek, zaglądał w każdą boczną alejkę. Nigdzie nie dostrzegł chłopca. Zbliżył się do drzwi i odwrócił ku ostatniej alejce. Uniósł dłoń i...

I cmoknął z rozdrażnieniem. W alejce nikogo nie było.

Nathaniel, który po cichu przecisnął się między półkami do alejki obok i zaszedł maga od tyłu, mógł teraz wykorzystać element zaskoczenia.

Wystarczył jeden rozkaz i w czarodzieja trafiły jednocześnie trzy kostki, jednocześnie też wybuchły. Były to: żółtozielone Koło Katarzyny, odbijające się rykoszetem Wiedeńskie Działo oraz Ultramarynowy Stos. Choć z osobna każdy z sześcianów dawał raczej skromny efekt, to razem stały się całkiem potężne. Zabrzmiała składanka popularnych ballad, a powietrze natychmiast wypełniły ciężkie zapachy jarzębiny, szarotki i kamfory. Połączone eksplozje

powaliły starca, cisnęły go prosto na drzwi przy końcu galerii. Uderzył w nie mocno, zwłaszcza głową. Zwaliły się pod jego ciężarem, a on zsunął się po nich. Szyję miał wygięta pod dziwnym kątem. Czarna energia pulsująca na jego dłoni nagle znikła.

Nathaniel powoli ruszył ku niemu przez dym, w ręku miał ostatnią kostkę.

Mag się nie mszał.

Może udawał, w każdej chwili gotów zerwać się do walki. Niewykluczone... Chłopiec musiał być przygotowany na wszystko.

Bliżej... Wciąż żadnego ruchu. Nathaniel stał już obok rozłożonych nóg w skórzanych butach.

Jeszcze pół kroku... On na pewno by już wstał.

Maurice Schyler jednak leżał. Miał złamany kark. Głową opierał się o panel drzwi, wargi miał lekko rozchylone. Nathaniel znalazł się już tak blisko, że mógł policzyć zmarszczki i bruzdy na jego policzkach. Widział maleńkie, czerwone żyłki na nosie i pod okiem...

Oko było otwarte, ale zamglone i niewidzące. Jak oko ryby. Opadał na nie kosmyk siwych włosów.

Chłopcu zaczęły drżeć ramiona. Przez chwilę myślał, że się rozplacze.

Opanował się jednak siłą woli. Czekał, aż uspokoi mu się oddech, aż przestanie się trząść. Wreszcie stłumił emocje i przestąpił nad ciałem starca.

–Popełniłeś błąd – powiedział spokojnie. – Wcale nie robię tego dla mojego mistrza.

Pokój za drzwiami był mały, bez okien. Kiedyś pewnie znajdował się tu magazyn. Na środku podłogi wyrysowano pentagram, wokół którego starannie rozstawiono świece i kadzielnice. Padające drzwi przewróciły dwie świece i Nathaniel pieczołowicie ustawił je na nowo.

Na jednej ze ścian na gwoździu wisiała rama, nie było malowidła ani płótna, lecz piękny widok na duże, słoneczne, okrągłe pomieszczenie, w którym poruszało się wiele maleńkich figurek.

Nathaniel od razu zorientował się, co to jest. Czarodziejskie zwierciadło, znacznie lepsze i potężniejsze od jego utraconego dysku. Zbliżył się, by dobrze mu się przyjrzeć. Pokazywało wielką salę, pełną krzesel, której podłoga, pokryta dywanem, dziwnie połyskiwała. Wchodzili tam ministrowie. Śmiali się i gawędzili, wciąż jeszcze trzymali kieliszki, a od lokajów, stojących rzędem przy drzwiach, brali eleganckie czarne pióra i teczki. Byli tam również premier, otoczony falującym tłumem, i jego nieodłączny, czujny ponury afryt. Lovelace jeszcze nie przybył.

Ale w każdej chwili mógł wejść na salę i zacząć realizować swój plan.

Nathaniel zauważył na podłodze pudełko zapalek. Pospiesznie zapalił świece, dwukrotnie sprawdził kadzidło i wszedł do pentagramu – mimo

pośpiechu zachwyił się elegancją, z jaką go nakreślono. Zamknął oczy, wyciszył się i poszukał w pamięci odpowiedniego zaklęcia.

Minęło ledwie kilka sekund, a był już gotów. Lekko drapało go w gardle od dymu. Kaszlnął dwukrotnie i wypowiedział inkantację.

Efekt był natychmiastowy. Wiele już czasu minęło, od kiedy Nathaniel dokonywał przyzwania, dlatego wzdrygnął się na widok dzinna. Tym razem miał on postać gargulca i wyglądał na zirytowanego.

–Masz naprawdę znakomite wyczucie chwili! – sarknął demon. – Właśnie dopadłem tego zabójcy, a ty nagle przypomniałeś sobie, jak się mnie wzywa!

–Czas zaczynać! – wzywając Bartimaeusa, chłopiec musiał tak bardzo się koncentrować, że aż zakręciło mu się w głowie. Oparł się o mur, by odzyskać równowagę. – Spójrz, to widać w lustrze! Już się zbierają, Lovelace tam idzie, a że ma na sobie amulet, nie odczuje skutków tego, co się wydarzy, cokolwiek to będzie. My... myślę, że to będzie przyzwanie.

–Co ty powiesz? Tego to już i ja zdążyłem się dowiedzieć. Dobra, do roboty. Powierz się moim delikatnym szponom.

Wysunąłem je na próbę, wyszły, poskrzypując.

Nathaniel zbladł.

Gargulec przewrócił oczyma.

–Zamierzam cię przenieść – wyjaśnił. – Musimy się spieszyć, jeśli chcemy go powstrzymać. On nie może wejść do tej sali. Jeżeli mu się to uda, to miejsce zostanie odcięte, możemy się założyć.

Nathaniel ostrożnie zrobił krok do przodu. Gargulec niecierpliwie tupnął.

–Nie musisz się o mnie martwić – rzucił. – Nie nadwerzęzę sobie grzbietu, w ogóle nic mi się nie stanie. Wściekłem się i odzyskałem siły.

Złapał chłopca w pasie i ruszył ku wyjściu, gdzie potknął się o leżącego w progu trupa.

–Patrz, gdzie zostawiasz swoje ofiary! Uderzyłem się w palec.

Dał susa nad gruzami, a potem w podskokach przemierzył galerię, pomagając sobie zamaszystymi ruchami kamiennych skrzydeł. Przy każdym kroku Nathanielowi żołądek podchodził do gardła.

–Zwolnij! – wydyszał – Bo zwymiotuję!

–No to chyba to ci się nie spodoba – Bartimaeus odbił się, przeleciał przez zwieńczone łukiem drzwi na końcu galerii, nad półpiętrzem i schodami –

prosto do sali dziesięć metrów niżej. Wrzask chłopca rozniósł się echem wśród ścian. Na wpół frunąc, na wpół skacząc, gargulec przemierzył następny korytarz.

–No – powiedział z uznaniem – właśnie po raz pierwszy własnoręcznie

kogoś zabiłeś. Jak się czujesz? Jestem pewien, że jak prawdziwy mężczyzna.

Pomogło ci to zapomnieć o śmierci żony Underwooda?

Nathanielowi tak bardzo chciało się wymiotować, że w ogóle go nie słuchał. Tym bardziej nie mógł odpowiedzieć.

Chwilę później gonitwa po domu zakończyła się tak gwałtownie, że Nathaniel zakołysał się jak szmaciana lalka. Gargulec przystanął na rogu długiego korytarza. Upuścił chłopca na podłogę i w ciszy wskazał przed siebie. Nathaniel potrząsnął głową – chciał, by obraz przestał wirować mu przed oczyma – i spojrzął w tamtą stronę.

Na drugim końcu korytarza zobaczył otwarte drzwi prowadzące do auli. Stały tam trzy osoby: wyniosły lokaj, przytrzymujący skrzydła drzwi, mag Rufus Lime o głowie ryby i Simon Lovelace, który właśnie zapinał kołnierzyk. Na jego szyi przez chwilę zaśniło złoto. Poprawił koszulę, zaciągnął krawat, klepnął towarzysza po ramieniu i ruszył przez drzwi.

–Spóźniliśmy się! – syknął Nathaniel. – Nie możesz?... – Zaskoczony

zorientował się, że gargulec gdzieś zniknął.

Coś zapiszczało mu do ucha.

–Przyczesz włosy i wchodź do środka. Możesz udawać służącego. Pospiesz

się!

Chłopiec bardzo chciał podrapać się w ucho, czuł przy nim coś małego, co go łaskotało. Powstrzymał się jednak, wyprostował się, przyglądził włosy i ruszył korytarzem.

Lime gdzieś poszedł. A lokaj właśnie zamykał drzwi.

–Chwileczkę! – Nathaniel chciał, żeby jego głos był niższy i bardziej władczy. Szybko podszedł do kamerdynera. – Wpuść mnie! Potrzebują jeszcze kogoś do podawania napojów!

–Nie znam cię – odparł służący, marszcząc brwi. – Gdzie jest młody William?

–Rozbolała go głowa. Wezwano mnie. W ostatniej chwili. Na korytarzu rozległy się kroki i

czyjś głos rozkazał:

–Stać!

Nathaniel się odwrócił. Usłyszał, jak Bartimaeus klnie gdzieś przy jego uchu, i zobaczył czarnobrodego najemnika. Zbliżał się szybko. Był bosy. Wokół niego łopotały strzępy płaszcza. Niebieskie oczy płonęły.

–Szybko! – ponaglił dzinn. – W drzwiach jest jeszcze szczelina, prześlizgnij się!

Najemnik przyspieszył kroku.

–Zatrzymać tego chłopaka!

Nathaniel mocno uderzył lokaja obcasem w kostkę. Służący wrzasnął i aż skulił się z bólu. Chłopiec wywinął mu się zręcznie, popchnął drzwi i wsunął się do sali.

Insekt przy jego uchu skakał z podniecenia.

–Zamknij je im przed nosem!

Pchnął drzwi ze wszystkich sił, jednak z drugiej strony lokaj zaparł się o nie całym ciałem. Zaczęły się uchylać. Wtedy zabrzmiał głos najemnika, spokojny, jedwabisty.

–Nie przejmuj się – powiedział. – Zostaw go. Zasłużył na swój los.

Napór na drzwi zelżał. Szczęknęły zamki i zasuwy. Cichutki głosik

znowu przemówił chłopcu do ucha:

–To zabrzmiało groźnie.

Bartimaeus

dy weszliśmy już do tej sławetnej sali i wszystkie bariery się zatrzasnęły, wypadki potoczyły się bardzo szybko. Chłopiec pewnie nawet nie zdołał dobrze się przyjrzeć temu miejscu, a ono już się zmieniło. Ale ja, rzecz jasna, miałem lepiej rozwinięte zmysły, dlatego jednym krótkim spojrzeniem objąłem wszystkie szczegóły.

Po pierwsze: gdzie byliśmy? Obok zamkniętych drzwi, na skraju okrągłej, szklanej podłogi. Szkło miało szorstką powierzchnię – więc buty się po nim

322

nie ślizgały – jednak na tyle przejrzystą, by można było obejrzeć leżący pod nią dywan. Chłopiec stał na samym brzegu kobierca, ozdobionego motywami splecionych winorośli. Wzdłuż ścian całej auli prężyli się lokaje z wózkami na kółkach, pełnymi ciasteczek i napojów. Wewnątrz tego kordonu ustawiono półkole z krzesel – to, które widziałem z okna. Teraz jednak siedzenia trzeszczały pod zadkami magów. Czarodzieje popijali napoje, jednym uchem słuchając Amandy Cathcart, która stała na podium, pośrodku sali, witając wszystkich serdecznie. Obok niej czekał już Simon Lovelace. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Amanda właśnie kończyła:

–...i mam nadzieję, że nie będziecie mi mieli za złe, jeśli zwrócę waszą uwagę na dywan, który widzicie pod swoimi stopami. Zamówiliśmy go w Persji z myślą, by był to największy dywan w całej Anglii. Jeśli przyjrzyecie mu się uważnie, dostrzeżecie na nim swoje podobizny.

Pomruki aprobaty, tu i ówdzie brawa.

–Dzisiejszego popołudnia dyskusja trwać będzie do godziny szóstej. Potem zrobimy przerwę na kolację, którą zjemy na zewnątrz, w ogrzewanych namiotach, gdzie zabawiać nas będzie kilku Łotyszy zonglujących mieczami.

Burza oklasków.

–Dziękuję. Teraz oddam was pod opiekę naszego prawdziwego gospodarza, pana Simona Lovelace'a.

Ledwie szmer uznania.

Kiedy ona tak mówiła i mówiła, ja szeptałem chłopcu do ucha*. Przybrałem postać wszy, nie mogłem już być mniejszy. A dlaczego to zrobiłem? Bo chciałem, żeby afryt spostrzegł mnie dopiero wtedy, kiedy już naprawdę nie dałoby się tego uniknąć. Na razie ta demonica była jedyną widzialną istotą z Zaświatów (grzeczność nakazała bowiem magom odwołać swoje impy na czas spotkania). Z pewnością uznałaby mnie za zagrożenie.

–To nasza ostatnia szansa. Moim zdaniem, cokolwiek Lovelace zamierza zrobić, zrobi to teraz, zanim afryt wyczuje aurę amuletu. Zawiesił go sobie na szyi. Dasz radę podkraść się i wyciągnąć go tak, żeby znalazł się na widoku?

To poruszy czarodziejów.

*** Naprawdę nie przychodziło mi to łatwo. Bywałem już w różnych paskudnych miejscach, ale za taką woskwinę należało mu się porządne lanie!**

Chłopiec skinął głową. Zaczął przekradać się przez tłum. Na podium Lovelace rozpoczął słuźalczą przemowę:

–Panie premierze, panie i panowie, jestem wielce zaszczycony...

Byliśmy już na wysokości pierwszego rzędu. Stąd droga wiodła prosto

do podium. Chłopiec klusem ruszył przed siebie, a ja popędzałem go jak dżokej siedzący na posłusznym (i głupim) rumaku. Nagle jakaś koścista ręka złapała Nathaniela za kark.

–A ty gdzie się wybierasz?

Znałem ten kobiecy głos. Przywołał wspomnienie Kuli Smutku. Jessica Whitwell, w całej okazałości trupio zapadniętych policzków i krótkich, siwych włosów. Chłopiec szarpnął się. Nie tracąc czasu, pobiegłem po jego ucho i białej delikatnej skórze szyi w kierunku obcej ręki.

Nathaniel próbował się wyrwać.

–Proszę... mnie... puścić!

–...to przyjemność, a zarazem przywilej... – Lovelace chyba niczego nie słyszał.

–Jak śmiesz zakłócać to spotkanie – jej ostre paznokcie bezlitośnie wpiły się w skórę chłopca.

A tymczasem wesz zbliżyła się już do bladego, chudego nadgarstka.

–Pani nic... nie rozumie... – wykrztusił Nathaniel. – Lovelace ma...

–Cicho, smarkaczu!

–...cieszę się, że was tutaj widzę. Sholto Pinn prosił, by go usprawiedliwić, jest niedysponowany...

–Jessico, wsadź go do Ogranicznika – poradził mag z sąsiedniego krzesła. – Później się z nim rozprawisz.

Byłem już na jej przegubie. Po wewnętrznej stronie biegły niebieskie żyłki.

Wesz była za mała na to, co planowałem. Zmieniłem się więc w skarabeusza o bardzo ostrych szczypcach. Ukąsiłem z lubością.

Wrzasnęła tak, że aż zadźwięczały żyrandole i puściła Nathaniela. Poleciał do przodu, prawie zrzucając mnie z karku. Lovelace przerwał – rozejrzał się uważnie. Wszystkie głowy odwróciły

się ku czarodziejce.

Nathaniel uniósł dłoń wskazującym gestem.

–Uwaga! – wychrypiał. Uchwyt Jessiki prawie go udusił. – Lovelace
ma am...

Wokół nas uniosła się sieć białych nici i zamknęła nad głową chłopca. Kobieta przytknęła
krwawiący przegub do ust.

–...ulet z Samarkandy! On chce was wszystkich zabić! Nie wiem jak,
ale to będzie straszne i...

Zmęczony skarabeusz poklepał Nathaniela po ramieniu.

–Nie wysilaj się – powiedziałem. – Nikt cię nie słyszy. Ona nas odcięła*. Spojrzał na mnie tępo.

–Nigdy w czymś takim nie byłeś? No fakt, zawsze ty robiłeś to innym. Obserwowałem
Lovelace'a. Patrzył prosto na Nathaniela. Nim powrócił do

przerwanej mowy, dostrzegłem w jego oczach błysk niedowierzania i wściekłości. Chrząknął i
począł, aż magowie przestaną rozmawiać. Jego dłoń skradała się ku szufladzie w mównicy.

Chłopca ogarnęła panika. Bezsilnie miotał się w elastycznych murach Ogranicznika.

–Uspokój się – powiedziałem. – Niech się temu przyjrzę. Większość

Ograniczników ma różne słabe punkty. Jeśli zdołam taki znaleźć, to nas
uwolnię.

Zmieniłem się w muchę i zaczynając od góry klatki, zacząłem krążyć wzdłuż membran
Ogranicznika, szukając w nich jakiejs niedoskonałości.

–Ale my nie mamy czasu...

–Po prostu patrz i słuchaj – poradziłem mu łagodnie.

Nie okazałem tego, ale sam też się martwiłem. Chłopak miał rację: naprawdę nie mieliśmy
czasu.

9{atfianid

le my nie mamy czasu... – zaczął Nathaniel. – Po prostu siedź i słuchaj! – mucha gorączkowo

latała po klatce. Jej brzęczenie brzmiało tak, jakby demon wpadał w panikę. Chłopiec ledwie miał miejsce, by ruszyć dłonią, ale nogami na pewno nie. Czuł się tak, jakby znalazł się wewnątrz egipskiego sarkofagu albo żelaznej dziewicy...

*** Nici Ogranicznika są bardzo szczelne. Ze swego kokonu nie wypuszczają żadnego dźwięku ani przedmiotu. To rodzaj tymczasowego więzienia, częściej stosowanego względem nieszczęsnych ludzi niż dzinnów.**

Kiedy o tym pomyślał, ogarnął go strach, dręczący każdego, kto zostaje uwięziony w niewielkiej przestrzeni. Zdławił krzyk, głęboko odetchnął i skupił uwagę na tym, co działo się wokół niego.

Po chwili magowie znów słuchali mówcy, który zachowywał się tak, jak gdyby nic się nie stało.

–Chciałbym podziękować lady Amandzie za udostępnienie tej cudownej

sali... Przy okazji, proszę zwrócić uwagę na tę wyjątkową kolekcję

bezcennych żyrandoli. Zabrano je z ruin Wersalu po wojnach francuskich, a

wykonane są z adamantynowego kryształu. Ich twórca...

Lovelace miał o tych żyrandolach sporo do powiedzenia. Wszyscy uczestnicy konferencji unieśli głowy do góry, wydając okrzyki zachwytu. Cóż za bogactwo!

Nathaniel odezwał się do muchy:

–Znalazłeś już jakiś słaby punkt?

–Nie, to solidna rzecz – mucha zabręczała ze złością. – Dlaczego dałeś się w to złapać? Jesteś teraz bezradny.

Bezradny. Znowu. Nathaniel przygryzł wargę.

–Myślę, że Lovelace chce coś przyzwać – powiedział.

–Oczywiście. Dlatego przyniósł sobie róg, nie musi teraz wypowiadać zaklęcia. Zaoszczędzi mu to czasu.

–Co to będzie?

–A bo jak wiem? Pewnie coś na tyle dużego, żeby poradziło sobie z tym afrytem.

Nathaniela znowu zalała fala paniki, znów musiał zdusić krzyk. Lovelace nadal szczegółowo opisywał sufit. Chłopiec łypał oczyma, starał się uchwycić spojrzenie kogoś z czarodziejów, ale zbyt byli zajęci podziwianiem niezwykłych żyrandoli. Zwiesił głowę zrozpaczony.

I kątem oka spostrzegł coś dziwnego.

Podłoga... Nie był tego pewien, bo od szkła odbijało się światło, ale chyba zobaczył tam jakiś ruch, białą falę przebiegającą gwałtownie od strony przeciwległej ściany. Zmarszczył brwi –

membrana Ogranicznika też zasłaniała mu widok, nie bardzo wiedział, na co właściwie patrzy. Jakby coś stopniowo okrywało dywan.

Mucha zabrzęczała chłopcu przy głowie.

–Mogę cię pocieszyć – powiedział demon. – To nie może być nic bardzo

potężnego, bo wtedy Lovelace użyłby pentagramu. Amulet świetnie nadaje

się do osobistej ochrony, ale takie naprawdę potężne istoty trzeba starannie kontrolować. Nie można spuszczać ich ze smyczy, bo wtedy ryzykuje się totalną zagładę. Pomyśl, co się stało z Atlantydą.

Nathaniel nie miał pojęcia, co się stało z Atlantydą. Wciąż spoglądał na podłogę. Nagle zorientował się, że coś dziwnego dzieje się w całej sali -podłoga jakby się przesuwiała, chociaż szklana powierzchnia pozostawała nieruchoma. Spojrzał pod nogi i zobaczył roześmiane oblicze młodej czarodziejki, mknące pod szkłem, a zaraz za nim głowę rumaka i liście dekoracyjnego drzewa...

I wtedy zrozumiał, co się naprawdę dzieje. Nic nie zakrywało dywanu, wręcz przeciwnie, to on się odsuwał, szybko, cicho. Nikt inny tego nie zauważył. Magowie wpatrywali się w sufit, a podłoga pod nimi wciąż się zmieniała.

–Bartimaeus... – odezwał się chłopiec.

–Co? Usiłuję się skupić.

–Podłoga...

–Och. – Mucha siadła Nathanielowi na ramieniu. – Nie jest dobrze.

Pod chłopcem przesunął się zdobiony zawijasami skraj kobierca, a potem obszyta frędzlami krawędź. Odśloniła się błyszcząca powierzchnia – może z białego tynku – na której lśniąco, czarnym atramentem wyrysowano ogromne runy. Nathaniel od razu rozpoznał, co znajduje się teraz pod nogami magów, a gdy szybko rozejrzał się po sali, tylko się upewnił. Zobaczył odcinki perfekcyjnie nakreślonych kręgów, dwie proste linie zbiegające się u wierzchołka gwiazdy, kunsztowne zawijasy run, czarne i czerwone...

–Gigantyczny pentagram – wyszeptał. – I wszyscy w nim jesteśmy.

–Nathanielu – odezwała się mucha. – Pamiętaj, jak ci mówiłem, żebyś siedział cicho i tylko słuchał?

–Tak.

–Cofam to. Rób tyle zamieszania, ile tylko możesz. Może jakoś zdoła my przyciągnąć uwagę tych idiotów.

Chłopiec zaczął podskakiwać, machać rękoma, potrząsać głową. Krzyczał, aż ochrypl. Wokół niego latała mucha, połyskując setką jaskrawych, ostrzegawczych kolorów. Ale magowie niczego nie spostrzegli. Nawet Jessica Whitwell, stojąca najbliżej, błyszczącymi oczyma wciąż wpatrywała się w sufit.

Okropna bezradność, taka jak w noc pożaru, powróciła. Nathaniel czuł, jak traci energię i zaczyna się poddawać.

–Dlaczego oni nie spojrzą? – jęknął.

–Z czystej chciwości – odparła mucha. – Są zbyt zapatrzeni w bogactwo. Niedobrze. Spróbowałbym Detonacji, ale z tej odległości mogłaby cię zabić.

–Więc. nie próbuj.

–Gdybyś nie rzucił na mnie czaru Wiecznego Uwięzienia – zabręczała mucha – zrobiłbym to, a potem wy dostał się na wolność i podjął walkę z Lovelace'em. Oczywiście, ty byś zginął, ale ocaliłbym innych, naprawdę, i opowiedziałbym im o twoim poświęceniu. To by... Patrz! Coś się dzieje!

Nathaniel już od pewnego czasu obserwował Lovelace'a. Ten nagle się poruszył. Jego ręce, wcześniej pokazujące sufit, teraz szybko opadły na mównicę. Wyciągnął coś z szuflady, odwinął sukno, rzucił na podłogę, a do ust podniósł... róg: stary, pordzewiały i popękany. Na czole maga pojawiły się kropelki potu, zabłyśły w świetle żyrandoli.

Coś w tłumie wydało z siebie nieludzki, wściekły ryk. Przerażeni magowie pochylili głowy.

Lovelace zadął w róg.

Oiartitnaeiis

Wtedy zsunął się dywan i odsłonił gigantyczny pentagram, służący do przyzwań, wiedziałem już, że sytuacja jest paskudna. Lovelace wszystko sobie dokładnie przygotował. Magowie, on sam zresztą też, zostali uwięzieni w jednym kręgu, znalazła się w nim również istota z Zaświatów. Okna, i zapewne ściany, odgrozione były barierami, zatem nikt nie mógł stąd uciec. Lovelace miał Amulet z Samarkandy i dzięki jego mocy był odporny na każdy atak. Inni jednak znaleźli się na łasce zbliżającej się istoty.

Nie okłamałem chłopca. Bez ograniczającego pentagramu mag mógł przyzwać tylko niektóre byty. Potężne istoty dostawały amoku, kiedy dawano im

choć trochę swobody*. A po tym, co wyrysował Lovelace, widać było, że wolność, jaką zamierza dać tej istocie, ogranicza się do auli.

Ale magowi więcej nie było trzeba. Kiedy jego służa odejdzie, z całego rządu on jeden przeżyje i będzie gotów objąć władzę.

Zadał w róg. Na żadnym z siedmiu planów egzystencji instrument nie wydał dźwięku, jednak w Zaświatach brzmiał głośno.

Jak można się było spodziewać, najszybciej zareagował afryt. Kiedy tylko ujrzał róg, ryknął głośno, chwycił Ruperta Devereaux za ramiona i jak błysk poleciał ku najbliższemu oknu. Uderzył w szybę. Magiczne bariery zaśniły elektrycznym błękitem i z siłą gromu odepchnęły demonicę w głąb sali, nogami do góry, z bezwładnym premierem w uścisku.

Lovelace odjął róg od ust i uśmiechnął się pod nosem.

Najmądrzejsi magowie zrozumieli, co się dzieje, kiedy tylko róg się odezwał. Nad nimi wśród kolorowych błysków zjawily się impy. Niektórzy czarodzieje przyzwali potężniejsze służki. Kobieta obok nas mruzczała jakąś inkantację, wołając swojego dzinna.

Lovelace ostrożnie zszedł z podium. Wzrok utkwiał gdzieś wysoko. W szklach okularów odbijały się tańczące światła. Wciąż był nienagannie ubrany. Nie zwracał uwagi na ogólne zamieszanie.

Ujrzałem blask w powietrzu.

Rozpaczliwie poleciałem ku brzegowi otaczającej nas sieci, szukając w niej jakiegoś słabego miejsca. Nic nie znalazłem.

Znów blask. Moja esencja zadrżała.

* Jeden z najstraszniejszych przykładów to mykeński przyczółek Atlantydy na wyspie Santoryn, na Morzu Egejskim. Jakies trzy i pół tysiąca lat temu, jeśli mnie pamięć nie myli. Jej mieszkańcy chcieli podbić sąsiednią wyspę (czy coś w tym stylu), tamtejsi magowie zebrali się więc i przywołali jakąś agresywną istotę. Nie zdołali nad nią zapanować. Byłem wówczas tylko kilkaset kilometrów dalej, w delcie Nilu. Usłyszałem eksplozję i zobaczyłem fale tsunami, z rykiem mknące ku afrykańskiemu wybrzeżu. Parę tygodni później, kiedy wszystko już się uspokoiło, faraon wysłał na Santoryn swoje łodzie. Środkowa część wyspy, razem z mieszkańcami i wspaniałym miastem, została pochłonięta przez fale. A wszystko dlatego, że tamtejsi magowie nie zwracali sobie głowy kreśleniem pentagramu.

9\|*atkanieC*

Wszystcy magowie zareagowali. Krzyczeli na alarm, gorączkowo rozglądając się na boki, kiedy grube, żelazne i srebrne kraty zasunęły się na drzwiach i oknach. Nathaniel już dawno zrezygnował z prób zwrócenia na siebie uwagi. Bo po co, przecież nikt na niego nie spojrzy. Widział, jak mag, siedzący bardziej z przodu, odtrąca krzesło, podnosi dłoń i z odległości ledwie kilku metrów ciska w Lovelace'a kulą żółtego ognia. Ku zaskoczeniu czarodzieja, ogień w locie zmienił tor i zniknął w piersi Simona, który, wpatrzony w sufit, chyba nawet niczego nie zauważył.

Mucha brzęczała, waląc głową w mur Ogranicznika.

–To robota amuletu – oznajmił demon. – On pochłonie wszystko, czego użyją.

Jessica Whitwell zakończyła inkantację. Obok niej w powietrzu zawisł niewysoki, krępy dżinn w kształcie czarnego niedźwiedzia. Wskazała mu coś, wykrzykując rozkaz. Niedźwiedź odleciał, machał łapami w powietrzu, jakby płynął.

Inni magowie też atakowali Lovelace'a. Około minuty był w samym środku migoczącej burzy wścieklej, trzeszczącej energii. Jednak Amulet z Samarkandy pochłonął wszystko – Lovelace'owi nic się nie stało. Starannie przyglądał włosy.

Afryt jakoś się pozbierał. Położył nieprzytomnego premiera na krześle i włączył się do walki. Leciał szybko na błyszczących skrzydłach. Nathaniel spostrzegł, że zbliża się do Lovelace'a po dziwnie okrężnym torze, unikając przestrzeni bezpośrednio nad podium.

Kilku magów podbiegło do drzwi i bezskutecznie szarpało klamki. Demonica rzuciła ku Lovelace'owi potężny czar. Wszystko działo się albo zbyt szybko, albo na planie, którego chłopiec nie widział, w każdym razie zobaczył tylko mknący ku czarodziejowi silny strumień dymu. I nic, znów nic. Afryt przekrzywił głowę, zdezorientowany.

Z drugiej strony do Lovelace'a szybko zbliżał się czarny niedźwiedź. Z jego łap wystrzeliły po dwa pazury, ostre niczym sztylety.

Czarodzieje biegali we wszystkie strony, rzucali się do okien, drzwi... Akompaniował im chór wrzeszczących impów.

A potem coś stało się z afrytem. Dla Nathaniela wyglądało to tak, jakby nagle spojrzął w odbicie dżinna na powierzchni sadzawki, odbicie, które nagle coś zmaćiło. Afryt się roztrzaskał, rozpadł na tysiąc drżących kawałków, które zaczęła wsysać przestrzeń nad podium. I już było po nim.

Czarny niedźwiedź zatrzymał się w powietrzu. Schował pazury. Bardzo powoli zaczął się wycofywać.

Spanikowana mucha głośno zabrzęczała:

–To już się dzieje! Nie widzisz tego?

Ale Nathaniel niczego nie widział.

Obok przebiegła przerażona kobieta. Miała jasnobłękitne włosy.

Oiartitnaeiis

ajbardziej zwracało uwagę to, co stało się z afrytem. Cóż za widowisko! Ale sporo wydarzyło się już wcześniej w ciągu kilku sekund. Demonica miała pecha, i tyle. Owładnięta pragnieniem zniszczenia tego, co groziło jej panu, za bardzo zbliżyła się do szczeliny.

Rozpadlina w powietrzu miała około czterech metrów długości, widziałem ją tylko na siódmym planie. Może dojrzało ją też kilka impów, ale nikt z ludzi*. Nie była gładka, pionowa, ale ukośna, o poszarpanych krawędziach, jakby powietrze zostało rozdarte niczym grube sukno. Ze swego więzienia patrzyłem, jak przybiera konkretny kształt: po pierwszym błysku nad podium powietrze zadrżało, rozciągnęło się i wreszcie pękło wzdłuż owej linii**. Kiedy tylko pojawiła się szczelina, zaczęły się zmiany.

* Póki nie dostrzegli bladej, szarej smugi wzdłuż krawędzi szczeliny. To właśnie tam Zaświaty wsysały światło.

** To tak jak z gumą do żucia. Rozciągana między palcami najpierw się wydłuża, potem gdzieś w środku robi się cienka i wreszcie w najcieńszym miejscu pojawia się maleńka dziurka, która szybko się powiększa. Przyzwanie dokonane przez Lovelace'a było takim rozciąganiem gumy. Przy niewielkiej pomocy istoty po drugiej stronie.

Zmieniała się mównica. Drewno stało się gliną, potem jakimś dziwnym pomarańczowym metalem, w końcu czymś podobnym do wosku. Podium się przechyliło, jeden bok zaczął się topić, a na wierzchu wyrosło kilka źdźbeł trawy.

Kryształy zyrandola wiszącego dokładnie nad podwyższeniem zmieniły się w krople wody – przez chwilę wisiały w powietrzu, migocząc kolorowo, a potem spadły na podłogę niczym deszcz.

Jakiś mag biegł w stronę okna. Każda linia jego garnituru w prążki wiła się jak wąż.

Nikt nie dostrzegł tych pierwszych, mniejszych zmian, a także wielu innych, podobnych. Dopiero los afryta przyciągnął uwagę czarodziejów.

Na sali rozpętało się piekło, ludzie i impy biegali we wszystkie strony wśród pisków i bełkotów. Lovelace, jakby tego nie widział, patrzył tylko na rozpadlinę. Czekaliśmy na coś, co się z niej wynurzy.

42

Bartimaeiis

tało się. Plany egzystencji najbliższe rozpadlinie nagle się przesunęły z różną prędkością. Wydawało mi się, że tracę ostrość widzenia, tak jakbym dostał w głowę. Nagle ujrzałem okna, siedem razy, w lekko zróżnicowanych pozycjach. Było to naprawdę niepokojące.

Jeśli to, co przywołał Lovelace, miało tyle siły, by aż tak zniekształcić plany egzystencji, źle to wróżyło więźniom pentagramu. Istota musiała być już bardzo blisko. Wpatrywałem się w szczelinę w powietrzu...

Minęła nas Amanda Cathcart. Krzyczała. Jej włosy miały piękny, niebieski kolor. Zaszły jeszcze inne zmiany. Dwóch magów, którzy znaleźli się zbyt blisko podium – na próżno starali się zaatakować Lovelace'a -zorientowało się, że ich ciała bardzo się rozciągają. Nos jednego zabawnie się wydłużył, a drugiego znikł.

–Co się dzieje? – szepnął chłopiec.

Nie odpowiedziałem. Szczelina się rozszerzała.

Wszystkie siedem planów zniekształciło się, jakby kipiał syrop. Rozpadlina powiększyła się i wychynęło z niej coś na kształt ramienia. Było przejrzyste, jakby ze szkła. Właściwie nikt by go nie widział, gdyby nie skręty i konwulsje otaczających je planów. Wyciągało się i cofało, jakby po omacku badało dziwne wrażenia ze świata fizycznego. Dostrzegłem cztery niewielkie wypukłości, chyba palce, na samym jego końcu. One również nie miały własnej materii, ich kontury były wyznaczone otaczającymi je drganiami.

Lovelace cofnął się, jego dłoń nerwowo krążyła pod koszulą, szukał uspokajającego dotyku amuletu.

Wraz ze zniekształceniem planów pozostali magowie też zaczęli widzieć ramię*. Głośno rozpaczali, każdy na swój sposób – to była kakofonia głosów -począwszy od największego, najbardziej owłosionego mężczyzny, po najmniejszą, piszczącą kobietę. Kilkoro najodważniejszych pobiegło na środek auli i zmusiło swoje dżinny do wystrzelenia Detonacji oraz innych czarodziejskich różności prosto w szczelinę. Daremnie. Żaden pocisk nawet nie dotarł w pobliże ramienia. Wszystkie skręciły, uderzyły w ściany, w sufit albo też spłynęły na podłogę, niczym woda z mokrych spodni, tracąc energię.

Chłopiec otworzył usta tak szeroko, że gryzoń mógłby zatańczyć w nich swinga.

–T... to coś – wybąkał. – Co to jest?

Nieźle pytanie. Czym była istota, która zniekształcała plany i niszczyła najpotężniejszą magię, wystawiając ledwie jedno ramię? Mógłbym odpowiedzieć niesamowicie dramatycznie: to nasza śmierć!, ale wiele by nam to nie dało. Zresztą chłopak zapytałby wtedy jeszcze raz.

–Tylko się domyślałem – odparłem. – Sądząc po ostrożności, z jaką ten stwór

przechodził przez szczelinę, rzadko go dotąd wzywano. Jest pewnie

zaskoczony i wściekły, ale jasne, że ma wielką siłę. Popatrz dookoła!

Wewnątrz pentagramu cała magia się psuje, przedmioty zaczynają zmieniać

kształt... Wszystkie prawa natury są wypaczone i zawieszane.

* Oczywiście widzieli wyraźnie tylko trzy plany, ale to starczyło, żeby dostrzec kontury.

Najpotężniejsi z nas zawsze przynoszą ze sobą chaos Zaświatów. Nic dziwnego, że Lovelace potrzebował Amuletu z Samarkandy, by się ochronić*. Gdy tak patrzyliśmy, za gigantycznym, przejrzystym ramieniem pojawił się krzepki, przezroczysty bark, długi na ponad metr. A potem ze szczeliny zaczęło się wyłaniać coś na kształt głowy. Znowu był to jedynie kontur: świetnie było przez nią widać okna i odległe drzewa. Plany zatrzęśły się z nową siłą.

–Lovelace nie mógł tego przywołać samodzielnie – powiedziałem. – Musiał mieć pomoc. I nie chodzi mi tylko o to stare straszidło, które zabiłeś, czy też o tego jegomościa przy drzwiach. Musiał w tym maczać palce prawdziwy mocarz*.

Istota przepychała się przez szczelinę. Pojawiło się jeszcze jedno ramię i coś jakby tułów. Większość magów tłoczyła się pod ścianami, kilku, przy oknach, dostało się w obszar drgania planów. Ich twarze się zmieniły: mężczyzna stał się kobietą, kobieta dzieckiem. Jeden z czarodziejów, oszalały po swej przemianie, gnał na oślep ku podium – w jednej chwili jego ciało stało się półpłynne, obrócił się gwałtownie w poślizgu, wirując, pomknął do szczeliny -i znikł. Mój pan jęknął z przerażenia.

Teraz z rozpadliny wyłoniła się wielka, przezroczysta noga, z niemal kocią gracją i pewnością siebie. Sytuacja robiła się naprawdę poważna. Ale ja wciąż byłem optymistą. Zauważyłem, że zawirowania wywoływane przez istotę zmieniają naturę każdego czaru. I to właśnie dało mi nadzieję.

–Nathaniel – powiedziałem. – Posłuchaj.

Żadnej reakcji. Skamieniał, patrząc jak panowie jego świata biegają niczym obłąkane kurczaki. Wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że zapo-

* Istota uwięziona w amulecie musiała być co najmniej tak silna jak nowo przybyła, skoro Lovelace stawiał czoło mocy intruza. Choć wiele już w życiu widziałem, wciąż, choć niechętnie, podziwiam starożytny, azjatycki lud, który zdołał ją pochwyć i zamknąć w artefakcie.

** Ta istota była znacznie potężniejsza niż maridy, afryty i dżinny, jakie zazwyczaj przyzywają magowie. Silny czarodziej może samodzielnie wezwać afryta, ale do większości maridów potrzeba już dwóch osób. Wyliczyłem, że w tym przypadku namęczyły się co najmniej cztery.

mniałem, jak bardzo jest młody. Teraz w ogóle nie przypominał czarodzieja, stał się małym, przerażonym chłopcem.

–Nathaniel. Słaby głos:

–Tak?

–Słuchaj. Jeśli wydostaniemy się z tego Ogranicznika, wiesz, co mamy zrobić?

–Ale jak się możemy wydostać?

–Nie twoja w tym głowa. Jeśli uciekniemy, to co mamy zrobić?

Tylko wzruszył ramionami.

–No to ja ci powiem. Musimy zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, zdobyć Amulet z Samarkandy. To zadanie dla ciebie.

–Dlaczego?

–Bo ja nie mogę dotknąć amuletu, kiedy on go nosi. Wchłania każdą magię, jaka się do niego zbliża. A ja nie chcę być przypadkowo wchłonięty. Ale ty spróbuj odwrócić jego uwagę, kiedy już do niego podejdziesz.

–Dobre sobie!

–Po drugie – mówiłem dalej – trzeba odwrócić przyzwanie, tak by wyrzucić stąd naszego wielkiego przyjaciela. I to ty musisz to zrobić.

–Znowu ja?

–Tak. A ja pomogę odebrać Lovelace'owi róg przyzwań. Jeśli chcemy zwyciężyć, trzeba go zniszczyć. Jaka w tym twoja rola? Zbierzesz kilku magów, żebyście razem odprawili czas Odwołania. Paru silniejszych powinno dostatecznie dużo o tym wiedzieć, zakładając, że zachowali jasny umysł. Nie martw się, nie będziesz musiał tego robić sam.

Chłopiec zmarszczył brwi.

–Lovelace zamierza odwołać to samodzielnie – powiedział już ze swoją zwykłą energią.

–Tak. Ale on jest mistrzem magii, bardzo uzdolnionym i o dużej mocy. No to załatwione.

Idziemy po amulet. Jeśli go dostaniemy, ty pójdziesz i poszukasz pomocy, a ja porachuję się z Lovelace'em.

Nie wiem, co odpowiedział, bo właśnie wtedy wielka istota całkiem wyszła ze szczeliny. Plany egzystencji zatrzęły się przeraźliwie. Fala uderzeniowa pomknęła przez wywrócone krzesła, kilka zmieniła w ciecz, kilka podpałała, wreszcie sięgnęła migoczącego, białego Ogranicznika, który nas

więził. Membrana pękła z hukiem, siła wybuchu odrzuciła mnie w jedną stronę, a chłopca w drugą. Upadł ciężko, kalecząc sobie twarz. Niedaleko powoli odwracała się wielka, przejrzysta głowa.

–Nathaniel! – krzyknąłem. – Wstawaj!

9{atfianid

o wybuchu chłopcu dzwoniło w uszach, a w ustach czuł wilgoć. Przez zgiełk sali słyszał głos, wołający jego imię. Podniósł się z trudem. Istotę było widać już w całej okazałości. Wypełniała niemal całą salę. Za nią, pod ścianami, tłoczyli się bezradni czarodzieje wraz ze swoimi impami. A przed nimi stał Simon Lovelace, wykrzykując rozkazy dla swego sługi. Jedną dłoń przyciskał do piersi, w drugiej trzymał róg przyzwań.

–Widzisz, Ramuthro? – zawołał. – Mam Amulet z Samarkandy i jestem poza twoją mocą. Ale każde inne żywe stworzenie na tej sali, czy to człowiek, czy też duch, należy do ciebie. Rozkazuję ci zniszczyć wszystkich!

Wielka istota pochyliła głowę na znak, że przyjmuje polecenie, po czym zwróciła się ku najbliższej grupie czarodziejów, wysyłając przez salę fale uderzeniowe. Nathaniel, biegnąc w stronę Lovelace'a, zauważył nisko nad posadzką brzydki brzęcząca muchę.

Lovelace też ją zobaczył. Zmarszczył brwi i patrzył, jak owad mknie w powietrzu – podleciał do niego, potem zawrócił, potem znów się zbliżył. A tymczasem, cichaczem, chłopiec zbliżał się do maga.

Blisko, blisko...

Mucha pomknęła wprost ku twarzy Lovelace'a, czarodziej się wzdrygnął – i właśnie wtedy Nathaniel rzucił się na niego. Skoczył mu na plecy, chwycił za kołnierz. Mucha zmieniła się w małpkę i złapała róg chwytnymi palcami. Lovelace krzyknął i uderzył małpkę tak mocno, że poleciała, wirując, ogonem do góry. A potem schylił się, przerzucił chłopca nad głowę i cisnął nim o podłogę.

Chłopiec wyciągnął się jak długi, małpka obok. Lovelace stanął nad nimi. Okulary wisiały mu krzywo na jednym uchu. Nathaniel urwał mu kawał

kolnierzyka. Złoty łańcuch Amuletu z Samarkandy lśnił na odsłoniętej szyi.

–A więc odrzuciłeś moją propozycję – powiedział, poprawiając okulary.

–Szkoda. Jak czmychnąłeś Maurice'owi? Pomogło ci to coś? – Wskazał małpkę. – To pewnie Bartimaeus.

Nathaniel nie mógł złapać tchu. Kiedy spróbował wstać, poczuł ból. Jednak małpka była już na nogach i rozrastała się, zmieniając kształt.

–No, dalej – syknęła do Nathaniela. – Zanim on będzie mógł...

Lovelace poruszył ręką i wypowiedział zaklęcie. Tuż przy nim wyrósł

kolos z głową szakala.

–Nie zamierzałem cię wzywać – oznajmił mag. – Jakże trudno dziś o

dobrego sługę, czy to człowieka, czy dzinna. Miałem nadzieję, że będę

jedynym, który wyjdzie z tej sali żywy. Ale skoro zobaczyłem tutaj

Bartimaeusa, to niegodziwie byłoby odebrać ci szansę porachowania się z nim.

–Niedbałe wskazał gargulca, który w gotowości przykucnął obok Nathaniela. –

Już czas, Jaborze – powiedział. – Nie zawieź mnie.

Demon o głowie szakala wysunął się do przodu. Gargulec zaklął i wzbil się w powietrze. Na plecach Jabora wyrosły dwa żylaste skrzydła. Załopotały, wydając dźwięk podobny do pękających kości, i poniosły go w pogoń za Bartimaeusem.

Nathaniel i Lovelace zostali sami. Ból pleców zelżał i chłopiec zdołał wstać. Nie odrywał spojrzenia od złotego blasku na szyi czarodzieja.

–Wiesz, John – odezwał się Lovelace, od niechcienia klepiąc róg. – Jeśli

miałbyś szczęście być moim uczniem od samego początku, to wspólnie

dokonalibyśmy wielkich rzeczy. Poznaję coś w tobie: jakbym spoglądał w

swoje odmłodzone odbicie. Łączy nas to samo pragnienie władzy. –

Uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby. – Ale ciebie zepsuła słabość

Underwooda, ta jego przeciętność.

Przerwał, bo między nich wpadł krzyczący wniebogłosy czarodziej o skórze pokrytej błyszczącymi niebieskimi łuskami. Z całej sali dobiegały pomieszane odgłosy magii, która w zetknięciu z falami emanującymi z Ramuthry obróciła się przeciw magom. Czarodzieje i impy tłoczyli się pod przeciwległą ścianą, niemal jeden na drugim, niektórzy rozpaczliwie próbowali uciec. Wielka istota ruszyła ku nim wolnym krokiem, zostawiając za sobą

pasmo zniszczeń: zniekształcone krzesła, rozrzucone torebki oraz inne rzeczy, wszystko rozciągnięte, powyginane, mieniające się nienaturalnymi kolorami. Nathaniel próbował nie zwracać na to uwagi: wpatrywał się w łańcuszek amuletu, gotów do następnego ataku. Lovelace uśmiechnął się.

– Nawet teraz się nie poddajesz – powiedział. – A to jest dokładnie to, o czym mówię: twoja żelazna wola działania. Wspaniale. Ale gdybyś był moim uczniem, uczyłbym cię, jak trzymać ją w ryzach, póki nie nauczysz się nią posługiwać. Prawdziwy mag, jeśli ma przetrwać, musi być cierpliwy.

– Tak – sucho odparł Nathaniel. – Już to słyszałem.

– Powinieneś słuchać uważniej. No, ale teraz jest już za późno, by cię ocalić. Narobiłeś mi zbyt wielu szkód, a nawet jeśli chciałbym zachować cię przy życiu, i tak nie mógłbym nic dla ciebie zrobić. Amuletem nie można się z nikim podzielić.

Przez chwilę wpatrywał się w Ramuthrę. Demon właśnie przyparł do ściany grupę magów i sięgał ku nim łapczywymi palcami. Piskliwy wrzask nagle ucichł.

Nathaniel lekko się poruszył. Lovelace natychmiast znów spojrzał na niego.

– Jeszcze walczysz? Skoro nie mam pewności, że położysz się i umrzesz

razem z tymi wszystkimi tchórzliwymi głupcami, będę musiał najpierw

pozbyć się ciebie. Będziesz pierwszy, John, uznaj to za komplement.

Przyłożył róg do ust i krótko zadął.

Nathaniela przebiegły ciarki. Coś się zmieniło.

Ramuthra, słysząc dźwięk rogu, zamarł. Zamęt w planach egzystencji, znaczący jego kontury, wzmógł się tak, jakby demon poczuł wyjątkowo silną emocję, może złość. Nathaniel zobaczył, że potwór się odwraca i z szacunkiem patrzy na Lovelace'a.

– Nie wahaj się, sługo! – krzyknął czarodziej. – Wykonaj mój rozkaz! Ten

chłopiec musi umrzeć jako pierwszy!

Nathaniel poczuł na sobie obce spojrzenie. Dziwnie wyraźnie zobaczył piękny, złoty gobelin, wiszący za gigantyczną głową. Zdawał się większy, niż powinien być, jakby przysłonięty kryształowoczystą soczewką. Esencją demona.

–Chodź! – Głos Lovelace'a zatrzeszczał sucho.

Z istoty popłynęła wielka fala magii, zmieniając najbliższy żyrandol w stadko malutkich żółtych ptaszków, które rozpierzchły się pod sufitem i uleciały. Ramuthra ciężko obrócił się plecami do pozostałych magów i ruszył ku chłopcu.

Nathanielowi serce podeszło do gardła. Obejrzał się.

I usłyszał chichot Lovelace'a.

Bartimaeiis

tak właśnie znów stanęliśmy naprzeciw siebie, on i ja, niczym dwaj partnerzy w tańcu. Cofałem się – on szedł za mną – unikając biegnących ludzi, eksplozji złej magii oraz fal uderzeniowych, sunących od potężnej istoty. Grymas na pysku Jabora wyrażał złość albo niezdecydowanie, bo nawet jego olbrzymia wytrzymałość, w takim otoczeniu jak to, była wystawiona na ciężką próbę. Postanowiłem więc osłabić jego morale.

–Jak to jest, być kimś gorszym od Faquarla? – zawołałem, przemykając pod

jednym z niewielu ocalałych żyrandoli. – Nie widzę, żeby Lovelace ryzykował

jego życie i go tutaj wezwał.

Zza żyrandola Jabor próbował cisnąć we mnie Zarazą, jednak drganie energii zmieniło czar: chmura ślicznych kwiatów opadała na podłogę.

–Urocze – stwierdziłem. – Następnym razem musisz się tylko nauczyć, jak je

ładnie poukładać. Jak chcesz, pożyczę ci piękny wazon.

Wątpiłem, żeby Jabor miał tyle rozumu, by zrozumieć te obelgi. Rozpoznał jednak szyderczy ton w moim głosie i ryknął:

–On mnie wezwał, bo ja jestem silniejszy!

Wyrwał żyrandol z sufitu i rzucił nim we mnie. Uskoczyłem niczym baletnica. Kandelabr roztrzaskał się o ścianę i deszczem małych okruchów kryształu spadł na głowy skulonych magów.

Jabor raczej nie zachwyił się moim pełnym gracji unikiem.

–Tchórz! – krzyknął. – Zawsze skradasz się i czołgasz, uciekasz i się kryjesz.

–Ja to nazywam inteligencją – odparłem, kręcąc piruety w powietrzu.

Złapałem potrząskany dźwigar sufitu i cisnąłem nim jak oszczepem.

Jabor nawet się drgnął, pozwolił, żeby pocisk pękł mu na piersi i upadł

na podłogę. Skradałem się i czołgałem, uciekałem i kryłem się – na próżno -spoglądając przez salę, zobaczyłem, że sytuacja pogarsza się z sekundy na sekundę. Ramuthra* odwrócił się i szedł teraz tam, gdzie stali mag i mój mistrz. Bez trudu można było domyślić się, co planuje Lovelace: chłopiec zrobił się zbyt uciążliwy, by żyć choć chwilę dłużej. Właściwie to nawet rozumiałem czarodzieja.

Lovelace wciąż trzymał róg. Wciąż nosił amulet. Jak na razie, nic nam się nie udawało. Trzeba było jakoś odwrócić jego uwagę, nim Ramuthra zbliży się na tyle, by móc zabić chłopca. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Ciekawe... Ale najpierw musiałem pozbyć się Jabora.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Jaborowi nie brakowało uporu.

Unikałem jego wyciągniętych szponów i leciałem, kierując się mniej więcej na środek sali. Szczelina powstała blisko podium, które zmieniło się w budyńiowatą masę. Wszędzie leżały buty i krzesła, nie dostrzegłem jednak niczego żywego.

Zwolniłem. Za mną pędził Jabor.

Im bardziej zbliżałem się do rozpadliny, tym mocniej naprężała się moja esencja. Czułem, jak szczelina mnie wsysa. Kiedy już więcej nie mogłem wytrzymać, zatrzymałem się w powietrzu, zrobiłem szybkie salto do przodu i stanąłem twarzą w twarz z Jaborem. Zbliżał się ze świstem, wściekle wyciągał ramiona, nie myśląc o niebezpieczeństwie czyhającym za moimi plecami. Pragnął tylko zatopić swe szpony w mojej esencji, rozedrzeć mnie jak jedną ze swych ofiar w Fenicji albo w starym Ombos**.

Ale ja nie jestem człowiekiem, co kuli się i skomle w mroku świątyni. Jestem Bartimaeusem, a nie jakimś tchórzem. Stałem więc pewnie***.

* Wcześniej nigdy nie słyszałem o tej szczególnej istocie. Zresztą nic dziwnego, bo choć są wśród nas tysiące takich, których przyzywają okrutni magowie – i przez to jakoś ich definiują – istnieją bezgranicznie liczniejsze rzesze bezimiennych duchów mieszających w Zaświatach. Być może ów Ramuthra został wezwany po raz pierwszy.

** Ombos: miasto w Egipcie, poświęcone Setowi, który kiedyś był panem Jabora. Przez sto czy może dwieście lat Jabor czał się w tamtejszej świątyni i pożerał przynoszone mu ofiary. Wreszcie przybył tam faraon Dolnego Egiptu i doszczętnie spalił to miejsce. *** W powietrzu, naprawdę. Byliśmy siedem metrów nad ziemią.

Jabor był tuż-tuż. Przygarbiłem się jak zapaśnik.

Otworzył pysk, by wydać swój szakali okrzyk...

Zamachałem skrzydłami i w ułamku sekundy pomknąłem do góry. Kiedy Jabor przeleciał podemną, obróciłem się i z całej siły kopnąłem go w zadek. Leciał zbyt szybko, by mógł się od razu zatrzymać, zwłaszcza kiedy udzieliłem mu tej przyjacielskiej pomocy. Wysunął do przodu skrzydła, chciał zahamować... Zwolnił... Zaczął się obracać, warczał...

Szczelina pociągnęła go mocniej. Na jego pysku nagle pojawił się grymas zdziwienia. Starał się machać skrzydłami, ale nie poruszały się tak, jak powinny. Zdawało się, że uwięzły w gęstej melasie. Ich krawędzie zostawiały czarnoszare ślady, natychmiast wsysane. To z Jabora uchodziła esencja. Dżinn wyteżył siły i udało mu się trochę do mnie przysunąć. Pokazałem mu figę.

–Nieźle – oznajmiłem. – Widzę, że zrobiłeś już pięć centymetrów. Nie

zatrzymuj się.

Raz jeszcze podjął tytaniczny wysiłek.

–Kolejny centymetr! Dobrze! Już niedługo wpadnę w twoje ręce.

Aby zachęcić go do dalszego marszu, bezczelnie wyciągnąłem ku niemu stopę i machałem mu nią tuż przed pyskiem. Warknął, spróbował się zamachnąć, ale esencja, wijąc się, uciekała już z powierzchni jego kończyn, wciągana przez szczelinę. Jego mięśnie stawały się coraz cieńsze. A im bardziej słabł, tym mocniej ciągnęła go rozpadlina. Zaczął więc cofać się, najpierw powoli, potem coraz szybciej.

Gdyby Jabor miał choć pół mózgu, zmieniłby się w komara albo coś w tym rodzaju. Być może, ważąc mniej, zdołałby oprzeć się grawitacyjnemu przyciąganiu szczeliny. Ocaliłaby go jedna przyjacielska rada, ale wierzcie mi, zbyt uważnie obserwowałem, jak się rozpada, żeby w porę podsunąć mu ów pomysł. Jego tylne kończyny i skrzydła rozciągnęły się w strumienie oleistej, szaroczarnej materii, która wirując, wpadała do szczeliny. To z pewnością nie było dla niego przyjemne, zwłaszcza że ciągle wiązał go rozkaz Lovelace'a. Na pysku Jabora widziałem jednak nie ból, lecz nienawiść. I tak już zostało, po sam koniec. Nawet kiedy zniekształcał mu się tył głowy, błyszczące czerwone oczy wciąż wpatrywały się we mnie. Potem i one znikły, pomknęły ku szczelinie – zostałem sam, czule machając mu na pożegnanie.

Jednak krótko, bo nie chciałem marnować czasu. Miałem jeszcze inne sprawy do załatwienia.

9{atfianid

mulet z Samarkandy to naprawdę wspaniała rzecz. Czy to ze strachu, czy też z okrucieństwa Lovelace, rozkoszując się

odzyskaniem kontroli nad sytuacją, wciąż prowadził z Nathanielem jednostronną konwersację – nawet wtedy, gdy niepowstrzymanie zbliżał się do nich Ramuthra. Zdawało się, że nie umilknie. Chłopiec wycofywał się powoli, nie miał już nadziei, wiedział, że nic nie zdoła zrobić.

–Widzisz, Ramuthra wypacza żywioly – ciągnął Lovelace. – Gdziekolwiek

stąpnie, one się buntują. A to niszczy delikatny porządek, od którego zależy

cała magia. Nic nie zdoła go zatrzymać. Każdy magiczny atak będzie

daremny. Nie możecie mnie zranić, nie możecie mi uciec, Ramuthra dopadnie

was wszystkich. Amulet zaś ma w sobie siłę równą i przeciwną

Ramuthrze. Zatem jestem bezpieczny. On mógłby nawet unieść mnie do

paszczy, tak że ten cały chaos szalałby wokół mnie, a ja nic bym nie poczuł.

Demon był już w połowie odległości do Nathaniela i przyspieszył kroku. Jedno z wielkich, przejrzystych ramion trzymał wyciągnięte przed siebie. Może nie mógł się już doczekać, kiedy pozna smak chłopca.

–To mój drogi mistrz zaproponował ów plan – powiedział Lovelace. – I jak zwykle, był to pomysł natchniony. Będzie teraz na nas patrzył.

–Mówisz o Schylerze? – Nawet u progu śmierci Nathaniel nie mógł powstrzymać dzikiej satysfakcji. – Wątpię. On leży martwy, na górze.

Po raz pierwszy Lovelace stracił trochę pewności siebie. Przestał się uśmiechać.

–To prawda – oznajmił chłopiec. – Ja mu nie uciekłem. Ja go zabiłem. Mag roześmiał się.

–Nie okłamuj mnie, dzieciaku...

Za plecami Lovelace'a rozległ się głos. Kobięcy. Delikatny i pełen rozpacz. – Simon!

Czarodziej spojrział za siebie i zobaczył Amandę Cathcart. Suknię miała podartą i ubłoconą, włosy potargane, teraz bordowe. Utykając, ruszyła ku czarodziejowi, wyciągała ramiona, a twarz wykrzywiały jej zdumienie i groza.

–Och, Simon – powiedziała. – Co ty zrobiłeś? Lovelace pobladł. Odwrócił do niej twarz.

–Cofnij się! – krzyknął. W jego głosie zabrzmiała panika. – Odejdź! Do oczu Amandy napłynęły łzy.

–Simon, jak możesz to robić? Czy ja też mam umrzeć?

Ruszyła przed siebie. Zdezorientowany mag uniósł ręce, by ją odepchnąć.

–Amando... Przy... przykro mi. Tak... tak musiało być.

–Nie, Simon. Tyle mi obiecałeś. Nathaniel podkradł się bliżej. Lovelace wpadł we wściekłość.

–Odejdź ode mnie, kobieto, albo każę demonowi rozedrzeć cię na strzępy!

Patrz, on już prawie przy tobie jest!

Amanda nie zareagowała. Zdawała się na nic nie zwracać uwagi.

–Jak możesz tak mnie wykorzystywać, Simonie? Po tym wszystkim, co mi mówiłeś. Nie masz honoru.

–Amando, ostrzegam cię...

Nathaniel skoczył do przodu. Jego palce drapnęły skórę na szyi Lovelace'a, a potem zacisnęły się na czymś zimnym, twardym i elastycznym. Na łańcuszku amuletu. Pociągnął go z całej siły. Głowa czarodzieja odskoczyła do tyłu, jedno z ogniw łańcuszka pękło i amulet zawisł w ręku chłopca.

Lovelace wrzasnął.

Nathaniel odskoczył, upadł na plecy i poturlał się po podłodze. Ogniwia łańcuszka przesunęły mu się po twarzy. Zamachał rękoma i złapał mały, cienki owal, przyczepiony pośrodku. I wtedy poczuł się tak, jakby spadł z niego wielki ciężar. Bezlitosne spojrzenie nagle skierowało się w inną stronę.

Lovelace otrząsnął się z pierwszego szoku i rzucił ku Nathanielowi -zatrzymały go jednak szczupłe ramiona.

**–Poczekaj, Simonie. Zrobiłbyś krzywdę biednemu, słodkiemu
chłopcykowi?**

–Amando, ty oszalałaś! Puszczaj mnie! Amulet... muszę...

Szarpał się, chciał się uwolnić z rozpaczliwych objęć kobiety... i jego przerażone oczy zobaczyły piętrzącą się nad nim istotę. Nogi się pod nim ugięły. Ramuthra był teraz bardzo blisko nich. Za sprawą jego mocy materiał ubrań łopotał szaleńczo, włosy omiatały im twarze. Powietrze wokół drżało, jakby naładowane elektrycznością.

Lovelace wykręcił się do tyłu. Prawie upadł.

–Ramuthro! Rozkazuję ci: zabierz tego chłopca! On ukradł amulet!

Nie jest prawdziwie chroniony!

Jego głos nie zabrzmiał przekonująco. Wielka, przezroczysta ręka wysunęła się do przodu. Lovelace błagał teraz rozpaczliwie:

–Dobrze, zapomnij o chłopcu, bierz kobietę! Najpierw bierz kobietę!

Na chwilę dłoń się zatrzymała, a Lovelace z olbrzymim wysiłkiem

uwolnił się z objęć Amandy.

–Tak! Widzisz? To ona! Weź ją pierwszą!

Skądś i znikąd zarazem dobiegł donośny głos – jakby przemawiał wielki tłum:

–Nie widzę żadnej kobiety. Tylko śmiejącego się dzinna.

Twarz Lovelace'a skamieniała. Odwrócił się ku Amandzie Cathcart, która patrzyła na niego z rozpaczliwym błaganiem. Ujrzał, że jej rysy z wolna się zmieniają: na twarzy od ucha do ucha wykwitł zły, triumfalny uśmiech, potem, w mgnieniu oka, jedno z ramion wydłużyło się i pomknęło do przodu. Wyrwało róg przyzwań z osłabłych rąk Lovelace'a. Amanda znikła, a kilka metrów dalej pojawiła się małpka, zwisała na ogonie z haka po żyrandolu. Wesoło pomachała rogiem do przerażonego maga.

–Nie jesteś chyba zły, że go teraz mam? – zawołała. – Tam, gdzie idziesz,

nie będzie ci potrzebny.

Czarodziej stracił całą energię. Śmiertelnie blada skóra luźno zwisała mu na kościach. Zgarbił ramiona. Zrobił krok w stronę Nathaniela, jakby, bez przekonania, próbował jeszcze odzyskać amulet... A potem wielka ręka sięgnęła w dół, chwyciła go i uniosła w powietrze. Leciał wysoko, wysoko, jego ciało zmieniało się i przekształcało. Ramuthra pochylił głowę ku niemu. Otworzył

w niej coś, co mogło być paszczą.

Chwilę później Simon Lovelace przepadł bez śladu.

Demon zatrzymał się, by spojrzeć na rechoczącą małą, ale ona od razu znikła. Nie zwracając uwagi na chłopca, który wciąż leżał na podłodze, Ramuthra ciężko odwrócił się ku magom na drugim końcu sali.

Nathaniel usłyszał znajomy głos:

–Dwa zero dla nas.

ftartimams

ak bardzo uradowałem się swoim sukcesem, że gdy uwaga Ramuthry zwrócona była gdzie indziej, zaryzykowałem i przybrałem postać Ptolemeusza. Jabor i Lovelace zginęli, musieliśmy pokonać już tylko jedną, wielką istotę. Butem szturchnąłem mojego pana. Leżał na plecach, w brudnych rękach ścisnął Amulet z Samarkandy, niczym matka niemowlę. Pożyłem obok niego róg przyzwań. Usiadł z trudem.

–Lovelace... widziałeś?

–No, to wcale nie było ładne.

Wstał sztywno, oczy jaśniały mu dziwnym blaskiem, były w nich zarówno groza, jak i wielkie szczęście.

–Mam to – wyszeptał. – Mam amulet.

–Tak – odparłem szybko. – Niezła robota. Ale Ramuthra wciąż jest tu z nami i jak chcemy coś z tym zrobić, to mamy niewiele czasu.

Spojrzałem na drugi koniec sali i posmutniałem. Ministrowie byli teraz pożałowania godną zbieraniną. Albo kulili się, otępiali z przerażenia, albo brutalnie walczyli ze sobą, by znaleźć się jak najdalej od Ramuthry. Nieopisane widowisko! Tak jakbym oglądał horde roznoszących zarazę szczurów, gryzącą się w kanale. Bardzo się zmartwiłem: chyba żaden z czarodziejów nie wypowie skomplikowanej formuły czaru, mogącego odesłać potwora w Zaświaty.

–Chodź – powiedziałem. – Kiedy Ramuthra kilku sobie weźmie, my

możemy pobudzić resztę do działania. Który z nich może pamiętać

kontrzakłęcie?

Chłopiec skrzywił się.

–Z tego, co widzę, żaden.

–Mimo to musimy spróbować – pociągnąłem go za rękaw. – Chodź. Przecież żaden z nas nie zna tej inkantacji*.

–Mów za siebie – odparł powoli. – Ja ją znam.

–Ty? – byłem zaskoczony. – Jesteś pewien?

Znów się skrzywił. Nieźle oberwał. Był blady i posiniaczony. Krwawił i chwiał się na nogach. Ale w oczach płonął mu jasny ogień determinacji.

–Nigdy byś nie pomyślał, co? – powiedział. – Tak. Uczyłem się tego.

W jego głosie usłyszałem nutę wątpliwości, dojrzałem ją też w jego

oczach, widziałem, jak zмага się z podjęciem decyzji. Postarałem się, by moje słowa nie zabrzmiały sceptycznie:

–To czar z wysokiego poziomu. Skomplikowany. I w dodatku musisz złamać róg dokładnie w odpowiednim momencie. Chłopcze, nie czas się popisywać. Wciąż możesz...

–Poprosić o pomoc? Nie sądzę. – Niezależnie od tego, czy się popisywał, czy po prostu trzeźwo oceniał sytuację, mówił prawdę. Ramuthra prawie już dotarł do magów. Nie mieliśmy nawet cienia szansy na to, by uzyskać ich pomoc. – Odejdź. Potrzebuję spokoju, chcę się zastanowić.

Zawahałem się, bo choć pełen byłem podziwu dla siły jego charakteru, aż za dobrze wiedziałem, do czego ona prowadzi. Nieważne, czy jest amulet, czy go nie ma, następstwa nieudanego odwołania zawsze są tragiczne, a ja ucierpiałbym razem z dzieciakiem. Jednak nie widziałem innego wyjścia.

Bezradny, stanąłem z boku. Mój pan uniósł róg przyzwań i zamknął oczy.

9{atfianid

amknął oczy, by nie widzieć chaosu na sali. Zaczął oddychać, bardzo powoli i głęboko. Wciąż słyszał odgłosy bólu i przerażenia, lecz siłą woli je odrzucił.

* Ja nie miałem o niej zielonego pojęcia. Słowa rozkazów to sprawa magów. W tym właśnie są dobrzy. Dżinny nie mogą ich wypowiedzieć, ale starzy, stetryczali mistrzowie magii mają zaklęcie na każdą okazję.

To było w miarę łatwe. Przemawiał jednak do niego cały chór wewnętrznych głosów, a ich zgiełku nie mógł uciszyć. Właśnie nastąpiła jego wielka chwila! Chwila, w której tysiące obelg i szykan też mogły zostać odrzucone, zapomniane! Znał tę inkantację – nauczył się jej już dawno temu. Mógł ją wypowiedzieć na oczach wszystkich. Nigdy, nigdy go nie doceniono! Underwood miał go za półgłówka, głupka, co ledwie potrafi nakreślić krąg. Nie wierzył, że jego uczeń może przyzwać dżinna. Lovelace uważał go za słabeusza o dziecięcym, miękkim sercu, który w dodatku da się skusić pierwszą, mętną obietnicą siły i władzy. Do samej śmierci nie wierzył, że Nathaniel zabił Schylera. A teraz nawet Bartimaeus, jego własny sługa, powątpiewał, czy zna on formułę Odwołania! Zawsze, zawsze mieli go za kogoś gorszego.

I nadeszła wreszcie ta chwila, gdy wszystko spoczęło w jego rękach. Wcześniej zbyt często bywał bezsilny: zamknięto go w pokoju, został wyciągnięty z palącego się domu, obrabowany przez plebejuszy, uwięziony w Ograniczniku... Wspomnienia tych upokorzeń wybuchły gorącym płomieniem. Teraz mógł działać, mógł im pokazać!

Okrzyk zranionej dumy niemal zagłuszył wszystko. Dudnił w jego głowie. Ale głębiej, pod desperacją, każącą zwyciężyć dla samego siebie, o uznanie walczyło jeszcze jedno pragnienie. Gdzieś daleko słyszał, jak ktoś krzyczy ze strachu, i nagle ogarnęła go fala współczucia. Jeśli nie przypomni sobie tego czaru, ci bezbronni czarodzieje umrą. Ich życie zależy tylko od niego. A on wie, jak im pomóc. Kontrprzyzwanie, Odwołanie. Musiał je sobie przypomnieć. Czytał zaklęcie, znał je, powierzył swojej pamięci już miesiące temu. Ale teraz nie potrafił się skupić, nie umiał go przywołać.

Niedobrze. Oni wszyscy mogą tutaj umrzeć, tak jak umarła pani Underwood. A on znowu zawodził. Tak bardzo pragnął im pomóc! Ale samo pragnienie nie wystarczy. Chciał przecież ratować panią Underwood, wydobyć ją z płomieni, chciał tego bardziej niż cegokolwiek innego. Gdyby tylko mógł, oddałby za nią życie. No i? Nie ocalił jej. Zabrano go gdzieś daleko, a ona zginęła. Jego miłość nic nie znaczyła.

Przez chwilę dawna klęska i nagła potrzeba wsparcia zmieszały się ze sobą. Chłopiec zwątpił w siebie. Po jego policzkach spłynęły łzy.

Nathanielu, cierpliwości.

Cierpliwości...

Odetchnął głęboko. Smutek odstał, a przez wielką przepaść spłynął na niego spokój ogrodu Underwooda. Znów zobaczył liście rododendrona, błyszczące w słońcu ciemną zielenią. Ujrzał jabłonie, gubiące swe białe kwiaty, kota leżącego na murze z czerwonej cegły. Wyczuł pod palcami malutkie roślinki. Ujrzał mech na posągu. Znowu był bezpieczny, świat zewnętrzny mu nie zagrażał. Wyobraził sobie pannę Lutyens, jak siedzi obok i coś rysuje. Ogarnął go spokój.

Oczyścił umysł – i pamięć rozkwitła.

Upragnione słowa przybyły, takie, jakich nauczył się na kamiennej ławce, rok temu albo nawet dawniej.

Otworzył oczy i wypowiedział te słowa. Jego głos brzmiał mocno i pewnie. Gdy wymówił piętnastą sylabę, na kolanie złamał róg na pół.

Kiedy trzasnęła kość słoniowa i zabrzmiało zakłęcie, Ramuthra się zatrzymał. Migoczące zawirowania powietrza, wyznaczające jego kontury, zadrżały, najpierw łagodnie, potem silniej. Szczelina pośrodku sali rozwarła się. Z zadziwiającą szybkością demon skurczył się i zapadł do środka - wciągnięty z powrotem do rozpadliny, znikł.

Szczelina zamknęła się jak blizna, gojąca się w błyskawicznym tempie.

Teraz, kiedy nie było już demona, aula wyglądała jak pusta jaskinia. Jeden żyrandol i kilka małych kinkietów zapaliło się na nowo, tu i ówdzie jaśniejąc słabym blaskiem. Na zewnątrz wieczorne niebo było już szare, ciemniało, przechodząc w granat. W pobliskim lasku wśród drzew zaszumiał wiatr.

W sali panowała cisza. Tłum magów i kilka posiniaczonych, sponiewieranych impów trwali w milczeniu. Tylko jedna osoba się poruszyła: chłopiec. Kuśtykał przez środek sali, a Amulet z Samarkandy zwisał mu z dłoni. Jadeit pośrodku artefaktu jaśniał słabo w półmroku.

I w tej ciszy Nathaniel podszedł do Ruperta Devereaux, który leżał przygnieciony ciałem ministra spraw zagranicznych, i ostrożnie włożył mu amulet do rąk.

Bartimmus

o było typowe dla tego dzieciaka. Dokonał właśnie największego czynu w swym kiepskim, krótkim życiu i można by się spodziewać, że padnie z ulgą na ziemię, wyczerpany. Czy tak się stało? Skądże. Złapał swoją wielką szansę i wykorzystał ją w najbardziej teatralny sposób, w jaki się tylko dało. Kiedy zwrócone były nań wszystkie oczy, pokuśtykał przez salę, niczym kruchy, ranny ptak, wprost do centrum władzy. Co zamierzał? Nikt tego nie wiedział, nikt nawet nie ważył się zgadywać (zauważyłem, że premier wzdrygnął się, kiedy chłopak uniósł doń). A potem, kiedy napięcie sięgnęło zenitu, wszystko stało się jasne: legendarny Amulet z Samarkandy -uniesiony wysoko, tak aby wszyscy go widzieli – powrócił na łono rządu. Chłopiec pamiętał nawet o tym, żeby schylić głowę z szacunkiem. W sali zapanowało wielkie poruszenie.

Nieźle widowisko, co? Szczerze mówiąc, bardziej chyba niż to, że chłopak potrafił zastraszyć dżinna, jego instynktowna umiejętność obchodzenia się z tłumem pokazała mi, że pewnie czeka go światowa kariera*.

* Magowie, chcąc onieśmielić zwykłych ludzi, uciekają się do teatralnych sztuczek i używają takich samych technik, by zrobić wrażenie i przechytrzyć innych.

349

Oczywiście to, co zrobił, dało zamierzony efekt. W ciągu kilku chwil znalazł się w centrum zainteresowania rozentuzjasmowanego tłumu.

Niepostrzeżenie, dzięki temu zamieszaniu, porzuciłem postać Ptolemeusza i zmieniłem się w pomniejszego impa. który wkrótce – kiedy wszystko się uspokoiło – skromnie usadowił się u boku chłopca. Nie chciałem, by ktoś poznał moje prawdziwe możliwości. Jeszcze skojarzono by mnie z zawadiackim dżinnem, który niedawno uciekł z rządowego więzienia.

Ramię Nathaniela było świetnym miejscem, bym mógł przyglądać się temu, co nastąpiło po nieudanym zamachu stanu. Przez kilka godzin chłopiec był prawdziwą gwiazdą. Gdziekolwiek siedł Devereaux i jego świta, siedł też mój pan. Odpowiadał na pospiesznie zadawane pytania i nadymał policzki, napawając się pochlebstwami, których nie szczędzili mu podwładni premiera.

Kiedy sprawdzono listę obecności, okazało się, że brakuje czterech ministrów – na szczęście, wszyscy zajmowali dosyć niskie stanowiska – oraz jednego podsekretarza*. W dodatku kilku magów miało poważne uszkodzenia ciała albo doznało uszczerbku w inny sposób.

Ogólna ulga szybko zmieniła się we wściekłość. Kiedy Ramuthra odszedł, czarodzieje mogli posłać swoje sługi z zadaniem unieszkodliwienia magicznych barier w drzwiach i oknach. Rozpierzchli się po całym domu. Choć przetrząsnięto każdy zakątek Heddleham Hall, poza służącymi, zwłokami starszego mężczyzny i zirytowanym chłopcem, zamkniętym w ubikacji, nie znaleziono już nikogo. Nikt się nie zdziwił, że Rufus Lime, mag o rybiej twarzy, zniknął bez

śladu. Nigdzie też nie było czarnobrodego mężczyzny, który strzegł bramy. Obaj jakby rozplynęli się w powietrzu.

Nathaniel zaprowadził czarodziejów do kuchni, a właściwie do spiżarni, gdzie znaleziono stłoczoną grupkę drżących kuchcików. Opowiedzieli, że mniej więcej półtorej godziny wcześniej szef kuchni wydał z siebie ryk,**

*** Brakowało również Amandy Cathcart, Simona Lovelace'a i sześciu służących, którzy znikli w szczelinie albo w paszczy Ramuthry. Jednak w tych okolicznościach magowie nie wzięli pod uwagę tych znamiennych strat. ** Czyli dokładnie wtedy, kiedy zniknął Lovelace.**

zapłonął niebieskim ogniem, urósł do wielkich, strasznych rozmiarów i zniknął w chmurze siarki. W trakcie oględzin miejsca zdarzenia znaleziono tasak, głęboko wbity w kamień kominka – ostatnie wspomnienie więzów krępujących Faquarla*.

Główni spiskowcy zginęli lub zaginęli, magowie zajęli się więc przesłuchiowaniem służby. Okazało się, że ona nic nie wie o spisku. Lokaje zeznali, że w ciągu ostatnich kilku tygodni Simon Lovelace przeprowadzał wielki remont auli, często zakazując do niej wstępu. Niewidoczni robotnicy, którym towarzyszyły dziwne, barwne światła oraz niesamowite odgłosy, budowali tam szklaną podłogę i kładli nowy dywan*. Nadzorował ich elegancko ubrany dżentelmen o okrągłej twarzy i rudawej brodzie.

To był nowy trop. Mój mistrz szybko przekazał wiadomość, że wczesnym rankiem widział, jak taka osoba wyjeżdża z posiadłości. Natychmiast wysłano posłańców z opisem tego człowieka, by zaalarmować policję Londynu i pobliskich hrabstw.

Kiedy zrobiono już wszystko, co należało, Devereaux i jego starsi ministrowie posilili się szampanem, mięsem na zimno oraz galaretką owocową i uważnie wysłuchali opowieści mojego pana. Cóż to była za opowieść! Jaka barwna historia! Nawet ja, choć od dawna już znałem ludzką obłudę, osłupiałem, słuchając niektórych kłamstw. Szczerze mówiąc, wiele musiał ukryć: na przykład swoją kradzież amuletu czy też moje spotkanie z Sholto Pinnem. Jednak mnóstwo bujdy naprawdę było zbędnych. Siedziałem cicho na jego ramieniu i wysłuchiwałem, jak nazywa mnie „pomniejszym impem”

* Zatem, raz jeszcze, nasze drogi się skrzyżowały, choć nie doszło do ostatecznej konfrontacji. Naprawdę szkoda. Nie mogłem się doczekać, by sprawić Faquarłowi porządne lanie. Po prostu zabrakło mi czasu, żeby się nim zająć.

** Bez wątpienia trudzili się nad sekretnym mechanizmem w sąsiednim pokoju, tym, który odsunął dywan i zagroził okna kratami. Niektóre diabluki to wielce uzdolnieni konstruktorzy. Kiedy wznosiłem mury Pragi, miałem pod sobą całą ich ekipę. To dobrzy robotnicy, pod warunkiem że nie słyszają kościelnych dzwonów, bo wtedy odkładają narzędzia i rozpadają się w pył. Był z tym duży problem w dni świąteczne – wtedy zawsze musiałem mieć pod ręką grupę impów z szufelkami i zmiotkami.

(pięć razy), „takim sobie diablikiem” (dwa razy), a nawet (raz) „homunkulusem”*. No, czy mnie nie obrażał?

Jakby tego było mało, opowiedział – z wielkimi, smutnymi oczyma – jak to jego drogi mistrz, Arthur Underwood, już od dawna podejrzewał Simona Lovelace'a, ale nigdy nie zdobył żadnego dowodu jego niecznych czynów. Aż do pamiętnego dnia, kiedy przypadkiem zobaczył u Lovelace'a Amulet z Samarkandy. Zanim zdołał donieść o tym władzom, Lovelace wraz ze swoimi dzinnami wtargnął do jego domu, by go zabić. Underwood i John Mandrake, jego wierny uczeń, stawili im zacięty opór, a pani Underwood bohatersko rzuciła się na wroga. Na próżno. Państwo Underwood zginęli, Nathaniel zaś, ratując życie, uciekł tylko z jednym sługą, pomniejszym impem. Kiedy chłopiec o tym mówił, łzy stanęły mu w oczach, jakby uwierzył w te brednie.

Kłamał i kłamał. Nie mając sposobu na udowodnienie winy Lovelace'a, ruszył do Heddleham Hall z nadzieją, że zdoła zapobiec planowanej potwornej zbrodni.

–Teraz jestem szczęśliwy, bo udało mi się ocalić życie szlachetnych włodarzy swego kraju...

Szczerze mówiąc, tyle naopowiadał, że nawet impa doprowadził do płaczu.

Ale oni to kupili. Nie zwątpili w ani jedno słowo. Chłopiec szybko coś zjadł, pociągnął kilka łyków szampana i ruszył do ministerialnej limuzyny, która zawiozła go do Londynu na dalsze przesłuchania.

Oczywiście, pojechałem razem z nim. W żadnym wypadku nie mogłem spuścić go z oczu. Musiał przecież dotrzymać obietnicy.

* Homunkulus – maleńki człowieczek stworzony magią i zwykle zamknięty w butelce jako magiczne kuriozum. Niektóre homunkulusy są jasnowidzami; ważne, by robić na odwrót, niż radzą, bo to istoty niegodziwe, zawsze chcą wyrządzić krzywdę swoim twórcom.

cichły kroki służącego. Chłopiec i ja rozejrzeliśmy się dookoła. – Wołałem twój stary pokój – stwierdziłem – Tutaj śmierdzi. a ty nawet się tu jeszcze nie przeniosłeś.

–Nic nie śmierdzi.

–Śmierdzi: świeżą farbą, plastikiem i tymi wszystkimi nowościami. Co, jak sądzę, tobie pasuje. Prawda, że tak myślisz, panie Mandrake?

Nie odpowiedział. Skoczył do okna, by wyrzeć na zewnątrz.

Był wieczór następnego dnia po wielkim przyzwaniu w Heddleham Hall. Pierwszy raz dano mojemu mistrzowi odrobinę spokoju. Niemal całe dwadzieścia cztery godziny spędził w towarzystwie ministrów i policjantów, składając zeznania; na pewno za każdym razem dodawał do opowieści nowe kłamstwa. Ja tymczasem zostałem na ulicy*, drżąc z niecierpliwości. Czuję się coraz gorzej, tymczasem chłopiec spędził noc w specjalnie wyposażonej sypialni przy Whitehall, budynku pilnie strzeżonym na różne sposoby. Kiedy tam sobie chrapał, ja musiałem kulić się na zewnątrz, a przecież musiałem z nim pogadać.

Mijał następny dzień. Przyszłość chłopca była już określona. Państwowy samochód zawiózł go do rezydencji nowego przywódcy – nowoczesnej, nadbrzeżnej posiadłości na południowym brzegu Tamizy. Kolację zapowiedziano na pół do dziewiątej, mój mistrz miał czekać w jadalni o ósmej piętnaście. To znaczyło, że Nathaniel i ja mieliśmy tylko godzinę dla siebie. Zamierzałem w pełni ją wykorzystać.

W pokoju było to, co zwykle: łóżko, biurko, garderoba (taka, do której się wchodziło, elegancka), regał na książki, nocny stolik, krzesło. Drzwi wiodły do sąsiedniej, malutkiej łazienki. Na nieskazitelnie białym suficie była silna, elektryczna lampa, a w ścianie niewielkie okno. Za nim, na wody Tamizy padał blask księżyca. Chłopiec z dziwnym wyrazem twarzy spoglądał na gmach parlamentu, wznoszący się niemal dokładnie naprzeciwko niego.

* Biura rządu są przeważnie pełne afrytów i kul tropiących, zwykle przeciwnych mojej obecności.

–Teraz jest o wiele bliżej – powiedziałem

–Tak, ona powinna być bardzo dumna – Nathaniel odwrócił się i zobaczył, że przybrałem postać Ptolemeusza i wyciągnąłem się na jego nowym łóżku.

–Spadaj stamtąd. Nie chcę twojej paskudnej... Hej! – Dostrzegł książkę na półce obok łóżka. – *Kompendium Fausta!* Mój własny egzemplarz! Niesamowite! Underwood nie pozwalał mi tego nawet dotykać!

–Tylko pamiętaj: to nie przyniosło Faustowi niczego dobrego.

Przerzucał strony.

–Kapitalne... A moja mistrzyni mówi, że w swoim pokoju mogę dokonywać pomniejszych przyzwań.

–Ach, tak... Twoja kochana, miła, nowa mistrzyni. – Ze smutkiem potrząsnąłem głową. – Jesteś z niej zadowolony, co?

Pokiwał skwapliwie głową.

–Panna Whitwell jest bardzo potężna. Nauczy mnie mnóstwa rzeczy. I będzie też traktowała mnie z odpowiednim szacunkiem.

–Tak sądzisz? To mag honoru, prawda? – skrzywiłem się.

Moja stara przyjaciółka, Jessica Whitwell, chuda jak szczapa minister bezpieczeństwa, naczelnik londyńskiej Tower, władająca Kulami Smutku... Tak, miała sporą władzę, jasne. Powierzając Nathaniela właśnie jej opiece, władze dały dowód, jak bardzo ją cenią. Z pewnością będzie mu całkiem innym mistrzem niż Arthur Underwood, zadba, by jego talent się nie zmarnował... Ale co uczyni z jego temperamentem, to już całkiem inna sprawa. Chłopak dostał właśnie to, na co zasłużył.

–Powiedziała, że czeka mnie kariera – mówił dalej – jeśli tylko nie zmarnuję

swojej szansy i będę ciężko pracował. I że będzie nadzorowała moją naukę,

żeby przebiegała w jak najszybszym tempie... no i że wkrótce będę pracował w

departamencie ministerstwa, by nabrać doświadczenia.

Oczy znów załśniły mu triumfalnie – aż miałem ochotę przełożyć go przez kolano. Ostentacyjnie ziewnąłem i poprawiłem poduszkę, ale on nie przerywał.

**–Powiedziała, że nie ma żadnych ograniczeń związanych z wiekiem,
są tylko ograniczenia związane z talentem. Mówiłem, że chciałbym brać
udział w pracach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: to są ci, co ścigają
ruch oporu. Wiesz, że jak byliśmy poza Londynem, to był kolejny atak?
Wysadzono biuro przy Whitehallu. Niewiele jeszcze wiadomo, założę się,**

że ich wytropię. Najpierw złapię Freda i Stanleya, i tamtą dziewczynę. Potem zmuszę ich do mówienia, a później...

–Spokojnie. Czy już nie zrobiłeś wiele, jak na jedno życie? Pomyśl.

Zabiłeś dwóch magów opętanych żądzą władzy, uratowałeś stu magów też opętanych żądzą władzy... Jesteś bohaterem.

Nie dostrzegł lekkiego sarkazmu w moim głosie.

–Właśnie to powiedział pan Devereaux.

Wstałem gwałtownie i nadstawiłem uszu w stronę okna.

–Posłuchaj! – zawołałem.

–Czego?

–To odgłosy bynajmniej nie wiwatujących tłumów. Nachmurzył się.

–O co ci chodzi?

–O to, że rząd trzyma to wszystko w wielkiej tajemnicy. Gdzie są fotografowie? Gdzie są dziennikarze? Spodziewałbym się raczej, że dziś rano będziesz na pierwszej stronie „Timesa”. Powinni pytać cię o twoje życie, dekorować medalami, wypuścić limitowaną serię znaczków z twoją podobizną... Ale tego nie robią, prawda?

Chłopiec pociągnął nosem.

–Muszą trzymać to w sekrecie ze względów bezpieczeństwa. Tak mi powiedzieli.

–Nie, tu chodzi o to, żeby nie wyjść na idiotów. Dwunastolatek ratuje rząd! Wyśmiano by ich. A to jest coś, czego nie chce żaden mag, możesz mi wierzyć. Jeśli dzieje się coś takiego, to już początek końca.

Chłopiec uśmiechnął się z wyższością. Był jeszcze za młody, by zrozumieć.

–To nie pospółstwa powinniśmy się bać – oznajmił. – Ale spiskowców, tych, którym udało się

zbiec. Panna Whitwell mówi, że tamtą istotę musiało przywołać co najmniej czterech magów, więc poza Lovelace'em, Schylerem i Limem musi być co najmniej jeszcze jeden. Lime uciekł, a w żadnym porcie ani na lotnisku nikt nie widział tamtego rudobrodego maga... To prawdziwa zagadka. Jestem pewny, że zamieszany w to wszystko jest też Sholto Pinn, ale nie mogę niczego powiedzieć, po tym, co zrobiłeś z jego sklepem.

–Tak – odparłem, splatając dłonie za głowę. Staralem się mówić jak najbardziej zadumanym tonem. – Ty chyba masz sporo do ukrycia. Na przykład

mnie, twojego „pomniejszego impa”, i wszystkie moje dokonania. Również to, że ukradłeś amulet i wrobiłeś swojego mistrza...

Słyszając te słowa, poczerwieniał i ostentacyjnie ruszył do garderoby. Wstałem i podążyłem za nim.

–Tak przy okazji – dodałem – zauważyłem, że w twojej wersji zdarzeń pan

Underwood odegrał rolę prawdziwej gwiazdy. To pomaga ci uspokoić

sumienie, prawda?

Odwrócił się gwałtownie, był purpurowy.

–Jeśli o coś ci chodzi, to wreszcie o tym powiedz!

Spojrzałem na niego z powagą.

–Mówiłeś, że zwyciężysz Lovelace'a, i dokonałeś tego. Może to złagodziło

twój ból, w każdym razie mam taką nadzieję... Ale także obiecałeś

mi, że jeśli pomogę ci w walce z Lovelace'em, uwolnisz mnie. No i stanąłem

na głowie. Myślę, że wiele razy ocaliłem ci życie. Lovelace nie żyje, a ty

jesteś w lepszej sytuacji niż wcześniej, przynajmniej w twoim mniemaniu.

Nathanielu, czas więc, abyś dotrzymał słowa i pozwolił mi odejść.

Przez chwilę milczał.

–Tak – powiedział wreszcie. – Pomogłeś mi... Uratowałeś mnie...

–Ku mojej wiecznej hańbie.

–I ja jestem... – przerwał.

–Zakłopotany?

–Nie.

–Zachwycony?

–Nie.

–Niezmiernie wdzięczny?

Wziął głęboki oddech.

–Tak. Jestem wdzięczny. Ale to nie zmienia faktu, że znasz moje prawdziwe imię.

Nadszedł czas, by załatwić to wreszcie raz na zawsze. Czułem się zmęczony. Esencja bolała mnie już po dziewięciu dniach na Ziemi. Musiałem odejść.

–Rzeczywiście – odparłem. – Znam twoje imię, a ty znasz moje. Możesz mnie przyzwać. Ja mogę cię zniszczyć. Jesteśmy kwita. Ale kiedy będę w Zaświatach, to komu je zdradzę? Nikomu. Powinieneś chcieć, żebym tam wrócił. Jeśli obu nam się poszczęści, to za twój życia już nigdy nie zostanę wezwany. Gdybym jednak został... – przerwałem i westchnąłem ciężko – obiecuję, że nie wyjawię twój imienia.

Nic nie odpowiedział.

–Chcesz tego oficjalnie?! – krzyknąłem. – Co powiesz na to? „Jeśli złamię tę obietnicę, niechaj wielbłądy wdepczą mnie w piach i porzucą wśród gnoju na polach”*. Już nie mogę być uczciwszy, prawda?

Zawahał się.

–Nie wiem – wymamrotał. – Jesteś de... dzinnem. Obietnice nic dla ciebie nie znaczą.

–Denerwujesz mnie, magu! Dobra – podskoczyłem ze złości. – To co powiesz na to? Jeśli nie odwołasz mnie tu i teraz, pójdę na dół i dokładnie opowiem twojej kochanej pannie Whitwell, jak się sprawy mają. Na pewno chętnie obejrzy mnie w mojej prawdziwej postaci.

Przygryzł wargę, sięgnął po księgę.

–Mógłbym...

–Tak, mógłbyś sporo – powiedziałem. – W tym właśnie kłopot. Jesteś za mądry. Mnóstwo się wydarzyło, bo jesteś za mądry, żeby zostawić różne sprawy w spokoju. Chciałeś zemsty, przywołałeś szlachetnego dzinna, ukradłeś amulet, odpłaciłeś wszystkim. Dostałeś to, czego chciałeś, a ja ci pomogłem, bo musiałem. I na pewno dzięki tej mądrości w swoim czasie nałożysz na mnie jakąś inną więź. Jednak nie tak szybko, żeby powstrzymać mnie, właśnie teraz, od opowiedzenia twojej mistrzyni o tobie, amulecie, Underwoodzie i o mnie samym.

–Właśnie teraz? – zapytał cicho.

–Właśnie teraz.

–Skończysz w puszcze.

–Obaj źle skończymy.

Przez kilka chwil patrzyliśmy sobie prosto w oczy, chyba pierwszy raz. A potem, z westchnieniem, chłopiec odwrócił wzrok.

–Odwołaj mnie, John – powiedziałem. – Dość już zrobiłem. Jestem zmęczony. Ty zresztą też.

Uśmiechnął się półgębkiem.

–Nie jestem zmęczony – odparł. – Za dużo rzeczy chcę zrobić.

–Właśnie – powiedziałem. – Ruch oporu... Spiskowcy. Będziesz chciał mieć wolną rękę, tropiąc ich. Pomyśl o tych wszystkich innych dżinnach, które będziesz musiał przyzwać, kiedy już zaczniesz robić wielką karierę. Nie będą miały mojej klasy, ale będą mniej bezczelne.

*** Stara egipska klątwa. Trzeba z nią uważać – zawsze się spełnia.**

Chyba się przełamał.

–Dobrze Bartimaeusie – oznajmił wreszcie. – Zgadzam się. Musisz poczekać, aż narysuję krąg.

–Nie ma sprawy! – odparłem z zapalem. – Chętnie cię zabawię, kiedy będziesz to robił! Czego byś chciał? Mogę śpiewać jak słowik, sprawić, że w powietrzu zabrzmie piękna muzyka, stworzyć tysiąc niebiańskich zapachów... Pewnie mógłbym nawet trochę požonglować, jeśli sprawi ci to przyjemność.

–Dzięki. Niczego nie potrzebuję.

Podłoga w kącie pokoju była lekko uniesiona i celowo nieokryta dywanem. Tam, z wielką precyzją, tylko raz czy dwa zerkając w księgę z formułami, chłopiec kawałkiem ciemnej kredy znalezionej w szufladzie biurka, nakreślił prosty pentagram i dwa kręgi. Kiedy to robił, siedziałem bardzo spokojnie. Nie chciałem, żeby popełnił jakiś błąd.

Wreszcie skończył i wyprostował się, cały spięty.

–Gotowe – oznajmił i przeciągnął się. Uważnie przyjrzałem się runom.

–To likwiduje działanie Pentagramu Adelbranda, prawda?

–Tak.

–I odwołuje czar Wiecznego Uwięzienia?

–Tak! Widzisz ten hieroglif, tutaj? On zrywa więź. Chcesz, żebym cię odwołał, czy nie?

–Tylko sprawdzam. – Wślizgnąłem się do większego kręgu i zwróciłem twarzą w stronę chłopca. Uspokoił się, przypominając sobie słowa zaklęcia, i spojrzał na mnie z powagą.

–Przestań się tak głupkowato uśmiechać – powiedział. – Rozpraszasz mnie.

–Wybacz. – Moja twarz stała się obrazem nędzy i rozpacz.

–Tak wcale nie jest lepiej.

–Wybacz, wybacz.

–Dobra, przygotuj się. – Wziął głęboki oddech.

–Jeszcze tylko jedno. Jeśli wkrótce zamierzasz przyzwać kogoś innego, polecam Faquarla. To

pracowity dżinn. Daj mu do zrobienia coś konstruktywnego, niech na przykład wydreneuje jezioro sitem albo policzy ziarenka piasku na plaży. Będzie w tym dobry.

–Słuchaj, chcesz odejść, czy nie?

–O tak, chcę. Bardzo.

–Dobrze, więc...

–Nathaniel. jeszcze ostatnia sprawa.

–Co?

–Słuchaj: jesteś silny jak na czarodzieja. I nie chodzi mi o to, o co myślisz, że mi chodzi. Jak na początek, wykazujesz znacznie więcej inicjatywy niż większość z nich, ale oni cię zniszczą, jeśli nie będziesz uważał. Masz także sumienie, a rzecz to rzadka i łatwo ją stracić. Strzeż go. To wszystko. Och, a gdybym był tobą, uważałbym jeszcze na twojego nowego mistrza.

Przez chwilę patrzył na mnie, jakby chciał coś powiedzieć. Potem niecierpliwie pokręcił głową.

–Nic mi nie będzie. Nie musisz się o mnie martwić. To twoja ostatnia szansa. Za pięć minut muszę zejść na kolację.

–Jestem gotów.

Chłopiec płynnie i bez żadnej omyłki wypowiedział kontrzakęcie. Poczulem, jak z każdą sylabą maleje ciężar słów wiążących mnie z Ziemią. Kiedy zbliżał się do końca, moja postać rozszerzyła się, wyszła poza granice kręgu. W planach egzystencji otworzyły się liczne drzwi, kusząc mnie, bym nimi przeszedł. Zmieniłem się w chmurę gęstego dymu – z rykiem pomknęła w górę, wypełniając pokój, który z każdą chwilą stawał się dla mnie coraz mniej rzeczywisty.

Chłopiec skończył. Zamknął usta. Ostatnia więź pękła niczym zerwany łańcuch.

Odszedłem, pozostawiając ostry zapach siarki. Tak tylko, żeby był po mnie jakiś ślad.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/